

Kate Atkinson

ZA OBRAZAMI W
MUZEUM

Dla Eve i Helen
Mojej przyjaciółce Fionie Robertson z wyrazami
wdzięczności za pomoc

Rozdział 1

1951

POCZĘCIE

Istnieję! Zostaję poczęta, gdy zegar na kominku w pokoju po drugiej stronie korytarza wybija północ. Zegar ten należał niegdyś do mojej prababki (kobiety imieniem Alice), a teraz jego zmęczony kurant odlicza moje przyjście na ten świat. Zaczynam się przy pierwszym uderzeniu, a zostaję dokończona przy ostatnim, kiedy mój ojciec stacza się z matki i pogrąża w niezmaconym śnie (dzięki pięciu pintom piwa John Smith's Best Bitter, które wypił w Punch Bowl ze swoimi przyjaciółmi, Walterem i Bernardem Bellingami). W chwili gdy ja przenosiłam się z niebytu w stan istnienia, moja matka udawała, że śpi - jak to często robi w takich chwilach. Mój ojciec jest jednak ulepiony z twardej gliny i coś takiego bynajmniej go nie zniechęciło.

Ojciec ma na imię George i jest o dobre dziesięć lat starszy od matki, która pochrapuje teraz w sąsiednią poduszkę. Mama ma na imię Berenice, ale wszyscy zawsze mówili na nią Bunty.

„Bunty” to według mnie niezbyt poważne imię - czy wiodłoby mi się lepiej, gdybym miała matkę o innym imieniu? Najzwyklejszą Jane albo macierzyńską Mary? A może coś romantycznego, co jednak nie przypomina za bardzo komiksów dla dziewcząt - jakaś Aurora albo Camille? Tak czy owak, już za późno. Jeszcze przez kilka lat Bunty będzie się oczywiście nazywała „mamusią”, ale po jakimś czasie nie będzie już ani jednego rzeczownika określającego matkę (mamusia, mamcia, ma, mama, mamik), który byłby dla niej odpowiedni, więc w ogóle przestanę ją jakkolwiek nazywać. Biedna Bunty.

Miejsce, w którym mieszkamy, nazywa się Nad Sklepem, co nie jest określeniem w pełni adekwatnym, jako że i

kuchnia, i jadalnia znajdują się na tym samym poziomie co Sklep, a w skład tej topografii wchodzi również podległy teren podwórka za domem. Sam Sklep (sklep ze zwierzętami) mieści się przy jednej ze starych uliczek, które przycupnęły u stóp przytłaczającej bryły katedry. Przy tej właśnie ulicy mieszkali pierwsi drukarze, a także mistrzowie witraży, którzy wypełnili okna naszego miasta kolorowym światłem. Dziewiąty Legion Hiszpański, który podbił północ, również maszerował wzdłuż naszej ulicy, tej via praetoria prowadzącej do fortu, zanim rozpląnął się w oddali. Tutaj urodził się Guy Faks, o parę uliczek stąd powieszono Dicka Turpina, a Robinson Crusoe, inny wielki bohater, także jest rodzonym synem tego miasta. Czy ktoś potrafi powiedzieć, co z tego jest prawdą, a co fikcją?

Tutejsze ulice aż kipią historią; dom zajęty przez nasz Sklep ma kilkaset lat, a jego ściany i podłogi są krzywe jak w średniowiecznym domu uciech. Budynek stoi w tym miejscu, odkąd przyszli tu Rzymianie, i nie trzeba nawet dodawać, że posiada on należny sobie przydział lekkich jak piórko lokatorów, którzy snują się wokół domowników oraz sprzętów i siedzą nam smętnie na karku. Zwłaszcza na schodach - a schodów jest tu mnóstwo - aż roi się od tych naszych duchów. I mają o czym plotkować. Jak się dobrze wsłuchać, można je nawet usłyszeć - plusk wody rozcinanej wiosłem wikingów, polowanie na lisa tętniące po kocich łbach, tupot i szurgot stóp naszych przodków na balu w ratuszu oraz skrzypienie gęsiego pióra wielebnego Sterne'a.

Nad Sklepem to poza terminem geograficznym również niezależne, tętniące życiem królestwo ze swoimi własnymi, prymitywnymi prawami oraz dwoma rywalizującymi między sobą pretendentami do korony - George'em i Bunty.

Poczęcie wprowadziło Bunty w stan irytacji - uczucia, z którym jest jej tak dobrze, że dopiero po dłuższym

przewracaniu się z boku na bok zapada wreszcie w niespokojny, pełen majaków sen. Mając możliwość wyboru z katalogu zaoferowanego przez królestwo snów, w pierwszą noc jako moja matka, Bunty wybrała kubły na śmieci.

W śnie tym usiłuje przesunąć dwa ciężkie kubły ze śmieciami wokół podwórka za domem. Złośliwy powiew wiatru co chwila zakleja jej włosami oczy i usta. Jeden z kubłów zaczyna matce szczególnie ciążyć. Bunty nabiera podejrzeń, że zaczyna się w nim wykształcać osobowość, niebywale przypominająca osobowość George'a.

Nagle, kiedy ciężko napiera na jeden z kubłów, traci nad nim panowanie i kubel przewraca się z łoskotem galwanizowanego metalu - TRZASK, BRZDEK! - rozsypując swoją zawartość po betonowej nawierzchni podwórza. Wszędzie walają się odpadki, głównie ze Sklepu - puste worki po mieszance biszkoptów Wilsona, spłaszczone opakowania po Trillu, puszki Kit - e - Kata i Chappie, w które starannie wepchnięto obierki od ziemniaków i skorupki od jaj, nie mówiąc już o tajemniczych paczkach zawiniętych w gazety i wyglądających tak, jakby zawierały odcięte dziecięce kończyny. Mimo tego całego bałaganu śniąca Bunty doznaje miłego uczucia, gdy widzi, jak schludnie wyglądają jej śmieci. Kiedy się nachyla i zaczyna to wszystko zbierać, nagle dociera do niej, że coś się za nią porusza. O nie! Nie musi się nawet odwracać, żeby wiedzieć, że to kubel George'a, który wyrósł jak jakiś niezdarny gigant i teraz nad nią góruje, gotów wessać ją w swoją ponurą metaliczną głębię...

Nie mogę się jakoś oprzeć wrażeniu, że ten sen nie wróży mi dobrze na przyszłość. Chcę mieć matkę, która śni inne sny. Sny o chmurkach jak lody, tęczach jak słodczyce z kryształowego cukru, o słońcach, które pędzą po niebie jak złote rydwany... a jednak, jakkolwiek by było, to początek nowej ery. Jest trzeciego maja i później, tego samego dnia,

król dokona ceremonii otwarcia Festiwalu Brytanii, a już teraz, za oknem, poranny chór obwieszcza moje przybycie.

Do ptasich fanfar w ogrodzie dołączy niebawem skrzek papugi z dołu, ze Sklepu, a potem - DRRRRRYNN!!! - to dzwoni budzik przy łóżku i Bunty budzi się z cichym okrzykiem, wciskając ze złością guzik zegarka. Przez chwilę leży bez ruchu, wsłuchując się w dom. Kopuła odkryć będzie wkrótce rozbrzmiewać echem triumfalnych okrzyków tłumu przepełnionego radością i niecierpliwie wyglądającego przyszłości, ale w naszym domu panuje cisza, przerywana jedynie kłaskaniem i świergotem ptasiego chóru. Nawet nasze duchy jeszcze śpią, skulone po kątach i wyciągnięte wzdłuż karniszy.

Cisza zostaje przerwana - to George parsknął nagle przez sen. Parsknięcie rozbudza prymitywną część jego mózgu - wyciąga rękę, przygwożdżając Bunty do łóżka, i zaczyna badać tę część jej ciała, na którą przypadkowo trafił (niezbyt zachęcający fragment przepony, ten jednak, który mieści w sobie moją własną, osobistą kopułę odkryć). Bunty udaje się wykręcić spod jego ramienia - już raz musiała znosić seks w ciągu ostatnich dwunastu godzin (ja!) - a więcej niż raz dziennie byłoby sprzeczne z naturą, Rusza do łazienki, gdzie ostre górne światło odbija się rykoszetem od czarno - białych kafelków i chromowanej armatury, i widzi w lustrze swą poranną skórę z upiornymi zatokami i cieniami. W jednej chwili Bunty wygląda jak czaszka, a zaraz potem jak jej własna matka. I nie może się zdecydować, co jest gorsze. Dość energicznie czyści zęby, żeby zabić smak przesiąkniętych tytoniem wąsów George'a, a potem - dla zachowania pozorów (pojęcie ważne dla Bunty, choć nie jest całkiem pewna, dla kogo właściwie zachowuje te pozory) - maluje sobie kształny, rubinowoczerwony uśmiech i uśmiecha się do lustra, rozchylając wargi, żeby sprawdzić, czy

na zębach nie pozostały resztki szminki. Jej lustrzany sobowtór odpowiada upiornym uśmiechem, ale Bunty, w swoich trzydziestopięciomilimetrowych marzeniach zamienia się w postać podobną do Vivien Leigh, która kręci piruety przed lustrem na toaletce.

Teraz jest już gotowa, żeby zmierzyć się z pierwszym dniem, w którym jest swoją matką. Schodzi na dół po skrzypiących schodkach (w swoich snach na jawie po wielkich, krętych schodach rezydencji - odkrywam, że Bunty spędza dużo czasu w alternatywnej krainie marzeń). Zachowuje się bardzo cicho, bo nie chce jeszcze nikogo budzić - a zwłaszcza Gillian. Gillian jest bardzo absorbująca. To moja siostra. Ma prawie trzy lata i będzie mocno zdziwiona, kiedy się o mnie dowie.

Bunty robi sobie herbatę w kuchni na tyłach Sklepu, rozkoszując się tą krótką chwilą porannej samotności. Za moment zanieś George'owi do łóżka filiżankę herbaty - nie z pobudek altruistycznych, ale żeby utrzymać go z dala od siebie choć o tyle dłużej. Moja biedna matka jest bardzo rozczarowana swoim małżeństwem, poprzez które bynajmniej nie udało jej się odmienić życia, a tylko je sobie pogorszyła. Kiedy słucham jej fali, słyszę nie kończący się monolog na temat domowej harówki: „Dlaczego nikt mi nie powiedział, jak to wygląda? To gotowanie! Sprzątanie! Cała ta harówka!” Chciałabym, żeby już przestała i żeby znowu zaczęła marzyć, ale ona dalej ciągnie swoje: „A jeżeli chodzi o dzieci, no cóż... zarwane noce, walka o autorytet... bóle porodowe!”, zwraca się wprost do prawego palnika kuchenki, kręcąc głową zupełnie jak papuga w Sklepie na dole. „Przynajmniej z tym już koniec...” (A to dopiero niespodzianka!)

Czajnik gwizdże i Bunty nalewa wrzątek do małego brązowego imbryka, a potem, czekając, aż herbata naciągnie,

opiera się o piec i ze ściągniętą twarzą usiłuje sobie przypomnieć, dlaczego w ogóle wyszła za George'a.

George i Bunty poznali się w 1944 roku. George nie był tym wybranym. Był nim Buck, amerykański sierżant (moja babka także dołożyła wszelkich starań, żeby wyjść za mąż w czasie wojny), który jednak stracił stopę, kiedy majstrował przy minie („Ci Jankesi gotowi zrobić wszystko dla hecy”, stwierdził z niesmakiem Clifford, brat Bunty), więc został odesłany do domu, do Kansas. Bunty przez dłuższy czas czekała, że do niej napisze i poprosi ją, żeby dzieliła z nim życie w Kansas, ale on się już nigdy więcej nie odezwał. I w ten oto sposób George dostał tę kobietę. Bunty doszła w końcu do wniosku, że może lepiej postawić na George'a z dwiema stopami niż na Bucka z jedną, ale teraz nie jest już tego taka pewna. (Buck i Bunty! Byliby tak wspaniale brzmiącą parą - niemal mogę ich sobie wyobrazić).

Pomyślcie tylko, gdyby Buck zabrał Bunty do Kansas, jakże inaczej potoczyłoby się nasze życie! A zwłaszcza moje. W roku 1945 ojciec George'a zginął pod kołami tramwaju podczas jednodniowej wycieczki do Leeds, a George przejął rodzinny interes, czyli zwierzęta. Ożenił się z Bunty, licząc na to, że będzie miał z niej dużą pomoc w Sklepie (bo już kiedyś w jakimś pracowała), ale nie zdawał sobie sprawy z tego, że Bunty nie miała zamiaru pracować po ślubie. Konflikt o to będzie się ciągnął bez końca.

Herbata już się zaparzyła. Bunty miesza łyżeczką we wnętrzu brązowego imbryka i nalewa sobie filiżankę. Moją pierwszą w życiu filiżankę herbaty. Siada przy kuchennym stole i znowu zaczyna marzyć, przenosząc się w myślach poza rozczarowanie z powodu Kansas oraz szynkowo - herbaciany ślub z George'em, w miejsce, gdzie letni powiew porusza cieniutkim welonem, za którym, ubrana w przejrzystą białą organdyne, kryje się Bunty, o osiemnastocalowej talii i

zupełnie innym nosie. Mężczyzna u jej boku jest niewiarygodnie przystojny i uderzająco podobny do Gary'ego Coopera, gdy tymczasem Bunty zdradza chwilowe podobieństwo do Celi Johnson. Omal nie zostają wchłonięci przez olbrzymi obłok pomarańczowego kwiecia, gdy biorą się w objęcia i namiętnie całują - a potem, nagle, niepożądana nuta rzeczywistości przerywa nasze rozmarzenie. Ktoś ciągnie Bunty za szlafrok i kwili w niezbyt przyjemny sposób.

To ona! Moja siostra! Wspina się na Bunty, same ramiona i miękkie nogi, i słodki zapach snu. Pełźnie pod górę, po ciele Bunty i przyciska zaspany policzek do jej chłodnej szyi. Bunty rozwiera piąstki, które wczepiły się jej we włosy i odstawia Gillian na podłogę.

„Zejdź”, mówi ponuro. „Mama myśli”. (A tak naprawdę mama zastanawia się nad tym, jak by to było, gdyby cała jej rodzina zniknęła, a ona mogła zacząć wszystko od nowa). Biedna Gillian!

Gillian nie daje się jednak ignorować na dłuższą metę - to nie ten typ dziecka. Ledwo zdołałyśmy wypić nasz pierwszy łyk herbaty, a już musimy spełniać jej wymagania. Na śniadanie Bunty gotuje płatki owsiane, robi grzanki i gotuje jajka. George nie znosi owsianki - lubi bekon, kiełbaski i smażony chleb, ale żołądek Bunty jest tego ranka trochę przewrażliwiony (jestem wtajemniczona we wszystkie rodzaje informacji pochodzących z jej wnętrza). „Jeżeli on to chce, może sobie sam zrobić”, mruczy Bunty, wydzielając skąpą miseczkę (dość grudkowatej) owsianki dla Gillian. Potem napelnia drugą miskę dla siebie - uważa, że zdoła zjeść trochę płatków - a potem trzecią. Dla kogo to może być? Dla królowej Śnieżki? Bo przecież nie dla mnie? Nie, rzeczywiście nie - bo oto niespodzianka - mam jeszcze jedną siostrę! To dobra wiadomość, chociaż ona wygląda, jakby miała skłonność do lekkiej melancholii. Umyła się już i ubrała

w szkolny mundurk i nawet jej włosy - przycięte w równą, dość nietwarzową grzywkę - są już wyszczotkowane. Właśnie skończyła pięć lat i ma na imię Patricia. Kiedy patrzy na owsiankę w swojej miseczce, jej nieładna twarzączka tchnie jakby smutkiem. To dlatego, że Patricia nie znosi owsianki. Za to Gillian łapczywie pochłania swoją porcję, jak kaczka w książeczce Żarłoczna kaczka. „Nie lubię owsianki”, ośmiela się powiedzieć Patricia. Po raz pierwszy spróbowała zabrać głos bezpośrednio w sprawie owsianki - zazwyczaj miesza ją łyżką tak długo, aż robi się za późno, żeby zdążyła ją zjeść.

- Słucham? - mówi Bunty, a jej słowa padają jak sople na pokrytą linoleum kuchenną podłogę (nasza matka raczej nie należy do rannych ptaszków).

- Nie lubię owsianki - powtarza Patricia, teraz już bardziej niepewnie.

Szybka jak wąż, Bunty odsykuje:

- A ja nie lubię dzieci. Ale masz pecha, co? - Oczywiście żartuje, prawda?

Dlaczego ciągle mam takie dziwne uczucie, jakbym miała cień przyczepiony do pleców - zupełnie jakby ktoś jeszcze był tu ze, mną? Czyżby nękał mnie mój własny embrionalny duch?

*

Pilnuj Sklepu, Bunt! - (Bunt? To brzmi jeszcze gorzej). I już go nie ma. Tak po prostu! Bunty zżyma się w duchu: „Mógłby chociaż poprosić. «Bunty, czy miałabyś coś przeciwko temu, żeby popilnować Sklepu?» A ja oczywiście miałabym coś przeciwko temu, i to jeszcze jak. Ale i tak musiałabym to zrobić, prawda?”

Bunty nie podoba się przypadkowość kontaktów nawiązywanych zza lady. Ma uczucie, że tak naprawdę nie sprzedaje psiej karmy, kotków i od czasu do czasu chomika, tylko samą siebie. Myśli: kiedy pracowałam dla pana Simona

(„Modelia - Moda damska”), przynajmniej sprzedawaliśmy jakieś sensowne rzeczy - suknie, gorsety i kapelusze. A co jest sensownego w chomiku? Co więcej, to nienormalne, że przez cały czas trzeba być dla wszystkich uprzejmym. (Za to George jest jakby do tego stworzony - trajkocze, robi tę samą uwagę o pogodzie dwadzieścia razy w ciągu jednego ranka, kłóci się i płaszczy, i uśmiecha, a potem, jak tylko zejdzie ze sceny, zdiera maskę. Dzieci sklepikarzy - ja i Czechow, na przykład - są wewnętrznie pokiereszowane, bo były świadkami, jak ich rodzice poniżali się w tak rozpaczliwy sposób).

Bunty dochodzi do wniosku, że będzie musiała porozmawiać z George'em i uzmysłowić mu, że jest żoną i matką, a nie ekspedientką. I jeszcze jedno, dokąd on tak chodzi? Ciagle się gdzieś „wymyka” w tajemniczych sprawach. Jeżeli Bunty postawi na swoim, coś musi się zmienić. Siedzi teraz za ladą, pobrzękując drutami numer 9, jakby była trykociarką asystującą przy gilotynowaniu George'a, a przecież powinna robić na drutach swoją przyszłość - rozmaite drobiazgi, koronkowe szale i matinki z ponaszywanymi różowymi kokardkami. Zaczarowane czerwone buciki, żebym mogła ruszyć w drogę. Sklepowy kot - tłusta cętkowana kocica, która spędza całe dnie rozplaszczona wrogo na ladzie - skacze jej na kolana, a Bunty szybko strąca ją na podłogę. Czasami Bunty ma wrażenie, że cały świat próbuje się na nią wspiąć.

- Sklep! - To wraca George. Chomiki podrywają się i zaczynają nerwowo miotać w klatkach.

Sklep! Dlaczego „Sklep!”? George i Bunty zawsze to mówią, kiedy wchodzi do Sklepu - chociaż to klient powinien tak mówić, a nie sklepikarz. Czy mówią o Sklepie w bierniku czy w mianowniku? Upewniają się co do jego istnienia? Udają klienta? Tylko po co udawać coś, czego się nienawidzi?

Obawiam się, że „Sklep!”, podobnie jak rzecz, którą oznacza, pozostanie wieczną egzystencjalną tajemnicą.

Ale oto wreszcie wyswobodziłyśmy się z niewoli lady (Bunty sprzedała właśnie sklepowego kota, ale nie wspomniała o tym George'owi; biedny kot), więc możemy iść i odkrywać świat poza Sklepem. Najpierw jednak musimy przejść przez rytuał ubierania Gillian, tak żeby była w stanie przeżyć w odmiennej atmosferze na zewnątrz Sklepu. Bunty nie dowierza majowej pogodzie, więc zawiązuje Gillian kaftanik, wokół jej nadal świeżej jak u cherubinka skóry. Na to nakłada halkę, czerwony wełniany sweter zrobiony przez nie próżnujące nigdy palce Bunty, a po nim kraciastą spódniczkę i białe, bawełniane skarpetki, które przecinają na pół tłusciutkie nóżki Gillian. Na koniec Gillian wkłada jasnoniebieski puchowy płaszczyk z białym aksamitnym kołnierzem oraz białą wełnianą czapeczkę wiążaną na kokardki, które wrzynają się jej w podwójny podbródek. Ja za to pływam swobodnie, naga i niczym nie upiększona. Nie ma dla mnie jeszcze żadnych rękawiczek ani czepeczków, a tylko ciepłe, gościnne wnętrze nieświadomego ciała Bunty, które wciąż nie zdaje sobie sprawy z tego, że nosi w sobie tak drogocenny towar.

Nie - lubię - owsianki Patricia została już pospiesznie odprowadzona do szkoły przez George'a kilka godzin temu i stoi w tej chwili na boisku, popijając mleko z buteleczki, powtarzając w pamięci mnożenie przez cztery (jest bardzo pilna) i zastanawiając się, dlaczego nikt jej nigdy nie zaprasza do zabaw ze skakanką. Ma tylko pięć lat - a już została wyrzucona poza nawias! Troje członków rodziny idzie teraz po Blake Street w stronę Museum Gardens, a raczej Bunty idzie, ja pływę, a Gillian jedzie na nowiutkim trójkołowym rowerku, bo się tak uparła. Bunty uważa, że z parkami wiąże się jakieś uleganie słabościom i marnotrawstwo - to dziury w

egzystencji wypełnione jedynie powietrzem, światłem i ptactwem. A przecież są to przestrzenie, które powinny być wypełnione czymś pożytecznym. Na przykład robieniem porządków.

Bo porządek musi być. A z drugiej strony, dzieci powinny bawić się w parkach - w książce Wszystko w jednym Bunty przeczytała cały rozdział o opiece nad dzieckiem („Wychowywanie dziecka”), w którym tak właśnie piszą - dlatego, acz niechętnie, godzi się poświęcić trochę czasu na rzecz świeżego powietrza. Bunty płaci drogocenną sześciopensówkę przy wejściu do Museum Gardens i w ten sposób zapewnia nam ekskluzywność świeżego powietrza.

Mój pierwszy dzień! Drzewa w Museum Gardens okryły się młodymi listkami, a w górze, nad głową Bunty, niebo jest z litego błękitu; gdyby wyciągnęła rękę (czego nie zrobi), mogłaby go dotknąć. Puszyste białe chmurki zbijają się w stada jak baranki. Jesteśmy w niebie Quattrocenta. Rozćwierkane ptaszki pikują w dół i w podnieceniu płasają nad naszymi głowami, ich maleńkie lotki pracują pełną parą - miniaturowe aniołki ze Zwiastowania, ptasie archanioły przybywają, żeby krzykiem obwieszczać moje nadejście! Alleluja!

Ale Bunty nawet tego nie zauważa. Pilnuje Gillian, która objeżdża wszystkie możliwe zakręty ścieżki, podążając za jakąś własną magiczną tantrą. Zaczynam się obawiać, że Gillian może ugrzęznąć między klombami. Za ogrodzeniem parku połyskuje szeroka, spokojna rzeka, a przed nami rozpościerają się blade, rzeźbione ruiny St. Mary's Abbey. Paw z krzykiem zrywa się ze swojej grzędy na murach i ląduje na trawie u naszych stóp. Nowy wspaniały świat, na którym żyją takie stworzenia!

Dwaj mężczyźni, których nazwiemy Bert i Alf, zajęci są koszeniem trawy w parku. Na widok Gillian przerywają pracę

i wsparłszy się na chwilę na olbrzymiej kosiarce, śledzą z niekłamaną przyjemnością jej postępy. Bert i Alf walczyli w czasie wojny w tym samym pułku, tańczyli na tych samych zabawach przy muzyce Ala Bowlly'ego, razem uganiali się za kobietami (bardzo podobnymi do Bunty), a teraz razem koszą trawę. W tym, jak potoczyło się ich życie, widzą pewną niesprawiedliwość, ale widok Gillian w jakiś dziwny sposób godzi ich z tym stanem rzeczy. (Ładna i beztroska, dobra i wesoła Gillian, rzeczywiście urodziła się w niedzielę, jak w znanym wierszyku, i w roku 1951 wciąż jeszcze taka była. Niestety, wkrótce miała się zmienić). Czysta jak łąza albo nierozpakowana kostka mydła, reprezentuje wszystko, o co bili się w czasie wojny - nasza Gillian, obietnica przyszłości. (Niedługiej, jak się miało okazać, bo zostanie przejechana przez jasnoniebieskiego hillmana husky w roku 1959, ale skąd ktokolwiek z nas może teraz o tym wiedzieć? Jako rodzina mamy genetyczne skłonności do ulegania wypadkom - z których dwa najczęstsze to przejechanie i rozerwanie na kawałki).

Bunty (naszą matkę, ten kwiat angielskiej kobiecości) irytują spojrzenia Berta i Alfa. (Czy ona w ogóle posiada jakieś inne uczucia?) „Czemu oni po prostu nie koszą tej cholерnej trawy”, myśli, maskując swoje rozważania sztucznym, radosnym uśmiechem.

Pora iść! Bunty ma już dość tego próżnowania, więc musimy ruszać na zakupy do cudzych sklepów. Bunty szykuje się na scenę z Gillian, bo z pewnością taka scena odbędzie się. Udaje jej się wyplątać ją spomiędzy klombów i skierować na prostą ścieżkę życia, ale Gillian, która nie wie, że marnuje cenny czas, pedałuje powoli, przystając, żeby podziwiać kwiatki, podnosić kamyczki albo zadawać pytania. Bunty stara się jak najdłużej zachować łagodność i spokój Madonny, ale wreszcie jej cierpliwość się wyczerpuje. Szarpie za kierownicę

rowerka, żeby go pospieszyć, czego katastrofalnym skutkiem jest upadek Gillian, która ląduje na ziemi jak schludna, niebiesko - biała kupka, wciągając powietrze i jednocześnie krzycząc. Jestem przerażona - czy ja też będę musiała się nauczyć, jak się to robi?

Jednym szarpnięciem Bunty stawia Gillian na nogi, udając, że nie widzi, że jej delikatne dłonie i kolana są podrapane. (Stosunek Bunty do bólu albo uczuć w ogóle nakazuje jej traktować je tak, jakby wynikały z zakłóceń osobowości). Zdając sobie doskonałe sprawę z tego, że jesteśmy obserwowane przez Alfa i Berta, przyobleka twarz w uśmiech z rodzaju „nie - bądź - marudą” i szepce Gillian do ucha, że dostanie cukierka, jeżeli przestanie płakać. Gillian natychmiast wpycha sobie piąstkę do ust. Czy będzie dobrą siostrą? I czy to jest dobra matka?

Bunty opuszcza park z dumnie uniesioną głową, ciągnąc jedną ręką Gillian, a drugą rowerek. Bert i Alf w milczeniu biorą się do koszenia trawnika. Łagodny powiew wprawia w ruch młode listki na drzewach i odkrywa na ławce porzuconą poranną gazetę. Fotografia Skylon Tower z pierwszej strony wabi mnie swoim trzepotem - jak miasto przyszłości, jakaś fantastycznonaukowa kraina Oz. Ale mnie to nie interesuje - wiercę się niespokojnie, obmywana potokiem zjadliwych chemikaliów, wypuszczonych właśnie przez Bunty na skutek awantury z rowerkiem.

- No i co tam, kochasiu, czym mogę ci służyć? - ryczy rzeźnik na cały sklep. - Jakiś ładny kawałek mięsa, co? - Mruga lubieżnie do mojej matki, która udaje, że jest głucha, ale reszta ludzi w sklepie zaczyna chichotać. Klienci Waltera lubią go, bo zachowuje się jak rzeźnik z komedii - rubaszna parodia samego siebie, w poplamionym biało - niebieskim fartuchu i słomkowym kapeluszu. Jest prostym, rodowitym londyńczykiem i już samo to wydaje się czymś

niebezpiecznym i obcym dla tych z nas, którzy pochodzą z duchowej stolicy Yorkshire. U Bunty, w jej prywatnym leksykonie zwierząt, (wszyscy mężczyźni to zwierzęta) Walter jest świnia, z tą jego gładką, błyszczącą skórą, ciasno naciągniętą na kluchowate cielsko. Bunty, na czele kolejki, prosi o kawałek steku i nerkę tonem możliwie najbardziej obojętnym, ale mimo to rzeźnik parska rubasznym śmiechem, zupełnie jakby powiedziała coś wysoce ryzykownego.

- Cuś, żeby podkreślić twojego starego, no nie? - ryczy. Bunty nachyla się i zaczyna manipulować przy sznurowadle Gillian, żeby nikt nie zauważył, że ze wstydu płoną jej policzki.

- Wszystko dla ciebie, laluniu. - Walter łypie ku niej okiem, a potem nagle, onieśmielając ją do reszty, wyciąga skądś nóż i zaczyna go ostrzyć, nie spuszczając ani na moment wzroku z Bunty. Bunty kuli się obok Gillian tak długo, jak tylko jest to możliwe, udając, że z nią rozmawia, uśmiechając się i kiwając głową, jakby to, co Gillian ma jej do powiedzenia, było niezwykle interesujące. (Gdy tymczasem, rzecz jasna, nigdy nie zwracała uwagi na to, co którakolwiek z nas powiedziała - chyba że odezwałyśmy się niegrzecznie).

Rzeźnik zaczyna głośno pogwizdywać arię Torreadora z Carmen, robiąc z ważenia w ręku ciężkiej i śliskiej nerki całe przedstawienie. „Powinieneś być aktorem, Walter”, odzywa się głos z tyłu sklepu, a reszta klientów wydaje zgodny pomruk. Bunty (znowu w pozycji pionowej) przychodzi do głowy niepokojąca myśl - nerka, przerzucana właśnie przez Waltera z ręki do ręki, ma w sobie jakieś dziwne podobieństwo do męskich jąder. (Nie, żeby była praktycznie obeznana ze słowem „jądra”, oczywiście. Bunty należy do pokolenia kobiet, które nie było zbyt au fait z poprawną terminologią anatomiczną).

Walter ciska nerkę na ladę i kraje ją, operując nożem z zadziwiającą zręcznością. Pełna zachwyty widownia wydaje zbiorowe westchnienie.

Gdyby to od niej zależało, Bunty chodziłaby do innego rzeźnika, ale sklep Waltera znajduje się w pobliżu naszego i dlatego Walter jest nie tylko kolegą po fachu, ale również przyjacielem George'a, choć dla Bunty co najwyżej znajomym. Bunty podoba się słowo „znajomy”, brzmi elegancko i nie pociąga za sobą wszystkich tych czasochłonnych konsekwencji przyjaźni. Znajomy czy nie, trudno utrzymać Waltera na dystans. Bunty przekonała się o tym na własnej skórze przy kilku okazjach, kiedy przyparł ją do muru za maszynką do robienia kiełbas na zapleczu swojego sklepu. George i Walter świadczą sobie nawzajem rozmaite „przysługi” - Walter robi właśnie coś takiego na oczach całego sklepu, odgrywając kuglarską sztuczkę ze stekiem, która da Bunty znacznie więcej mięsa, niż jej się należy na kartki. Walter ma także opinię podrywacza, więc Bunty wcale się to nie podoba, że George się z nim zadaje. George mówi, że takie rzeczy są niesmaczne, ale Bunty podejrzewa, że on wcale tak nie uważa.

Bunty woli innego sklepikarza, kolegę George'a, Bernarda Bellinga, który ma sklepik z artykułami hydraulicznymi i, w przeciwieństwie do Waltera, nie prowadzi publicznie naszpikowanych aluzjami rozmów.

Bunty bierze miękki, papierowy pakunek z mięsem i unikając wzroku Waltera, uśmiecha się sztywno do jamy brzusznej martwej owcy za jego lewym ramieniem. Wychodzi bez słowa, ale w głębi ducha wścieka się jak Scarlett, która potrząsając z oburzeniem głową i zamiatając spódnicami, wybiega od rzeźnika, posyłając go w diabły.

Po Walterze idziemy do Richardsona, piekarza, i kupujemy wielki bochenek z białej mąki, ale ciastek już nie,

bo Bunty uważa, że kupne ciastka to symbol kiepskiej gospodyni. Potem idziemy do Hannonna po jabłka, młodą kapustę i ziemniaki, a następnie do Bordersa po kawę, ser i masło, które mężczyzna za ladą wyjmuje z cebrzyka i formuje w kostki. Wydaje mi się, że w tym momencie wszystkie jesteśmy już trochę zmęczone i Bunty swoim gderaniem zmusza Gillian, by pedałowala w górę Gillygate i wzdłuż Clarence Street, ku naszej końcowej przystani. Gillian nabrała dziwnego koloru homara i wygląda, jakby żałowała, że w ogóle prosiła o zabranie rowerka. Musi pedałowac jak szalona, żeby dotrzymać kroku Bunty, która coraz bardziej się denerwuje (mogę coś o tym powiedzieć).

Wreszcie docieramy na Lowther Street, do jednego z ciasno stłoczonych szeregowych domków, w którym mieszka Nell. Nell to moja babka, matka Bunty, a córka Alice. Całe jej życie da się zdefiniować poprzez pokrewieństwo z innymi ludźmi:

Matka Clifforda, Babs, Bunty, Betty, Teda.

Córka Alice.

Pasierbica Rachel.

Siostra Ady (zmarła), Lawrence'a (uznany za zmarłego), Toma, Alberta (zmarł), Lillian (równie dobrze mogłaby już nie żyć). Żona Franka (zmarł).

Babka Adriana, Daisy, Rose, Patricii, Gillian, Ewana, Hope, Tima, a teraz także... moja! Żołądek Bunty burczy mi do ucha jak grzmot - zbliża się pora lunchu, ale Bunty nie może nawet znieść myśli o jedzeniu. Moja nowa babka daje Gillian szklanekę jaskrawopomarańczowej Kiaora, a nam herbatniki z mąki ararutowej i kawę zbożową, którą zagotowuje w rondelku z pasteryzowanym mlekiem. Bunty czuje, że zbiera jej się na wymioty. Ma wrażenie, jakby ze sklepu rzeźnika przyniosła na swojej skórze zapach trocin i gnijącego mięsa,

- Wszystko w porządku, mamó? - pyta Bunty, nie czekając na odpowiedź. Nell jest mała i jakby dwuwymiarowa. Krewnym i znajomym wydaje się niezbyt imponująca.

Bunty spostrzega muchę, która pełźnie w stronę herbatników. Niepostrzeżenie podnosi paczkę, którą moja babka zawsze ma pod ręką, i zręcznie wyrzuca muchę poza nawias egzystencji. Zaledwie przed sekundą mucha żyła i miała się dobrze, a teraz już nie żyje. Wczoraj mnie nie było, a dziś jestem. Czy życie nie jest zdumiewające?

Obecność Bunty działa Nell na nerwy. Kręci się niecierpliwie w czeluściach fotela, zastanawiając się, kiedy wreszcie sobie pójdziemy, żeby mogła w spokoju posłuchać radia. Bunty odczuwa właśnie mdłości, które zawdzięcza mojemu niespodziewanemu przybyciu, a Gillian wypła już swoją Kia - ora i bierze teraz na wszystkich odwet. Bawi się babcinym pudełkiem na guziki, wybiera guzik z różowego szkła, w kształcie kwiatka (zobacz Przypis I), a potem ostrożnie i z rozmysłem połyka go, jako rzecz najbardziej przypominającą cukierki, które nasza zapominalska matka obiecała jej w Museum Gardens.

- Cholerna papuga! - George podnosi zadraśnięty palec, żeby go obejrzeć. Bunty obojętnie cmoka. (Skaleczenia, jak już mówiłam, nie są jej mocną stroną). Tkwi po łokcie w mące i łoju, a żołądek znowu zaczyna jej dokuczać. Z obrzydzeniem patrzy, jak George bierze jedno z ciasteczek, napieczeniu których zeszło nam pół popołudnia, i połyka je za jednym zamachem, nawet na nie nie spojrzawszy.

To popołudnie lekko mnie rozczarowało. Poszłyśmy znowu na zakupy, ale tylko po trochę ciemnobrązowej wełny ze sklepiku prowadzonego przez nieśmiałą staruszkę, dzięki której zaczęłam doceniać kupiecko - spektakularną technikę Waltera. Miałam nadzieję, że odwiedzimy też kwiaciarnię,

żeby uczcić kwiatami moje przybycie, jedną czy dwiema girlandami albo bukietem róż, ale nie. Ciągłe zapominam o tym, że nikt o mnie nie wie.

Poszliśmy odebrać Patricię ze szkoły, ale to też nie było zbyt interesujące, a jej dzień, jak widać, był raczej nudny:

- Co dziś robiłaś?
- Nic. - (Wypowiedziane ze wzruszeniem ramion).
- Co było na obiad?
- Nie pamiętam. - (Znowu wzrusza ramionami).
- Bawiłaś się dziś z jakąś koleżanką?
- Nie.
- Nie wzruszaj tak ciągle ramionami, Patricio!

Bunty sieka szklistą od krwi nerkę, a myśl o jądrach ani na chwilę jej nie opuszcza. Nienawidzi gotowania - za bardzo przypomina jej to obowiązek bycia miłą dla ludzi. Oho, znowu zaczyna: „Całe życie nic, tylko gotuję i gotuję, jestem niewolnicą domową - przykuta do kuchni... te wszystkie posiłki, dzień po dniu, a co się potem z nimi dzieje? Zostają zjedzone, i tyle, bez jednego słowa podziękowania!” Czasami, kiedy Bunty stoi przy kuchence, serce zaczyna jej łomotać w piersi i ma wrażenie, że zaraz rozsadzi jej czubek głowy, a wtedy z jej mózgu wytryśnie cyklon i zmiecie wszystko dokoła. (Całe szczęście, że nie pojechała do Kansas). Bunty nie rozumie, czemu tak się czuje (Zapytajcie Alice - zobacz ponownie Przypis I), ale to się znowu zaczyna, a to dlatego, że George wraca do kuchni, bierze następne ciasteczko i oznajmia, że musi wyjść i „zobaczyć się z jednym facetem w sprawie psa” (mówiąc to, bębni palcami po nosie - a mnie zaczyna się coraz bardziej wydawać, że wpadliśmy wszyscy w pułapkę jakiegoś okropnego czarno - białego filmu). Bunty zwraca się ku niemu z morderczym wyrazem twarzy i podnosi nóż, jakby się zastanawiała, czy go dźgnąć. Czyżby właśnie podpalono wielkie miasto Atlanta?

- Mam jedną sprawę do załatwienia - mówi pospiesznie George. Bunty zmienia zdanie i zamiast w niego, dziabie w stek.

- Na Boga, co się z tobą dzieje, co ty sobie wyobrażasz - że wybieram się na noc do jakiejś innej kobiety, żeby sobie pohulać? - (Sprytne pytanie, rzecz jasna, bo to jest dokładnie to, co mój jednodniowy ojciec zamierza zrobić). Czy w kuchni rozpęta się teraz wojna? Czy Atlanta spłonie? Czekam z zapartym tchem.

Nie, przełożono to na inny dzień. Też coś, jak by to powiedział brat Bunty, Ted, gdyby tu był; ale go nie ma, jest w Marynarce Handlowej i w tym właśnie momencie huśta nim na Morzu Południowochińskim. Bunty traci zainteresowanie utarczką i przenosi swoją uwagę na stek i budyń z nerki.

No cóż, mój pierwszy dzień dobiegł już prawie końca, dzięki Bogu. Dla niektórych z nas był to bardzo męczący dzień - zwłaszcza dla mnie i dla Bunty. George'a nie ma jeszcze w domu, ale Bunty, Gillian i Patricia śpią głębokim snem. Bunty jest znów w krainie marzeń i śni o Walterze, który łapskami jak kotlety majstruje przy jej guziczkach i ugniata jej ciało paluchami, które wyglądają jak kiełbaski. Gillian pochrapuje przez sen, pośrodku syzyfowego koszmaru, w którym musi bez końca pedałowac pod górę na swoim trójkołowym rowerku. Patricia śpi jak kamień, ze ściągniętą, bladą twarzą, kurczowo przyciskając do piersi swoją pandę. Widma spektralne mogą teraz krążyć do woli, podejmując wątle wysiłki, żeby zrobić w domu bałagan, kwasząc mleko i rozsypując na półkach kurz.

Ja też jestem całkowicie przytomna i koziółkując, pływam w oceanie Bunty. Trzy razy uderzam o siebie maleńkimi, nagimi piętami i dochodzę do wniosku, że nie ma to jak w domu.

Następnego ranka George jest w wyjątkowo dobrym humorze (Jego hulaszczą noc - z Walterem - była udana) i budzi kuksańcem swoją śpiącą matkę.

- Masz ochotę na śniadanie w łóżku, Bunt? - Bunty wydaje cichy pomruk.

- Może kawałek kielbasy? Czarny pudding? - Bunty jęczy, co George bierze za „tak”, więc wycofuje się i schodzi powoli do kuchni, a tymczasem Bunty musi pędzić do łazienki. Przez sekundę wydaje jej się, że widzi Scarlett, która uśmiecha się z łazienkowego lustra w pełnym Technicolorze, ale wizja znika, gdy Bunty zaczyna wymiotować. Kiedy przyciska rozpalone, mrowiące czoło do zimnych kafelków, w jej głowie rodzi się potworna myśl - jest w ciąży! (Biedna Bunty - Wymiotuje co ranka przy każdej ciąży. Nic dziwnego, że zawsze nam powtarzała, że nami rzyga). Nagle siada na sedesie, wydając cichy, stłumiony okrzyk: - To niemożliwe (tak, tak, tak, Bunty będzie miała dziecko! Mnie!). - Ciska najbliższą rzeczą (czerwonym bucikiem) w lustro, które rozpryskuje się na milion ostrych kawałków.

Tymczasem ja zwisam jak szklany, różowy guzik na nitce. Na pomoc! Gdzie się podziały moje siostry? (Śpią). Mój ojciec? (Robi śniadanie). Gdzie moja matka?

W gruncie rzeczy nic się takiego nie stało - słońce stoi wysoko na niebie i znowu będzie piękny dzień. Tłumy będą się kłębić w halach wystawowych i pod kopułą odkryć, wyciągając szyje ku wieży Skylon oraz połyskującemu, szmaragdowemu miastu przyszłości. Przyszłość jest jak szafa pełna światła - trzeba tylko znaleźć klucz, który otwiera drzwi. Nad głową, śpiewając, fruują ptaki. Co za wspaniały świat!

Przypis I - Wiejska sielanka

Fotografia jest w srebrnej ramce, wyściełanej czerwonym aksamitem, z owalną szybką pośrodku, zza której moja prababka spogląda na świat z zagadkowym wyrazem twarzy.

Stoi sztywno wyprostowana, z dłonią ze ślubną obrączką na oparciu szeszlona. W tle widnieje typowa dla tamtych czasów kurtyna z atelier, na której mglisty pejzaż śródziemnomorskich wzgórz niknie za iluzjonistycznymi schodami z balustradą, zajmującymi cały przedni plan. Włosy mojej prababki są rozdzielone pośrodku i tworzą wokół jej głowy koronę z warkoczy. Stanik jej atłasowej sukni z niewielkim dekoltem jest tak strojny i wypchany, że wygląda jak poduszka. Prababka nosi na szyi medalionik, a jej usta są na wpół rozchylone w sposób, który sugeruje, że czeka na coś, co ma się wkrótce wydarzyć. Głowę odchyliła lekko do tyłu, ale patrzy prosto w obiektyw (a może na fotografa). Na fotografii jej oczy wydają się ciemne, a ich spojrzenie jest niezgłębione. Wygląda, jakby zaraz miała coś powiedzieć, chociaż absolutnie nie mogę sobie wyobrazić, co by to mogło być.

Nigdy przedtem nie widziałam tej fotografii. Bunty jakby ją wyczarowała któregoś dnia. Wuj Tom zmarł właśnie w domu starców, więc pojechała, żeby odebrać jego skromny dobytek, który w całości zmieścił się w tekturowym pudełku. Z tego właśnie pudełka wyjęła fotografię i kiedy spytałam kto to, powiedziała mi, że to jej babka, a moja prababka.

- Bardzo się zmieniła, prawda? - zapytałam, kreśląc na szkle zarys twarzy mojej prababki. - Jest brzydka i taka gruba na fotografii, którą ty masz - tej, którą została zrobiona na podwórzu za domem na Lowther Street i na której jest cała rodzina.

Była to fotografia należąca do Bunty, opisana na odwrocie wodnistoniebieskim atramentem „1914, Lowther Street”, i przedstawiająca moją prababkę ze zgromadzoną wokół niej

całą rodziną. Wielka i kwadratowa prababka siedzi na środku drewnianej ławki - po jednej stronie ma Nell (matkę Bunty), a po drugiej Lillian (siostrę Nell). Za nimi stoi Tom, a na ziemi, u stóp Rachel, przycupnął najmłodszy brat, Albert. Świeci słońce; na ścianie za ich plecami pną się kwiaty.

- Ach, nie - lekceważącym tonem mówi Bunty. - Ta kobieta na fotografii z Lowther Street to Rachel - ich macocha, a nie prawdziwa matka. Była jej kuzynką czy coś w tym rodzaju.

Kobieta w wyściełanej ramce - prawdziwa matka i panna młoda - nieodgadnionym wzrokiem spogląda poprzez czas.

- Jak się nazywała?

Bunty musi się przez chwilę zastanowić.

- Alice - oświadcza w końcu. - Alice Barker.

Zdaje się, że moja nowo odkryta prababka umarła przy porodzie Nell, a wkrótce po tym mój nieudaczny pradziadek ożenił się z Rachel (nieprawdziwą matką, fałszywą narzeczoną). Bunty ma jakieś niewyraźne, przekazywane z pokolenia na pokolenie wspomnienia, że Rachel przybyła, żeby zaopiekować się dziećmi i pełnić rolę źle opłacanej pomocy domowej.

- Sześcioro dzieci pozbawionych matki - wyjaśnia Bunty głosem umierającej sarny z filmu Bambi. - Przecież on się musiał z kimś ożenić.

- Czemu nigdy mi o tym nie powiedziałaś?

- Zapomniałam - mówi wyzywająco Bunty.

Zapomniana Alice patrzyła prosto przed siebie. Ostrożnie wyjęłam fotografię z ramki, odsłaniając przy okazji nieco więcej jej sztucznego świata w kolorze sepii - wielką sztuczną palmę w mosiężnej donicy oraz grubą kotarę, udrapowaną w rogu. Na odwrocie fotografii wydrukowano kaligraficznym pismem „J.P. Armand, wędrowny fotograf. A pod spodem data, wyblakłym ołówkiem - 20 czerwca 1888.

- Dwudziestego czerwca 1888 - powiedziałam do Bunty, która wyrwała mi fotografię i uważnie jej się przyjrzała.

- Nigdy byś tego nie zauważyła, prawda? Stoi za sofą w taki sposób, że tego nie widać.

- Co? Czego bym nie zauważyła? Czego nie widać?

- Moja matka urodziła się w roku 1888. Trzydziestego lipca. Na tej fotografii Alice jest w ósmym miesiącu ciąży. Z moją matką, Nell.

Czyżby to tłumaczyło jej nieprzeniknione spojrzenie? Czy przeczuwa zbliżającą się śmierć, węszącą wokół jej sepiowych spódnic, muskającą jej sepiowe włosy?

Bunty wciąż uważnie badała fotografię.

- Wygląda zupełnie jak ty - powiedziała oskarżycielskim tonem, jakbyśmy z zaginioną Alice były członkami jakiegoś spisku, mającego na celu sianie zamętu.

Chcę ocalić tę kobietę przed tym, co ją czeka (przed czasem). Chcę zanurkować w głąb zdjęcia i wyrwać ją stamtąd...

Wyobraźcie sobie taką scenę...

Sto lat temu. Drzwi wiejskiej chaty stoją otworem w upalny letni dzień. Na podwórku dwaj mali chłopcy kopią się i mocują w kurzu. Ładna, mniej więcej dziewięcioletnia dziewczynka, starsza niż chłopcy, siedzi na stołku przy drzwiach, nie zwracając najmniejszej uwagi na hałasujących braci. To Ada. Ma długie włosy, opadające masą złocistych loków, zaczesane do tyłu i przewiązane wyblakłą od słońca wstążką. Kilka kurcząt grzebie w ziemi bez celu u jej stóp. Nuci coś lalce, którą kołysze w ramionach, a na jej twarzy maluje się wyraz macierzyńskiego uwielbienia, rzadko spotykany poza sceną Bożego Narodzenia. Pies śpi w cieniu stodoły, po drugiej stronie podwórka. Czarny kot siedzi na drewnianym pługu, chłonąc piekący skwar. Co jakiś czas myje się leniwie, gdzie popadnie. Za płotem ciągną się pola - na

niektórych pasą się krowy, a na innych owce. Jeszcze inne są puste. Po południowej stronie chaty, w jałowej, kredowej glebie wykopano ogród; widać rzędy niewyrośniętej kapusty i marchwi, więdnące w suchej ziemi. Przy drzwiach chaty nagietki i chabry omdlewają pod wybielającym wzrokiem słońca.

Efekt jest taki, jakby ktoś wziął idylliczną scenę, ale trochę przedobrzył - słońce jest zbyt gorące, światło za jasne, pola za bardzo wypalone, zwierzęta zbyt wychudłe. Chata, mimo iż uroczo sielankowa z zewnątrz, roztacza wokół siebie jakąś podejrzaną, piernikowo - cukierkową aurę. Kto wie, co kryje się w środku?

Nagle, nie zmieniając ani na jotę wniebowziętego wyrazu twarzy, dziewczynka podnosi kamień i rzuca nim w braci, trafiając w głowę najmłodszego, Toma. Chłopcy odskakują od siebie, wyraźnie wstrząśnięci, a potem z krzykiem uciekają w pole, pogodzeni w swoim oburzeniu na zachowanie siostry. Ada, niewzruszona, znowu kieruje wzrok na swoją lalkę - dzidziusia. Słońce stoi w zenicie, rozpalone do białości z gniewu. Wewnątrz chaty, w kuchni, kobieta zagniata chleb, ciskając ciasto na drewniany stół, podnosząc je, znowu je ciskając i znowu podnosząc, i ciskając. Dziecko nieokreślonej (jak na razie) płci siedzi pod stołem, tłukąc drewnianym młotkiem w drewniane klocki. (Więc pewnie to chłopiec). Ma takie same anielskie loki jak najstarsza siostra.

Kobieta, zaczerwieniona od buchającego z pieca żaru, robi co jakiś czas przerwę, żeby wyprostować plecy i przeciągnąć ręką po czole. Pięściami rozciera krzyże. Bola ją zęby. Jej brzuch, nabrzmiały kolejnym dzieckiem, zawadza przy robieniu chleba.

Ta kobieta to Alice. Ta kobieta to moja prababka. Ta kobieta zaginęła w czasie. Ta kobieta ma piękne jasne włosy, przylizane i upięte w przepocony węzeł. Ta kobieta ma już

dosyć. Ta kobieta za chwilę wymknie się ze swojego życia. Jeden z tych dziwnych, uwarunkowanych genetycznie ponadczasowych podszeptów sprawia, że w momentach napięcia my wszystkie (Nell, Bunty, moje siostry i ja) przeciągamy dłonią po czole, dokładnie w taki sam sposób, jak to właśnie zrobiła Alice. Smuga mąki przyprósza jej nos.

Alice ma trzydzieści jeden lat i jest w ciąży z siódmym dzieckiem (jedno już straciła - Williama, bliźniaka Ady, który w wieku trzech miesięcy zmarł na jakąś nieznaną gorączkę). Alice pochodzi z Yorku. Jej matka, Sophia, poślubiła człowieka znacznie od niej starszego. Ojciec Sophii był zachwycony tak dobrą partią, zwłaszcza że starsza siostra, Hannah, wywołała skandal, uciekając z człowiekiem, który wyrokiem sądu wojennego został wyrzucony z marynarki. W Owym czasie losy jego córek nie mogły się bardziej różnić - jedna z nich żyła wśród bogactw i przywilejów, druga w biedzie i hańbie. Pieniądze męża Sophii pochodziły z kupna i sprzedaży terenów kolejowych. Spore zyski zostały osiągnięte szybko i, jak się okazało (zanim się powiesił), za pomocą nieuczciwych transakcji. Tak więc Alice przyszła na świat w uroczym domu na Micklegate, z pokojem dziecięcym skąpanym w słońcu i większą liczbą służby, niż było to potrzebne, kiedy zaś miała lat czternaście, interesy rodziców załamały się, a jej rodzinne nazwisko okryło się niesławą. Alice była jedynaczką, uwielbianą przez matkę, ale Sophia nigdy nie doszła do siebie po skandalu, jakim była śmierć jej męża. Nie mogąc zebrać myśli, zaczęła w końcu zażywać takie ilości laudanum, że sama niechcący się zabiła.

Biedna Alice, wychowywana po to, by grać na pianinie i ładnie wyglądać, w wieku lat osiemnastu została sierotą i - co gorsza - nauczycielką, nie mając nic prócz zegara matki oraz srebrnego medalionu, który dostała od dziadka, gdy się urodziła.

Miała dwadzieścia jeden lat, kiedy poznała swojego męża. Już prawie od roku mieszkała w wiosce Rosedale, gdzie przyjęła posadę nauczycielki w miejscowej szkole. Była to mała wiejska szkółka, z jednym nauczycielem oraz wielkim piecem, w którym palono drewnem. Uczniów ściągnięto z okolicznych farm, a ponieważ większość rodziców najmowała się do pracy na roli, frekwencja była słaba, gdyż dzieci często były potrzebne do pracy w polu. Alice nienawidziła być nauczycielką i tęskniła za miejskimi urokami Yorku, tak różnego od otaczających ją zielonych dolin. Zaczęła nawet popadać w stan ponurej melancholii, kiedy przeznaczenie dopadło ją klusem pewnego majowego, sobotniego popołudnia.

Moja praprababka wyszła pospacerować po wiejskich drogach. Dzień zaczął się pięknie - dzikie bzy i wrzosa na skraju dróg właśnie zakwitły i wokół unosił się zapach świeżości, co jeszcze tylko pogłębiło melancholię Alice. A potem, jakby idąc w parze z jej nastrojem, ni stąd, ni zowąd rozpętała się burza i moja prababka, wyposażona jedynie w mocne buty i bez parasola, boleśnie doświadczyła skutków braku zabezpieczenia przed deszczem. Zdążyła już przemoknąć niemal do suchej nitki, kiedy Frederick Barker nadjechał swoją dwukółką i zaproponował jej, że odwiezie ją do szkoły.

Frederick posiadał małą farmę w okolicy - płaski, żyzny pas ziemi u wylotu doliny Rosedale, z ładnym domem w kolorze miodu, stadem czerwonych krów rasy devońskiej oraz sadem, w którym jego ojciec, William, zasadził pod murem drzewka brzoskwiniowe, które jednak dawały twarde i kwaśne owoce. Moja nieroztropna prababka była oczarowana, choć nigdy nie dowiemy się na pewno czym - może skłonnością Fredericka do żartów, a może solidnie wyglądającą farmą albo brzoskwiniami.

Frederick był od niej o dwanaście lat starszy i przez cały rok zdobywał ją wytrwale za pomocą wszystkiego - od twarogu i dżemu brzoskwiniowego po kłody do szkolnego pieca. Wiosną następnego roku nadszedł wreszcie taki moment, kiedy nie mogła już dłużej unikać wyboru - albo nadal uczyć (czego nienawidziła), albo przyjmując propozycję małżeńską Fredericka. Wybrała to drugie i w ciągu roku urodziła bliźnięta - Adę i Williama.

W trakcie swoich konkurów Frederick usilnie starał się zaprezentować wyłącznie z lepszej strony, ale kiedy już zakuł Alice w małżeńskie więzy, mógł znowu z ulgą odsłonić mniej atrakcyjne aspekty swojego charakteru. Gdy niesiono Williama w maleńkiej trumience na cmentarz, Alice wiedziała już to, o czym wszyscy w Rosedale wiedzieli od lat (ale nie uznali za stosowne jej o tym powiedzieć) - że jej mąż był skwaszonym pijaczną o nienasyconych skłonnościach do wszelkiego rodzaju hazardu, obstawiał nie tylko psy, ale i psie walki, i walki kogucie, zakładał się o to, ile królików potrafi ustrzelić w godzinę, ile wron zerwie się z pola, gdzie w pokoju usiadzie mucha. Jednym słowem - o wszystko.

Na koniec, rzecz nieunikniona, stracił farmę, ziemię, która należała do jego rodziny od dwustu lat, po czym przeprowadził Alice oraz dzieci - Adę, Lawrence'a i najmłodsze dziecko, Toma, na drugą stronę doliny, do Swaledale, gdzie dostał pracę naganiacza. Od tamtej pory urodziło się jeszcze dwoje dzieci, a kolejne było w drodze. Nie było dnia, żeby Alice nie wyobrażała sobie, jak mogłoby wyglądać jej życie, gdyby nie poślubiła Fredericka Barkera.

Alice kroi ciasto, nadaje mu kształt, wkłada do formy, nakrywa formy wilgotną ściereczką i stawia je na piecu, żeby ciasto wyrosło. Przy tej pogodzie nie potrwa to długo. Pod białym fartuchem ma grubą, ciemnoszarą spódnicę i spraną różową bluzkę z różowymi, szklanymi guziczkami w kształcie

kwiatków. Stokrotek. Czuje, jak pod bluzką pot spływa jej po skórze. Alice ma sine cienie pod oczami, a w głowie brzęczący szum.

Zdejmuje fartuch, znowu rozciera krzyże i w rozmarzeniu rusza w stronę otwartych drzwi. Opiera się o futrynę, wyciąga rękę ku córeczce, Adzie, i delikatnie muska jej włosy. Ada potrząsa głową, jakby wylądowała na niej mucha - nie znosi, jak ją ktoś dotyka - i znów podejmuje bezdźwięczną kołysankę dla lalki - dzidziusia, a tymczasem prawdziwy dzidziuś, Nell, zaczyna mocno uderzać Alice od środka. Alice zatrzymuje mętny wzrok na nagietkach przy drzwiach domu. A potem - i to jest właśnie ta najbardziej interesująca część historii mojej prababki - zaczyna się z nią dziać coś dziwnego. Za chwilę znajdzie się w swojej własnej krainie czarów, bo nagle czuje, jak ciągnie ją ku nagietkom po prostej, szybkiej trajektorii. Dzieje się to automatycznie i całkowicie poza jej kontrolą, a ona nie ma nawet czasu, żeby pomyśleć, kiedy w tej zawrotnej podróży wsysa ją ku sercu kwiatka, który wygląda jak słońce. W miarę jak zbliża się z coraz większą prędkością, każdy jego szczegół staje się wyraźnie widoczny - warstwy wydłużonych, owalnych płatków, w środku kasztanowata poduszciczka z pręcików, szorstka, kosmata zieleń łodyg - wszystko to pędzi ku niej, a potem wchłania ją, tak że czuje nawet na skórze dotyk zdumiewająco aksamitnej struktury płatków i kwaśny aromat roślinnych soków.

Ale właśnie wtedy, gdy cały świat zaczyna zatrważająco syczeć i szumieć, kwietny koszmar dobiega końca. Alice czuje na twarzy chłodny powiew i kiedy - z wysiłkiem - otwiera oczy, widzi, że unosi się na niebie błękitnym jak niezabudki, jakieś trzydzieści stóp ponad chatą.

Najdziwniejsza ze wszystkiego jest cisza - Alice widzi, jak Lawrence i Tom krzyczą na siebie z przeciwnych końców pola, ale żaden hałas do niej nie dociera. Widzi, jak Ada

śpiewa swojej lalce, ale żadna melodia nie wydobywa się z jej ust. Co najdziwniejsze, widzi też samą siebie, mówiącą coś do Ady, ale choć jej usta wyraźnie formułują słowa, nie wydostaje się z nich żaden dźwięk. Ptaki - jaskółki i jerzyki, skowronek, dwie turkawki i krogulec - są równie bezgłębiste. Także krowy w dole są nieme, podobnie jak rozproszone na polach owce. W powietrzu wręcz roi się od wszelkiego rodzaju owadów, a jednak ich skrzydełka milczą.

Świat stracił na dźwięku, lecz zyskał na strukturze. Alice płynie poprzez połyskliwe, wibrujący pejzaż, gdzie barwy wyblakłe od słońca zostały teraz odświeżone, zyskując żywą, niemal nienaturalną głębię. Pola w dole są jak pluszowa kołdra ze złota i szmaragdów, a dzielące je żywopłoty rozkwitają dziką różą, krwawnikiem, pokrzywą i kapryfolium. Ich aromaty mieszają się i unoszą w górę, a odurzający zapach dociera do Alice i posyła ją, wirującym ruchem, w kierunku rzeki, która płynie jak srebro w ciemnozielonym obramowaniu drzew.

Alice świetnie się bawi. Szybkuje jak puch ostu na wietrze, przenoszona z miejsca na miejsce - w jednej chwili spowija ją dyni z własnej chaty, a zaraz potem krąży nad farmą, podziwiając kasztanowe upierzenie koguta. Gdziekolwiek spojrzy, świat otwiera się i rozkwita. Alice patrzy na to i serce jej rośnie. Gdy spogląda na namacalny świat, który zostawiła w dole, w jej głowie zaczyna się rodzić pewna myśl...

„A więc to tak”, myśli moja bujająca w powietrzu prababka, „żyłam nie tak, jak trzeba!”

Wypowiedziawszy te magiczne słowa, znów przyspiesza, oddalając się od ziemi, i mknie ku górze, poprzez rozrzedzone, lśniące powietrze, które ciemniejąc, przybiera barwę indygo.

A potem, nagle, świat odzyskuje dźwięk. W świadomość Alice zaczyna się wdzierać jakiś hałas - jednostajne

skrzypienie starego wozu i odgłos końskich kopyt, sunących wolno po suchym gościńcu. Po paru sekundach ukazuje się źródło tego hałasu - koń oraz wóz, wyładowany przedmiotami o tajemniczym kształcie i z wolna przecinający krańce nierealnego pejzażu Alice. Wóz stanowi obcy, niepożądany kształt na rysującej się sylwetce wzgórza i Alice z irytacją śledzi ruchy tego skrzypiącego, dwuwymiarowego karawanu, który kontynuuje swój śmiały kurs po wzgórzu - kurs, który w sposób nieunikniony doprowadzi go do chaty.

Wóz oczywiście skręca od szczytu wzgórza i podąża własnym szlakiem. Krajobraz zaczyna powoli tracić barwy. Dzieci Alice także zobaczyły już konia i wóz i stoją spokojnie, patrząc, jak przejeżdża obok farmy i nieubłagane sunie w stronę chaty. Mijając chłopców, mężczyzna na koźle uchyla kapelusza, ale oni patrzą na niego spode łba. Wóz wjeżdża w otwartą bramę z pięciu bali i skręca na podwórze. Ada wstaje, na pół przerażona, na pół podniecona, zapominając o lalce, która upada na ziemię.

Alice potrafi rozpoznać zagrożenie. Czuje, że ciągnie ją w dół, i próbuje się opierać, mrużąc oczy i koncentrując się na tym, by cofnąć się w ciszę, gdy nagle... dziecko pod stołem (o którym zupełnie zapomnieliśmy) wybiera ten właśnie moment, żeby uderzyć się w palec drewnianym młotkiem (tak, to rzeczywiście chłopiec), po czym wydaje mrożący krew w żyłach ryk, od którego umarli z ciekawości wstaliby z grobów, a tym bardziej matka wróciła ze swojego pozacielesnego przeżycia.

Bracia malca wpadają z krzykiem do domu, żeby zobaczyć, czy nie ma krwi. Pies na podwórku budzi się i zaczyna szczekać jak opętany, a w kącie izby, w kołysce, dziecko, którego dotąd nie zauważyliśmy, budzi się przestraszone i swoim krzykiem powiększa jeszcze chaos.

Biedna, nienaturalnie pobudzona Alice czuje, że zaczyna być z powrotem wsysana w swoje dawne życie, poprzez błękitne niebo i nagietki z płynnego złota, aż wreszcie rzuca nią o framugę kuchennych drzwi. Łup! Niewidzialny dzidzius, Nell, kopie ze współczucia dla dziecka pod stołem, które, gdy Alice podnosi je i próbuje pocieszyć, wczepia jej palce we włosy i urywa trzy szklane guziczki od bluzki.

Na koniec, jako kulminacja całej tej kakofonii, na podwórku pojawia się koń z wozem, wpędzając psa w histerię. Kościsty mężczyzna z haczykowatym nosem, o wyglądzie cudzoziemca, mający w sobie coś z Edgara Allana Poe'go - staromodny surdut, melancholijne dłonie - zeskakuje z kozła i zmierza w stronę otwartych drzwi. Teatralnym gestem zdejmuje kapelusz i nisko się kłania.

- Madame - mówi, prostując się - Jean - Paul Armand, do usług.

Był oczywiście magikiem, a tajemnicze kształty na wozie to jego dziwne rekwizyty - składana śródziemnomorska zasłona, ozdobna mosiężna donica z palmą o liściach z usztywnionej bawełny, aksamitne portiery, niezwykła kamera. Tylko szeszlonego nie został przez niego dostarczony - Ada z Lawrence'em wyciągnęli go na dwór. - Światło jest tam lepsze - wyjaśnił Monsieur Armand.

- Nic pani nie płaci, póki nie wrócę ze zdjęciami. - Oto, jak omotał Alice, która w nietypowym przypiływie optymizmu uwierzyła, że w tym czasie rzeczywiście zdobędzie jakoś te pieniądze. Tak więc dzieci zostały wyszorowane i uczesane, i całkowicie odmienione. Albertowi (dziecku pod stołem) osuszono łzy jęczmiennym ciasteczkiem z cukrem od Monsieur Armanda (zawsze miał ich pełną kieszeń, żeby uspokoić swoich małych, krnąbrnych modeli). Potem Monsieur Armand fotografował dzieci Alice w najróżniejszych konfiguracjach - Adę z Albertem na kolanach;

Alberta z Tomem i Lawrence'em; Adę z prawdziwym dzidziusiem, Lillian (dzieckiem z kołyski), zamiast lalki i tak dalej. Lillian nie obchodziła jeszcze swoich pierwszych urodzin, ale zdąży się jeszcze przez nie prześlizgnąć, zanim matka zniknie na zawsze z jej życia.

Alice wbiła dla Monsieur Armanda swoje rozdęte ciało w najlepszą suknię, a także rozczesła włosy i upięła warkocze. Na dworze jest o wiele za gorąco, jak na taką suknię, a Alice musi długo stać w upale, podczas gdy Monsieur Armand grzebie się pod czarną płachtą, która przywodzi Alice na myśl skorupę żuka. Może jej zagadkowy wyraz twarzy to po prostu skutek upału, czekania i kopniaków. Monsieur Armand uważa ją za piękność, za niespodziewaną wiejską Madonnę. Kiedy wróci z fotografiami, poprosi ją, żeby z nim uciekła (to ekscentryk).

Błysk! Eksplozja chemikaliów i moja prababka przechodzi do wieczności. „Cudownie!”, mówi Monsieur Armand językiem, którym jak świat światem posługiwali się fotografowie.

*

A oto losy trzech szklanych guziczków.

Jeden z nich znalazła Ada jeszcze tego samego wieczoru i wrzuciła go do kieszeni fartuszka. Zanim fartuszek poszedł do prania, przełożyła go do pudełeczka ze skarbami (kawałkiem czerwonej wstążki i kawałeczkiem złotego drutu, który znalazła w drodze do szkoły). A kiedy Alice zniknęła na zawsze, Ada wyjęła guzik ze swojego skarbczyka, nawlekła na jedwabną nitkę i zaczęła go nosić na szyi. Po kilku miesiącach zła macocha, Rachel, zerwała Adzie z szyi drażniący guzik, rozwścieczona widokiem jej hardej, zalanej łzami twarzyczki. Mimo najszczerzych chęci Adzie nie udało się znaleźć guzika i potem, przez całą noc, wypłakiwała sobie oczy, zupełnie jakby po raz kolejny straciła matkę.

Drugi guzik znalazł Tom, po czym przez cały tydzień nosił go w kieszeni razem z kasztanem i marmurową kulką do gry, zamierzając oddać go matce, ale zanim mu się to udało, zgubił go gdzieś, a potem zupełnie o nim zapomniał.

Trzeci znalazła Rachel, w szale sprzątanania, wkrótce po tym jak wprowadziła się do domu. Wydłubała go spomiędzy kamiennych płyt, gdzie spokojnie sobie spoczywał, i schowała do pudełka z guzikami, z którego wiele lat później został przeniesiony do pudełka na guziki mojej babki (reklamowej puszki po czekoladkach Rowntree), skąd dostał się do żołądka Gillian, a stamtąd... kto to wie? Natomiast jeżeli chodzi o losy dzieci - Lawrence w wieku czternastu lat opuścił dom i wszelki śluch o nim zaginął. Tom ożenił się z dziewczyną imieniem Mabel i został pisarzem sądowym, a Albert poległ w czasie pierwszej wojny światowej. Biedna Ada umarła, mając dwanaście lat, po kolejnym nawrocie dyfterytu. Lillian miała długie i dosyć dziwne życie, a Nell - tego upalnego dnia jeszcze się nie urodziła i ma przed sobą całe życie - będzie pewnego dnia moją babką, która ma już całe życie za sobą, choć sama nie bardzo wie, jak do tego doszło (następna zagubiona w czasie kobieta).

Rozdział 2

1952

NARODZINY

To mi się nie podoba. To mi się ani trochę nie podoba. Niech mnie ktoś stąd zabierze. I to szybko! Mój kruchy szkielecik jest zgniatany jak orzech w cienkiej łupince. Moja delikatna skóra, nie tknięta dotąd ziemską atmosferą, ociera się do krwi w trakcie czegoś, co przypomina proces wytwarzania kiełbasy. (To chyba nie może być normalne?) Nawet jeżeli ciągnie się za mną jakiś obłok sławy, to został on stłamszony w tym cuchnącym, skrwawionym miejscu.

- Dalejże, kobieto! - Wściekły głos buczy jak stłumiona syrena we mgle. - Przecież ja muszę iść na ten cholerny proszony obiad!

Odpowiedź Bunty jest bełkotliwa i niewyraźna, ale według mnie sens jest taki, że jej tak samo spieszo, żeby mieć już to za sobą, jak naszemu zaprzyjaźnionemu ginekologowi. To doktor Torquemada, jeśli się nie mylę? Położna, anioł przysłany po to, żeby przewodniczyć moim narodzinom, szeleści krochmalem i wydaje komendy:

- PRZYJ! TERAZ PRZYJ!

- Przecież prę, do cholery! - wrzeszczy Bunty. Poci się i stęka, ściskając kurczowo coś, co wygląda jak mały, zeschnięty kawałek ssaka - futrzany wisiołek na szyję (zobacz Przypis II). To królicza łapka na szczęście. Oczywiście, nie przyniosła szczęścia królikowi, ale dla mojej matki jest to talizman posiadający pewne moce. Właściwie już wyszłam na zewnątrz. Oczywiście z Bunty, a nie z królika. Dziewięć miesięcy więzienia w jej wnętrzu to nie było znów takie upojne doświadczenie. A ostatnio nie miałam już w ogóle miejsca. Wszystko mi jedno, co będzie tam, na zewnątrz - i tak musi być lepiej niż tu.

- PRZYJ KOBIEITO, PRZYJ! TERAZ!

Bunty krzyczy z przejęciem i nagle jest już po wszystkim, a ja wyślizguję się gładko jak ryba w strumieniu. Nawet doktor Torquemada jest zdziwiony.

- Ho, ho! Co my tu mamy? - mówi, jakby wcale się mnie nie spodziewał. Położna śmieje się i mówi: „Klaps!”

Już mam zostać odesłana do pokoju dziecinnego, kiedy komuś przychodzi do głowy, że Bunty chciałaby może na mnie zerknąć. Bunty rzuca na mnie okiem i ogłasza wyrok:

- Wygląda jak kawałek mięsa. Weźcie ją stąd - dodaje, machając lekceważąco ręką. Podejrzewam, że jest zmęczona i wzruszona. Nie powiedziała nawet, o jaki rodzaj mięsa chodzi. Klops? Jagnię? A może kawałek wieprzowiny albo jakieś mięso bez nazwy, surowe i krwiste. No cóż, może być i tak - nic nie jest już w stanie mnie zaskoczyć. W końcu nie jestem dla niej niczym nowym - wydała już ze swego łona bladą Patricię i małą złošnicę Gillian, w porównaniu z którą zachowałam się bardzo przyzwoicie. Gillian urodziła się zła, niemal wyrwała się z brzucha, młóćąc wściekle maleńkimi rączkami i nóżkami i krzycząc wniebogłosy, na wypadek gdyby nikt jej nie zauważył. Marne szanse!

Mój nieobecny ojciec - gdybyście chcieli to wiedzieć - jest „Pod Psem i Zajacem” w Doncaster, gdzie spędził bardzo udany dzień na wyścigach. Ma przed sobą kufel piwa i właśnie opowiada pewnej kobiecie w szmaragdowej sukni, obdarzonej nadwymiarowym biustem, że nie jest żonaty. Nie ma pojęcia o tym, że już się zjawiłam, bo przecież gdyby wiedział, byłby tu teraz. A tak na marginesie, moje przyjsie na świat łączy gładko stare z nowym, bo urodziłam się tuż po śmierci króla, dzięki czemu jestem jednym z pierwszych dzieci urodzonych pod panowaniem nowej królowej. Nowa poddana królowej Elżbiety! Dziwię się, że nie nazwali mnie Elizabeth. Prawdę mówiąc, w ogóle jeszcze mnie nie nazwali. Jestem „córka pani Lennox”, tak przynajmniej jest napisane na

mojej tabliczce. Położna, która ma rude włosy i jest bardzo zmęczona, niesie mnie do sypialni i kładzie do łóżeczka.

W sypialni jest bardzo ciemno. I bardzo cicho. W jednym rogu pali się przyćmione niebieskie światło, ale większość łóżeczek to po prostu ciemne kształty, przypominające trumienki. Ciemność rozciąga się w nieskończoność. Kosmiczne wiatry śmigają poprzez lodowate międzygwiazdne przestrzenie. Gdybym wyciągnęła maleńkie pomarszczone paluszki, które wyglądają jak gotowane krewetki, nie dotknęłabym niczego. I jeszcze raz - niczego. A potem? Znowu niczego. Nie myślałam, że to tak będzie. I nie chodzi bynajmniej o to, że spodziewałam się ulicznego festynu albo czegoś w tym rodzaju - serpentyn, baloników, transparentów powitalnych - wystarczyłby mi jeden uśmiech.

Położna odchodzi, a rytmiczny tupot jej czarnych, sznurowanych bucików na linoleum w korytarzu stopniowo zamiera i zostajemy same. Leżymy w łóżeczkach, zawinięte ciasno w białe, bawełniane kocyki, jak obietnice, jak kokony, czekając, aż coś się z nas wylęgnie. Albo jak beciki. Co by to było, gdyby tak te małe beciki straciły etykiety i gdyby się pomieszały? Czy matki rozpoznałyby swoje dzieci, gdyby je wyciągnęły z kotła na owsiankę?

Szelest wykrochmalonych skrzydeł. Rudowłosa pielęgniarzka pojawia się z nowym dzieckiem i kładzie je do pustego łóżeczka obok mnie. Do kocyka przypina etykietkę. Nowy dzidzius śpi sobie spokojnie, a jego górna warga wygina się przy każdym płytkim wdechu.

Tej nocy nie ma już więcej dzieci. Sypialnia wypływa w mroźną, zimową noc, unosząc swój delikatny ładunek. Nad śpiącymi dzidziusiami unoszą się mleczne opary. Wkrótce, kiedy już wszyscy zaśniemy, do sypialni zakradną się koty, żeby wysssać nasze oddechy.

Ja także zniknę w tych ciemnościach, skończę się, zanim cokolwiek się zaczęło. Strugi deszczu ze śniegiem rozbryzgują się o zimne szyby. Jestem sama. Zupełnie sama. Nie mogę tego znieść - gdzie moja mama? UAA! UAA! UAAAAAAAAAAAAAAAAAAA!!!

- Ten mały bachor gotów je wszystkie pobudzić. - To rudowłosa pielęgniarka, chyba Irlandka. Ona mnie uratuje, zabierze mnie do mamy. Nie? Nie. Zabiera mnie do małej komórki za śluzą. Szczerze mówiąc, to coś jakby szafa. Moją pierwszą noc na ziemi spędziłam w szafie.

Na oddziale położniczym sufit nad naszymi głowami jest pomalowany błyszczącą, jasnozieloną farbą. Górna połowa ścian ma kolor magnolii, a dolna wygląda jak posiekane grzyby. Wolałabym niebiańskie, lazurkowe sklepienie ze złotymi chmurkami o ognistych brzegach i chciałabym też, żeby zza chmur wyglądały uśmiechnięte cherubinki, różowe i tłuściutki.

Bunty już na dobre zainstalowała się na oddziale. Wszystkie matki leżą na łóżkach i bez przerwy narzekają, głównie na swoje dzieci. Prawie wszystkie jesteście karmione butelką. Panuje ciche przekonanie, że w karmieniu piersią jest coś wstrętnego. Karmią nas punktualnie, co cztery godziny, a pomiędzy nimi nic, bez względu na to, ile się robi hałasu. Prawdę mówiąc, im więcej hałasujesz, tym większa szansa, że ześlą cię gdzieś do jakiejś szafy.

Karmią nas z zegarkiem w rękę, żebyśmy się nie zrobiły zbyt rozpieszczone i wymagające. Między matkami panuje ogólne przekonanie, że dzieci sprzysięgły się przeciwko nim (gdyby chociaż tak było). Możemy krzyczeć do utraty tchu, to i tak nie robi żadnej różnicy w rytualnej ceremonii karmienia - porze, kiedy wszystkie beciki są karmione, odbekiwane, przewijane, po czym znowu zostają odłożone i zapomniane.

Mam już prawie tydzień, a wciąż jestem bezimienna, ale przynajmniej Bunty zaczęła się mną pobieżnie interesować. Mimo to nigdy do mnie nie mówi i raczej unika mnie wzrokiem, a jej oczy prześlizgują się po mnie, gdy tylko pojawiają się w jej polu widzenia. Teraz, kiedy już wyszłam z matki, trudno mi zgadnąć, co ona sobie myśli (przystałam także być wtajemniczona w bujny, ukryty świat jej marzeń). Najgorszą porą są wciąż noce - każda z nich to mroczna podróż w niepewność. Nie wierzę w to, że Bunty jest moją prawdziwą matką. Moja prawdziwa matka błąka się po jakimś analogicznym wszechświecie, rozlewając pokarm koloru dewońskiej śmietanki. Rozbija się po szpitalnych korytarzach, poszukując mnie, a jej ognisty, gorący oddech lwicy osadza się parą na zimnych oknach. Moja prawdziwa matka to Królowa Nocy, olbrzymia, galaktyczna postać, przemierzająca mleczną drogę w poszukiwaniu swojego zaginionego dziecka.

Czasami, po południu, przychodzi z wizytą moja babka, Nell. Szpitale ją denerwują, przypominając o śmierci, o czym - jej zdaniem - nie ma potrzeby przypominać osobom w jej wieku. Przysiada na krawędzi twardego krzesła dla gości, jak chorowity chomik ze sklepu zoologicznego. Ma już kilkoro wnucząt, które według niej wyglądają dokładnie tak samo, więc nie mogę mieć do niej pretensji o to, że niezbyt się mną interesuje. George przyprowadza Gillian i Patricię. Gillian zerka na mnie w milczeniu sponad krawędzi łóżeczka, z nieodgadnionym wyrazem twarzy. George nie ma zbyt wiele do powiedzenia. Za to Patricia, pocziwa stara Patricia, ostrożnie dotyka mnie palcem i mówi: - Cześć, dzidzi - za co ją nagradzam uśmiechem.

- Patrzcie, ona się do mnie uśmiecha - mówi cichutko Patricia, zachłystując się ze zdumienia.

- To tylko gazy - stwierdza obojętnie Bunty.

Nie jestem zbyt szczęśliwa, postanowiłam jednak zrobić jak najlepszy użytek z tego, co mam. Przypadła mi w udziale zła matka i grozi mi to, że wdałam się w niewłaściwe życie. Mimo to wierzę, że wszystko zostanie uporządkowane, a ja połączę się z moją prawdziwą matką, tą, która uroniła rubinowoczerwoną kropelkę krwi na śnieżnobiałą chusteczkę i zapragnęła mieć małą dziewczynkę o włosach lśniących i czarnych jak skrzydła kruk. A tymczasem będę się musiała zadowolić Bunty.

Siostra Bunty, Babs, przyjeżdża z wizytą aż z Dewsbury, ze swoimi bliźniaczkami - Daisy i Rose, które są o rok starsze od Gillian i są nieskazitelnie czyste. Wyglądają dokładnie tak samo, nie różnią się ani na jotę. To niesamowite, wprost przerażające. Siedzą na swoich krzesłach w całkowitym milczeniu, a ich zgrabne nóżki dyndają nad żółto - zielonym linoleum. Bunty leży w królewskim przepychu, pod białymi jak lilie prześcieradłami i łososiową narzutą. Daisy i Rose mają włosy koloru cytrynowych dropsów.

Bunty bez przerwy robi na drutach, nawet kiedy ma gości. Dzierga moją przyszłość koloru migdałów w cukrze.

- Elizabeth? - podsuwa ciocia Babs. Bunty krzywi się. - Margaret? - próbuje ciocia Babs. - Anne?

Mogłyby mnie nazwać „Dorothy” albo „Miranda”, to by brzmiało tak ładnie. „Eve” miałoby pewien swoisty wydźwięk. Bunty przeszukuje sufit przeciwnicznym wzrokiem. Bierze decydujący wdech i wypowiada imię. Moje imię.

- Ruby.

- Ruby? - z niedowierzaniem powtarza ciocia Babs.

- Ruby - zdecydowanie potwierdza Bunty. A więc nazywam się Ruby, jak rubin. Jestem drogocennym klejnotem. Jestem kropelką krwi. Jestem Ruby Lennox.

Przypis II - Martwe natury

Jest to opowieść o wiecznie skazywanych na niepowodzenie staraniach mojej babki, żeby wyjść za mąż. Kiedy Nell skończyła dwadzieścia cztery lata, zaręczyła się z policjantem, Percym Sievewrightem, wysokim, przystojnym mężczyzną i zapalonym piłkarzem. Percy grał w tej samej amatorskiej lidze niedzielnej co brat Nell, Albert, i to właśnie Albert ich sobie przedstawił. Kiedy Percy oświadczył się, przyklękając uroczyście na jedno kolano, serce Nell wypełniło się uczuciem szczęścia i ulgi - nareszcie miała się stać najważniejszą osobą w czyimś życiu.

Niestety, Percy'emu pękł wyrostek, wskutek czego zmarł na zapalenie otrzewnej wkrótce po tym, jak ustalili datę ślubu. Miał zaledwie dwadzieścia sześć lat i jego pogrzeb był z rodzaju tych przygnębiających, co to rozdrapują rany, zamiast lać na nie balsam. Percy był jedynakiem, jego ojciec także już nie żył, więc matka odchodziła od zmysłów, a w końcu zemdląła nad grobem. Nell z Albertem i jeszcze jakimś mężczyzną podbiegli do niej i podnieśli ją z rozmokłej trawy - od dwóch dni padało i ziemia zamieniła się w błoto - a potem Albert i ten drugi mężczyzna stanęli po obu jej bokach jak kolumny i podtrzymywali ją przez resztę nabożeństwa. Krople deszczu, uczepione czarnej siateczki welonu pani Sievewright, drżały jak diamenty, ilekroć jej ciałem wstrząsał dreszcz rozpacz. Nell miała uczucie, że jej ból jest niczym w porównaniu z bólem pani Sievewright. Chłopcy z drużyny piłkarskiej nieśli trumnę, a policjanci, koledzy Percy'ego, utworzyli gwardię honorową. Wtedy właśnie, po raz pierwszy w życiu, Nell zobaczyła dorosłych mężczyzn, którym łzy ciekły po policzkach. Szczególnie wstrząsający był widok płaczących policjantów w mundurach. Potem wszyscy zaczęli mówić, jakim Percy był fajnym facetem. Nell wolałaby, żeby tego nie robili, bo to jeszcze tylko pogarszało sprawę - wiedziała, że był fajnym facetem, a była tylko jego

narzeczoną, a nie wdową. Wiedziała też, że to nie powinno mieć żadnego znaczenia, ale jednak miało. Na herbatce po pogrzebie Lillian siedziała obok niej i wciąż ścisnęła jej dłoń w czarnej rękawiczce, w jakimś strasznym, niemym współczuciu.

Nell myślała, że jej życie już się skończyło, a tymczasem, ku jej zdumieniu, toczyło się jak dawniej. Po ukończeniu szkoły zaczęła terminować u modystki na Coney Street i nadal spędzała dni na skręcaniu piór i zwijaniu szyfonu, zupełnie jakby nic się nie stało. Tak samo było w domu - dalej musiała zmywać naczynia i cerować pończochy, podczas gdy Rachel, jej macocha, obserwowała ją z bujanego fotela, na który zaczynała już być za gruba, wygłaszając zdania w rodzaju „Praca jest naturalnym lekarstwem”, co było mottem jej Księgi domowych remediów. Nell odwracała twarz i starała się nie zwracać na to uwagi, bojąc się, że jeśli będzie jej dalej słuchać, wyrznie ją dużym żeliwnym rondlem. Teraz, kiedy nie miała już Percy'ego, który mógłby ją uratować, zaczęło jej się wydawać, że na zawsze ugrzęzła w małym domku na Lowther Street. Gdyby została „panią Percy Sievewright”, nadałoby to jej jakiś rys i tożsamość, której odmawiano zwyczajnej Nell Barker.

Nell ze zdumieniem przekonała się, jak szybko Percy zniknął z codziennego życia. Zaczęła odwiedzać panią Sievewright w piątki wieczorem, bo wiedziała, że to jedyna osoba, na którą można było liczyć, że nie zapomni o Percym. Siadywały wtedy obie nad dzbankiem herbaty i talerzem kanapek z pastą piklingową i rozmawiały o Percym, jakby nadal żył, układając mu w myślach życie, którego już nigdy nie będzie. „Pomyśl sobie tylko, co by Percy na to powiedział... Percy zawsze lubił Scarborough... Percy strasznie by chciał mieć synów...” Ale i tak nie potrafiły go wskrzesić, bez względu na to, jak bardzo się starały.

Któregoś wieczoru Albert - onieśmielony, bo bał się, że może to wyglądać głupio - zapukał, a potem wszedł do pokoju Nell i dał jej zdjęcie drużyny, zrobione w poprzednim roku, kiedy to o mały włos nie zdobyli pucharu.

„Udałoby nam się, gdyby Frank Cook nie spudłował. Głupi kutas - przepraszam za język. Jack Keech posłał mu idealnego crossa, a bramka była pusta”, mówił Albert, potrząsając głową z niedowierzaniem nawet teraz, po roku. Nell zapytała: „Który to ten Frank?”, a Albert wymienił jej nazwiska wszystkich graczy i urwał nagle, kiedy doszedł do Percy'ego, a w końcu powiedział: „To straszne, kiedy śmierć zabiera kogoś młodego”. Słyszał, jak ktoś mówił tak na pogrzebie, ale sam wcale tak nie myślał, bo tak naprawdę Albert nie wierzył w śmierć. Umarli po prostu gdzieś odchodzili, żeby prędzej czy później wrócić - czekali w jakimś zaciemnionym pomieszczeniu, do którego nie było widać drzwi, pod opieką jego matki, która prawie na pewno była już teraz aniołem. Albert nie potrafił sobie przypomnieć, jak wyglądała jego matka, bez względu na to, jak mocno zaciskał powieki i starał się skoncentrować. Mimo to nie przestawał za nią tęsknić, chociaż miał już prawie trzydzieści lat. Alice, Ada, Percy, pies, którego miał, gdy był chłopcem i który wpadł pod koła wozu - wszyscy oni mieli wyskoczyć któregoś dnia z tej poczekalni, żeby zrobić Albertowi niespodziankę. „No cóż, dobranoc, Nellie”, powiedział w końcu, bo kiedy zobaczył, jakim wzrokiem patrzyła na fotografię, zrozumiał, że jest przekonana, iż umarli odchodzą na zawsze i nigdzie się nie ukrywają.

Patrząc na Percy'ego na fotografii, Nell doznała dziwnego uczucia. Za życia wydawał się tak charakterystyczny i inny niż wszyscy, a tutaj miał takie same niewyraźne, lekko zamazane rysy jak reszta drużyny.

„Dzięki”, powiedziała Nell do Alberta, ale on już wyszedł z pokoju. Frank Cook, który stał w środku, w tylnym rzędzie, wyglądał tak samo jak wszyscy, za to Jacka Keecha można było bez trudu rozpoznać - to właśnie on przykucnął z przodu, z piłką. Nell wiedziała, że Jack był dobrym kumplem Alberta, jednak dopiero gdy któregoś wieczoru wróciła z pracy i zastała ich obu na podwórzu, rozpoznała w Jacku Keechu człowieka, który pomógł im, kiedy matka Percy'ego Sievewrighta zasłabła nad grobem.

Słońce, uwięzione na podwórku za domem na Lowther Street, mocno przygrzewało, chociaż był dopiero maj, więc Nell przystanęła na moment w progu, czując na twarzy jego ciepło. „O, jesteś nareszcie, Nell”, powiedział Albert, jakby obaj na nią czekali. „Nastaw dzbanek herbaty, jest tu fajny chłopak - Jack naprawia nam ławkę”.

Jack Keech oderwał wzrok od gwoźdźca, który właśnie wyrywał, uśmiechnął się do niej i powiedział: „Z chęcią napiję się herbaty, Nell”, a Nell odpowiedziała uśmiechem, po czym bez słowa weszła do domu i naląła wody do czajnika.

Nastawiła czajnik, a potem podeszła do kamiennego zlewu pod oknem i oparłszy dłonie o jego krawędź, patrzyła przez okno na Alberta i Jacka Keecha. Przez otwarte drzwi napływał zapach sosnowej żywicy. Czekać, aż woda się zagotuje, Nell poruszała palcami w butach i czuła, jak jej klatka piersiowa wznosi się przy każdym oddechu, a kiedy grzbietem dłoni dotknęła policzków, poczuła, jak bardzo są rozpalone.

Stara drewniana ławka stała na podwórku, odkąd się wprowadzili do tego domu. Z tyłu brakowało kilku listew, a z boku zaczynało odpadać oparcie. Jack Keech klęczał na bruku i krótką, grubą piłą ciął belkę jasnego, świeżego drewna. Lok ciemnych, gęstych włosów co chwila opadał mu na czoło. Albert stał nad nim i śmiał się. Albert zawsze się śmiał. Jego anielskie, jasne loki nigdy nie zniknęły, a błękitne oczy pod

łukami złocistych rzęs były jakby za duże, tak że wciąż nie wyglądał jak dorosły. Trudno było sobie wyobrazić, że przestanie kiedyś wyglądać jak chłopak i zacznie wyglądać jak stary człowiek - nie mówiąc już o tych wszystkich latach pośrodku.

Za Albertem zawsze ciągnął rój dziewcząt, ale nigdy nie było takiej, którą by sobie wybrał jako tę jedyną. Jego brat, Tom, ożenił się i odszedł z domu. Za to Albert nie sądził, że się kiedykolwiek ożeni. I Nell, i Lillian uznały, że mówił głupstwa, bo było jasne, że byłby wspaniałym mężem, a po cichu nawet przyznały, że gdyby nie był ich bratem, same by chętnie za niego wyszły.

Zresztą, sądząc po tym, jak sprawy się układały, i tak pewnie razem dożyją swoich dni. Wyglądało na to, że ani Nell, ani Lillian nie są w stanie złapać męża. Obie miały już za sobą zerwane zaręczyny - zaręczyny Nell przerwała śmierć, Lillian zaś akt zdrady. Któregoś dnia Rachel umrze i wtedy zostaną sami. „Gdyby tylko...”, mówiła Lillian, zaplatając nocą włosy w pokoju Nell, a Nell, z twarzą wciśniętą w poduszkę, po raz kolejny zastanawiała się, dlaczego zabrano im matkę, dając w zamian Rachel.

Nell przepłukała czajniczek gorącą wodą z czajnika, potrząsając nim w koło, zanim opróżniła go do zlewu. Jack Keech zdjął szelki, które zwisały mu u pasa, i podwinął białe rękawy koszuli, tak że widać było napinające się mięśnie, kiedy piłował drewno. Skóra na jego rękach miała kolor polerowanego orzecha - skutek pracy na świeżym powietrzu. Albert wyglądał nad nim jak Anioł Stróż. Nell patrzyła na nich obu, z dzbankiem przyciśniętym do piersi, i nagle zapragnęła, żeby ta chwila trwała jak najdłużej.

Kiedy znowu wyszła na dwór, niosąc na tacy herbatę i chleb z masłem, Jack znaczył coś ołówkiem na kawałku drewna. Nell zdobyła się na olbrzymi wysiłek i nieśmiało

powiedziała: „To ładnie z twojej strony, że tak nam naprawiasz tę ławkę”, a on podniósł z uśmiechem wzrok i odpowiedział: „Nie ma sprawy, Nell”. Potem wyprostował się na chwilę i rozcierając krzyże, dodał: „Ładne macie podwórko”, a Albert i Nell rozejrzeli się ze zdumieniem, bo żadnemu z nich nigdy nie przyszło do głowy, że podwórko za domem na Lowther Street może być ładne. Ale kiedy Jack tak powiedział, nagle zobaczyli, ile tam słońca, i Nell zaczęła się zastanawiać, jak to możliwe, że mieszkając tu przez pięć lat, nigdy tak naprawdę nie zauważyli bladoróżowego klematisu, który piał się po murze i wokół drzwi. "Jack jest stolarzem", stwierdził z podziwem Albert (choć sam był maszynistą, co według Nell i Lillian musiało być wspaniałym zajęciem). Jack znowu ukląkł i zaczął wbijać gwóźdź, a Nell znalazła w sobie dość odwagi, żeby stanąć obok i przyglądać mu się prawie przez minutę, ale potrafiła myśleć tylko o jednym, że miał wysokie, ostro zarysowane kości policzkowe, jak muszle ostryg.

Jack nie zrobił przerwy na herbatę, póki nie skończył. Do tej pory herbata zdążyła już wystygnąć. Nell zaproponowała, że zaparzy świeży czajniczek, ale Albert stwierdził, że ma ochotę na piwo i zaproponował: „Złote Runo”. Jack z żalem uśmiechnął się do Nell i powiedział: „Może innym razem”, a ona poczuła, jak rumieniec oblewa jej pierś i policzki, więc musiała szybko odwrócić głowę, a tymczasem Albert pomagał Jackowi spakować narzędzia.

Nell została sama i musiała samotnie stawić czoło Rachel, gdy ta wróciła ze spotkania abstynentów w kościele. Rachel była w złym humorze, bo nikt nie nastawił herbaty i skończyło się na tym, że zjadły chleb z masłem, nie odzywając się do siebie. Lillian wróciła później, mówiąc, że miała drugą zmianę (pracowała w zakładach cukierniczych Rowntree), ale Nell dobrze wiedziała, że to nieprawda. Albert położył się spać

dopiero po północy; słyszała, jak usiadł u stóp schodów i zdjął buty, żeby nikogo nie budzić, a potem przekradł się po cichu na górę do swojego pokoju.

Po raz drugi Nell zobaczyła Jacka parę sobót później, kiedy wstąpili z Frankiem po Alberta, żeby go zabrać na doroczną wycieczkę drużyny piłkarskiej. Frank miał tweedową czapkę i niósł wędkę (wybierali się do Scarborough). Frank był pomocnikiem w sklepie tekstylnym, ale ani Albert, ani Jack nigdy nie dali mu do zrozumienia, że ich zdaniem pomocnik w sklepie tekstylnym to żadna praca. Zresztą widać było, że on sam o tym doskonale wie i nie trzeba mu tego przypominać.

Jack oparł się o mur i uśmiechnął się leniwie, nie wiadomo właściwie do kogo. Na głowie miał słomkowy kapelusz. Albert powiedział ze śmiechem: „Ale z niego elegant, co, Nelly?“, po czym mrugnął do niej tak, że nie wiedziała, gdzie się schować. Albert miał pod kapeluszem włosy zaczesane do tyłu i był tak starannie ogolony, że Nell zapragnęła wyciągnąć rękę i dotknąć go tuż ponad miejscem, w którym jego skóra stykała się z białym kołnierzykiem. Oczywiście czegoś takiego nie zrobiła, bo z trudem zmusiła się nawet do tego, żeby na niego popatrzeć, kiedy stali razem na podwórku, czekając na Alberta.

„Jak się nie pospieszy, spóźnimy się na pociąg“, powiedział Frank, a Lillian odpowiedziała: „Już idzie!“, bo usłyszała tupot butów brata na schodach. A potem Lillian uśmiechnęła się do Jacka tymi swoimi migdałowymi, zielonymi jaku kota oczami, dała Nell ukradkiem kuksańca w plecy i syknęła: „No, Nelly, powiedzże coś“, bo wiedziała, jak strasznie jej siostra durzy się w Jacku.

Ale zaraz potem wyszedł Albert i powiedział: „Chodźmy, bo się spóźnimy“, i cała trójka odwróciła się i odeszła. Byli już w połowie uliczki za domem, zanim Nell (a może Lillian)

przypomniała sobie o lunchu, który dla nich spakowały. Lillian krzyknęła: „Zaczekajcie!”, tak głośno, że okno na górze, po drugiej stronie uliczki, otworzyło się z trzaskiem i pani Harding wyjrzała, żeby sprawdzić, co to za hałasy. Nell wróciła biegiem do kuchni, porwała ze stołu stary plecak Toma i wybiegła z powrotem na drogę.

Ten zapakowany lunch był tematem długich dyskusji pomiędzy Lillian i Nell. Początkowo zamierzały przygotować tylko tyle, żeby wystarczyło dla Alberta, potem jednak przyszło im do głowy, że Frank nie ma żadnej rodziny i być może nie przygotowuje sobie dobrego lunchu - jeśli w ogóle przyjdzie mu to do głowy. Wtedy pomyślały o Jacku i uznały, że nieładnie byłoby go pominąć. W końcu Lillian stwierdziła ze śmiechem, że jeśli się nie opamiętają, skończy się na tym, że przygotowują lunch dla całej drużyny piłkarskiej. Koniec końców, do starego tornistra Toma włożyły: tuzin kanapek z szynką, zawiniętych w czystą lnianą ściereczkę, sześć jajek na twardo w skorupkach, spory kawałek białego sera, kawałek owsianego placka, torebkę prażonych toffi, trzy jabłka i trzy butelki piwa imbirowego (choć wiedziały, że z chłopakami pojedą całe skrzynki piwa). Nie trzeba dodawać, że Rachel nic nie wiedziała o takiej hojności. Jack oderwał się od pozostałej dwójki, wrócił do Nell i biorąc od niej plecak, powiedział: „Dzięki, Nell, to bardzo miło z waszej strony. Będziemy o was myśleć, kiedy rozsiądziemy się i będziemy to wszystko zajadać”. A potem obdarzył ją tym swoim chłopięcym, zuchwałym uśmiechem i dodał: „Może chciałabyś się ze mną przejść któregoś wieczoru w przyszłym tygodniu?” A Nell skinęła głową i uśmiechnęła się. Była na siebie zła, bo Jack musiał chyba pomyśleć, że jest głuchoniema, skoro nigdy nie odezwała się do niego ani słowem, więc w końcu z drżącym uśmiechem zdołała powiedzieć: „Z przyjemnością”.

Prawie biegiem wróciła do Lillian przy furtce i obie stały w obramowaniu różowego klematisu, patrząc, jak trzech mężczyźni idą wybrukowaną kocimi łbami uliczką aż do końca, gdzie wszyscy odwrócili się i pomachali. Słońce mieli za plecami, więc nie było widać twarzy, ale Lillian wyobraziła sobie ich uśmiechy i musiała podnieść rękę do ust i zamrużyć, bo na myśl o tym, jacy to wspaniali mężczyźni i jak bardzo się o nich bała, jej oczy napęłniły się łzami.

Ale powiedziała tylko: „Mam nadzieję, że będą na siebie uważać, jeżeli będą pływać łódką”. Nell nic nie powiedziała. Myślała o tym, jak smutno byłoby matce Percy'ego Sievewritha, gdyby teraz tam była i patrzyła, jak jego trzech kumple wybierają się do Scarborough, wiedząc przy tym, że Percy nie może z nimi pojechać.

Nell sama już nie wiedziała, czy nigdy nie kochała Percy'ego jak należy, czy po prostu nie mogła sobie przypomnieć, jak to było, kiedy go kochała - ale jakkolwiek by było, to, co czuła teraz do Jacka, wydawało się niepodobne do niczego, co przedtem знаła. Już na samą myśl o nim ożywiała się i robiło jej się gorąco, i co noc modliła się o to, żeby była w stanie mu się oprzeć aż do ich nocy poślubnej.

Nadal odwiedzała matkę Percy'ego, chociaż zmieniła wieczór na poniedziałkowy, bo teraz spotykała się z Jackiem w piątki wieczorem. Nie powiedziała jej, że zakochała się w kimś innym, bo od śmierci Percy'ego minął zaledwie rok, i wciąż rozmawiały o nim nad ciągnącymi się w nieskończoność filiżankami herbaty. Tylko że teraz Percy przypominał bardziej kogoś, kogo obie wspólnie wymyśliły, niż człowieka, który kiedykolwiek był z krwi i kości. Ilekroć patrzyła na fotografię drużyny piłkarskiej, ogarniało ją poczucie winy, bo jej wzrok prześlizgiwał się po pozbawionej życia twarzy Percy'ego, żeby się zatrzymać na zuchwałym uśmiechu Jacka.

Albert zaciągnął się pierwszy. Siostronom powiedział, że to będzie „niezły ubaw i szansa na to, żeby zobaczyć kawałek świata”. „Raczej kawałek Belgii”, powiedział Jack sarkastycznym tonem, ale nic nie było w stanie zniechęcić Alberta i o mały włos nie zdążyłyby się z nim pożegnać jak należy, bo natychmiast wyruszył do koszar w Fulford, żeby dołączyć do 1 Pułku z East Yorkshire, gdzie z maszynisty przemienił się w artylerzystę. Zdążyli jednak zrobić sobie zdjęcie - był to pomysł Toma. „Cała rodzinka razem”, powiedział, wiedziony być może przeczuciem, że nigdy już nie będzie takiej okazji. Tom miał przyjaciela - niejakiego pana Mattocka - zapalonego fotografa, który przyszedł pewnego słonecznego popołudnia i ustawił ich wszystkich na podwórku za domem na Lowther Street. Rachel, Lillian i Nell usiadły na świeżo naprawionej ławce, Tom stanął z tyłu, a Albert przykucnął w środku, u stóp Rachel, zupełnie jak Jack na zbiorowej fotografii. Tom żałował, że nie ma z nimi Lawrence'a, a Rachel stwierdziła: „Z tego, co wiemy, pewnie już nie żyje”. Jeżeli uważnie przyjrzeć się fotografii, można zobaczyć klematis rosnący wzdłuż górnej krawędzi muru, jak girlanda.

Frank zaciągnął się w dniu, w którym Albert przekroczył kanał La Manche - Frank zdawał sobie sprawę z tego, że jest tchórzem, i przerażała go myśl, że inni też to odkrywają, więc pomyślał sobie, że zaciągnie się jak najszybciej, zanim ktoś zdąży to zauważyć. Był tak przerażony, że przy podpisywaniu papierów nie mógł powstrzymać drżenia ręki, a sierżant z komisji werbunkowej roześmiał się i powiedział: „Mam nadzieję, że będziesz miał pewniejszą rękę, kiedy trzeba będzie strzelać do Hunów, chłopcze”. Jack stał tuż za Frankiem. Ostatnią rzeczą, na jaką Jack miał ochotę było iść na wojnę. W głębi ducha uważał, że to jeden wielki nonsens - ale to byłoby nie w porządku, gdyby pozwolili Frankowi tak

po prostu wyjechać, więc poszedł razem z nim i podpisał się z zakreślasem. „Dobra robota, chłopcze”, powiedział sierżant.

Lillian i Nell odprowadziły ich na dworzec, ale na przystrojonym flagami peronie tłoczyło się tyle ludzi, że Frank mignął im tylko w ostatniej chwili, kiedy pociąg przejeżdżał pod wyniosłymi, katedralnymi łukami dworca. Machał przez okno wagonu, nie wiadomo właściwie do kogo. Nell, głęboko zawiedziona, była bliska łez, bo nie udało jej się zobaczyć Jacka pośród tego powiewającego flagami, dźwigającego swój ekwipunek towarzystwa. Pocieszała się tylko tym, że poprzedniego wieczoru, kiedy się czule żegnali, dała mu tę króliczą łapkę na szczęście. Uczepiła się wtedy jego ramienia i zaczęła płakać, a Rachel powiedziała ze wstrętem: „Przestań tak hałasować” i wcisnęła jej do ręki króliczą łapkę, mówiąc: „Masz tu dla niego talizman na szczęście”. Jack roześmiał się na całe gardło i powiedział: „Powinni je robić seryjnie, co?”, po czym wetknął ją do kieszeni marynarki.

Zaczęły dostawać listy - nigdy w życiu nie dostawały tylu listów. Przychodziły wesołe listy od Alberta - o tym, jakie fajne są chłopaki i ile wszyscy mają roboty. „Pisze, że tęskni za kuchnią domową i że podłapał już trochę miejscowego języka”, czytała głośno Lillian na użytek Rachel, bo Albert ani razu nie wysłał jej listu, chociaż ona ciągle chodziła i opowiadała wszystkim, że „jej syn” zaciągnął się jako jeden z pierwszych. Dziwiło to Lillian i Nell, bo choć Rachel nie lubiła wszystkich pasierbów, to najbardziej nie znosiła Alberta.

Nell oczywiście dostawała listy od Jacka, choć nie tak radosne jak te od Alberta i nie takie długie. Prawdę mówiąc, pisanie listów przychodziło Jackowi z trudem i z reguły nie wychodził poza „Myślę o Tobie i dziękuję Ci za listy”, skreślone zamasztyłym pismem. Dostawały nawet listy od Franka, bo, jak mówiła Nell, „On oczywiście nie ma do kogo

pisać". Jego listy były najlepsze, bo opisywał im wszelkiego rodzaju historyjki o kolegach z wojska i o codziennych zajęciach, tak że często śmiały się na głos, czytając jego śmieszne, pajęczkowate gryzmoły. To dziwne, ale żaden z nich - ani Frank, ani Jack, ani Albert - nigdy nie pisał dużo o samej wojnie, więc wydawało się, że bitwy i potyczki toczyły się przy małym udziale któregokolwiek z nich. „Bitwa pod Ypres wreszcie się skończyła”, pisał enigmatycznie Albert, „i wszyscy bardzo się z tego cieszymy”.

Nell i Lillian spędzały masę czasu na odpisywaniu na te listy; co wieczór zasiadały przy stole we frontowym pokoju, pod lampą z koralików, i albo robiły na drutach kołdry dla belgijskich uchodźców, albo pisały listy na specjalnym, kupionym wcześniej liliowym papierze. Lillian zapalała niespodziewaną, namiętną miłością do sentymentalnych pocztówek i kupowała całe komplety, na przykład „Pożegnalny pocałunek”. Wysyłała je potem na chybił trafił do całej trójki, tak że w końcu żaden z nich nie dostał całej serii. Wysyłało się też paczki zawierające pastylki miętowe, wełniane szaliki robione na drutach oraz puszki z antyseptycznym pudrem do stóp od Coverdale'a na Parliament Street, za dziesięć i pół pensa. W niedziele często chodziły aż na Leeman Road, żeby obejrzyć obóz dla cudzoziemców. Lillian brała ze sobą jabłka, żeby je przerzucać przez druty, bo tak bardzo było jej ich żal. „To tacy sami ludzie jak my”, mówiła ze smutkiem. A ponieważ był wśród nich Max Brechner, ich rzeźnik z Haxby Road, Nell uważała, że Lillian ma rację, chociaż to mimo wszystko dziwne, żeby przynosić owoce wrogowi, który próbował zabić ich własnego brata. Z drugiej strony Max Brechner, który miał sześćdziesiątkę na karku i po przejściu kilku kroków dostawał zadyszki, raczej nie wyglądał na wroga.

Pierwszym znajomym, który przyjechał do domu na urlop, był Bill Monroe z Emerald Street. Po nim był chłopak z Park Grove Street i jeszcze jeden z góry, z Eldon Terrace. Wydawało się to niesprawiedliwe, bo Albert zaciągnął się wcześniej niż którykolwiek z nich. Któregoś dnia rozpętała się wielka awantura, bo Bill Monroe nie wrócił na czas, więc przysłali żandarmerię wojskową, żeby go z powrotem sprowadziła. Jego matka kijem od miotły zarygłowała frontowe drzwi i trzeba było usunąć ją siłą - po jednym żandarmie za każdy łokieć - a Nell, która właśnie w tym czasie wracała z pracy do domu wzdłuż Emerald Street, przypomniała sobie pogrzeb Percy'ego.

Po raz kolejny przeżyła wstrząs, kiedy nie wiadomo skąd zjawiał się jakiś zwykły policjant w cywilu, a jej się przez moment wydawało, że to Percy. Przez jedną śmieszoną chwilę zastanawiała się, czy wrócił po to, żeby ją zapytać, dlaczego na serdecznym palcu nosi pierścionek z perełką i granatem, zamiast drobnutkich szafirków, które jej podarował, a które leżały teraz, owinięte w bibułkę, na samym dnie szuflady.

Bill Monroe został w końcu odholowany, a Nell nie chciała już dłużej kręcić się po tej ulicy. Było jej za niego wstyd, bo widziała na jego twarzy strach. Wtedy pomyślała sobie, jakie to musi być straszne - a także niepatriotyczne - kiedy się jest takim tchórzem. Była mocno zdziwiona, że tyle kobiet przyszło do pani Monroe, która szalała, krzyczała i płakała na progu, żeby jej powiedzieć, że postąpiła słusznie.

Frank przyjechał do domu po drugiej bitwie pod Ypres. Był w szpitalu w Southport z zakażeniem nogi i przed powrotem na front dostał kilka dni urlopu. To dziwne, bo przed wojną prawie go nie znały, a teraz był jak stary przyjaciel, więc kiedy zapukał do drzwi od podwórza, uściskały go obie i zmusiły, żeby został na herbatę. Nell pobiegła po śledzie, a Lillian pokroiła chleb i wystawiła dżem,

i nawet Rachel zapytała, co u niego słycać. Kiedy jednak wszyscy zasiedli już wokół stołu i pili herbatę z najlepszego serwisu, tego ze złotym brzeżkiem i małymi, błękitnymi niezapominajkami, Frank poczuł nagle, że brak mu słów. Przedtem wydawało mu się, że ma im tyle do powiedzenia o wojnie - teraz ze zdumieniem odkrył, że te zgrabne trójkąci chleba z dżemem i uroda małych, błękitnych niezapominajek w jakiś sposób powstrzymują go od opowiadania im o odmrożonych stopach i szczurach, nie mówiąc już o wielu różnych sposobach umierania, których był świadkiem. To oczywiste, że nie ma miejsca na odór śmierci w saloniku na Lowther Street, z białym obrusem na stole, lampą z frędzelkami ze szklanych paciorków i z dwiema siostrami o miękkich, pięknych włosach, w które Frank nagle zapragnął zanurzyć twarz. Myślał o tym wszystkim, żując chleb i szukając rozpaczliwie jakiegoś tematu do rozmowy, aż wreszcie pociągając nerwowo łyk ze złota i niezapominajek, rzekł: „Ale świetna herbata. Powinnyście spróbować tej, którą nam dają”. A potem opowiedział im o chlorowanej wodzie w okopach. Kiedy na ich twarzach odmalowało się przerażenie, ogarnął go wstyd, że w ogóle chciał kiedykolwiek rozmawiać o śmierci.

One z kolei opowiedziały mu o Billym Monroe, a on cmokał we właściwych momentach, choć w głębi duszy żałował, że nie ma matki, która w jakiś - jakikolwiek - sposób potrafiłaby go uchronić przed powrotem na front, bo Frank wiedział, że umrze, jeżeli wróci na wojnę. Grzecznie słuchał, podczas gdy one opowiadały mu o wszystkim, co robiły. Pokazały mu swoje robótki - przestały robić na drutach dla Belgów - i teraz robiły skarpety dla żołnierzy. Nell opowiedziała mu o swojej nowej pracy, szyciu mundurów i o tym, że właśnie została brygadzystką, dzięki swojemu doświadczeniu przy kapeluszach, a także o tym, że Lillian

pracowała teraz jako konduktorka w tramwajach. Wtedy Frank uniósł brwi i powiedział: „W życiu!”, bo nie mógł sobie wyobrazić kobiety jako konduktora, a Lillian zachichotała. Obie siostry były tak pełne życia, że w końcu nie mówiono prawie wcale o wojnie, z jednym oczywiście wyjątkiem - powiedział im, że Jack ma się dobrze i przesyła pozdrowienia, a także że w ogóle nie widział Alberta, który jednak był o wiele bardziej bezpieczny za wielkimi działami w artylerii, niż gdyby był w okopach.

Wtedy Rachel, ta ropucha w kącie, nieoczekiwanie przemówiła. „W tych okopach musi być okropnie”, powiedziała, a Frank z uśmiechem wzruszył ramionami i powiedział: „Ach, nie jest aż tak źle, pani Barker”, i upił następny łyk z niezapominajkowej filiżanki.

Prawie całą resztę urlopu Frank spędził albo z jedną, albo z drugą z dziewcząt. Zabrał Nelly na musical w „Empire”, a Lillian zabrała go na spotkanie w Towarzystwie Edukacyjnym, ale to okazało się trochę ponad jego siły. Byli tam sami kwakrzy uchylający się od służby wojskowej oraz socjaliści i mówiono tylko o pertraktacjach w sprawie zakończenia wojny. Frank uznał ich za bandę dekonników i cieszył się, że przyszedł w mundurze. „Naprawdę uważasz, że powinnaś się zadawać z takimi jak oni?”, zapytał Lillian, kiedy odprowadzał ją do domu, a ona tylko na niego spojrzała, powiedziała: „Frank!” i roześmiała się. Znacznie lepiej się zabawili, kiedy we trójkę poszli obejrzeć Jane Shore w nowo otwartym kinie na Coney Street, które było naprawdę wspaniałe, z tysiącem składanych krzesel.

Kiedy trzeba było wracać na front, Frank poczuł się znacznie gorzej niż wtedy, gdy wyjeżdżał po raz pierwszy. Nie mógł znieść myśli, że będzie musiał opuścić Nell i Lillian.

Po wyjeździe Franka Lillian i Nell miały masę zajęć. Całymi godzinami pracowały, a prócz tego miały Rachel, z

którą ciągle się kłóciły, chociaż nawet ona nie była aż tak straszna jak ich strach przed zeppelinami. Kupiły ciemnoniebieskie płótno na okna u Leaka i Thorpa i miały obsesję na punkcie zaciemnienia, zwłaszcza po tym jak biedna Minnie Havis, sąsiadka, musiała stawić się w magistracie, bo zostawiła odsłonięte światło. Tom regularnie przychodził z wizytą, choć prawie nigdy nie przyprowadzał swojej niedawno poślubionej żony Mabel. Lillian stwierdziła, że Mabel to ciepłe kluchy, za to Nell nawet ją polubiła. Kiedy ktoś pytał je, czy ich brat to dekownik, były oburzone, jednak Nell w głębi ducha uważała, że nie jest to dowód wielkiej odwagi, kiedy ktoś uzyskuje w taki sposób zwolnienie. Lillian zapytała, czy to nie wystarczy, że mają już jednego brata, który może zginąć. A Nell rzuciła w nią poduszką, bo nigdy, przenigdy nie myślała, że Albert mógłby zginąć, więc mówić coś takiego to było jak jakiś potwornie zły omen. Tom pomógł im umocować na oknach zasłony z płótna, ale wyśmiał ich obawy przed atakami zeppelinów. Uwierzył w nie później, kiedy stracił rękę, a one pojechały odwiedzić go w szpitalu, i przynajmniej nikt nie mógł oskarżać go o to, że był dekownikiem - nie z taką ręką. Nell miała właśnie napisać list do Alberta o całym tym zamieszaniu, a tymczasem to on je zaskoczył, kiedy nagle stanął w progu, bo dostał urlop. Rachel powiedziała tylko: „Jeszcze jedna gęba do koryta”, ale ona przecież nigdy nie lubiła Alberta.

Kiedy zobaczyły Alberta, były przekonane, że urósł; żadna z nich nie pamiętała, żeby był taki wysoki. Miał delikatnie podkrążone oczy i gdyby mu na to pozwoliły, przespałyby cały ten czas, kiedy był w domu. Kiedy pytały go o wojnę, zawsze odpowiadał żartem i właściwie nigdy nic im nie powiedział. Strasznie były spragnione Alberta - chciały z nim spędzać każdą chwilę, choćby na niego patrząc, takie były szczęśliwe, że znowu był w domu. Przedtem to Albert zawsze się nimi

opiekował, teraz one chciały to robić, więc wieszały mu się na szyi i głaskały go po włosach, jakby był ich dzieckiem, a nie starszym, dryblasowatym bratem. Kiedy wyjeżdżał, odprowadziły go na stację, a potem jeszcze przez dziesięć minut po jego odjeździe stały na peronie, patrząc na pustą tory. Póki stały, miały uczucie, że nie pozwoliły mu odejść. W końcu z trudem zmusiły się, żeby pójść do domu, gdzie Rachel powiedziała: „A więc wyjechał, co? To światło waszego życia?”

Frank był przekonany, że tym, co w końcu dotarło do Jacka, musiał być hałas. Ogień zaporowy nie ustawał przez trzy dni i trzy noce i w miarę jak działa stawały się coraz głośniejsze, Jack wydawał się coraz cichszy i spokojniejszy. I chociaż nie zwariował od tego, jak niektórzy z chłopaków - zrobił się za to jakby zbyt spokojny. To dziwne, ale ten hałas nie męczył już tak bardzo Franka, który uznał, że to dlatego, iż zdążył się przyzwyczaić do ciągłego huku haubic. Tymczasem prawda wyglądała tak, że ogłuchł na prawe ucho.

Tak czy inaczej, to nie hałas męczył Franka. To śmierć nie dawała mu spokoju - albo raczej pytanie, w jaki sposób umrze. Nie miał wątpliwości, że zginie; w końcu był tu już prawie dwa lata i jego szanse na to wciąż rosły. W czasie wojny Frank zaczął się modlić. Teraz nie modlił się już o to, żeby nie zginąć, ale o to, żeby widzieć nadchodzącą śmierć. Przerazała go myśl, że mógłby umrzeć bez ostrzeżenia, i modlił się, żeby mógł przynajmniej zobaczyć pocisk, który miał go ugodzić, tak żeby zdążył się przygotować. Albo żeby mógł w jakiś magiczny sposób przewidzieć kulę snajpera, która miała roztrzaskać mu mózg, zanim dowie się o tym jego ciało. I jeszcze proszę cię, Boże, błagał, nie pozwól, żebym został zagazowany. Zaledwie tydzień wcześniej prawie cały batalion w okopie przebiegającym równoległe do jego okopu (batalion kumpli z fabryki w Nottingham), został zmieciony przez niską

falę gazu, która podpełzła do nich po cichu i wzięła ich przez zaskoczenie. A teraz wszyscy spokojnie zanurzali się w śmierć w jakimś polowym szpitalu.

W noc przed atakiem nikt nie mógł zasnąć. O czwartej nad ranem, kiedy było już jasno, Frank i Jack stali oparci o ścianę okopu, obłożoną workami z piaskiem. Frank skrzył dla nich obu po papierosie i jednego dla Alfa Simmondsa, który miał wartę i kulił się nad nimi na stanowisku strzelniczym. Potem Jack zaciągnął się skrętem i nie patrząc na Franka, powiedział: „Ja nie idę”. „Gdzie nie idziesz?”, zapytał Frank, a Jack roześmiał się i wskazując w kierunku ziemi niczyjej, powiedział: „Oczywiście tam - ja tam nie idę”.

Alf Simmonds także się roześmiał i powiedział: „Nie mam ci tego za złe, chłopie”, bo myślał, że to żart, ale Frankowi zrobiło się słabo, ponieważ wiedział, że Jack nie żartuje.

Zanim przyszedł rozkaz, zrobiło się zupełnie cicho. Umilkły działa i nie było śmiechu ani żartów, ani nic, tylko cisza oczekiwania. Frank patrzył w górę, na chmury przesuwające się po błękitnym niebie. Małe białe dymki płynęły ponad pasem ziemi niczyjej, zupełnie jakby był to jakikolwiek inny element krajobrazu, a nie miejsce, na którym miał wkrótce polec. Nowy porucznik był zielony jak trawa, która dawno przestała już tam rosnać. Na jego czole perlily się kropelki potu, wielkie jak krople deszczu. Nigdy przedtem nie mieli tak nerwowego porucznika jak on. Ani tak wrednego. Frank podejrzewał, że gość już niedługo oberwie od snajpera, i to niekoniecznie ze strony wroga. Wciąż nie mogli odzłować Malcolma Innesa - Warda, który był z nimi przez sześć miesięcy, zanim dostał w oko. Kiedy pomagał wyciągać rannego z ziemi niczyjej, został trafiony przez snajpera. Żołnierz, który mu pomagał, również zginął, a ranny i tak zmarł na gangrenę, więc cała ofiara poszła na marne.

Jack dobrze żył z Malcolmem Innesem - Wardem. Spędzili razem wiele godzin w oficerskiej ziemiance, rozmawiając o życiu i o polityce, więc szczególnie ciężko przeżył jego śmierć. Innes - Ward i ten hałas - oto, co podziało na Jacka, zdecydował Frank.

Kiedy przyszedł rozkaz, żeby wyjść z okopów, doznali przede wszystkim ulgi. Wszyscy zaczęli się hurmem wspinać po drabinach i na parapet, aż zostało ich tylko trzech - Frank, Jack i nowy porucznik. Frank sam nie wiedział, dlaczego się nie ruszył, tak naprawdę była to tylko chwila wahania - chciał się upewnić, że Jack z nim idzie - ale wtedy nowy porucznik zaczął na nich krzyczeć, wymachując bronią. Wrzeszczał, że jak nie pójdą, to ich zastrzeli, a wtedy Jack odezwał się ze spokojem: „Oficerowie zazwyczaj idą na czele, sir”. Nim Frank zdążył się połapać, zobaczył przed sobą wylot lufy Lee - Enfielda ich nowego porucznika. Wtedy Jack powiedział: „Nie musi pan tego robić, sir, już idziemy” i prawie wywłókł Franka na górę. Nie zdążyli nawet przejść przez parapet, kiedy Jack ryknął: „Leć!” i Frank pobiegł, bo teraz bardziej obawiał się broni porucznika niż tego, że wyleci w powietrze.

Frank postanowił nie spuszczać Jacka z oczu. Był z jakiegoś powodu przekonany, że jeśli będzie się go trzymać, szanse na to, że zginie, będą mniejsze. Wbił wzrok w odznakę pułku na plecach bluzy Jacka i w strzępek materiału zawiązany jak kokarda na parczanej taśmie. Nie minęło jednak parę sekund, a Jack gdzieś mu zniknął i Frank spostrzegł, że jest sam i posuwa się naprzód poprzez coś, co Wyglądało jak ściana z mgły, a było dymem z ciężkich dział, które znowu zaczęły strzelać. Mgła zdawała się nie mieć końca, ale Frank szedł wciąż przed siebie, mimo iż nie natrafił ani na Jacka, ani na żadnego innego żołnierza - żywego czy martwego.

Dopiero po dłuższym czasie zrozumiał, co się stało. Umarł. Musiało się to stać wtedy, gdy po raz pierwszy stracił

Jacka z oczu. Pewnie został trafiony kulą snajpera i nie szedł już teraz przez pas ziemi niczyjej, tylko przez piekło, bo widocznie tak właśnie miało wyglądać jego piekło - miał brnąć bez końca poprzez ziemię niczyją, wprost na okopy wroga.

Właśnie kiedy przestawiał swoje myślenie na nowe tory, poślizgnął się i zaczął się ni to zsuwać, ni spadać po zboczu olbrzymiego, błotnistej krateru, trzymając nad głową broń i wrzeszcząc na cały głos, bo była to jedna z otchłani piekielnych i zapewne nie miała dna.

A potem nagle przestał się zsuwać i spadać, i krzyczeć, i wtedy uświadomił sobie, że przebył dopiero jakieś dwie trzecie drogi. W dole była gęsta, błotnista woda, a na tej brunatnej wodzie, twarzą w dół, unosiło się jakieś ciało. Wokół ciała pływał szczur, zataczając powolne, leniwe kręgi. Frank nagle przypomniał sobie, jak razem z Albertem uczyli się pływać pewnego letniego, skwarneego dnia. Było to wiele lat temu, choć teraz równie dobrze mogło to być i w innym życiu. Byli na Clifton Ings i rzeka Ouse miała ten sam gęsty kolor, co woda w leju. Jack chorował na odrę, więc tego dnia byli tylko we dwójkę. Frank zamknął oczy i wcisnął się w miękkie, błotniste zbocze leja, uznając, że najbezpieczniej będzie schronić się w przeszłości.

Starał się mocno skoncentrować, aż poczuł żar słońca z lat dziecinnych na swoich chudych, dziewięcioletnich ramionach. Czuł zapach dzikiej pietruszki i głogu nad brzegami Ouse. Przypomniał sobie pierwsze zetknięcie z wodą, szok termiczny i to dziwne uczucie, kiedy się przebiera palcami od nóg w błotnistym dnie. A także drapiące źdźbła sznurka, który wzięli ze sobą, żeby się nim kolejno obwiązać - kiedy jeden pluskał się w rzece, drugi stał na straży, gotów przyciągnąć go z powrotem, gdyby zaczął tonąć. I wierzbę, pokrytą

srebrnozielonymi listkami, zwieszającą się nad wodą jak włosy dziewczyn.

Frank tkwił w leju przez kilka godzin, przeżywając na nowo swoją pierwszą lekcję pływania z Albertem, aż wreszcie, pod koniec dnia, udało im się obu dopłynąć prawie do połowy rzeki. Zmęczeni, lecz triumfujący, leżeli na twardej, suchej Ziemi pod wierzbą, póki woda nie wyparowała z ich skóry. Frank przypomniał sobie, że miał w kieszeni kurtki kanapki (to było jeszcze, zanim jego matka umarła), więc siedzieli i jedli zgniecione kwadraciki chleba z dżemem truskawkowym. Kiedy skończyli, Albert zwrócił do Franka umazaną dżemem twarz i powiedział: „Ale to był fajny dzień, no nie, Frank?”

Frank pomyślał, że widocznie musiał zasnąć, bo gdy spojrział w górę, stwierdził, że mgła się rozwiała, a niebo jest jasnoniebieskie. Nad nim, na krawędzi leja, stał roześmiany Albert i pierwsze, co przyszło Frankowi na myśl, to jak idealnie Albert przypomina anioła, nawet w mundurze w kolorze khaki i z jasnymi lokami upchniętymi pod czapką. Na złocistej skórze jego policzka widniała cienka smużka krwi i smaru, a oczy miał błękitne jak niebo - ciemniejsze nawet niż niezapominajki na serwisie do herbaty we frontowym pokoju na Lowther Street.

Frank próbował się odezwać do Alberta, ale ani jedno słowo nie chciało się wydostać z jego ust. Widocznie być nieżywym - to tak jak być uwięzionym we śnie. A potem Albert podniósł rękę, jakby chciał mu pomachać na pożegnanie, odwrócił się i zniknął za krawędzią leja. Kiedy Frank stracił Alberta z oczu, ogarnęła go straszliwa rozpacz, jakby ktoś z niego coś wyrwał, i zaczął dygotać z zimna. Po chwili doszedł do wniosku, że najlepsze, co może zrobić, to spróbować odnaleźć Alberta, więc wygramolił się z leja i ruszył mniej więcej w tym samym kierunku, w którym zniknął

Albert. Kiedy po jakimś czasie dowlókl się do punktu opatrunkowego i oświadczył pielęgniarce, że już nie żyje, siostra powiedziała tylko: „No to idź i usiądź tam w kącie, obok porucznika”. Więc Frank podszedł do ściany, obłożonej workami piasku, pod którą stał młody podoficer o kulach i patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem (jedno oko miał zabandażowane). Frank sięgnął do kieszeni i ze zdumieniem odkrył, że ma jeszcze tytoń, więc skręcił dwa papierosy i jeden dał porucznikowi. Potem pomógł mu zapalić (bo podoficer miał straszne kłopoty z jednoocznym widzeniem) i obaj martwi mężczyźni stali obok siebie w milczeniu, zaciągając się* dymem i odczuwając przy tym miły zawrót głowy, a pierwszy dzień bitwy nad Sommą rozpływał się w mroku.

Lillian pobierała właśnie opłaty za przejazd tramwajem w środku Blossom Street, kiedy nagle jej ciałem wstrząsnął zimny dreszcz, mimo iż dzień był upalny. Bez namysłu zdjęła przez głowę maszynkę do wydawania biletów i zostawiła ją na siedzeniu, a następnie pociągnęła za sznurek i - ku zdumieniu wszystkich pasażerów - wysiadła z tramwaju. Pomaszzerowała w górę Blossom Street, a potem w dół Micklegate. Nim dotarła do mostu na Ouse, puściła się biegiem, a biegła tak, jakby wszyscy umarli deptali jej po piętach. Wreszcie skręciła w Lowther Street i tam zobaczyła, że Nell już na nią czeka. Nell siedziała na progu. Wszystkie spinki wypadły jej z włosów, a na jej bluzce widniały wielkie plamy potu. Przyciskając ręce do falujących żeber, Lillian przypadła do małej drewnianej furtki przed domem i dławiąc się, usiłowała złapać oddech. A Nell po prostu siedziała bez ruchu, oparta o framugę drzwi, z twarzą uniesioną ku słońcu. Ona nie przybiegła z domu. Wyszła z zakurzonej, dusznej sutereny, gdzie przez cały dzień zszywano mundury, i wolnym krokiem

ruszyła wzdłuż Monkgate, zupełnie jakby się wybrała na niedzielny spacer.

Nie mogły się dostać do środka, bo Rachel wyszła na zakupy, a żadna z nich nigdy nie pamiętała o kluczu, więc przez chwilę po prostu patrzyły na siebie, zdumione siłą woli, która nakazała im wrócić do domu.

To Lillian w końcu przerwała milczenie. „On nie żyje, prawda?“, wydyszała, zatraskując za sobą furtkę i idąc wolno ścieżką, by w końcu osunąć się na próg, obok Nell. Po dłuższej chwili, kiedy słońce schowało się za linią dachu, biorąc kurs na następną ulicę, powiedziała: „On jest już w niebie“. Nell spojrzała w górę, w przejrzyste, rozświetlone niebo, jakby Albert miał im się ukazać pośród zastępów niebieskich, ale nie było tam nic, ani jednej chmurki, ani nawet jaskółki szybującej w powietrzu po leniwych, ciepłych prądach.

Nim Lillian i Nell otworzyły telegram, który Lillian głośno przeczytała Rachel, „Z przykrością informujemy, że Albert Barker zginął w akcji 1 lipca 1916 roku. Rada Wojenna przesyła wyrazy współczucia“, obie siostry już od tygodnia były w żałobie.

Moździerz rozniósł stanowisko armatnie Alberta; pocisk wylądował na samym czubku ciężkiej haubicy, rozrzucając w powietrzu ciała artylerzystów, którzy wylądowali promieniście wokół tego, co zostało z ich działa. Jedynym śladem na ciele Alberta była smużka krwi i smaru na jego opalonym policzku. Na twarzy miał radosny uśmiech, jak zgubione dziecko, które właśnie zobaczyło w tłumie matkę. Można by się zastanawiać, co go zabiło, i dopiero kiedy go podnieśli, okazało się, że brakowało mu tyłu głowy.

Frank nie mógł się nadziwić, że Albert był martwy, choć wyglądał, jakby nic mu się nie stało, a Jack, zlany krwią od stóp do głowy, tak że przypominał jednego z pierwszych

męczenników kościoła, wciąż był żywy. To, że cała ich trójka pojawiła się tego samego dnia w tym samym punkcie opatrunkowym, uznał za rzecz najzupełniej naturalną - ten zbieg okoliczności wcale nie zdziwił go bardziej niż fakt, że jedynym trupem, jakiego zobaczył przez cały dzień (z wyjątkiem żołnierza na dnie błotnistej lejki, który leżał tam już od kilku dni), był Albert. Jack nie odezwał się do Franka; prawdę mówiąc, przeszedł obok martwego Franka, nie widząc go, a krew lała mu się strumieniami po twarzy.

Kiedy Frank wpadł do lejki, Jack wyprzedził go zaledwie o kilka jardów. Szedł po prostu przed siebie; przeszedł przez pas ziemi niczyjej, podczas gdy pociski z moździerzy eksplodowały wokoło, a kule z karabinów maszynowych przelatowały mu obok głowy. Aż wreszcie - ku swojemu wielkiemu zdumieniu - znalazł się na wprost drutów kolczastych, odgradzających niemieckie okopy. Nawet wtedy nie zatrzymał się, ale przeszedł przez druty, jakby działając w znieczuleniu, i szedł dalej, póki nie natrafił na kolejne zasieki z drutów kolczastych. Widok tych wszystkich drutów wcale go nie zdziwił, mimo iż od wielu dni wystrzeliwali pociski, które miały je zniszczyć. Nagle i nieoczekiwanie Jack znalazł się w niemieckim okopie i szedł nim tak długo, aż dotarł do małej, przytulnej ziemianki. Pomyślał wtedy, że jest ona o wiele lepiej skonstruowana niż ziemianka Innesa - Warda - zapomniał, że Innes - Ward już nie żyje i właściwie spodziewał się spotkać go za następnym zakrętem. Tak się jednak nie stało. W ziemiance natknął się na trzech skulonych niemieckich żołnierzy, młodych chłopców. Jeden był bardzo jasnym blondynem, jeden był bardzo wysoki, a jeden bardzo krępy. Jack roześmiał się, bo przypomniał sobie musical, oglądany w „Empire” przed wojną. Trzech młodych ludzi, wyglądających zupełnie jak ci niemieccy żołnierze, tańczyło w nim i śpiewało piosenkę, której nie mógł sobie teraz

przypomnieć. Wykonywali zabawny numer, w którym kolejno podawali sobie kapelusz z głowy na głowę, a publiczność była zachwycona. Co to była za piosenka? Stał, śmiejąc się i częściowo spodziewając, że jeden z nich powtórzy numer z cylindrem, ale nikt się nie poruszył, więc Jack uniósł w końcu swojego Lee - Enfieldda i wystrzelał cały magazynek. Wtedy każdy z żołnierzy kolejno odrzucił głowę do tyłu i zsunął się po ścianie ziemianki, obłożonej workami z piaskiem. Ostatni z nich miał na twarzy wyraz tak wielkiego zdumienia, że Jack znowu wybuchnął śmiechem i pomyślał, że w gruncie rzeczy to też nie był taki zły numer. A potem odwrócił się i odszedł z uczuciem, że już nigdy nie przypomni sobie tej piosenki.

Po bitwie pod Sommą Jack dostał urlop. Pojechał do domu po raz pierwszy od prawie dwóch lat. Jego rany prawie całkiem już się zagoiły - były to zdumiewająco powierzchowne skaleczenia - a jego dłonie i twarz pokrywały teraz drobne, nitkowate blizny, które napawały Nell dumą, jako że z pewnością nie były oznaką tchórzostwa. Prawdę mówiąc, Jack dostał nawet medal za odwagę i zabicie trzech Niemców, a Nell była rozczarowana, bo nie chciał go nosić, kiedy z nią wychodził. Męczyła go o to kilka razy, aż wreszcie odwrócił się i spojrzał na nią z tak dziwnym wyrazem w oczach, że prawie się przeraziła.

Był bardzo dziwny przez cały urlop. Co dzień zachodził do domu na Lowther Street, ale prawie wcale się nie odzywał, siedział tylko przy stole, skwaszony i markotny, aż Nell w końcu pogniewała się na niego o to, że tak się z nią nie liczył. Rozmawiał za to z Lillian. Lillian wstąpiła do miejscowego oddziału stowarzyszenia propagującego przejście na system dziesiętny i chodziła na wszelkiego rodzaju wykłady, a Rachel powiedziała Jackowi, że Nell kocha wszystko, co obce, zupełnie jak Arnold Rowntree, ale Jack tylko się roześmiał. Wyglądało na to, że Jack i Lillian prawie we wszystkim się

zgadzali. Jack powiedział nawet, że według niego dekonwicy są odważni, a Nell o mały włos nie upuściła filiżanki. Irytował ją widok tych dwojga, siedzących z nachylnymi ku sobie głowami i rozmawiających o Bóg wie czym. Po raz pierwszy w życiu Nell poczuła, że nie lubi swojej siostry.

Nell i Jack omal się nie pobrali podczas tego urlopu. Rozmawiali nawet o uzyskaniu specjalnego zezwolenia - Jack przyjechał tylko na tydzień - ale jakimś sposobem dni mijały szybciej, niżby się można spodziewać. Poza tym Jack jakby się do tego nie palił - nie dlatego, żeby jej nie kochał, ale, jak twierdził, dlatego że nie chce, żeby została wdową. A Nell mu się nie sprzeciwiała, bo nie mogła przecież powiedzieć, że wolałaby zostać wdową, niż być po raz drugi zbolaną narzeczoną.

Tuż przed powrotem Jacka na front poszli obejrzeć Bitwę nad Sommą w „Electric Cinema” na Fossgate. Nell wypatrywała Alberta w przekonaniu, że na ekranie mignie im jego uśmiechnięta twarz, chociaż wiedziała, że gdyby tak się stało, ciężko byłoby jej sobie z tym poradzić. Wszyscy żołnierze byli uśmiechnięci i roześmiani, jakby uważali, że wojna to świetny żart. „Niezły ubaw”, jak się kiedyś wyraził Albert. Uśmiechali się oczywiście do kamery, niemal dało się słyszeć, jak kamerzysta mówi: „Chłopaki, uśmiech!”, kiedy kolumny wojsk wlokły się w drogę na front. Wszyscy odwracali się i machali z uśmiechem, jakby Somma była co najwyżej jednodniową wycieczką. Film ukazywał wiele przygotowań - wojska w ruchu, ogień zaporowy. Widać było strzelające działa, a w oddali małe obłoczki dymu, przypominające chmurki. Ponieważ nie było dźwięku, wydawało się, że nad Sommą rozgrywa się bardzo spokojna bitwa. Nell patrzyła, jak trzech mężczyzn w samych tylko koszulach ładują ciężkie działo, i nagle ścisnęło ją w gardle,

bo przypomniawsza sobie dzień, w którym Jack naprawił ławkę na podwórzu.

Potem było dużo zdjęć niemieckich jeńców, których angielscy żołnierze częstują papierosem, oraz przemarsze rannych z obu stron, kuśtykających przez okopy. Niewiele było natomiast samej bitwy, rozgrywającej się w tym czasie. Na jednym ujęciu widać było mężczyzn, którzy dostali właśnie rozkaz, żeby wyjść z okopów, więc wyszli wszyscy z wyjątkiem jednego, który stanął na szczycie okopu, a potem łagodnie osunął się w dół. Było też zdjęcie martwych koni i podpis mówiący, że dwaj niemi przyjaciele złożyli najwyższą ofiarę, ale ogólnie rzecz biorąc, wyglądało na to, że pod Sommą było mało ofiar i wszyscy się dziwili, co się właściwie z nimi stało. (Na swój sposób odzwierciedlało to przeżycia Franka z nad Sommy).

Nawet Nell uznała, że była to niewystarczająca relacja. Kiedy zapaliły się światła i ludzie zaczęli z szurgotem podnosić się z krzeseł, oboje z Jackiem siedzieli jeszcze przez chwilę, a potem Jack nachylił się do niej i bardzo cicho powiedział: „To wcale nie było tak, Nell”, a Nell odpowiedziała: „Myślę, że nie”.

A potem Jack wyjechał, ale nie na front, tylko do Shoeburyness. Frank nie posiadał się ze zdumienia, bo Jack związał się w jakiś sposób ze znajdującą się tam nową szkołą tresury psów i zamierzał zostać treserem psów - posłańców.

Jack nie słyszał już więcej huku dział. Nadal tam były, ale on ich po prostu nie słyszał. W nocy leżał w łóżku, mając w nogach Betsy, i wtedy właśnie odkrył, że dzięki regularnemu oddechowi tego małego pieska jemu samemu łatwiej było zasnąć. Sypianie z psami było absolutnie wbrew przepisom. Psy miały być zamykane na noc w swoich boksach. Jack przekonał się jednak, że im bardziej lekcewazył przepisy w tym czasie, tym łatwiej przychodziło mu je złamać. Betsy była

jego ulubienicą - małą, oddaną welshterrierką, gotową skoczyć zanim w ogień. Pozostałą dwójkę także kochał, ale już nie tak jak Betsy. Bruno, owczarek niemiecki, był dużym, flegmatycznym psem. Jack i Bruno dobrze się rozumieli. Obaj wiedzieli, że muszą zginąć, i z tego powodu zachowywali między sobą pełen szacunku dystans. Czasami, w chwilach ograniczonej świadomości, Jack zaczynał wierzyć, że duch Malcolma Innesa - Warda odrodził się w psie Bruno. Kiedy siadywał w nocy z Bninem na ziemi, przed boksami, tak jak przesiadywał z Innesem - Wardem, z trudem powstrzymywał chęć, by nie skręcić papierosa i nie podać go temu dużemu, dobrze ułożonemu psu.

Trzeci był Pep, mały Jack Russell, najgrubszy i najlepszy ze wszystkich psich posłańców. Pep lubił swoje kursy; wojna była dla niego zabawą. Wracał pędem, z przesyłką w małym kanisterku na szyi („Więcej amunicji potrzeba w takim to a takim okopie" albo cokolwiek) - pruł przed siebie, ledwo dotykając ziemi małymi łapkami, omijając leje po pociskach, przeskakując przeszkody, koziółkując i znowu zrywając się na nogi, by na koniec skoczyć wprost w ramiona Jacka. Pep był kiedyś pieskiem domowym. Jack widział list, który nadszedł wraz z nim: „Pozwoliliśmy Tatusiowi iść na wojnę z Kaiserem, a teraz przysyłamy Peta, żeby zrobił swoje. Pozdrowienia, Flora". Mieli dużo domowych psów. Jack widział, jak po pierwszym apelu zwożono je do Shoeburyness całymi ciężarówkami. Niektóre z nich pochodziły z psich azylów, które na skutek wprowadzenia kartek na żywność pękały w szwach od niechcianych zwierząt. Ale część przyjechała wprost od swoich państwa. Jack często zastanawiał się nad tym, co by sobie pomyślały te rodziny, gdyby mogły zobaczyć, jak wybiera się psy do szkolenia. Jemu samemu trudno było to zrozumieć. Psy karmiono tylko raz dziennie - widziały, jak wykładano dla nich jedzenie tuż

przed otwarciem boksów, a treserzy musieli w tym czasie rzucać granaty do pobliskiego dołu. Granaty robiły oczywiście przerażający hałas i na początku ani jeden pies nie odważył się sięgnąć po jedzenie. Trzeciego czy czwartego dnia psy były już strasznie wygłodzone i te bardziej odważne, które miały ewentualnie pojechać na front, przekradały się do misek przez ich własną wersję ziemi niczyjej, a potem jak najszybciej pożerały karmę, żeby móc pędem wrócić i schronić się w boksach. Najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że po paru dniach te właśnie psy szarpały się na smyczy, żeby wyjść z boksów, gdy tylko rzucono pierwszy granat.

Psy, które się nie nadawały, czasami odsyłano. Te, które miały szczęście, trafiały do azylów albo z powrotem do swoich właścicieli, ale większość zostawała po prostu zastrzelona. Jack przeżył wiele bezsennych nocy z powodu kilku takich psów. Zwłaszcza jeden nadal spędzał mu sen z powiek - mała, łagodna spanielka o kasztanowej sierści, imieniem Jenny, skamieniała ze strachu wśród huku granatów, i w końcu zastrzelona na tyłach placu apelowego. Nawet teraz, po powrocie na front, Jack widział wielkie, łagodne oczy suczki, zwrócone ku niemu z wyrazem niedowierzania z powodu tego, co się z nią działo. Za każdym razem, kiedy przypominała mu się Jenny, wyciągał rękę i dotykał ciepłej sierści Betsy, a ona, jakby w geście przebaczenia, przewracała się i wtykała mu w dłoń swój mokry nos.

Frank uważał, że Jack go zdradził, i Jack o tym wiedział. Psy to był łatwy numer, a ich boksy znajdowały się na tyle daleko od linii frontu, że było tam bezpiecznie - a przynajmniej o wiele bezpieczniej niż w strzeleckich okopach. Frank wygłaszał tę opinię często i hałaśliwie, przed każdym, kto chciał tego słuchać. Często zastanawiał się też, w jaki sposób Jack to sobie zorganizował, aż wreszcie Jack sam mu powiedział, że to brat Innesa - Warda załatwił mu tę pracę.

„Ale z ciebie pieprzony szczęściarz”, powiedział Frank, kiedy któregoś razu natknął się na Jacka. Frank był w pomocniczych okopach, ale poszedł za Jackiem do okopów strzeleckich, gdzie Jack zabierał Bruna do pomocy w zakładaniu linii telefonicznej. Pies, ze szpulą kabla przywiązaną na grzbiecie, pomknął kłusem, z uszami na baczność i machając ogonem, zupełnie jakby się wybierał na codzienny spacer po parku. Część linii ciągnęła się przez pas ziemi niczyjej. Jack przewiesił się płasko na brzuchu przez parapet i pogwizdywał, żeby dodać psu odwagi, starając się nie zwracać uwagi na Franka, który ciągle nie chciał się zamknąć. „Zginę”, powtarzał w kółko Frank, który powrócił z krainy zmarłych i martwił się, że znowu umrze. Miał teraz niezachwianą wiarę w to, że jego śmierć jest nieunikniona. „Rozerwie mnie na strzępy, a tobie i tym pieprzonym psom nic się nie stanie. Wrócisz sobie do domu, ożenisz się z Nell i będziesz miał fajnie, a ja będę zimną mazią w ziemi, a wiesz dlaczego? Bo ty jesteś pieprzony szczęściarz, a ja nie”.

Jack skupił uwagę na psie, który właśnie pędem pokonywał kilka ostatnich, dzielących ich jardów.

„Bardziej byś się przejął, gdyby jakiś snajper trafił tego psa, niż mnie”, syknął Frank, kiedy ciężki pies jednym susem przesadził parapet, a Jack uściskał go i powiedział: „Greczny chłopak, Bruno” i podał mu z kieszeni jedzenie. Jack nic nie odpowiedział - co mógłby powiedzieć, skoro to wszystko była prawda. Bruno rzeczywiście znaczył dla niego więcej niż Frank.

Frank, w zaczepnym nastroju, kręcił mu się wciąż pod boki, czekając, aż Jack powie coś, od czego poczułby się lepiej. Ale jedyną rzeczą, od której Frank mógłby się poczuć lepiej, byłaby świadomość, że nie umrze, a on, niestety, nie mógł działać zbyt wiele w tej sprawie. Zdjął psu z grzbietu szpulę kabla i schował do plecaka. A potem podniósł klapkę

przy kieszeni od kurtki, wyjął coś małego o dziwnym kształcie i wsunął Frankowi w rękę. Przez moment Frank myślał, że to psia łapa. Dopiero kiedy na nią popatrzył, zobaczył, że jest za mała, jak na psa. „Królicza łapka”, powiedział Jack, „na szczęście”, a potem odwrócił się na pięcie, zawołał „Bruno” i pies razem z nim ruszył w górę okopu i skręcił w prawo, zanim Frank zdążył wymyślić jakąś odpowiedź.

Jack dużo myślał nad tym, co Frank mu powiedział. Z jednej strony odczuwał wstyd, że już mu na nikim specjalnie nie zależy, z drugiej strony nieuchronne przecucie śmierci sprawiało, że poczuł się wyzwolony. Myśl, że miałby wrócić do domu i ożenić się z Nell, zostać ojcem, a potem się zestarzeć, wydawała mu się tak absurdalna i tak nieprawdopodobna, że wręcz śmieszna. Już to widział - jak wraca do domu po pracy, a Nell skacze wokół niego w fartuszkach i ustawia na stole herbatę; widział siebie, jak kopie na działce w letnie wieczory, jak zabiera swoich synów na mecz - wszystko to widział dokładnie, ale to nie miało mu się nigdy przydarzyć. A zresztą, co za życie miałby z Nell? Na początku mu się podobała, bo była taka miękka - miękka i cicha, i łagodna - teraz jednak ta jej miękkość wydawała mu się głupotą. Jeżeli w tej chwili myślał o jakiejś kobiecie, to raczej o Lillian. Lillian miała w sobie trochę więcej życia - z tymi swoimi ślicznymi kocimi oczyma sprawiała wrażenie, jakby po cichu śmiała się ze wszystkiego, widząc, jak nonsensowny jest świat. Oczywiście myślał też o innych ludziach, kiedy godzinami leżał rozbudzony w ciemnościach. Myślał o Malcolmie Innesie - Wardzie, a także o małej suczce Jenny i o zmieszanym spojrzeniu jej ufnych oczu. Ale najczęściej rozmyślał o Albercie.

Myślał o Albercie i o upalnym dniu sprzed lat, kiedy pływali w Ouse. Albert położył się na brzegu, lśniąc od wody jak ryba, i powiedział: „Razem z Frankiem uczyliśmy się tu

pływać, dokładnie w tym samym miejscu", a Jack usiadł i popatrzył na skórę na plecach Alberta, piękniejszą niż u jakiegokolwiek kobiety. Potem Albert wybuchnął stłumionym śmiechem, kryjąc twarz w ramionach. „Co cię tak śmieszy?“, zapytał Jack, patrząc na podrygujące od śmiechu łopatki Alberta. Można sobie było z łatwością wyobrazić, że lada chwila przez aksamitną skórę na łopatkach przebija się załączki skrzydeł. Dlatego Jack powściągnął chęć, by nachylić się i dotknąć miejsca, z którego wyrosną skrzydła, i znowu zapytał: „Co cię tak śmieszy?“

Ale Albert poderwał się i znowu skoczył do wody, i Jack nigdy się nie dowiedział, czemu Albert tak się śmiał. Może po prostu ze szczęścia, Bo Albert miał niezwykły dar bycia szczęśliwym. Kiedy się rozstali - Albert ruszył w górę Park Grove Street, a Jack miał iść dalej wzdłuż Huntingdon Road - Albert zawołał za nim: „To był bardzo fajny dzień, prawda?“ Potem, po śmierci Alberta, Jack uświadomił sobie, że Albert kolekcjonował dobre dni tak, jak inni kolekcjonują monety albo pocztówki.

Frank nawet się nie zdziwił, kiedy się dowiedział, że Jack nie żyje. Opowiedział mu o tym jego kolega, który widział, jak to się stało. Pep, ten mały Jack Russell, został odesłany z jednego z okopów na linii frontu z wiadomością, że potrzebują więcej magazynków do karabinów Lewisa. Kiedy pędził, jak zwykle w podskokach, machając krótkim, grubym ogonkiem, został trafiony w najwyższym punkcie wyskoku. Upadł na ziemię, z tylnymi łapami rozerwanymi przez szrapnel, a potem z przeraźliwym piskiem próbował stanąć na nogi i pobiec dalej. Jack wrzeszczał i krzyczał, próbując zawrócić Pepa, ale biedny piesek był zbyt ciężko ranny. Wszyscy mówili, że w górze świstał grad kul, mimo to Jack zaczął się czołgać do psa, pokrzykując przez cały czas, by dodać mu otuchy. Może myślał o małej Florze, która przysłała swojego ukochanego

pieska, żeby „zrobił swoje”. Nie zdążył dotrzeć do Pepa, bo granat, który wybuchł tuż za nim, rozerwał go na strzępy, podczas gdy pies był jak opętany. Jednemu z brytyjskich snajperów udało się skrócić męki psa. Tym snajperem był Georgy Mason, który opowiedział Frankowi tę historię, dodając, że gdyby ten pies był jeszcze minutę dłużej, sam by sobie wpakował kulę w łeb.

Frank nie wiedział, co się stało z Brunem, ale przypadek Betsy był bardzo smutny. Nie chciała pracować z żadnym innym treserem i przez krótki czas biegała między linią frontu a boksami, szukając Jacka. A potem już tylko wałęsała się w pobliżu albo leżała niepokieszona na ziemi, tak że wszyscy potykali się o nią i ją przeklinali. W końcu jakiś porucznik odprowadził ją na bok i zastrzelił, bo nikt nie miał już siły patrzeć w jej smutne oczy.

Odkąd Frank dostał tę króliczą łapkę, wiódł zaczarowane życie i nie miał już żadnych kłopotów ze śmiercią aż do 1942 roku. Po zawieszeniu broni wrócił do domu i ożenił się z Nell, która zdążyła już odłożyć mały pierścionek z perełką i granatem obok szafirków Percy'ego. Prawdę mówiąc, nigdy więcej na nie nie spojrziała, aż do chwili, kiedy wyjęła je po niemal trzydziestu latach, żeby je dać bliźniaczkom Daisy i Rose w prezencie z okazji chrzcin.

Wzięli cichy kościelny ślub. Nell miała suknię w kolorze lila, a Lillian szarą. Kiedy Frank zobaczył je razem, pomyślał, że w rękawiczkach zapinanych na perłowe guziczki i wielkich kapeluszach z powiewającymi welonami przypominają blade, trzepoczące ćmy. Żałował, że nie może poślubić ich obu, nie dlatego, żeby kochał Lillian (była zbyt inteligentna, zbyt ironiczna), ale po to, żeby otoczyć ją opieką. Uważał, że to bardzo ważne, żeby zapewnić bezpieczeństwo wszystkim, którzy przeżyli. Kiedy razem z Nell wychylili się przez okno pociągu, który dymiąc, miał ich uwieźć w podróż poślubną

(pojechali nad jeziora, bo z jakiegoś powodu żadne z nich nie mogło znieść myśli o Scarborough), Frank popatrzył na grupkę weselnych gości, machających im na peronie (Rachel, Lillian, Tom i Mabel), i nagle wydało mu się, że widzi swoją starą przyjaciółkę, śmierć, krążącą gdzieś w tle. Z jakiegoś powodu był pewny, że przyszła po Lillian, potem jednak zrozumiał, że przyszła po Rachel, która padła trupem, gdy tylko pociąg zniknął za zakrętem.

Wydawało się, że Frank już na dobre zapomniał o wojnie. Był zdecydowany prowadzić najzwyczajniejsze i najnormalniejsze życie, w którym jedynym problemem będzie ząbkujące dziecko albo mszyce na ulubionej róży, rosnącej przy drzwiach od frontu na Lowther Street. Nie było miejsca na wojenne wspomnienia pośród tego rodzaju domowej sielanki. Choć przyszedł raz taki moment, wkrótce po urodzeniu Barbary, jego pierwszej córki, kiedy Nell posłała go, żeby poszukał agrafki. Buszując w szufladzie komódki, natknął się na fotografię ich drużyny piłkarskiej. Wstrząsnął nim wtedy dreszcz, jakby lodowata woda pociekła mu po kręgosłupie, bo kiedy patrzył kolejno na każdego członka drużyny, uświadomił sobie, że z całej paczki tylko on jeden został przy życiu. Popatrzył na Percy'ego i zachciało mu się śmiać - kiedy Percy umarł, wydawało im się to taką tragedią, a teraz śmierć stała się czymś tak banalnym. Frank wyrzucił fotografię, podarłszy ją przedtem na drobne kawałki, bo wiedział, że ilekroć popatrzy na twarze Alberta i Jacka, będzie sobie przypominał, że to oni powinni żyć, a nie on. Kiedy wrócił na dół i Nell odkryła, że zupełnie zapomniał o agrafce, była na niego zła, ale starała mu się tego nie okazywać. Znalezienie i utrzymanie przy sobie męża to ciężka sprawa, a ona nie chciałaby jeszcze raz przez to wszystko przechodzić.

Frank i Nell mieli pięcioro dzieci - Clifforda, Babs, Bunty, Betty i Teda. Kiedy Clifford przyszedł na świat, miał już

kuzyna. Syn Lillian, Edmund, urodził się wiosną 1917 roku. Lillian nie chciała powiedzieć, kto był jego ojcem, nawet kiedy Rachel próbowała - bezskutecznie - wyrzucić ją z domu. Nell obawiała się przez jakiś czas, że dziecko urodzi się z gęstymi, czarnymi włosami i kośćmi policzkowymi jak muszle ostryg. Byłoby to dla niej dość straszne, ale z jakiegoś powodu poczuła się jeszcze gorzej, kiedy się okazało, że chłopiec ma złote loki jak anioł i oczy koloru niezapominajek.

Rozdział 3

1953

KORONACJA

W olbrzymiej białej sukni królowa wygląda jak balon, który zaraz wzniesie się pod sklepienie Westminster Abbey i będzie tam podrygiwać wśród pozłacanych łuków i okrągłych płaskorzeźb. Żeby do tego nie dopuścić, obciąża się ją płaszczami i szatami, jabłkami i berłami, póki nie zrobi się taka ciężka, że aż biskupi i arcybiskupi muszą ją wprawiać w ruch. Przypomina mi nakręcaną chińską lalkę, którą wujek Ted przywiózł Patricii z Hongkongu - obie suną po dywanie, nie pokazując nóg, i mają na twarzy wyraz namaszczonej powagi. Różnica między nimi jest taka, że nakręcana lalka nie ma stóp, tylko małe kółeczka, podejrzewam natomiast, że stopy nowej królowej są jednak środkiem lokomocji, za pomocą którego przemieszcza się po mięsistym, purpurowym dywanie. Kolor koronacyjnego dywanu jest także tylko przypuszczeniem, bo koronacja (w pomniejszeniu) rozgrywa się w rozmaitych odcieniach szarości na ekranie małego Fergusona w rogu saloniku Nad Sklepem.

Telewizor to nagroda pocieszenia od George'a dla Bunty, za to, że musiała wprowadzić się z rodziną Nad Sklep, zamiast do normalnego domu. Nie możemy rościć sobie jednak praw do tego, że nasz telewizor jest pierwszy na całą ulicę - zaszczyt ten przypada pannie Portello od Haplenda (sklepu z ubrankami dla dzieci). Jesteśmy za to na drugim miejscu, i, co znacznie ważniejsze, na pierwszym w rodzinie, bo żaden krewny ze strony George'a czy Bunty nie nabył jeszcze tego wysoce pożądanego przedmiotu.

Bunty przeżywa rozterki - jest oczywiście dumną z telewizora i chce się nim popisać, a czy może być lepsza okazja niż koronacja? Z drugiej strony nie może znieść obecności tych wszystkich ludzi w domu. Te kanapki! Te

dzbanki herbaty! Czy to się kiedyś skończy? W kuchni smaruje masłem trójkątne placuszki, układając je w wielką pryzmę, jak kostkę brukową. Całymi tygodniami oszczędzała swoje przydziałowe masło na koronacyjne wypieki, gromadząc je w lodówce, razem z tym, które udało jej się wydebić od swojej matki Nell oraz od szwagierki, ciotki Gladys. Napiękła egzotycznych smakołyków, gdyż „Dobra kucharka wie, że nic tak nie świadczy o jej talentach jak atrakcyjne ciasta, wszystko jedno czy zarumienione wprost z pieca czy gustownie przybrane” - to z biblii Bunty, Doskonałej kuchni, Książki kucharskiej kuchenek gazowych Parkinsona.

Prócz trójkącików Bunty podała także talerze kanapek z szynką (szynka dzięki uprzejmości Waltera, zalotnego rzeźnika), „kokosowe magdalenki”, „lamingtony” i „karmelowe paszteciki”, żeby nie wspomnieć o „murzynkach” (z Australii) i „makaronikach” - te dwa ostatnie, jak sędzę, na cześć małych przyjaciół naszej Wspólnoty Brytyjskiej. Wszystkie mają lekki posmak zjełczanego masła, zbyt długo przechowywanego w nowej lodówce Bunty, kolejnej nagrodzie pocieszenia od George'a (Nic, co mniejsze, nigdy nie będzie dostatecznie duże). Bunty zrobiła także kielbaski zapiekane w cieście, ciocia Gladys przyniosła olbrzymi pasztet wieprzowy, a ciocia Babs dwie babki owocowe, wielkie jak koło u wozu - jedną z zachodzącymi na siebie brzoskwiniami z puszki i czereśniami, a drugą z puszkowanymi gruszkami i winogronami. Wzbudziły one wielkie podniecenie i zazdrość. Bunty uważa, że widocznie jej siostra nie ma nic do roboty, skoro ma czas na to, żeby robić takie idealnie równe koła. Powinna spróbować, jak to jest, kiedy się ma tyle dzieci co Bunty, myśli Bunty, dorzucając na stos ostatni trójkącik. Bunty ma tyle dzieci, że już sama nie wie, do czego się brać.

„Zupełnie jak w knajpie", mówi do George'a, kiedy ten przechodzi przez kuchnię, szukając ciemnego piwa. „I jest też za dużo dzieci", dodaje, jakby była jakaś norma, przewidziana na takie wydarzenia.

Jest nas rzeczywiście dużo, a ja jestem jednym z tych dzieci i przemykam się między nogami dorosłych jak pies podczas sprawdzianu zręczności. Tu i tam, i siam - sama nie wiem, jak to się dzieje, że tak szybko się poruszam. W jednej chwili stoję przy telewizorze, a zaraz potem pędzę korytarzykiem do kuchni. Gdyby na moment przymknąć oczy, można by pomyśleć, że się rozdwoiłam. Może sunę na kółkach, jak ta chińska lalka - choć z drugiej strony, jak na swój wiek, jestem bardzo rozwinięta. Ludzie zawsze przyglądają mi się z niedowierzaniem i mówią do Bunty: „Ona jest bardzo rozwinięta jak na swój wiek, prawda?" „O tak, ta akurat jest aż za bystra", potwierdza Bunty.

Nasza lista koronacyjnych gości nie jest aż tak długa jak lista królowej. Choćby dlatego, że nie mamy przyjaciół Wspólnoty, których trzeba by zaprosić, chociaż ciocia Eliza jest jakoby zaprzyjaźniona z jakąś parą z Jamajki - jeden z tematów tabu, zapisanych przez George'a na specjalnej liście (ciocia Eliza jest szwagierką George'a, żoną jego brata, Billa). Zabrania nam się też - między innymi - rozmawiać o operacji cioci Mabel, o ręce wuja Toma i o wåtłości Adriana. Wuj Tom nie jest naszym wujem, tylko wujem Bunty i cioci Babs, a został tu dziś zaproszony, bo nie ma dokąd pójść - ciocia Mabel jest w szpitalu na operacji, o której się nie mówi. (Dłoń wuja Toma to drewniana kopia tej, którą wiele lat temu urwał mu pocisk). Adrian jest naszym kuzynem - jedynakiem wuja Clifforda i cioci Gladys - i wcale nie mamy pewności, czy jest wåtły czy nie, bo nie znamy żadnych innych dziesięcioletnich chłopców, z którymi mogłybyśmy go porównać. Adrian przyprowadził ze sobą swojego boksera, Dandy'ego, i mam

wrażenie, że rozmiary ciasno zrośniętych jąder Dandy'ego, wystających zza jego tylnych łap, to także zakazany temat. Dandy jest akurat na tyle wysoki, żeby móc mnie przewrócić, co robi co chwila, ku wielkiej uciechu Gillian i Lucy - Vidy.

Lucy - Vida to nasza kuzynka, córka cioci Elizy i wuja Bilia (Bunty wolałaby nie zapraszać tej części rodziny). Ciocia Babs także przyprowadziła swojego męża, wujka Sidneya, łagodnego, wesołego człowieka, którego prawie nigdy nie widzimy. Widownia obserwująca koronację wciąż dzieli się na różne partie i frakcje, wśród których najbardziej popularny jest odwieczny podział na mężczyzn i kobiety. Wszyscy są ze sobą w jakiś sposób spokrewnieni (niestety), z wyjątkiem psa Dandy'ego i pani Havis, najbliższej sąsiadki Nell, która nie ma żadnej rodziny (trudno to sobie wyobrazić!).

Gillian jest w swoim żywiole - ma gotową, wdzięczną widownię, rozlokowaną w salonie. Jedynym jej rywalem jest sam telewizor, więc spędza masę czasu, próbując go zagłuszyć. Tańczy przed ekranem, pokazując majtki pod białą sukienką, która składa się z samych huleczek i falbanek i pochodzi prosto z wystawy Haplenda. Nasza kuzynka, Lucy - Vida, ta, co ma włosy jak sznurek i nogi jak patyki, traktuje Gillian jak małe zwierzątko. Za każdym razem kiedy Gillian zaczyna za bardzo działać dorosłym na nerwy, Lucy - Vida mówi coś w rodzaju: „Chodź no tu, moje dziecko”, z wyraźnym dorncasterskim akcentem. Lucy - Vida jest ideałem Gillian, bo chodzi na lekcje tańca. Ma zaczarowane stopy, które po prostu nie mogą przestać stepować, więc jej obecność jest nieustannie sygnalizowana stukotem, jak obecność niewidomej dziewczynki z laską.

Większość widowni w salonie (ale nie wuj Ted, który ma słabość do małych dziewczynek, zwłaszcza kiedy pokazują majteczki), zdradza objawy niezadowolenia, gdy Gillian zaczyna śpiewać The Good Ship Lollipop (niewiarygodne,

lecz prawdziwe. Ona rzeczywiście nadaje nowe znaczenie słowu „rezolutny”). Gillian, jako jedyna z mojego pokolenia, odziedziczyła gen cherubina - i jak przed nią Ada i Albert, ma głowę całą w złotych lokach. Nie wie jeszcze, że ceną za ten nieziemski zaszczyt jest, mówiąc ogólnie, przedwczesna śmierć. Biedna Gillian!

Lucy - Vida dostaje cukierka w nagrodę za to, że wyprowadzi Gillian do holu i nauczy ją pięciu podstawowych pozycji baletowych. W tym czasie - wracając do telewizora - młodej królowej „przypasują miecz”, a Patricia ochoczo uzupełnia pełen szacunku komentarz Richarda Dimbleya fragmentami z Książeczki koronacyjnej dla chłopców i dziewcząt. Dowiadujemy się, że „jest to piękny, symboliczny akt, w którym władza państwowa oddaje się na służbę Bogu”. Cienki głosik Patricii potyka się o słowo „symboliczny” - w końcu ma tylko siedem lat, chociaż w czytaniu jest na czele klasy, jeżeli zaś chodzi o naukę, jest także uważana za przedwcześnie rozwiniętą - szybko jednak bierze się w garść i mówi nam, że „miecz z klejnotami” został wykonany na koronację Jerzego IV, wywołując tym samym spór wśród jednej grupy dorosłych na temat pozycji Jerzego IV w chronologicznym porządku królów - to jasne, że przyszedł po Jerzym I, II i III, ale czy ktoś był przed nim? Ktoś proponuje królową Annę jako bufor między Jerzym III i IV, ale zaraz potem wybucha nowy spór o to, kim właściwie był Jerzy IV, w każdym razie kiedy „był w kraju”. Wujek Bill twierdzi, że to był „ten tłuścioch, który zbudował Brighton”, podczas gdy wuj Clifford upiera się, że to „ten, co utracił Amerykę”. (Powinni zapytać o to nasze domowe duchy, dla których to wszystko było jak wczoraj).

Przyprowadzają Patricię, żeby rozstrzygnęła spór. Obawiam się, że to dość trudne zadanie jak na jej młody wiek, ale ona jest żarliwą rojalistką i zdążyła już zanotować w

pamięci połowę całego drzewa genealogicznego rodziny królewskiej, poczynając od Egberta (827 - 839). Niestety, doszła tylko do Edwarda II i nie potrafi pomóc w sprawie tajemniczych Jerzych.

Inni członkowie tej partii (Nell, pani Havis i ciocia Gladys) przerzucili się już na pozostałych Jerzych (V i VI). Pojawienie się książki Bunty Jerzy V - siedemdziesiąt wspaniałych lat rozpętuje istną orgię nostalgii. Podobnie jak odkrycie, że Książeczka koronacyjna Patricii jest pełna obrazków z koronacji Jerzego VI - „starego króla”, jak go wszyscy pieszczotliwie nazywają, jakby Anglia była jedną wielką baśniową krainą, pełną gęsiarek i „starych królów”, którzy pykają fajkę i noszą bambosze haftowane w złote korony. Kontyngent Jerzych I - IV to również kontyngent amatorów ciemnego piwa - konspiracja mężów, składająca się z wuja Sidneya, wuja Clifforda, wujów Billa i George'a oraz reprezentanta kawalerów, wuja Teda.

Pamiętki koronacyjne zaczynają się teraz wylewać ze wszystkich kryjówek i kątów - należący do mojego ojca dzbanek z okazji koronacji Edwarda VIII, przedmiot upamiętniający wydarzenie, które nigdy nie miało miejsca, przez co nabrał swoistej, filozoficznej wartości, żeby nie wspomnieć łyżeczki koronacyjnej Jerzego VI, własności Eny Tetley, teraz w posiadaniu Bunty, która jest oczywiście - mówiąc fachowo - własnością skradzioną (zobacz Przypis III).

Patricia, jako dziecko w wieku szkolnym, ma największą i najlepszą kolekcję łupów. Wypchnięta na środek sceny, nieśmiało, lecz z dumą prezentuje: 1) kubek koronacyjny, 2) monety koronacyjne w plastikowym portfeliku, 3) medal koronacyjny (identyczny jak ten, który później tego samego dnia nowa królowa przypnie na małej piersi księcia Karola), 4) koronacyjne cukierki toffi we wspaniałej purpurowo - srebrnej puszcze, 5) wspomnianą uprzednio Książeczkę

koronacyjną dla chłopców i dziewcząt i na koniec, choć nie mniej ważną 6) flagę Zjednoczonego Królestwa. Z patriotycznych pobudek Patricia ma dziś na sobie szkolny mundurek - wełnianą sukienkę w brązowo - zieloną kratkę, brązowy zapinany sweterek i brązowy beret. Podobnie jak Gillian, cała w koronacyjnej bieli, także i ja na tę okazję jestem ubrana w moją najlepszą sukienkę z jasnożółtej tafty, z kołnierzykiem à la Piotruś Pan i krótkimi, bufiastymi rękawkami. Lucy - Vida ma na sobie jedną z tych dziwacznych kreacji, uszytych przez ciocię Gladys. Za każdym razem, kiedy Lucy - Vida przyjeżdża w odwiedziny z dzikich ostępów północnego Yorkshire, wygląda, jakby jechała na bal przebierańców. Ciocia Eliza za pomocą swojej śmigającej igły przyozdabia jej jedyną sukienkę olbrzymią ilością tiulowych falbanek, tak że Lucy - Vida, na swoich cienkich, szczudłowatych nogach, wygląda jak jakiś egzotyczny kwiat, który zboczył trochę z kursu.

Wszyscy zdajemy sobie sprawę z tego, że ciocia Eliza jest „prostacka”, tak prostacka, jak tylko to możliwe, zdaniem Bunt. Wiemy, że ma to coś wspólnego z tym, że jej włosy blond mają czarne jak węgiel korzenie i że nosi olbrzymie kolczyki ze sztucznych brylantów. Podejrzewamy też, że ma to coś wspólnego z faktem, że - nawet w dniu koronacji - nie nosi pończoch, a nogi ma całe w dołkach i plamach i bezwstydnie eksponuje sine żyłki. (Nie wspominając już o tym, że jest bardzo mile widziana we frakcji Jerzych I - IV, gdzie jej ochryply śmiech przetacza się nad mężczyznami i godzi ich z istnieniem kobiet). Ręce cioci Elizy wydają się nieustannie zajęte drinkami i papierosami, i nawet jeżeli już ma wolną rękę, to zaraz chwyta jakieś przechodzące dziecko, żeby złożyć na jego policzku wilgotny, rozmazany pocałunek - zachowanie co najmniej niezwykle w naszej rodzinie.

Ciocia Eliza przywiozła wszystkim małym dziewczynkom prezenty - własnej roboty wianki z marszczoną bibułką, zupełnie takie jak te, które mają damy dworu naszej królowej. I nawet przewodzi naszej prywatnej ceremonii koronacyjnej, ustawivszy nas rzędem na schodach, gdzie przypina nam wianki do głów niewygodnymi, kłującymi spinkami. Jestem dziwnie wzruszona tym wydarzeniem, a ból wywołany podrapaniem przez spinki zmniejsza się dzięki wkładowi cioci Elizy w tę uroczystość - lepkiej papierowej torebce dropsów owocowych. Biedny Adrian przygląda nam się ponuro, z policzkiem wypchanym dropsem. Jest nieszczęśliwy, bo został wygnany z naszego królestwa papierowych kwiatów, a to z powodu swojej płci. „Nie przejmuj się, moje dziecko”, mówi troskliwie Lucy - Vida. „Jak chcesz, nauczę cię robić szpagat”. I Adrian zaraz się rozchmurza.

Ogólnie rzecz biorąc, raczej lubimy ciocię Elizę - nawet zawsze opanowana Patricia siada cioci Elizie na kolanach i powierza jej część swoich mniej ważnych sekretów (ulubione lekcje w szkole, ulubiony obiad w szkole, kim chce zostać, jak dorośnie - odpowiedzi: matma, żaden, weterynarzem).

Daisy i Rose odgrywają we wszystkim małą rolę - małą i idealną, bo stanowią samowystarczalny światek. Są identycznie ubrane, kończą za siebie zdania (to znaczy, kiedy raczą się odezwać, bo mają swój własny, sekretny język) i patrzą na człowieka chłodnym, trzeźwym spojrzeniem, które zapewniłoby im rolę w Najeźdźcach z Marsa. Adrian jest za młody, żeby należeć do grupy zwolenników ciemnego piwa. Nie jest też szczególnie mile widziany przez damską (głównie) koterię, która wielbi „starego króla”, a do której dołączyła teraz ciocia Babs, i która wdała się w ożywioną i pełną szacunku rozmowę o Królowej Matce (starej królowej, jak się pewnie domyślacie, ale nikt tak na nią nie mówi). „Królowa Matka” - to interesujące wyrażenie, prawda?

Królowa Matek, Matka Królowych. Bunty chciałyby być Królową Matką. „Królowa Bunty, Królowa Matka”. Wtedy ja byłabym księżniczką Ruby, a to brzmiałoby cudownie, prawda? Z pewnością lepiej niż księżniczka Gillian albo księżniczka Lucy - Vida.

Królowe Matki piją sherry - brązową, o smaku melasy, jak mordercza mikstura na kaszel. Ciocia Babs zanoszą na dół szklaneczkę dla Bunty, która smaruje mlekiem tacę kiełbasek w cieście. „Ach, myślałam, że wszyscy o mnie zapomnieli”, mówi figlarnie Bunty, biorąc sherry i sącząc ją ostrożnie. „Tracisz koronację”, zwraca się do niej ciocia Babs, a Bunty rzuca jej jedno ze swoich najwymowniejszych spojrzeń, które mówi: „Ktoś musi być w kuchni i zrobić całą robotę”, a ona nawet nie musi poruszać przy tym wargami.

„Teraz będzie namaszczenie świętym olejem!”, rozlega się z góry piskliwy, podniecony głos Patricii, więc ciocia Babs udaje się namówić Bunty, żeby zostawiła swoje kiełbaski nie namaszczone i przyszła na górę na to, co według Książeczki koronacyjnej jest „najwznioślejszą i najważniejszą częścią ceremonii”. Tak wzniosła i tak ważna, że królowa ginie wśród kłębowiska biskupów i my, zgromadzeni Nad Sklepem, nie możemy być świadkami jej namaszczenia.

„Piękny telewizor”, mówi z aprobatą do Bunty ciocia Gladys, kiedy Babs odprowadza ją do pokoju, a Bunty lekko się rozpromienia i posyła jej sztuczny uśmiech. „Dziękuję”, mówi takim tonem, jakby w poprzednim życiu była służącą.

„Niezły orzechowy fornir”, mówi wuj Tom i wszyscy wydają zgodny pomruk. „Masz fajną sukienkę, Bunty”, wtrąca się nagle wujek Bill i Bunty lekko się wzdryga, bo nie lubi Bilia (antypatia oparta wyłącznie na tym, że jest to brat George'a). A poza tym, jeżeli jej szwagier - człowiek kompletnie pozbawiony gustu (to akurat prawda) - uważa, że to „fajna sukienka”, to musi z nią być coś nie tak. Prawdę

mówiąc, rzeczywiście jest to coś dziwnego - upiorna kreacja, zrobiona na drutach, w brązowe i żółte paski, poprzetykana cienką lureksową nitką - tak że Bunty wygląda w niej jak osa, która wybrała się na przyjęcie.

„Nadchodzi moment, na który czekały wszystkie narody Brytanii, Wspólnoty Brytyjskiej i naszego Imperium”, czyta Patricia.

„Najważniejszy moment”, mówi wuj Ted, zaglądając jej przez ramię. Jego ręka spoczywa lekko na plecach jej szkolnego sweterka w sposób, który można by określić jako ojcowski, choć z drugiej strony może wcale tak nie jest. Jakkolwiek by było, wybrał sobie niewłaściwą osobę, bo Patricia nie znosi, jak jej ktoś dotyka, i bardzo szybko udaje jej się strząsnąć jego dłoń.

W tym momencie do pokoju wpada Gillian, która koniecznie chce zademonstrować wszystkim swoje piruety, i śmiga przed ekranem, właśnie gdy na głowę królowej nakładają koronę. „Boże, chroń królową!” i „Odsuń się do cholery, Gillian!” stapiają się w jeden gromki okrzyk. Gillian wydyma drżące usteczka, a jej anielskie loczki podskakują z rozpaczy, więc Lucy - Vida macierzyńskim gestem wyciąga rękę i mówi: „Chodź tu, malutka, chodź ze mną” i obie wypadają z pokoju, żeby załatwić ważne sprawy ze swoimi lalkami. Ani Patricia, ani ja nie mamy lalek. Patricia nie ma, bo nie chce, chociaż często pożycza lalki od Gillian, żeby się nimi bawić w szkołę. Patricia często bawi się w szkołę i jest bardzo surową nauczycielką - możecie mi wierzyć, wiem coś o tym, bo czasami muszę zastępować lalkę.

Przyznaję, że chciałabym mieć lalkę, nawet jeżeli wszystkie one mają twarde, wyrzeźbione w plastiku włosy i nieprzyjemne miny. Lalki Gillian noszą imiona w rodzaju „Jemima” czy „Arabella”. Patricia ma swoją pandę (Pandę - bo nasza Patricia nie uznaje wymyślonych nazw), do której

jest bardzo przywiązana, natomiast ja mam swojego misia (Teddy), który jest mi bliższy niż moi krewni. Mam już zdumiewająco dojrzałe słownictwo, składające się z dziesięciu słów. Teddy znajduje się na tej liście, razem z: mama, tata, Pash (Patricia), Gug (Gillian), baba (Nell), pa, pa, sklep!, dotty (uniwersalne słowo, które obejmuje całą resztę) oraz - najważniejsze ze wszystkich słów - Mobo.

Instykt podpowiada mi, gdzie w tej chwili jest Mobo - na podwórku za domem. Bunty znowu jest w kuchni i wstawia kielbaski w ciście do piekarnika, więc kiedy razem z Teddym niepewnym krokiem podchodzimy do drzwi, skwapliwie wypuszcza nas na podwórze. Biorę głęboki oddech - jest! Światło mojego świata! Konik Mobo jest chyba najpiękniejszym stworzeniem, jakie człowiek kiedykolwiek wyprodukował. Ma całe pięć i pół dłoni do kłębu, a zrobiony jest z cyny w szare i białe cętki, jego grzywa jest trwale skrecona, a ogon z pióropuszem. Wzrok ma przyjazny, mocny grzbiet oraz purpurowe siodło, purpurowe lejce i purpurowe pedały (również z cyny). Na podwórku za domem, skąpany w słońcu (mamy znacznie lepszą pogodę niż biedna królowa), prezentuje się naprawdę wspaniale - niemal widać, jak rozdyma nozdrza i zaraz zacznie grzebać w ziemi kopytem. Patricia, w swojej dobroci i koronacyjnym zapale, przyozdobiła go kokardami w szkocką kratę, więc Mobo wygląda równie okazale jak każdy inny koń, który kłusował tego dnia po Mall.

Kupiono go dla Gillian (jej nagroda pocieszenia za to, że musiała mnie znosić), ale Gillian jest już na niego za duża, więc to ja jestem oficjalnym jeźdźcem. Nie ma to najmniejszego znaczenia dla Gillian, która pilnie go strzeże i nigdy nie pozwala mi się do niego zbliżyć, chyba że jest do tego zmuszona. Teraz jednak Gillian jest w domu z Lucy - Vidą i oto jest mój rumak, wędrujący po podwórzu, nie

strzeżony, nieskrępowany i przez krótki moment w czasie i przestrzeni - tylko i wyłącznie mój !

Recytowanym ciągle i nieustępliwie zaklęciem „DottydottydottydottydottydottydottydottyMOBO” zmuszam Bunty, żeby mi pomogła wsiąść na ten szczyt moich marzeń i radośnie pogalopować wokół podwórka. No cóż, ściśle rzecz biorąc, niezupełnie galopować. Środkiem lokomocji Mobo są jego pedały. Kiedy się na nim siedzi, naciska się na nie mocno stopami, a wtedy Mobo posuwa się do przodu w jakiś dziwny, szarpany sposób. Pompuję więc i pedałuje, i kiwam się, udając, że ciągnę złoty powóz przez co najmniej dziesięć minut, zanim pojawia się nasza nemezis.

Nagle czuję zimny powiew, drzwi do kuchni otwierają się z dramatycznym rozmachem i na podwórko pada czarny cień. Cień jest nie tylko czarny, ale kryje się w nim też czarne zło nienawiści, zazdrość i mordercze skłonności - tak, to nasza Gillian! Toczy się przez podwórko jak rozkolebana torpeda, precyzyjnie nastawiona na cel, z coraz większym przyspieszeniem, i gdy wreszcie dopada Mobo, nie może się zatrzymać, tylko sunie dalej - przewraca konia wraz ze mną, koziółkuje nad jego grzbietem i na koniec, pupą w falbaniastych majteczkach, ląduje na twardych, kamiennych płytach. Mobo sunie po ziemi, a głębokie, szpetne szramy rysują się na jego metalowych bokach. Leży, ciężko dysząc, a ja tymczasem leżę bez ruchu i spoglądam w czerwcowe niebo, zastanawiając się, czy umarłam. Z tyłu głowy mam pulsujący siniec, ale jestem zbyt zszokowana, żeby krzyczeć.

W przeciwieństwie do naszej Gillian, która wrzeszczy tak głośno, że mogłaby obudzić umarłych - nawet Bunty przychodzi zobaczyć, co się dzieje. Boleściwa odpowiedź Gillian niemal wywołuje jej współczucie. „Powinnaś bardziej uważać”, mówi, co może nie brzmi bardzo współczująco, ale, jak na nią, to i tak bardzo dużo. Lucy - Vida krąży dokoła,

wykonując żalobny step - step - step - STEP, step - step - STEP. Pomaga Gillian wstać, lamentując przez cały czas nad stanem jej sukienki - smugi koronacyjnie czerwonej krwi rzeczywiście splamiły nieskazitelną biel Gillian, a zmięty i postrzępiony wianek zwisa jej na szyi jak kwiecisty stryczek. „Iii, biedne dziecko”, mówi Lucy - Vida współczującym tonem. „Chodź ze mną, umyjemy cię”, po czym odchodzą, ręka w rękę, a ja i Mobo zostajemy pod opieką Dandy'ego, który liże nas i myje jak tylko potrafi, swoim gorącym, zaślinionym oddechem o ledwo wyczuwalnym zapachu skradzionych kiełbasek w cieście.

Reszta dnia jest jakby zamazana - podejrzewam, że mam wstrząs mózgu. Pamiętam na pewno, że po powrocie do salonu natrafiam na scenę wytwornej hulanki. Amatorzy ciemnego piwa są już ewidentnie pijani i grają w kącie w pokera. Ponad ich głowami flaga brytyjska Patricii zawędrowała na ramkę do zdjęć, skąd zwiesza się nad naszymi zdjęciami. W każdej ramce jest trzydzieści sześć maleńkich czarno - białych fotografii - trzydzieści sześć Patricii, trzydzieści sześć Gillian i, z jakiegoś powodu, siedemdziesiąt dwie moje. Wygląda na to, że Bunty rzeczywiście ma za dużo dzieci - setki miniaturowych dziewczynek, a wszystkie złośliwie ją pożerają.

Wuj Tom dołączył do kliki Królowej Matki. Wszyscy mają na głowach papierowe kapelusze, które Bóg wie skąd wytrzasnęli, a które przywodzą na myśl Dzień Zwycięstwa i uliczne festyny. A także ciocię Betty, która jest daleko za Atlantykiem i przypomina nam o swoim istnieniu, wysyłając paczki z żywnością. Klika Królowej Matki zdażyła się już także zaznajomić z butelką sherry, a obowiązki pani domu skłoniły Bunty do nałożenia pirackiego kapelusza i dyrygowania grą „Co ja widzę”, której uczestnicy osiągnęli już stan hysterii. Adrian i Dandy są na podwórku za domem i

bawią się w aport, chociaż nie zawsze do końca wiadomo, który z nich rzuca, a który przynosi. Wujek Ted jest na górze z Lucy - Vidą i Gillian i gra z nimi w „Niespodziankę”. Poziom alkoholu Nad Sklepem zaczyna już osiągać punkt krytyczny, więc odczuwam ulgę, kiedy Bunty spogląda na mnie, z przerażeniem podnosi dłoń do ust i mówi: „To one jeszcze nie są w łóżku!”

Ciocia Eliza cmoka jak dorosła wersja Lucy - Vidy i porzucając grę „Co ja widzę” (Co ja widzę na literkę T?, odpowiedź - na pewno już zgadliście - telewizor), zbiera dzieci jak pies pasterski i zagania je na górę do łóżka. Jeżeli chodzi o wieczorną rutynę, ciocia Eliza jest bardziej niedbała niż Bunty. Z Bunty musimy ustawić się w łazience w szeregu, na modłę wojskową, a potem szorować, szczotkować i skrobać, aż jesteśmy prawie całkiem starte. Szybkie przetarcie flanelką bardziej zabrudzonych miejsc to wszystko, czego od nas oczekuje ciocia Eliza, przed wepchnięciem nas do jasnych, letnich sypialni. Lucy - Vida i Gillian śpią w jednym łóżku, na waleta, jak sardynki. Bliźniaczki wylądowały w łóżku George'a i Bunty - Bóg jeden wie, co powie na to Bunty, gdy wreszcie zejdzie z pokładu swojej pirackiej korwety i zataczając się, dotrze do łóżka. Adriana położyli na dole, w psiej budzie, razem z Dandym. Wygląda na to, że cały świat zamierza tu zostać i przespać tę noc w Sklepie. Nie ma tylko chętnych do tego, żeby dzielić pokój z Patricią - chociaż ma dopiero siedem lat, jej żądza odosobnienia jest monumentalna i odstręczająca. Może ona sypia, zwisając głową w dół, jak nietoperz, z pandą wczepioną pod jednym skrzydłem.

Po kilku godzinach budzę się raptownie, siadam na łóżku i przypominam sobie, że Teddy jest gdzieś na dole, na podwórku, niedbale porzucony na skutek katastrofy z koniem.

Ponieważ moja sypialnia wychodzi na podwórze, podchodzę do okna i próbuję go wypatrzyć. Niebo ma kolor

magicznego błękitu i jest usiane gwiazdami, które wyglądają jak kolczyki ciotki Elizy. Podwórce tętni życiem (zdumiewające, zważywszy na późną porę). Moby nadal leży na boku, może śpi - mam taką nadzieję, chociaż wianek Patricii na jego głowie podejrzenie przypomina pogrzebowy wieniec. Teddy spoczywa na grządce nagietek, która ciągnie się pod jedną ścianą, z rozrzuconymi rękami i nogami, jak poległy żołnierz. Nad nim trzyma wartę Dandy, a jego czarne oczka połyskują w ciemnościach. George niezdarnie napiera na furtkę, szczepiony w rytmicznym uścisku z jakąś niewidoczną kobietą, a spodnie ma nieprzyzwoicie opuszczone do kostek. Zza niego wystaje goła noga bez pończochy, a jakiś głos mówi z ochrypłym chichotem: „Chodź, kotku, o tak, właśnie tak”. Chyba będę musiała zostawić Teddy'ego w tym podejrzanym towarzystwie i rano będę ratować jego lśniące od rosy ciało.

Z pokoju Gillian dochodzą odgłosy stepowania. Może to Lucy - Vida stepuje przez sen.

Patricia siedzi w swoim wąskim łóżeczku i czyta przy świetle nocnej lampki. Doszła już do ostatniego rozdziału - Rozdziału VII Książeczki koronacyjnej dla chłopców i dziewcząt, zatytułowanego „Nowa epoka elżbietańska”. W rozdziale tym wyliczone są obowiązki wszystkich chłopców i dziewcząt, którzy „będą dorosłymi obywatelami nowej epoki elżbietańskiej” w kraju, który „wciąż stoi na czele zachodniej cywilizacji”. Pouczenia z tego rozdziału nie padną na kamienisty grunt. Patricia wstąpi do zuchów i będzie próbowała zdobyć wszystkie możliwe sprawności, zanim przejdzie do harcerstwa; będzie uczęszczać do szkółki niedzielnej; będzie się pilnie uczyć w szkole (mimo tej nieustępliwej działalności grupowej pozostanie dziwnie samotna). Będzie też trzymać się swoich zasad. Niestety, zawarte w Książeczce koronacyjnej wskazówki na przyszłość

nie podpowiedzą Patricii, jak radzić sobie z bliźniaczym splotem depresji i alienacji, tworzącym jej osobiste DNA. Mimo to tekst książeczki jest wzruszający, a napomnienia są szlachetne...

„Z czasem dorośnięcie, a kiedy zostawicie za sobą dzieciństwo, będziecie musieli zachowywać się jak ludzie odpowiedzialni. Może brzmi to przerażająco, ale wiecie równie dobrze jak ja, że chociaż jako naród popełnialiśmy czasami błędy, jednak nigdy nie brakowało nam odwagi”.

Jak dumni jesteśmy wszyscy w tym dniu! Jak gorliwie wypatrujemy naszej magicznej podróży w przyszłość jako obywatele nowego, wspaniałego świata. Patricia zasypia, z królewskim błogosławieństwem na ustach. „Boże zachowaj Królową”, mruczy, i „Boże pobłogosław wszystkie narody Zjednoczonego Królestwa”. Pomruk domowych duchów wibruje echem w wieczornym powietrzu. One także świętują na swój upiorny sposób, przy świetle kopcących pochodni i umazanych sadzą kandelabrow. Tańczą spektralnego menueta i gawota, których pewnie nauczyły się od monsieur Rocheforta, nauczyciela tańca z sal nad „Jaworem”. Widziały wiele wydarzeń w obrębie tych starożytnych murów - oblężenia, naloty, pożary i masakry, narodziny i upadki imperiów. Były świadkiem koronacji rzymskiego cesarza Konstantyna o rzut kamieniem stąd, a także świadkiem ponizenia wielkiego króla kolei, George'a Hudsona. Widziały głowę nieszczęsnego Ryszarda, księcia Yorku, zatkniętą na bramie miejskiej oraz oblężenie mężnych rojalistów. Mimo to nadal potrafią zebrać w sobie dość siły, żeby przyłączyć się do Patricii w ostatnim niewyraźnym, lecz mężnym okrzyku - kieliszki wznoszą się w toaście, zabrzmiały rogi, a wielki orzeł Dziewiątego Legionu Rzymskiego załopotał w górze. Pobłogosław nam wszystkim, Boże!

Przypis III - Otwarte jak zwykle

Druga wojna światowa była dla Bunty sprawą znalezienia sobie nie tyle męża, ile osobowości.

W dniu wybuchu wojny Bunty pracowała w sklepie, który nazywał się „Modelia - moda damska”. Była tam od dwóch lat, odkąd ukończyła szkołę, i nawet polubiła monotonię mijających dni, chociaż w głębi ducha gorąco marzyła o tych wszystkich podniecających rzeczach, które miały ją spotkać w przyszłości - jak na przykład czarujący, niewiarygodnie przystojny mężczyzna, który pojawi się nie wiadomo skąd, żeby ją porwać w świat koktajli, rejsów i futer.

„Modelia” należała do pana Simona, ale prowadziła ją pani Carter. Pan Simon nazywał panią Carter swoją „kierowniczką”, a ojciec Bunty powiedział, że nigdy nie słyszał, żeby tak kogoś nazywać. Bunty nie była tak do końca pewna, co miał na myśli, ale mimo wszystko jej pracodawców otaczała jakaś lekko pikantna aura. Po pierwsze, pan Simon był cudzoziemcem, Węgrem, ale kiedy wybuchła wojna, zaczął robić strasznie dużo hałasu wokół swojej brytyjskiej narodowości. Był niski, miał lśniąca łysinę i zawsze nosił garnitur jak spod igły, z dużym, złotym zegarkiem na łańcuszku przy kamizelce. „To Żydek, prawda?”, zapytał Clifford, brat Bunty, zaraz po tym, jak Bunty dostała tę pracę, a Frank pokiwał głową i kciukiem potarł koniuszki palców.

Bunty nie znosiła ani Clifforda, ani jego opinii. Razem z Betty stwierdziły za jego plecami, że Clifford to mały, nadęty „taki syn”. „Żydek” to było dziwne słowo, które tak naprawdę wcale nie pasowało do pana Simona - nie był ani trochę skąpy czy chytry, a jeżeli już, to raczej przypominał Bunty elegancko ubraną fokę.

Pan Simon uwielbiał panią Carter, albo Dolly, bo tak ją nazywał, kiedy w sklepie nie było klientów, a liczba pocałunków wyciskanych na jej dłoni i wymienianych

spojrzeń wprawiała czasami Bunty w zakłopotanie. Nie mogła sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek widziała matkę albo ojca posuwających się dalej niż poza wymianę lekkich cmoknięć w policzek. Clifford mówił, że pan Simon ma żonę „u czubków” i dlatego nie żeni się z panią Carter, chociaż w mieszkaniu pani Carter, nad sklepem, działo się znacznie więcej (tak twierdził Clifford) niż w sąsiednim domu, gdzie świeżo poślubieni Maurice i Ena Tetley wypróbowywali sprężyny łóżka za ścianą sypialni, którą Bunty dzieliła z Betty. Bunty i Betty odbyły wiele nocnych, szeptanych dyskusji na temat tego, co właściwie Maurice robił Enie, że tak bardzo hałasowali.

Bunty lubiła zarówno pana Simona, jak i panią Carter, a zwłaszcza panią Carter, potężną kobietę mniej więcej w tym samym wieku co matka Bunty, ale bez tej szarej patyny, którą Nell pokryła się z biegiem lat. Pani Carter miała włosy blond - nawet bardzo blond - czesała się w duże fale i nakładała sobie makijaż (chyba kielnią - jak mówił Frank). Posiadała także olbrzymi biust, który wyglądał zupełnie jakby miał pęknąć przy najmniejszym ukłuciu szpilką. Za to dla Bunty była jak prawdziwa matka. Krążyła wokół niej jak kwoka, gdacząc i mówiąc rzeczy w rodzaju: „Jak się dzisiaj czuje nasza mała Bunty?” Dawała jej też dyskretne porady co do wyglądu, tak że Bunty przestała wreszcie nosić krótkie skarpetki, buty na płaskim obcasie i fryzurkę na pazia, którą miała od piątego do piętnastego roku życia. Prezentowała się teraz całkiem nieźle - na wysokich obcasach, w pończochach i nawet umalowana. „Nasza młoda dama”, powiedział z aprobatą pan Simon, kiedy pani Carter kazała jej się okręcić przed nim w pierwszej „dorosłej” sukience.

Nell nie była amatorką komplementów, nie lubiła, gdy ludzie się przeceniali. Przyjęła filozofię, że ogólnie rzecz biorąc, wszystko zawsze idzie ku gorszemu raczej niż ku

lepszemu. Ten pesymistyczny pogląd stanowił dla niej źródło pewnej otuchy - w końcu na nieszczęściu można było polegać znacznie bardziej niż na szczęściu. W swojej rodzinie Nell preferowała skrajności - najstarszego i najmłodszego, Clifforda i Teda - a zwłaszcza Teda, co było dziwne, bo według Bunty i Betty był to najwstrętniejszy szczur, jaki chodził po ziemi. Babs udało się zyskać nieco szacunku w oczach rodziny, bo była najstarszą córką, przy tym z gatunku tych trzeźwych i praktycznych, Betty zaś znalazła swoje miejsce jako pupilka Franka. Tylko biedna Bunty tkwiła w samym środku, pozbawiona czegokolwiek, co by ją mogło w jakiś sposób wyróżnić.

- Gdzie się podziała nasza mała Bunty?

- Jestem na zapleczu, panie Simon, parzę herbatę. Dla pana też?

- Tak, proszę, moja miła!

Bunty ćwiczyła ostatnio nową osobowość, wzorując się na Deannie Durbin. Polegało to na przybraniu cech osoby słodkiej i łagodnej, a zarazem zawadiackiej. Wychodziło jej to bardzo dobrze z panią Carter i z panem Simonem, natomiast w domu przechodziło kompletnie nie zauważone.

- Mam tu swój cukier, Bunty! - Wytworny ton pani Carter załamywał się, przechodząc w nieelegancki, lokalny akcent, ilekroć podnosiła głos.

- Dobrze, dobrze! - odskrzyknęła Bunty.

W sklepie było pusto. Była niedziela i Bunty zaproponowała, że przyjdzie pomóc w przeprowadzeniu remanentu. Siedzieli przy radiu, z filiżankami i spodkami na kolanach, słuchając programu pod tytułem „Jak najlepiej wykorzystać konserwy”, w oczekiwaniu, aż premier złoży „oświadczenie wagi państwowej”. Kiedy Chamberlain powiedział: „Muszę państwa poinformować, że nie otrzymaliśmy takich gwarancji, w konsekwencji czego nasz

kraj znalazł się w stanie wojny z Niemcami", Bunty przebiegł po plecach zimny dreszcz. Pani Carter głośno pociągnęła nosem; straciła męża w pierwszej wojnie, a jej syn, Dick, był akurat w stosownym wieku, żeby zginąć w obecnej.

- No cóż - odezwał się pan Simon, unosząc filiżankę, po czym lekko kaszlnął - myślę, że powinniśmy wznieść toast.

- Toast? - powtórzyła niepewnie pani Carter.

- Tak, za naszego bojowego ducha. Brytyjczycy nigdy nie będą niewolnikami. Precz z Adolfem Hitlerem!

- Zdrowie, zdrowie! - zawołały chórem pani Carter i Bunty - w tym Bunty z większym entuzjazmem - unosząc filiżanki. - Rządź Brytanio! - śmiało dodała Bunty.

Bunty wiązała z wojną wielkie nadzieje. Było coś atrakcyjnego w tym, że znikająca wszelka pewność, a pojawiały się nowe możliwości. Betty powiedziała, że to tak, jakby rzucać monety w powietrze i zastanawiać się, gdzie wylądują. Dzięki wojnie wzrastało też prawdopodobieństwo, że coś podniecającego rzeczywiście się Bunty przytrafi, i tak naprawdę nie miało to znaczenia, czy będzie to jakiś niewiarygodnie przystojny mężczyzna czy bomba. Bo i jedno, i drugie będzie oznaczało pewną odmianę.

Kiedy Clifford dostał powołanie, Frank obszedł cały dom, salutując i wołając „szeregowiec Cook”, zupełnie jakby zapomniał, jak nieprzyjemna potrafi być wojna. Clifford był z siebie bardzo dumny. Sidney, narzeczony Babs, dostał papiery w tym samym czasie co Clifford, więc datę ślubu ustalono z pośpiechem, który przed wojną wydałby się czymś wręcz nieprzyzwoitym.

Kiedy młoda para wyszła z kościoła, na schodach wśród składających życzenia byli też pani Carter i pan Simon. Pani Carter wręczyła Babs gałązkę białego wrzosu, którą Babs przyjęła z wyrazem lekkiego niesmaku, a Bunty usłyszała, jak Clifford mówi: „Co tu robi ta tłusta kurwa?” Zrobiło jej się

gorąco, a potem zimno. Spojrzała na panią Carter, żeby sprawdzić, czy ona to usłyszała, ale pani Carter uśmiechała się życzliwie do wszystkich i kiedy wypatrzyła Bunty, dyskretnie jej pomachała.

Przyjęcie odbyło się w tej samej sali przy kościele, w której pani Sievewright wydała podwieczorek po pogrzebie Percy'ego, i sprowadzało się głównie do tego, że wszyscy mężczyźni strasznie się upili słodkim jak ulepek ciemnym piwem, które z pewnością pochodziło spod lady, ale wszyscy oczywiście udawali, że nie wiedzą spod czyjej. „O tym sza”, powiedział Sidney, zazwyczaj trzeźwy i spokojny, zanim jednym haustem wychylił kufel piwa, zachęcany okrzykami weselnym gości. Babs była wściekła. „Musisz być dla nas wyrozumiała”, powiedział ze śmiechem Frank, opierając się ciężko na Sidneyu, chociaż Sidney był tak pijany, że to cud, że sam jeszcze potrafił się utrzymać w pionie.

- A to niby dlaczego? - prychnęła Babs tonem matrony. Babs miała tylko osiemnaście lat, ale trzymała się pewnych starych zasad.

- Dlatego - odparł Frank ponuro - że wszyscy musimy umrzeć.

- Ale nie ty, stary głupcze - syknęła Babs, a Bunty pomyślała, że gdyby to ona tak powiedziała do ojca, dostałaby w twarz. Sandy Havis z sąsiedztwa podszedł i chciał poprosić Babs do tańca, ale ona odsunęła się, mówiąc: „Zatańcz lepiej z Bunty, ja mam coś lepszego do roboty”, po czym udała się w kierunku Clifforda, w próżnej nadziei, że przy jego pomocy uda jej się zmusić całe towarzystwo do trzeźwości.

- No to jak będzie, Bunty?

Bunty lubiła Sandy'ego Havisa. Kiedy była mała, pchał ją w wózku, miał poza tym taką szczerą, radosną naturę, że podbił prawie wszystkie serca. Nie był wcale przystojny, wręcz przeciwnie - miał wyłupiaste oczy (od tarczycy) i

skołtunioną, piaskowożółtą czuprynę - stąd jego przezwisko, bo naprawdę miał na imię Eric. Porwał Bunty do żwawego fokstrota - muzyka pochodziła ze starego, nakręcanego gramofonu, a repertuar z kolekcji płyt Sidneya. Sandy zawsze przypominał Bunty miłego psa - wiernego, lojalnego i wzruszająco gotowego, by sprawiać przyjemność. Dlatego też teraz, kiedy owionął ją piwny oddech Sandy'ego, który próbował ją podskubywać w różnych miejscach - a wszystko to robił, galopując wokół prowizorycznego parkietu, przy sześćdziesięciu milach na godzinę - poczuła się lekko zaniepokojona.

Kiedy płyta się skończyła, Bunty, spocona z wysiłku, zamierzała ściągnąć Sandy'ego z parkietu, zanim znowu zabrzmie muzyka. Tłumacząc sobie opacznie jej popychania i szturchańce, Sandy ciasno otoczył ramieniem jej talię i zaczął jej bębnić palcami drugiej ręki po żebrach, jakby była pianinem. Kiedy wreszcie udało jej się wypchnąć go na korytarz, ciągnący się wzdłuż jednego boku sali, Sandy zdążył już nieźle wciągnąć się w tę grę na żebrach i w kółko powtarzał: „Poznajesz tę melodię, Bunty? No? No?”

„Putting on the Ritz? Nad pięknym modrym Dunajem? The Yellow Brick Road?”, próbowała na chybił trafił Bunty. „Tak! Tak! Tak!”, krzyczał Sandy. Dostał urlop z Marynarki Handlowej i - o czym Bunty nie wiedziała - przysiągł sobie, że będzie miał kobietę, zanim nazajutrz wróci na statek, więc zostało mu już mało czasu. „To wesele mojej siostry”, oburzyła się Bunty, kiedy Sandy wsunął jej język do ucha. „To sala przykościelna”, próbowała powiedzieć, kiedy zaczął kolanem badać jej krocze. Na koniec ugryzła go w rękę, tak mocno, że aż odskoczył ze zdumieniem i, potrząsając ręką, jakby chciał ją ochłodzić, popatrzył z uwielbieniem na Bunty i stwierdził: „Co za tygrysica!” Bunty pędem wróciła w rozgrzany zamęt przyjęcia, ale jego słowa wciąż jej chodziły

po głowie. Myśl, że mogła być „jak tygrysica”, całkiem jej się spodobała i nawet wypróbowała cichy pomruk. A jej osobowość przeskoczyła o kilka biegów, z Deanny Durbin na Scarlett O'Hare.

Po jakimś czasie reszta gości weselnych wycofała się do domu na Lowther Street. Bunty zdążyła potajemnie wypić trzy kufle mocnego piwa, starając się włączyć do ogólnej atmosfery, i teraz ze zdumieniem odkryła, że - jakby za pomocą czarodziejskiej różdżki - znalazła się w kuchni, gdzie właśnie kroił chleb. Nagle para dobrze umięśnionych ramion opasała jej talię. Bunty zaplanowała sobie, że następnym razem, kiedy Sandy znowu zacznie coś próbować, będzie mu się wyrywać i stroić dąsy (zgodnie ze swoim nowym charakterem), ale kiedy Sandy powiedział: „Cześć, Bun, mój mały pączuszek z kremem” i szturchnął ją w plecy, na wypadek gdyby nie zrozumiała dowcipu, zaczęła głośno chichotać. Wtedy Sandy powiedział: „O Boże, Bunty - jesteś na bańce!”, co jeszcze bardziej ją rozśmieszyło, i nie minęło wiele czasu, a udało mu się wyciągnąć ją na dwór i przyprzeć do muru za domem. To było tak, jakby została wydana na pastwę ośmiornicy. Czując wszędzie jego ręce i słabym głosem powtarzała: „Tak nie można”, aż wreszcie Sandy, dosyć zdesperowany, powiedział: „Kocham cię, Bunty, zawsze cię kochałem - pobierzemy się, kiedy znowu dostanę urlop”. Wtedy Bunty, zbита z tropu, pomyślała, że to prawdziwa miłość (tak to już jest), więc niech już Sandy robi te swoje świństwa. Jednocześnie pocieszała się świadomością, że może to być jej ostatni podarunek dla niego, zanim zginie, więc żeby wyłączyć rozum, wbiła wzrok w na wpół zwiędły klematis po drugiej stronie podwórka. „Co za kobieta!”, powiedział Sandy, kiedy osiągnął pospieszny i dość żalony szczyt. Bunty była absolutnie zdegustowana całą tą procedurą, zwłaszcza że Sandy w podnieceniu walił jej głową w rynnę,

ale przynajmniej miała teraz większe pojęcie o tym, co Maurice Tetley robił sprężynom łóżka. („W życiu!", powiedziała Betty, szeroko otwierając oczy, kiedy Bunty jej to opowiedziała).

Rok 1942 był dla Bunty najbardziej owocnym w wydarzenia rokiem wojny. Odeszła w tym czasie z „Modelii" - pani Carter i pan Simon pożegnali ją bardzo serdecznie i powiedzieli, że nie wiedzą, jak sobie poradzą bez swojej małej Bunty. Pani Carter dała jej parę pończoch i trochę lawendowej wody kolońskiej, a pan Simon obdarzył ją pięcioma funtami i uściskiem, od którego spłonęła rumieńcem. Oni sami nie byli wtedy w najlepszej sytuacji - racjonowanie żywności oznaczało pogorszenie się interesów, a syn pani Carter został oficjalnie uznany za zaginionego.

Podobnie jak Babs, która wpychała materiał wybuchowy w skorupy pocisków na podłodze w zakładach Rowntree, gdzie przedtem produkowano nieszkodliwe owocowe gumy do żucia, także i Bunty przerzuciła się na wojenną produkcję. Dostała nową pracę w fabryce aparatury precyzyjnej. Przed wojną produkowano tam przyrządy w rodzaju mikroskopów, a teraz takie rzeczy jak celowniki. Praca Bunty polegała na sprawdzeniu ostrości, kiedy wszystko zostało już zmontowane. Z początku udawała, że strzela do Niemców - pif - paf, paf - ale z czasem wrażenie nowości zatarło się i pod koniec każdego dnia musiała walczyć z zezem.

Kiedy zaczął się rok 1942, Bunty miała już po uszy wojny. Miała dość Doktora Marchewki i Piotrusia Kartofla, i pana Szyjszyj i dałaby wszystko za duże pudełko czekoladek i nowy płaszcz zimowy. A gdyby spotkała na ulicy Pana Marnotrawcę, była osobiście przygotowana na to, żeby oprowadzić go po wszystkich sklepach w Yorku. Naprawdę miała już wszystkiego dość.

Nie kroił się też żaden romans. Sandy Havis przyjechał do domu na urlop w lutym. Bunty dochowała wierności danemu słowu tylko dlatego, że nie było nikogo innego, kto by się nią zainteresował. Kiedy zobaczyła go, jak wracał do domu, z workiem przerzuconym przez ramię, i wesoło pogwizdując, otwierał furtkę na podwórku za domem Havisów, musiała dać nura pod parapet okna w sypialni, żeby jej nie zobaczył. Był jeszcze brzydszy niż wtedy, kiedy go widziała po raz ostatni, i skóra cierpła jej na myśl o tym, na co mu pozwoliła na weselu Babs.

Sandy, który pruł w konwojach przez wielki, szary Atlantyk, poczuł się bardzo dotknięty powściągliwym zachowaniem Bunty. Podobnie jak przed nim Frank, Sandy był przekonany, że jego szanse na przeżycie są nikłe. Ale w przeciwieństwie do Franka miał rację - trzy tygodnie po tym, jak wrócił na służbę, jego okręt poszedł na dno wraz z całą załogą i ładunkiem konserw mięsnych. Pani Havis oczywiście szalała z rozpaczy, a i Bunty czuła się dość podle. Kiedy Betty dowiedziała się o tym, zalała się łzami, bo „to był taki miły chłopak”, a Nell powiedziała: „Oni wszyscy są mili”.

Dom na Lowther Street został wciśnięty między dwa źródła rozpaczy, bo w niespełna tydzień po tym, jak dowiedzieli się o Sandym, Ena Tetley, z domu po drugiej stronie, straciła męża, Maurice'a. Miała już wtedy dziecko, półrocznego Spencera. Po śmierci Maurice'a kompletnie zdziwaczała. Frank twierdził, że postradała zmysły, i zaczął jej unikać, ale Nell czuła się w obowiązku zaglądać do niej codziennie, tak jak do Minnie Havis.

Ena ani na chwilę nie spuszczała dziecka z oczu. Prawdę mówiąc, było z nią tak źle, że nie chciała go nawet położyć do wózka czy do łóżeczka i nikomu nie pozwalała go tknąć - nosiła go po prostu na rękach przez cały dzień, a w nocy zabierała ze sobą do łóżka. Spędzała dużo czasu na podwórku,

wpatrując się w niebo i czekając na powrót ojca Spencera (Maurice był nawigatorem na Wellingtonie). Już za dnia było to wystarczająco przykre, ale zaczynało być przerażające, kiedy wciąż tam siedziała po zmroku, w wiosennym chłodzie, z płaczącym i pokaszującym dzieckiem. Trzeba było tam chodzić i namawiać ją, żeby wróciła do domu. Nawet pograżonej w żałobie pani Havis wyrwała się uwaga, że należy trochę panować nad swoim bólem.

Nell, która nie mogła już tego dłużej znieść, odkomenderowała do tego zadania Bunty (Babs mieszkała z teściami na Burton Stone Lane), więc teraz Bunty musiała chodzić tam każdego ranka, przed pójściem do pracy, żeby zrobić Enie filiżankę herbaty i odmierzyć łyżeczką mleko w proszku dla Spencera. Spencer był wyjątkowo nieatrakcyjnym niemowlęciem, stałe rozwrzeszczanym i odparzonym. Miał czerwone zajady wokół ust, a w nosie wieczny czop gęstego żółtego śluzu. Brzydko przy tym pachniał, a jego pieluszki były obrzydliwe. Nell kazała Bunty przewijać go, gdyby miał mokro, ale on zawsze miał mokro, a Bunty mdliło na samą myśl o tym, więc zignorowała polecenia matki. Bunty przysięgła sobie, że nigdy w życiu nie będzie mieć dzieci. Co za nudny początek dnia, kiedy trzeba było siedzieć ze szklistooką Eną i z wyjącem Spencerem. Czasami Bunty wyobrażała sobie w pracy, że ma ich na celowniku - pif - paf!

Od miesiący nie widziała pani Carter, więc postanowiła ją odwiedzić i poprosić - między innymi - o radę w sprawie Eny, ale sklep był opuszczony, a w mieszkanku pani Carter na górze zasłony były zaciągnięte. Dzwoniła i dzwoniła, ale nikt nie otwierał, a kiedy zeszła na dół, fryzjer z zakładu po drugiej stronie ulicy powiedział: „Wydaje mi się, że wyjechała - wie pani, jej syn zginął”. Bunty aż zmroziło, bo spotkała kiedyś Dicka Cartera, przystojnego chłopaka o oszałamiającym uśmiechu, który sprawiał, że piętnastoletnia Bunty czerwieniła

się aż po uszy. Tak więc z tej strony nie mogła się spodziewać żadnej pomocy.

To było gdzieś tak w połowie kwietnia. A pod koniec kwietnia, we wtorek, Bunty wybrała się ze swoją koleżanką Vi Linwood do Clifton Cinema, żeby obejrzeć Tak się kończy nasza noc z Frederikiem Marchem. Obie zgodziły się, że to nic szczególnego i że lepiej by się zabawiły w „Electric”, gdzie grali właśnie Hellzapoppin. Kiedy wracały do domu przez Bootham Park, towarzyszył im jasny, zimny księżyc. „Noc w sam raz dla bombowców”, stwierdziła Vi, a Bunty zadrżała i powiedziała: „Nie mów tak, Vi”.

Betty wyrwało z łóżka wycie syreny, przypominające wrzask poparzonego kota. Niemal równocześnie uliczką wstrząsnął dziwny, głęboki grzmot. Bunty otworzyła oczy i zobaczyła jaskrawe, białe światło, i przez sekundę wydawało jej się, że to księżyc, a potem uświadomiła sobie, że to spadające rakiety. W ciągu minuty znaleźli się w schronie, w saloniku - Ted niósł ich rudego kota Totty, a pani Havis, w siatce na włosach, zbiegła na dół, żeby do nich dołączyć razem ze swoim owczarkiem szkockim, Rexem, którego nie znosili, bo lubił chwytać za kostki. „Nalot baedekerów”, powiedział Ted, a wszyscy syknęli: „Cicho bądź!”, zupełnie jakby bombowce w górze mogły ich usłyszeć. „Heinekele”, stwierdził Ted, a Nell powiedziała: „Ted!” „Raczej kilka junkersów za linią frontu. Mówią na nie latające ołówki, bo...” Betty uderzyła go. „Ktoś powinien iść po Enę”, powiedziała Nell, ale wtedy bomby rzeczywiście zaczęły spadać w dół z głuchym jękiem i wszyscy mieli teraz co innego na głowie, starając się nie zwariować, stłoczeni w ciasnym schronie jak sardynki. Rozległo się przerażające ŁUP. Później okazało się, że to podmuch wyrwał drzwi z zawiasów. A potem jeszcze głośniejsze ŁUP!! To Ena i Spencer składali życie w ofierze.

Wyszli, kiedy odwołano alarm o świcie. „W życiu nie słuchałam czegokolwiek z większą wdzięcznością”. St Martin - le - Grand zburzony, dach starożytnego ratusza spłonął do szczytu. Magazyny nad rzeką, biura „Evening Press”, Galeria Sztuki, szkoła dla niewidomych - wszystko w płomieniach. Ani jedna szybka nie ocalała we wspaniałym, łukowatym stropie dworca kolejowego. Wagonownia strzaskana, uszkodzone pociągi, szkoły i domy w ruinach - pięć zakonnic zginęło w Bar Convent School, awaryjna kostnica na Kent Street prawie pełna.

Idąc do pracy, Bunty poszła wzdłuż Bootham Park, tą samą drogą, którą szła do kina poprzedniego wieczoru. W żadnym z dużych georgiańskich domów nie było szyb w oknach, a jedynym dźwiękiem był niesamowity hałas, jaki wydawały przy zmiataniu tony rozbitego szkła. Ale bar na końcu Bootham stał nietknięty, a za nim wznosiła się wielka bryła katedry, nienaruszona przez Niemców. Serce Bunty wezbrało dumą, wstąpił w nią bojowy duch, a jej osobowość przeszła kolejną metamorfozę, upodabiając się do Greer Garson w „Mrs Miniver”.

Droga była zamknięta z powodu leja po bombie, więc Bunty zrobiła sobie obchód ulicą, przy której znajdowała się „Modelia”. Na widok sklepiku - i mieszkanka na górze - wyeksponowanych jak w domku dla lalek ze zdjętą frontową ścianą, doznała wstrząsu. Widać było piecyk gazowy w kuchni i półki z wystawą worcesterskich talerzy pani Carter, a na dole, w sklepie, manekina krawieckiego, jak tors bez głowy i bez nóg, oraz kilka sukienek na wieszaku, kołyszących się łagodnie na wietrze. „Dom był pusty, nie było ich tam”, powiedział fryzjer z przeciwka, zmiatając z furją szkło z chodnika. Czerwono - biały drążek wisiał nad wejściem do zakładu, skręcony i pogięty, a w oknie pozbawionym szyb

widniał napis „Otwarte jak zwykle. Zbombardowani, ale nie pokonani”.

Inaczej było w przypadku Eny i Spencera. Znaleziono ich martwych w łóżku Eny, które przeleciało przez sufit prosto do saloniku na dole. Ratownicy mówili, że to był tragiczny widok - maleńkie dziecko, skulone w objęciach matki, wyglądające tak spokojnie (choć raz). Pani Havis, Bunty, Betty, Tedowi, Nell i Frankowi ze zdumienia zabrakło słów, kiedy oglądali zniszczenia sąsiedniego domu, mając wciąż w uszach syreny odwołujące alarm. „Brr”, elokwentnie wyraził się Ted.

Nell podniosła srebrną łyżeczkę, walającą się w ceglanym pyłe na podwórku za domem. „Łyżeczka Eny upamiętniająca koronację Jerzego VI”, stwierdziła ze zdumieniem. „I to nawet nie pogięta”. Bunty z zażenowaniem przypomniała sobie, że nie dalej jak poprzedniego dnia z niechęcią mieszała cukier w herbacie Eny tą samą łyżeczką.

Widok szarych, obsypanych pyłem ciał Eny i Spencera, wynoszonych z sąsiedniego domu, to było ożywiające przeżycie. Kiedy wieczorem tego dnia zasiedli przy stole i Frank powiedział, że czasami trzeba złożyć najwyższą ofiarę, wszyscy przyznali mu rację. Jedli zapiekaną ziemniaczaną i kapustę z działki Franka na obrzeżach boiska do piłki nożnej. Bunty grymasiła nad kapustą, aż wreszcie Frank zapytał ostro: „Coś nie tak z tą kapustą, Bunty?”, a Bunty potrząsnęła głową i z ustami pełnymi tej śliskiej substancji zmusiła się do jej przełknięcia. Nie lubiła jarzyn Franka, bo zazwyczaj między liśćmi czaiło się coś wstępnego - zdechła stonoga albo mały ślimak, przeoczony podczas płukania. Tego wieczoru sama myła kapustę i oczywiście było tam śliskie ciało ślimaka, koziółkujące w wodzie, w zlewie. Z jakiegoś powodu przyszedł jej na myśl Sandy Havis - dławiący się na śmierć w oleistej morskiej wodzie Atlantyku, rozpaczliwie próbujący wypłynąć, by wreszcie, koziółkując, stoczyć się w przepastny,

wodny grób. O czym człowiek myśli, kiedy tonie? (Sandy na pewno o niczym, bo kiedy wpadł do wody, dostał w głowę skrzynką konserw). Tak kończy się nasza noc, pomyślała Bunty.

„Biedna Ena”, westchnęła Betty, z oczyma pełnymi łez. „Pieprzone szkopy”, powiedział Ted i oberwał od Franka za niewybredny język. (Biedny York, nie strzeżony przez balony zaporowe i działa przeciwlotnicze, z najbliższym myśliwcem oddalonym o dziewięćdziesiąt minut, mimo że Churchill, na którego cześć został nazwany biedny Spencer, wiedział od dawna, dzięki łamaczom kodów z Bletchley, że niemieckie bombowce znajdą się tamtej nocy nad Yorkiem, naprowadzone przez przepiękny, jasny księżyc. Pif - paf).

Wkrótce po wielkim nalocie Lowther Street miała niespodziewaną wizytę. Wszyscy siedzieli sobie spokojnie przy radiu, słuchając „Trustu mózgów”, kiedy nagle ktoś zapukał do drzwi, więc wysłano Bunty, żeby poszła otworzyć.

W progu stał wysoki młody człowiek w mundurze oficerskim, z niedbale nasuniętą na głowę czapką RAF - u, spod której wystawały jasne, mocno kręcone włosy. Uśmiechnął się do Bunty i powiedział „Hej” w jakiś bardzo nieangielski sposób.

„Cześć”, odpowiedziała Bunty z dużą dozą angielskiej rezerwy, czekając, żeby jej wyjaśnił przyczynę swojej obecności. Był naprawdę całkiem przystojny z tymi swoimi błękitnymi oczami, a i włosy miał piękne - zbyt piękne, jak na mężczyznę (żadne z dzieci Nell nie odziedziczyło tych anielskich loków, chociaż i Babs, i Bunty wielokrotnie próbowały je zmieniać za pomocą płynów utrwalających i wody utlenionej).

„Niech no pomyślę”, uśmiechnął się. „Ty musisz być córką cioci Nell?”

„Cioci Nell?“, powtórzyła Bunty, próbując ustalić pokrewieństwo. Wtedy mężczyzna wyciągnął rękę. „Jestem Edmund, twój kuzyn“.

„Kto to?“, zawołał z pokoju Frank. Jednocześnie z ulicy rozległ się okrzyk kobiety ze straży przeciwlotniczej: „Zamknijcie te cholerne drzwi!“, więc Bunty wciągnęła gościa do korytarzyka i krzyknęła: „To nasz kuzyn, Edmund!“ Nell wybiegła z salonu i na widok obcego stanęła jak wryta. Wtedy on wyciągnął rękę i podszedł do niej ze słowami: „Ciocia Nellie?“, a Nell upadła w głębokim omdleniu.

„Co się tam dzieje, do cholery, szkopy wylądowały czy co?“, zrzędził Frank, wychodząc na korytarz. Młody mężczyzna spróbował jeszcze raz i wyciągnął rękę do Franka. „Wujek Frank? Jestem synem Lillian“.

„Edmund?“, wyszeptał Frank, a na jego twarzy odmalowało się zdumienie, jakby był świadkiem cudu. Jeszcze przez kilka sekund Edmund potrząsał z zapalem jego ręką, zanim wreszcie zwrócili uwagę na Nell, która wciąż leżała twarzą do ziemi. Bunty i Betty pomogły jej usiąść, a kuzyn Edmund przykucnął obok niej na podłodze. „Ciocia Nellie?“, powiedział z pięknym uśmiechem. „Lillian przesyła pozdrowienia“.

Kuzyn Edmund to był ktoś - przystojny, odważny bombardier, stacjonujący w Croft, szczęśliwy, że może poznać swoich angielskich kuzynów. Frank powiedział, że kuzyn Edmund to „wykapany“ Albert, brat Nell, a potem dodał ze śmiechem, że kiedy zobaczył go w drzwiach, pomyślał, że to duch. Nell nie miała wiadomości od swojej siostry Lillian od dwudziestu lat. Ostatnim znakiem była tajemnicza kartka z Vancouver: „Powodzi mi się dobrze, nie martwcie się o mnie“, więc Nell oczywiście natychmiast zaczęła się martwić, bo nie wiedziała, że było coś, czym nie należy się martwić. Nie było zwrotnego adresu i nigdy więcej nie miała żadnych wieści od

Lillian, więc tym bardziej się martwiła. W końcu uznała, że jej siostra nie żyje, a teraz, kiedy odkryła, że Lillian jednak żyje, była na nią wściekła, że tak długo się nie odzywała. „Obiecuje, że napisze”, powiedział Edmund. Jak się okazało, Lillian wyszła za mąż za człowieka, który nazywał się Pete Donner, i zamieszkała na farmie na prerii, a Edmund miał „małego braciszka”, imieniem Nathan.

„Nathan?”, zapytał podejrzliwie Frank. „Czy to żydowskie imię?”, a Edmund roześmiał się i powiedział: „Nie wiem, sir”. O dziesiątej wstał i zaczął się zbierać do wyjścia, ze słowami: „Nie mogę przegapić okazji do bazy, no nie?”, i jak wszyscy zauważyli, to jego „no nie” było raczej kanadyjskie niż yorkshirskie. A tak naprawdę, tej nocy nie wracał wcale do bazy. Wybierał się do baru „U Betty”, gdzie miał randkę z miłą irlandzką pielęgniarczą, ale nie chciał się do tego przyznać swoim angielskim krewnym. Obiecał, że wróci i odwiedzi ich, jak tylko znowu dostanie urlop. A potem roześmiał się, ale nie powiedział im, że śmieje się dlatego, że jest pewny, mając za sobą znaczną część drugiego okresu służby, że nie dożyje następnego urlopu.

Tej nocy Bunty i Betty długo rozmawiały szeptem o Edmundzie. Betty oświadczyła, że ma zamiar za niego wyjść, ale Bunty nie była tego taka pewna - w jego wzroku było coś nawiedzonego; patrzył tymi roześmianymi, niebieskimi oczami, jakby mógł zajrzeć człowiekowi w duszę i zobaczyć, że nie kryje się tam zbyt wiele. Bunty przypominał lwa - wielkiego lwa ze złotego aksamitu. „Jak myślisz, jakie on ma oczy?”, zapytała Betty. „Niebieskie jak niebo? Niebieskie jak morze?”

„Niebieskie jak niezapominajki”, powiedziała Bunty, mając namyśli spodek w wyblakłe niezapominajki, z odrapanym złotym, brzeżkiem, w którym Totty dostawał swoje jedzenie. Zasypiając, obie myślały o Edmundzie i

cieszyły się, że mają coś, do czego mogły przypiąć wszystkie swoje romantyczne uczucia.

Niestety, Edmund nigdy nie wrócił - został zestrzelony już podczas następnego lotu.

„Cholerny pech”, powiedział Ted, a wszyscy byli zbyt przygnębieni, żeby na niego krzyczeć.

Jednak nie tak cholerny jak to, co spotkało Franka. Kiedy pewnego grudniowego dnia wracał do domu, poszedł na skróty długą, wąską uliczką, z wysokim ceglany murem po obu stronach. Właśnie kiedy wszedł w uliczkę, zawyła syrena, więc trochę przyspieszył kroku, ale zabrakło mu tchu, bo chociaż nie mówił o tym Nell, miewał kłopoty z sercem. Potem ogarnęło go jakieś dziwne uczucie i kiedy tak szedł alejką, przypomniał sobie nagle te wszystkie lata. Szedł teraz przez ziemię niczyją, jak pierwszego dnia nad Sommą, i nim się połapał, znalazł się w szponach dawnych lęków. Chwycił się za serce - wiedział już, że umrze - i głośno powiedział: „Dobry Boże, daj mi zobaczyć, kiedy to nadejdzie”, tak jak to mówił dawno temu w okopach. Zaczął też żałować, że dał Cliffordowi króliczą łapkę na szczęście.

Był już w połowie drogi, kiedy usłyszał jęk zepsutej maszyny, całkiem blisko, tuż nad głową. A zaraz potem w wąskiej wstążce nieba nad alejką ukazał się samolot - przerażająco nisko, ciągnąc za sobą czarny, oleisty dym z jednego silnika - ale wtedy zdążył już zrzucić bombę, która pochłonęła Franka w ostatnim oślepiającym błysku. Pech, bo oczywiście nikt nie celował we Franka. Załoga heinekela trafiła poza cel (tereny kolejowe) i uznała, że lepiej będzie zrzucić bomby przed próbą przymusowego lądowania. Zostali zestrzeleni, zanim im się to udało, a ich prawie nietknięte zwłoki pochowano na cmentarzu. Frank też został tam pochowany, chociaż w zakładzie pogrzebowym musieli go poskładać z kawałków.

W tym czasie Bunty rzeczywiście miała już dosyć wojny. Sytuację pogorszyło jeszcze przybycie Babs (po zbombardowaniu Burton Stone Lane), upartej, a zarazem jakby trochę lepszej na skutek znajomości z pewnym Amerykaninem imieniem Buck, stacjonującym w Grimsby. Poznali się na tańcach. Bunty i jej przyjaciółka Vi rzuciły się w wir życia towarzyskiego i ciągle chodziły na tańce do de Greya i Clifton. Stały się także regularnymi bywalczyniami baru „U Betty” (który oczywiście nie miał nic wspólnego z jej siostrą Betty, jak mawiała Bunty żartem; był to zresztą jedyny żart Bunty) - gdzie wszyscy żołnierze mieli w zwyczaju wydrapywać swoje nazwiska na wielkim lustrze. Bunty żałowała, że Edmund był tak krótko w Yorku, że nawet nie zdążył się napić „U Betty”, a co dopiero wyskrobać swoje nazwisko na lustrze (myliła się w obu przypadkach).

Mimo wszystko sprawy szły ku lepszemu. Bunty miała starającego się Bucka, potężnego, niedźwiedziowatego sierżanta z Kansas, Vi zaś znalazła sobie kanadyjskiego radiooperatora. Betty, która właśnie skończyła siedemnaście lat, także miała wielbiciela z Kanady i spędzała dużo czasu u wuja Toma i cioci Mabel w Elvington, bo jej Kanadyjczyk (Will) stacjonował na lotnisku w Elvington. Buck nie był szczytem marzeń Bunty, chociaż, w przeciwieństwie do Sandy'ego, był całkiem przystojny - ale nie niewiarygodnie przystojny. Za każdym razem kiedy wyglądało na to, że do czegoś dojdzie, Buck mówił z zakłopotaniem: „A niech to”. Okazało się, że był prawdziwym baptystą i został wychowany przez owdowiałą matkę, która wpoila mu dobre maniere i szacunek dla kobiet. W końcu, po okresie irytującej niepewności, poprosił Bunty, żeby za niego wyszła, i zawiązał jej nitkę na palcu, mówiąc: „Kiedy wrócę do domu, do Ma, kupię ci prawdziwy, bardzo drogi pierścionek”. Na Lowther Street wydano nawet mały podwieczorek, żeby to uczcić.

Wkrótce potem stracił stopę w głupim wypadku. „Ci Jankesi zrobią wszystko dla hecy”, powiedział Clifford. Betty aż zatkało, a Bunty tak mu przyłożyła, że ją solidnie zabolalo. Clifford przyjechał do domu, na urlop, ale na szczęście nie mieszkał już z nimi, bo ożenił się z dziewczyną imieniem Gladys, z Pomocniczej Służby Terytorialnej, która była teraz w bardzo zaawansowanej ciąży z ich jedynym dzieckiem. Buck został odesłany do Stanów, do swojej Ma. Na odjeźdźnym obiecał, że przyśle po swoją małą Bunty, ale nigdy tego nie zrobił.

Bunty poznała George'a pod koniec 1944 roku. Był kapralem w zaopatrzeniu i stacjonował w Catterick. Po okresie krótkich zalotów zaręczyli się tuż przed końcem wojny. Bunty nie była tak do końca pewna, ale z uwagi na zbliżający się koniec wojny szanse zaczynały się kurczyć, a wszystkie monety rzucone kiedyś w powietrze lądowały teraz z brzękiem na ziemi, w dość nudnej i łatwej do przewidzenia pozycji.

Jednak nie dla Betty, która oświadczyła, że wyjeżdża do Vancouver. Betty i Bunty znalazły w atlasie mapę Kanady, żeby zobaczyć, gdzie Betty będzie mieszkała. Obie wiedziały, że tak naprawdę celem Betty jest nie Kanada, tylko nowe życie. „Tak jak i twoim”, powiedziała Betty, klepiąc Bunty po jej zaręczynowym pierścionku, ale Bunty wcale tak nie uważała.

Clifford został zdemobilizowany - z wojny wyszedł bez szwanku, a to dzięki króliczej łapce - i pod wpływem Gladys stał się trochę miłszy. Króliczą łapkę podarował Bunty w dniu jej ślubu, bo uznał, że będzie jej bardzo potrzebna z takim człowiekiem jak George. Babs i Sidney odczekali aż do roku 1948, kiedy to urodziły im się bliźniaczki, Daisy i Rose.

Betty, wojenna narzeczona, rozwiodła się z mężem po dwudziestu latach, została jednak w Vancouver i tylko raz

przyjechała z wizytą do Anglii, w 1975 roku. Jak później opowiadała swojej córce Hope, jeden raz to aż nadto, chociaż miło było znowu zobaczyć się z Bunty.

Dopiero dziesięć lat po wojnie Bunty dowiedziała się, co się stało z panią Carter i panem Simonem. Po zbombardowaniu sklepu i mieszkania (fryzjer mylił się - oni byli wtedy w środku), przenieśli się do siostry pani Carter, do Leeds, i nigdy już nie wrócili do Yorku. Podczas tej okropnej zimy w 1947, kiedy siostra pani Carter została odcięta w Newcastle, gdzie bawiła z wizytą u córki, pan Simon i pani Carter zagazowali się w jej małej kuchni. Pan Simon (który wiele przeszedł w czasie wojny z powodu swojego akcentu) stracił syna w Dachau - co było dla Bunty dużym zaskoczeniem, bo nigdy o nim nie wspominał - a pani Carter już wcześniej straciła syna, więc Bunty była w stanie ich zrozumieć, chociaż wolałaby, żeby tego nie zrobili.

Pojechali do Liverpool, żeby pożegnać Betty przed jej podróżą przez Atlantyk. Kiedy wielki okręt powoli odpływał, Bunty płakała, jak wszyscy na nabrzeżu. Betty należała do istot beztroskich, zawsze skłonnych widzieć wszystko z lepszej strony, i Bunty nie zdawała sobie sprawy z tego, jak bardzo będzie jej brakowało siostry, póki nie zobaczyła, jak Betty macha jej z pokładu.

Tak więc, koniec końców, wojna przyniosła Bunty rozczarowanie. Podczas wojny utraciła coś i zbyt późno zdała sobie sprawę, że była to szansa na to, by stać się kimś innym.

Gdzieś na dnię marzeń Bunty zawsze będzie toczyć się inna wojna - wojna, w której obsługiwała reflektory i ładowała działa przeciwlotnicze; wojna, w której była zaradna i piękna, żeby nie powiedzieć dzielna, i podczas której u de Greya bez końca grano String of Pearls, a sznur niebywale przystojnych oficerów porywał ją w wir innego życia.

Przed ślubem Nell dała Bunty srebrny medalion swojej matki. Zamierzała zostawić go po swojej śmierci najstarszej córce, Babs, ale Bunty była taka przygnębiona myślą o zamążpójściu, że Nell jednak dała go właśnie jej.

Bunty wniosła w swoje małżeństwo jeszcze jedną rzecz z Lowther Street. Nell trzymała na kominku łyżeczkę Eny, jako dziwne, nieme memento mori. Dlatego też wcale jej to nie zdziwiło, kiedy na dzień przed ślubem z George'em, Bunty zapytała, czy może zabrać ją ze sobą na nową drogę życia. Bunty regularnie polerowała i czyściła łyżeczkę Eny, która zawsze lśniła jak nowa moneta.

Rozdział 4

1956

NAZYWANIE RZECZY

To chyba nie jest Kansas, Teddy. Ale co to jest, na Boga? Co ty mówisz, Teddy? Dewsbury? O Boże, tylko nie to. Ale on ma rację - to jest Dewsbury, tandetna stolica północy.

Ale dlaczego? Czemu jesteśmy w Dewsbury - a co gorsza, nie tylko w Dewsbury, ale w sypialni na poddaszu Mirthroyd Road numer 12 - w tej norze, w legowisku, w kokonie bliźniaczek z piekła rodem - Daisy i Rose!

Przyglądają mi się obie poważnymi, małymi oczkami. Siedzą skulone na brzegu podwójnego łóżka, w którym sypiają, podczas gdy mnie zainstalowano w kącie, pod oknem, na starym łóżku polowym, skonstruowanym z zielonego płótna i pordzewiałych metalowych rurek. Łóżko jest nakryte ciemnoszarą narzutą, która cuchnie kulkami na mole. To łóżko gościnne.

Ale skąd się tu wzięłam i po co tu jestem - oto zagadka, bo nie pamiętam nic z podróży. Nawet jeżeli się dobrze zastanowię - a to niełatwe, kiedy te bliźniaczki tak się na mnie gapią - muszę przyznać, że w ogóle niewiele pamiętam. W narastającej panice potwierdzam sama przed sobą swoje istnienie - nazywam się Ruby Lennox, mam matkę, ojca i siostry. Te tutaj to nie są moje siostry. Daisy i Rose to jakaś obca forma życia. Wciągnęły mnie na pokład swojego statku kosmicznego, kiedy Bogu ducha winna bawiłam się na podwórku za domem, i zamierzają teraz przeprowadzić na mnie serię barbarzyńskich eksperymentów. Bliźniaczki zaczynają świecić zielonym światłem o dziwnym odcieniu...

- Ruby! Dobrze się czujesz? - Ciocia Babs wciska się do sypialni - to oczywiste, że łóżko gościnne zajmuje za dużo tak potrzebnej przestrzeni - i patrzy na mnie podejrzliwie. Widzę

z tego, że w tych warunkach gość może zachowywać się tylko w jeden sposób, czyli bardzo uprzejmie.

- Tak, dziękuję, ciociu Babs - odpowiadam wyraźnie, pewnym głosem.

- Czemu się nie bawicie z Ruby, dziewczynki? - mówi ciocia Babs, patrząc na swoje potomstwo. Weiskam się jeszcze głębiej w kąt, bo wcale nie jestem pewna, czy chcę być wciągnięta w ich zabawy. Ciocia Babs odwraca się do mnie ze sztucznie promiennym uśmiechem, który rozpoznaję jako uśmiech Bunty. Ciekawe, po kim one go odziedziczyły? (zobacz Przypis IV).

- Potrafisz je rozróżnić, Ruby? - pyta.

Może one są jak te zagadki w książeczce Gillian, gdzie są dwa „identyczne” obrazki i trzeba znaleźć różnicę! Może jedna z bliźniaczek będzie miała sześć palców, jedno ucho i kokardę we włosach.

- Popatrz na sufit - nakazuje ciocia Babs jednej z nich, a potem wskazuje mały pieprzyk pod brodą. I to już wszystko? Znajdź różnicę. Prawie żadna. - To jest Rose. - Rose patrzy nieruchomo w sufit, dopóki ciocia Babs nie powie: - W porządku, Rose, możesz opuścić głowę. - Rose patrzy na mnie nieruchomo, tak samo jak patrzyła na sufit. One mają bardzo ograniczoną skalę ekspresji. Już zaczynam odczuwać brak tej zaskakującej różnorodności emocji, które przemykają jak obłoki po twarzy Gillian, czy nawet tej posępnej, a zarazem subtelnej palety, z której czerpie Patricia.

- Może jakąś grę? Albo zabawkę? - pogania ciocia Babs moje małe gospodynie. Daisy zsuwa z łóżka i przynosi pudełko „Kudłatych filcaków”. Czy pozwolą mi wrócić do domu, jeśli rozegram z nimi szybką partyjkę? Chyba jednak nie.

Mam ze sobą małą walizkę, która zawiera: wełnianą piżamę, szczoteczkę do zębów i flanelkę, parę

rubinowoczerwonych pantofli, pięć par majtek, koszulkę, gorsecik, dwie bluzeczki, plisowaną spódniczkę, sztruksowy fartuszek, parę spodni w szkocką kratkę, dwa sweterki zrobione na drutach (jeden biały, jeden w rybacki wzór), rozpinany sweter (butelkowa zieleń, okrągłe wycięcie, rękawy raglan), halkę i cztery pary skarpetek. Plus, oczywiście, to, co miałam na sobie, kiedy przyjechałam - jedną koszulkę, jeden staniczek, jedną parę majtek, jedną parę skarpetek, jedną halkę, niebieską wełnianą spódniczkę na szelkach, żółty sweterek, zimowy płaszcz, jedną parę rękawiczek, jeden szalik, jedną wełnianą czapkę (szkocką, z pomponem). Jeżeli kiedykolwiek byliśmy w czymś dobrzy jako rodzina - to właśnie w stosownym doborze strojów na wielkie wyjścia.

Sądząc po ilości ubrań, wygląda na to, że mam tu zostać na dłużej. Z drugiej strony, jest jednak pewna anomalia - tylko jedna piżama. Czy te wszystkie stroje są tylko po to, żeby zrobić wrażenie na cioci Babs, podczas gdy piżama mówi prawdę? Kto to wie? Bo ja nie wiem. I po co tu jestem? Czy to wakacje? To mi nie wygląda na wakacje. Prócz Teddy'ego mam też ze sobą książeczkę Gillian Kotki i pieski, którą musiała mi dać w niezwykłym i bezprecedensowym akcie wielkoduszności.

Jestem tu już prawie tydzień i nie wydaje mi się, żeby bliźniaczki sypiały w nocy. Podejrzewam, że one po prostu leżą zupełnie nieruchomo. Nie mogę zasnąć, kiedy one nie śpią, a jeżeli już zapadam w sen, budzę się z trwogą i mocno ściskam Teddy'ego pod kołdrą. Jego małe gorące ciało jest dla mnie wielkim źródłem otuchy. Czuję, jak jego mała kudłata pierś wznosi się i opada przy każdym oddechu. Tymczasem pierzyna okrywająca Daisy i Rose ani drgnie, co tylko utwierdza mnie w przekonaniu, że są one pozbawione normalnych, ludzkich płuc. Widziałam, jak patrzą na Teddy'ego, i nie sądzę, żeby miały dobre intencje.

W ciemnościach meble nabierają złowrogich kształtów - sypialnia jest przeładowana wielkimi, ciężkimi meblami, które w ogóle nie pasują do dzieciennego pokoju. Jest tam nie tylko arktyczna pustynia ich podwójnego łóżka, ale także olbrzymia, dwustronna szafa z toaletką do kompletu, tak wielka, że można by w niej zmieścić trupa. Pośród czarnej nocy kształty mebli posiadają głęboką ultraczerń, która sugeruje antimaterię.

W rogu, po drugiej stronie, stoi domek dla lalek - duży, wiktoriański, o czterech kondygnacjach. Są w nim obrazki wielkości znaczków pocztowych i znaczki pocztowe wielkości kropek. Ma też pozłacane krzeselka, jak dla królowej z bajki, i kandelabry jak kryształowe kolczyki, a także stół kuchenny, uginający się pod ciężarem gipsowych szynek i odlanej w gipsie, migdałowej galarety.

Ten domek dla lalek stanowi przedmiot pożądania Gillian, która nie raz już próbowała namówić bliźniaczki, żeby jej go zapisały w testamencie. Bardzo wątpię, żeby to zrobiły. Gdyby zapisały go mnie (co jest jeszcze bardziej nieprawdopodobne), odmówiłabym przyjęcia. Domek ma w sobie coś niesamowitego, z tą mikroskopijną instalacją (maleńkie miedziane krany!) i małymi, oprawionymi w skórę książkami (Wielkie nadzieje!). Bałabym się - boję się - że mogłabym wpaść w pułapkę i stać się jedną z tych malutkich, kędzierzawych dziewczynek w fartuszkach w pokoju dzieciennym na górze, które całymi dniami muszą się bawić maciupeńkami lalczkami. Albo jeszcze gorzej - biedną pomywaczką, na zawsze przypisaną do usmolonych garnków.

Może bliźniaczki, z ich galaktycznymi mocami, zmniejszą mnie w nocy i kiedy ciocia Babs wejdzie do tego pokoju któregoś ranka, łóżko gościnne będzie puste, a w łóżku gościnnym w domu lalek (o wiele ładniejszym niż łóżko

polowe) będzie leżała Ruby Lennox, podobna do lalki, ściskając misia wielkości ameby.

Najgorsze są schody - i to zarówno w domku dla lalek, jak i na Mirthroy Road. Dom cioci Babs i wujka Sidneya przypomina mi nasze mieszkanie Nad Sklepem - te same wąskie, wysokie gabaryty i ta sama, wielka liczba schodów, chociaż na Mirthroy Road na każdym piętrze tak naprawdę jest tylko jeden pokój, przez co droga do sypialni na poddaszu wymaga długiej wspinaczki po ciemnych, wąskich schodach, pełnych zakrętów i niespodziewanych kątów, w których kryją się olbrzymie zasoby nieznanych lęków. Przyjazne duchy Znad Sklepu zostały zastąpione przez coś, co aż trzeszczy od zła.

Kładę się spać pierwsza, więc na własną rękę muszę uporać się z tą zdradziecką podróżą. To absolutnie nie w porządku. Przyjęłam pewne strategie, które mają nam pomóc w tym zadaniu. To ważne, na przykład, żeby trzymać rękę na poręczy, kiedy wchodzę na górę (drugą ściska Teddy). W ten sposób nic nie może zbiec nieoczekiwanie po schodach i stracić nas w ciemność. Nigdy też nie wolno nam się odwracać. Nigdy, nawet wtedy, kiedy czujemy na karku gorący oddech wilków i słyszymy, jak ich długie, nie obcięte pazury, skrobią drewno na brzegach dywanu, którym wyłożone są schody, a z głębi ich gardzieli wyrywa się bulgoczący pomruk.

Straszliwe, apokaliptyczne wizje jawią mi się przed oczami, kiedy podejmujemy wspólną wspinaczkę - wizje Teddy'ego rozrywanego na kawałki, z odrywanymi po kolei kończynami, przerzucanego od wilka do wilka, podczas gdy wielkie strugi śliny kapią im z pysków. Na koniec jego drobne ciało zostaje przyciśnięte cuchnącą, kudłatą łapą, która wyciąga z niego wnętrzności. Teddy zwraca na mnie błagalne spojrzenie swoich bursztynowych oczu...

„Kto to?”, pyta ochryply, przytłumiony głos. Jesteśmy na podeście przed pokojem „dziadka” - ale nie mojego dziadka (obu dosięgnął już przypisany im los - jeden został przejechany, a drugi wyleciał w powietrze), tylko dziadka bliźniaczek - ojca wujka Sidneya - który mieszka pod naszym pokojem. „To tylko Ruby!”, odkrzykuję, chociaż podejrzewam, że on nie ma zielonego pojęcia, kto to jest „tylko Ruby”, i dalej wspinam się po schodach. Teraz czeka nas naprawdę trudne przedsięwzięcie - dotarcie do łóżka.

Zwlekamy przez chwilę w progu sypialni - progi są bezpieczne, niestety, nie można stać na nich bez końca. Wilki, które mieszkają na schodach, nie potrafią przekroczyć progu (gdyby było inaczej, byłyby w całym domu). To dobrze, tylko że łóżko znajduje się w drugim końcu pokoju, a to źle. Pod łóżkiem polowym żyją różne przedmioty. Kilka krokodyli i mały smok, a przede wszystkim bezimienne rzeczy bez jasnej definicji czy taksonomii. Jedno jest pewne - wszystkie przedmioty żyjące pod łóżkiem - nazwane czy nie nazwane - mają zęby. Zęby, które będą kasać delikatne, małe kostki, próbujące dostać się do łóżka.

W tym przypadku jedyny możliwy fortel to szybkość. Raz - dwa - trzy - Teddy start! Małe nóżki w pantofelkach tuptają po linoleum, małe serduszka głucho łomocą, łup, łup. Kiedy zbliżamy się do strefy zagrożenia - dwie stopy od łóżka - rzucamy się na łóżko, które o mały włos się nie składa, ale jesteśmy już bezpieczni. To znaczy bezpieczni, jeśli w nocy nie wypadniemy z łóżka. Wpycham Teddy'ego pod piżamę na piersi, tak na wszelki wypadek.

Chcę do domu! Chcę do Patricii. I chcę „Oglądaj z mamą”! Tutaj ciągle jeszcze jest dom bez telewizora i każdego popołudnia czuję się absolutnie wyzuta ze swoich praw, gdy uświadamiam sobie, że moi przyjaciele - największy łaciaty pies na świecie, Chuchro, Gałganek, Kłak i Ogonek - bawią

się beze mnie. „Czas do domu! Czas do domu! Ruby i Teddy robią pa, pa! Do widzenia!" I nie tylko.

Postanawiam użyć Kotków i piesków jako narzędzia ucieczki. Nauczę się czytać! Już od dawna próbowałam czytać. Mam zacząć szkołę po wakacjach i chciałabym pomyślnie wystartować. Wchłonęłam, ile się dało, kiedy zostałam zaprzężona do pomocy Patricii w jej zabawie w szkołę (prawdę mówiąc, nie wydaje mi się, żeby ona była tak dobrą nauczycielką, za jaką się uważa), ale chociaż znam alfabet jak własną kieszeń, do góry nogami i na wspak, to wszystko nie trzyma się kupy.

Jeżeli nauczę się czytać i pisać - bo wiem, że jedno prowadzi do drugiego - będę mogła napisać list do świata na zewnątrz, do Patricii, a ona przyjedzie i wyciągnie mnie z Mirthroyd Road. Ciocia Babs staje się moim nieświadomym sprzymierzeńcem, dając mi do zabawy stare karty Daisy i Rose z alfabetem. Trzyma mnie „pod butem" przez cały dzień (ale i tak mniej niż gdybym się skurczyła do rozmiarów domku dla lalek). Bliźniaczki są w szkole i ciocia Babs jest wyraźnie rozdrażniona tym, że nagle wylądowała z dzieckiem w domu, zwłaszcza że ma już „Dziadka", którym musi się zajmować. To kolejny dowód na to, że zostałam tu przysłana raczej za jakąś straszliwą karę niż na wakacje. Gdybym była tu na wakacjach, ciocia stawiałaby na głowie, żebym się dobrze bawiła. Z drugiej strony - może i nie.

W domu cioci Babs wszystko idzie jak w zegarku. Rano, na przykład, obowiązuje ścisła kolejność do łazienki - najpierw idzie ciocia Babs, potem wujek Sidney, potem bliźniaczki (razem), a potem ja. Ten porządek zostaje odwrócony wieczorem. Nie ma tu miejsca na zaspaną zrzędlivość, którą George, Bunt i Gillian psują każdy ranek. Nie mogę powiedzieć, żeby Patricia była szczególnie ożywiona rano - jest raczej flegmatyczna i zrezygnowana - ale

to już i tak duży postęp w stosunku do Gillian, która w ogóle nie odzywa się rano i zazwyczaj porozumiewa się za pośrednictwem pacynek - Smolucha i Czyściocha. Smoluch potrafi być wyjątkowo nieprzyjemny przy stole, kiedy jemy śniadanie.

Ciocia Babs jest także niewolnicą porządków. Wiem o tym, bo mi to powtarza. I to często. W poniedziałki robi pranie. Ma staroświecki bojler, który musi się nagrzać (jej sprzęt domowy jest bardziej prymitywny niż ten u jej młodszej siostry) i kiedy wreszcie kończy, cały dom wygląda jak tonąca w mydlinach łaźnia turecka. Każe mi się bawić obok tego przerażającego bojlera, bo mam krup, i powtarza mi, że „mam szczęście, że tylko tyle”. Jak już pewnie zauważyliście, ciocia Babs porozumiewa się w ten sam zaszyfrowany sposób co Bunty. Gdyby Niemcy użyli Bunty i Babs zamiast Enigmy, najpewniej wygryliby wojnę. We wtorek ciocia Babs prasuje wszystkie ubrania, które wyprała w poniedziałek. We środę odkurza na dole, a we czwartek na górze. W piątki myje stolarkę i podłogi oraz czyści dywan. W sobotę robi zakupy. Jest to dokładnie ten sam rozkład co u jej współtowarzyszki domowej niewoli - Bunty!

Posiłki są regularne i pożywne. Wujek Sidney nigdy nie musi czekać dłużej niż dwie minuty na obiad, kiedy wraca wieczorem do domu. Ciocia Babs szczyli się tym, że jest dobrą kucharką, i obce jej są ponure, strindbergowskie nastroje, jakie Bunty przeżywa podczas gotowania. (A może ibsenowskie - może Bunty też została uwięziona w domu lalek? Ale to tylko domysł). Wujek Sidney stanowi wielkie wyzwanie dla kulinarnych talentów cioci Babs. Mówi o „jajecznym puddingu Babs” i „cebulowym sosie Babs”, jakby to byli członkowie rodziny - „Patrzcie, kto tu idzie - kartoflana zapiekanka Babs”. Dziwię się, że pod koniec posiłku nie pyta tej zapiekanki, czy się dobrze bawiła. Ciocia Babs jest

królową deserów - co wieczór mamy coś innego - budyń z melasą, legumina z dżemem (którą Patricia nazywa „małym trupkiem”, ale myślę, że lepiej nie wspominać o tym przy stole Babs), babka bezowo - cytrynowa, ciasto rabarbarowe z kruszonką, pudding ryżowy - ciekawe, co będzie w niedzielę. I co będziemy robić w niedzielę? U nas w domu jest to dzień bez porządków, więc zakładam, że tutaj będzie tak samo.

„Gotowa do kościoła, Ruby?”

Kościół to nowość: w przeważającej części jesteśmy rodziną pogańską, chociaż Patricia co tydzień wyprawia się do szkółki niedzielnej i pewnie skończyłaby jako zakonnica, gdyby nie jej kompletna alienacja. Wiem, jak wyglądają kościoły, bo ciocia Gladys zabrała mnie kiedyś do swojego kościoła (Kościół anglikański) i nie mam nic przeciwko temu. To czysto damska wycieczka - „Dziadek” i tak prawie nigdy nie opuszcza swojego pokoju, a wujek Sidney znika w niedzielę w salonie i przez całe popołudnie słucha płyt Gilberta i Sullivana.

Ten kościół w niczym nie przypomina kościoła cioci Gladys. Po pierwsze, znajduje się w suterenie i trzeba zejść w dół po spiralnych schodkach, a potem iść korytarzem wzdłuż rur od ogrzewania, aż dochodzi się do drzwi, nad którymi wisi mała tabliczka „Kościół Ducha”. W suterenie jest bardzo gorąco i panuje w niej ten dziwny, słodkomdły zapach fiołków parmeńskich zmieszanych ze środkiem odkażającym. Wewnątrz jest już dużo ludzi, rozgadanych jakby byli w teatrze, i trwa to dosyć długo, zanim się rozsiądą, ale w końcu rozbrzmiewają małe organy i wszyscy śpiewamy hymn. Niestety, ponieważ nie umiem przeczytać stów w śpiewniku, muszę otwierać usta na różne sposoby, w czymś, co - taką przynajmniej mam nadzieję - jest uprzejmą imitacją śpiewu.

Potem jakaś kobieta, przedstawiająca się jako Rita, zaprasza na scenę mężczyznę, który nazywa się pan

Wedgewood. Ciocia Babs nachyla się, żeby mnie poinformować, że pan Wedgewood jest medium w świecie Ducha i będzie z nimi rozmawiał w naszym imieniu. „Z umarłymi”, mówi Rose (widzę pieprzyk, bo brodę ma uniesioną w bardzo nabożny sposób). Przygląda mi się uważnie spod oka, ciekawa mojej reakcji na tę informację. Ale nie uda jej się mnie przestraszyć. No, może by i potrafiła, ale nie dam tego po sobie poznać. Więc tylko unoszę brwi w niemym, lecz wymownym zdumieniu. Zastanawiam się, czy ci umarli będą mieli mi coś do powiedzenia, ale Daisy - która, jak zaczynam podejrzewać, potrafi czytać w moich myślach - mówi: „Umarli nie mówią do ciebie, jeżeli ich nie znasz”. Skoro już znam tę regułę etykiety, przypuszczam, że nikt do mnie nie przemówi, bo nie znam nikogo, kto by był umarły (jak bardzo się mylę).

Następnie pan Wedgewood zwraca się do Ducha, żeby przyszedł i przemówił do nas. Jest to znak, że zaraz złączą się różne dziwne rzeczy. Umarli zaczynają wyskakiwać ze wszystkich kątów. Mąż jakiejś kobiety, który nie żyje już od dwudziestu lat, mówi jej, że na końcu tunelu jest światło. Potem ojciec jakiejś innej kobiety, który „oddał ducha” w zeszłym roku, zwierza się jej, że brak mu wypraw do kina. Czyjaś matka wraca tylko po to, żeby powiedzieć, „jak pozbyć się rysy na stoliku do kawy” (olejem lnianym), a za krzesłem jeszcze innej kobiety (a przynajmniej przed oczyma pana Wedgewooda) materializuje się cała sześciopersonowa rodzina - jak się okazuje, jej najbliżsi sąsiedzi, którzy zginęli w pożarze przed trzydziestu laty. Z tego widać, że od zmarłych nie ma ucieczki. Ich przesłanie do byłych sąsiadów brzmi „pruć przed siebie” - jak sądzę, do końca tunelu. Świat duchów wydaje mi się miejscem raczej ziemskim, jak poczekalnia u lekarza, pełna ludzi próbujących zastąpić jedne wyświechtane frazesy innymi.

Zaczynam już zasypiać w tej przegrzanej atmosferze, kiedy nagle dociera do mnie, że pan Wedgewood stoi na końcu naszego rzędu i patrzy na mnie. Z trudem przetykam ślinę i wbijam wzrok w stopy - może on wie, że ja tylko udawałam, że śpiewam hymn. Ale on uśmiecha się dobrotliwie i mówi: „Twoja siostra prosi, żeby się o nią nie martwić”. Ciocia Babs wydaje cichy okrzyk, ale zanim udaje mi się coś z tego zrozumieć, organy zaczynają grać kolejny hymn, identyczny jak poprzedni (wszystkie hymny w kościele Ducha są dokładnie takie same - co ciekawe, nikt jakby nie zauważał tego zjawiska).

Przez resztę dnia łamię sobie głowę nad moimi doświadczeniami w kościele i nawet rostbef Babs i szarlotka Babs - nasi goście na niedzielnym obiedzie - nie potrafią osłabić moich lęków, że Patricia albo Gillian nie żyją. Próbuję poruszyć ten temat przy cioci Babs, ale ona mówi tylko: „Nie bądź taka mądra, Ruby - to ci nie pasuje” (szczerze mówiąc, uważam, że pasuje) i odmawia dalszej rozmowy na ten temat.

Mija kolejny tydzień. Kolejny tydzień domowej rutyny. Kolejny tydzień pilnego studiowania kart z alfabetem i tekstów z książeczki. Próbuję przepisać słowa z książeczki za pomocą kart, układając je na stole w jadalni jak karty do wróżb, ale ponieważ jest tylko jedna karta na każdą literę, zdania nieuchronnie muszą być skracane. „To piesek” zmienia się w „To piesk”, a „To kotek” w „To kte”.

Popadłam już w rutynę mieszkańek Mirthroyd Road i wkrótce stanę się jedną z nich. Ciocia Babs ubiera mnie w stroje po bliźniaczkach i przycina mi włosy, żebym była do nich podobna. Wkrótce nikt nie będzie mógł nas odróżnić i wtedy osiągną swój cel - zdobędą ciało ziemskiej istoty. Gdybym mogła nauczyć się pisać, mogłabym napisać kredą na chodniku przed domem „R - A - T - U - N - K - U”. Czego oni

właściwie ode mnie chcą? Moich ziemskich mocy? A może mojego misia?

Najgorsze są nocne koszmary - potworne sny o tonięciu, o spadaniu, o wpadaniu w pułapkę, o lataniu. A z nich najgorsze są sny o lataniu - spadamy na łeb na szyję ze szczytu schodów, lecimy w zawrotnym pędzie, nie mając żadnej kontroli nad tym nie kończącym się lotem. Pędzimy coraz szybciej i szybciej, aż do holu na dole, i budzimy się w chwili, gdy mamy się roztrzaskać o witrażowe panele frontowych drzwi.

Te sny, wystarczająco złe, kiedy rozgrywają się na schodach Mirthroyd Road, są jeszcze gorsze, kiedy mają miejsce w domku dla lalek. Schody w nim są zbyt wąskie, żeby poprawnie brać zakręty, i po nocy spędzonej w domku dla lalek ja i Teddy budzimy się z podrapanymi łokciami i poobijanymi kostkami. Na domiar złego, na jakichkolwiek byśmy byli schodach, musimy wymykać się bezimiennymi strachom, czającym się na podestach, albo, co gorsza - wrzaskom dziadka, który jak oszalały zegar z kukułką krzyczy: „Kto to?“, a ja budzę się z okrzykiem: „To tylko Ruby“. Ale teraz nawet ja nie jestem już pewna, kto to jest „tylko Ruby“.

A potem przydarza mi się coś naprawdę strasznego - zaczynam chodzić we śnie. Nie tylko miewam sny o schodach, ale czasami budzę się, kiedy ciocia Babs mną potrząsa - i rzeczywiście tam jestem! Tylko Ruby - całkiem sama, nie licząc bezimiennych strachów. Pewnego razu budzę się i jestem sama w ciemnościach. Nie ma cioci Babs. Może sama sobą potrząsnęłam tak, że się obudziłam? Stoję przed domkiem dla lalek, a przyćmione światło, sączące się przez zasłony w oknach poddasza, odsłania straszliwy bałagan w jego malutkich pokojkach - zupełnie jakby jakaś mała istota, rozpaczliwie czegoś szukając, z góry na dół go splądrowała. Istny koszmar!

Żeby uspokoić Teddy'ego, opowiadam mu historyjki, w których jest mowa o ratowaniu - Rapunzela, Królowy Śnieżki, Śpiącej Królowy, szczegółowe epizody z Robin Hooda, w których ja jestem piękną Marian, Teddy jest Alanem - a - Dale, a ciocia Babs szeryfem Nottingham. Czasami jestem Samotnym Jeźdźcem, a Teddy całkiem nieźle udaje Jaya Silverheelsa. Czasami zostajemy pojmani przez piratów i już wchodzimy na statek po trzęsącym się trapie, kiedy na horyzoncie pojawia się okręt Sindbada; innym znowu razem, zabarykadowani w chatach z drewnianych bali, strzelamy do otaczających nas Indian, w głębokim przekonaniu, że kawaleria, na której czele galopuje z rozwianym włosom Patricia, uratuje nas w ostatnim ułamku sekundy. Teraz oczywiście uświadamiam sobie, że byliśmy po złej stronie. Gdybyśmy przeszli na stronę piratów albo Indian, byłibyśmy pewnie całkiem bezpieczni.

Czasami siedzimy przed kominkiem na macie - rzecz dość współczesna, w czarne, czerwone i szare geometryczne wzory - i udajemy, że jest to latający dywan, który zabierze nas z Mirthroyd Road do domu. Ale choćbyśmy nie wiem jak sobie tego życzyli, nie udaje nam się zmusić go, by uniósł się o więcej niż kilka cali nad podłogę, gdzie krąży niezdecydowanie przez kilka sekund, żeby znów opaść na ziemię.

Nadchodzi kolejna niedziela. Znowu idziemy do kościoła. W tym tygodniu Rita przedstawia nam zaproszone medium, kobietę imieniem Myra, która wygląda jak Alma Cogan, tylko jest bez habitu. Myra ma krótką pogadankę o „Zwierzętach w Świecie Ducha”. Twierdzi, że podobnie jak ludzie, zwierzęta również przechodzą w Świat Ducha. Prowokuje tym samym wiele kłopotliwych pytań, spośród których jedno, i to wcale nie najbłahsze, brzmi: „Jak może tam być dość miejsca dla wszystkich”. Jeżeli wszystkie żywe istoty istnieją również w

przyszłym życiu, to muszą tam być miliony i tryliony cząsteczek planktonu, ameb i bakterii, ulatujących co dzień w przestrzeń astralną. A jeśli nie, to gdzie przebiega granica? Tylko zwierzątka domowe? Nic mniejszego niż yorkshire terrier? A może osa? I czy się je jakoś segreguje - czy psy lecą z psami, żyrafy z żyrafami? Piesek z kte? Czy kurczęta trzymają się z kurczętami? Ptak z ptakiem (swoją ciagnie do swego)? A co z misiami - czy jest tam jakiś obszar, do którego spędza się wszystkie duchy misiów, czy może wolno im przebywać z dziećmi? Pytania, pytania...

Poświęcam się nauce alfabetu. Dzień po dniu siedzimy z Teddym na latającym dywanie przed kominkiem i zgłębiamy tajemne przesłania alfabetu - „A jak auto”, „B jak but”, „C jak cytryna”, „D jak dom”. Rozumiem ich znaczenie, natomiast umyka mi gdzieś forma. Na kartach są obrazki - auta, buty, cytryny, domy, ekierki, fajki, gęsi - wieloznaczne symbole, które doprowadzają mnie do szału. „I” to Indianin, więc nocą wrogie plemiona zbierają się na podestach schodów - ich oczy i naszyjniki lśnią w ciemnościach, a pióropusze tworzą barykadę, za którą czają się bezimiennie strachy. Stwory, które mieszkają pod łóżkiem, wypełzają spod niego i przyłączają się do nich, a tu i ówdzie błyskają krótkie, zakrzywione miecze. Przelatujemy obok nich we śnie, jak rozpędzone kolejki w lunaparku.

Może zaczarowały mnie kwietne bliźnięta - te dwie intrygantki rzuciły na mnie czary, i jestem skazana na to, by co noc fruwać bez skrzydeł. A może zrobiły moją woskową podobiznę, niepostrzeżenie wsunęły ją do pokoju dziecinnego w domku dla lalek i teraz nocą praktykują na mnie telekinezę, zrzucając laleczkę w dół po wąskich schodach, podczas gdy same leżą sobie w łóżku, jakby nigdy nic. Kiedy budzę się rano, obie tam są i patrzą na mnie, a ich oczy, jak czarne koniuszki szpilek, wbijają mi się w czaszkę, próbując

wysondować mój mózg. Nie pozwolę im czytać w moich myślach. Będę im stawiać opór.

Jest tyle rzeczy, o które chciałabym zapytać, a nie ma nikogo, kto zna odpowiedź. Jedna z bliźniaczek, ze spuszczonego podbródkiem, żeby uniknąć identyfikacji, pokazuje mi któryś ze swoich podręczników szkolnych (dziwię się, że w ogóle zawierają sobie głowę czymś takim jak język, skoro ich telepatia jest tak dalece zaawansowana), w którym Joasia pomaga mamie upiec ciasto, podczas gdy Jaś pali z tatą ognisko. A ja myślałam, że „J” jest jak jeź! Któregoś popołudnia ciocia Babs wchodzi do salonu i zastaje nas z Teddym na latającym dywanie, pogrążonych we łzach. Obok leży tabliczka z literami, tworzącymi tajemnicze słowo P - E - R - Ł - A. Ciocia Babs krzywi się z wściekłości, tak że przypomina portret Picassa. Podnosi literki i wrzuca je do ognia. Ale z nas głupty - przecież „P” to „piesk”, a nie „perła”.

Tak w alchemicznej pogoni za czytaniem mijają nam dni i noce przelatują w pędzie, a ja przez cały czas próbuję odnaleźć tajemne zaklęcie, które zabierze nas do domu z tego tajemniczego wygnania. Jak długo byliśmy uwięzieni na Mirthroyd Road? Rok? Pięć lat? Tak naprawdę dwa i pół tygodnia, ale wydaje się, jakby to było sto lat. Jak moja rodzina będzie w stanie mnie rozpoznać, kiedy wrócę? Przecież nie mam jakiegoś pieprzyka, który wyróżniałby mnie jako tę Ruby Lennox, która opuściła ich tak dawno temu. Może zaczną krzyczeć: „Oszustka!” i nie przyjmą mnie z powrotem.

I oto nagle jesteśmy wolni! Wchodzę do kuchni i zastaję tam ciocię Gladys, rozmawiającą po cichu z ciocią Babs, która smaruje masłem chleb na chlebowy pudding. Nigdy już się z nim nie zaznajomię, bo na mój widok ciocia Gladys mówi: „Przyjechałam, żeby cię zabrać do domu, Ruby”. Obie ciotki

przyglądają mi się uważnie ponad chlebem z masłem, jakbym była jakimś notorycznie nieobliczalnym zwierzęciem („T” jak tygrys).

Do domu! Nie ma to jak w domu! Wszędzie dobrze, w domu najlepiej! Dmuchaście w domowe ognisko. Tam jest moje serce. Moja próba wreszcie dobiegła końca. Patricia tworzy komitet powitalny, stojąc w korytarzu, żeby mnie przywitać. „Cześć, Ruby”, mówi z łagodnym uśmiechem przebaczenia na twarzy. W kuchni Bunty proponuje mi mleko i herbatniki. Jej oczy mają czerwone obwódki. Otacza ją lekka aura szaleństwa. Spogląda na mnie, a raczej troszkę bardziej w lewo, i z widocznym wysiłkiem mówi: „Posłuchaj, Ruby, doszliśmy do wniosku, że wszyscy spróbujemy jakoś dalej żyć i nie będziemy więcej wracać do tego wypadku”. No cóż, jeżeli o mnie chodzi, może być, zwłaszcza że nie mam pojęcia o jakim „wypadku” ona mówi. A poza tym nie widzę, żeby ktoś odniósł jakieś obrażenia - poza Teddym, który ma małą wyrwę w nodze, skąd wilki wyszarpnęły trochę czegoś, czym jest wypchany, więc Patricia zszywa go bardzo starannie jedwabnym kordonkiem. Któregoś dnia będzie z niej bardzo dobry weterynarz.

Tego dnia, przed położeniem się do łóżka, męczę Patricię, żeby mi pomogła przetłumaczyć Kotki i pieski. Przykro mi, że kiedykolwiek powątpiewałam w jej zdolności pedagogiczne, bo wyjaśnia mi to w taki sposób, że nagle wszystko zaczyna mieć sens i - jakby za pomocą czarów - jestem w stanie rozwiązać tajemnice. „To jest kotek, to jest piesek, to kotki i pieski”. Jestem genialna! Mam klucz do świątyni wiedzy i nic już mnie nie powstrzyma - wyjmujemy kredki i piszemy litery. Nie trzeba już żadnych piesk i kte, teraz wystarczy nam liter na wszystkie kotki i pieski - wystarczy liter na wszystko; Powoli, czerwoną kredką, tworzę swoje własne hieroglify - R - U - B - Y czyta się Ruby! Mam na imię Ruby. Jestem

drogocennym klejnotem. Jestem kropelką krwi. Jestem Ruby Lennox.

Po raz pierwszy od bardzo długiego czasu (tak mi się przynajmniej wydaje) będę spać w moim własnym łóżku. To dziwne uczucie, kiedy człowiek jest sam w sypialni, i odnoszę wyraźne wrażenie, że czegoś - albo kogoś - tu brak. W pokoju jest przestrzeń, której przedtem nie było. Ale nie próżnia, tylko jakiś niewidzialny obłok smutku, który krąży w powietrzu, objając się o meble i zatrzymując w nogach mojego łóżka, zupełnie jakby do naszych domowych duchów dołączył nowy rekrut. Teddy'emu sierść jeży się na karku i miś zaczyna nerwowo pomrukiwać.

Moje nocne wyprawy wcale się nie kończą, z chwilą kiedy znalazłam się u siebie w domu, i Bunty często budzi mnie z tego niebezpiecznego stanu, żeby mi powiedzieć, jakie to irytujące być ciągle budzonym przez moje upiorne odyseje. A co się ze mną dzieje w tym czasie, kiedy mnie nie budzi? Dlaczego mam taki niespokojny sen?

Coś zmieniło się Nad Sklepem. Na przykład Patricia zdecydowanie zmieniła się na gorsze - ma w oczach tyle zakłopotanej udręki, że aż przykro na nią patrzeć. Pierwszego wieczoru po moim powrocie, kiedy pędem zdążam do końca Kotków i piesków („Teraz kotki i pieski śpią”), Patricia próbuje mi coś powiedzieć. Widzę, jak przygryza wargę i wpatruje się w obrazek śpiących kotków i piesków. A potem odzywa się zawziętym, natarczywym szeptem: „Ruby, czy to Gillian? Czy to вина Gillian?” - ale ja tylko patrzę na nią zdumionym wzrokiem, bo nie mam zielonego pojęcia, o co jej chodzi.

Za to jeżeli chodzi o samą Gillian - jest dla mnie bardzo miła! Mówi, że mogę sobie zatrzymać Kotki i pieski, mam też nieograniczony dostęp do Mobo (niewielki z tego pożytek, bo już z niego wyrosłam i Mobo jest w drodze do rzeźni.

Wyrastanie z Mobo to coś jakby rytuał przejścia i mogę teraz zrozumieć, co czuła Gillian, kiedy jej się to zdarzyło). Co więcej, mogę również pożyczać Smolucha i Czyściocha - mam nawet prawo wyboru i wybieram sobie Czyściocha, bo on ma głos. Albo coś w tym rodzaju. Przez krótką miłą chwilę Smoluch i Czyścioch są w przyjaznych stosunkach, póki znów nie dochodzi do głosu wrodzona wrogość Gillian, która z ostatnim „raz dwa trzy, teraz ty” łamie różdżkę Smolucha na głowie Czyściocha i odbiera go, zdzierając mi z ręki pacynkę. Tak naprawdę wcale mi na tym nie zależy - mam wciąż Teddy'ego, a aleksandryjska biblioteka w postaci dziecięcej sekcji Miejskiej Biblioteki w Yorku wciąż czeka, by ją rozszyfrować.

We śnie spływamy razem z Teddym w dół po schodach na latającym dywanie. Mamy pełną kontrolę i sprytnie manewrujemy na podestach, przechytrzając wilki, które muszą uskakiwać w zewnętrzną ciemność, zrećnie omijając bezimienne lęki (dla których zbiorczą nazwą jest strach) oraz walecznych Siuksów i Apaczów, którzy na próżno usiłują podstawić nam nogę. Na czele jedzie Patricia, w zielonym mundurze, na koniu imieniem Silver. Juhuu! Na każdym zakręcie nabieramy prędkości, wiuu, wiuu, wiiuuu - jesteśmy naprawdę wspaniali. Kiedy osiągamy ostatnią kondygnację schodów, tę straszliwą, triumfalnie przyspieszamy i suniemy wzdłuż korytarza na dole, jak ponaddzwiękowe sowy. Drzwi frontowe są szeroko otwarte i kiedy się do nich zbliżamy, zmieniają się w łuk tęczy - i oto jesteśmy wolni! Jesteśmy na wolnym powietrzu, już nie na ulicy, ale na otwartych równinach pod bezkresnym, wygwieżdżonym niebem. Teddy śmieje się w radosnym uniesieniu, a włosy Patricii powiewają przed nami jak złota chorągiew.

Przypis IV - Prześliczne ptaszęta

Frederick wszedł ze śmiechem do kuchni. „Ale z ciebie istny wół roboczy, dziewczyno”, powiedział, spoglądając z aprobatą na olbrzymi, wypięty zadek Rachel, która właśnie szorowała na klęczkach kamienną podłogę. Rachel zrobiła się czerwona jak burak, nie przerwała jednak swoich medytacji, tylko dalej wodziła szczotką w górę i w dół po kamiennych płytach, w górę i w dół, w górę i w dół, a mięśnie na jej okazałych ramionach napinały się, kiedy pracownicie starała się oczyścić chatę z unoszącego się w niej ducha Alice Barker.

„Nie jest ci tu tak źle, no nie?”, powiedział Frederick. Trzymał za uszy parę martwych zajęcy, które położył na suszarce, zostawiając wąską krwawą smużkę na świeżo wyskrobanym i pobielonym drewnie. „Robię, co mogę, panie Barker”, powiedziała Rachel, czując, jak rumieniec niepokojąco rozlewa się na dolne rejony jej ciała. Pan Barker, jej pan - mąż Alice Barker. Alice Barker, żona. „Kawał dobrej roboty”, powiedział, a Rachel usłyszała w jego głosie przebiegły chichot. Uśmiechnęła się, ze wzrokiem wbitym w kamienną podłogę. Już wkrótce będzie go miała. Zajmie miejsce Alice - będzie drugą żoną, albo prawie żoną. Będzie miała swojego własnego chłopca, gospodarstwo, którego będzie panią, i gotową rodzinę. Potrzebowali jej, bo byli słabi, a ona jest silna. „Wychodzę obejrzeć pułapki na Penghill Crag”, powiedział Frederick.

Rachel przysiadła na piętach i grzbietem dłoni otarła spoconą twarz. Skinęła głową w stronę stołu, „Zrobiłam panu małe co nieco”.

Frederick wziął chleb z serem, owinięty w lnianą ściereczkę. „Fajna z ciebie kobitka, Rachel”.

A tak, pomyślała Rachel. Fajna kobitka, która ustawi tę całą bandę. I będą jej za to wdzięczni, czy im się to podoba czy nie. W końcu była wszystkim, co im pozostało po odejściu tej ich stukniętej, leniwej matki. Była także ich jedyną krewną,

bo Rachel nie była jakąś wynajętą sługą, tylko kuzynką Alice Barker. Ich drzewo genealogiczne rozszczepiło się pośrodku. Rozdwojony pień - matka Alice, Sophia, i matka Rachel, Hannah, były siostrami, ale Sophia zrobiła dobrą partię, a Hannah popełniła mezalians i została przez ojca wydziedziczona. I podczas gdy Rachel w wieku lat dziesięciu poszła na służbę jako pomywaczka, mała Alice wciąż czesała swoje złote loki i brała lekcje gry na pianinie. No i dokąd zaprowadziły ją te wszystkie fanaberie? Na ten śmietnik, i tyle, pomyślała Rachel, przerywając na chwilę, żeby się rozejrzeć po kuchni. Czy ona nigdy nie pobrudziła tutaj tych swoich ładnych, białych, nauczycielskich paluszków? Sądząc po ilości sadzy i tłuszczu w kuchni, po okopconych ścianach, nie zamiecionych śmieciach na podłodze i nie pocerowanej, nie połatanej bieliźnie - raczej nie. A teraz „pan” musiał posłać po Rachel z Whitby, bo tak nierozważnie stracił swoją ładną żonę.

A te jej dzieciaki! Co za wstyd - nieznośne i marudne, nie znające Biblii, z postrzępionymi obrąbkami koszul, z brudnymi chustkami do nosa - to znaczy, jeśli w ogóle je miały. A ta Ada - miała takie potargane włosy, że pierwsze, co Rachel zrobiła, to skróciła je o połowę. Dziewucha darła się jak zarzynana świnia na widok swoich loków, spadających jej pod nogi. Jest taka podobna do matki, że to aż niesamowite. Może te dzieciaki nienawidzą teraz Rachel, ale za kilka miesięcy będą jej wdzięczne za porządek, który wniosła w ich życie - coś, czego ta inteligentna, ale głupia Alice Barker nigdy nie umiała zrobić.

Na górze rozległo się piskliwe kwilenie niemowlęcia, a po nim bardziej wyraźny płacz starszego dziecka. Rachel oboje zignorowała. Będą musieli się nauczyć, że ona nie jest tu po to, żeby przez cały czas koło nich tańczyć. Teraz, na przykład, musi skończyć szorować podłogę. Nagle coś błysnęło w

bladym, listopadowym słońcu i Rachel wyjęła to coś ze szczeliny między kamiennymi płytami. To był guzik. Różowy, szklany, ozdobny jak kwiatek - niewątpliwie należał do Alice. Rachel wsunęła go do kieszeni - później schowa go do puszek z guzikami. Alice Barker w swojej puszcze z guzikami miała tylko starą monetę z czasów Jerzego IV i fiołkowy cukierek odświeżający oddech. To była kobieta tego pokroju.

Mały cynowy żołnierz przejechał po kamiennych płytach. Albert roześmiał się i klasnął w rękę. Patrzył na Rachel z korytarzyka, gdzie bawił się żołnierzami i klockami, przywiązany prowizoryczną uprzężą do słupka przy schodach. „Ja ci się pośmieję”, powiedziała Rachel, chowając żołnierzyka do kieszeni. Z nich wszystkich on najbardziej działał jej na nerwy, chyba dlatego, że ciągle próbował jej się przypodobać, obejmując ją i całując. Był jak mała dziewczynka - wierne odbicie swojej siostry i matki.

Rachel wylała wiadro brudnej wody na podwórko i zostawiła otwarte drzwi, żeby podłoga mogła wyschnąć, ale słońce było już tylko blednącą smugą za linią wzgórza. Wróciła do zlewu, wzięła zwiotczalego królika i właśnie miała zabrać się do obdzierania go ze skóry i patroszenia, kiedy nagle coś ją powstrzymało. Sięgnęła po tasak wiszący przy piecu i zręcznie odrąbała króliczą łapkę. To dobry omen, królicza łapka, każdy o tym wie. Tej nocy, przy nowiu księżycy, zakręci srebrną trzypensówką i, razem wzięwszy, to powinno zadziałać na przyszłość. Co daj Boże. Głośny stukot drewniaków na kamiennym bruku oznajmił przybycie starszych dzieci, które właśnie wróciły ze szkoły. Wydaje się, że dopiero co wyszły rano z domu, a już są z powrotem.

Cała trójka stanęła w obramowaniu drzwi, jak na sentymentalnej fotografii, a potem Ada wydeła wargi i powiedziała: „Nie słyszysz, że twoje dzieci płaczą?”, i zrzuciwszy z nóg drewniaki, wyłamała się z ramy i

pomaszerowała po mokrej podłodze. Kiedy zauważyła Alberta przywiązanego do schodów, poróżnowiała i wrzasnęła na Rachel: „Przywiązałaś to biedne dziecko jak psa. To ciebie powinno się uwiązać!” Zaczęła go odwiązywać, powtarzając: „Biedny mały Bertie, biedny mały Bertie, Addie już tu jest”, a kiedy Rachel kazała jej go zostawić, odwróciła się i powiedziała: „Nie jesteś matką i nie możesz mi nic kazać”. A potem uśmiechnęła się tym swoim sztucznym uśmiechem, który niemal przepołowił jej twarz, jak wielki sierp księżyca. Rachel chwyciła drewniany chodak i cisnęła nim przez ramię. But odbił się od krótko ostrzyżonych loków Ady, ale nawet to jej nie powstrzymało. Stała z ciężkim Albertem na rękach, z plamką krwi we włosach nie większą niż guzik, i pobladała twarzą, krzycząc histerycznie: „Nie jesteś matką! Nie jesteś matką!” Nagle kuchnię przesłonił cień Fredericka. „Spokój, bachory!”, ryknął, a potem spuścił im lanie - wszystkim poza małą Nelly. „Te dzieciaki potrzebują matki”, zwrócił się do Rachel, kiedy skończył. „O tak, panie Barker”, przytaknęła, starając się przybrać możliwie jak najbardziej poważną i cnotliwą minę, żeby mógł docenić kontrast między nią a jej kuzynką.

Ciepłe wrześnie słońce ozłociło chatę jak miód. Rachel była w kuchni - solila fasolę, a potem siekała ją i układała między warstwami soli w dużym kamiennym garnku. Sama zasadziła okrągłą fasolę, a także pnącza o purpurowych kwiatach, na szczytowej, południowej ścianie stodoły, a one przyjęły się zupełnie jak w bajce. Kazała Frederickowi dopilnować, żeby zawsze po nocy wyrzucano ziemię z wygodki na gnojówkę, i miała teraz swój prawdziwy ogród, w którym rosły ziemniaki i cebula, rabarbar i marchew, i ciemnozielona karbowana kapusta. Nigdy by w to nie uwierzyła, że miała w sobie tyle z wiejskiej gospodyni.

To była teraz jej kuchnia, jej chata, jej życie. Ktoś obcy, przechodzący obok chaty (co zdarzało się rzadko) nigdy by się nie domyślił istnienia Alice, chociaż mógłby zadawać sobie pytanie, jak taka rozlazła klucha jak Rachel wydała ze swojego łona takie ładne pisklęta.

Na kominku, po obu stronach zegara, ustawiła fotografie dzieci, które - podobnie jak same dzieci - zostawiła po sobie ta głupia żona. Z tymi fotografiami to była jakaś dziwna sprawa. Frederick nigdy nie mógł zrozumieć, skąd się wzięły. „Zrobił je ten Francuz”, powiedziała Ada, wydymając usta, po czym jednak nie nastąpiły żadne szczegóły. Dwie zostały już oprawione - prawdopodobnie przez samego „Francuza” - i właśnie te dwie Rachel postawiła na kominku. Na jednej byli trzej chłopcy, na drugiej Lawrence i Tom z malutką Lillian. Resztę, czyli te nie oprawione, schowano do szuflady. Żadne z dzieci nigdy nawet nie spojrzęło na fotografie na kominku - zbyt dobrze pamiętały, że pojawiły się one tego dnia, kiedy po raz ostatni widziały matkę. „Szkoda, że nie ma fotografii mamy”, stwierdziła któregoś dnia z żalem Ada, a Lawrence powiedział: „Nawet gdyby była, Rachel i tak wrzuciłaby ją do ognia”. Ale później Tom wziął ich oboje na górę i pokazał im skarb, który zwinął ze stołu w kuchni tego ranka, kiedy ich matka umarła. Przez całe pół godziny najstarsza trójka zachwycała się fotografią Alice - pięknym (choć dwuznacznym) wyrazem twarzy ich zaginionej matki oraz pluszową ekstrawagancją ramki ze srebra i czerwonego aksamitu.

Dzieci trochę się poprawiły, przynajmniej pod względem wyglądu, jeżeli już nie humoru - były uczesane, obszyte i domyte, wszystkie miały też przydzielone zadania. Czytały Biblię i odmawiały modlitwę, a w niedzielę cała rodzina chodziła do kościoła - Frederick w eleganckim, obszytym galonem surducie i w meloniku.

Drzwi na dwór były otwarte na oścież, tak że Rachel mogła zobaczyć, jak Albert bawi się z tym małym, głupim kundlem, którego dał mu Frederick. Co za obrzydliwa słabość, że zgodził się na tego psa. Ada siedziała na trawie pod płotem i opowiadała Nell i Gillian bajki, przesadnie gestykulując. Rachel doskonale wiedziała, co to za historie. Kiedy zaszpuntowała garnek z fasolą, postawiła go w spiżarni, na dolnej półce. Spiżarnia, ciemna i chłodna, była duszą nowego życia Rachel - półki ugiwały się pod ciężarem owoców jej gospodarskich talentów - dżemów, marynat i sosów, wielkich szklanych słoików pełnych malinowych skarbów i agrestowych kul, tłustych udźców szynki, miski pełnej brązowych jajek, gąsiorów rabarbarowego wina oraz zawiniętych w lniane ściereczki wypieków - i to zarówno słodkich, jak i pikantnych.

Rachel z zadowoleniem patrzyła na swój spichlerz, machinalnie obracając na palcu złotą obrączkę i próbując ją rozluźnić. Kiedy Frederick zakładał jej tę obrączkę na palec, wiedziała, że to obrączka Alice (ze wstawionym kawałkiem, żeby dopasować ją na gruby palec Rachel), nic jednak nie powiedziała, bo w końcu ślubna obrączka to ślubna obrączka, bez względu na to, w jaki sposób weszło się w jej posiadanie. „Żeby zrobić z ciebie porządną kobietę”, powiedział Frederick, kiedy jej wsuwał obrączkę na palec, jakby to zupełnie wystarczało. Rachel, porządna czy nie, czekała teraz na swoje własne żniwa - była już tak rozdęta, że chyba musi wyjść z tego jakiś czempion. Będzie silny jak wół - czuła to - a nie taki, jak te cherlawe, chorowite dzieciaki, które ciągle kaszlą albo leje im się z nosa.

Lawrence i Tom szli przez podwórko, postukując chodakami. Za nimi sunął Albert ze swoim psem. Oczywiście żaden z nich nie robił nic pożytecznego. „Lawrence, wracaj!”, ryknęła, bo kiedy zobaczyli ją w drzwiach, zawrócili jak ptaki i pomknęli w stronę pól. „Masz tu coś do roboty. Soboty nie

są tylko po to, żeby się obijać - trzeba opróżnić wygodki". Nauczony przez Adę opryskliwości, Lawrence zwrócił ku niej twarz. „Teraz?” Jego usta niefortunnie same wykrzywiły się w szyderczym grymasie, który rozwścieczył Rachel bardziej jeszcze niż fałszywy uśmiech Ady.

„Tak, teraz, albo wyleję ci wiadro pomyj na ten twój paskudny łeb!”

Rachel sięgnęła po ramię, który wisiał na kołku za drzwiami, i zważyła go w rękę. „Zrobisz to, co ci mówię, czy mam ci przyłożyć?” Ruszyła w jego stronę, a reszta dzieci rozpierzchła się jak kurczęta - wszystkie prócz Lawrence'a, który stał i patrzył na nią.

Nie ruszył się, chociaż wiedział, co to oznacza, i wrzeszczał: „Sama se wynoś, ty tłuste krówsko!”

Nie mógł przed nią uciec, bo już pierwsze chłaśnięcie rzemieniem zważyło go z nóg. Mógł tylko leżeć i krzyczeć, zasłaniając głowę rękami, i gdyby nie Ada, która posłała Toma do studni po wodę, żeby oblać Rachel, ich macocha pewnie by nie przestała, póki nie straciłby przytomności, a może nawet nie umarł. Tymczasem okazało się, że to nie tylko woda powstrzymała Rachel, bo nagle, właśnie kiedy podniosła rękę, żeby zadać naprawdę silny cios, zgięła się w pół z bólu i złapała za brzuch, sycząc: „Dziecko. Będę rodzić!”

Frederick zamknął Lawrence'a i Toma w jednej z przybudówek na całe dwa dni bez jedzenia i wody, żeby dać im nauczkę, więc nie byli przy narodzinach najmłodszego brata. „Wygląda na to, że ten wasz dzieciak nie chce się urodzić”, powiedziała pani May, która przyszła ze wsi, żeby pomóc przy rozwiązaniu. „Ale jak się już powiedziało A, trzeba powiedzieć B”, dodała z westchnieniem. Nie była zachwycona tą Rachel. Cokolwiek by mówić o Alice Barker - a dużo o niej mówiono po jej odejściu - to jednak zawsze miała dla każdego miłe słówko, a i porody miała lekkie, co dla

pani May miało duże znaczenie. Wychodząc z pokoju, o mały włos nie przewróciła się na Alberta, który siedział pod drzwiami i bawił się swoimi żołnierzami. „No co, Albert, będziesz żołnierzem, jak dorośniesz?“, zapytała, a chłopczyk się uśmiechnął.

„Wiesz co, Albert, chyba masz już nowego braciszka“, powiedziała, kiedy z pokoju za ich plecami dobiegł wątyły krzyk i nagle przypomniała sobie, jak wręczała Alice Barker nowo narodzonego Alberta. Widziała ją jasno i wyraźnie, jak wyciąga ręce po Alberta, mówiąc: „Witaj, moja prześliczna ptaszyno“, a wtedy pani May roześmiała się, bo jest taka popularna piosenka o dziecku, które było tym jednym ponad miarę dla ubogiej rodziny.

Chodźmy powitać naszą prześliczną ptaszynę, Chociaż przybyła w niedobłą godzinę.

A wtedy Alice Barker także się uśmiechnęła, bo Albert był jednym z najładniejszych dzieci, jakie zdarzyło im się widzieć, i wyglądał w jej ramionach jak cherubinek.

„Ono jest żółte jak masło“, powiedział Frederick, kiedy po raz pierwszy zobaczył swojego najmłodszego syna. „On“, sprostowała Rachel. „On. I ma imię Samuel“. Pani May przyniosła dla dzieci słodycze i później, kiedy Albert obudził się i nie mógł zasnąć, Ada dała mu kawałek toffi koloru marmolady i złota, a on siedział szczęśliwy na jej kolanach, podczas gdy ona opowiadała mu bajkę o Królownie Śnieżce i złej macosze, a także wiele innych historyjek, w których nowa matka - uzurpatorka musiała do końca życia tańczyć w rozpalonych do czerwoności, żelaznych chodakach. „A potem ich mama wróciła i wszyscy żyli długo i szczęśliwie“.

„Mama wraca“, radośnie zaśpiewał Albert, a Ada sięgnęła po mały srebrny medalion, który schowała do kieszeni fartuszka, gdzie mogła go dotykać jak talizmanu, bo nie

potrafiła w to uwierzyć, żeby ich matka odeszła i na zawsze ich opuściła.

Rachel siedziała, kolebiąc nogą dużą drewnianą kołyskę. Dziecko trzymali w kuchni, przy piecu, jak bochenek chleba, ale ten bochenek nie miał nigdy wyrosnąć. Pani May odwiedzała ich regularnie przez całą zimę. Przeprowadzała też różne kobiety ze wsi. Każda z nich miała jakiś inny pomysł, co robić z tak słabowitym dzieckiem jak Samuel, który był taki mały jak lalka Ady i prawie tak samo bez życia.

W chłodne wieczory jedynej zimy Samuela przesiadywali w kuchni, Rachel po jednej stronie kołyski, a dzieci po drugiej, stłoczone na dużej dębowej ławie. Pomiedzy tymi dwoma frakcjami lampa rzucała krąg żółtego światła, przy którym ciemność stawała się jeszcze czarniejsza. Frederick znowu zniknął na całe wieczory, bo jak dawniej pił we wsi. Czasami Ada brała Nell na ręce, jak niemowlę, i potem siedziały ze swoją macochą naprzeciw siebie, po obu stronach kuchni, jak dwie królowe - rywalki. Tego wieczoru, po solidnej kłótni, Ada została zmuszona do jakiejś pożytecznej roboty, więc cerowała pończochy, podnosząc co chwila wzrok i spoglądając na Rachel w taki sposób, jakby patrzyła na pustą przestrzeń w kuchni. „Na co się tak gapisz?“, warknęła w końcu Rachel, a Ada uśmiechnęła się tym swoim sztucznym uśmiechem, na widok którego Rachel zawsze miała ochotę ją uderzyć, i powiedziała: „Na nic“. Kiedy Rachel zaczęła nalegać, odcięła się złośliwie, a Rachel zdążyła już na tyle poznać tę ich głupią, wiejską gwara, żeby zrozumieć, że jest wielką, wstrętną oślicą.

Na przyszły rok, pomyślała Rachel, pośle się tę dziewczynę na służbę i to załatwi sprawę. I będzie to dowód na to, że istnieje jakaś sprawiedliwość, kiedy córka Alice Barker będzie musiała szorować gary i wylewać pomyje. Rachel zdążyła już znienawidzić to miejsce. Pośród rozległych

zielonych pól czuła się osaczona i poza swoim morsko - słonym żywiołem. Brakowało jej krzyku mew, silnego odoru ryb i gotującego się wielorybiego tranu i gdyby nie Samuel, pewnie by spakowała manatki i wróciła do domu. Sama nie była pewna, kogo bardziej nie znosiła - męża czy dzieci.

- Czas iść spać - powiedziała, nie patrząc na dzieci.

- Nie możemy poczekać, aż tata wróci? - zapytał Lawrence płaczliwym tonem, który tylko rozdrażnił Rachel.

- Jak mówię czas to łóżka, to znaczy czas do łóżka - powiedziała przez zaciśnięte zęby, mocno akcentując każde słowo. Ktoś bardziej bystry niż Lawrence potrafiłby wyczuć, że miała ochotę na kłótnię.

- Ale czemu nie?

Rachel zdjęła stopę z bieguna kołyski, wychyliła się, chwyciła Lawrence'a za włosy i wciągnęła go w krąg światła. Kiedy go zobaczyła z bliska, puściła go, jakby jego włosy parzyły jej skórę, i wydała okrzyk przerażenia. Wszyscy z zaciekawieniem zebrali się wokół Lawrence'a, który miał całą twarz obsypaną małymi czerwonymi plamkami.

- Czy to dzuma? - zapytał Tom, podnosząc oczy na Rachel, a ona z obrzydzeniem potrząsnęła głową i powiedziała:

- Nie, ty mazgaju - to wietrzna ospa.

Napalono solidnie w kuchennym piecu i o drugiej nad ranem ogień wciąż jeszcze żarzył się czerwonym płomieniem. Ada wsłuchiwała się w godziny i półgodziny, które wydzwaniał mahoniowy zegar na kominku, należący do jej matki, zanim jeszcze wyszła za Fredericka. Matka kochała ten zegar. Ada zakradła się do drzwi i uniosła zasuwkę, wstrzymując oddech, na wypadek gdyby zasuwka zazgrzytała albo zastukała. Pchnęła drzwi, które otworzyły się szeroko, tak że nagle wtargnięcie lodowatego powietrza uniosło brzeg szydełkowego bieznika na kominku i zdmuchnęło ze stołu

kawałek niebieskiej torebki po cukrze. Za to powietrze na dworze było nieruchome i mróz aż trzeszczał. Ada wciąż jeszcze miała gorączkę i była rozpalona od ospy, więc mroźne powietrze przyjemnie chłodziło jej skórę.

Olbrzymi błądy księżyc wisiał nad polami, zmieniając wszystko w dole w błękit. Szron na drzewach połyskiwał jak migoczący lukier. Ada wypowiedziała życzenie do białego księżycy, jedyne życzenie, jakie miało każde z nich - żeby Rachel umarła, a jej tłuste cielsko zgniło i przepadło pod ziemią. Bo Rachel była jak jedna z tych wielkich bestii na polach, tylko że nie do końca, bo bestie na polach nie mają złych intencji i są Bożymi stworzeniami, a Rachel z pewnością musiała należeć do samego diabła.

Ada wyjęła z kieszeni srebrny medalionik i otworzyła go w blasku księżycy. Zwinięty w medalionie kosmyk wydawał się w tym świetle zupełnie bezbarwny. Ona odeszła w nocy. Ucałowała ich wszystkich po kolei, kiedy kładli się spać, jak zwykle, a rano już jej nie było, jej miejsce zajął mały srebrny medalion, który duch matki wsunął w nocy Adzie pod poduszkę. Następnego ranka Frederick zebrał ich wszystkich wokół stołu w kuchni i powiedział, że ich matka umarła. Potem zostawił Adę, żeby ugotowała owsiankę, a sam poszedł do wsi poszukać niańki dla Nellie. Wychodząc, kłął: „Mogła chociaż wziąć ze sobą tego cholernego bachora!” Ada nie potrafiła zrozumieć, jak matka mogła umrzeć, nie pozostawiając po sobie ciała - jeśli jednak nie umarła, to gdzie mogła teraz być?

Ada zamknęła drzwi równie cicho, jak je otworzyła, i podeszła na palcach do kołyski. „No, Samuel, jak ci się to podoba? Trochę miłego, chłodnego powietrza, żeby cię pogonić do twojego Stwórcy?” Dziecko cicho sapnęło. „To taki z ciebie gagatek, co? A ja tak cię rozpieszczam?” Powoli i z premedytacją Ada potarła palcem gruby strupek na czubku

pryszczą po ospie. Strupek pękł, a ona aż tupnęła z bólu. Wzięła głęboki oddech i roztarła palcem ropę, a potem nachyliła się nad kołyską i wtarła ją dziecku w twarz, jak ksiądz udzielający błogosławieństwa.

- Co ty wyrabiasz? - W obszernej koszuli nocnej Rachel sunęła po kamiennych płytach jak okręt wojenny na pełnych żaglach, zbliżający się do nieszczęsnej ofiary.

Ada odskoczyła i machinalnie schowała za siebie tę rękę, którą zgrzeszyła.

- Nic - odparła, uśmiechając się od ucha do ucha.

- Ty mała kłamczucho! Nie strugaj mi tu niewiniątka - odejdz od tej kołyski! - Głos Rachel wznosił się coraz wyżej, co oznaczało, że zaraz wpadnie w szal. - Jeżeli chociaż tknęłaś go palcem, rozerwę cię na kawałki, rozumiesz?

Samuel cicho zakwilił w głębi kołyski. Rachel szarpnęła Adę za ramię i odciągnęła ją na bok. Jednocześnie chwyciła ją za rękę, żeby sprawdzić, co chciała przed nią ukryć.

- Nic tu nie ma! - krzyknęła Ada. - Nic, tylko moja ręka - ja nic mu nie zrobiłam - zdawało mi się tylko, że płakał.

- Jak by cię to w ogóle obchodziło - powiedziała Rachel, okręcając Adę na wszystkie strony i przeszukując jej kieszenie. Nagle Ada przypomniała sobie o medalionie i podjęła rozpaczliwy wysiłek, żeby się wykręcić od szperających rąk Rachel.

- A to co takiego, moja pani? - Rachel triumfalnie uniosła w górę medalion. - No, no, już ja wiem, kto ci to dał.

- Dała mi to moja mama i nic ci do tego!

- Nic? A właśnie że coś - powiedziała ze śmiechem Rachel, gdy Ada sięgnęła po wisiorek. Pchnęła ją tak mocno, że Ada przeleciała przez kuchnię i wyrznęła o ławę. Rachel namacała zatrząsk medalionu, który nagle się otworzył, wyjęła złoty lok starannie zwinięty pod szkłem i rzuciła go na rozżarzone węgle, gdzie sycząc, rozsypał się w nicość. Ada

prychała jak kotka, gotowa rzucić się z pazurami na Rachel, ale w tym właśnie momencie Frederick wtoczył się przez drzwi, z twarzą pociemniałą od picia, i Rachel całą swoją złość skierowała właśnie na niego.

- Popatrz tylko na siebie! Co za wstyd! Jesteś łajza, pijak, ladaco! Teraz już rozumiem, dlaczego cię zostawiła.

Resztę zdania stłumiła potężna, czerwona pięść Fredericka.

*

Dziecko nie żyło zaledwie od godziny, ale już się skurczyło, jakby uszło z niego powietrze. Mimo to Rachel nadal trzymała przy piersi martwe ciało, jakby Samuel jeszcze żył.

- Może skoczyć po pastora? - zaproponował Lawrence. Od dłuższego czasu siedzieli w ponurym milczeniu, ogarnięci poczuciem winy. Nikt nawet nie ruszył się, żeby dorzucić drzewa do ognia.

- Ja pójdę - skwapliwie zgłosiła się Ada. Wymknęła się na dwór, przemknęła w chodakach przez lodowate podwórko i potykając się, poszła ścieżką do wsi, modląc się przez całą drogę o przebaczenie, bo choć Samuel zmarł na atak jakiejś choroby, bez jednej widocznej plamki po ospie, Ada nie miała wątpliwości, że zamordowała go swoimi życzeniami.

Dyfteria. Słyszała, jak szeptano to słowo za drzwiami. To ładne słowo - dyfteria, zupełnie jak dziewczęce imię. Rachel wezwała starego doktora Simpsona, który uśmiechnął się do Ady spomiędzy siwych bokobrodów, zajrzał jej do gardła i powiedział: „A - ha, no tak, a - ha”, gdy poczuł jej straszliwie cuchnący oddech i zobaczył w gardle błonę, która wyglądała jak kawałek irchy. Potem doktor Simpson wziął ją za rękę i powiedział: „Niedługo znowu będziesz biegać, Ada”, i pomyślał, że to takie ładne dziecko, zupełnie jak jej matka.

Kiedy wyszedł z pokoju, Ada usłyszała strzępki jego rozmowy z Rachel. „Musi pani trzymać trzymać od niej z daleka resztę dzieci... raptowne pogorszenie... w przypadku takim jak ten... po wszystkim”. Rachel odpowiedziała coś ostrym tonem, ale Adzie nie udało się wychwycić słów. Potem usłyszała kroki na schodach i wreszcie zapadła cisza, przerywana jedynie tykaniem zegara matki, który kazała sobie przynieść do pokoju, a Rachel, skruszona i odrętwiała w obliczu śmierci, zgodziła się na to. Po paru minutach Ada usłyszała na podwórku stukot kopyt wielkiego gniadosza doktora Simpsona. Odjeżdżając w nikłym, zimowym świetle, doktor Simpson przyłapał się na tym, że rozmyśla o lokach Alice Barker. Myśl ta utrzymywała go w radosnym nastroju, dopóki zając nie spłoszył jego konia, kiedy przejeżdżali koło zabudowań farmy i doktor o mały włos nie spadł z kozła. Ada słuchała, jak stukot kopyt zamiera w oddali, a potem zaczął padać śnieg.

Ada słyszała grzechoczący odgłos, który wydobywał jej się z gardła. Równie dobrze mogła to być grzechotka, obwieszczająca jej śmierć. Dobrze wiedziała, że kiedy się go słyszy, oznacza to, że człowiekowi już się nie polepszy. Siostra jej koleżanki szkolnej umarła na dyfteryt zeszłej zimy, więc Ada wiedziała, jak to wygląda. A zresztą, patrząc z bliska, śmierć wcale nie była taka straszna. Dzwony kościelne wydzwaniały stłumioną melodię, jakby wiedziały, że już odchodzi, chociaż tak naprawdę były dla miejscowego dziedzica, który zmarł kilka dni wcześniej i miał być tego dnia pochowany. Święta nadeszły i minęły, a w pokoju dla chorych nawet tego nie zauważono. Chłodna pogoda, która pomogła w pochówku małego Samuela, pogorszyła się później i ziemia zrobiła się twarda jak stal i zimna jak ołów. Dla Samuela udało się jeszcze wykopać grób, ale żeby poruszyć ziemię dla Ady, trzeba było użyć kilofów.

Przyszła śnieżycą. „Biała burza”, powiedziała Rachel, próbując zmusić Adę do wypicia kleiku jęczmiennego, ale ją za bardzo bolało gardło, żeby była w stanie coś przełknąć. Światło, wpadające przez okno i odbite od śniegu, było oślepiające i zdawało się drżeć i falować jak woda. Albert, Lillian i Nell bawili się na dworze, a ich podniesione głosy przerywały głęboką ciszę, którą niesie ze sobą śnieg.

Znowu zaczęło sypać, z początku słabo, jednak stopniowo płatki stawały się coraz większe, aż zaczęły przypominać miękki puch z piersi ptaków albo pióra z anielskich skrzydeł. Ada była na dworze. Stała bosą na śniegu skrzypiącym i białym jak cukier, w samej tylko koszuli, jednak wcale nie było jej zimno. Rozejrzała się wokół, żeby sprawdzić, gdzie są maluchy, ale nigdzie ich nie było. Spojrzała na drzewa i zobaczyła, że uginające się od śniegu gałęzie pełne są białych ptaków. Kiedy na nie patrzyła, nagle uniosły się w powietrze z wielkim szumem skrzydeł, gubiąc pióra, które zmieniły się w wielkie, leniwe płatki śniegu. Ada obserwowała je w powietrzu, z twarzą wzniesioną ku górze, a płatki śniegu topniały jej na policzkach. Śnieżne stado zatoczyło krąg i przeleciało jej nad głową, tak że mogła słyszeć ich bijące w powietrzu skrzydła i stłumiony dźwięk dzwonów z oddali, a bliżej tykanie zegara matki i stukot kopyt gniadosza doktora Simpsona na podwórzu.

Ptaki zakreślały wielkie koła, zniżając się ku niej i nim zdążyła się zorientować, co się dzieje, już leciała z nimi w stronę jasnego, arktycznego słońca. A tam, w samym jego sercu, była już jej matka, z otwartymi ramionami, żeby ją powitać.

Lawrence zniknął dwa lata później - wymknął się z domu któregoś letniego poranka, żeby uciec na morze. Tom wpadł w histerię, bo był przekonany, że jego brat został uprowadzony przez jakieś nadprzyrodzone siły. „Ty głupi durniu”,

powiedział Frederick, dając mu w głowę kuksańca. Tom jednak nadal wierzył, że Lawrence został uprowadzony za pomocą czarów. Swoimi podejrzeniami zaraził też młodsze dzieci, tak że ilekroć później wspominały Lawrence'a, myślały o nim jak o jakiejś tajemnicy, bo nigdy więcej nie było od niego żadnej wiadomości. (Prawdę mówiąc, próbował raz czy dwa napisać, ale w tym czasie rodzina już się przeprowadziła). Lawrence wylądował w Hull, w zdartych butach i z żołądkiem skurczonym jak pięść. Kiedy stał na środku krainy zielonego imbiru, zastanawiając się, co to za miejsce, w którym ulice mają takie nazwy, ulitował się nad nim jakiś stary marynarz i wziął go na pokład swojego trampowca. Przez następne dwa lata Lawrence pływał wzdłuż wschodniego wybrzeża oraz przez Morze Północne do Holandii i Niemiec, zanim wreszcie dostał pracę palacza na statku, który płynął do Ameryki Południowej. Na tym rozległym kontynencie przebywał przez piętnaście lat, póki tęsknota za domem nie przygnała go z powrotem do Anglii. Kiedy wpływał na ojczyste wody, trwała już I wojna światowa. Nigdy jednak nie dotarł do domu, bo gdy już był na Morzu Północnym, wyleciał w powietrze na niemieckiej minie, właśnie kiedy na horyzoncie ukazało się wybrzeże Anglii.

Rok później, pewnej mroźnej, lutowej nocy, Frederick zamarzył na śmierć pod drzwiami swojej chaty - zbyt pijany, żeby dosięgnąć do zasuwki i wejść do środka. Po tym wszystkim Rachel doszła do wniosku, że ma już dość życia na wsi i z powrotem uciekła do miejskiej cywilizacji. Wolałaby oczywiście wrócić nad morze, ale zaproponowano jej posadę kucharki w Yorku, u szwagierki wikarego, więc pomyślała sobie, że musiałaby być głupia, żeby jej nie przyjąć. Na początku wynajmowali pokoje w jednej z ruder na Walmgate, ale jak tylko rodzina stanęła na nogi, przenieśli się do przyzwoitego szeregowego domku na Groves. Dzieci chodziły

do kościoła, miały czyste chusteczki do nosa, straciły swój wiejski akcent i prawie całkiem zapomniały o życiu na wsi.

Nim Nell wróciła znad jezior, z podróży poślubnej, i dowiedziała się, że Rachel umarła i została pochowana („Po co było cię zawiadamiać i psuć ci miesiąc miodowy”, rozsądnie stwierdziła Lillian), Lillian zdążyła już wyrzucić większość rzeczy macochy. Ale nie srebrny medalion, o którym wiedziała, że należał do ich matki, bo na jej jedynej fotografii, którą miał ich brat Tom, widać było wyraźnie ten medalion. Lillian dała go Nell ze słowami: „Byłaś wtedy malutka, nigdy cię nawet nie trzymała na rękach”, a potem obie płakały nad pustym medalionem i różnymi innymi rzeczami. Oczywiście nie mogły wiedzieć o tym, że w chwili gdy siedziały w saloniku na Lowther Street, płacząc nad medalionem, ich matka z krzykiem rzuciła wazonem przez sypialnię w Whitby. Wazonem, który miał tego pecha, że trafił monsieur Jean - Paula Armanda w samą skroń, tak że trzeba było wezwać pokojówkę, żeby przyniosła gorącą wodę i zimne kompresy na olbrzymi siniec, który wykwitł mu na głowie.

Rozdział 5

1958

INTERLUDIUM

Bunty i Papuga zaginęły tej samej nocy i dopiero później, kiedy już obie bezpiecznie wróciły do domu, zdaliśmy sobie sprawę, że był to zwykły zbieg okoliczności i że Bunty wcale nie uciekła razem z Papugą. Albo, jeżeli już o tym mowa, Papuga nie uciekła z naszą matką. Myśl ta głęboko utkwiała mi w głowie, bo ostatnio Patricia czytała mi Baśnie z tysiąca i jednej nocy, więc natychmiast wyobraziłam sobie lecącą po niebie Papugę, z Bunty kurczowo uczeploną jej pokrytych łuską, gadzich łap - zupełnie jak Sindbad. Skrajne nieprawdopodobieństwo czegoś takiego, żeby Papuga miała być jedyną rzeczą, jaką Bunty zabrała ze sobą, uciekając z domu, jakoś nie dotarło do naszych dziecięcych główek.

Trzeba trochę czasu, żebyśmy zrozumiały, że Bunty nie ma. Ona jest naszym żywym budzikiem i skoro nie dzwoni, śpimy po prostu dalej. Prawdę mówiąc, budzimy się dopiero piętnaście po dziewiątej, kiedy zaniepokojony klient głośno dobija się na dole do drzwi Sklepu, budząc wszystkie zwierzęta, które także zasnęły, oraz wściekłą Patricię, która nienawidzi się spóźniać (Patricia należy do tego rodzaju dziewczynek, co to przychodzą do szkoły grubo przed woźnym). Ponura wiadomość powoli obiega cały dom - Patricia budzi Gillian, Gillian budzi mnie - skacząc na moje śpiące ciało i krzycząc, że ukradłam jej lalkę, Denise (Denise wyparła z jej serca porzuconych Smolucha i Czyściocha), a ja budzę George'a, wpadając do sypialni rodziców, cała we łzach i w hysterii, i demonstrując mu błyskawicznie powiększający się siniec na policzku, w który trafiła noga Gillian. Tego już George'owi za wiele. W zamroczeniu gramoli się z łóżka, chwytając stojący przy łóżku budzik, wpatruje się w niego nieprzytomnym wzrokiem, potem patrzy na puste miejsce z

drugiej strony podwójnego materaca, gdzie powinna być Bunty, a potem znowu opada na łóżko, mamrocząc: „Idź, poszukaj matki”.

Jak się okazuje, to wcale nie taka prosta sprawa. Cała nasza trójka bawi się w „polowanie na mamę” przez dobre pół godziny, a w końcu wracamy do George'a, żeby się przyznać, że absolutnie nie nadajemy się do tej zabawy. „Co to znaczy, że nie możecie jej znaleźć?” George zdążył już tymczasem wstać i goli się teraz elektryczną maszynką, trzymając warte przy tosterze. Co jakiś czas w Sklepie rozlega się dzwonek i George musi zejść na dół i obsłużyć klienta. Chociaż jest już w spodniach, ciągle jeszcze ma na sobie podkoszulek i górę od piżamy, więc słyszymy wymianę typowych sklepowych dowcipów na bardzo wymyślnym poziomie. „A więc zasnął pan, panie Lennox? Ha, ha, ha”. „No, no, George - pewnie coś cię zatrzymało w łóżku? Ha, ha, ha”. Ostatnie zdanie, to niewątpliwie sprośny londyński dialekt Waltera, kupującego rybę dla chomika swojej matki. Nawet ten zakup staje się okazją do świńskich dowcipów, jednak George nie ma chyba nastroju do żartów.

„Jak tam Doreen?”, pyta Walter, wykonując specyficzny gest, jakby podnosił wielki, niewidoczny biust. George mruży coś niewyraźnie o Bunty. „Straciłeś żonę?”, powtarza z niedowierzaniem Walter. „Ty to masz szczęście, chłopie!” Ale mina George'a wcale nie wyraża radości. Rozgląda się po Sklepie i niemal jednocześnie odkrywa dwie rzeczy - nieobecność Papugi i obecność Ruby. „Włóż coś na siebie!”, mówi natychmiast, jakbym robiła striptiz, a nie stała w nocnej koszuli i kapciach, unosząc żałośnie w górę kawałek zwęglonej grzanki.

„Ściany mają uszy”, mówi Walter, łapiąc się za ucho.

- Dlaczego ściany mają uszy? - pytam Patricię, która znowu jest w kuchni i przypala grzankę za grzanką.

- Skąd mam to wiedzieć, u licha - mówi ze złością, odgarniając włosy z czoła, a potem zgnębiona krzyczy na toster. Gillian wyjmując z kredensu pudełko płatków kukurydzianych i nalewa sobie mleka do talerza.

- Bambi - mówi, sypiąc dwie kopiaste łyżki cukru na płatki. - Królewna Śnieżka, Kopciuszek - to są obrazki.

Dzwonek w Sklepie obwieszcza wyjście Waltera i George znowu wpada do kuchni.

- Gdzie ona jest, do jasnej cholery? - pyta, wodząc dzikim wzrokiem po całej naszej trójce.

- Może zostawiła jakiś list - mówi Patricia, uważnie celując jedną z czarniejszych grzanek w wiadro ze śmieciami.

- List? - powtarza w osłupieniu George. Myśl, że Buntownicy mogłyby nas opuścić, a nie zapodziać się gdzieś w domu, jakoś nie przyszła mu do głowy.

- Tak, list - powtarza Patricia. Grzanka celnym łukiem trafia do wiadra (Patricia jest bezlitosną egzekutorką goli w szkolnej drużynie siatkarskiej junierek). - No, wiesz, list.

- Wiem, do cholery, co to jest list - mówi ze złością George i znowu wypada z kuchni. Sięgam z westchnieniem po płatki. Rozsypują się wszędzie, ale część z nich, na szczęście, trafia do talerza. Patricia smaruje masłem dymiącą grzankę i wgryza się w nią z ponurym zadowoleniem. Jemy na stojąco, opierając się o kuchenne blaty, które akurat są pod ręką. To wyzwolenie się z rygorów jadalni niesie ze sobą smak zakazanych przyjemności i na koniec robi się z tego całkiem niezłe śniadanie. Cieszą nas nie tylko przypalone grzanki i przesłodzone płatki, ale także kilka śmiałych plam po jajku i grzankach, które wspólnym wysiłkiem robimy wokół patelni. Nasza współpraca nie obejmuje jednak pójścia do szkoły. Kiedy bez pośpiechu kończymy śniadanie, Patricia pakuje tornister i mówi:

- No dobra, to ja wychodzę.

- A co ze mną? - zawodzi Gillian, wpychając do ust ostatni kawałek umaczonej w jajku grzanki. (Bunty zazwyczaj towarzyszy Gillian i mnie w długiej drodze do szkoły).

- Jak to, co z tobą? - pyta Patricia lekceważącym tonem, po którym Gillian murowanie dostaje szału.

- Jak ja trafię do szkoły? - wrzeszczy, podskakując raz za razem (a ja zauważam, że nie ma tu żadnego „my”).

Patricia wzrusza ramionami.

- Nie wiem - mówi jadowitym tonem. - Co mnie to obchodzi. A zresztą, masz już prawie dziesięć lat, więc chyba trafisz sama do szkoły? - i po tym przytyku do dojrzałości Gillian zarzuca na plecy tornister i znika. Gillian kipi z wściekłości, ale zaraz się uspokaja, bo nieoczekiwanie wraca Patricia.

- Wezmę tylko tornister - szybko mówi Gillian.

- Nie wysilaj się, nie wróciłam tu po ciebie - mówi z pogardą Patricia. - Zapomniałam napisać list. To wszystko.

Więc Patricia także chce napisać list?

- Czy ty też masz zamiar uciec, Patricio? - pytam z przerażeniem.

- Nie, ty ośle - mówi - list, bo się spóźniłam. - Wyrywa kartkę z notatnika do francuskiego i pisze doskonale podrobionym pismem Bunty - „Szanowna Panno Everard, przepraszam, że Patricia spóźniła się dziś rano do szkoły. Nasz pies został przejechany przez samochód. Z poważaniem, G. Lennox”.

- Jaki pies? - pyta Gillian. Obie zwisamy Patricii przez ramię, patrząc, jak pisze. - Przecież my nie mamy psa.

- Owszem, mamy całą masę psów - mówi Patricia, zgrabnie składając kartkę w kwadracik.

- Tak, ale to są psy ze Sklepu - mówi zdezorientowana Gillian. - I żaden z nich nie został przejechany, prawda?

- Gillian. - Patricia patrzy z niedowierzaniem na Gillian.

- Przecież ty zawsze kłamiesz, więc nie rozumiem, czym się tak podniecasz.

Gillian rzeczywiście wygląda na podnieconą. Jej policzki pokryły się śmiesznymi różowymi cętkami - trochę jak u pstrąga

- co jej się zdarza, kiedy jest bliska szafu.

- Tym razem wychodzę już na dobre - mówi Patricia, nie zwracając na nią najmniejszej uwagi, a potem odwraca się do mnie i z miłym uśmiechem dodaje: - No to do wieczora, Ruby.

Chcąc się jej odwdzięczyć za te względy, idę do furtki za domem, żeby jej pomachać - coś, czego Buntty nigdy nie robi. Za plecami słyszę wycie, jakby włączyła się syrena przeciwlotnicza: „Ja chcę do mamy!”

No cóż, „chcę, wcale jeszcze nie znaczy, że dostanę”. „Mama” nigdy nie przestaje nam tego powtarzać. Tego dnia nie idziemy do szkoły, ale spędzamy czas z daleka od George'a, głównie w pokoju Gillian, gdzie Gillian decyduje się poprowadzić alternatywną szkołę - wszyscy jej uczniowie siedzą na podłodze, a ona siedzi na łóżku. Ja muszę tłoczyć się w ławce razem z Denise. Naczelnym obowiązkiem Gillian wydaje się wyznaczanie kar. Kiedy odważam się poskarżyć, że jak Patricia bawiła się w szkołę, miałyśmy lekcje, zostaje postawiona do kąta na ponad godzinę i wolno mi wyjść tylko po to, żeby poszukać czegoś do jedzenia. Jednak nawet wtedy nie udaje mi się zostać pupilką pani nauczycielki, bo znajduję tylko kilka śmietankowych herbatników i pół słodowego bochenka. George woła do nas co jakiś czas, pytając, czy wszystko w porządku, na co jednogłośnie odkrzykujemy: „Tak!”, bo nie możemy sobie nawet wyobrazić, co by to było, gdybyśmy powiedziały „nie”.

- Siedziałyście tu przez cały dzień? - pyta ze zdumieniem Patricia po powrocie ze szkoły.

- Tak.

- I ani śladu mamy? (Ten rzeczownik, niemal doszczętnie wytepiiony ze słownika Patricii, został uratowany dzięki obecnemu kryzysowi).

- Tak.

Zniknęła bez śladu, nie pozostawiając bodaj włoska czy paznokcia. Może nie żyje. Może dołączyła do duchów naszego domostwa, przechodząc przez ściany i zjeżdżając na dół po schodach. Gdyby tu była pani Wedgewood albo Myra z kościoła cioci Babs, może mogłyby poprosić nasze duchy, żeby były tak uprzejme i rozejrzały się, czy jej tam nie ma. W ten sposób Dziewiąty Legion miałby coś do roboty.

George wychodzi i przynosi na podwieczorek smażoną rybę z frytkami. Ma bardzo zmartwioną minę.

- Wiecie, że ta cholerna papuga też zdezerterowała - mówi, potrząsając w zadumie głową. - Jak myślicie, czy powinniśmy zawiadomić policję? - pyta, a cała nasza trójka patrzy na niego szeroko otwartymi oczami, bo nigdy przedtem nie pytał nas o zdanie w żadnej sprawie.

- No cóż - mówi ostrożnie Patricia. - A czy ty w ogóle szukałeś listu?

- A miałem na to czas? - pyta George urażonym tonem i jeszcze raz wysyła nas na poszukiwanie.

Gillian namawia Patricię, żeby sfalszować list.

- A co by to dało? - prychna Patricia.

- Byłby zadowolony - nalega Gillian, a Patricia mruży z namysłem oczy.

- Chodzi ci o to, że nie będzie się na nas wściekał? Entuzjastycznie popieram ten plan, choć w głębi ducha trochę mi wstyd, że bardziej obchodzi nas nasz własny los niż to, co stało się z matką. Tak czy inaczej, nasz plan spalił na panewce, bo żadna z nas nie potrafiła wymyślić, co Bunt mogłaby napisać, żeby George był zadowolony.

Przeszukujemy szufladkę w nocnym stoliku Bunty. Panuje tam wzorowy porządek, ale nie ma żadnej wiadomości dla George'a. Jest za to mały srebrny medalion.

- Co to? - pyta Patricia, wzruszając ramionami.

- Ach, przecież to ja! - mówię z zachwytem, bo po otwarciu medalionu znajduję moje dwie maleńkie fotografie, po jednej w każdej połówce. Zdjęcia wyglądają, jakby zostały wycięte z kliszy, które Bunty miała zwyczaj wieszać na ścianie w salonie. Gillian siedzi na łóżku i zagląda mi przez ramię.

- Mama trzyma przy łóżku moją fotografię - mówię znacząco do Gillian, której zdjęcia tam nie ma.

- No tak - odpowiada Gillian sarkastycznym tonem. - Ona trzyma ją tutaj, bo to fotografia P... - I piszczy, bo Patricia daje jej w bok mocnego kuksańca.

Naszą uwagę przykuwa teraz Patricia, która właśnie odkryła w szufladzie nocnego stolika George'a coś, co uznajemy za prawdziwy list, a także jaskrawoczerwony pakiet aspiryny, kilka drobnych monet oraz różowo - fioletową paczuszkę dureksów. Tkwimy przez chwilę w zadumie nad pełną skarbów szufladą George'a, próbując zebrać w sobie dość sił, żeby otworzyć kopertę z nakreślonymi w okrutnym pośpiechu słowami „George”.

Gillian proponuje, żeby ją otworzyć nad parą, ale zejście do kuchni wydaje nam się dość ryzykowne, i dopiero Patricia wpada na błyskotliwy pomysł, żeby użyć ekspresu do herbaty, który Bunty trzyma przy łóżku, a czajnik napełnić w łazience. Herbata nie została zaparzona - w czajniku nie ma wody, a w czajniczku esencji, co według Patricii świadczy o tym, że Bunty miała jednak zamiar wyjechać, a nie została uprowadzona w środku nocy przez jakieś nadprzyrodzone siły. To może być prawda - odkąd Bunty ma swój ekspres, jest tak przywiązana do porannej ceremonii picia herbaty jak jakaś

gejsza - ja jednak wciąż nie mogę w to uwierzyć, że mogłaby dobrowolnie porzucić swoje własne dzieci.

Jak się okazuje, nie mam racji. W końcu udaje nam się otworzyć list, ale przy okazji Patricia parzy sobie palce, a koperta pogmiotła się i zamoczyła, więc ją po prostu rozrywamy.

- Czytaj, Patricio! - błaga rozpaczliwie Gillian, bo Patricia czyta po cichu, z kamienną twarzą. - Co ona tam pisze?

Kiedy Patricia zaczyna głośno czytać, odnosimy niesamowite wrażenie, że to Bunty, chociaż słowa same w sobie są dziwnie pompatyczne, jakby Bunty przepisała je z jakiejś książki: „Kochany George'u, moja cierpliwość już się wyczerpała. Nie mam ochoty dłużej żyć w taki sposób i myślę, że będzie lepiej, jeżeli spędzę jakiś czas z dala od Was wszystkich. Chociaż, jak sam wiesz, bardzo kocham dzieci. Mówisz mi, że nie zadajesz się z nikim innym, a ja muszę Ci wierzyć, bo jesteś moim mężem, ale jak wiesz, to już nie jest dla mnie to samo życie, odkąd P...” - Patricia krztusi się nad następnym słowem i rzuca Gillian dziwne spojrzenie. Zapada męcząca cisza, a potem Patricia zaczyna dalej czytać: - „Tak czy inaczej, wyjeżdżam na jakiś czas, bo mam naprawdę dość (to już bardziej podobne do Bunty). Nie martw się o mnie. Jakbyś to w ogóle kiedykolwiek robił, Bunty”.

Przez chwilę w milczeniu przeżywamy treść listu - a zwłaszcza ten jego fragment, jak bardzo Bunty kocha dzieci - aż w końcu Patricia prychnie i mówi: „Co za cholerne bzdury”. Dziwi mnie to, bo wydawało mi się, że to raczej wzruszające.

- Może nie musimy mu tego dawać? - pyta z nadzieją w głosie Gillian, ale Patricia, etyczna do ostatka, mówi: że musimy, i podrabia napis na nowej kopercie.

- Chyba nie otwierałyście tego? - pyta George, mierząc nas znad listu podejrzliwym wzrokiem.

- Oczywiście, że nie - mówi urażonym tonem Patricia. - Przecież ta koperta jest zaklejona, prawda?

- Hmmm - mówi George. Ewidentnie gra na zwłokę, wpatrując się z nateżeniem w list, chociaż to oczywiste, że już go dawno przeczytał. - No tak - mówi w końcu - w każdym razie wasza matka musiała nagle wyjechać, żeby się zająć ciocią Babs, bo się źle poczuła. To znaczy ciocia Babs. To ciocia Babs źle się czuje, a nie wasza matka.

Wydajemy pomruk współczucia dla cioci Babs i spoglądamy po sobie, wytrzeszczając oczy. Zatajenie faktu, że znamy prawdę, przychodzi nam z wielkim trudem. Chwilę później, kiedy nasza histeria już opadła, Patricia przypomina George'owi o nieuchronnie zbliżających się wakacjach - wszyscy zupełnie zapomnieliśmy o tym, że na Zielone Świątki mamy jechać do Whitby. George wali głową w drzwi.

- Nie - jęczy - nie, to nie do wiary. Jak mogłem zapomnieć? - Zwraca się do nas z wyrazem tragicznego zdumienia na twarzy. Wszystkie trzy demonstracyjnie wzruszamy ramionami, wytrzeszczając oczy i unosząc w górę dłonie. Co teraz będzie? Jak to możliwe, że bez Bunty, która ciągle nam o czymś przypominała, nie potrafimy zrobić najprostszych rzeczy, na przykład obudzić się, zjeść, pamiętać o wakacjach?

- Zamknę Sklep - mówi w końcu George, kiedy już obdzwonił wszystkich, którzy przyszli mu na myśl, z prośbą, żeby zastąpili go na weekend, ale nie znalazł nikogo, kto by chciał albo mógł. Przedtem, i to tylko w najwyższej potrzebie, ściągano do pilnowania Sklepu babcię Nell, ale teraz wuj Ted zabrał ją na tydzień nad jeziora (zobacz Przypis V). George miał oczywiście zorganizować to już dawno temu - Bunty parokrotnie mówiła nam, że George „załatwia jakieś zastępstwo”, żebyśmy mogli mieć „prawdziwe rodzinne wakacje”. Wciąż jeszcze zachowałyśmy jakieś niewyraźne

wspomnienia z ubiegłorocznych wakacji, kiedy George'owi udało się wymigać od spędzenia z nami wszystkimi wyjątkowo deszczowego tygodnia w Bridlington (a jednak, to ciekawe, ilekroć Bunty dzwoniła, nie było go w domu. Bunty spędziła większą część wakacji w budce telefonicznej. Po jej powrocie do domu George z pewnością musiał zapłacić za te wszystkie rozmowy).

- Co by się stało ze zwierzętami, gdybyś zamknął Sklep na tydzień? - pyta rozsądna Patricia. Następuje kolejny popis walenia głową w drzwi. Gillian zaczyna się mazać w bardzo nieprzyjemny sposób.

- Nie możemy stracić naszych wakacji !

- Nie wiem, co by się z nimi stało - mówi George, machając ręką, coraz bardziej znękany. - Może mogłybyście pojechać do Babs albo coś w tym rodzaju.

- Nie - łagodnie przypomina mu Patricia - przecież ciocia Babs jest chora, zapomniałeś o tym?

George patrzy na nią nieprzytomnym wzrokiem.

- A Lucy - Vida? - wtrąca się Gillian, a jej szloch przechodzi w dyszkant.

- Lucy - Vida? Lucy - Vida? Co z Lucy - Vida? - rzuca się na nią George.

- Miała z nami jechać - mówi Patricia. (Ciocia Eliza idzie do szpitala, żeby sobie usunąć te sine żyłki na nogach). - Będzie tu jutro rano.

George pada na kolana i wali głową o dywan. To ponad jego siły. Ma już wszystkiego dość - żona i papuga zniknęły, ma cztery małe dziewczynki, którymi trzeba się zająć, Sklep, którego trzeba pilnować, wakacje, którymi trzeba się cieszyć. Nagle podnosi wzrok. Jakaś myśl rozjaśnia mu twarz. „Ha!”, mówi, ale nie podaje żadnych szczegółów.

Patricia siedzi z przodu, a Lucy - Vida, Gillian i ja siedzimy z tyłu naszego rozklekotanego forda Anglia.

Jesteśmy w drodze do Whitby, gdzie mamy spędzić wakacje w wynajętym mieszkaniu z własną kuchnią, jak to zostało wcześniej załatwione. Zamiast jednak pojechać na Pickering, wykonujemy jakiś dziwny objazd. Mijamy znak z napisem „Leeds, Mirfield, Dewsbury”, a ja zwijam się z przerażenia jak jeź. Patricia rzuca George'owi spod oka surowe spojrzenie.

- Myślałam, że nie jedziemy do cioci Babs.
- Bo nie jedziemy - mówi zagadkowo George.
- Ciekawe, czy Daisy i Rose pójną w tym roku na procesję - mówi Lucy - Vida, nie wiadomo do kogo.
- Wątpię - stwierdza ponuro Patricia. - Pamiętaj, że ciocia Babs źle się czuje.

Fakt ten został podkreślony w ciągu ostatniej doby tyle razy, że w końcu same zaczynamy wierzyć, że to prawda. Lucy - Vida, której oczywiście opowiedziałyśmy o wszystkim, łącznie z kolorem dureksów (choć nikt mi dotąd nie wyjaśnił, do czego się ich używa), ciągle zapomina, gdzie ma być Bunty, i trzeba jej podpowiadać. „Ach tak, rzeczywiście”, mówi teatralnym tonem, a George z niepokojem patrzy na jej odbicie we wstecznym lusterku.

Mam wrażenie, że minęły całe wieki, nim wreszcie zatrzymujemy się przed małym i dość obdrapanym domkiem w Chapeltown.

- Zaraz wracam - mówi George, gramoli się z auta i całym ciężarem napiera na elektryczny dzwonek. Jakaś niewidzialna ręka otwiera drzwi i George znika w środku. George poinformował nas, że ma „kogoś, kto się nami zajmie”, więc mnożą się spekulacje co do tego, jaka to może być osoba ten „ktoś”. Każda z nas ma oczywiście swoje preferencje - Lucy - Vida chciałaby Margot Fonteyn, ja Nanę, psa z Piotrusia Pana, a Patricia Mary Poppins (chciałybyśmy, żeby ta kobieta zajęła się naszym zaniedbanym wychowaniem). Gillian, to dla niej typowe, chce, żeby to była dobra wróżka, która zaopiekuje się

nią, a nas odda do sierocińca. Ale nic z tego. Dostajemy ciocię Doreen.

- Do tyłu, Patricia! - komenderuje George, zupełnie jakby mówił do psa. Patricia niechętnie przeciska się na zatłoczone tylne siedzenie, a my bezczelnie wpatrujemy się w intruza na przednim fotelu. - Dziewczynki - mówi George - to jest pani Collier. Możecie do niej mówić „ciociu Doreen”.

„Ciocia Doreen” odwraca się do nas z uśmiechem. Jest to łagodna, krągła, ciemnowłosa kobieta, starsza od naszej matki, ale nie tak umalowana i utleniona. Wyciąga drobną, pulchną dłoń do zaskoczonej Patricii.

- Wiem, że ty musisz być Patricia - odzywa się z najdziwaczniejszym akcentem, jaki kiedykolwiek słyszałyśmy - bo jesteś najwyższa. - Patricia ostentacyjnie odtrąca zaoferowaną dłoń. - Bądź tak miła, kochanie, i przedstaw mi pozostałe dziewczynki. - Ciocia Doreen ściska nam po kolei rękę z uroczystą powagą, mówiąc każdej z nas: - Jak się masz?

We wstecznym lusterku George pilnuje swojego stadka jak jastrzęb, który tylko czyha na jakiś objaw złych manier. Kiedy ceremonia prezentacji dobiega końca, George mówi:

- Wasza ciocia Doreen jest taka miła, że zgodziła się zająć wami przez tydzień, żebyście mogły mieć wakacje. I co wy na to?

- Dziękujemy, ciociu Doreen - odpowiadamy wszystkie pełnym szacunku chórem. To znaczy wszystkie prócz Patricii, która unosi brwi i mruczy pod nosem:

- Co to ma być? Domek na prerii? - To książka, której ona szczególnie nienawidzi. Buntownicza poza Patricii uchodzi jej płazem, bo George już zaatakował skrzynię biegów, żeby znaleźć wiecznie uparty i niepewny wsteczny bieg swojego forda. Przekleństwa, którymi zazwyczaj obrzuca ten oporny bieg, zostają wyraźnie złagodzone w obecności cioci Doreen.

- Jak to miło - mówi ciocia Doreen, gdy George, któremu wreszcie udało się zawrócić, wrzuca ze zgrzytem jedynek. Składa ręce na podółku, gotowa dobrze się bawić. (To niebywałe).

Kiedy już jesteśmy na drodze, ciocia Doreen wyjmuje paczkę papierosów i pyta George'a, czy ma ochotę zapalić.

- Jeżeli ci to nie przeszkadza - odpowiada skwapliwie, jakby mu proponowała najlepsze hawańskie cygaro, a ona zapala dwa papierosy i jeden podaje George'owi. Nieodparta intymność tego gestu zostaje natychmiast zauważona na tylnym siedzeniu i zaczynamy im się przyglądać z nowym zainteresowaniem. Czyżby ciocia Doreen była jakąś krewną George'a?

Podróż do Whitby mija bez żadnych incydentów - to rzadkość, jeżeli chodzi o wyprawy naszym fordem, bo na ogół coś zostaje przy tej okazji rozjechane, choćby tylko brzeg trawnika. Wygląda na to, że ciocia Doreen i George dobrze znają Whitby, bo gdy zjeżdżamy stromą drogą do miasta, pokazują sobie nawzajem różne miejsca. Ciocia Doreen, chichocząc, pyta: „Pamiętasz te śledzie?”, a George odrzuca głowę i wybucha śmiechem, jakby mu ubyło co najmniej dwadzieścia lat.

Whitby rzeczywiście wygląda jak jakaś zaczarowana kraina - od posępnych, tajemniczych ruin na szczycie urwiska, aż do porzrzucanych bez ładu i składu domków rybackich. Szczególnie zachwycona jest Patricia, bo - jak mówi - to właśnie tu płynąca z Warny „Demeter” zakończyła swoją podróż.

- Ta „Demeter”? - dopytuje się ciocia Doreen.

- Tak - mówi Patricia. - Okręt Draculi, który przypłynął tu z martwą załogą, podczas niezwykle gwałtownego sztormu. A na te skały - wskazuje z miną osoby, która wszystko wie - musiał się wspinać Dracula przemieniony w czarnego psa.

Piekielne psisko - dodaje z satysfakcją, a mnie przechodzi dreszcz, bo przypominają mi się schody u cioci Babs. - A może... - Patricia przeszywa wzrokiem Lucy - Vidę, która siedzi wciśnięta między nią i Gillian (ja siedzę z brzegu, przygnieciona do drzwi wozu, i pewnie wypadnę, jeżeli weźmiemy bardziej śmiały zakręt) - może ciocia Eliza nazwała cię na cześć Lucy Harker? Ona została wampirem, pamiętasz? - dorzuca z satysfakcją.

- Może i tak - mówi flegmatycznie Lucy - Vida. Zna Patricię o wiele za długo, żeby dać się przestraszyć.

- No, no - odzywa się ciocia Doreen z lekkim sarkazmem i odwraca się, żeby popatrzeć na Patricię. - Co za bujna wyobraźnia. - A Patricia stara się udawać, że nie sprawiło jej to przyjemności, ale ja wiem lepiej, bo siedząc obok niej, czuję, jak oblewa się gorącym rumieńcem.

Bez żadnych problemów trafiamy na Royal Crescent. Po wniesieniu bagaży do naszego apartamentu, na trzecie piętro, George zostaje już tylko na filiżankę herbaty (wszystkie potrzebne do tego rzeczy przywiozłyśmy w kartonowym pudle), a potem ze słowami „No dobrze, muszę już wracać do Sklepu” zostawia nas nagle w towarzystwie zupełnie obcej osoby.

- No - mówi ciocia Doreen, a w jej ustach słowo to wydaje się zawierać więcej samogłosek, niż dotychczas sądziłyśmy - trzeba się rozpakować, dziewczynki.

Patricia, w której ciekawość bierze górę nad typową dla niej powściągliwością, pyta:

- Skąd ty właściwie jesteś, ciociu Doreen?

A ciocia Doreen daje nam popis perlistego, gardłowego śmiechu i mówi:

- Z Belfastu, Patricio, z Belfastu.

Patricia znika z filiżankami po herbacie, więc razem z Lucy - Vidą musimy zwrócić się po geograficzne wyjaśnienie do Gillian.

- To stolica Walii - odpowiada nam kategorycznym tonem.

Wszystkie jesteśmy wręcz zachwycone mieszkaniem. Jest pozbawione typowych domowych gratów, a zarazem jest w nim dosyć wszystkiego - prześcieradeł, kołder, naczyń, sztuców - plus kilka pamiątkowych ozdóbek. Czysta tapeta w kwiatki nie przesiąkła odorem rodzinnych dramatów, a dywan w jesienne liście i pomarańczowe zasłony w saloniku pamiętają jedynie wakacyjny, dobry humor. Jest tylko jedna mała wada - mamy dwie sypialnie i ciocia Doreen dostaje jedną z nich, a cała nasza czwórka łąduje w drugim pokoju, z dwoma podwójnymi łózkami. To nadzwyczaj irytujące, że musimy zostawić Patricii jedno łóżko, a same gnieść się we trójkę w drugim. W ramach rekompensaty za tę ciasnotę (do której przyczyniają się także Panda, Teddy i należąca do Lucy - Vidy „Mandy - Sue”, która wygląda jak czarno - biały kot, ofiara niekompetentnego wypychacza zwierząt) z naszego pokoju roztacza się zapierający dech w piersi widok na Crescent Gardens, promenadę, pawilon na plaży, a dalej falujące, bezkresne Morze Północne - kraniec znanego nam świata.

Mija kilka dni, zanim cioci Doreen udaje się przekonać do siebie Patricię. Na początku Patricia zachowuje się wręcz wrogo i nawet ucieka na kilka godzin. W końcu znajdujemy ją nad morzem, gdzie pomaga człowiekowi z osiołkami prowadzić osły wzdłuż plaży. Człowiek ten jest dość zadowolony, że zyskał darmową pomoc, i nie zdaje sobie sprawy z tego, że Patricia usypia go w fałszywym poczuciu bezpieczeństwa, żeby wykonać swój wielki plan wypuszczenia zwierząt na wolność. Przyrowadzona do

domu, cała we łzach (to niezwykle), nie daje się udobruchać, chociaż ciocia Doreen nie ucieka się do kar fizycznych, którymi zazwyczaj pacyfikuje nas Bunty. Następnego dnia, kiedy spacerujemy po promenadzie, Patricia znika, zręcznie pozorując wypadek. (Teraz, patrząc wstecz, dochodzę do wniosku, że była to spontaniczna próba samobójstwa).

Na szczęście Patricia ma tylko skręcony nadgarstek i zostaje zabrana do domu, gdzie ciocia Doreen po mistrzowsku bandażuje ją i robi temblak. „W czasie wojny byłam pielęgniarką”, mówi z uśmiechem, kiedy chwalimy jej opatrunek. To podnosi ją w naszych oczach o kilka stopni wyżej - wszystkie uważamy, że to wspaniałe być pielęgniarką, chociaż żadna z nas nie planuje zostać nią w przyszłości. Patricia wciąż ma jedno nieprzeparte pragnienie, żeby zostać weterynarzem i uratować od śmierci wszystkie zwierzęta świata; Lucy - Vida zostanie baletnicą - swoimi długimi nogami potrafi wykonywać zapierające dech zamachy i szpagaty, odsłaniając przy okazji brudną bieliznę, która budzi w Bunty i cioci Babs najwyższe przerażenie. Ja będę aktorką, jak będę dorosła („Już nią jesteś, Ruby”, mówi Bunty), a Gillian chce po prostu być sławna i wszystko jej jedno, w jaki sposób to osiągnie. W przeciwieństwie do Bunty, ciocia Doreen słucha tych dziewczęcych aspiracji z prawdziwym zainteresowaniem.

Patricia kapituluje pod naciskiem czulej opieki, jaką otacza jej rany ciocia Doreen. „Boli cię, kiedy to robię, Patricio? Och, przepraszam... Dzielna z ciebie dziewczyna, tak jest...” Kontrast z Bunty jest aż nadto widoczny. Jest także wiele innych dziedzin, w których wszelkie porównania z Bunty przemawiają na korzyść cioci Doreen. Na przykład gotowanie - nie robiąc z tego problemu przygotowuje duże, obfite posiłki, w rodzaju „kluski z mięsem”. „Ciężkie jedzenie, żeby cię trochę bardziej obciążyć, Patricio. Żebyś nie

próbowała nam więcej uciekać", śmieje się - i ku naszemu zdumieniu Patricia śmieje się razem z nią! Nie ma też żadnych skrupułów, jeżeli chodzi o desery, i serwuje nam placki jabłkowe i rabarbarowe od Bothama albo lekkie plastry budyniu - prawdę mówiąc wszystko, co tylko sobie wybierzemy podczas codziennych wypraw do sklepu. (Ciocia Babs, ciocia Gladys i Bunty - niewidzialny chór grecki w naszych głowach - wyrzucają z przerażeniem ręce w górę, krzycząc: „Kupne!", ale czy to nam przeszkadza? Nie.) Co więcej, prawie codziennie mamy na obiad rybę z frytkami, jak również częste wycieczki do sklepu cukierniczego i mnóstwo, mnóstwo lodów w waflowych kubeczkach, bo, jak mówi ciocia Doreen, poprawiając sobie wielki, falujący biust: „W końcu jesteśmy na wakacjach, prawda?"

To wcale nie znaczy, że ona jest leniwa albo niedbała. Wręcz przeciwnie, we wszystkim, co robi, jest jakiś ład i harmonia, a ona sama jest spokojna i nieugięta jak nabrzeże w porcie, kiedy przychodzi jej stawić czoło wysokiej fali humorów Gillian. Posiada też dziwny dar przekonywania nas, że wszystkie przyziemne obowiązki związane z samodzielnym życiem - zmywanie naczyń, ślanie łóżek - to jeszcze jedna okazja do zorganizowanej uciechy i zabaw, tak że nawet Gillian walczy o to, żeby dopaść szczotki do czyszczenia dywanów, zanim ktoś inny zdąży ją uprzedzić. „No, no, nasza Gillian", dziwi się Lucy - Vida, „nie wiedziałam, że jest w tobie coś takiego, moje dziecko". Jest w nas wiele rzeczy, o których dotąd nie wiedziałyśmy, a które pod okiem cioci Doreen walczą o to, by ujrzeć światło dzienne. Nawet moje nocne spacerki pozostają jakby w stanie zawieszenia pod troskliwą opieką cioci Doreen. („Nie wiesz o tym, bo ona cię nie budzi", mówi ze złością Gillian. Dziękuję ci, Gillian).

Ciocia Doreen urządza na plaży gry, z których nikt nie odchodzi obrażony; organizuje małe piesze wycieczki - 199

stopni w górę do opactwa, wzdłuż plaży do kawiarenki w Sandsend - podczas których śpiewamy Dziesięć małych Murzynków, albo Poszedł Marek na jarmarek. Budujemy niezliczone zamki z piasku, a na ich małych wieżyczkach dumnie sterczą papierowe angielskie flagi i czerwone szkockie lwy. A kiedy mamy już dość piasku i morza, włączymy się po niezwykłych uliczkach Whitby, podziwiając zabawne nazwy ulic, prawie tak śmieszne jak nazwy ulic w Yorku - „plac Mrocznej Bramy”, „Schody solne” i „plac Kłótni” (George i Bunty powinni tu zamieszkać).

Ciocia Doreen zna więcej gier w karty, niż sądziłam, że w ogóle istnieje (Patricia jest uradowana, kiedy się dowiaduje, że jest tyle różnych odmian „Cierpliwości”), i w deszczowe popołudnia, których jest kilka, lubi się z nami bawić, siedząc wśród nas na dywanie i częstując nas czekoladowymi herbatnikami i oranżadą. Udaje jej się nawet przekonać Gillian, żeby nie oszukiwała - coś, co się jak dotąd nikomu nie udało - chociaż Gillian upiera się przy tym, że będzie krzyczeć, jeżeli przegra. Zazwyczaj, kiedy tak robi, Patricia po prostu daje jej klapsa, ale ciocia Doreen wyprowadza Gillian do sypialni, zamyka za nią drzwi i mówi: „Niechże to biedne dziecko wyrzuci to z siebie”.

Wyszkolone przez tydzień pobytu w Bridlington, przywiozłyśmy ze sobą dużo gier, i oprócz kart gry także w warcaby, w Ludo, „Węże” i „Drabiny” oraz niebywale podniecającego „Korsarza”, na którego lazurowej planszy, ozdobionej strzałkami kompasu i mapami ukrytych skarbów, prują fale oceanu drewniane pirackie stateczki, wyładowane małymi baryłkami rumu, sztabkami złota, maleńkimi rubinkami(!) oraz perełkami jak siemię lniane. Jesteśmy znacznie lepsze w „Korsarzu” niż w „Polowaniu na mamę”. Jednak najbardziej lubimy grać w „Astrona”, fascynującą grę, w której maleńkie statki kosmiczne poruszają się po

celuloidowej siatce, rozciągającej się w przestrzeń międzyplanetarną. Nasze statki muszą unikać różnych niebezpieczeństw - deszczu meteorytów, strefy asteroidów, złośliwych komet, i tak dalej - i, nim dotrzemy do celu (czyli jądra Słońca), musimy pokonać ostatnie straszliwe zagrożenie - olbrzymie, gazowe pierścienie Saturna. Pierścienie Saturna są zabójcze (wiemy o tym, bo tak jest napisane na planszy „Astrona”) i zawsze wyłapują statek cioci Doreen. „Ach, znowu ja!”, wykrzykuje, gdy jej statek wybucha, zmieniając się w chmurę kosmicznego pyłu. Podejrzewam, że Patricia grywa czasami w „Astrona” we śnie, bo słyszałam, jak krzyczy: „Uważaj na pierścienie Saturna, Ruby! - one są zabójcze!”

Po raz pierwszy w życiu odmawiamy modlitwę przed pójściem do łóżka. „Wystarczy krótko”, mówi ciocia Doreen, „żeby Pan Bóg wiedział, że tu jesteście” i na koniec każe nam dodać PS - prośbę do Pana Boga, żeby miał w swojej opiece mamę i tatę. Widocznie George nigdy nie opisał jej szczegółowo naszej rodziny (sam potrafi być bardzo niekonkretny), bo ciocia Doreen jest przekonana, że Lucy - Vida to nasza siostra. A nam nawet się nie chce tłumaczyć jej, że tak naprawdę to nasza kuzynka, bo to i tak nie ma większego znaczenia, a poza tym przyjemnie jest mieć czwartą siostrę. „Znowu we czwórce”, mruczy z żalem Patricia, nakrywając któregoś dnia stół do śniadania. Przywiozła ze sobą Małe kobietki (jak również Co robiła Katy i Czarną Piękność - czyta nam na głos wszystkie najbardziej okrutne fragmenty, tak że wszystkie płaczemy - z wyjątkiem, rzecz jasna, Gillian) i czasami bawimy się w rodzinę Marchów. Patricia jest oczywiście Jo, Gillian jest Amy (no bo kim innym?), Lucy - Vida jest Meg (niezbyt dobra obsada), a mnie - wbrew woli - zmuszają, żebym została łagodną i

potulną Beth. Za to ciocia Doreen wspaniale nadaje się na „Marmee”.

Ciocia Doreen często wspomina Bunty. Mówi na przykład: „Jestem pewna, że twojej mamie by się to nie podobało, Gillian” i „Myślę, Patricia, że twoja mama za tobą tęskni”, chociaż, kiedy pytamy ją, czy zna Bunty, wybucha śmiechem i krztusząc się papierosem, mówi: „O mój Boże, nie!”

Lucy - Vida pyta ciocię Doreen, czy ma swoje własne dzieci, a ciocia Doreen smutnieje i mówi: „Nie, kochanie, miałam córeczkę, ale ją straciłam”. A kiedy Patricia cicho pyta: „Jak ona się nazywała, ciociu Doreen?”, ciocia Doreen patrzy na nią smutnym wzrokiem i potrząsa głową. „Nie wiem”. To dziwne, żeby nie znać imienia własnego dziecka! A może wcale nie dziwne, bo Bunty przebiega przez wszystkie nasze imiona, zanim trafi na właściwe, a ja zawsze jestem na końcu listy - Patricia, Gillian, P..., Ruby, jak ci tam? Jeżeli Bunty nie wróci, może mogłybyśmy mieć nową mamę, najlepiej ciocię Doreen - taką matkę, która będzie pamiętała, jak mi na imię.

George przyjeżdża w piątek wieczorem i mówi, że z samego rana wyjeżdżamy. Na kolację mamy smażoną rybę z frytkami - jadłyśmy to już w porze obiadowej, na molo, i kiedy ciocia Doreen mówi: „Nie wiem jak wy, dzieci, ale ja będę szczęśliwa, jeżeli przez jakiś czas nie będę musiała oglądać frytek”, ochoczo się z nią zgadzamy. Później wszyscy długo i hałaśliwie gramy w oczko, choć dawno powinniśmy być w łóżku.

„A gdzie ty będziesz spać, tato?”, pyta Patricia, składając karty do pudełka. „Och”, mówi George, pożyczając na moment uśmiech Bunty, „będę spać tu, na sofie”. Czyli wszystko w porządku.

Następnego ranka budzi mnie krzyk mew za oknem. Idę do saloniku i chowam się za pomarańczowe zasłony w jednym z dużych okien, żeby po raz ostatni popatrzeć na morze - niebieskie i połyskujące jak szafir. To najpiękniejszy poranek i nie mogę w to uwierzyć, że nie zejdziemy dziś na plażę i nie będziemy się bawić na migoczącym, świeżo obmytym pasie piachu, od którego cofnął się przyływ. Zupełnie zapomniałam, że George tu jest - nie ma ani śladu po nim na sofie - ani nawet koca czy poduszki, żeby mi o tym przypomnieć - i dopiero kiedy słyszę przybliżający się, zaflegmiony kaszel palacza, przypominam sobie o jego obecności. Wyglądam z mojej kryjówki za zasłoną i widzę, jak wchodzi do pokoju, w pasiastej piżamie, drapiąc się w kark. Za nim wchodzi ciocia Doreen, ubrana w jasnoróżową nylonową halkę, pod którą jej tęgi, nie skrepowany biust, trzęsie się jak galareta. Podchodzi do George'a od tyłu i tęgimi, mięsistymi ramionami, obejmuje go w pasie, tak że jej ręce spotykają się gdzieś pod jego podkoszulkiem. George wydaje jakiś dziwny jęk, a ciocia Doreen śmieje się i mówi: „Ćśśś”. Wtedy George wzdycha: „O Boże, Doreen” i zmieszany potrząsa głową. Ale wtedy ciocia Doreen mówi: „Chodź, Georgie - Porgie, trzeba zbudzić dzieci i zjeść śniadanie”, a George znowu wzdycha i daje się wyprowadzić z pokoju za pasek od piżamy, jak skazaniec na wózku.

Wysadzamy ciocię Doreen w Leeds, po długich pożegnaniach i wielu gorących uściskach. Kiedy odjeżdżamy, nawet Patricia ma wilgotne oczy. Ale duch cioci Doreen pozostaje wśród nas w formie chóralnych śpiewów Dziesięć małych Murzynków i pełnej wersji Poszedł Marek na jarmarek, tak że ani się obejrzeliśmy, a już znajoma bryła katedry w Yorku wabi nas na błyskawicznie przybliżającym się horyzoncie.

- Kto pilnuje Sklepu? - pyta Patricia (George stracił prawie cały sobotni utarg).

George mówi:

- Zamknąłem Sklep na ten dzień. - A nam to nawet pochlebia, że przedłożył własną rodzinę nad mamonę.

Ładujemy się do Sklepu razem z walizkami.

- Sklep! - krzyczy Gillian, nie licząc na odpowiedź, i zastyga z otwartymi ustami na widok Bunty, wyłaniającej się z zaplecza.

- Mama! - wydajemy okrzyk zaskoczenia, bo wydaje nam się, że minęły lata, odkąd choćby pomyślałyśmy o niej.

- Bunty! - mówi George i - chyba niepotrzebnie - dodaje:
- Więc jednak wróciłaś.

Zapada dziwna cisza, którą powinniśmy wypełnić, biegnąc do Bunty i całując ją, ale my jakby wrosłyśmy w ziemię na progu Sklepu, aż wreszcie George mówi:

- No to nastawię czajnik, dobrze? A Bunty odpowiada:

- Nie trzeba, ja to zrobię. - I szybko idzie w stronę kuchni, zupełnie jakby wróciła od fryzjera, a nie uciekła od nas na ponad tydzień.

Z zamierającym uśmiechem George patrzy w ślad za wycofującą się Bunty, a kiedy wreszcie zniknęła nam z oczu, odwraca się i spogląda na nas z rozpaczliwą miną, jakby słyszał dźwięk ostrzonej gilotyny.

- Słuchajcie - szepce z naciskiem - nie byliście na żadnych wakacjach z Doreen, rozumiano?

Kiwamy głowami, choć prawdę mówiąc, nic z tego wszystkiego nie rozumiemy.

- No to z kim byliśmy na wakacjach? - pyta zaintrygowana Patricia. George patrzy na nią błędnym wzrokiem - można niemal zobaczyć, jak pracuje jego mózg, odcisnięty na siatkówce. - Z kim? - nalega Patricia, przy

akompaniamencie odbierającego wszelką nadzieję dźwięku podnoszonej gilotyny. - Z kim, tato? No, z kim?

Z kuchni dobiega stłumiony głos Bunty:

- A tak przy okazji, kto pilnował Sklepu przez cały tydzień? Był zamknięty, kiedy wróciłam.

- A kiedy to było? - woła George z udaną obojętnością.

- Jakies pół godziny temu. George oddycha z ulgą i woła:

- Matka Waltera. Kazałem jej wcześniej zamknąć, bo ona już się trochę męczy po południu.

- Matka Waltera? - Nic dziwnego, że Bunty wcale nie wydaje się przekonana. Matka Waltera jest prawie tak samo stuknięta jak Nell. Pod drobną presją Waltera (Walter ma u George'a dług wdzięczności) bez wątpienia da sobie wmówić, że pilnowała Sklepu przez cały tydzień.

George nachyla się tak, że znajduje się na poziomie naszych oczu (poza Patricią).

- To ja byłem z wami w Whitby. Ja pilnowałem was przez cały tydzień, dobrze?

- Dobrze - mruczemy zgodnym chórem. Nadchodzi Bunty i mówi, że herbata już naciągnęła.

- Pamiętajcie - mówi do nas George - żadnej Doreen. - Stuka się palcem po nosie. - Hasło brzmi „mama”. - Bardzo niestosowna uwaga, zważywszy na okoliczności.

- Zróbmy sobie małą ucztę na podwieczorek - proponuje Bunty, kiedy już siedzimy na górze, popijając herbatę w dość sztywnej atmosferze.

- O, świetnie - mówi Gillian. - A co będzie?

- Oczywiście ryba z frytkami - mówi Bunty z promiennym uśmiechem.

W głębokich ciemnościach budzi mnie odgłos skrobania w okno. Leżę nieruchomo, z oczyma szeroko otwartymi z przerażenia, wyobrażając sobie, że to jakiś szczególnie żarłoczny wampir próbuje dostać się do środka. Jak długo

jeszcze do świtu? Jak się okazuje, bardzo długo, więc leżę, wsłuchując się w odgłosy, jakie wydaje nocą stary dom - osiadanie prastarych belek, pęknięcie tynku oraz tupot i brzęk tysięcy podbitych ćwiekami sandałów noszonych przez legionistów, maszerujących tam i z powrotem po naszych schodach. Ale to wszystko niegroźne odgłosy w porównaniu z tym czymś, co próbuje dostać się do mnie przez okno. Kiedy jest już całkiem jasno i ptaki zaczynają śpiewać, zbieram się na odwagę i zerkam przez firanki. To nie żaden wampir, tylko nasza Papuga. Siedzi na parapecie, wychudła i zszargana, a w oczach ma ten sam wyraz klęski co George. Wygląda, jakby spędziła ostatni tydzień, szukając Ameryki Północnej, której koniec końców nie znalazła.

Życie szybko wraca do normy, i nasze, i Papugi. Już po pierwszej kłótni George'a i Bunt Lucy - Vida jakby za sprawą czarów przypomina sobie, że właściwie nie jest naszą siostrą i ucieka z powrotem do cioci Elizy i wujka Bilia. Wakacje nagle nabierają cech mitu - wyblakłego i męcząco bezpowrotnego - jakby przydarzyły się dzieciom w jakiejś bajce, a nie nam. Za dobrze nam było, żebyśmy chciały o nich pamiętać. Przez krótką chwilę rozmawiałyśmy między sobą o cioci Doreen, ale w miarę upływu czasu stała się równie nierzeczywista jak sama Mary Poppins. Kilka miesięcy później Gillian nabrała nawet przekonania, że widziałyśmy ją, jak leciała wzdłuż zachodniej przystani i okrążała czerwone i zielone światła przy wejściu do portu. To wspomnienie wydało się naszej nieoświeconej siostrze tak słodkie, że nie miałyśmy serca rozwiewać jej złudzeń.

Przypis V - Deszcz

1958. Ted postawił walizkę matki na podłodze, a potem przeciągnął palcem wzdłuż półki nad kominkiem, mruczając bezgłośnie. Nell nie mogła się już doczekać, kiedy Ted

wreszcie sobie pójdzie, żeby mogła zdjąć gorset i pończochy i wyciągnąć się na łóżku. „Idę się rozpakować, mamó. Zobaczymy się na dole, na podwieczorku?“, powiedział Ted, przystając w drzwiach, a Nell spojrzała na niego nieprzytomnym wzrokiem. Czego on właściwie chce? Najmłodszy syn Nell dobiegał trzydziestki, ale kiedy na niego patrzyła, nadal widziała tylko małego chłopca. Ted zawsze był jej pupilkiem, teraz jednak rozpraszał jej uwagę i jakby przeszkadzał. Odniosła wrażenie że czegoś od niej chce, ale nie miała pojęcia, co by to mogło być, więc odprawiła go znużonym machnięciem ręki. „Dobrze, na podwieczorku, Ted“.

Ted odszedł właśnie z Marynarki Handlowej po dwunastu latach służby i ten tydzień w pensjonacie w Kendall miał pomóc mu odnaleźć grunt pod nogami. Nell wcale nie chciała z nim jechać. Nie lubiła już opuszczać domu, a zresztą w ogóle rzadko wyjeżdżała.

Ted zamknął cicho drzwi jej pokoju, jakby była ciężko chora, a Nell zaczęła się zastanawiać, ile jeszcze zostało jej czasu, zanim umrze. Śmierć to przerażająca rzecz, ale Nell coraz częściej przyłapywała się na rozmyślaniach, że będzie szczęśliwa, mając już to wszystko za sobą.

W pokoju było ciepło, chociaż górna część okna była otwarta i cienkie firanki łagodnie falowały, poruszane wiatrem. Było też twarde, wąskie łóżko, toaletka, szafa, nocny stolik i zegar na małym żelaznym kominku. Na zegarze była za dziesięć czwarta, ale Nell nie wiedziała, czy wskazywał dobrą godzinę.

- Byłam już kiedyś nad jeziorami - nieoczekiwanie odezwała się Nell, kiedy wjeżdżali do Kendall, a Ted aż zazgrzytał biegami ze zdumienia, bo nigdy nie przyszło mu do głowy, że jego matka mogła wypuścić się dalej niż na piątkowy targ w Yorku.

- Naprawdę? Kiedy?

- Podczas miodowego miesiąca.

- Miodowego miesiąca? - Gdy Ted usiłował sobie wyobrazić matkę podczas czegoś równie samolubnego jak miesiąc miodowy, Nell myślała o tym, jakie to dziwne wyrażenie „miesiąc miodowy” - miękkie i słodkie jak krem fiołkowy i woda różana, i kartka walentynkowa, cała w koronkach, którą dał jej Percy Sievewright. W środku napisał dużym, okrągłym pismem policjanta „Twój na zawsze”. To śmieszne, ale była to prawda, bo przecież nikt inny już by go teraz nie zechciał.

1919. Nell wiedziała, że śni, bo nie była już w pensjonacie w Kendall, w pokoju, który Ted jej zarezerwował, robiąc wokół tego tyle szumu. Teraz była w łóżku, w tym ponurym hotelu z widokiem na jezioro, do którego Frank zabrał ją w podróż poślubną. Noc była gorąca i duszna, podobnie jak kilka poprzednich. Przez cały dzień Nell miała wrażenie, jakby ta uciążliwa pogoda była jakąś fizyczną siłą, miażdżącą jej czaszkę. „Zobaczysz, że w nocy będzie burza, Nelly”, powiedział Frank, jakby tą własną prognozą chciał ją pocieszyć. Ale czy w ogóle coś było w stanie ją pocieszyć, kiedy Frank leżał na niej ołowianym ciężarem, bardziej jeszcze uciążliwym niż pogoda, wgniatając ją w materac. Czy będzie to robił każdej nocy ich małżeństwa? Czy nigdy już nie uwolni się od jego grubych, bawełnianych piżam, kłujących wąsików i pewnej innej części jego anatomii, tak żenującej, że musiała od niej odwracać wzrok?

Pokój wypełniło dziwne bzyczenie. Dopiero po dłuższej chwili Nell zdała sobie sprawę, że odgłos ten dochodził z głębi pokoju, a nie z jej głowy. Potrząsnęła lekko Frankiem, żeby go obudzić, bo przecież powinien coś z tym zrobić. Frank chrapał już łagodnie u jej boku. Nie mogła zrozumieć, jak to możliwe, że sen przychodzi komuś tak łatwo. Tak samo było z Lillian;

każdej nocy mościła się jak zwierzątko, które szuka sobie wygodnej pozycji, i zasypiała smacznie jak dziecko, a Nell leżała obok niej, wpatrując się w sufit ze świadomością, że minie wiele godzin, zanim uda jej się zasnąć. Przyjęła to niemal z zadowoleniem, kiedy Lillian wyprowadziła się z ich pokoju po śmierci Alberta. Bez słowa wyjaśnienia czy pożegnania zabrała wszystkie swoje rzeczy i wprowadziła się do jego pokoju, a jedyna uwaga w związku z tą decyzją padła następnego ranka przy śniadaniu, kiedy Lillian powiedziała: „Och, Nelly, żałuję, że zmieniłyśmy prześcieradła po jego powrocie na front”. Rachel rzuciła w nią łyżeczką do herbaty i powiedziała, że to obrzydliwe, ale Nell wiedziała, co Lillian miała na myśli - gdyby choć raz mogły dotknąć czegoś z jego rzeczy albo poczuć jego zapach, jak psy tropiące zgubę.

Uszczypnęła Franka w ramię, ale on stracił jej rękę, jakby to ona była tym owadem, a nie ten mały wściekły tartak, buczący w oknie. Wymacała zapalki na nocnym stoliku i usiłowała zapalić świeczkę, żeby zobaczyć, co to takiego.

Na widok owada wydała cichy okrzyk przerażenia i z całej siły uderzyła Franka, bo przez pokój - wprost na jej ślubne łóżko - leciała jakaś olbrzymia, potworna osa, czarno - żółty mutant, brzęcząc monotonnie jak zeppelin. Minęło parę sekund, nim Frank doszedł do siebie, ale kiedy już się ocknął, powiedział: „Cholera jasna, przecież to szerszeń!”

Nell sięgnęła po pantofel i zamachnęła się wokół głowy, odrzucając szerszenia, który zatoczył krąg wokół lampy gazowej, zwisającej na środku pokoju. „Zabij go! Zabij go!”, krzyknęła do Franka. Frank ostrożnie zsunął się z łóżka i sięgnął po swój własny pantofel. Podkraść się do szerszenia, który wciąż wściekle krążył wokół lampy, i próbował go trafić pantoflem. Szerszeń wykonał pozorowany atak. Frank zrobił unik i zaczął się wykrzywiać i chwytać za włosy, a Nell, ku zdumieniu ich obojga, wybuchnęła głośnym śmiechem. „Nie

ma w tym nic śmiesznego, do cholery!", powiedział ze złością Frank, nie spuszczać oczu z szerszenia, który przemieszczał się w górę i w dół, jak zapadka w oknie.

Nell wślizgnęła się do łóżka i naciągnęła narzutę na głowę. Frank miał rację. Nie było w tym nic śmiesznego. On naprawdę przestraszył się szerszenia i tańczył teraz wokół pokoju jak jakaś łajza. Kto by pomyślał, że można przeżyć całą wojnę i dalej być tchórzem. Percy bez trudu poradziłby sobie z szerszeniem - twardą ręką, jak przystało na policjanta. A Albert? Albert próbowałby go uwolnić. Widziała go wyraźnie, jakby tam był i odwracał się do niej z promiennym uśmiechem. Przypomniała sobie, jak kiedyś złapał w ręce owada, dużego trzmieła, i zwracając się do niej z tym swoim cudownym uśmiechem, powiedział: „To rzeczywiście kawał chłopca, Nelly, chcesz go zobaczyć?”, a potem rozchylił dłonie i puścił go wolno.

Spod narzuty słyszała zrzęczenie Franka: „Trzeba było sprawdzić, czy to cholerne okno jest zamknięte”, ale udawała, że go nie słyszy. A Jack? Zaczęła się zastanawiać, co Jack zrobiłby z tym owadem, i pomyślała, że tak naprawdę nigdy go nie знаła. Czasami myślała nawet, że może to i dobrze, że zginął, bo nie potrafiła sobie wyobrazić, jak wyglądałoby ich małżeństwo. Szybko by się nią znudził; widziała, jak patrzył na nią podczas urlopu po bitwie nad Sommą - wzrokiem pełnym wątpliwości, jakby nie mógł w to uwierzyć, że taka z niej rozlazła beksa.

Czasami, w ich małżeńskim łożu, Frank zsuwał jej z ramion przyozdobioną kokardkami, wyprawną koszulę, dotykał jej ramienia i jęczał, jakby wstydział się tego, co zamierzał jej zrobić, a Nell myślała wtedy o Jacku i jego pięknej skórze jak polerowany orzech - skórze, która pewnie dawno już zginęła. Wkrótce nie zostanie nic prócz nagich kości, i to już będzie koniec Jacka Keecha. To chyba nie w

porządku, że człowiek może przestać istnieć w taki sposób. Jak Percy. Jak Albert. Jak ich matka.

W głosie Franka zabrzmiał triumf: „Zabiłem tego drania, Nelly! Nelly? Czemu płaczesz? Co ci się stało? Już wszystko dobrze, dziewczyno. Zabiłem go”. Otoczył ją ramionami i ostrożnie poklepał po plecach. Nigdy nie wiedział, co się robi, kiedy ktoś płacze, więc tym bardziej nie wiedział, co robić, kiedy Nell wydała z siebie ten przerażający odgłos, jakby się dławiła, a potem zaczęła zawodzić: „Ja chcę do mamy!” W oddali przetoczył się głuchy grzmot.

1958. „Mamo! Mamo? Dobrze się czujesz?” Ted stał w progu, pukając w futrynę i patrząc niepewnie na Nell. „Nie zejdziesz na dół? Podali już zupę - jarzynową. Lubisz taką, prawda?”, dodał z wahaniem, bo Nell raczej nie wyglądała na osobę, która właśnie myśli o zupie.

Matka westchnęła i usiadła na łóżku. „Zaraz schodzę, dobrze?” Kiedy Ted zniknął, Nell podniosła się niezdarnie z łóżka i wbiła się z powrotem w gorset. Przystanąła przed lustrem, żeby przyczesać włosy i przypudrować nos, i spróbowała przypomnieć sobie zapach Jacka Keecha i dotyk jego włosów, ale to było tak dawno temu, że nawet nie mogła sobie przypomnieć, jak on wyglądał. Zaczęło padać i zapach przelotnego, letniego deszczu na młodej czerwcowej trawie sprawił, że Nell poczuła się nagle bardzo nieszczęśliwa.

Rozdział 6

1959

ŚNIEŻNE PIÓRA

Ostatni dzień Gillian. Kiedy Gillian płaci za te swoje złote loki, jest Wigilia, więc raczej nie ma szans na to, żeby zapomnieć o rocznicy jej śmierci. Mogę się założyć, że rzuci to cień na tegoroczne święta, jak również na te, które po nich przyjdą. Tego konkretnego dnia wybieramy się na pantomimę. Lubię myśleć, że jest to pewnego rodzaju rekompensata dla Gillian („Przynajmniej dobrze się bawiła przed śmiercią” czy coś w tym rodzaju), ale tak naprawdę zabija ją właśnie to, że idziemy na pantomimę.

- Ruby! - To George krzyczy z dołu, konkurując z deszczem, który bębni w okno.

- Ruby!!

Szczerze mówiąc, o nic mu nie chodzi. Znam ten ton jego głosu. Wszedł po prostu do kuchni i zastał Bunty z miną żony - męczennicy (powinna była zająć się tym zawodowo). Tak go to zirytowało, że szuka teraz pierwszej lepszej osoby, żeby się na niej odegrać. Czyli mnie.

Chociaż w pokoju jest zimno - w żadnej z naszych sypialni nie ma ogrzewania - mnie jest ciepło, bo właśnie skończyłam energiczną sesję hula - hoop na dość ograniczonej przestrzeni między łózkami. Leżę sobie teraz szczęśliwa, skulona wygodnie w kłębek na supełkowej narzucie, ze starym wydaniem Judy, własnością Gillian. Moja narzuta jest identyczna jak narzuta Gillian po drugiej stronie pokoju, tyle tylko że narzuta Gillian jest brzoskwiniowa, bo Gillian mogła sobie pierwsza wybrać kolor. Muszę teraz dzielić pokój z Gillian, bo Nell opuściła swój dom na Lowther Street i wprowadziła się do nas. A wszystko dlatego, że, jak mówi George, „ona ma nierówno pod sufitem”. Nie do końca rozumiem to wyrażenie, ale wystarczy spędzić kilka godzin w

jej towarzystwie, żeby się zorientować, że zachodzą w niej jakieś dziwne zmiany. Wszystko jej się myli (mnie też, ale nie w takich sprawach jak to, w którym wieku żyjemy). Co prawda, nie aż do tego stopnia, żeby można ją było „oddać” (a tego sobie życzy George, kiedy przychodzi jego kolej na życzenia), za to na tyle, żeby bez przerwy działać Bunty na nerwy. Z drugiej strony, czy jest w ogóle coś, co nie działa Bunty na nerwy?

Jak możecie sobie łatwo wyobrazić, Gillian jest wściekła z powodu tych nowych porządków i żeby ją udobruchać, muszę przemykać się, udając, że mnie tu nie ma. Poświęcam masę czasu na uspokajanie Gillian, a tymczasem Patricia (już nastolatka!) w ogóle nie traci na to czasu. No ale Patricia nie jest już w tym samym czasoprzestrzennym kontinuum co reszta z nas (jeżeli tak ma wyglądać wiek młodzieńczy, to ja nie chcę być taka).

- Ruby!

Wygląda na to, że nie ma zamiaru o mnie zapomnieć. W poczuciu winy wyglądam starannie narzutę. Leżenie na pościelonych łóżkach jest absolutnie wbrew zasadom Bunty. Myślę, że życie byłoby dla niej bardziej znośne, gdybyśmy wcale w nich nie spały. Rano nie może się wręcz doczekać, żeby nas wypędzić z łóżek. Szarpie zasłony i wygania nas spod koców, żeby móc jak najszybciej wywietrzyć z pościeli nasze ciepłe kształty, niby w jakimś dziwnym objawie dziecięcego okrucieństwa.

W naszej sypialni na podłodze leży dywan (Gillian nigdy nie używa tego zaimka. „Moja sypialnia”, mówi z naciskiem. Jakby można o tym zapomnieć). Są też różowe kwiaty pnące się po kratce na tapecie i wąska dębowa szafa, pachnąca jak wewnątrz starej walizki. Ale najważniejszym meblem jest toaletka w kształcie nerki, z odpowiednio dobraną do zasłon falbanką. Gillian także uważa ją za swoją własność, chociaż

została kupiona dla „nas”, razem z supełkowymi narzutami, kiedy wprowadziłam się do wspólnej sypialni. Jedną z (wielu) przyczyn, dla których Gillian nienawidzi dzielić ze mną pokoju, jest to, że nadal chodzę we śnie i Gillian umiera ze strachu, że zrobię jej coś złego, kiedy będzie mocno spała, niezdolna się obronić. Ha! Gdyby to było możliwe.

Sprawdzam moje odbicie w lustrze na toaletce, szukając oznak winy. I to nie tylko z powodu narzuty. Kto wie, co jeszcze mogłam zrobić nie tak jak należy? Nigdy nic nie wiadomo. Zwłaszcza w przypadku George'a i Bunty, którzy mają wszelkiego rodzaju niepisane zasady. Czasami podejrzewam, że wspólnie prowadzą coś w rodzaju tajnego stowarzyszenia o skomplikowanym, masońskim rytuale, choć nie zawsze robią to w pełnym porozumieniu. A wszystko tylko po to, żeby ich biednym dzieciom żyło się jeszcze trudniej. Jedne z tych zasad są mi dobrze znane, inne mniej, i jestem nieustannie zaskakiwana przez te bardziej tajemnicze, które odkrywam przez czysty przypadek. Nie dalej jak wczoraj dowiedziałam się (od George'a), że dziewczynki nie powinny zakładać nogi na nogę i że Partia Laburzystowska jest znacznie bardziej niebezpieczna niż Kościół katolicki (od Bunty).

- Ruby! Zejdź na dół i pomóż matce!

Mogę się założyć, że jest to ostatnia rzecz, o jaką Bunty chodzi. Ociągając się, schodzę na dół. Szczególnie niechętnie pokonuję ostatni odcinek schodów, prowadzący do kuchni, gdzie bardziej agresywne spośród duchów spiskują i konspirują, planując swój powrót. Słysząc stłumione piski szczeniaków i pochrapywanie kociąt w Sklepie, a w tle inny rodzaj cichych hałasów - to duchy szykują się na swoje święto. To nasze ostatnie dni Nad Sklepem. Bunty ma już na oku połowę „ładnego bliźniaka” w peryferyjnej dzielnicy Acomb. Naszą przeprowadzkę przyspiesza jeszcze śmierć

Gillian, która staje się główną przyczyną wielkiego (i rzeczywiście straszliwego) pożaru Sklepu ze zwierzętami. W ten sposób śmierć Gillian przynosi Bunty jakąś korzyść. Mnie oczywiście też, bo przejmę w wyłączne posiadanie toaletkę w kształcie nerki (lekko okopconą).

Przed wejściem do kuchni przystaję przed drzwiami i nasłuchuję. Mam wrażenie, że w środku jest dość spokojnie. To dla mnie ważne, żeby wszyscy byli w dobrym humorze, a to z powodu pantomimy. Byłam już z George'em i Bunty na różnych wycieczkach, podczas których bez przerwy się kłócili, i możecie mi wierzyć, że to żadna przyjemność. Już sam fakt, że wychodzimy w Wigilię, stanowi źródło pewnego zamieszania. Zazwyczaj chodzimy do teatru dopiero w styczniu, ale moim zdaniem Bunty ubrdała sobie, że bardziej elegancko jest iść na premierę - w wieczór wigilijny. Więc tak naprawdę, to ona jest odpowiedzialna za śmierć Gillian.

Ostrożnie otwieram drzwi. W kuchni jest ciepło, ale ja nie dam się na to nabrać. Wszędzie skrzy się szron - na nowej elektrycznej pralce, na szumiącej lodówce, a także na mikserze. Panującą tu atmosferę da się prawie zobaczyć. Jest jak gęsty, zimny dym, rozchodzący się po całej kuchni od George'a i Bunty - symboli lodowatej wszechwładzy w ich królestwie Nad Sklepem.

- Twojej matce przydałaby się pomoc.

Ze strony George'a jest to oczywiście demonstracja siły - nie ma żadnej władzy nad Bunty, więc próbuje rządzić najbardziej bezradnym członkiem rodziny, czyli mną. Odkąd wróciłam z tajemniczego wygnania w Dewsbury, jestem w tym domu kozłem ofiarnym. Zacięty wyraz twarzy Bunty świadczy dobitnie o tym, że świetnie sobie radzi bez pomocy - dziękuję. Stoi przy zlewie i z demoniczną furią obiera kartofle, a każdy łuk i każda kość w jej ciele są mocno napięte. (Czasami próbuję sobie wyobrazić Bunty jako dziecko, ale z

jakiegoś powodu ogarnia mnie wtedy nieznośny smutek - zobacz Przypis VI). Zimne prądy bulgoczą i rozbijają się o powierzchnię jej skóry. Lodowate iskierki tryskają z koniuszków jej jasnych jak u dziecka włosów. Coś szczególnie okropnego dzieje się między tą parą. Podejrzewamy, że ma to jakiś związek z flama.

George siedzi przy małym kuchennym stole, otrząsając z włosów lodowaty deszcz, jak pies. Ciekawe, po co wychodził? Przecież o tej porze powinien być w Sklepie. Może w ostatniej chwili kupował dla nas wszystkich gwiazdkowe prezenty. A może miał potajemne spotkanie ze swoją flama. Flama to nowy element w naszym życiu rodzinnym. Tylko Bunty mówi na nią flama. George w ogóle o niej nie wspomina i zachowuje się tak, jakby Bunty stworzyła ją sobie w swojej przegrzanej wyobraźni. Dla przykładu, typowa kłótnia o flame przebiega mniej więcej tak:

BUNTY (do George'a): Wiesz, która godzina? Gdzie byłeś? (cisza). Z tą twoją flama, jak sądzę.

GEORGE (zjadliwie): Nie bądź śmieszna. Wpadłem tylko z Walterem na piwko do Punch Bowl.

BUNTY: Ciekawe, co też ona w tobie widzi - bo chyba nie twój wygląd, a już z pewnością nie twoje pieniądze. Co ty robisz - płacisz jej?

GEORGE (łagodnie): Nie widziałaś gdzieś tu wieczornej gazety?

My, niewiniątka, nie bardzo się orientujemy, co to właściwie jest flama, chociaż wiemy, że ona jest zła. Patricia mówi, że to Jezebel, ale, na Boga, przecież tak się nazywa kot w sąsiednim sklepie.

George ma twarz zimną i mokrą jak kuchenne okno i robi całe przedstawienie z nakładania pantofli i zapalania papierosa, żeby nam się wydawało, że jest bardzo zajęty. George zajmuje masę miejsca. Bunty ciągle mówi, że Nad

Sklepem jest za mało miejsca i na ogół w tym samym zdaniu wspomina o „ładnym bliźniaku”, ale mnie się wydaje, że to przede wszystkim George zajmuje tyle przestrzeni. To prawda, że Nad Sklepem rzeczywiście panuje wielki tłok, ale według mnie to tylko złudzenie. Patricia, na przykład, prawie wcale nie opuszcza ostatnio swojego pokoju, a Nell zajmuje mniej miejsca niż duchy.

Bunty wolałaby, żeby George przez cały czas siedział w Sklepie. Mogłaby mu wtedy podawać posiłki przez korytarzyk, a on tą samą drogą odsyłałby jej rzeczy do prania.

- Jest szansa, żeby się napić herbaty, Bunt?

George próbuje naśladować sposób, w jaki jego zdaniem rozmawiają ze sobą zgodne małżeństwa. Często robi tak, kiedy Bunty jest w złym humorze (a w każdym razie gorszym niż zazwyczaj), i jest tak jawnie sztuczny, że tym wszystkim jeszcze bardziej ją złości. Jeżeli nawet my o tym wiemy, czemu on tego nie wie? Bunty przestaje obierać kartofle, wyciera ręce i głośno wzdycha. Stawia na piecu czajnik i zapala gaz, a minę ma jak Matka Boska pod Krzyżem na obrazie w Kościele katolickim, do którego ostatnio zaprowadziła mnie moja nowa przyjaciółka, Kathleen Gorman. (Nikt, nawet Patricia nie wie, że tam byłam). Wcale mi się tam nie podobało - za dużo ociekających krwią serc i obrazów, na których różni ludzie robią potworne rzeczy innym ludziom. Bunty z pewnością polubiłaby Kościół katolicki, gdyby tylko zechciała dać mu jakąś szansę.

- Przecież dziecko może to zrobić - mówi George, wskazując na porzucone w zlewie kartofle.

- Nie, nie może - odszczekuje Bunty, co „dziecko” przyjmuje z wyraźną ulgą. Bunty wygląda, jakby zamierzała bronić swojej obieraczki do kartofli do ostatniej kropli krwi. Odgarnia włosy z czoła wrodzonym, starym jak świat gestem cierpiénicy. Kobiety mają ciężkie życie i Bunty prędzej da się

posiekać, niż zgodzi się na to, żeby ktoś okradł ją z jej świętości. W kuchni rozgrywa się wielka bitwa charakterów, w której jestem oczywiście tylko przypadkowym pionkiem. George przez cały czas szacuje swoje szanse na prawdziwą walkę, później jednak wycofuje się, bo nie chce się narażać na jej konsekwencje. Ma u Bunty złą notę od dnia, w którym otworzyłyśmy pierwsze drzwiczki na naszym kalendarzu adwentowym (albo raczej odkąd zrobiła to Gillian, jak to robi prawie codziennie. Patricia wymigła się od tego, robiąc sobie swój własny, prywatny kalendarz z pudełka po płatkach kukurydzianych). Nie omawiałam jeszcze z nikim tej nowej fazy zimnej wojny (przypominającej raczej erę lodowcową) między naszymi rodzicami, ale Gillian i ja rzadko „omawiamy” cokolwiek - na ogół jest tak, że ona krzyczy, a ja nie zwracam na nią uwagi. Jeżeli natomiast chodzi o Patricię - odkąd weszła w wiek pokwitania, stała się zupełnie niekomunikatywna. Zresztą, i tak nie mam na to słów - i nie znajdę właściwego słownictwa jeszcze przez kilka lat.

George gasi papierosa, a z gardła wyrywa mu się chrapliwy odgłos. Odchyła się w krześle, żeby popatrzeć, jak Bunty robi mu herbatę (no cóż, mamy rok 1959), a potem charka i pluje do chusteczki dokładnie w chwili, kiedy Bunty z kamiennym obliczem stawia przed nim filiżankę na spodku. Znam już ten wyraz twarzy. Bunty przybiera go, kiedy zbiera skarpetki George'a, jego chusteczki do nosa i majtki (w gumowych rękawiczkach) i wrzuca je do wiadra z detergentem, gdzie muszą się wymoczyć, zanim będzie im wolno dołączyć do reszty naszego ledwo zabrudzonego prania w pralce elektrycznej.

Bunty znowu chwyta za obieraczkę, a ja wciąż stoję w drzwiach, nie wiedząc, czy jestem im jeszcze potrzebna w roli pionka. Mam wrażenie, że oni zupełnie zapomnieli o tym, że jest Wigilia i, mimo stosu babeczek z leguminą na bufecie,

nasza kuchnia wcale nie promieniuje świąteczną atmosferą. Gwiazdkowy placek z bakaliami, jak już zdażyłam zauważyć, wciąż spoczywa nie polukrowany na lodówce, zdecydowanie nagi w samej tylko migdałowej polewie. To zły znak. Ten placek to bliski krewny biszkoptu z owocami i galarety z drugiego dnia świąt. Bunty traktuje oba te ciasta z takim szacunkiem, jakim matka Kathleen darzy obraz przedstawiający Boże Narodzenie.

- Idziemy dziś wieczorem na pantomimę, prawda? - pytam dość nieopatrnie.

- A jak myślisz, dlaczego nawalam na każdym froncie? - Bunty obraca się wokół własnej osi, a jej obieraczka tnie powietrze jak sztylet, wskazując na babeczki, placek świąteczny, kartofle i George'a. - I nawet nie miałam czasu, żeby przygotować pudding. - Oczyma jak szparki patrzy na George'a i groźnie dodaje: - Będę musiała użyć owoców z puszki. - Rzuca się na puszkę z brzoskwiniami, rozrywa ją otwieraczem do konserw i wylewa owoce do wielkiej szklanej salaterki, gdzie pływają jak złote rybki. George rozkłada gazetę i zaczyna cicho pogwizdywać Jingle Bells.

- Nie masz nic do roboty, Ruby? - ostro pyta Bunty. Nie mam. Nie wydaje mi się, żeby trzeba było mieć coś do roboty w Wigilię.

- A gdzie nasza Gillian? - pyta nagle George. Tej odwiecznej pupilce Bunty (oczywiście) udało się ostatnio zdobyć wielką sympatię George'a. Myślę, że jeśli człowiek nad czymś ciężko pracuje, musi w końcu odnieść sukces.

- Na lekcji fortepianu - odpowiada Bunty, zmniejszając gaz pod ziemniakami.

- W Wigilię? - dziwi się George.

Sami widzicie. Ja powinnam mieć „coś do roboty”, ale „nasza Gillian” nie. Czuję się zwolniona, więc idę na górę, do salonu, i włączam telewizor. Właśnie zaczyna się „Czempion,

cudowny koń" i chociaż moje serce niemal automatycznie reaguje na dźwięki wzruszającego motywu przewodniego, muszę się przyznać, że jestem trochę zawiedziona, że nie nadają czegoś bardziej świątecznego. Czyżby ci ludzie w telewizji także nie wiedzieli, że jest Wigilia Bożego Narodzenia? Ale mimo wszystko mamy piękną choinkę; palą się na niej lampki i mamy też nowe ozdoby - wielkie, srebrne bombki, z migoczącymi płatkami śniegu - firmowy prezent od komiwojażera, sprzedającego karmę dla zwierząt. Przed chwilą rozpalono na kominku i salon wypełniają obiecujące zapachy miału węglowego i sosnowych igieł, więc humor zaczyna mi się poprawiać. Nell śpi w fotelu przy kominku, z jakimś świecidełkiem tajemniczo owiniętym wokół palca. Może ma jej to coś przypominać? Może jej utraconą osobowość?

Gillian wpada do pokoju, rzuca teczkę z nutami i rozwala się w fotelu, odsłaniając granatowe majtki. Potem z ponurym westchnieniem zmienia pozycję, zakładając nogę na nogę, i wbija wzrok w jakiś punkt dwa cale ponad moją głowę.

- Nie powinnaś zakładać nogi na nogę - strofuję ją. Gillian bez słowa zakłada powoli nogę na nogę, a potem znowu się rozkracza. Zastanawiam się, czy gdybym wtedy powiedziała: „Słuchaj Gillian, to twój ostatni dzień na tym świecie, rozchmurz się, na Boga”, to ona by mnie posłuchała? Chyba raczej nie.

George wsuwa głowę przez drzwi.

- Herbata gotowa - obwieszcza, ze wzrokiem utkwionym w ekran. W tej samej chwili Gillian pokazuje mi język, jednym zręcznym ruchem zdejmując nogę z nogi i odwraca się do George'a.

- Cześć, tato - mówi z szerokim, promiennym uśmiechem.

Szkoda, że odeszła, zanim zdążyła mnie nauczyć, jak się to robi.

Jadalnia. Bardzo małe pomieszczenie, na zapleczu kuchni. Jest w niej akurat dość miejsca na stół, krzesła i ludzi - George, Gillian, Nell i ja siedzimy przy stole, a Bunty hałasuje w kuchni, na wypadek gdybyśmy chcieli o niej zapomnieć. Wchodzi Patricia i przez dłuższy czas ogląda swoje krzesło. Jestem kompletnie zafascynowana tym, co ostatnio dzieje się w jej głowie. Ona sama ujawnia mało szczegółów, jeśli w ogóle. Wreszcie siada. George rzuca jej krótkie spojrzenie i mówi: „Coś ci się nie spieszy”. Patricia wykrzywia się i przechyla głowę na bok (żywe wcielenie Papugi), jakby głęboko rozważała tę uwagę, a potem mówi słodkim głosem: „Owszem, wcale mi się nie spieszy”. Bez względu na to, jakich spustoszeń dokona we mnie w przyszłości okres dojrzewania, wiem, że nigdy nie będę tak odważna jak Patricia. George wygląda, jakby miał ochotę ją uderzyć. Ale nie może - nie tylko dlatego, że jest Wigilia, ale również dlatego, że Patricia spotkała przypadkowo flamę i mogłaby opowiedzieć o tym spotkaniu Królowej Śniegu w kuchni. Z tego powodu George traktuje swoje najstarsze dziecko jak tykającą bombę zegarową, która może lada chwila wybuchnąć. Patricia zyskuje nowy, potężny status.

Nell próbuje pokroić na obrusie wyimaginowane jedzenie. Bunty tłucze się po kuchni jak opętana - wali garnkami i patelniami i trzaska drzwiczkami od kredensu. Wiem, że próbuje powiedzieć coś George'owi, więc dlaczego po prostu nie mówi, na Boga?

Ale nie, to zbyt proste dla pani na naszej kuchni, która tylko udaje, że serwuje nam wieprzowe kotlety, ziemniaki puree i marchewkę, a tak naprawdę bombarduje nas stalowymi drutami wysokiego napięcia, wychodzącymi z koniuszków jej palców. Druty z cichym odgłosem uderzają o ściany pokoiów i salonu, o fasadę Sklepu i przypadkowe zwierzątka. Ping!

Ping! Ping! Póki cały dom nie zostanie poprzecinany metalową siatką myśli Bunty.

Ona sama odgrywa teraz wielkie wejście - wkracza do jadalni, śpiewając wysokim, bezdźwięcznym głosem, kompletnie niestosowną piosenkę Doris Day (Ciemne wzgórza Dakoty). Ma to oznaczać, że nie zwraca uwagi na to, co dzieje się między nią i George'em. W końcu dziś jest specjalna okazja - pantomima, święta, nie mówiąc już o śmierci Gillian. Okrąża stół, trzymając w górze talerze, jak kelnerka w amerykańskim filmie. Wygląda wręcz idiotycznie.

- Mięso jest trochę twarde - mówi George. Czemu nie potrafi po prostu żuć i przełykać jak inni? Nie znoszę tego. Nie znoszę tych ludzi przy stole. Widzę, że Gillian robi to samo co ja - ćwiczy zgodne i przerażone miny na wypadek, gdyby George miał w zanadrzu dalsze uszczypliwe uwagi. Bunty nie jest jednak w pokojowym nastroju.

- Naprawdę? - mówi, tnąc językiem góry lodowe. - Naprawdę? - powtarza, prowokując George'a do dalszej dyskusji. Brwi ma uniesione tak wysoko, że wyglądają, jakby wisiały jej nad głową. - Naprawdę? - I George milknie pod presją świąt Bożego Narodzenia.

- Taki mokry wieczór, a tu trzeba wyjść! - mówi nagle Bunty, już innym, „towarzyskim” tonem, dając w ten sposób do zrozumienia, że jest bardzo dobrze wychowaną osobą o dobrych manierach, w przeciwieństwie do tego gburą na drugim końcu stołu, który - na nieszczęście - jest jej mężem.

Nikt nie odpowiada. Wszyscy są zbyt zajęci przeżuwaniami. George ma rację, mięso rzeczywiście jest twarde - małe, przypalone kawałki, usmażone w ogniu humorów Bunty. Co za wstyd, ze względu na Gillian - to jej ostatnia kolacja, a danie zostało przypalone. Gdybyśmy o tym wiedzieli, moglibyśmy zjeść obiad świąteczny dzień wcześniej, tylko ze względu na nią.

Nóż wyślizguje się Nell z ręki i spada na podłogę. Kiedy Nell usiłuje się schylić, żeby po niego sięgnąć, George i Bunty wymieniają spojrzenia ponad jej głową. W końcu George podnosi z westchnieniem nóż i hałaśliwie odkłada na obrus.

- Czy mogę usiąść obok ciebie na pantomimie, tatusiu? - pyta Gillian, kierując na George'a swój promienny uśmiech, jak snop światła latarki.

- Oczywiście, kotku - uśmiecha się George. To obrzydliwe, niemniej jednak George uspokaja się, a Gillian należą się wyrazy (niechętnego) uznania. Tak mi się przynajmniej wydaje.

Siedzę obok Nell, żując posłusznie i w milczeniu, ale to wcale jeszcze nie znaczy, że mogę czuć się bezpieczna. Nagle Bunty odwraca się do mnie jak rozdrażniona kobra.

- Jeśli się nie pośpieszysz, Ruby, będziesz tu ciągle sterczeć, kiedy my już będziemy na pantomimie. - Jest bardzo z siebie zadowolona, jakby powiedziała coś mądrego. Czy to ma być moja prawdziwa matka? Czemu ona tak postępuje? Co za radość czerpie z czczych gróźb, takich jak ta? Po pierwsze, mamy jeszcze masę czasu. A po drugie, chyba nie zamierzają zostawić mnie tutaj, a sami pójść na pantomimę. A może?

- Tak - nieoczekiwanie odzywa się George. - Przestań się trząść, Ruby, dobrze wiesz, że nie możesz się spóźnić przez całe życie. - Bierze stronę Bunty, czy po to, żeby ją udobruchać czy zirytować - trudno powiedzieć. Zaczynam jeść tak szybko, jak potrafię, ale zastygam z otwartymi ze zdumienia ustami, kiedy Nell, która wciąż balansuje na granicy poczytalności, odwraca się nagle do mnie i mówi (z jakimś obcym akcentem): „Uspokój się, dziewczucho!” Odnoszę wrażenie, że przez ułamek sekundy cała rodzina patrzy na mnie tak, jak jaskółki patrzają na biedne, niczemu nie winne kukułcze pisklę.

Bunty, nie przerywając zucia, zaczyna błyskawicznie zbierać talerze, nie zwracając uwagi na protesty Nell, która nawet nie zaczęła jeść. Myślę, że Bunty wolałaby pozmywać, zanim zjemy. Wraca w radosnych podskokach, z kryształową salaterką, zawierającą pokrojone brzoskwinie z puszki, które wyglądają jak wielkie uśmiechnięte usta. Przypominają olbrzymi, maniakalny uśmiech, przyklejony do twarzy Bunty. (Ostateczna wersja uśmiechu z Przepisu IV). Nakłada brzoskwinie do miseczek, a Patricii na jej protesty odpowiada, że ma pecha, bo salaterka jest jej potrzebna na owocowy biszkopt w pierwszy dzień świąt. Bunty jako jedyna osoba w Yorku potrafi zrobić prawdziwy biszkopt z sherry, a ponieważ nie wolno ingerować w jego święte składniki, Patricia bierze miseczkę brzoskwiniowych plasterków. Nie omieszkała przy tym nachylić się w stronę George'a i powiedzieć szyderczo - poufnym szeptem: „Jak to mówią, męstwo to przede wszystkim dyskrecja, prawda?” George ma bardzo niewyraźną minę; nie ma pojęcia, o co jej chodzi, ale jest prawie pewny, że ma to jakiś związek z flamą.

George odkrawa łyżeczką plasterek brzoskwini, nakłada odrobinę bitej śmietany, a potem delikatnie podnosi go do ust. Jeszcze nie zdążył spróbować, a już oświadcza:

- Śmietana skwaśniała - i zastyga z łyżeczką opuszczoną pod jasnymi wąsami koloru brzoskwiniowego. Wpatruje się w Bunty, prowokując ją do tego, by mu zaprzeczyła, i porzucając wszelką myśl o świątecznej ugodzie.

Po drugiej stronie stołu Patricia zjada łyżeczkę śmietany z brzoskwiniami i dorzuca swoje trzy grosze. Kiwa do mnie wymownie głową i bezgłośnie powtarza: „Skwaśniała”. Nell, chyba ze strachu przed śmiercią głodową, zdążyła już zjeść swoją porcję.

Bunty oblizuje się, jak wybredny kot.

- Według mnie, smakuje jak trzeba - mówi cicho. Trzyma się bardzo dzielnie. Przypomina Deborah Kerr w filmie Król i ja.

George odsuwa swój talerz.

- No to sama to zezryj - mówi, zostawiając Gillian w dość kłopotliwym położeniu, z policzkami wypchanymi zjełczałą śmietaną i śliskimi brzoskwiniami, niepewną, któremu z rodziców powinna się podlizać. Już ma wypluć swój dylemat z powrotem do miseczki, kiedy uwagę George'a i Bunty przykuwa głośnie chrapanie. To Nell śpi jak suseł, z głową na pustym talerzu.

- Ona jest za tobą! Z tyłu! - krzyczy w zapamiętaniu Gillian. (Ma na myśli złą wiedźmę, ale ja obawiam się, że to jej słodka śmierć, w całej swojej przejrzystej jak mgiełka krasie).

- Cśśś - szepce Bunty, przesadnie wydymając świeżo uróżowane usta. - Nie tak głośno, bo jeszcze ktoś cię usłyszy.

Absurdalność tego stwierdzenia nie dociera jednak do Gillian, która widzi, jak cały teatr podnosi krzyk, kiedy czarownica, elf, panda, krowa i dzielny wiejski parobek miotają się po scenie, podczas gdy Jaś i Małgosia chowają się pod stertą liści. (Dlaczego akurat panda? Może po to, żeby uszczęśliwić Patricję, która trąca mnie łokciem i mówi: „Popatrz! Panda!” z nutą rzadkiego u niej zadowolenia w głosie). Gillian, nie zrażona, nie przestaje krzyczeć na cały głos. Mówię ci, Gillian, wykorzystaj do maksimum swój czas.

Kiedy proszą na scenę ochotników z widowni, zapadam się w fotelu, żeby znaleźć się poza zasięgiem ich wzroku, a Patricia staje się kompletnie niewidoczna. Nic za to nie jest w stanie powstrzymać Gillian i zanim ktokolwiek zdążył powiedzieć: „O, mamy już jedną ochotniczkę”, zrywa się, gotowa do zabawy, i już jest na scenie, gdzie uwodzi pandę, śpiewając ile sił w piersi.

- Coś podobnego - mówi z zakłopotaniem Bunty do siedzącej obok kobiety (ja jestem w samym środku kanapki z Lennoxów - George z jednej strony, potem Gillian, potem ja, Patricia i na drugim końcu Bunty. Nell została w domu). - To dopiero numer z tej naszej Gillian. - Niestety, już nie na długo.

Po powrocie na swoje miejsce Gillian jest wzburzona i zirytowana (nieodrodna córka swojej matki), że już przestała być w centrum uwagi.

- Wszystko dobre, co się dobrze kończy - mówi z kwaśnym uśmiechem Bunty, nie odrywając oczu od sceny.

Gdyby Jaś i Małgosia na zawsze zgubili się w lesie, moglibyśmy razem z nimi pozostać w zaklętej pułapce i zapomnieć o flanie, skwaśniałej śmietanie i nie polukrowanym placku. A i Gillian też by nie zginęła. Ale akcji nie da się już zatrzymać - po czarownicy zostaje kupka zwęglonych szmat i popiołu, zła macocha uzyskuje przebaczenie, a dzieci zostają uratowane. Jaś i Małgosia znajdują skarb czarownicy - skrzynię pełną szmaragdów, brylantów, opali, rubinów (!) i szafirów, połyskujących jak torebka kandyzowanych cukierków, którą mamy na spółkę z Gillian. Z różdżki dobrej wróżki tryska snop iskier, tak gęsty, że kiedy wyciągam rękę, mogę go dosięgnąć.

- No, mamy to z głowy do przyszłego roku. - George wstał z miejsca, zanim zapalono światła, i kiedy my wciąż bijemy brawo, on jest już w foyer i zapala papierosa. Bunty zachowuje się jak oszalały szczer - podskakuje na końcu rzędu, poganiając nas, a my tymczasem rozpaczliwie grzebiemy się z czapkami, chustkami, rękawiczkami i programami. Czemu to robi? Po co sieje taką panikę, porównywalną jedynie z trzęsieniem ziemi, kiedy to oczywiste, że i tak będziemy musiały stać bez końca w kolejce, czekając, aż się rozluźni przy wyjściu. Gillian zamiera na widok pustej sceny, a potem nagle wybucha płaczem.

Bunty przepycha się wzdłuż naszego rzędu, mizdrząc się do ludzi stłoczonych wokół nas. „Bardzo zmęczona”, „za dużo wrażeń”, „jak to dziecko”, mówi z przesadnym uśmiechem. Szarpie przy tym potajemnie Gillian za rękę, sycząc bezgłośnie: „Gillian, kiedy ty wreszcie dorośniesz, do cholery!”

Moim zdaniem Bunty ma pecha, że są to jej ostatnie słowa do Gillian. To nie tylko daremne upomnienie - jedyna rzecz, jakiej Gillian na pewno nie zrobi, to nie dorośnie - ale również niezbyt miły końcowy akord. Ale to już problem Bunty, nie mój. Moje ostatnie słowa do Gillian (kiedy wręczam jej podobny do klejnotu cukierek) brzmią: „Chcesz tego ostatniego, czerwonego, czy ja mogę go sobie wziąć?” W miarę neutralne, zważywszy na okoliczności, i na szczęście Gillian bierze ostatniego cukierka (pamiętajcie, że to Gillian), tak że potem nie będę musiała mieć wyrzutów sumienia.

Przed teatrem George miota się, próbując złapać taksówkę (kiedy wyruszyliśmy do teatru, okazało się, że nasz samochód złapał gumę - jeszcze jeden zbieg okoliczności w zмовie przypadków, które zabijają Gillian). Ulewa przechodzi w igiełki deszczu ze śniegiem. Patricia chowa się pod łukami, które zdobią od zewnątrz gmach teatru. Jest przerażona, że ktoś z jej znajomych mógłby ją zobaczyć z rodziną (Czy można mieć do niej o to pretensje?). Dygocząc z zimna, stoimy na chodniku, a Bunty, z niewiadomego powodu, trzyma mnie kurczowo za rękę. Popelnia wielki błąd - uczepiła się nie tego dziecka co trzeba. Gillian stara się wyglądać wytwornie (poznaję to po sposobie, w jaki trzyma swoją białą mufkę). Właśnie wypatrzyła grupkę koleżanek ze szkoły - dopiero co skończyła pierwszy semestr w Queen Anne's - po drugiej stronie ulicy. Krzyczą do siebie nawzajem i wymachują rękami jak stado idiotek.

Nie widzę, co dzieje się potem, bo Bunty zaczyna panikować, że nie złapiemy taksówki, myślę jednak, że Gillian wybiegła na oślep spomiędzy zaparkowanych samochodów, bo nagle rozlega się huk i jasnoniebieska furgonetka, hillman husky, posyła ją łagodnym łukiem wprost pod koła taksówki, którą George'owi właśnie udało się przywołać.

Próbuję się wyrwać, ale nie mogę oderwać mojej ręki od palców Bunty, która na widok lecącej w powietrzu Gillian popadła w coś jakby rigor mortis. Ludzie kłębią się wokoło, robiąc dużo hałasu, ale w chwilę potem robi się pusto i widzimy George'a siedzącego na krawężniku, z podwiniętą dziwnie nogawką, spod której wystaje beżowa wełniana skarpeta. George wymiotuje. Potem Bunty zaczyna krzyczeć, najpierw głośno, a później coraz cieniej i wyżej, a wydawany przez nią pisk wznosi się jak nietoperz i zaczyna odbijać od ulicznych latarni, rzygaczy na teatrze i błękitnych świateł, które błyskają coraz bliżej i bliżej.

W pierwszy dzień świąt budzę się obok Patricii na rozległym skądinąd pustkowiu łoża George'a i Bunty. Między nami tłoczą się Teddy i Panda. To nadzwyczajne przeżycie dzielić pokój z Patricią, a co dopiero łóżko. Podejrzewam, że podobnie jak ja, bała się zostać sama, gdy mściwy duch Gillian grasuje Nad Sklepem, strzegąc zazdrośnie toaletki w kształcie nerki i adwentowego kalendarza, a także tysięcy innych rzeczy, w które Gillian zainwestowała swoje siły witalne. O jedenastej w nocy, w Wigilię, George i Bunty zadzwonili ze szpitala, że Gillian nie żyje, a potem po prostu się ulotnili. Nell była tym bardzo przygnębiona, że musi sobie radzić sama. „Nie poradzę sobie”, jęczała przez telefon do Bunty, ale Bunty było wszystko jedno.

Szczerze mówiąc, myślę, że Nell daje sobie świetnie radę, zwłaszcza z pończochą.

Jedna z jej grubych, pomarszczonych pończoch, leży w poprzek kołdry George'a i Bunty, z pewnością nietknięta ręką żadnego duszka z Bieguna Północnego. W przyćmionym świetle zimowego poranka wygląda to nawet dość nieprzyzwoicie. Wiem, że to nie święty Mikołaj ją tutaj położył, bo on nie istnieje. Już w zeszłym roku Gillian pozbawiła mnie wszelkich złudzeń, demaskując przy okazji, dla równowagi, Wróżkę - Zębuszkę. Co za obrazoburstwo!

Łóżko wydziela nieokreśloną woń, na którą składa się przesłodzony zapach pudru Bunty oraz tytoniowo - rybny zapach George'a. Trącam znacząco Patricię i mówię:

- Patrz, pończocha z prezentami.

- Wiem - odpowiada bezbarwnym tonem, i wtedy do mnie dociera, że to chyba ona, a nie Nell, udawała świętego Mikołaja. Pocziwa ta Patricia. Musiało jej być podwójnie ciężko podjąć się tej roli, bo choć ma już trzynaście lat i uważa się za najbardziej dojrzałą osobę w naszej rodzinie, to właśnie ona bardziej niż inni boleje nad tym, w jaki sposób wszelka magia ulotniła się z naszego świata. Nie ma już świętego Mikołaja, nie ma Wróżki - Zębuszki, nie ma dobrych wróżek - ani żadnych innych. Nasze dzieciństwo już się skończyło, a my ciągle czekamy, kiedy się zacznie. Tej nocy leżałam obok drobnego, sztywnego ciała Patricii i wiem, jak rozpaczliwie nasłuchiwała stukotu niepodkutych kopyt na dachu i dźwięku dzwoneczków u zbliżających się sań.

Moja pończocha na Gwiazdkę roku 1959 zawiera (w odwrotnej kolejności, idąc od palców w górę) - sześciopensówkę, orzech laskowy, pomarańczę, paczkę kart firmy Szczęśliwa Rodzinka, miętowy batonik i tanią różowawą lalkę w zrobionych na drutach koszulce i majtkach. Bywało lepiej.

Leżymy rozparte na rodzicielskich poduszkach i częstujemy się czekoladą, grając w pierwszą lepszą grę ze

szczęśliwymi rodzinami. Jest w tym pewna ironia, bo kiedy oglądamy rodziny pana Pączka, Piekarza, pana Karpa ze sklepu rybnego - wszystkie one są zdecydowanie bardziej kompletne niż rodzina pana Lennox z Sklepu ze zwierzętami.

Na koniec idziemy do Nell i całujemy ją w kostropaty policzek. Nad jej pościelą unosi się słaba woń moczu. Nell ubrana jest w olbrzymią blad różową lizeskę, w której wygląda jak karlica. Na jej wystających z rękawów dłoniach widnieją fioletowe żyły, grube jak postronki. Patrzy na nas czujnie swoimi kaprawymi oczami.

- Wesołych świąt, babciu.
- Wesołych świąt, Patricio.
- Wesołych świąt, babciu.
- Wesołych świąt, Ruby.

- Wesołych świąt wam wszystkim! - Przez dom przetacza się okrzyk, jak dźwięk szklanych dzwoneczków - to wszystkie domowe duszki cichutko śpiewają kolędy i wznoszą toast za tegoroczne święta.

Zabieramy się do roboty. Ja zapalam lampki na choince, a Nell nakłada fartuch. Patricia podejmuje odważną próbę wyczyszczenia rusztu i ułożenia nowego stosu drewna. Ale kiedy usiłuje podłożyć ogień, płomień gasną, gdy tylko spłonęły szczapy na podpałkę. Wobec tego Patricia taszczy elektryczny grzejnik z pokoju Nell i skupiamy się wokół jedyne źródła ciepła, które wydziela nieprzyjemną, gryzącą woń spalonych włosów. Zapalamy też adwentowe świece, więc przynajmniej mamy coś w rodzaju płomienia, żeby oświetlić tę uroczystość.

Wszystkie trzy niepewnie spoglądamy na stos prezentów pod choinką.

- Chyba można je rozpakować - mówi w końcu Patricia, wzruszając ramionami w sposób, który ma sugerować, że ani

trochę jej to nie obchodzi, chociaż oczywiście wiem, że straszliwie ją to obchodzi. Bo ją wszystko obchodzi.

Dostałam kilka prezentów. George i Bunty podarowali mi rocznik „GM”, białą futrzaną mufkę (nową, nie po Gillian), wrotki, czekoladową pomarańczę i trochę sztucznej biżuterii. Uważam, że to wyjątkowo udane prezenty. Od Nell dostałam puszkę talku Yardleya o zapachu frezji, a Patricia dała mi zupełnie nowy egzemplarz „The Railway Children”, który kupiła za swoje kieszonkowe. Tymczasem Gillian przysłała mi zza grobu brązowego pluszowego psa ze szkarłatną wstążką na tłustej szyi, trzymającego w łapach zielono - fioletową buteleczkę fiołkowej wody kolońskiej.

- Jakie to ohydne - mówi Patricia, nie wspominając ani słowem o świeżo zmarłej Gillian - z drugiej strony, mimo iż ostatniej nocy uwierzyłyśmy, że Gillian nie żyje, trudno nam wprost uwierzyć, że tego ranka jest nadal nieżywa.

- Owszem, ohydne - przyznaję, pakując sobie do ust cały plasterek czekoladowej pomarańczy.

Patricia i Nell rozpakowują swoje prezenty, ale resztę zostawiamy nietkniętą pod choinką, jak ofiary dla zmarłych. Uważam, że powinniśmy się z Patricia podzielić prezentami Gillian, ale nie mówię tego, bo wiem, że to nie jest właściwe podejście.

Po jakimś czasie idziemy z Patricia, żeby poszukać Nell, i znajdujemy ją w kuchni, gdzie próbuje robić jakieś dziwne rzeczy z surowym indykiem. Patricia odbiera jej fartuch i autorytatywnym gestem wiąże go sobie w pasie, a mnie każe zabrać Nell i jakoś ją zabawić. Na szczęście Patricia jest na tyle rozsądna, żeby się nie zabierać do przyrządzania indyka. W zamian próbuje - z godnym polecenia skutkiem - przygotować kartofle puree, smażoną fasolę i wołowinę z puszki, choć na początek wszystkie trzy kaleczymy się, próbując otworzyć puszkę z mięsem. Potem zjadamy babeczki

z leguminą i budyń ryżowy z bitą śmietaną. Jemy przed telewizorem, z talerzami na kolanach, i nasz świąteczny obiad smakuje nam o wiele bardziej, niżby to wypadło po śmierci tak bliskiej krewnej. Nell lekkomyślnie wypija dwie szklaneczki rumu, a my z Patricia stawiamy między sobą całe pudełko herbatników i podczas gdy nasza babcia śpi w fotelu, ja, korzystając z okazji, relacjonuję Patricii pewne fakty dotyczące Świata Ducha, o których dowiedziałam się, będąc na wygnaniu w Dewsbury. Myśl, że zwierzęta mogą mieć życie pozagrobowe, robi na Patricii niebywałe wrażenie. W przeciwieństwie do przykrew perspektywy, że Gillian będzie się tam musiała wiecznie błąkać, ucząc się, jak usuwać rysy ze stolika do kawy.

Kiedy przychodzi drugi dzień świąt, popadliśmy już w pewnego rodzaju rutynę, opartą luźno na telewizji, śnie i babeczkach z leguminą. Patricia zdążyła się nawet nauczyć, jak rozpalać całkiem niezły ogień. Jesteśmy Bunty wdzięczne za to, że w swoich szafkach ma taki duży zapas konserw. Sytuacja poprawia się jeszcze, kiedy w głębi lodówki odkrywamy ciasteczka, przeznaczone na drugi dzień świąt. Patricia ma co prawda pewne wątpliwości, bo twierdzi, że świetnie pamięta, że Bunty nawet nie zaczęła ich robić, kiedy wychodziłyśmy na pantomimę. Więc kto je zrobił? Duchy, wyszkolone w robieniu galaretek ze śmietanki i wina, słodkich kremów i grysików? Pomocne elfy? Kto to wie? Odkładamy na bok wszelkie skrupuły i pożeramy wszystko na jedno posiedzenie, a potem mdli nas przez całą noc.

Błyskawicznie rozstajemy się z naszym poprzednim życiem uporządkowanej rutyny i dobrych manier i podejrzewam, że cała nasza trójka zamieniłaby się wkrótce w jakichś dzikusów, gdyby George i Bunty nie pojawili się nagle w sylwestrowy wieczór, pośród śnieżnej zamieci. Mieli chociaż na tyle przyzwoitości, że zadzwonili do drzwi z lekko

zawstydzonymi minami. Musieli zdawać sobie sprawę, że w pewnym sensie zaniedbali swoje rodzicielskie obowiązki. Oczywiście nie było z nimi Gillian.

Gdzie byli? Dość dużo rozmawialiśmy o tym z Patricia. A w każdym razie całkiem dużo, według naszych kryteriów. Z tego, co udało nam się dowiedzieć, uciekli do wuja Clifforda i ciotki Gladys (niewątpliwie psując tym samym Adrianowi święta). Bóg wie, dlaczego to zrobili - może chcieli, żeby ktoś się nimi zajął, a może (co mniej prawdopodobne) chcieli uchronić nas przed następstwami tej tragedii. Pogrzeb i cała reszta odbyły się bez nas i chociaż ani Patricia, ani ja nie żałowałyśmy, że ominęło nas akurat to wydarzenie towarzyskie, to jednak jeszcze długo potem - albo nawet do końca życia - miałyśmy wrażenie, że Gillian może nie tyle żyje, ile nie do końca umarła.

Przypuszczam, że w świecie ducha musieli otworzyć nową strefę tylko dla Gillian. Przez kilka tygodni planowałyśmy z Patricia wyprawę do Kościoła Ducha w Dewsbury, w nadziei że usłyszymy od niej jakieś pocieszające przesłanie. Coś w rodzaju: „Wasza siostra mówi, żebyście się o nią nie martwiły”. Znając Gillian, podejrzewam, że milczałaby tylko po to, żeby nam dokuczyć (musiała być wściekła, że ominęły ją święta). Nasze plany rozwiały się raptownie po pożarze Sklepu ze zwierzętami, kiedy to Świat Ducha otrzymał tak wielki nowy nabór, że lepiej było w ogóle zapomnieć o zaświatach, niż zaprzętać sobie myśli duszami tych wszystkich zwierząt, które piszcząc i miaucząc, przemierzają astralne przestrzenie.

Przez jakiś czas Bunty nie była całkiem sobą. To zdumiewające, jak bardzo dotknęła ją śmierć Gillian. Często widziałam przez otwarte drzwi sypialni, jak leżała na wznak na łóżku, cicho pojękując, a jej ręce szarpały kołdrę. Czasami zawodziła: „Moja córeczka, nie ma już mojej córeczki”, jakby

miała tylko jedną córkę, co nie było zbyt przyjemne ani dla mnie, ani dla Patricii. Zdarzało jej się też wyć potępięczo „Gilliaaaaaan”, co powinno było wystarczyć, żeby przywołać Gillian ze świata nieumarłych, a jednak nie wystarczyło. Czasami dało się słyszeć nocą, jak Bunty woła: „Moja Gillian, moja perełka”. To bardzo dziwne, bo nigdy nie słyszałam, żeby tak ją nazywała za życia. A poza wszystkim to przecież ja jestem rodzinnym klejnotem, prawda?

Po jakimś czasie Bunty doszła trochę do siebie. Podobnie jak zwierzęta. Zapomniałyśmy o nich z Patricią na parę dni i dopiero kiedy psy zaczęły wyć w środku nocy, dotarło do nas, że nie zostały nakarmione. Dzięki Bogu, żaden z nich nie zdechł z głodu, chociaż świadomość zaniedbania bardzo nam ciążyła, a zwłaszcza Patricii. Niełatwo spojrzeć w oczy głodującym szczeniakom i kotkom, wiedząc, że to twoja wina, i nie czuć się potem do końca życia napiętowanym. Papuga w tym krótkim czasie, jaki jej jeszcze pozostał, nigdy nam tego nie wybaczyła. Wielki pożar Sklepu ze zwierzętami wymazał z naszego życia wiele rzeczy (choć głównie zwierzęta), nie zmazał jednak winy.

Jest przeddzień nowej i zupełnie odmiennej dekady - ostatni dzień 1959 roku. Nasi świeżo odzyskani rodzice śpią teraz głębokim snem w swoim pokoju na dole, a na moim śnieżnobiałym budziku jest trzecia rano. Schodzę cichutko do salonu - ale tym razem całkiem rozbudzona, a nie we śnie. Wolę nie przebywać w moim pokoju - denerwuje mnie widok pustego łóżka Gillian. Umarła czy nie, ona wciąż tam jest. Kiedy zaczynam uważnie wpatrywać się w jej łóżko, widzę, jak brzoskwiniowa narzuta wznosi się i opada, poruszana jej niewidzialnym oddechem.

Zegar kominkowy (który zawsze się spóźnia) wydzwania: „Raz, dwa, trzy”. W salonie zasłony są rozsunięte i widać, jak na dworze cicho pada śnieg. Lecą duże płatki, jak gęsie pierze,

i małe, zakręcone jak łabędzi puch, i wielkie, jakby stado petreli gubiło pióra. Kiedy tak stoję i patrzę, niebo zasnuwa się chmurami z piór wszelkiego rodzaju ptaków, jakie tylko istniały, a nawet takich, które istnieją tylko w wyobraźni - jak te błękitne ptaszki, które przelatują nad tęczą. Większość igieł z choinki opadła już na podłogę, mimo to zapalam lampki. A potem zaczynam okręcać bombki. Z wielkim trudem udaje mi się doprowadzić do tego, że wszystkie kręcą się jednocześnie. Czasami bombki stukają o siebie i wtedy farba wykrusza się, obsypując mnie deszczem srebrnego pyłu.

Przypis VI - Wycieczka szkółki niedzielnej

Wycieczka szkółki niedzielnej do Scarborough miała być wspaniałą imprezą. Pani Mildred Reeves, która zajmowała się szkołą niedzielną Św. Denysa i jej corocznymi wycieczkami, rozstawiła na dworcu swoich pomocników na długo przed czasem. Nauczycielka, panna Adina Terry, czekała już przy barierce wraz z Lolly Paton, swoją przyjaciółką, którą ściągnęła specjalnie na ten dzień. Młody, gorliwy wikary, pan Dobbs, przybył w towarzystwie swojej narzeczonej, panny Fanshawe, i teraz wspólnie pilnowali wielkiego wiklinowego kosza, zawierającego lunch dla dzieci. Prawie wszyscy rodzice złożyli się na piknik, choć niestety, większość z nich dostarczyła słodycze, toteż pani Reeves i panna Fanshawe od wczesnych godzin rannych robiły kanapki (z pastą rybną i jajkiem).

„Co za przepiękny dzień!”, wykrzyknęła przyjaciółka panny Terry, Lolly Paton, rozkładając ręce i wybuchając śmiechem, tak że aż wikary lekko się zarumienił, a pani Reeves z dezaprobatą zacisnęła wargi. Ale Lolly Paton miała rację, to był przepiękny dzień, ostatnia upalna sobota lipca, i nawet teraz, o wpół do dziesiątej rano, nikt nie miał wątpliwości, że wielki łuk błękitu za dźwigarami i szkłem

dworcowego sklepienia utrzyma się do końca dnia. Ale nie tylko pogoda miała pozostać „przepiękna” - inaczej niż podczas nieudanych, mokrych wycieczek nad morze z trzech poprzednich lat. Również przyływ miał być tym razem dokładnie na właściwym miejscu - to znaczy możliwie jak najdalej, tak żeby dzieci mogły mieć swój piknik, kąpać się w wodzie i grać w różne gry bez obawy, że zostaną porwane przez morze.

Pani Reeves miała w torebce kartkę z listą piosenek, które mieli śpiewać w pociągu, oraz listą gier i zabaw na plaży, takich jak wyścigi na trzech nogach, palant, krokiet i krykiet. Pani Reeves była zadowolona z obecności mężczyzny, pana Dobbsa - nie tylko jako pomocnika przy ustalaniu reguł krykieta, mgliście rysujących się w jej głowie, ale również jako przykładu dla uczestniczących w wycieczce małych łobuziaków, z których kilku, zdaniem pani Reeves, bynajmniej nie pochodziło ze zdyscyplinowanych domów. Czyż jednak pielęgnowanie dobrych cech w tych biednych i raczej prostych dzieciach nie należy do jej chrześcijańskich obowiązków? „Trzeba ścierpieć te dzieci”, mruknęła sama do siebie, ale jej słowa zagłuszyło przybycie ekspresu King's Cross - Aberdeen, a panna Fanshawe musiała położyć rękę na ramieniu pana Dobbsa, żeby go powstrzymać, bo sprawiał wrażenie, jakby zamierzał do niego wskoczyć.

Panna Terry nie była aż tak dobrze zorganizowana jak pani Reeves. Nie miała żadnych list, przyniosła za to kilka historyjek, żeby je czytać dzieciom - i to wcale nie tych budujących opowieści biblijnych, które, lekko znudzona, opowiadała im niedziela po niedzieli, tylko nowiutki egzemplarz Jaskółek i Amazonek, w których, według zapewnień jej młodszego brata, miały być „fantastyczne przygody”. Jak się później okazało, nikt nawet nie otworzył książki, bo Lolly Paton, zamiast czytania, urządziła

zaimprovizowane przedstawienie Piotrusia Pana, w którym obsadziła wszystkie dzieciaki w roli zaginionych chłopców. Udało jej się nawet namówić dość drętowego pana Dobbsa, żeby zagrał żwawego kapitana Hooka. Natomiast pani Reeves stanowczo odmówiła wystąpienia w roli krokodyla, a panna Fanshawe stroiła dąsy nad butelkami z oranżadą.

- Pójdę kupić bilety - oświadczyła pani Reeves. - Nie ma sensu czekać, aż przyjdą wszystkie dzieci. Zawsze są jacyś spóźnialscy, a nie wypada, żebyśmy się spóźnili na pociąg.

- Zwłaszcza że musieliśmy wszyscy przyjść tak wcześnie - powiedziała z powagą panna Terry, a Lolly Paton uszczypnęła ją w pasie i obie wbiły wzrok w olbrzymi, ozdobny zegar dworcowy, z trudem powstrzymując się od śmiechu. Jedno superpunktualne dziecko szło już na spotkanie, całe od stóp do głów w śnieżnej bieli, z włosami upiętymi w barokową piramidę kokardek.

Tymczasem na Lowther Street dzieci nie wyszły jeszcze z domu. Powstrzymywała je zarówno ich wrodzona opieszłość, jak i ich matka, która dopiero przed chwilą przypomniała sobie, że nie przygotowała prowiantu na piknik i że pani Reeves prosiła, żeby wszystko zostało dostarczone do kościoła poprzedniego wieczoru. Nell w pośpiechu wrzuciła garść herbatników do pieca, nim zdążył osiągnąć właściwą temperaturę, i nie pozwoliła Babs, Cliffordowi i Bunty wyjść z domu, póki ciasteczka nie będą gotowe. Betty została w łóżku. Ostatnia z całej rodziny zachorowała na koklusz, który omal nie doprowadził Nell do szału. Natomiast Ted był jeszcze za mały, żeby wziąć udział w tej wycieczce.

- Pójdziemy bez tego - przecież tam i tak będzie pełno jedzenia - powiedział Clifford, kopiąc niecierpliwie we framugę drzwi kuchennych.

- Nie o to chodzi - powiedziała Nell w przypiływie irytacji. - Co oni sobie pomyślą? - I odgarnęła włosy z czoła, jakby chciała się pozbyć natrętnych myśli.

- Co sobie kto pomyśli? - zapytała Bunty. Siedziała na linoleum, grzebiąc się niezdarnie z supełkami na sznurowadłach i przygryzając w skupieniu wargę.

- Pani Reeves - ludzie ze szkółki niedzielnej - byle kto... - Nell przerwała i chwyciła Teda, który właśnie wpakował sobie coś do ust. Musiała się z nim szarpać, żeby wyciągnąć mu z buzi kamyk.

Babs szybko przejechała grzebieniem po włosach. - Czy możemy już iść?! - spytała niecierpliwie. Ani Babs, ani Bunty nie nosiły wstążek. Włosy, przycięte równo jak od miski, opadały im gładko na uszy. Nie miały też białych sukienek. Babs miała na sobie nietwarzowy, ciemnozielony fartuch, a najlepsza sukienka Bunty, z brązowej włóczki, była za szeroka w pasie.

- Pociąg odchodzi pięć po dziesiątej - powiedziała Babs.

- A do stacji jest dobre pół godziny drogi.

- Zwłaszcza że będziemy musieli wlec ze sobą Bunty - ponuro stwierdził Clifford.

Babs zaczęła biadolić:

- Pani Reeves kazała być na stacji za dwadzieścia dziesiąta.

- Jest już za dwadzieścia pięć - mruknął Clifford, wpatrując się w podwórko wzrokiem skazańca, który powoli zaczyna godzić się ze swoim losem.

- Cicho tam, wy dwoje! - ucięła Nell. - Herbatniki będą gotowe za minutę. Ty - Clifford, Babs jak ci tam - daj ściereczkę, żeby je zawinąć.

Tłumiąc łzy, Babs wyjęła z szuflady serwetkę w zielono - białą kratkę.

Nell wyjęła blachę z pieca i wysypała na serwetkę blade ciasteczka.

- Trzeba by je jeszcze chwilę potrzymać - powiedziała ze złością.

- Nie, nie, naprawdę musimy już iść! - krzyknęła Babs. Nie potrafiła już dłużej powstrzymać się od łez. Chwyciła serwetkę, zawiązała rogi i wybiegła za Cliffordem, który popędził przodem.

Bunty zaczęła płakać, bo ciągle nie mogła sobie poradzić z jednym butem. Nell pochyliła się i dała jej mocnego klapsa w łydkę, a potem zawiązała jej but, i Bunty wypadła z domu za starszą dwójką.

- Prędzej! - krzyknęła do niej Babs, już przy furtce, wyciągając rękę, która ledwo dotknęła palców Bunty, i już pędzili w górę Lowther Street, a potem wzdłuż Clarence Street. Kiedy wdrapywali się na kładkę nad torami, Bunty strasznie podrapała sobie bok i potem jęczała i utykała, kiedy zbiegali z Grosvenor Terrace na Bootham, a Babs krzyczała na nią przez cały czas, żeby się pospieszyła. Pędem pokonali most na Ouse, a pociąg przez cały czas dotrzymywał im w górze towarzystwa.

- To pewnie nasz pociąg - wysapała Babs i o mały włos nie spadła z żelaznych schodów na Leeman Road. Babs biegła dalej za Cliffordem, ale Bunty musiała przystanąć, żeby zaczerpnąć tchu, a potem kuśtykając, dotarła na Station Road, gdzie pod portalami dworca mignął jej zielony fartuch Babs.

Bunty czuła, jak gruba halka oblepia ją pod sukienką, a gorące łyzy nieprzyjemnie piekły ją w oczy. Śmiertelnie przerażona, że ją zostawia, przebiegła dzielnie przez halę dworcową do barierki, gdzie kontroler zatrzymał ją władcym gestem i uniesioną brwią. Zawiadowca zagwizdał i pociąg na peronie, widoczny jak na dłoni za barierką, zaczął ruszać bardzo powoli, a Bunty patrzyła na niego przerażonym

wzrokiem. Potem spostrzegła Clifforda, który gnał ile sił w nogach, więc zakryła ręką usta i jęknęła: „Och”, patrząc, jak jej brat pędzi wzdłuż peronu i otwiera drzwi do przedziału, a potem wskakuje do pociągu i wciąga za sobą Babs - Babs, która ją wołała, ale która stała już jedną nogą na stopniu. A kiedy zniknęła w głębi wagonu, upuściła trzymane w rękę zawiniątko i serwetka w zielono - białą kratkę zatrzepotała jak opuszczana flaga, a ciasteczka potoczyły się po całym peronie i pod koła pociągu. Rozgniewany strażnik zatrzasnął drzwi, kiedy pociąg mijał go, nabierając coraz większej prędkości. W jednym z okien mignęła zdumiona twarz pani Reeves i Bunty zaczęła się zastanawiać, czy pani Reeves pociągnie za hamulec bezpieczeństwa, kiedy się zorientuje, że kogoś zostawili.

Tak się jednak nie stało, bo pociąg głośno zagwizdał, płosząc z belek pod stropem stado gołębi, a potem wyjechał spod sklepienia wprost w błękitny poranek. Bunty z głośnym szlochem patrzyła, jak pociąg robi się coraz mniejszy i skręca w nicość, a potem na dworcu zapadła dziwna cisza - pełna gorzkiego zawodu, a zarazem dziwnie kojąca. Przerwał ją głośny brzęk, jakby ktoś upuścił jakiś ciężki, metalowy przedmiot. Kontroler biletów wyszedł ze swojej budki, wziął Bunty za rękę i burknął szorstkim tonem: „No, młoda damo, może spróbujemy zrobić z tobą porządek?”, bo Bunty stała w kałuży nie tylko łez, ale także czegoś o wiele bardziej żenującego.

Minęło trochę czasu, nim zawiadowcy udało się wyciągnąć imię z Bunty, która z trudem łapała oddech, wstrząsana raz po raz konwulsyjnym szlochem.

Oddano ją pod wątpliwą opiekę młodego bagażowego, który odwiózł ją do domu tramwajem. Wysadził ją na Huntington Road, skąd miała przejść resztę drogi piechotą. Bunty miała wrażenie, jakby od wielu godzin była w

towarzystwie obcych, i tęskniła do tego, żeby móc wypłakać swoje żale w znajomych ramionach. Kiedy jednak weszła do kuchni, ujrzała tam niepokojący widok - jej matka zdawała się pochłonięta przygotowywaniem puddingu ryżowego (ziarenka białego ryżu leżały rozsypane na stole jak perły), ale widocznie coś było z nią nie w porządku, bo dwulitrowa emaliowana miska, używana do robienia mlecznych deserów i kremu jajecznego, była już pełna - a mimo to Nell wciąż dolewała mleka z dużego niebieskiego dzbanka. Mleko przelewało się przez brzegi miski i rozlewało po stole, a potem spływało z jego krawędzi jak biały, mleczny wodospad.

Przez cały ten czas nie tylko Ted dostarczał z góry wyjący kontrapunkt, ale i Nell mówiła sama do siebie, jakieś szydercze, zjadliwe słowa, jak wariatka, która kogoś przeklina - chociaż kiedy Bunty wsłuchiwała się uważnie, odkryła, że to tylko alfabetyczna recytacja przepisów na ciasta z książki kucharskiej Dysona: amoniaczki, babeczki z bitą śmietaną, babka z bakaliami, ciasteczka kruche, ciasto francuskie, cwibak, diablotki, faworki, groszek ptysiowy. Bunty powlokła się z powrotem na podwórko i usiadła na ławce. Zdażyła już wypłakać wszystkie łzy, więc siedziała spokojnie na słońcu, starając się nie myśleć o tym, co szkółka niedzielna robi w Scarborough. Urywany kaszel Betty bez przerwy świdrował jej w uszach. Kiedy spojrzała przez ramię, zobaczyła przez okno, jak Nell uciera w kuchni nad mlekiem gałkę muszkatołową, i to nie szczyptę, jak zwykle, tylko całą gałkę - trąc nią w górę i w dół, i w górę, i w dół tarki. Przestała dopiero wtedy, kiedy rozległ się przerażający odgłos upadku, a po nim krzyk. Bunty pomyślała, że to chyba Ted spadł ze schodów.

W następną niedzielę pani Reeves zgromadziła u kolan swoją liczną gromadkę i pozwoliła dzieciakom paplać o wspaniałej wycieczce przez całe pięć minut, a kiedy wreszcie

skończyły, spojrzała na Bunty i powiedziała: „Jaka szkoda, że przepadła ci ta wycieczka, Berenice. Mam nadzieję, że nauczy cię to punktualności. Straciłaś taką świetną zabawę”. A potem dała znak Adinie Terry, żeby otworzyła grubą Ilustrowaną Biblię dla dzieci i z cichym westchnieniem powiedziała: „Dzisiaj, moje dzieci, przeczytamy sobie przypowieść o miłosiernym samarytaninie”.

Rozdział 7

1960

POŻAR! PALI SIĘ!

Odwiedziłyśmy Gillian. Leży sobie starannie opatulona pod schludną kołderką z zielonej darni, która wygląda zupełnie jak stolik do gry w karty. Ale my nie gramy na niej w karty, nawet w tak prostą grę jak oczko. Bunty wtyka bukiet barwnych jak klejnoty anemonów w kamień, w którym są specjalne otwory. Przypomina mi to kamień na Burton Stone Lane - duży czarny gład w miejscu, w którym kiedyś była granica miasta i gdzie ludzie ze wsi zostawiali swoje towary, kiedy York konał w szponach zarazy. A teraz nasza Gillian jest nietykalna jak ofiara zarazy. Nie mogłybyśmy jej dotknąć, nawet gdybyśmy chciały, chyba że zdarłybyśmy murawę i wkopały się w zimną, kwaśną glebę naszego cmentarza. Czego zresztą nie mamy zamiaru robić, zwłaszcza że na tę wizytę obie włożyłyśmy nasze ulubione kreacje - ja kraciatą taftę, a Patricia plisowaną wełnianą spódniczkę, rozpiętą nad sztywną, tiulową halką w pełnej gamie cukierkowych odcieni. Spódniczka szeleści z chrzęstem wokół jej chudych nóg w pończochach, umocowanych na podwiązkach i pasku, a jej „dziewczęcy” staniczek wraz z przyczajonym w środku dziewczęcym biustem tworzy pomarszczony wzór pod różowym nylonowym sweterkiem. Mysie włosy ma zaczesane w koński ogon, związany różową atlasową wstążką. Czasami ciężko być kobietą.

A zresztą kopanie i tak nie miałoby sensu, bo tak naprawdę Gillian wcale tu nie ma - jest „Bezpieczna w ramionach Jezusa”. Tak przynajmniej jest napisane na jej nagrobku: Gillian Berenice Lennox 14 stycznia 1948 - 24 grudnia 1959 Ukochana córka George'a i Bunty Bezpieczna w ramionach Jezusa

- Nie ma tu ani słowa o nas - szepczę do Patricii, gdy Bunty wyciąga z torebki ściereczkę do kurzu i zaczyna wycierać płytę nagrobną. Jeszcze jeden obowiązek.

- Jak to o nas?

- Ukochana siostra.

- Przecież nią nie była, prawda? - stwierdza rozsądnie Patricia i natychmiast zaczyna nas trawić poczucie winy, że w ogóle odważyliśmy się coś takiego pomyśleć. Wracaj, Gillian, wszystko zostało wybaczone. Wróć, a uczynimy cię naszą ukochaną siostrą. Bunty bierze nożyczki i zaczyna przycinać trawę. Ciekawe, co zrobi potem. Wyjmie odkurzacza? Nagrobek Gillian jest bardzo prosty i niespecjalnie ciekawy. Byłam tu już kiedyś z moją przyjaciółką Kathleen i jej matką na grobie dziadka Kathleen i bawiłyśmy się z Kathleen w chowanego między grobami. Najbardziej podobały nam się groby z wyrzeźbionymi aniołami - albo samotnymi i dość smętnymi, albo w parach, po jednym z każdej strony, ze skrzydłami opiekuńczo rozpostartymi nad niewidzialnym mieszkańcem grobu. Spędziłyśmy z Kathleen trochę czasu, udając, że jesteśmy nagrobnymi aniołami stróżami. Jako skrzydeł użyłyśmy sweterków.

Czy trzeba aż umrzeć, żeby być bezpiecznym w ramionach Jezusa? Najwyraźniej nie. Kathleen, która już zdążyła zaznajomić mnie ze skąpaną we krwi dekoracją wnętrza katolickiego kościoła św. Wilfreda, wyjaśnia mi, że wszyscy jesteśmy bezpieczni w jego ramionach, a przede wszystkim małe dzieci. Zwłaszcza te, które cierpią, dodaje. Myślę, że obie z Patricią bardzo cierpimy, więc to dobra wiadomość. Co więcej, On to Baranek, a my jesteśmy obmyci w Jego krwi (mogę wam przysiąc, że niemal słychać wielkie litery, kiedy Kathleen to mówi). Muszę przyznać, że mam pewne zastrzeżenia co do obmycia się we krwi Baranka, ale jeżeli ma to mnie uchronić przed wiekuistym ogniem piekieł -

albo Piekieł, bo to brzmi dla mnie jak miejsce z dużej litery - to myślę, że jakoś wytrzymam.

Pani Gorman, matka Kathleen, zawsze wstępuje do kościoła, kiedy jest na zakupach, tak samo jak Bunty wstępuje do damskiej toalety na St Sampson's Square. Spędziłyśmy całe sobotnie przedpołudnie - Kathleen, jej mama i ja - pomagając przy kweście na Towarzystwo Obrony Dzieci przed Przemocą na King's Square. Jestem bardzo szczęśliwa, że mogłam pomóc - gromadząc dobre chęci i dobre uczynki dla Baranka, bo chociaż On jest łagodny i dobry, stanowi także (rzecz niepojęta) część trójcy, która może cię skazać na Piekło.

Włóczymy się po Duncombe Place, zastanawiając się nad tym, czy nie wstąpić gdzieś na gorącą czekoladę, a w chwilę później dajemy nura do kościoła. Matka Kathleen macza palec w chrzcielnicy przy wejściu i żegna się, a potem zgina kolano przed ołtarzem. Kathleen robi to samo. Jaka obowiązuje tu etykieta? Czy mam pójść w ich ślady? Czy jeśli zrobię to samo, nie padnę trupem, bo nie jestem katoliczką? I kto mnie ukarze, Pan Bóg - czy może Bunty, z tego samego zresztą powodu? Kathleen i pani Gorman nie patrzą na mnie, bo zapalają świece. Opuszczam wobec tego wodę święconą i składam mały, uprzejmy ukłon, mniej więcej w stronę ołtarza. „Chodź zapalić świeczkę za twoją siostrę”, mówi pani Gorman z zachęcającym uśmiechem. Świeczki są naprawdę śliczne, z kremowego wosku i cienkie jak ołówki, a wszystkie wskazują w górę, jak święte drogowskazy do jakiegoś niepoznawalnego, mistycznego miejsca, gdzie na chmurze mieszka archanioł Gabriel i Baranek, i stado białych gołębi. Jak Gillian radzi sobie w takim towarzystwie? (Pewnie już rządzi cherubinami). Będzie potrzebowała wszelkiej możliwej pomocy, więc lekko drżącą ręką zapalam świeczkę, a mama Kathleen wrzuca do puszki sześciopensówkę, żeby za nią zapłacić. Ja tymczasem staram się udawać, że odmawiam modlitwę.

Nie wiem, jak Gillian, ale ja na pewno poczułam się o wiele lepiej po zapaleniu świeczki. Widzę, że dużo przemawia za całym tym rytuałem. Później, w domu, wyciągam adwentowy świecznik z kredensu, gdzie anachronicznie spoczywa od Gwiazdki - kawałek jakiejś srebrnej ozdoby zwisa wciąż wzdłuż karniszy - a wszystko to świadczy o domowym niechlujstwie, które nastąpiło w erze Po Gillian - 1960 PG. Stawiam z szacunkiem świecznik na różowym nocnym stoliku i odtąd co wieczór zapalam czerwone świeczki i układam modlitwy, które unoszą się do Baranka jak święty dym.

Muszę racjonować sobie tę ceremonię, bo nie ma już więcej świeczek. Na szczęście nie dotyczy to modlitwy, więc tak dużo się modlę - wznosząc rozpaczliwe modły do Baranka, żeby zwrócić na siebie uwagę - że w końcu zaczynają mnie boleć kolana. Szczerze mówiąc, bolą mnie tak bardzo, że nawet Buntyn zauważyła to, kiedy którejś soboty idziemy kupować buty. Mój niepewny, ułomny chód tak ją zaniepokoił, że przestała mnie poganiać i zapytała, co się dzieje (odkąd straciła dziecko, bardziej dba o pozostałe), wskutek czego siedzimy teraz w poczekalni u lekarza.

W poczekalni doktora Haddowa jest tak ciepło i przytulnie, że można by tu mieszkać - zupełnie inaczej niż u pana Jeffrey'a, dentysty, u którego jest zimno i pachnie dentystycznym antyseptykiem i środkami do czyszczenia toalet. Doktor Haddow ma piecyk węglowy i skórzane fotele, w których można utonąć, a na ścianach wiszą oprawione akwarelki, namalowane przez jego żonę. Stary zegar po dziadku, z różami na tarczy, odmierza czas głośnym stukotem, przypominającym odgłos końskich kopyt - o wiele przyjemniejszym niż metaliczne dźwięki, wydawane przez nasz zegar na kominku. Duży politurowany stół oferuje ekscytujący asortyment lektury - od „Country Life” po starego

„Dandysa”. Ja wolę "Reader's Digest". Bunty przerzuca „Woman's Realm”, a ja zaczynam poszerzać swój zasób słów. Lubię chodzić do doktora. Myślę, że nie chodzimy tam wystarczająco często.

Sam doktor Haddow też jest bardzo miły i zwraca się do mnie, jakbym była prawdziwą osobą, nawet jeżeli Bunty odpowiada za mnie na wszystkie pytania, a ja siedzę jak oniemiała kukła brzuchomówcy.

- No więc, jak się czujesz, Ruby?

- Bola ją kolana.

- A gdzie konkretnie cię boli, Ruby?

- O tam - mówi Bunty, dźgając mnie w kolano tak mocno, że aż zawyłam.

- Coś ty nabroiła, Ruby? - pyta doktor z dobrotliwym uśmiechem. - Pewnie się za dużo modliłaś? - śmieje się. - Myślę, że to tylko bursitis - mówi w końcu, po wielu „ho, ho” i „hmm”.

- Bursitis? - powtarza Bunty tonem pełnym niepokoju. - Czy to jakiś pasożyt?

- To nic poważnego.

- Jak to nic poważnego?

- Zwykłe zapalenie - wyjaśnia doktor Haddock. - Dawniej chorowały na to służące.

- Służące? - powtarza Bunty w napadzie eholalii. Przygląda mi się z obawą, jakby podejrzewała, że mogę prowadzić nocą jakieś sekretne życie, wykonując we śnie różne prace domowe.

Wychodzimy bez żadnych lekarstw i zalecanej kuracji, tylko z poradą, żeby się „nie przejmować”. Bunty lekceważąco pociąga nosem, ale nic na to nie mówi. Miły doktor Haddow proponuje jej kolejną receptę na środki uspokajające.

- Ty też nie powinnaś się tak przejmować - mówi. Wodzi pospiesznie piórem po bloczku recept, zostawiając nieczytelny szlaczek z jasnoniebieskiego atramentu, który wygląda jak pismo z Tysiąca i jednej nocy. - Czas wszystko uleczy - dorzuca, kiwając z uśmiechem głową (chodzi o śmierć Gillian, nie o moje kolano). - Wiem, że Bóg był dla ciebie okrutny, moja droga, ale wszystko ma jakiś cel. - Zdejmuje okulary i trze jasnoniebieskie oczy koloru atramentu, jak mały chłopiec, a potem siedzi, uśmiechając się promiennie do Bunty. Bunty jest ostatnimi czasy tak pogrążona w bólu i środkach uspokajających, że jej odpowiedzi są mocno spóźnione. Mimo iż patrzy martwym wzrokiem na doktora, wiem, że lada moment zacznie być niemiła, bo nie może znieść takiego gadania - Bóg, nie przejmować się, et cetera, et cetera - więc szybko wstaję, mówię: „Dziękuję” i szarpnię Bunty za rękę, a ona idzie za mną, potulna jak baranek.

Brniemy do domu, obok Clifton Green i wzdłuż Bootham. Świat wciąż tkwi w okowach zimy - drzewa na Clifton Green są jeszcze bez śladu listków czy pączków i tworzą atramentowe gryzmoły czerni na tle jasnego nieba, które wygląda jak szare worki po cukrze. Zaczyna padać deszcz ze śniegiem, więc podnoszę kaptur budrysówki i ze spuszczoną głową kuśtykam za Bunty jak kulawe eskimoskie dziecko. To jakaś dziwna reguła, że choćbym nie wiem jak szybko szła, nie mogę nigdy nadążyć za Bunty - czy idę prędko czy powoli, ona zawsze jest co najmniej trzy stopy przede mną, jakby łączyła nas jakaś niewidoczna pepowina, która potrafi się rozciągać, ale nie kurczyć. Nic takiego nie łączy za to Bunty z Patricią. Moja siostra może pędzić energicznie przodem, wlec się smętnie z tyłu, a nawet, od czasu do czasu, prysnąć niepokojąco w głąb jakiejś uliczki.

Mimo przenikliwego zimna kolana pieką mnie i bolą. Modlę się do Pana Jezusa o latający dywan, który by mnie

przetransportował do domu, ale nie mam tego szczęścia i - jak zwykle - moje modlitwy rozplywają się w powietrzu nad doliną Yorku. Kiedy dochodzimy do Sklepu, mamy na policzkach zamarzniete róże, a w sercu lodowe kryształki. Bunty łąduje się przez frontowe drzwi z takim impetem, że dzwonek dzwoni jak szalony, zupełnie jakby ktoś zamierzał dokonać inwazji na nasz Sklep. Nie wypowiada słów powitania, więc ja wołam: „Sklep!” w jej imieniu, a George rzuca w moim kierunku spojrzenie, które wyraża całą gamę wieloznaczności. Unosi ryżą brew.

- No i jak? - zwraca się do Bunty.

- Zapalenie kolan. Choroba służących - mówi Bunty, przewracając oczami, i robi małe moue (Moue (franc.) - grymas. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki.)), jakby chciała powiedzieć: - Mnie o to nie pytaj.

Ale on i tak pyta:

- Choroba służących?

- Jakies bursitis - podpowiadam, ale oni nie zwracają na mnie najmniejszej uwagi.

W Sklepie jest potwornie zimno; ptaki w klatkach mają nastroszone pióra i hipotermiczny błysk w oczach, jakby śniły zbiorowy sen o tropiku. Dlaczego jest tak zimno? Czemu grzejniki parafinowe nie są włączone?

- Dlaczego nie włączyłeś grzejników? - pyta Bunty, obrzucając nienawistnym wzrokiem najbliższy grzejnik. - Można tu zamarznąć na śmierć.

- Bo nam się skończyła parafina - odszczekuje George, wbijając się w płaszcz i grube skórzane rękawice. - Czekałem, aż wrócisz. - Każde z nich zawsze czeka, aż drugie wróci. Jakby oboje nie potrafili istnieć w tej samej przestrzeni i w tym samym czasie, X = nie Y (albo, mówiąc inaczej, Y = nie X). Albo jak te figurki mężczyzny i kobiety w barometrze w

kształcie domku, które - słońce czy deszcz - nigdy nie pojawiają się jednocześnie.

George wyjmuje pieniądze z kasy.

- Zaraz wracam - mówi, zmierzając w stronę drzwi.

- Z całą pewnością - mruczy Bunty, która nagle odkrywa, że znowu wylądowała za ladą. - Mam stosy prasowania! - krzyczy, kiedy drzwi zatrząskują się za George'em. „Stosy” to rzeczownik zbiorczy, określający prasowanie - dla naszej matki nie może być inaczej.

Kładę rękę na zimnej emaliowanej pokrywie grzejnika, próbując uruchomić go za pomocą życzenia. Uwielbiam zapach parafinowych grzejników - taki gorący i groźny.

- Uważaj - machinalnie ostrzega mnie Bunty. Nieustannie wyczulona na niebezpieczeństwo pożaru, Bunty musiała być w poprzednim życiu spokrewniona z Joanną D'Arc. A może to ona była Joanną D'Arc. Mogę ją sobie wyobrazić, jak dowodzi chłopskim batalionem, a jej policzki kraśnieją z irytacji, kiedy wykrzykuje im rozkazy, a oni szurają nogami, ze wzrokiem wbitym w ziemię. I słyszę ją też na końcu, kiedy podkładają płonąca głównię pod piętrzący się wokół niej chrust: „Uważajcie, gdzie kładziecie tę płonąca żagiew!”

Grzejniki parafinowe są jeszcze bardziej niebezpieczne niż stosy dla czarownic i nigdy nie występują bez załączonego ostrzeżenia. Żadna z nas, ani Patricia, ani ja, ani Gillian w kwiecie młodości, nie mogła znaleźć się w odległości pięciu stóp od grzejnika, żeby nie być narażona na niebezpieczeństwo pożaru. Kominiek w salonie jest traktowany w podobny sposób i strzeżony dniem i nocą (bez względu na to, czy się w nim pali czy nie); zapałki są śmiertelnie niebezpieczne, oczywiście; palniki na kuchence gazowej są żywe i próbują cię złapać, kiedy przechodzisz obok; papierosy walczą o to, żeby upaść i tlić się. A jeśli chodzi o samozapłon? No cóż, to właśnie nas czeka.

- Czy mogę iść na górę? - pytam.

- Nie, sama nie - mówi Bunty, patrząc roztargnionym wzrokiem na wystawę. To takie nielogiczne, że nawet nie warto się kłócić - mam dziewięć lat i chodziłam sama na górę, odkąd nauczyłam się chodzić. Po śmierci Gillian Bunty stała się przeczulona na punkcie grożących nam niebezpieczeństw. Nie tylko ogień nam zagraża. Płynący z ust Bunty potok ostrzeżeń utwierdza nas w przekonaniu, że jesteśmy pod jej nieustanną matczyną opieką: „Ostrożnie z tym nożem! Wybijesz sobie oko tym ołówkiem! Trzymaj się poręczy! Uwaga na parasol!", tak że świat wydaje się siedliskiem przedmiotów, których jedyną intencją jest nas zaatakować. Nie mogę się nawet wykapać w spokoju, bo Bunty ciągle zagląda, żeby sprawdzić, czy się nie poślizgnęłam i nie utonęłam. (Uwaga na mydło!) Inaczej jest z Patricią, która zamyka się na klucz i zasuwkę, i barykaduje w łazience przed Bunty. Biedna ta nasza matka - nie może tego znieść, kiedy jesteśmy poza zasięgiem jej wzroku. Ale nie może też znieść, kiedy jesteśmy w jego zasięgu.

Nagle do Sklepu wpada z hukiem Patricia, krzycząc agresywnie: „Sklep!” Papuga zaczyna skrzeczeć z przerażenia. Patricia podchodzi do niej, wykonując w powietrzu gesty, jakby chciała ją udusić, a Papuga próbuje cofnąć się na drążku. Przez te wszystkie lata nie udało nam się sprzedać papugi, która powoli przeistoczyła się w sklepową papugę - stanowiąc część wyposażenia Sklepu. Papuga stanowczo nie chce mówić i atakuje każdego, kto tylko się do niej zbliży. Nigdy nie została zaszczycona żadnym imieniem. Choćby nawet Polly. Nikt nie traktuje jej jak Bożego stworzenia, nawet Patricia. Papuga, podobnie jak ja, stała się czymś w rodzaju kozła ofiarnego. Papugą ofiarną.

- Uwaga na grzejnik! - krzyczy Bunty na widok płaszcza Patricii, niebezpiecznie falującego dwie stopy od grzejnika. Patricia odwraca się i patrzy z niedowierzaniem na Bunty.

- Przecież on nie jest włączony - cedzi z naciskiem.

- To nie ma znaczenia - nie ustępuje Bunty i bierze się do rozplątywania psich smyczy. Nie ma odwagi spojrzeć na żadną z nas, bo czuje, że się ośmiesza. Patricia robi za jej plecami zde gustowaną minę i odwraca się, żeby pójść na górę.

- Czy mogę iść na górę z Patricia? - pytam pospiesznie, wietrzając szansę ucieczki.

- Nie! - krzyczą obie jednym głosem.

Bunty grzebie w głębi torebki i triumfalnym gestem wyjmuje buteleczkę środków uspokajających. Jej rozdrażnienie stopniowo znika. Mali pomocnicy Bunty wkrótce przenoszą ją w zdecydowanie odmienny stan. Przez jakiś czas kręci się po sklepie jak dwufazowy automat, podając do obejrzenia kotki, chomiki i myszki i hałaśliwie wydzwaniając na kasie ich ceny, aż nagle, w połowie transakcji, chwyta się dramatycznym gestem za głowę i oznajmia, że „ma już dość” i musi się położyć. Pędzi na zaplecze Sklepu i zatrzymuje się tylko na moment, żeby w przelocie wepchnąć mi w ręce olbrzymiego belgijskiego królika.

- Czy twoja matka dobrze się czuje? - pyta zdumiony klient, uwalniając mnie od równie zdumionego królika.

- Och tak, tylko właśnie przypomniała sobie, że zostawiła frytkownicę na ogniu - kłamię przebiegle. Bardzo przebiegle, oczywiście, bo Bunty prędzej by zmieszała białe z kolorami w dniu prania, niż zostawiła frytkownicę bez nadzoru.

Tego ranka w sklepie jest duży ruch. Udaje mi się sprzedać: dwa kotki (jednego szylkretowego, jednego rudego), uroczonego szczeniaka, dwa skoczki, koło dla chomików, trzy paczki trocin, sześć funtów mieszanki suchej karmy, kosz dla

psa, jedną obrożę dla kota wysadzaną drogimi kamieniami (brylanty, fałszywe) oraz wyżej wymienionego królika belgijskiego, którego uważam za swoją transakcję, bo to ja wydzwoniłam go na kasie, a nie Bunty. Myślę, że mam zdecydowany talent w tym kierunku i kiedy George w końcu wraca (jak widzę, bez parafiny), donoszę mu z dumą o moim sukcesie, ale on tylko patrzy na mnie nieprzytomnym wzrokiem. Czasami George sprawia wrażenie, jakby miał olbrzymie trudności z rozpoznaniem członków swojej własnej rodziny.

Mimo wszystko nie zostaję tak całkiem niedoceniona, bo pięć minut później George wyciąga z kieszeni batonik Milky Way i daje mi go, a potem pozwala mi wyjąć wszystkie króliki z klatek (oczywiście po jednym, bo w przeciwnym wypadku Bóg jeden wie, co za króliczy chaos mógłby z tego wyniknąć). Gładzę je po długich aksamitnych uszach i zanurzam twarz w ich pluszowe futerko, słuchając, jak szybko biją ich królicze serduszka. Myślę, że gdyby Pan Jezus był zwierzęciem, nie byłby barankiem, tylko królikiem - dużym, puszystym królikiem czekoladowej maści.

- A gdzie twoja matka? - pyta George po chwili. Jeżeli zamierza stawić czoło „mojej matce”, lepiej będzie przypomnieć mu o parafinie.

- Kupiłeś parafinę? - pytam z miną niewiniątka, a on znowu patrzy na mnie nieprzytomnie. Nie tylko jestem dla niego obca, ale nawet nie mówię językiem, który byłby dla niego zrozumiały. Po dziesięciu minutach podnosi wzrok znad kasy, przy której liczył banknoty, i mówi ze zdumieniem:

- Zupełnie zapomniałem o tej cholernej parafinie! Chrząkam ze zrozumieniem.

George patrzy niepewnie w stronę drzwi. Czy może zostawić swój domek bez mężczyzny?

- Jak mogę iść po parafinę, skoro nie ma tu twojej matki?

- Poradzę sobie.

- Nie, nie dasz sobie rady.

Co on sobie wyobraża? A kto zarobił te wszystkie pieniądze, które on teraz przelicza? Ale nie warto się o to kłócić. George potrafi być taki skory do konfrontacji, że gotów przysiąc, że czarne jest białe tylko w imię samej kłótni. Bunty posunęłyby się dalej, twierdząc, że to w ogóle nie jest żaden kolor, tylko jakiś mebel albo banan.

- Zawołaj Patricię - mówi George. - Ona potrafi zająć się Sklepem.

Na dźwięk słów „zawołaj Patricię”, tracę ducha. Sprowadzanie Patricii należy nieodmiennie do moich obowiązków i jest to bardzo niewdzięczne zadanie. Wystarczy, że powiem: „Tata (albo mama) chce, żebyś zeszła na dół”, a już wokół jej głowy gromadzą się czarne chmury jak jakieś miazmatyczne halo. Rusza niechętnie w stronę tego, kto ją wzywa, i przez cały czas obwinia mnie o wtargnięcie na teren jej pustelni.

Wchodzę powoli na górę, a moje chore kolana skarżą się przez całą drogę. Mijam pokój Bunty. Widzę, jak siedzi przy toalecie, patrząc w lustro, i odgrywa rutynową, złagodzoną wersję „Moja Gillian, moja perełka”, jakby mogła przywołać Gillian z głębi lustra. Nagle spostrzega moje odbicie i wydaje okrzyk, jakby zobaczyła ducha. Odwraca się, żeby go zobaczyć, a potem mówi beznamiętnym głosem:

- Ach, to tylko ty.

- To tylko ja, Ruby! - wykrzykuję idiotycznie radosnym tonem, waląc w drzwi Patricii.

- Idź sobie! - wrzeszczy, a ja otwieram drzwi i mówię:

- Tata cię prosi.

Patricia leży na łóżku, z rękami skrzyżowanymi na pączkującej piersi i wzrokiem wbitym w sufit. Wygląda trochę jak zamyślony trup.

- Idź sobie - powtarza, nie patrząc na mnie. Czekam cierpliwie przez chwilę, a potem powtarzam moje przesłanie. Po przedłużającej się ciszy Patricia odwraca lekko głowę w moją stronę i mówi bezdźwięcznie:

- Powiedz mu, że jestem chora.

- Mam powiedzieć, że co ci dolega? - Wiem, że George o to zapyta, więc wolę zawczasu mieć gotową odpowiedź, niż wlec się po raz drugi na górę. Patricia znowu wbija wzrok w sufit i wybuchą pozbawionym radości śmiechem.

- Moja dusza jest chora - oznajmia ponurym, przerażającym tonem, zamykając oczy i przybierając lekko znudzony wyraz twarzy, jakiego prerafaelici wymagali od swoich modelek.

- Mam to powiedzieć tacie? - Już widzę jego reakcję, kiedy mu powiem: „Patricia nie może zejść na dół, bo ma chorą duszę”.

Patricia śmieje się jak Madeleine Usher i wymachuje w powietrzu smukłą, białą dłonią.

- Powiedz mu, że mam okres. To powinno go zatkać. Patricia ma rację. To rzeczywiście skutkuje.

- Typowe - mruczy pod nosem George, jakby cykl menstruacyjny został zaplanowany specjalnie po to, żeby mu dokuczyć. - Tak czy inaczej, wychodzę - mówi, odwracając na drzwiach tabliczkę, która obwieszcza całemu światu, że „Przepraszamy, zamknięte”. Upewniwszy się, że sobie poszedł, odwracam z powrotem znak, żeby wszyscy widzieli, że jest „Otwarte” i spędzam kilka miłych godzin, sprzedając i bawiąc się ze zwierzętami. Bawię się w apart z dziwnym, białym terierem (Patricia ochrzciła go Gałgan), którego nikt nigdy nie chciał, chociaż George ciągle umieszcza go na wystawie z wielką czerwoną muchą na szyi. Obie z Patricia dałybyśmy wszystko, żeby ktoś kupił biednego Gałgana, bo George ciągle straszy, że trzeba będzie go uśpić - co jest

eufemizmem, jeśli w ogóle. (Czy Gillian jedynie symuluje śmierć? Czy tak naprawdę tylko śpi i bardzo trudno ją obudzić? Nigdy nie było jej łatwo wstawać rano). Gałgan zajmuje poczesne miejsce w moich modłach. „Kochany Panie Jezu, Baranku Boży, przebacz mi moje grzechy i daj nam chleba naszego powszedniego. Spraw, żeby Gillian była szczęśliwa, i daj Gałganowi miły dom, a ja, póki żyję, nie będę już nigdy niegrzeczna. Z wyrazami miłości, Ruby. Przyjdź Królestwo Twoje, Amen”. Coś w tym rodzaju.

Z przyjemnością stwierdzam, że tego feralnego popołudnia poświęciłam zwierzętom sporo uwagi. Kotki zostały wyczesane, chomiki mogły sobie pobiegać po ladzie, a ja nawet próbowałam porozmawiać z Papugą - nagle jasno zrozumiałam, na czym polega moje przeznaczenie - będę prowadzić sklepik zoologiczny, jak przede mną mój ojciec. Za parę lat na szyldzie nad drzwiami nie będzie już napisane „G. Lennox” tylko „R. Lennox” - oto moje powołanie! Wtedy nie będzie już miało znaczenia, że nie wolno nam mieć swoich własnych zwierzątek (prywatnych, nie przynoszących dochodu), bo któregoś dnia wszystkie Zwierzęta będą moje. Nie rezygnuj z marzeń, Ruby!

George wtacza się do Sklepu, trzymając w obu rękach olbrzymie, zabłocone bańki z parafiną, które stawia z brzękiem w kącie, obok wielkiej beczki trocin. Miejmy nadzieję, że nie wskoczy tam jego papieros!

- Uważaj! - ostrzega mnie Bunty, kiedy wchodzę do kuchni. Właśnie przygotowuje podwieczorek - kielbasę, jajko i frytki

- Zdrowy i Bezpieczny, upiorny posiłek dla kobiety, która jest pod działaniem chemicznych środków uspokajających. Cała jej uwaga koncentruje się na frytkownicy, ze szkodą dla kielbasek, które tlą się przyjemnie w kąpieli dymiącego smalcu, nie mówiąc już o jajkach, których białka zamieniają

się na brzegach w chrupiącą, czarną koronkę. Przemykam się pod ścianami kuchni do lodówki, żeby sobie nalać szklanek mleka, starając się trzymać z dala od niebezpiecznej patelni.

- Gotowe - mówi Bunty, ostrożnie potrząsając drucianym koszykiem z frytkami. (Czułaby się lepiej, gdyby miała w ręku gaśnicę). - Zawołaj Patricię.

- Ona niezbyt dobrze się czuje - mówię, a Bunty, jak zwykle, unosi lekko brwi. - Chodzi o jej duszę - wyjaśniam.

- Zawołaj ją, Ruby, nie bądź taka mądra. - Zdaje mi się, że oni wcale nie chcą, żebym była mądra.

Reszta wieczoru upływa nam na spokojnych zajęciach. George'a nie ma - jak zwykle. A Patricia jest w swoim pokoju, też jak zwykle. Doszła już do trzeciego tomu popularnego wydania *A la recherche du temps perdu* (*A la recherche du temps perdu* - W poszukiwaniu straconego czasu.), który - z tego, co wiem - jest o „Metafizycznej dwuznaczności rzeczywistości, czasu i śmierci oraz potędze uczuć, która jest w stanie wskrzesić wspomnienia i odwrócić bieg czasu”. Podniecająca rzecz - ale jak czas może być odwracalny, skoro galopuje do przodu, klip - klap, i nikt już nigdy nie wraca. Prawda?

Ja też jestem w moim pokoju i gram sama ze sobą w scrabble, a Teddy smutno mi się przygląda - nie może się przyłączyć, bo jest już za stary, żeby odgrywać te wszystkie role. Babcia Nell leży w łóżku, gdzie ostatnio spędza dużo czasu. Bunty jest na dole, w kuchni, a do towarzystwa ma tylko swoje stosy prasowania.

Po rozegraniu trzech partyjek scrabble, w których tylko minimalnie oszukiwałam, dochodzę do wniosku, że chyba pora kłaść się do łóżka. W czasach Po Gillian zniknęły gdzieś wszystkie te drobne, podnoszące na duchu nawyki. Nikt nie sprawdza już, czy wyczyściłam zęby, i czy umyłam ręce i twarz, a nawet nikt nie sprawdza, czy w ogóle położyłam się

do łóżka, ale ja robię to wszystko, trzymając się większości nawyków i rytuałów ery Przed Gillian. Odmawiam modlitwę, klęcząc na poduszce przy łóżku. Modlę się żarliwie za Gillian - żeby była szczęśliwa w niebie i żeby się nie martwiła tym, że nie żyje. Po ostatnich świeczkach adwentowych zostały tylko lepkie czerwone ogarki, ale ja i tak je zapalam i patrzę, jak złote aniołki kręcą się z gracją i uderzają o dzwoneczki, dzyń, dzyń, dzyń.

Tymczasem na dole, w kuchni, biedna Bunty musi nagle porzucić prasowanie, bo odkrywa pośród stosów coś, co wygląda jak różowa jedwabna bluzeczka Gillian (choć w rzeczywistości to tylko wielkie majtki babci Nell). Biegnąc na górę po schodach, trzyma się za głowę, a w sypialni połyka podwójną dawkę tabletek nasennych i pada na łóżko, pograżając się w niebycie. Znacznie później słyszę, jak wraca George i klnąc, i potykając się, idzie na górę. Potem ktoś spuszcza wodę w toalecie, światło gaśnie, a ja odpływam w noc na tratwie modlitwy oraz radosnych chórów *How Much is that Doggie in the Window?*, odśpiewanych cichutko pod kołdrą.

Śnię o końcu świata - to dość częsty sen, który przybiera wiele form. Tej nocy śnią mi się olbrzymie chmury, które zagotowały się w górze i zmieniają się teraz w króliki. Wielkie obłoki w kształcie królika wiszą na niebie jak Zeppelin (zobacz Przypis VII), a ktoś stojący za mną mówi: „To już koniec świata”.

W pewnym sensie tak jest. W kuchni, na dole, porzucone i zapomniane żelazko demonstruje desce do prasowania swoje usterki. Bunty oczywiście nie wiedziała, że termostat nie działa prawidłowo i że kiedy ona dystyngowanie pochrapuje w łóżku, żelazko coraz bardziej się nagrzewa, przypalając jaskrawoczerwony wełniany materiał, pokrywający deskę do prasowania. Przypalone miejsce coraz bardziej ciemnieje, jak

nasze zapomniane kielbaski z podwieczorku, aż wreszcie wyściółka pod spodem zaczyna skwierczeć, a w końcu się zapala. Płomienie odnajdują drewnianą ramę deski do prasowania i przez dłuższy czas nic im więcej nie trzeba do szczęścia, ale w końcu topiący się kabel spada na podłogę, trafia na linoleum, a jeden szczególnie energiczny płomień wystrzela „puuuuh!” i zaczyna się rozprzestrzeniać. Dociera do wesołych zasłon, dobranych kolorem do zwęglonej wełnianej wyściółki - i wtedy już nie ma odwrotu. Ogień łąpczywie pożera wszystko na swojej drodze - nawet tapetę w pomidory, czerwone jak straż pożarna,' oraz w tańczące solniczki i pieprzniczki.

Jednak w końcu i to mu nie wystarcza. Ogień opuszcza kuchnię, wystawiając głowę za drzwi i pokonując korytarzyk do Sklepu, a tam już czeka tyle cudownych rzeczy do zabawy - parafina, trociny oraz szemrzące i szeleszczące odgłosy strachu.

- Ruby! Ruby!

Natychmiast otwieram oczy, ale nie czuję się rozbudzona. Powietrze jest zamglone i Patricia wygląda jak drobna staruszka, spowita w dymny welon. Czuję coś jakby zapach spalonych kielbasek. Wchłonęła nas szara chmura w kształcie królika.

- To koniec świata - mruczę do Patricii.

- Wstawaj, Ruby - mówi z naciskiem. - Wstawaj z łóżka!

- Odwija koce i zaczyna mnie szarpać. Nic nie rozumiem aż do chwili, kiedy Patricia zgina się w pół w ataku kaszlu i wykrztusza:

- Pali się, Ruby, pali się!

Chwiejnym krokiem ruszamy do drzwi. Patricia mówi szeptem:

- Nie jestem pewna, czy uda nam się tędy wyjść - jakby nie chciała, żeby usłyszał nas ogień. Ale ona wcale nie

szepcze - to dym drapie ją w gardle, wywołując chrypkę. Przekonuję się o tym, kiedy sama próbuję coś powiedzieć. Otwieramy drzwi bardzo ostrożnie, jakby krył się za nimi ogień piekielny, ale w korytarzu jest tylko dym, i to nawet nie na tyle gęsty, żeby zasłonić drzwi do sypialni Nell po drugiej stronie. Jednak kiedy próbujemy wyjść, z miejsca zaczynamy się dusić, więc musimy się cofnąć do mojego pokoju, gdzie stoimy wczepione w siebie, walcząc z mdłościami i ciężko dysząc. Jesteśmy jak żywe kominy, a może być jeszcze gorzej, bo czerwony jeździec apokalipsy już galopuje po sklepowych schodach.

Patricia zaczyna ściągać narzuty z łóżka i upycha je pod drzwiami; potem wyrzuca wszystko z komody, a kiedy znajduje nasze szkolne bluzki, zawiązuje nam je wokół twarzy, tak że obie wyglądamy jak samotny jeździec. W innych okolicznościach mogłaby to nawet być niezła zabawa.

„Pomóż mi”, chrypi zza knebla dla wyjętych spod prawa i próbuje podsunąć do góry połówkę okna, ale ono beznadziejnie się zacięło. Zaczynam wpadać w histerię. Rzucam się na kolana, czując przeszywający ból, i zaczynam się modlić do Pana Jezusa, żeby nas ocalił przed śmiercią w płomieniach. Patricia, bardziej praktyczna, chwyta lampkę nocną z Bambim - kiedyś jej, teraz moją - i raz po raz wali nią w okno, póki nie udaje jej się rozbić szyby. Wtedy podnosi sprzed łóżka dywanik, kładzie go na krawędzi stłuczonej szyby (dzięki Bogu, Patricia rzeczywiście uważała na zbiórkach harcerskich) i obie wychylamy się przez okno, łapiąc pełnymi haustami zimne, nocne powietrze. Chyba dopiero wtedy po raz pierwszy uświadamiam sobie, jak bardzo daleko jest do podwórka.

Patricia odwraca się i patrząc na mnie, mówi:

- Wszystko w porządku, zaraz będzie tu straż pożarna - chociaż wie, że żadna z nas w to nie wierzy. Po pierwsze - kto

ich wezwał? Nie słyhać syren strażackich, w uliczce nie ma żadnych odgłosów życia, a po reszcie naszej rodziny pewnie zostało już niewiele więcej niż płonące węgle. Nagle rysy Patricii zniekształca grymas bólu. Opuszcza knebel i chrypi: - Zwierzęta! Przecież ktoś musi im pomóc! - Obie dobrze wiemy, kto to jest ten ktoś (jakoś nie przyszło nam do głowy, że powinniśmy ratować naszą rodzinę).

- Masz - mówi Patricia, wciskając mi w rękę coś, co przy bliższych oględzinach okazuje się Panda. Teddy, którego przeoczyłyśmy, podskakuje na komodzie, rozpaczliwie próbując zwrócić na siebie uwagę. Patricia ześlizguje się z parapetu na rynnę, zupełnie jak Robin Hood, zatrzymując się tylko po to, żeby mi powiedzieć: - Nie ruszaj się stąd! - tonem w prostej linii odziedziczonym po Bunty. Kiedy zsuwa się w dół, w białej dziecięcej piżamce z haftem angielskim, a grzywkę ma nakreconą na dwie gąbkowe rolki, tworzy prawdziwie heroiczną postać. W połowie drogi zatrzymuje się, a ja kiwam ręką, żeby dodać jej otuchy. - Zostań tam, Ruby - woła - niedługo przyjedzie pomoc! Wezwę straż pożarną. - Wierzę jej, Patricii można ufać w sposób, w jaki nigdy nie można było zaufać Gillian. Gdyby to Gillian schodziła teraz po rynnie, zapomnielibyśmy o mnie, ledwo dotknęłyby stopą ziemi. Kiedy Patricia wyczuwa wreszcie pod nogami tak odległy beton podwórza, podnosi rękę, na pół salutując, na pół kiwając, a ja odpowiadam jej, ostentacyjnie unosząc kciuk.

W ciągu kilku minut podwórko przekształca się ze strefy śmierci w oazę bezpieczeństwa. Wszędzie kręcą się strażacy, zmyślni jak mrówki - rozwijają węże i ustawiają drabiny, pokrzykując uspokajająco. Zaraz potem krępy, jowialny strażak wyłania się zza okna jak chomik na drabinie, ze słowami: „Cześć, kotku - zaraz cię stąd zabierzemy”. Przerzuca mnie sobie przez ramię, głową w dół, i już schodzimy na dół. Jestem tak bardzo skupiona na tym, żeby

nie upuścić Teddy'ego (czy naprawdę myślał, że mogłabym o nim zapomnieć?) i Pandy Patricii, że nawet nie zdążyłam podziękować Bogu za nasze ocalenie. Z mojego wspaniałego miejsca widzę - jak z lotu ptaka - że nasze podwórze tętni życiem. Jest tam Patricia i woła do mnie, żeby dodać mi otuchy. Bunty wykrzykuje coś niezrozumiałego, a jej usta tworzą idealne kółko, z którego wylewa się strumień glosolalii. Obok niej stoi George i coś do niej krzyczy (pewnie „zamknij się!”).

Najdziwniejsza jest w tym wszystkim Nell, która chodzi w kółko, w granatowym słomkowym kapeluszu przypominającym czepek Armii Zbawienia, tyle że bez wstążek (krew i ogień!), ze skajową torbą na zakupy w ręku, jakby się właśnie wybierała do sklepu rybnego na Petergate i próbowała się dowiedzieć, czego każdy sobie życzy.

Nagle przychodzi mi do głowy, że skoro wszyscy są tam, w dole, to przez chwilę musiałam być sama w płonącym domu. Na tę myśl odczuwam dreszcz podniecenia. Co za historia! Będzie co opowiadać w przyszłości! Jednak w miarę jak zbliżamy się do Bunty, ten miły dreszczyk ustępuje miejsca poczuciu winy - czy mogłam, sama o tym nie wiedząc, spowodować w jakiś sposób ten pożar (nagle przypominam sobie o nie zgaszonych świeczkach adwentowych)? Czy lunatykująca Ruby mogła nieświadomie podłożyć ogień? Czekam, aż Bunty powie coś w rodzaju: „Mówiłam ci, że masz uważać!”, ale ku memu zdumieniu Bunty w ogóle nic nie mówi, tylko przyciąga mnie do siebie, zamykając w bezpiecznym schronieniu odzianych w szlafrok rąk. Chociaż raz niewidzialna pepowina pomiędzy nami kurczy się i znika, kiedy udaje nam się przerzucić most nad szeroką na trzy stopy przepaścią. Tymczasem jakiś strażak owija szarym kocem Patricię, która wygląda teraz jak indiański wojownik przy (raczej wielkim) ognisku. Patricia

zanosi się histerycznym, niepowstrzymanym płaczem, wydając przy tym jakieś straszliwe odgłosy, po części dlatego, że nawdychała się dymu, a po części dlatego, że na własne oczy widziała cuchnące, zwęglone wnętrze Sklepu i czuła niezapomniany zapach przypiekanej sierści i pierza.

A potem zdarza się cud - mały, czarny piesek wbiega na podwórze, zanosząc się przeraźliwym szczekaniem, a zmięta, przypalona kokarda zwisa mu na szyi. Patricia uwalnia się z objęć koca i biegnie do psa. „Gałgan”, szlocha jak oszalała. „Och, Gałgan” i przytula jego osmalone, okopcone ciało do brudnej piżamy z angielskim haftem. Duchy domowe robią przegląd swoich własnych zwęglonych śmieci - stopionych witraży, szerniałych zbroi, spalonych peruk - i wydają zbiorowe westchnienie ulgi. York był wielokrotnie plądrowany i niszczone przez ogień, więc wcale nie wydają się zaskoczone tym, że musiały przejść przez kolejny pożar.

Tak jak wielki pożar Londynu pomógł oczyścić miasto z wielkiej zarazy, tak wielki pożar Sklepu ze zwierzętami pomógł nam zmyć z siebie śmierć Gillian. Ogień był oczyszczeniem, próbą, z której wyszliśmy zwycięsko i która pozwoliła na pewne zmiany. Z jakiegoś powodu Gillian nie ciążyła już odtąd tak bardzo naszym sumieniom. („Przecież gdyby żyła”, dowodziła Patricia z tą jej pokrętną logiką, „mogłaby zginąć w pożarze, więc i tak by umarła. Prawda?”)

Nasze dni Nad Sklepem dobiegły końca, chociaż tak naprawdę ucierpiał wyłącznie parter, a reszta domu była tylko brudna od sadzy. Mimo to George'owi postawiono ultimatum i już następnego dnia wybrał się do Leeds & Holbeck Building Society, żeby zabezpieczyć hipotekę na miły bliźniaczy domek. Za niespełna kilka tygodni będziemy oglądać nowo otynkowane, świeżo malowane wnętrza Sklepu i patrzeć, jak dostarczają lady i półki na towary, a Walter będzie wypytywać George'a o nowy profil działalności.

- Sprzęt medyczny i chirurgiczny? - zgaduje. George aż tryska przedsiębiorczością i entuzjazmem.

- Pasy przepuklinowe, wózki inwalidzkie, aparaty słuchowe, pończochy elastyczne, laski - i to jeszcze nie koniec, bracie. Będą towary na receptę, szpital będzie nam przysyłał swoich pacjentów, ludzie z ulicy będą przychodzili po takie rzeczy jak plastry i durexy.

- Durexy? - mówi z namysłem Walter. - To niezły pieniądz. Ale dla przyjaciół po cenie hurtowej, co? - I obaj wybuchają męskim śmiechem.

- Co to są durexy? - szepczą do Patricii.

- Później ci powiem - odpowiada również szeptem, ale w sumie nigdy tego nie zrobiła.

Wszystko to melodia przyszłości. Teraz wiosenny świt sączy się przez zasłony, a my z Patricią leżymy na waleta w śmiesznym, pofałdowanym, zapasowym łóżku cici Gładys. (Wygląda na to, że po każdej tragedii musimy spać razem). Wtłoczone między nas śpią szczęśliwym snem pies, panda i miś. To nie do wiary - a może całkiem do uwierzenia - ale George i Buntty zgadzają się, żebyśmy sobie zostawiły Gałgana jako naszego własnego, już niczym nie zagrożonego, najprawdziwszego domowego ulubieńca.

Niebo przecinają czerwone strugi - to krew zwierzaków płynie po firmamencie. Stada chomików zamieniają się w anioły ze skrzydłami w Technicolorze i toczą po niebie kółka. Może w Świecie Ducha albo w niebie - albo dokądkolwiek się udały - może tam Papuga otrzyma dar mowy i będzie wreszcie kochana. Modłę się do skrwawionego, okopconego Baranka, żeby wszyscy w niebie byli szczęśliwi. Jest jeszcze tyle niejasnych spraw, ale jednego możemy być pewne - tego ranka w ramionach Pana Jezusa panuje naprawdę wielki ścisk.

Przypis VII - Zeppelin!

Nell i Lillian stały w drzwiach frontowych i machały Tomowi na pożegnanie. Rachel nie ruszyłaby się z fotela, nawet gdyby trzeba było pożegnać samego Pana Jezusa. Tom był zadowolony, że już nie musi z nią mieszkać. Cieszył się, że ma żonę i swój własny dom. Miał szczęście, że trafił na Mabel - cichą, oddaną istotę, trochę podobną do Nelly. Lillian nigdy nie miała zbyt wiele czasu dla Mabel, dlatego na ogół przychodził odwiedzić siostry sam. Na końcu Lowther Street odwrócił się i zobaczył, że wciąż stoją w progu. Ta para umiała naprawdę wspaniale żegnać, więc zatoczył rękami wielkie półkola, jak ktoś, kto sygnalizuje chorągiewką, żeby i one mogły go zobaczyć.

Siostry obawiały się nalotów zeppelinów, ale Tom nie przypuszczał, żeby ktokolwiek chciał zaatakować York. Z dużą dozą pewności siebie wygłaszał buńczuczne gadki o tym, że szkopy nie mają już odwagi się bić, i uspokajał je, że wojna wkrótce się skończy i tak dalej. Pomógł im umocować story do zaciemnienia, bo bały się, że światło będzie przebijać przez szczeliny. Biedna Minnie Havis stanęła przed sądem za to, że widać było u niej światło, i teraz wstydziła się pokazać ludziom na oczy. Bo to przecież straszny wstyd, zwłaszcza że jej młody mąż był na froncie.

Nell i Lillian dały Tomowi obiad (wątrobę i tłuczone kartofle) i pokazały pocztówkę od Alberta - ziarniste zdjęcie przedwojennego Ypres. Píše, że mają „cudowną pogodę”, przeczytała na głos Lillian, a Tom śmiał się, bo to takie podobne do jego młodszego brata, żeby coś takiego mówić. Czasami podchwytywał spojrzenia Nelly, która patrzyła na niego tak, jakby chciała dać mu do zrozumienia, że uważa go za tchórze, zwłaszcza w porównaniu z Albertem - ale w końcu obie zawsze najbardziej lubiły Alberta. To Albert był ulubieńcem wszystkich (oczywiście poza Rachel) i Tom bywał nawet czasami zazdrosny, ale to nigdy nie trwało długo,

bo nie można było żywić urazy do Alberta, nawet gdyby ktoś bardzo chciał. Jeżeli natomiast chodzi o Jacka Keecha, Tom nie miał już takiej pewności - ten chłopak dla swojego własnego dobra nie powinien być taki bystry, nie nadawał się dla Nell, był zbyt pewny siebie - a tak prawdę mówiąc, był znacznie bardziej w typie Lillian.

On sam był za to tchórzem, tyle wiedział na pewno. Poprzedniego dnia podeszła do niego na ulicy jakaś kobieta i nazwała go „dekownikiem”, a on aż zaczerwienił się ze wstydu. Potem podeszła inna kobieta, bardzo pijana, i powiedziała: „Masz rację, chłopcze, trzymaj się z daleka od tego przeklętego munduru”, a on zrobił się jeszcze bardziej czerwony. Tom wiedział, że ta pierwsza kobieta miała rację - był dekownikiem. Był dekownikiem, bo śmiertelnie przerażała go myśl, że miałby pojechać na front. Kiedy myślał o wojnie, doznawał dziwnego uczucia, jakby skraplały mu się wnętrzności. No i oczywiście nie chciał zostawiać biednej małej Mabel, bo nie wiedział, co bez niego pocnie. Pracodawca Toma był kwakrem, więc wystąpił przed radą i udało mu się załatwić Tomowi zwolnienie, bo oświadczył, że wszyscy urzędnicy wyjechali już na front i on nie poradzi sobie, jeżeli ten ostatni także wyjedzie. Rada dała Tomowi zwolnienie na sześć miesięcy, ale Tom wiedział, że nie ma zbyt wielkich szans na przedłużenie. Może i mógłby stawić się przed nimi i oświadczyć, że jest obdżektorem, ale na to też brak mu było odwagi; całe Groves wiedziało, co się stało z Andrew Brittainem, nauczycielem z Park Grove, który był obdżektorem.

Tom wracał do domu okrężną drogą, bo wieczór był taki piękny. Maj był jego ulubionym miesiącem. Myślał wtedy o tym, że na wsi kwitną głogi. Razem z Mabel często robili rowerowe wycieczki za miasto i Tom opowiadał swojej młodej żonie o swoim dzieciństwie w Dales, a także o swojej

matce. Opowiedział Mabel nawet o tym, jak strasznie się czuł po śmierci matki - coś, o czym nigdy nie rozmawiał z nikim innym. Tom miał fotografię matki - została zrobiona przez wędrownego fotografa, Francuza, tuż przed jej śmiercią. Znalazł ją, razem z innymi, tego ranka, kiedy ojciec powiedział im, że matka nie żyje. Zdjęcia leżały po prostu na stole w kuchni - ojciec był w takim stanie, że nawet ich nie zauważył. Fotografia Alice miała piękną ramkę - całą ze srebra, wyściełaną czerwonym aksamitem, więc Tom zabrał ją i schował pod materacem, bo chciał mieć ten pożegnalny podarunek tylko dla siebie. Jednak później, kiedy wszyscy zjednoczyli się w bólu, tworząc wspólny front przeciwko przerażającej macosze, Tom pokazał fotografię Lawrence'owi i Adzie. Choć bardzo go błagali, prosili i płakali, nie chciał im jej dać. Teraz fotografia stanowiła dumną ozdobę dębowej serwantki we frontowym pokoju. Mabel codziennie odkurzała ją, powtarzając przy tym często: „Biedna kobieta”, a jeśli Tomowi zdarzało się to podsłuchać, odczuwał dziwny ucisk w gardle.

Niebo nad St Saviourgate miało ciemny odcień indygo. Tom siedł zapatrzony, z twarzą zwróconą ku górze, kiedy nagle wydało mu się, że jakiś ułamek nieba - nieco ciemniejszy - oderwał się i sunie nad jego głową. Zaczął mu się przyglądać, zaskoczony, a potem usłyszał głosy innych ludzi i zobaczył, że wszyscy patrzą w górę, podobnie jak on. Ktoś odezwał się zdławionym, przerażonym głosem: „To zeppelin!”, a ktoś inny powiedział: „A niech to cholera!” Kilka kobiet rzuciło się z krzykiem do domów, ale parę osób zostało i wszyscy jak urzeczeni wpatrywali się w zeppelina. Wisiał nad nimi tak tajemniczo, że nikomu nawet nie przyszło do głowy, że mógłby zrzucić bomby. Jednak w chwilę później rozległ się głuchy ŁOMOT. Tom poczuł w całym ciele jakieś wibracje, a kiedy wielka smuga światła zapłonęła na końcu

ulicy, pomyślał o Nell i Lillian, i o ich zasłonach. Potem na sekundę zapadła kompletna cisza i wszystko zamarło w bezruchu - oprócz dymu, kłębiącego się jak chmura. A potem ludzie podnieśli krzyk i lament. Tom zobaczył mężczyznę, któremu brakowało połowy czaszki oraz leżącą na ulicy stopę, która pasowała do drugiej stopy tego człowieka. Jakaś dziewczyna przycupnęła na schodach kaplicy metodystów, skowycząc jak ranne zwierzę. Tom podszedł do niej i próbował ją jakoś pocieszyć. Kiedy nachylił się i zapytał: „Nic się pani nie stało?”, popatrzyła na jego rękę i odsunęła się z krzykiem. Spojrzał w dół i zrozumiał dlaczego - nie miał już ręki, tylko kikut szaroniebieskiej, lśniącej kości i kilka poszarpanych chrząstek. Jakiś żołnierz w mundurze podbiegł do niego i powiedział: „W porządku, chłopcze, chodź ze mną”, i zawiózł go do szpitala na tylnym siedzeniu czyjegoś wozu.

Żołnierz dał mu się napić ze swojej manierki i patrzył na niego zatroskanym wzrokiem. Widział już wielu rannych, ale jeszcze nigdy nie spotkał kogoś, kto by z tego powodu pękał ze śmiechu.

Ręka bolała Toma wręcz niewiarygodnie, jakby była zanurzona w roztopionym metalu, ale on nie zwracał na to uwagi. Teraz już nie wyślą go na front, będzie mógł zostać ze swoją słodką żoneczką, a swoim kikutem będzie mógł wymachiwać przed nosem każdemu, kto ośmieli się nazwać go dekownikiem.

Lillian i Nell siedziały po obu stronach jego szpitalnego łóżka. Nell odgarnęła mu z twarzy wilgotny lok. Przywieziono go do szpitala na Haxby Road - do kantyny zakładów Rowntree zamienionej na szpital dla mężczyzn z frontu - a jego siostry zachowywały się tak, jakby rzeczywiście był rannym żołnierzem. Obie uśmiechały się do niego, a Lillian nachyliła się i pocałowała go. „Biedny Tom”, powiedziała

miętko, a Nell z uśmiechem dodała: „Nasz dzielny brat -
poczekajcie tylko, aż powiem o tym Albertowi”.

Rozdział 8

1963

PIERŚCIENIE SATURNA

Pozostała przy życiu żeńska część rodziny Lennoxów balansuje na granicy dwóch światów - doświadczenia i niewinności. W moim przypadku symbolizuje to egzamin „Jedenastka Plus”, który mam właśnie zdawać i który raz na zawsze zadecyduje o mojej przyszłości. W przypadku Nell to przejście od życia do śmierci, a Buntty może - albo i nie - ulec pokusie niewierności. A Patricia... Patricia przychodzi do mojego pokoju któregoś styczniowego popołudnia, żeby mi z dumą oświadczyć, że chyba „straci cnotę”.

- Mam ci pomóc jej poszukać? - pytam z roztargnieniem, bo niezbyt uważnie słuchałam, co mówiła.

- Nie bądź taka mądra - mówi opryskliwie i hałaśliwie zatraskuje za sobą drzwi. A ponieważ tego samego dnia oblałam egzamin z arytmetyki w próbnej „Jedenastce Plus”, jej uwaga boleśnie trafia w sedno, a ja długo wpatruję się w znieważone drzwi sypialni, rozważając drogi, jakimi może się potoczyć moje życie. Czy pójdę w ślady moich sióstr - tej zmarłej i tej żywej - do żeńskiej Queen Anne Grammar School, czy też zostanę skazana na śmietnik, czyli Beckfield Lane Secondary Modern? Drzwi sypialni udzielają gościny nie tylko mojej przyszłości, ale i nowemu kalendarzowi „Dawna Anglia”, który dostałam na Gwiazdkę od cioci Gladys. Ta dawna Anglia nie jest krajem dobrze znanym naszej rodzinie - strona po stronie, z miesiąca na miesiąc - to kraj chat krytych strzechą, majaczących w oddali kościelnych wież, wozów z sianem i krzepkich mleczarek. To także źródło ciekawych i wielce pożytecznych informacji - jak inaczej mogłabym się dowiedzieć, kiedy jest Dominion Day (Dominion Day - 1 lipca, święto obchodzone w Kanadzie w rocznicę utworzenia

dominium w 1867 roku.)? Albo rocznica bitwy pod Hastings? Gdyby tylko te rzeczy mogły się przydać do „Jedenastki Plus”.

Apatycznie przeglądam poniedziałkowe „Patrz i ucz się”, nie znajdując niczego, na co miałabym ochotę popatrzeć albo czego chciałabym się nauczyć. Chociaż mamy centralne ogrzewanie w tym jasnym i przewiewnym, pokrytym żwirowanym tynkiem bliźniaku, który ma nam zastąpić mroki i cienie Znad Sklepu, Bunty nie zgadza się na włączenie grzejników w sypialniach, bo uważa, że ogrzewane sypialnie są niezdrowe. Patricia zwraca jej uwagę, że hipotermia także jest niezdrowa, ale jak już Bunty raz wbije sobie coś do głowy, nie ma na nią sposobu. W moim pokoju jest tak zimno, że widzę, jak koniuszki palców robią mi się różowe, potem sinieją, a gdybym im się przyglądała jeszcze dłużej, pewnie zrobiłyby się fioletowe i w ogóle by mi odpadły. Nie mam czasu, żeby obserwować to ciekawe zjawisko, bo Patricia wraca i mówi:

- Mogę z tobą porozmawiać czy dalej masz zamiar się wygłupiać? - Biedna Patricia - tak rozpaczliwie potrzebuje powiernicy, że musi się zadowolić mną. Od kilku tygodni interesuje się nią Howard - poważny, tyczkowaty chłopak w okularach z St Peter's, drogiej szkoły prywatnej, której tereny sportowe sąsiadują z boiskiem hokejowym Queen Anne's. Howard tak długo szpiegował i podglądał Patricję na boisku - ona jest psychopatycznie rozstrojoną prawoskrzydłą - aż wreszcie udało mu się namówić ją, tuż przed świętami, żeby się z nim spotkała.

- Postanowiłam zrobić to z nim - mówi, jakby chodziło o wyrwanie zęba, a ja wciąż nie jestem pewna, co to za „to”, bo umknął mi główny temat rozmowy. Ze szczytu schodów, na których nie ma już duchów, Bunty zaczyna krzyczeć na Patricję, ale Patricia nie zwraca na nią najmniejszej uwagi.

Bunty dalej krzyczy, a Patricia dalej ją ignoruje. Która z nich pierwsza da za wygraną?

Bunty.

- Rodzice Howarda wyjeżdżają na weekend - mówi Patricia - więc zrobimy to wtedy. - Siedzi na brzegu mojego łóżka, z niezwykle pogodną miną, a ja ryzykuję pytanie, czy kocha Howarda.

- Coś ty, Ruby! - głośno prychnęła Patricia. - Romantyczna miłość to jakieś niemodne, burżuazyjne konwenanse! (Tego nie mówią nam w „Patrz i ucz się”). - Ale - dodaje niechętnie - wiesz, jak przyjemnie mieć kogoś, kto cię chce?

Kiwam głową ze współczującym zrozumieniem. Tak, to musi być bardzo przyjemne. Celebруем ten rzadki moment intymności, nastawiając moją ostatnią długogrającą płytę, kupioną za bon na świąteczne płyty, Prywatka z Chubbym Checkerem, po czym z powagą ćwiczymy przez chwilę twista, taniec, w którym wcale nie jesteśmy dobre - Patricia jest zbyt sztywna i skrepowana, a ja po prostu ciągle się przewracam - aż w końcu obie padamy z wyczerpania na łóżko, jedna obok drugiej, i kontemplujemy nieskazitelnie czyste drzazgi na moim suficie, tak wyrafinowanie różne od popekanego tynku i wapna Nad Sklepem. Patricia odwraca głowę i mówi: „Pewnie chcesz, żebym cię zabrała jutro do kina?” Pyta o to, jakby robiła mi olbrzymią łaskę, a ja przecież wiem, że tak samo jej się nie pali, jak i mnie, żeby iść i oglądać Młodego Galahada, bo jedną z niewielu rzeczy, jakie nas łączą, jest wspólne uwielbienie dla Elvisa Presleya. A co więcej, jutro, ósmego stycznia, przypadają urodziny Elvisa, rocznica zaznaczona w kalendarzu „Dawna Anglia” konstelacją narysowanych odręcznie, czerwonych serduszek. Patricia zaprasza do Odeonu mnie, a nie Howarda, bo wie, że Howard wyśmiałby z góry na dół naszego bohatera o gołęmbim sercu i w niebieskich zamszowych bucikach.

Odbiera mnie ze szkoły, gdzie właśnie oblałam następny egzamin na niby z arytmetyki, i pociesza pasztecikami z mięsem od Richardsona oraz informacją, że niektórzy spośród największych bohaterów tego świata - Gandhi, Schweitzer, Keats, Budda, Elvis - nigdy nie zdali „Jedenastki Plus”, na co przypominam jej ponuro, że oni po prostu nigdy go nie zdawali. Patricia zdaje w tym roku małą maturę, ale sądząc po ilości czasu, jaką spędza nad książkami (zero), nigdy byście na to nie wpadli.

Młody Galahad podnosi mnie trochę na duchu, a paszteciki z mięsem i gigantyczne pudełko herbatników, którymi częstujemy się w ciemnościach, w pewnym stopniu kompensują nam brak czegokolwiek do jedzenia po powrocie do domu. Bunty ostatnio coś oklapła - z niepokojącą częstotliwością kładzie się do łóżka, bez żadnej widocznej przyczyny ponad tę, że „nie czuje się dobrze”. Zaczęła też wygłaszać dziwne, niekobiece oświadczenia, od których ciocia Babs dostałaby dreszczy. Kiedyś, na przykład, natknęłam się na nią w łazience. Klęcząc na czworakach, z zapalem szorowała miskę klozetową. Byłam też świadkiem, jak wyłamała się z tych medytacji, zdarła gumowe rękawiczki i warknęła: „Nie rozumiem, po co dom potrzebuje gospodyni - to mnie potrzebna jest gosposia!” Strach pomyśleć, co będzie dalej? Może zażąda prawa głosu?

Ponieważ mam zdawać pierwszą część „Jedenastki Plus” w następny wtorek, Bunty bierze się w garść i robi niedzielny obiad (lunch nie dotarł jeszcze na północ) - ostatnią wieczerzę z pieczonym jagnięciem, smażonymi ziemniakami, miętowym sosem i mrożonym groszkiem. Co za wstyd, że nikt nie pomyślał o tym, żeby ugotować groszek! To żart - Patricii, kiedy pyta Bunty, co będzie na obiad, a Bunty recytuje powyższe menu. Ja śmieję się z tego do rozpuku, bo, jak się domyślacie, Patricia niezbyt często żartuje. Prawdę mówiąc,

nigdy nie żartuje, dlatego ja tym głośniejsze się śmieję, bo to byłby straszny wstyd, gdyby Patricia po raz pierwszy zażartowała, a nikt by się nawet nie roześmiał.

Patricia i Bunty piorunują mnie wzrokiem. Mój wybuch dobrego humoru jest całkiem nie na miejscu. Jeżeli chodzi o Patricję - ma u rodziców kreskę, bo wróciła do domu nad ranem, równo z mleczarzem. Prawdopodobnie robiła „to” z Howardem tej nocy. Bunty bierze ją w krzyżowy ogień pytań, szukając dowodów świeżej rozpusty, ale, przynajmniej jak na moje oko, Patricia wygląda dokładnie tak samo jak wczoraj.

- Gdyby mi bodaj na moment przyszło do głowy - mówi Bunty, mieszając wściekle sos na patelni - że ty się...

- Dobrze bawiłaś? - mówi Patricia z hardą miną, która aż prosi się o to, żeby ją zmazać uderzeniem w twarz. Nie pada jednak żaden cios. Natomiast, ku naszemu przerażeniu, Bunty zaczyna się trząść jak na wpół zastygła galareta; nawet sztywne loczki na głowie trzęsą jej się jak błyszcząca obwódka na drucie od wieszaka. Nie przestaje mieszać sosu, udając, że ten przyływ uczuć w ogóle nie miał miejsca. Patricia, głęboko zdziwiona, zapomina się i pyta niepewnie:

- Czy coś ci dolega, mamusiu?

Ten nieoczekiwany objaw współczucia („mamusiu”!) sprawia, że Bunty puszcza nerwy.

- Czy coś mi dolega? - odszczekuje. - Tylko ty. To jedyna rzecz, jaka mi dolega.

A Patricia, pobladłymi z furii ustami, rzuca jej w twarz:

- Ale z ciebie cholerne krówsko! - po czym wybiega z kuchni.

Bunty wciąż miesza drżącą ręką sos, jakby nigdy nic, i nie patrząc na mnie, mówi:

- Rusz się, Ruby, zrób coś pożytecznego i rozłóż talerze. Dopiero kiedy zaczyna podawać polaną masłem fasolę, która wygląda jak embriony, skulone na talerzach z obrazkiem

przedstawiającym żniwa, wreszcie się rozkleja. Wielkie łyży toczą się jej po policzkach jak gruszkowate, kryształowe kropelki, które bezskutecznie próbuję zetrzeć ligninową chusteczką. Kiedy wreszcie zasiadamy do niedzielnego obiadu, sos jest zakrzepły, a groszek z powrotem zmarznięty. Jak na Boga mam we wtorek zdać egzamin z „argumentacji słownej”, skoro mam jej tak mało na co dzień?

Pierwsza część „Jedenastki Plus” wydaje się podejrzanie łatwa. 12:4 ma się tak jak x:7. Także i wypracowanie jest całkiem zabawne: „Wybierz jeden z poniższych tematów:

- (A) Scenka na ruchliwej ulicy. albo
- (B) Wizyta na basenie kąpielowym. albo
- (C) Co byś zrobiła, gdybyś dostała na jeden dzień lampę Aladyna”.

*

Ja wybieram lampę Aladyna, moje odwieczne, ulubione marzenie, i pocieszam się myślą, że wszystko będzie dobrze. Dwa tygodnie później piszę pracę z matematyki. Wychodząc z więziennych czeluści Fishergate School, do której nas spędzono na egzamin, zataczam się z przerażenia. Moje szare komórki czują się tak, jakby przez cały ranek były poddawane torturom, zameęczane pytaniami w rodzaju: „Ile znaczków o wymiarach $1/2$ cala x $3/4$ cala pokryje arkusz papieru o wymiarach 6x8 cali?” oraz „Sklepikarz miesza 4 funty herbaty @ 3 szylingi 6 pensów za funt. Mieszankę sprzedaje @ 5 szylingów za funt. Ile wynosi jego zysk?” Kim ja jestem, żeby znać odpowiedź na te pytania?

- Jak ci poszło? - pyta Patricia, spotykając się ze mną u stóp szkolnych schodów, ale ja jestem zbyt przygnębiona, żeby mówić. Idziemy brzegiem rzeki; jest tak zimno, że Ouze od tygodnia jest zamrznięta i wielkie kry lodowe spływają z prądem.

- To najmroźniejsza zima od 1947 - mówi w rozmarzeniu Patricia. - Nigdy nie widziałam, żeby rzeka tak zamarzła. Ongiś zamarzała prawie każdej zimy, wiedziałaś o tym?

Oczywiście, że nie wiedziałam - przecież ja nic nie wiem.

- Dlaczego ongiś? - pytam, decydując się na pierwszy krok, który ma pogłębić moją wiedzę. - Czemu nie po prostu kiedyś? Albo dawniej?

- Bo ja wiem - mówi Patricia, wzruszając ramionami, a potem, kiedy stoimy, patrząc na zamarzniętą rzekę i kontemplując niegdysiejsze czasy, budzi się we mnie dziwne uczucie - wrażenie czegoś dawno zapomnianego. Ma to coś wspólnego z zimnem i lodem, a także z wodą. Próbuję skoncentrować się na tym uczuciu, ożywić je, ale jak tylko zaczynam to robić, wszystko wylatuje mi z głowy. Podobnego uczucia doznaję czasami, kiedy budzę się z lunatycznego snu z uczuciem, że jest coś niebywale ważnego - coś, co zgubiłam i czego szukałam - coś, co ze mnie wyrwano, a po czym w moim wnętrzu pozostała ziejąca dziura i - i ta właśnie rzecz, cokolwiek by to było, znajduje się dręcząco blisko, niemal w zasięgu ręki, za rogiem, za drzwiami albo gdzieś w szafie. A potem budzę się i nie mam pojęcia, czego szukałam.

- Co ci jest, Ruby? - pyta Patricia, ale naszą uwagę przykuwa pojawienie się pary łabędzi, balansujących żałośnie na ich własnej, prywatnej górze lodowej. Słyszymy, jak rzeka pęka z trzaskiem, i widzimy nasze parujące oddechy, kłębiące się w lodowatym powietrzu.

- A tak właściwie, co ty tu robisz? - pytam po chwili.

- Wagaruję. Myślisz, że tym łabędom nic nie jest?

- Prawdę mówiąc, w każdej chwili bym się z nimi zamieniła - odpowiadam ponuro. - Przynajmniej reszta ich życia nie zależy od tego, czy potrafią robić rachunek pamięciowy.

- A do tego w każdej chwili mogą odlecieć - ze smutkiem potakuje Patricia.

- No i mają siebie - dodaje, kiedy łabędzie mijają nas na swojej lodowej tratwie, a ich nastroszone, wspaniałe skrzydła chronią je przed kłusującym zimnem. Wstrząsa mną dreszcz, od stóp do głowy. - Ta woda wygląda, jakby była strasznie zimna.

- Bo jest - mówi z uczuciem Patricia, a potem przygląda mi się z ukosa, tak jakoś dziwnie, i pyta: - Ruby?

- Mmm?

- Czy pamiętasz... - A potem potrząsa głową i dodaje: - Nic, już nic, chodź. - Jak chcesz, poczekam z tobą na przystanku.

- I podnosi kołnierz, żeby zasłonić się od wiatru.

Moje urodziny zostają wyróżnione przyjęciem, które Bunty wydaje - acz niechętnie - żeby mnie pocieszyć po przejściach związanych z egzaminem z arytmetyki. Przyjęcie nie można określić jako jednoznacznie udane - dziewczynka imieniem Vanessa dostaje gwałtownych torsji po zjedzeniu zbyt wielu kanapek z sardynką, a ktoś inny przewraca lampę stołową podczas pełnej wigoru sesji twista. Za to tort urodzinowy jest naprawdę udany, a co więcej - w ramach precedensu kupiony w sklepie. Dotąd Bunty zawsze sama robiła nasze torty urodzinowe, pełne defektów zatuszowanych kremową masą i poprzebijane świeczkami jak umęczone jeże, ale w tym roku się zbuntowała. W przeciwieństwie do wypieków Bunty, tort z cukierni Terry'ego jest naprawdę wyśmienity - w chrupiącym lukrze, białym jak łabędzi puch, wyrzeźbiono girlandy i fale, po czym udekorowano go delikatnymi, cukrowymi różyczkami. Czy jednak wart jest tego, by George pędził na ostatnią chwilę, w sobotę, żeby go kupić, bluzgając takim słownictwem, że nawet Patricia się zachnęła? Czy jest tego wart, by Bunty znowu „niezbyt dobrze

się poczuła" i krzyczała na Patricię: „Nie jesteś moim dzieckiem!", na co Patricia odpowiada: „Dzięki Bogu" i wychodzi z domu tuż przed tym, jak miała wprowadzić mnie i moich urodzinowych gości w tajniki szarady. Słyszę ją, jak wraca znacznie później tej nocy, tupiąc na schodach, tak że aż Gałgan zaczyna szczekać, a Nell krzyczy coś przez sen. Zostawiłam Patricii na poduszce kawałek urodzinowego tortu, wbrew surowym zapowiedziom Bunty, że już nigdy nie dostanie nic do jedzenia.

Myślę, że gdyby to zależało od Bunty, w ogóle byśmy już więcej nie jedli. „Jestem wykończona", oświadcza znużonym tonem, mocując się z paczkowanym stekiem i puszką wątrobianego pasztetu. Symptodem dalszego spadku formy jest polegiwanie, w omdlewającej pozie Elizabeth Barrett, na pluszowej sofie w saloniku. Bunty mówi, że „ma już dość", ale nie mówi czego. Może George'a. Przeciwwagą dla jej depresji jest wręcz niebywały optymizm Patricii, która utrzymuje, że zawdzięcza go szampańskim uciechom seksu, odkrywanych wspólnie z Howardem. To nowe hobby sprawia, że zapomina o poprawce próbnej matury i oblewa ją bez szans.

Bunty bierze się trochę w garść przed tłustym wtorkiem, który jest dniem „świętowania i radości". (Tak przynajmniej jest napisane w kalendarzu „Dawna Anglia"). Niestety, nie w naszym domu. A w każdym razie nie po tym, jak Bunty ciska piątym naleśnikiem w ścianę, zamiast podrzucić go, a potem zręcznie złapać na patelnię. Naleśnik tkwi przyklejony do ściany przez kilka sekund, a potem lepkiem kleksem opada z wolna na podłogę, jak statysta z filmu science fiction (Zabójcze naleśniki!). To jakiś przerażający symbolizm, zwłaszcza że był to naleśnik George'a.

- No cóż - mówi Patricia, z przyklejonym do twarzy uśmiechem Bunty - ja już się właściwie najadłam, a ty, Ruby?

- Prawie - mruczę i szybko wymykamy się z kuchni, zanim patelnia ze świstem poszybuje w powietrzu ku głowie George'a.

Środa popielcowa zaczyna się w stosownym nastroju skruchy, ale my już wiemy, że to nie potrwa długo. Wielki post jest także początkiem końca Nell - zostaje na dobre przykuta do łóżka po fiasku z naleśnikami i nie wstanie nawet w poniedziałek wielkanocny. Gdzieś tak pośrodku, w czwartą niedzielę wielkiego postu, Bunty zdradza kompletny brak uczuć macierzyńskich i zamyka dom przed Patricią, tak by nie mogła wślizgnąć się jak zwykle o trzeciej nad ranem. Ale Patricia nie daje za wygraną. Stoi na dole, wśród podmiejskiej, nocnej ciszy, i krzyczy: „Przeklęte burżuazyjne świny - jak będzie rewolucja, ty pójdziesz pierwsza pod ścianę, Bunty Lennox!”, czym, rzecz jasna, wywołuje w sąsiedztwie niezłe zamieszanie. Moim zdaniem Patricia dobrze się przy tym bawi i wydaje się niemal urażona, kiedy zrzucam jej mój klucz.

Ja natomiast na dzień przed Wielkim Piątkiem przeżywam traumatyczną wizytę u pana Jeffreya, dentysty, w rezultacie czego tracę trzy wielce hołubione mleczone zęby, których trzymałam się kurczowo tak długo, jak tylko było to możliwe. Może po prostu nie chcę pożegnać się z dzieciństwem. (Choć z drugiej strony, może i chcę). Patricia bardzo wielkodusznie wymienia te trzy zęby na trzy sześciopensówki i zabiera mnie na spotkanie z Howardem w kawiarni „Akropolis”. Trudno uwierzyć, że ten niezdarny, gamoniowaty chłopak, obsypany trądzikiem, jest odpowiedzialny za te bachanalia, z których Patricia zdaje mi sprawozdanie w większość niedzielnych poranków, kiedy leżę w moim nieskalanym łóżku, słuchając „Łatwych rytmów”.

W wielkanocny weekend przeżywamy najazd gości - cała rodzina przychodzi pożegnać się z Nell, która już „dosyć się nażyła”. To przedwczesne czuwanie owocuje również gradem

wielkanocnych czekoladowych jajek. Przychodzi ciocia Gladys z wujkiem Cliffordem i Adrianem, a także ciocia Babs (dzięki Bogu sama) oraz wuj Ted. Adrian jest już całkiem dorosły (ma dwadzieścia lat), ale nadal mieszka z rodzicami. Właśnie zaczął praktykę u fryzjera i okazuje się bardzo pomocny - nakrywa stół do podwieczorku, bierze czajnik i zwraca się do Bunty: „Czy mam nalać herbatę?”, a ona jest wstrząśnięta, bo nikt nigdy nie zaproponował jej, że zamieni się z nią rolami (widać, że ją to kusi). Wuj Ted, stojąc za Adrianem, mruga do George'a, chwyta się pod boki i robi kilka drobnych kroczków. George parska rubasznym śmiechem, ale na pytanie wujka Clifforda: „Co w tym śmiesznego?”, potrząsa bezradnie głową. Adrian przyprowadził swojego psa - zaleknionego, białowłosego teriera, którego Gałgan próbuje rozczłonkować.

Wuj Tom oznajmia całemu towarzystwu, że wreszcie zareczył się ze swoją wieloletnią dziewczyną, Sandrą, na co George mówi: „Wpadka?”, a wszystkie kobiety krzyczą z dezaprobatą: „George!” Przechodząc do bardziej przyziemnych szczegółów, Bunty pyta, kto będzie druhną, a ciocia Babs robi zadowoloną minę, bo jest wielki popyt na bliźniaczki jako druhny. Nawet ja muszę przyznać, że będą pewnie trochę lepszą ozdobą ślubu niż ja i Patricia, bo my, w porównaniu z Daisy i Rose, jesteśmy raczej niezdarne i rozlazłe. One są zbyt zajęte powtórką do matury, żeby mogły przyjść i pożegnać się ze swoją babką. Niedługo skończą szesnaście lat, a ja dawno ich nie widziałam. Patricia kończy siedemnaście lat, a jej ulubione rzeczy to Howard, kampania na rzecz rozbrojenia nuklearnego oraz Beatlesi, którzy szturmem zajęli miejsce po Elvisie w naszych niestałych sercach. (Wszystkie jego lśniące, czarno - białe fotografie sześć na sześć zniknęły ze ściany, i zostały zastąpione radosnym uśmiechem słynnej czwórki). Biedny Elvis. Patricii

udaje się obrazić wszystkich - dwie ciotki, dwóch wujów, kuzyna, a nawet psa - i to w ciągu kwadransa (jeśli pamiętam, wiąże się to z jej propozycją wstąpienia do Partii Komunistycznej), a ja zyskuję w sumie trzy dodatkowe jajka, bo wszyscy są tak oburzeni, że dają mi jajka przeznaczone dla niej. Tylko co to za interes, zyskać trzy jajka, a stracić siostrę?

George oraz wujkowie Ted i Clifford zbierają się wokół kuchennego stołu z przyniesioną przez Teda butelką whisky i pogrążają w ożywionej dyskusji na trzy tematy: a) czy George powinien wybudować na tyłach patio, czy nie; b) widok naszej nowej sąsiadki, pani Roper, karmiącej piersią na werandzie, który prowokuje okrzyki: „A niech to cholera!”, wypowiedziane na poły z zachwytem, na poły z obrzydzeniem; oraz c) najlepsza droga do Scotch Corner.

Wymykam się na górę, żeby uciec przed tymi dorosłymi rozmowami, ale tam, w pokoju Nell, trafiam na jeszcze gorszą scenę. Bunty, ciocia Gladys oraz przykuta do łóżka Nell oglądają upiorny striptiz „tylko dla kobiet”, z ciocią Babs w roli głównej. Poruszając się jak posąg na obrotowej scenie, Babs zwraca się ku swojej widowni, a potem podciąga granatowy sweter i białą bluzkę, odsłaniając - z jednej strony swobodnie zwisającą pełną pierś, a z drugiej - nic, tylko fałdę skóry i bliznę. Bunty i ciocia Gladys wciągają powietrze, otwierając usta jak śnięte ryby, a Nell wydaje cichy jęk. Szybko wychodzę z pokoju. Jeszcze nie wiem, jak się dostaje pierś, a co dopiero jak się je traci. Siedzę na schodach, wpychając czekoladowe guziczki z mojego wielkanocnego jajka w puste dziury po zębach, aż w końcu, przyciśnięta nuda, idę poszukać Patricii, żeby jej potajemnie oddać wielkanocne jajka, które jej się sprawiedliwie należą.

Nasi nowi sąsiedzi to pan Roper, pani Roper oraz ich dzieci: Christine, Kenneth i mały David. Pan Roper - Clive - jest byłym dowódcą eskadry RAF - u i dostał teraz pracę na

jakimś kierowniczym stanowisku w Kolejach Brytyjskich. To dokładnie ten rodzaj mężczyzny, o którym moja matka zawsze marzyła. I rzeczywiście, przez kilka tygodni po tym, jak Roperowie wprowadzili się na Nowy Rok, Bunty jest w fazie przygnębienia i wciąż sypie gradem komentarzy w rodzaju: „Czemu nie możesz być bardziej podobny do Clive'a Ropera?” Uwagi te kończą się wraz z poprawą jej stanu, gdzieś tak koło Zielonych Świątek, kiedy Bunty już nie chce, żeby George był bardziej podobny do pana Ropera, bo flirtuje z oryginałem.

Moja przyjaźń z Christine Roper opiera się wyłącznie na bliskości - nie ma od niej ucieczki. Jest starsza ode mnie o rok i wyjątkowo apodyktyczna. W pewnym sensie jest nawet bardziej podobna do Gillian niż sama Gillian, z jednym tylko wyjątkiem - jest bardzo brzydka, a Gillian była ładna (choć skłonna jestem to przyznać dopiero teraz, kiedy już nie żyje). Kenneth, młodszy ode mnie o dwa lata, to synteza wszystkich małych chłopców, jacy kiedykolwiek istnieli, coś w rodzaju pokazowego modelu - od opadających skarpetek po wyssaną do połowy mordoklejkę w kieszeni. Jest irytujący, ale nieszkodliwy. W przeciwieństwie do małego Davida, któremu cieknie z każdego otworu i zawsze jest czerwony na twarzy albo od krzyku, albo od tego, że robi „gruby interes” - żeby się posłużyć nieelegancką frazeologią pani Roper. Pani Roper (Harriett) to całkiem inny typ niż moja matka. Bardziej przypomina dowódcę eskadry niż jej mąż - duża, koścista kobieta, otoczona aurą pewności siebie - bardzo hałaśliwa i bardzo angielska. Człowiek spodziewa się, że będzie buszowała po swoim wyjątkowo zapuszczonym domu, żeby zaprezentować kij hokejowy albo szpicrutę raczej niż niesympatycznego dzidziusia, Davida, albo jego akcesorium, nabrzmiałą pierś, pulsującą błękitnymi żyłkami jak trójwymiarowa mapa delty Nilu.

Widok ten napawa mnie odrazą, a zarazem fascynuje. Przed panią Roper nie widziałam nigdy osoby karmiącej piersią (nie jesteśmy tego rodzaju rodziną). To także niefortunny kontrast z pozbawioną teraz już wszystkiego klatką piersiową cioci Babs. Bledsza niż prześcieradło na jej łóżku ciocia Babs leży u świętego Jakuba w Leeds, dokąd jedziemy z Bunty którejś soboty na tani bilet powrotny, a Patricia zostaje w domu, żeby pościć za Indie.

To zdarzyło się wkrótce po tym, jak po raz pierwszy zobaczyłam Bunty z panem Roperem. Byłyśmy z Bunty w objazdowym sklepie i zaczęłyśmy się między mlecznymi puddingami w puszkach, wahając się między ryżem a semoliną, kiedy na plac boju wkroczył pan Roper, rozglądając się za proszkiem do prania - nowy mężczyzna, wyprzedzający swoje czasy. „No, no, kogo ja widzę!”, zwrócił się do mojej matki. Był elegancko ubrany - miał na sobie spodnie z diagonalu do konnej jazdy, sportową marynarkę w pepitkę i jedwabny fular. Bunty wręczyła mi portmonetkę, żebym poszła zapłacić za nasze zakupy i żeby ona mogła w tym czasie zostać usidlona przez pana Ropera w tyle ciężarówki. Recytując kierowcy nasz numer, widzę w szybie odbicie pana Ropera. Szarmanckim gestem ofiarowuje Bunty jeden z tych czerwonych plastikowych tulipanów, które dodają do każdej paczki proszku do prania.

Byłam tam i możecie mi wierzyć, osoba, która wzięła ten kwiatek od pana Ropera, to nie była moja matka; tamta rozchichotana kobieta to była sama esencja dziewczęcej słodyczy - czarująca, zalotna, ożywiona, coś jakby Debbie Reynolds, zanim rzucił ją Eddie Fisher.

Boję się o moją matkę. Wkracza na mroczne, niezbadane przestrzenie, gdzie nieoczekiwanie spadają deszcze meteorów, a pierścienie Saturna są, jak wiemy, zabójcze.

Wkrótce potem, pod koniec czerwca, zdarza się cud - George i Bunty dostają list, informujący ich o tym, że zostałam przyjęta do Queen Anne Grammar School. Też coś, jakby to powiedział wujek Ted. Patricia za to ma przerażające wyniki z niektórych przedmiotów. To dlatego, że z większości egzaminów wyszła wcześniej. (Zapytana przez rozwścieczoną Bunty dlaczego, wzrusza tylko ramionami i mówi: „A bo ja wiem”).

Jako namiastkę letnich wakacji, których w tym roku nie będziemy mieć z powodu zbliżającej się nieubłaganej śmierci Nell, Patricia zabiera mnie i Kathleen na film. Patricia nie jest fanką Cliffa Richarda. Ostatnio przyszła do domu, trzymając w górze mały krążek, czterdziestkę piątkę, w pomarańczowo - białe paski. „The Rolling Stones!” mówi, z dzikim błyskiem w oku. Trzeba było użyć podstępów, żeby Christine nie dowiedziała się o naszej wyprawie; ona próbuje wbić się klinem między mnie i Kathleen i wciąż obawiam się, że wskoczy między nas i wszystko popsuje. Zupełnie niepotrzebnie. Howard sam robi to całkiem niezłe, szydząc radośnie z Cliffa, Uny, Melvyna i całej tej paczki. „Dziecinada!”, komentuje na cały głos, a potem zaczyna robić jakieś dziwne, biologiczne rzeczy z Patricia, a my tymczasem smętnie brniemy przez pudełko miętowych pastylek. To przez nich musimy siedzieć w ostatnim rzędzie, skąd nie widać dobrze ekranu.

Wkrótce potem umiera Nell. Leży w łóżku jak cień, a jej ostatnie słowa skierowane do mnie brzmią: „Uważaj na buty, Lilly!” (zobacz Przypis VIII). Natomiast jej absolutnie ostatnim słowem (powtórzonym przez Patricję, która, przez czysty przypadek, jako jedyna była w pokoju, kiedy Nell umarła) również brak pewnej jasności. „Pomóc pani przygotować podwieczorek dla Percy'ego, pani Sievewright?” Idziemy odwiedzić Nell w salonie pogrzebowym. Salon

pogrzebowy jest inny, niż to sobie wyobrażałam. Spodziewałam się czegoś bardziej przerażającego, bardziej mistycznego, jak kościół Świętego Wilfreda - ciemności, kadzideł, organów - zamiast jasno oświetlonego tableau z cytrynowymi ścianami, czerwonobrazowymi kotarami i żardinierami pełnymi plastikowych kwiatów, wyglądających tak, jakby były dodawane do każdej paczki proszku. Kathleen, którą wzięliśmy ze sobą, rozgląda się podejrzliwie. „A gdzie świece?”, szepce ze zdumieniem. Kto oświetli biednej Nell jej podróż w krainę ciemności?

Patricia ma straszny katar i zaczerwienione oczy, ale nie sędzę, żeby płakała po Nell. Nasza babka sprawia wrażenie równie nieżywej jak w ostatnich tygodniach życia. Może tylko ma bardziej pożółkłą skórę i zdradza pewne podobieństwo do żółwia Christine Roper. Bardzo mi jej żal, ale mam też straszne wyrzuty sumienia, że nie odczuwam druzgocącego bólu, tak jak wtedy, kiedy zginęły nasze zwierzaki.

Ceremonia oględzin babki przebiega bez pośpiechu - pierwszy rząd, żadnych miętowych cukierków. „Macie już dość?”, pyta po chwili Bunty, a my przyznajemy, że tak. Kiedy już jesteśmy w drzwiach, Bunty odwraca się, żeby popatrzeć na Nell, i po chwili mówi: „To była jednak moja matka”, a mnie włoski jeżą się na karku, podobnie jak June Allyson w Historii Glenna Millera w telewizji, w ubiegłą niedzielę, bo z proroczą pewnością przeczuwam, że któregoś dnia powiem dokładnie to samo.

Lato przewala się jak prawdziwy bezmiar nudy, a przerywnikami są jedynie dni zabawy z Christine. Pani Roper zawsze prosi, żebyśmy popilnowały małego Davida, a my spędzamy dość dużo czasu, próbując go zgubić. Najbardziej lubimy bawić się z nim w chowanego. Chowamy go gdzieś - pod żywopłotem w ogrodzie albo w szopie Roperów, a potem idziemy szukać czegoś innego - na przykład Gałgana albo

zółwia. Pewnego pamiętnego dnia (zaznaczonego w moim kalendarzu jako „Rocznica bitwy pod Trafalga - rem”) w ogóle zapominamy, gdzie go zostawiłyśmy. Gdyby nie Gałgan, mały David mógłby po dziś dzień tkwić w szafce na bieliznę.

Któregoś gorącego, sennego dnia, w środku sierpnia, wchodzę do garażu, szukając czegoś - piłeczki, psa, małego Davida - kto wie czego? Tymczasem znowu zastaję tam Bunty z panem Roperem. Tego dnia, w garażu, patrzę i bez wątpienia uczę się czegoś - na przykład niezwyklej różnorodności bielizny, którą normalnie Bunty ukrywa przed naszym wzrokiem. Miga mi coś paskudnego, wystającego z kawaleryjskich diagonali pana Ropera. Może Bunty znalazła wreszcie instrument swojego męczeństwa? Można by tak pomyśleć, sądząc po jej minie. Pan Roper - zajęty na całego - dostrzega mnie nagle kątem oka i lunatyczny wyraz jego twarzy przechodzi w niedowierzanie. „No, no”, dyszy bez tchu, „kogo ja widzę” - a ja bez słowa wycofuję się z miejsca zbrodni.

Być może George niejasno zdaje sobie sprawę, że traci żonę dla innego mężczyzny, i dlatego postanawia przywabić ją z powrotem za pomocą egzotycznej wyprawy do odległego miejsca - chińskiej restauracji w Goodramgate. To jego pierwszy błąd, bo Bunty nie lubi zagranicznej kuchni. Prawdę mówiąc, nigdy nie próbowała żadnej zagranicznej kuchni, mimo to wie, że jej nie lubi. Jego drugi błąd polega na tym, że zaprasza również mnie i Patricię.

- No tak - mówi Bunty, siadając przy stoliku i wbijając wzrok w czerwony obrus - tu jest zupełnie inaczej.

Czerwone lampiony ze złotymi frędzlami zwisają pod sufitem, tam gdzie powinny być normalne lampy. Wskazuję je Patricii, a ona uśmiecha się do mnie pobłaźliwie. Wysokie tony muzyki wschodu pobrzękują jękliwie w tle.

- To miejsce jest urządzone jak wiesz co - mówi Bunty, skubiąc podejrzliwie krewetkowy placuszek. Wyławia kwiatek ze swojej porcelanowej filiżanki z jaśminową herbata i przygląda mu się krytycznie w przyćmionym, szkarłatnym świetle.

George zamawia dla nas „Trzydaniowy posiłek na cztery osoby” - koktajl krewetkowy, wołowinę z ryżem, kurczaka w jarzynach i na koniec egzotyczne owoce z puszki i kawę.

- Byłeś tu już wcześniej! - mówi Bunty oskarżycielskim tonem, a George odpowiada ze śmiechem:

- Nie bądź głupia. - Ale to oczywiste, że był, bo kelner mruga do niego ukradkiem.

Pragnąc zabawić Bunty, George wyciąga cały zapas pogaduszek z repertuaru sklepikarza („No i jak ci się podoba ta pogoda. Zapłacimy za te upały, co?”), ale ona nie daje się uwieść.

- Ile to jeszcze potrwa? - niecierpliwi się po dziesięciu sekundach. Przynoszą koktajl krewetkowy (więcej sałaty niż krewetek) - prawdę mówiąc, trudno w ogóle doszukać się krewetek w gęstwinie liści.

- Znalazłam jedną! - obwieszczam triumfalnie. - Znalazłam krewetkę!

A George mówi:

- Nie bądź taka mądra, Ruby.

Patricia liczy swoje krewetki, układając je na brzegu talerza jak tłuste, różowe przecinki.

- Czy to aby na pewno krewetki? - pyta, dźgając je wykałaczką jak sumienny morski biolog.

- Ach, na miłość boską! - mówi George. - Czy to ma jakieś znaczenie?

- Owszem, ma, jeżeli jest się krewetką, która chce się rozmnożyć - mówi łagodnie Patricia, a Bunty szybko wtrąca:

- Nie życzę sobie takich rozmów. Dziękuję, Patricio, właśnie tego można się po tobie spodziewać.

Przynoszą następne danie.

- Pałeczki ! - mówię podekscytowana, kręcąc nimi przed nosem Patricii, a ona odtrąca mnie serwetką.

- Chyba nie myślisz, że będę tym jadła? - mówi Bunty, patrząc ze zdumieniem na George'a.

- Czemu nie? Robią tak miliony Chińczyków - odpowiada George i nieudolnie naśladowując nożyczki, sięga po kawałek wołowiny. Kto by powiedział, że taki z niego kosmopolita? Bunty podnosi z talerza wiotki pęd fasoli.

- Co to ma być?

- Może byśmy wreszcie zaczęli jeść? - pyta Patricia. Wygląda niepokojąco, jest jeszcze bledsza niż zazwyczaj i dość rozdrażniona, jakby nie mogła spokojnie usiedzieć na krześle. Bładość jej skóry zaczyna się dramatycznie zmieniać, przechodząc w ognisty, krewetkowy róż i - właśnie kiedy Bunty podnosi kawałek wieprzowiny i pyta: - Jak myślicie, jaki smak ma mięso psa? Jak to? - Patricia zaczyna się trząść, z ciemnoczerwonej robi się śnieżnobiała, a potem niezdarnie wali się z krzesła.

- No, przynajmniej teraz wiesz, na co masz uczulenie - pocieszam ją, kiedy leży uziemiona na wysokim, szpitalnym łóżku.

- Na krewetki - przypomina mi i częstuje mnie owocową gumą do żucia.

Potem przychodzi szalony tydzień kupowania mundurków, bo Bunty uświadamia sobie, że przed rozpoczęciem nowego semestru muszę być wyposażona od stóp do głów. Z Queen Anne dostałyśmy listę, która jest dość przerażająca nie tylko z powodu oszałamiającej liczby tych części garderoby, których będę jakoby potrzebowała, żeby móc uczęszczać do tej szkoły, ale również z powodu

kategorycznego tonu tej listy. Duże litery i liczne podkreślenia mają być ostrzeżeniem dla niedbałych rodziców. Na przykład - „Granatowa spódniczka, plisowana lub z klinów, NIE PROSTA, z kieszeniami, albo granatowa tunika z kieszenią”, chociaż to wcale nie wyjaśnia, dlaczego naszym moralnym obowiązkiem jest unikać prostych spódnic. Konfiguracje butów są również wyraźnie sprecyzowane - buty noszone w szkole, na przykład, powinny być „raczej na gumowej podeszwie i płaskim obcasie. (Buty bez pięt i sandały bez palców NIE są dozwolone). Zalecany jest typ sandałów od Clarke'a”. To dziwne, ale ta lista ma niewiele wspólnego z tym, co nosi Patricia, która często wychodzi z domu w zakazanej prostej spódniczce i butach bez pięt, niewątpliwie potwierdzając tym samym swoje moralne zaniedbania. Ale to nie dla mnie, więc Bunty i ja wleczeni się od Isaaca Waltona do Mrs Matterson, a potem do Southcotta w nie kończących się poszukiwaniach „granatowych plisowanych szortów gimnastycznych zalecanego wzoru do gier sportowych”.

Nie wiem dlaczego - pewnie z powodu świeżo przez nią odkrytej miłosnej kokieterii - ale są to jedne z najprzyjemniejszych chwil, jakie kiedykolwiek spędziłyśmy razem z Bunty. W przerwach między zdobywaniem kolejnych części mundurka odpoczywamy w kawiarniach z naszymi wielkimi papierowymi torbami. Bunty zrzuca buty pod stołem „U Betty”, pochłania olbrzymi koszyk truskawek z bezami i wydaje się prawie szczęśliwa.

W szkole czuję się jak ryba w wodzie - rygory pięćdziesięciminutowych lekcji, zdyscyplinowana kolejka po obiad, drobne zgrupowania i przegrupowania nowych przyjaźni - wszystko to jest jak wyzwolenie po ciągłym melodramacie życia rodzinnego. Tylko jedna rzecz mnie peszy - wszyscy nauczyciele po wyczytaniu mojego nazwiska podnoszą wzrok, lekko zaniepokojeni, i pytają „Siostra

Patricii?", jakby to im się nie mieściło w głowie, że Patricia może mieć jakąś rodzinę. Na szczęście nikt już chyba nie pamięta Gillian.

Patricia, pomimo złych wyników na egzaminach, jest teraz stałym gościem pokoju rekreacyjnego dla szóstej klasy i rzadko spotykam ją na spatynowanych, dębowych korytarzach. Kiedy to się zdarza, kompletnie mnie ignoruje, co jest raczej irytujące, zwłaszcza że inne dziewczynki ze starszych klas, które też mają młodsze siostry w szkole, robią wokół nich wiele hałasu i popisują się nimi przed koleżankami, jakby to były ich ulubione zwierzątka.

Czas posuwa się truchtem, cwałem, a w końcu galopem ku końcowi semestru, a ja ciężko pracuję, wykonując konturowe mapy i diagramy rzymskich systemów centralnego ogrzewania oraz pisząc zdania po francusku - w obcym języku ! Nauczycielka francuskiego mówi, że jestem urodzoną lingwistką, a ja ćwiczę ten nowy, cudowny język francuski przy każdej okazji. Je m'a - pelle Ruby. Je suis une pierre precieuse (Je m'appelle Ruby. Je suis une pierre precieuse (franc.) - Nazywam się Ruby. Jestem drogocennym kamieniem.). Czasami Patricia daje się ubłagać i konwersuje ze mną, ale to wpędza Bunty w paranoję, bo myśli, że ją obgadujemy. Notre mère, zauważa ze słodyczą Patricia, est une vache, n'est - ce pas? (Noire mère est une vache, n'est - ce pas? (franc.) - Nasza matka to krowa, prawda?)

Kiedy podają wiadomość, że Kennedy został zastrzelony, jestem jedyną osobą, która nadal siedzi przy stole w jadalni. Słucham komunikatów w radio, żeby odciąć się od tego, że (w kolejności zniknięcia) Patricia, Bunty, a potem George odeszli nagle od stołu w trakcie awantury, która osiągnęła takie proporcje, że w porównaniu z nią wszystko, co wydarzyło się w Teksasie, wydaje się błahostką. Incydent spowodowała paczuszka prezerwatyw, znaleziona w kieszeni blezera

Patricii, nie strzeżonej - że tak powiem - przez sfinksa, zdobiącego odznakę szkoły Queen Anne wraz z jej zachęcającym mottem Quod potui perfeci (Quod potui perfeci (łac.) - Zrobiłem, co mogłem.).

Później spędzam dużo czasu na doskonaleniu mojego twista przed zabawą na półroczu, tradycyjnie wydawaną dla pierwszaków przez szóstą klasę. Patricia, która nigdy nie przepadała za zabawami, w ogóle się nie pojawia, za to mnie spotyka ten zaszczyt, że zostaję wybrana przez Prymuskę, żeby wraz z nią poprowadzić pełen werwy taniec szkocki. Po kanapkach i galaretkach rozgrywamy kilka gier, łącznie z „muzykalnymi kolanami” (rodzaj gry, w której, jak sądzę, dobra byłaby pani Roper i moja matka), a potem tańczymy przy muzyce pop, ale niestety nie twista, w miejsce którego wszyscy wykonują jakieś bezładne, bezkształtne tańce, powłócząc chaotycznie nogami i chwytając rękami niewidzialne liny.

Ale to nie ma żadnego znaczenia. Dostaję wspaniałe świadectwo na półroczu - „Ruby dobrze się uczy i to prawdziwa przyjemność mieć ją w swojej klasie” - którym wymachuję najpierw przed nosem Bunty, potem przed George'em, a w końcu przed Patricia, ale nikt nie zdradza najmniejszego zainteresowania, nawet kiedy przyklejam je skoczem na drzwiach mojej sypialni.

Koniec roku przechodzi w strefę zmierzchu, gdy w sylwestrowy wieczór przybywają świeżo osierocone Daisy i Rose. Śpią w wolnym teraz łóżku Nell i jakoś nie widać, żeby płakały. Ciocia Babs - mam nadzieję, że udało jej się połączyć z brakującymi częściami ciała - z pewnością przesłała bliźniaczkom wiadomość ze Świata Ducha, ale nawet jeżeli tak było, nigdy się z tym nie zdradziły. Bunty bez końca powtarza, jakie one są dobrze wychowane, ale według mnie chodzi jej o to, że one w ogóle się nie odzywają.

Kładę się do łóżka i zasypiam na długo przed dzwonami, ale tuż przed północą budzi mnie Patricia, pijana, lecz chętna, by powspominać miniony rok. Przyniosła ze sobą prawie pustą butelkę Bristol Cream Sherry, z której od czasu do czasu pociąga łyk. Ja odmawiam. Planowała powitać Nowy Rok na Knavesmire, na tylnym siedzeniu starego zephyra Howarda, ale już ze sobą zerwali.

- On postanowił zostać księgowym - mówi, a jej słowa to jakiś alkoholowy bełkot. Z wyrazem obrzydzenia na twarzy próbuje zapalić papierosa.

- A kim ty chcesz zostać, Patricio? - pytam ostrożnie. Patricia wydmuchuje w zadumie smugę dymu i strąca popiół gdzie popadnie.

- A bo ja wiem - mówi wreszcie, a po chwili dodaje: - myślę, że chciałabym być po prostu szczęśliwa.

Ze wszystkich ambicji Patricii ta akurat wydaje mi się najbardziej zaskakująca.

- No cóż - mówię jej, kiedy najbliższe dzwony kościelne zaczynają witać rok 1964 - gdybym miała przez jeden dzień lampę Aladyna, Patricio, tak by właśnie było. - Ale kiedy jej się bliżej przyjrzałam, widzę, że zasnęła, więc wyjmuję jej z ręki zapalonego papierosa i gaszę go na ostatnim obrazku z kalendarza „Dawna Anglia” - na ładnej, oszalowanej i krytej strzechą chatce, z różami wokół drzwi i wijącym się sinym dymem.

Przypis VIII - Nowe buty

Koniec wojny burskiej! Przez cały dzień ulice pełne były rozradowanych tłumów, przeżywających tę wspaniałą wiadomość. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności do St George's Hill zawitał właśnie wielki jarmark objazdowy, więc Lillian i Nell miały nadzieję, że zwiedzą jego oświetlone gazowymi lampami stoiska i doświadczą miłego dreszczyku,

jaki daje przebywanie w tłumie z tak patriotycznej okazji. Albert wybrał się na ryby ze swoim kumplem Frankiem, a Tom wyprowadził się już z domu i wynajął mieszkanie na Monkgate. Lillian miała piętnaście lat, a Nelly czternaście i obie już pracowały. Lillian była w zakładach cukierniczych Rowntree, w dziale pakowaczek. Kiedy skończyła szkołę, Rachel kazała jej iść na służbę, ale któregoś ranka Lillian stanęła w kuchni ze skrzyżowanymi rękami i dumnie uniesionym podbródkiem i oświadczyła, że nie ma zamiaru być niczyją kuchcią. Nell co noc modliła się, żeby jej siostra szybko znalazła inną pracę, bo rozpaczliwie potrzebowały nowych butów, a Rachel powiedziała, że nie dostaną ich, póki Lillian znowu nie przyniesie pensji. Ich stare buty były już tak doszczętnie zdarte, że można było wyczuć chodnik przez pończochy.

Nell nie zarabiała prawie nic; praktykowała u modystki na Coney Street. Obie z Lillian musiały co tydzień oddawać Rachel swoją pensję co do grosza, a ona, zrzedząc, wydzielala im kilka miedziaków. A jednak dostały nowe buty, zanim Lillian znalazła pracę, bo Lillian była tak rozgoryczona stanem ich obuwia, że wyszła któregoś dnia na bosaka, a Rachel, z twarzą czerwoną z furii, powodowana wstydem, dała im w końcu pieniądze.

- Możemy pójść na jarmark po podwieczorku? - Oczywiście to Lillian zadała pytanie. Nell była tak bojaźliwa, że Lillian zawsze za nią mówiła, jeśli oczywiście było to możliwe. Ale Rachel wciąż patrzyła przez Lillian, jakby nie dosłyszała pytania.

- Powiedz „proszę” - szepnęła siostrze do ucha Nell.

- Proszę, czy możemy pójść na jarmark po podwieczorku?

- krzywiąc się, zapytała Lillian.

- Nie.

- Czemu nie?

- Bo nie - powiedziała Rachel, patrząc to na jedną, to na drugą, jak na idiotki. A potem sięgnęła po stos czystej bielizny i wyszła z kuchni. Lillian wzięła ze stołu drewnianą łyżkę i cisnęła nią w znikające plecy Rachel. Odplacając pięknym za nadobne, Rachel poczekała, aż obie znalazły się w swoim pokoju, a potem zamknęła je na klucz.

Nell i Lillian siedziały na podłodze w sypialni, sznurując nowe buciki. Buty były z miękkiej, czarnej skóry - najdroższe, jakie kiedykolwiek dostały.

- Ona się o wszystkim dowie - powiedziała Nell, patrząc na ich nieodrapane noski.

- Co mnie to obchodzi - powiedziała Lillian, podskakując i uchylając okno. Mieszkały jeszcze w domu na Walmgate, w ciasnym mieszkanku na piętrze, nad zaniedbanym podwórzem. Podwórko pod oknami ich sypialni było przesiąknięte wilgocią i śmierdziało rynsztokiem, a kamienne płyty pokrywał śliski zielony mech. Ale na środku, przez wielką szczelinę między kamieniami, zapuścił przed laty korzenie krzak bzu, którego nasionko przywiał wiatr z jakiegoś miejskiego ogrodu przy długiej, ciemnej Walmgate. Korę miał szorstką i splekaną, jakby ktoś zadrapał jego pień wielkim widelcem, za to kiście kwiatów były bujne i ciężkie, jak u każdego innego drzewa w jakimś bardziej eleganckim miejscu. Zeszłego roku Lillian sięgnęła przez okno, ułamała wielką gałąź i włożyła ją do starego dzbanka w sypialni, a upojny zapach bzu cieszył je przez całe tygodnie.

Nell uczesała Lillian i zawiązała jej wstążki, a potem Lillian wyszczotkowała jej włosy.

- Jestem pewna, że gałęzie załamią się pod naszym ciężarem - syknęła Nell, kiedy Lillian przerzuciła nogę przez parapet.

- Nie marudź, Nelly - szepnęła Lillian. Jedną ręką uczepiła się gałęzi, zamachnęła się i chwyciła pień.

- Uważaj na buty, Lily! - syknęła Nell, kiedy Lillian zsuwała się w dół.

Będąc już na dole, Lillian powiedziała:

- To łatwe, Nell, chodź!

Nell siedziała już wychylona na parapecie, ale potem się cofnęła. Zawsze bała się wysokości i teraz, kiedy spojrzała w dół, zrobiło jej się słabo. Prawdę mówiąc, powstrzymywał ją nie tyle lęk wysokości, ile strach przed gniewem Rachel. Co będzie, kiedy się dowie, że wymknęły się z domu, chociaż im tego otwarcie zabroniła? Potrząsnęła bezradnie głową.

- Nie idę, Lily.

Lillian długo namawiała ją i błagała, lecz na próżno, aż w końcu ze złością powiedziała:

- Ale z ciebie tchórz, Nelly! Ja w każdym razie idę! - i wymaszerowała z podwórka, nawet się nie odwracając.

Nell stała przez dłuższy czas w otwartym oknie. Głosy ludzi świętujących zakończenie wojny docierały na podwórko wraz z łagodnym, majowym powietrzem. Łzy Nell zdażyły już dawno obeschnąć, niebo zrobiło się ciemnogrnatowe i pierwsza gwiazda zgasła, zanim wreszcie wróciła Lillian. Miała przekrzywione wstążki, obdrapane buty i triumfalny uśmiech na twarzy.

Nell otworzyła okno i pomogła jej przejść przez parapet. Lillian wyjęła z kieszeni papierową torebkę toffi i podzieliła się z Nell.

- Było naprawdę cudownie, Nell - powiedziała, a oczy jej załśniły.

W nocy zerwał się wiatr i zaczęło padać. Nell obudziło stukanie gałęzi bzu o okno sypialni. Leżała w ciemności, z szeroko otwartymi oczami, słuchając spokojnego oddechu Lillian. Chciałaby być bardziej podobna do Lillian. Deszcz i stukanie stawały się coraz głośniejsze, a wiatr przybierał na

sile i Nell pomyślała, że chyba już nigdy nie uda jej się zasnąć.

Rozdział 9

1964

WAKACJE!

Wyjeżdżamy! Nie po to, żeby oglądać czarownika, tylko na wakacje.

- Jedziemy! - mówię z entuzjazmem do Patricii.

- Zamknij się, Ruby!

Zamknij się, Ruby, zamknij się, Ruby. Można by pomyśleć, że w świecie według Patricii tak się naprawdę nazywam. Patricia zajęta jest rysowaniem obscenicznych, anatomicznych wykresów na zaparowanych szybach samochodu. Jest zimno i mokro zarówno w środku, jak i na zewnątrz - sytuacja pogodowa, którą można uznać za nie najlepszy omen na czekające nas wakacje. Lata samoobsługi (Bridlington, Whitby) mamy już za sobą. Przed nami egzotyczne cele podróży - na początek Sitges i Walia Północna, aż po możliwie najbardziej zagraniczną lokalizację - Szkocję!

Co więcej, podróżujemy w konwoju - albo przynajmniej w tandemie - i oto tam, na czele karawany z dwóch wielbłądów, jedzie niebieski ford consul classic naszych przyjaciół i sąsiadów, państwa Roperów. Z Bunty byłaby niezła pokerzystka, sądząc po pokerowej minie, jaką przybiera, kiedy George podsuwa jej ten pomysł, po „pogawędce” z panem Roperem, odbytej ponad umocnieniami z żywopłotu, oddzielającymi nasze podmiejskie twierdze. Jesteśmy właśnie zajęte ładowaniem do tosterka całego asortymentu wypieków - placuszków, paluszków, herbatników i tak dalej - kiedy George wkracza z ogrodu, rozsiewając wszędzie kupki błota, i mówi:

- Przed chwilą rozmawiałem z Clive'em. Co ty na to, żebyśmy się wybrali w tym roku na wakacje z Roperami?

Bunty w mgnieniu oka przykleja sobie swój słynny uśmiech i mówi:

- Z Roperami? - a herbatnik, z dramatyczną synchronizacją, wyskakuje z tosterka.

- Z Roperami? - wtóruję jej z przerażeniem, podskakując, żeby złapać ciasteczko.

- Właściwie, czemu nie? - mówi z ożywieniem, smarując masłem herbatnik i podając go George'owi, ale on odmawia i udaje się do kuchni, gdzie myje ręce nad zlewem. Bunty musi być rzeczywiście wstrząśnięta, bo nawet nie pokazuje mu, że zostawił ślady zabłoconych stóp na czerwonych winylowych płytkach. Bardziej czujny mężczyzna z miejsca zdałby sobie sprawę, że przyprawia mu się rogi.

Co jakiś czas za tylną szybą samochodu Roperów pojawia się Kenneth, jak maskotka przynosząca pecha, i robi rozmaite miny - zezuje, wystawia język, wkłada palce do uszu - ale żeńska część rodziny Lennoxów ignoruje go ze stoickim spokojem. Bunty, aż nazbyt wdzięczna losowi za to, że nigdy nie miała własnych małych chłopców, czuje, że zachowanie Kennetha zbija ją z tropu, za to George wcale nie wstydzi się wygłosić swojej opinii: „Głupi, cholerny bękart”.

George nie ma czasu, żeby się rozpraszać z powodu Kennetha - każdy gram koncentracji jest mu potrzebny, żeby dotrzymać tempa Roperom. Przeraża nas myśl, że moglibyśmy stracić z oczu naszego dowódcę eskadry, bo tylko on jeden wie, jak dotrzeć do Szkocji. Bunty co chwila wpada w panikę i krzyczy na George'a. „O, wyprzedza kogoś! Szybko, szybko - włącz migacz!” Biada każdemu pojazdowi, który dostaje się pomiędzy nas i Roperów - natychmiast zostaje unicestwiony przez fale mózgowe Bunty. A jednak to ślepe, niewolnicze naśladowanie Roperów jest o niebo lepsze niż zdanie się na nawigację Bunty, która albo strzela na oślep i nie trafia - „B125, B126 - co za różnica?”, albo przyjmuje pozycję defensywną: „Skąd mam wiedzieć, co znaczył tamten znak? Przecież to ty jesteś kierowcą!” Nawet gdyby miała

kogoś z pomocy drogowej na jednym ramieniu i ducha przewodniego na drugim, to i tak byśmy się zgubili. Zresztą, w tej chwili wcale nie wygląda na to, żeby pan Roper radził sobie lepiej od niej - wodzi nas spiralnie wokół Carlisle, jak samolot, który wpadł w zabójczy korkociąg (zobacz Przypis IX).

- Co on robi, do cholery? - bełkocze z wściekłością George, kiedy wirujemy wokół ronda, które już okrążyliśmy co najmniej dwa razy.

- O, znowu ten sam sklepik z frytkami i rybą! - mówi Bunty.

- I ten garaż - o co mu chodzi? - George potrząsa głową. - Trzeba było jechać przez Newcastle - dodaje z goryczą, wynikającą z poczucia spóźnionego refleksu.

- Jeżeli tak pomyślałeś, mądralo, trzeba mu było coś powiedzieć.

Nie wydaje mi się to szczególnie rozsądne, żeby tak publicznie bronić kochanka. Patrząc spod oka na Patricję, żeby zobaczyć, co o tym sądzi, ale ona wciąż jest zajęta rysowaniem Kamasutry na zaparowanej szybie. To dość dziecinne zachowanie, moim skromnym zdaniem (które nie jest nic warte - co do tego, nie mam żadnych złudzeń). Ale nie aż tak niepoważne, jak zachowanie Bunty, która każe George'owi zatrzymać samochód i chce wysiadać. To zdumiewające, jakie rozmiary może przybrać kłótnia, kiedy człowiek na sekundę spuści ją z oczu.

- No i co masz zamiar teraz zrobić? - szydzi George. - Wracać na piechotę z Carlisle? - Ale nie dostaje odpowiedzi, bo kierunkowskaz pana Ropera nagle się zapala i Bunty natychmiast musi zwrócić George'owi na to uwagę.

- O, zwalnia! Staje! - krzyczy, a George naciska hamulce tak raptownie, że mózg mało nie zrywa mi się z uwięzi.

- Na miłość boską! - mówi opryskliwie Patricia, nie wiadomo do kogo.

Czasami chce mi się płakać. Zatykam uszy. Czemu nie zostaliśmy tak zaprojektowani, żeby móc również zamykać uszy? (Może dlatego, że nigdy byśmy ich nie otwierali). Czy jest jakiś sposób na to, żebym mogła przyspieszyć swoją ewolucję i wykształcić sobie klapki na uszach?

George i pan Roper odbywają na chodniku pospieszną konsultację, odwracając mapę wte i wewte, aż wreszcie osiągają coś w rodzaju kompromisu. Bunty wścieka się na przednim siedzeniu, ciskając gromy i na męża, i na kochankę - bez różnicy. Christine wystawia głowę przez boczne okienko i kiwa do mnie. Dwa tygodnie w towarzystwie Christine Roper, bez chwili wytchnienia na dobre zachowanie, to niezbyt kusząca perspektywa. Ona traktuje mnie jak niewolnika. Gdybyśmy żyły w starożytnym Egipcie, pewnie własnymi rękami budowałabym dla niej piramidę. Kiwam posłusznie do Christine. Nigdzie nie widać małego Davida - może został przypięty na bagażniku.

Znowu ruszamy.

- Kiedy będzie coś do jedzenia? - pytam płaczkliwym tonem.

- Do jedzenia? - pyta z niedowierzaniem Bunty.

- Tak, do jedzenia - mówi z sarkazmem Patricia. - No, wiesz - jeść, jedzenie, chyba słyszałaś o czymś takim?

- Jak ty się odzywasz do matki! - krzyczy George do wstecznego lusterka, a Patricia zapada się głębiej na siedzeniu, żeby nie było jej widać w lusterku, i mruży pod nosem:

- Jak ty się odzywasz do matki. Jak ty się odzywasz do matki. Patricia czesze się teraz w dwie firanki, zwisające niechlujnie po obu stronach twarzy - odkryła już Joan Baez, na długo przed Top Ten, co uważam za bardzo awangardowe z jej strony - i wciąż mówi o rzeczach takich jak

„niesprawiedliwość" i „uprzedzenia rasowe" (oczywiście w Ameryce, bo u nas, w Yorku, ku jej głębokiemu rozczarowaniu tak naprawdę nie ma żadnych kolorowych. Wszystkie twarze na porannym apelu w Queen Anne są ziemistoblade. Ewentualnie najbliższe, co może być, to Susannah Hesse, bardzo inteligentna dziewczynka z Niemiec, na rocznej wymianie. Patricia ciągle zadręcza ją pytaniami, czy czuje się dyskryminowana). Patricia ma, rzecz jasna, moje pełne poparcie w swojej kampanii przeciwko niesprawiedliwości, George jednak twierdzi, że powinna przywiązywać większą wagę do swoich egzaminów. Ostatnio „rzuciła" Howarda, co może być przyczyną ujawnienia się nie odkrytych jeszcze pokładów melancholii. Choć może to tylko dalsza sublimacja jej charakteru.

Przez jakiś czas bawimy się w „Znajdź..." - Znajdź czerwony samochód, znajdź budkę telefoniczną - a tak naprawdę znajdź byle co. Gdzieś tak na południe od Glasgow zjeżdżamy z głównej szosy i zatrzymujemy się przed hotelem na lunch. Na ogół, kiedy wybieramy się gdzieś samochodem, zabieramy pośpiesznie robione kanapki i jemy je w drodze, więc jest to naprawdę wytworne odstępstwo od reguły. Bunt przyczesa się przed wyjściem z samochodu; w końcu zaraz będzie jadła w hotelu lunch ze swoim kochankiem, a to bardzo romantyczna sytuacja, nawet z drobną wadą w postaci dwóch współmałżonków i pięciorga dzieci. Zaraz, zaraz, chwileczkę - czegoś mi tu brakuje w tym żywym inwentarzu. Zwracam ku Patricji zdumioną twarz.

- Co zrobiliśmy z Gałganem?

- Z Gałganem?

Obie wbijamy wzrok w tył głowy naszej matki. Zerka w lusterko od puderniczki, więc możemy zobaczyć nie tylko tył jej głowy, ale również kawałek twarzy, poruszający się w lusterku.

- Co zrobiłaś z Gałganem? - pytamy zgodnym chórem.

- Z psem? - Bunty przybiera lekceważący ton, a to zawsze niebezpieczny znak. - Nie martwcie się o niego, ma się kto nim zająć.

W Patricii nagle budzi się czujność.

- Co to znaczy „ma się kto nim zająć?” Tak jak Hitler zajął się Żydami?

- Nie bądź głupia - mówi Bunty tonem, który oznacza „nie marudź”, i przybiera olśniewający uśmiech ladacznicy. Niestety, naszą rozmowę przerywa George, który wali w okno samochodu i każe nam się pospieszyć, bo nie mamy przed sobą całego dnia.

- Ależ mamy - mówi Patricia. - Mamy cały dzisiejszy dzień i cały jutrzejszy, i tak aż do sądnego dnia, możecie mi wierzyć.

- Na miłość boską, Patricio - mówi Bunty, zatraskując puderniczkę. - Rusz się wreszcie, dobrze?

Spuścimy zasłonę milczenia na lunch. Wystarczy, jak powiem, że „domowa zupa pomidorowa” trąciła zupą z puszki, a Bunty i pan Roper wymieniali całą gamę zalotnych spojrzeń - od obojętnych po jawnie pożądlive - których jakoś nikt prócz mnie nie zauważył. Nigdy nie rozmawiałyśmy z Bunty o tym, że przyłapałam ją in flagranti z panem Roperem w garażu, co jest zresztą całkiem zrozumiałe - w końcu, co mogłaby na to powiedzieć? Nie rozmawiałam też o tym z Patricią, bo z nią nie można już teraz o niczym rozmawiać, więc nie mam pewności, czy wie o cudzołóstwie naszej matki, czy nie.

Pakujemy się z powrotem do naszego starego wolseya i odjeżdżamy! Lekki falstart, kiedy trochę za szybko ruszamy („Czemu on pokazuje kierunkowskaz? Stój! Stój!”), dzięki czemu Kenneth ma czas zwymiotować przy drodze

nieapetyczną, różową mieszankę, opartą głównie na zupie pomidorowej. Ale w końcu jedziemy! Znowu.

Niestety, kiedy wjeżdżamy na zewnętrzną obwodnicę Glasgow, nasze mózgi wciąż zajęte są trawieniem lunchu, i to właśnie musi być przyczyną chaotycznych prób znalezienia wewnętrznej obwodnicy - piekielnej podróży, podczas której zatracamy wszelką nadzieję, a także dobre maniery.

- Podobno ten dureń był pilotem RAF - u - syczy pogardliwie George, kiedy lewy kierunkowskaz Roperów się zapala - a potem gaśnie - po czym to samo zaczyna się dziać z prawym, a my kluczymy jak wariaci po Sauchiehall Street, zupełnie jakbyśmy byli uczeplieni Moby Dicka, a nie consula classic z roku 1963.

- Ciekawe, jak udało mu się znaleźć Drezno? On nie potrafi się poruszać nawet po sklepie.

- Tak samo jak ty - mówi Bunty, a jej usta tną powietrze jak nożyczki. Ale prawdziwy kryzys nadchodzi dopiero wtedy, kiedy zostajemy rozdzieleni przez światła na końcu Sauchiehall Street. Bunty podnosi rozpaczliwy lament. „Zgubiliśmy ich, zgubiliśmy ich!”

Wydaje mi się, że właśnie w tym momencie postanowiłam udawać trupa. Natomiast Patricia, jak widzę, już dawno zapadła w letarg.

Sytuacja ulega lekkiej poprawie po drugiej stronie Dumbarton - przed nami ciągnie się autostrada spokoju aż do Crianlarich. Patricia zabawia nas, czytając na głos Tristrama Shandy'ego. Bunty wierci się niespokojnie na przednim siedzeniu, bo cała osiemnastowieczna proza wydaje jej się sprośna i trudno jej uwierzyć, że ta książka znajduje się na liście lektur. Co chwila odwraca się, żeby sprawdzić, czy nie chichoczymy nad czymś nieprzyzwoitym, przeoczając przy tym genitalia z epoki kamiennej, którymi Patricia ozdobiła

tylną szybę. Wydaje mi się, że Patricia ma obsesję na punkcie ludzkiej fizjologii.

Mijamy Crianlarich, rozmyte w kroplach deszczu, i dopiero po kilku milach odkrywamy, że pojechaliśmy w prawo, a tymczasem trzeba było skręcić w lewo. („Co on wyrabia? Skreca, skreca!”).

Gdzie jest ta Szkocja? I co to jest Szkocja? Czy to deszcz, który stęzał, przybierając kształt domów i wzgórz? Czy to mgła, wyrzeźbiona w przydrożne kafejki o nazwach takich jak „Kuchnia chłopska”? („Christine, nie dawaj tego małemu, bo go brzuch rozboli. No widzisz - a nie mówiłam?”). Kto to wie? Jedziemy do miejsca, które podobno nazywa się „Ochna - cock - a - leekie”. Roperowie i nasi rodzice dali się uwieść broszurce, kusząco zatytułowanej „Wakacje na szkockiej farmie”, a ich mózgi są bombardowane strumieniem okrągłych, gorących chlebów i placków ociekających słonym, żółtym jak słońce masłem oraz gęstej owsianki w otoczce śmietany, jeszcze cieplej, prosto od krowy.

Właśnie zapadłam w niespokojną drzemkę na niewygodnym, kościstym ramieniu Patricii, kiedy znowu zatrzymujemy się z piskiem opon. („Po co on znowu staje?”)

- Przerwa kontrolna! - krzyczy pan Roper, wykonując bezradne, przeprasające gesty, kiedy „Harriet” wywleka z samochodu małego Davida i trzyma go nad brzegiem trawnika. Strumień żółtego płynu, przypominającego słabą herbatę, wylewa się z jego dolnych rejonów.

- Nie rozumiem, dlaczego ona musi wystawiać coś takiego a widok publiczny - mówi z niesmakiem Bunty. - Może i ona (chodzi o panią Roper) ma dobry akcent, że już nie wspomnę o dobrej szkole z internatem („Wyślijcie mnie tam”, mruczy Patricia. „Proszę”), ale tak naprawdę to zwyczajny kocmołuch. Kocmołuch! Co za wspaniałe nowe słowo.

- Kocmołuch - mruczę z aprobatą do Patricii.

- Tak, kocmołuch - twardo stwierdza Bunty. - Oto, kim ona jest.

- Więc nie jest dziwką, tak jak ty? - mówi bardzo cicho Patricia. Na tyle głośno, żeby ją usłyszeć, ale za cicho, żeby w to uwierzyć. Na jakiś czas zapada drętwa cisza, a potem, gdzieś koło Dalmally, Patricia przerywają, wyciągając „Śpiewniczek Patricii Lennox”, pełen piosenek o łagodnych dziewczeczkach, poległych żołnierzach, niewiernych kochankach i całej masie ludzi, którzy chodzą ze zwieszoną głową, jęczą i płaczą, i w ogóle mają mnóstwo „zmartwień”. Piosenki wprawiają nas w doskonały humor. Właśnie wykonujemy zawodzące crescendo („wee - ee - eeloon”), kiedy Bunty w końcu puszcza nerwy („Czyżbyśmy nie zdawały sobie sprawy, że to było o zdradzie?”).

- Zamknijcie się, wy dwie! - krzyczy, a potem daje nam chrupki serowo - cebulowe, żeby nam przeszkodzić w dalszych śpiewach.

Droga zwęża się. Robi się coraz bardziej mokro. Powietrze wydaje się coraz ciemniejsze - chociaż trudno powiedzieć, czy to z powodu wieczoru czy deszczu. Brniemy mozolnie poprzez zmierzch, jakby to była jakaś namacalna siła, która nas opóźnia. Trzęsie nami niemiłosiernie na wyboistej drodze aż do następnego przystanku („Nie mogę w to uwierzyć!”). Oddychamy z ulgą, kiedy Kenneth pędzi ku kępie jałowca, rozpinając w biegu rozporek szarych, flanelowych szortów. - Czemu wtedy nie poszedł, kiedy się zatrzymali? Czy ona nie ma rozumu? - Bunty parska jak koń pociągowy.

Christine wysiada z auta i idzie za bratem w krzaki, a pani Roper znowu wystawia małego Davida, który udaje czajnik.

- Przecież dopiero co załatwili się w hotelu, prawda? - prycha z niedowierzaniem Bunty, zdumiona kiepskim stanem

pęcherzy Roperów. (Nasze, pod kuratelą Bunty, są odlane z żelaza).

- Nie cel jest ważny - mówi rozmarzonym tonem Patricia, ale sama podróż. (Czyta zarówno W drodze Kerouaca, jak i Tristrama Shandy'ego, więc nic dziwnego, że stała się trochę zen). W końcu jednak ruszamy! - znowu - i jedziemy wzdłuż muru z żółtej cegły, albo raczej wzdłuż podejrzanej, jednokierunkowej drogi.

- Czy ta droga ma jakiś numer? - pyta George, napierając na kierownicę, żeby lepiej widzieć. - Mógłby włączyć te cholerne światła! - dodaje, błyskając z furją przednimi światłami.

Potem na drodze bez numeru pojawia się kolejne niebezpieczeństwo - owce!

- Cholera, wszędzie ich pełno! - krzyczy z przerażeniem George. Bunty zostaje postawiona w stan owczego alarmu. („O, tam! Uwaga! Tam jedna przechodzi! Patrz na tę z lewej!”)

Znudzone Tristramem Shandym znowu gramy z Patricia w „Znajdź...”, ale tak naprawdę nie da się znaleźć nic oprócz owiec.

Potem przychodzi katastrofa. Nie z powodu slalomu owiec - jak się można było spodziewać - tylko dlatego, że konsul classic Roperów łapie gumę.

- A widzisz - triumfuje George, bo Bunty przez całe tygodnie brzęczała mu za uszami, jaki ładny jest ich samochód w porównaniu z naszym (bo jest). Ale ona tylko potrząsa głową i mówi opryskliwie:

- Każdy może złapać gumę.

- To twoje przeznaczenie - mówi Patricia, a na jej twarzy igra uśmiech Buddy.

George wysiada niechętnie z auta i pomaga panu Roperowi zmienić koło - albo raczej to pan Roper zmienia

koło, a George podaje mu narzędzia, jak pielęgniarka asystująca przy operacji. Bunty także wysiada i staje z boku, obserwując nieudolne poczynania George'a z kluczem francuskim i śrubami oraz męski urok pana Ropera w sytuacji ekstremalnej. („Dobra robota, Clive!”) Przez cały ten czas Kenneth buczy i biega w kółko z rozpostartymi ramionami, udając samolot albo skrzydlatego owada - a może jedno i drugie.

- Dzięki Bogu, że mam córki - mówi Bunty, gramoląc się z powrotem do samochodu (to jedyny raz, kiedy wyraża wdzięczność z powodu naszego istnienia). George, stękając, sadowi się za kierownicą i ruszamy! Znowu.

Zbliżamy się do naszej mekki, co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Mijamy kilka wiosek „Och - na - cockna” i wreszcie trafiamy do tej właściwej. Skrećamy w lewo, podwójny zakręt, w prawo, znowu podwójny zakręt, i na koniec bierzemy główny zakręt w lewo.

- Ja cię pieprzę - mówi zmęczonym tonem George, biorąc jeszcze jeden zakręt za trzy punkty, a Bunty klaszcze w dłonie i patrzy na niego z oburzeniem. Ale w końcu znowu ruszamy! Po raz ostatni, rozpryskując wodę i kamyki wzdłuż brudnej drogi, aż w końcu, wśród stadka rozzłoszczonych kurcząt, docieramy na zabłocone podwórze. Po jednej stronie znajduje się długa, niska oficyna, po drugiej wałęsa się stodoła, a po trzeciej duży, kwadratowy budynek z szarego kamienia - nasza farma. Zaczynają się wakacje z piekła rodem!

Mieszkańcy farmy, a przez następne dwa tygodnie nasi gospodarze, nazywają się von Leibnitz, co według mnie wcale nie brzmi jak bardzo szkockie nazwisko. Czy nie byłoby lepiej, gdybyśmy z „Broszury farm” wybrali farmę prowadzoną przez jakiegoś McAllistera, Macbetha, McCormacka, McDade'a, McEwana, McFaddena - a nawet McLeibnitza - a właściwie każdego, kogo nazwisko zaczyna

się raczej na „mac” niż „von”? Pan von Leibnitz („Heinrich”), jak się później okazuje, był niemieckim jeńcem, który został wysłany do pracy na farmę i już na niej pozostał, poślubiając żonę farmera - panią von Leibnitz - albo Aileen McDonald, bo tak się nazywała, zanim jej mąż zginął w Afryce Północnej, a jego miejsce zajął wróg. To plus fakt, że pani von Leibnitz pochodzi z Aberdeen, czyni z nich parę ludzi zupełnie obcych w Och - na - cock - a - leekie, co jest być może powodem ich surowości. „Więc to była farma starego McDonalda?” żartuje George, trawestując słowa popularnej piosenki po wysłuchaniu tej historii, ale napotyka kamienne oblicza von Leibnitzów. Oni nie mają za grosz poczucia humoru - nawet Bunty je ma w porównaniu z naszymi gospodarzami, u których pruska ponurość i prezbiteriańska surowość połączyły się, tworząc przerażającą kombinację. Wysocy i chudzi, poważni i wyprostowani, uważają oczywiście wczasowiczów za frywolne, słabe istoty. Może zresztą mają rację.

Już na wstępie robi się wielkie zamieszanie wokół spania, przypominające dylemat o taksonomii w Świecie Ducha. Jak zostaniemy rozmieszczeni? Chłopcy z chłopcami, dziewczynki z dziewczynkami? Roper z Roperem, Lennox z Lennox? A co z dorosłymi - mąż z żoną? A może nie? W końcu pani Roper sprawnie nas rozparcelowuje, a tymczasem Bunty i pan Roper wymieniają powłóczyste spojrzenia.

- Czy mam ci to zanieść, Bunty? - pyta z uczuciem pan Roper, a kiedy sięga po walizkę, ich palce spotykają się na boleśnie długą chwilę, póki nie zostaną rozdzielone przez Patricię, która wpycha się pomiędzy nich na schodach, wyrywając im przy okazji walizkę.

Pani Roper umieszcza wszystkie dziewczynki na poddaszu, w pokoju, w którym czuć pleśnią. Patricia daje nura na pojedyncze łóżko, a ja muszę dzielić podwójne z Christine, która przez pół każdej nocy każe mi się posunąć, chociaż i tak

już śpię na samym brzegu, a przez drugą połowę zgrzyta zębami i mamrocze przez sen.

Na nasze pierwsze śniadanie spożywane przy długim dębowym stole w ponurej, zimnej jadalni, dostajemy po talerzu letniej, słonej owsianki (ku przerażeniu Patricii) bez mleka i cukru, a potem po plasterku bekonu i małej kupce zimnej, smażonej fasolki. To jakaś więzienna strawa, a nie wakacyjne menu.

- Smażona fasola na zimno? - zdumiewa się Bunty.

- Może tak jedzą Szkoci - sugeruje pan Roper - albo Niemcy - dorzuca po namyśle.

Jeśli pamiętam, to właśnie w tym momencie Patricia wstaje chwiejnie od stołu, informując wszystkich, że zaraz się porzyga, i rzeczywiście dotrzymuje słowa, wymiotując, zanim zdążyła dotrzeć do drzwi. („Heinrich, daj ścierkę - ta biedna dziewczynka zwraca!") - A przecież nawet nie zaczęła jeść! Jesteśmy na wakacjach dopiero przez niespełną dobę, a już trzy osoby zwymiotowały. Ile jeszcze razy to się powtórzy? (Wiele).

Odtąd jest już przez cały czas z górki. Na farmie właściwie nie ma co robić; można oglądać pięć krów, których mleko idzie prosto do mleczarni, a nie do naszej owsianki, można drażnić cztery kury, których jajka trafiają wprost do osmołowanej beczki z wodnym szkłem, i można obserwować kilka podmokłych, spłaszczonych przez deszcz pól jęczmienia, ale niewiele ponadto - poza owcami, rozsypanymi jak małe wapienne odpryski na falistych, zgarbionych wzgórzach, porośniętych paprocią i brązowozieloną trawą.

Gdzieś w oddali, za tymi wzgórzami, poza zewnętrznymi granicami posiadłości Leibnitzów musi być prawdziwa Szkocja (przygotowując się do tej podróży, przeczytałam Rob Roya i Waverley, i W sercu Midlothian) - rozległe obszary purpury i fioletu wznoszące się aż po horyzont i stapiające z

niebem, zamknięte z jednej strony ścianą butelkowiezielonych drzew. „Tak”, mówi pan Leibnitz, w bardziej przystępnym nastroju niż zazwyczaj, „to część Lasu Kaledońskiego”, a mnie serce żywiej zabiło, bo to mi bardziej przypomina Szkocję Scotta. („To śmieszne, prawda, nazywał się Scott, a przecież był Szkotem”, odważam się zagać do pani von Leibnitz, kiedy zostaje jej podrzucona w czarny wtorek - o czym później, niestety - ale ona odpowiada: „Zabawna z ciebie dziewczuszka, co?”, bo nie czyta nic prócz „The People's Friend”).

Z pewną dozą zdumienia odkrywamy, że wcale nie jesteśmy, blisko morza, i dużo się dyskutuje o tym, czyja to może być wina. Zdolności orientacyjne pana Ropera znowu zostają podane w wątpliwość przez George'a (i gorąco bronione przez jego kochankę). Planuje się kilka całodziennych wycieczek, nie tylko nad morze, ale i do innych miejsc „interesujących pod względem historycznym i architektonicznym” - pani Roper zabrała ze sobą przewodnik - i nasza pierwsza ekspedycja jest do Fort William przez słynne Glencoe.

- Czemu ono jest słynne? - pytam panią Roper, a ona zerka do przewodnika, który trzyma w jednym ręku, wymachując jednocześnie drugą, z brudną pieluchą Davida.

- Masakra - odpowiada wymijająco.

- Masakra - mówię do Patricii.

- To dobrze - odpowiada z ulgą.

- Nie, nie - mówię pośpiesznie - historyczna masakra. - Ale po jej oczach można poznać, że nie myśli o Campbellach i McDonaldach, tylko o Roperach i Lennoxach. A może tylko o Lennoxach.

Kiedy wjeżdżamy do Glencoe, nad naszymi głowami gromadzą się czarne chmury, naprawdę i w przenośni. („O tak”, potwierdza później pani von Leibnitz, „Glencoe to

strasznie mokre miejsce"). Po obu stronach wznoszą się wzgórza, groźne i ponure, ale my docieramy bezpiecznie, sans massacre, i mamy szansę zakosztować uroków Fort William w deszczowy dzień. Natychmiast chronimy się w innej Kuchni, tym razem „Góralskiej”, pełnej ludzi, wózków, przemoczonych płaszczy deszczowych i ociekających parasoli oraz chromowanego ekspresu, który agresywnie syczy. Dorośli, bo tak się sami żartobliwie określają, dostają kawę w przezroczystych filiżankach ze spodeczkami. Bunty uśmiecha się do pana Ropera nad popielniczką z czerwonej cynfolii i mówi:

- Może cukru, Clive? - wyciągając do niego naczynie z nierdzewnej stali takim gestem, jakby zawierało złote jabłka Afrodyty, a nie kryształki ciemnego cukru.

- Dzięki, Bunty - mówi pan Roper, wczepiając się uśmiechem w jej uśmiech, podczas gdy reszta z nas jak zahipnotyzowana wpatruje się w jego łyżeczkę, którą miesza, miesza, miesza, miesza, miesza i miesza, aż nagle pani Roper mówi:

- Przecież ty nie słodzisz, Clive ! - i wtedy wszyscy się budzą. Patricia sący wodę ze szklanki, ja dostaję filiżankę herbaty,

Christine pije mleko, Kenneth ma Fantę, a małemu Davidowi pozwala się na koktajl bananowy, który pani Roper przelewa mu do kubeczka. Koktajl bananowy jest obrzydliwie żółtego koloru, który wydaje się mieć niewiele wspólnego z wiązką prawdziwych bananów i dlatego wcale mnie to nie dziwi, kiedy po kilku minutach David zwraca jego większość. Patricia w podejrzanym tempie znika za drzwiami z napisem „Panie”, ale miło mi donieść, że całej reszcie udało się zatrzymać napoje w żołądkach.

Okazuje się, że zostawiliśmy przewodnik w Och - na - cock - a - leekie, więc niepokieszeni bląkamy się po uliczkach

w poszukiwaniu czegoś interesującego „pod względem historycznym i architektonicznym”, aż w końcu lądujemy w sklepie pamiątkarskim, gdzie kupujemy wiele kompletnie bezużytecznych przedmiotów, ozdobionych ostami i wrzosem. Choć ja osobiście jestem zachwycona moim Ilustrowanym kieszonkowym przewodnikiem po szkockich tartanach, mimo iż połowa tartanów to zamazane czarno - białe reprodukcje. Dość nierozsądnie nabywamy cukier w dużych ilościach - karmelki z whisky, śliwki w czekoladzie (szkocki przysmak, jak mówi sprzedawczyni w sklepie), edynburskie laseczki i długie sznury lśniących cukierków z melasy. Gwałtowna, sierpniowa burza gradowa przyspiesza zbiorową decyzję o opuszczeniu Fortu. Wszyscy pędem wracamy na parking i jedziemy autostradą na farmę.

W drodze powrotnej decydujemy się na konsumpcję naszych świeżo zakupionych słodczy zamiast lunchu i nie mija wiele czasu, a samochód Roperów zjeżdża na pobocze („O, staje!”), żeby mały David mógł opryskać skraj trawnika resztkami bananowożółtych wymiotów, natomiast dwie minuty po tym, jak ruszamy!, po raz drugi, przychodzi kolej na nas, bo „biedna dziewczynka znowu zwraca”. Nawet twarda zazwyczaj pani Roper musi „zaczerpnąć trochę świeżego powietrza” pod opadającym niebem Glencoe. „Biedna Harriet”, mówi George, na co Bunty spogląda na niego z niemym zdumieniem, bo nigdy w życiu nie powiedział: „Biedna Bunty”. Ale nigdy nie udaje jej się wyrazić słowami tego zdumienia, bo Patricia zaczyna cicho pojękiwać i znowu musimy się zatrzymać!

- Nikt nie wie, przez co musiałaś przejść, Patricio - współczuję jej.

- Zamknij sieruby.

Nic dziwnego, że musi minąć kilka dni, zanim ryzykujemy następną wycieczkę, ale tymczasem mamy inne rozrywki -

parę razy oglądamy, jak się doi krowy, a Patricii udaje się nawet zaprzyjaźnić z jedną z kur. Kilka wieczorów spędzamy na staroświeckich zabawach. Jest na przykład pianino, bardzo rozstrojone, i Christine zabawia nas, wykonując na nim swoją dziwną wersję My Bonny Lies over the Ocean i Home Sweet Home - piosenki, której popularności nigdy nie mogliśmy z Patricią zrozumieć. Lektura jest nam dostarczana w formie skondensowanych powieści w „Reader's Digest” oraz oprawnej w czarną skórę Biblii, tak wielkiej, że mogłaby zatopić okręt. Gramy jak zwykle w wojnę, a pani Roper uczy nas grać w pikietę. Poprzedni wczasowicze zostawili Upiorne zamczysko, więc także często w nie gramy, co jednak zamiast uwolnić nas od morderczych impulsów, jeszcze tylko je wzmacnia. Z tego widać jasno, że chez von Leibnitz nie ma telewizji, co w pełni umożliwia nam docenienie uroków życia w rodzinie o podwójnym jądrze.

Przeżywamy kilka dni względnego spokoju nad Bezdennym Jeziorem.

- Bez dna? - pyta pan Roper.

- Tak jest, bez dna - potwierdza pan von Leibnitz.

Jest to właściwie staw, usadowiony jak grudka melasy pomiędzy wzgórzami, na których pasą się owce, a jego czerń sugeruje, że rzeczywiście może on być niezgłębiony. Pan von Leibnitz pożycza wczasowiczom kilka wędek, a pani Roper, pan Roper i George stoją na brzegu jeziora, szarpiąc i ciągnąc wędki, ale nie udaje im się niczego złowić. Podejrzewam, że wszystkie ryby przepłynęły na drugą stronę, do Australii. Tymczasem mały David krąży wkoło na chwiejnych nogach, jak wielki, irytujący owad, a Patricia siedzi skulona na trawie, czytając Onufrego Clinkera i patrzy złym wzrokiem, ilekroć mały się do niej zbliża.

Bunty śmiga wokół jeziora i zamiast barwnych, kosmatych muszek rzuca znaczące spojrzenia. Jej romans

napotyka znaczną przeszkodę w postaci obecności pani Roper, ale mimo to jej okrężne, nadbrzeżne przechadzki zbliżają ją do pana Ropera. To zdumiewające, jak często w ciągu dnia wchodzą sobie w drogę - ich palce muskają się, gdy sięgają po kubek, ciała zderzają się, gdy próbują razem przejść przez drzwi, jakby pan Roper był magnesem, a Bunty kupką żelaznych opiłków.

Christine próbuje wciągnąć mnie w całą masę zabaw, które sama wymyśla, a które w całości opierają się na założeniu, że jesteśmy końmi. Trudno się wykręcić od tych końskich harców z Christine i na ogół jedyne, co mogę zrobić, to pogalopować w kierunku najbliższego wzgórza z nadzieją, że ona nie będzie mnie gonić. Czasami uciekam skutecznie, zwłaszcza gdy jej uwagę odwróci jakieś uboczne sprawy („O mój Boże - gdzie mały?”) albo kiedy daje się namówić i pomaga Kennethowi sprawdzić teorię bezdenności („Kenneth, w tej chwili wychodź z wody!”) Moim zdaniem najłatwiej byłoby sprawdzić tę teorię, wrzucając go po prostu do jeziora.

Ja wolę trzymać się jak najdalej od jeziora, które wywołuje we mnie uczucie niepokoju, i jeśli podchodzę za blisko brzegu, zaczyna mi się wydawać, że próbuje mnie wessać w swoją bezdenną czerń. To mi coś przypomina, ale co?

Mamy kilka dni ładnej pogody („To się nie utrzyma”, posepnie stwierdza pani von Leibnitz, a pan von Leibnitz potakuje: „Tak, odpokutujemy to w przyszłym tygodniu”), więc wędrowka przez wzgórze i dolinę do jeziora nie jest tak całkiem nieatrakcyjną propozycją. Któregoś popołudnia, gorącego i słonecznego, uwolniwszy się od Christine, galopuję na szczyt najwyższego ze wzgórz otaczających jezioro, gdzie, dysząc jak koń, rzucam się na trawę, kłującą i szorstką jak siennik. W dole połyskuje woda, niezgłębiona i tajemnicza, a ludzie krążą wokół bez sensu. W oddali rozległy horyzont

wrzosów spotyka się z wielkim, bladym niebem, z którego starto do czysta wszystko prócz myszołowa, wiszącego nad nami jak jakiś zły omen, a ja przeżywam chwilę najczystsze uniesienia, jak nieoczekiwany dar, a dziura w moim wnętrzu - z której kiedyś coś wyjęto - goi się i wypełnia. To upojenie nie może oczywiście trwać wiecznie. Wzywają mnie na dół, na lunch (pani von Leibnitz zapakowała nam jedzenie, zawsze to samo - kanapki z peklowanym mięsem, przejrzałe banany, zwykle chrupki i pastylki miętowe), a kiedy docieramy do domu, wszystko wygląda tak samo jak zwykle i moje własne, bezdenne jezioro samotności wraca na swoje miejsce.

Patricia nadal ma mdłości, ale wygląda na to, że cała reszta odzyskała już równowagę, więc następne ryzykowne przedsięwzięcie zostaje zaplanowane na poniedziałek, tym razem do Oban. W końcu trudno już o coś gorszego niż wycieczka do Fort William, śmieje się pan Roper.

Pojawiają się dobrze znane problemy - musimy przejść owczą gehennę, jechać zygzakiem przez prawie milę za jednym szczególnie beztroskim stworzeniem („Przejedź tę cholere!”), a Patricia rzyga we wrzosach.

- Co się z tobą dzieje, Patricia? - Bunty patrzy na nią ze złością.

- Czy to twoja dusza, Patricio? - pytam ze współczuciem.

- Zamknij się.

Zjeżdżając do Oban, widzimy morze, jak rąbek świata, a w górze niebo, wodniście przejrzyste. Mijamy kobziarza, stojącego - z nie wyjaśnionych przyczyn - na skraju szosy w pełnej gali (rozpoznaję kilt Andersonów), a żałobne, drżące tony jego kobzy towarzyszą nam aż do Oban. Mogłabym się nawet cieszyć z tych wakacji, gdyby tylko mi pozwolili, ale nie, już mówi się o „Małej wyprawie łódką - a może łódeczką, ha, ha - po lunchu”. Pan Roper rechocze, ocierając się mimochodem o Bunty w drodze do restauracji w hotelu, w

którym jest dywan w szkocką kratę (McGregor). Jemy rybę z frytkami - wszyscy z wyjątkiem Patricii, która po jednej frytce robi się bardziej zielona niż woda na przystani.

Prom do Mull dymi w oddali jak grande dame, a my tymczasem usiłujemy wsiąść na nasz własny pokład - maleńki „Błękitny dzwoneczek” - bardziej przypominający ponton niż łódkę. Znajdujemy go pod szyldem „Rejsy po zatoce”, a pod spodem „A. Stewart - właściciel”. George mówi: „Donald, gdzie masz portki, chłopie?”, a pan Stewart patrzy na niego, a w jego wzroku litość miesza się z odrazą.

- Co nam się takiego może stać - mówię sama do siebie, sadowiąc się obok Patricii na rozhuśtanej ławeczce - w końcu pogoda jest ładna, a zatoka stosunkowo niewielka. Potem silnik zaskakuje - prr - prr - prr - wypływamy ! Bunty za nic na świecie nie weszłaby do tej łódki, gdyby nie to, że jest zaślepiona miłością. Wkrótce zresztą pojmuje swój błąd, bo ledwo odbiliśmy od przystani, krew ucieka jej z twarzy. - Och nie - szepce.

- Co ci jest, Bunty? - Pan Roper nachyla się ku Bunty. W jego głosie rozbrzmiewa głęboki niepokój. Pani Roper i George szybko podnoszą wzrok, zaniepokojeni intymnym tembrem jego głosu, ale uwagę pani Roper natychmiast odwraca mały David, któremu znowu zachciało się być czajniczkim. Z George'em jest inaczej - od tej chwili ma się na baczności i czujnie jak jastrząb obserwuje parę kochanków.

Ledwo wypłynęliśmy poza przystań, a już szkliscie spokojna toń zaczyna się zmieniać - woda marszczy się w drobne fale i nie mija wiele czasu, a zaczynają się tworzyć niepokojące garby. Niezapominajkowy błękit morza przechodzi w granat - coś niedobrego wisi w powietrzu. Gwałtowne podmuchy wiatru zaczynają bombardować i smagać małą łódkę oraz jej pasażerów. „Biedna Bunty”, mówi pan Roper, kiedy Bunty, wychylona przez burzę, zwraca rybę

z frytkami. Potrafię zrozumieć, jak się czuje, bo mój własny żołądek wyprawia góralskie harce. Patricia zsuwa się z ławki, a ja przysuwam się, żeby być bliżej niej. Kiedy chwytam ją za rękę, odpowiada bez wahania, ściskając mocno moją dłoń. Przywieramy do siebie, pełne trwogi.

- To tylko mały szkwał - krzyczy pan Stewart, co nie pociesza nikogo z nas, a zwłaszcza pana Ropera, który woła, przekrzykując wiatr:

- Mały czy nie, nie wydaje mi się, żeby ta łódka poradziła sobie ze szkwałem, mój stary.

Nie wiem, czy sprawia to angielski imperializm w tonie pana Ropera, czy też nasz kapitan należy do bardziej rozwiniętego gatunku z klapkami na uszach, dość, że udaje głuchego i płynie dalej, prosto w sztorm. Pani Roper jest całkowicie zaabsorbowana małym Davidem, który przemókł i drze się jak opętany, Christine, która zawodzi, trzymając się za brzuch, oraz Kennethem, który przewiesił się przez burłę, najwidoczniej próbując wysondować morze swoim własnym ciałem. Pan Roper w ogóle nie pomaga swojej żonie, tylko przesiadł się obok Bunty i wszyscy niebezpiecznie się przechylamy, uwięzieni między Scyllą zazdrości George'a a Charybdą Oban Bay.

A potem - coś okropnego - zaczynam nagle krzyczeć. Wydaję przerażający okrzyk rozpacz, który wznosi się z niezgłębionego wnętrza moich trzewi, z miejsca bez nazwy, numeru i końca.

- Woda - szlocham Patricii w szyję - woda! - A ona robi, co się da, w tych okolicznościach, żeby mnie pocieszyć.

- Wiem, Ruby... - krzyczy, ale wiatr porywa resztę jej słów.

Bez względu na inne skutki, wydaje się, że ten krzyk zagubionego dziecka podziałał jednak na pana Stewarta, który

wreszcie z wielkim trudem zawraca łódź i kieruje się ku bezpiecznej przystani.

Ale jeszcze nie umknęliśmy przed burzą. Tego wieczoru pani Roper zostaje na górze z Christine, bo tylko ona nie odzyskała jeszcze gruntu pod nogami. Pan Roper kładzie małego Davida do łóżeczka, a potem schodzi na dół, żeby zagrać z nami w „Upiorne zamczysko”. Siada obok Bunty i przysuwa swoje krzesło do jej krzesła. Zaczynają się chichoty i przypadkowe muśnięcia rąk, aż wreszcie, w kluczowym punkcie gry, George nie może już tego dłużej znieść. Panna Scarlet (Bunty) i Wielebny Green (Clive) wpadają na siebie o jeden raz za dużo na korytarzach zamku Tudorów, a George ciska na ziemię swój ołowiany pionek i wypada z pokoju.

- Coś podobnego - mówi Bunty - co za ludzie.

Zaraz potem ma miejsce seria dramatycznych wydarzeń, które swoim usytuowaniem w czasie przypominają żalostną farsę. Po pospiesznym wyjściu George'a Panna Scarlet i Wielebny Green rzucają grę, żeby się następnie spotkać w jadalni, gdzie pan Roper, który już dłużej nie jest w stanie nad sobą panować, kopuluje z naszą matką na ciemnym dębowym stole. Zwabia mnie tam wojenny okrzyk George'a: „Kurwa!” który, jak można się było spodziewać, sprowadza też na miejsce przestępstwa państwa von Leibnitzów. W tym momencie występna para jest już w pozycji pionowej i wygląda w miarę przyzwoicie, ale wydaje mi się, że wszyscy mogą zobaczyć szkarłatną literę A, gorejącą na beżowym sweterku Bunty. George wykonuje kilka dość wątplych, bokierskich gestów w kierunku pana Ropera, który jest zły i zmieszany, a Bunty stara się udawać, że jej tam nie ma.

- W czym problem? - pyta pan von Leibnitz, wysuwając się do przodu, a pan Roper odwraca się i warczy:

- Nie wtrącaj się, szkopie - co, jak łatwo sobie wyobrazić, nie zostaje zbyt dobrze przyjęte przez von Leibnitzów.

Rozglądam się za Patricią, żeby się przekonać, czy wystąpi przeciwko tej jawnej niesprawiedliwości, tymczasem ku memu zdumieniu widzę, że moja siostra stoi oparta o framugę drzwi, z krzywym uśmiechem na twarzy. Bunty, w poszukiwaniu kozła ofiarnego, odwraca się do niej i mówi gniewnie:

- Stój prosto, Patricia! - Jakby tu chodziło o postawę Patricii. Patricia, w jednym ze swoich najwspanialszych non sequiturs, wzrusza z uśmiechem ramionami i mówi, dziwnie rozwlekając słowa:

- Mamo, przyszedłam tu właściwie po to, żeby ci powiedzieć, że jestem w ciąży.

Czy ktoś jest jeszcze w stanie przebić coś takiego? Owszem, pani Roper. Wpada z impetem do jadalni, krzycząc przeraźliwie:

- Na pomoc! Na pomoc! Niech ktoś wezwie karetkę.

Okazało się, że to tylko wyrostek, czyli nie aż tak źle, chociaż moja babka zawsze opowiadała, że jej pierwszy narzeczony umarł z tego powodu. Tak czy inaczej, karetka zabiera Christine (może umierającą, a może nie) do Oban, gdzie dokuczliwy organ zostaje natychmiast usunięty. Następnego dnia tworzymy nowe kombinacje - pani Roper, George i Kenneth zostają w Oban z hospitalizowaną Christine, podczas gdy moja matka, pan Roper i mały David przemierzają wzgórze w poszukiwaniu Patricii. W końcu znajdują ją wałęsającą się smętnie nad Bezdennym Jeziorem, trochę jak Miss Jessel, pomiędzy trzciniami i turzycą. Ja zostaję w towarzystwie pani von Leibnitz i robimy mączyste placki kartoflane, a potem zjadamy je w kuchni, jeszcze ciepłe. Czajnik mruczy na ogniu, a my dyskutujemy o literaturze szkockiej.

- Nie masz jakichś krewnych w tych stronach? - pyta, a ja mówię, że tak, mam, chodzą teraz po wzgórzach, a ona mówi,

że nie o to jej chodziło, chodziło jej o innych Lennoxów, bo Lennox, powiada, to szkockie nazwisko. Marszczę nos i mówię, że chyba nie, bo George i Bunty nigdy nie przestają mówić o tym, że od pokoleń i niepamiętnych czasów rodzili się i wychowywali w Yorku. Et cetera. (Chociaż, muszę przyznać, że w moim Ilustrowanym kieszonkowym przewodniku po szkockich tartanach jest też tartan klanu Lennoxów).

We środę skracamy wakacje i wracamy do domu, pozostawiając Roperom swobodę decyzji co do ich dalszych poczynąń. Podróż do domu jest stosunkowo prosta. Bunty koncentruje się ze wszystkich sił na mapie i znakach drogowych, starając się ułagodzić George'a - zrozumiała już niestosowność swojego skoku w bok. Podejrzewam, że po dniu spędzonym z małym Davidem perspektywa posiadania go jako pasierba okazała się wystarczająca, żeby odwieść ją od niewierności małżeńskiej, i to nawet bez dodatkowego bodźca w postaci rozterek pana Ropera („Widzisz, Bunty... biedna Harriet mnie potrzebuje, rozumiesz...”). Nie mówiąc już o dodatkowej perspektywie zostania babcią.

Przesypiamy z Patricią większą część drogi powrotnej, chociaż w drodze do Glasgow budzimy się na bardzo przyjemny posiłek w restauracji, którego nikt nie zwraca. W samochodzie panuje atmosfera oszołomienia - to cisza po wielkiej burzy.

Opuszczamy Och - na - cock - a - leekie wcześnie rano, rezygnując z owsianki i smażonej fasolki, bo George chce zdążyć przed owcami i tłokiem na drodze. Wyjeżdżamy z farmy w gęstej porannej mgle, która spowija i otumania normalny świat. Kiedy zbliżamy się do szosy bez nazwy i numeru, przy końcu drogi na farmę, spoglądam sennie przez okno w samochodzie, żeby po raz ostatni rzucić okiem na naszą Szkocką Farmę, i ze zdumieniem widzę łeb i kark

heraldycznego zwierza, wyłaniającego się z mgły jak trofeum na ścianie. Jest zaledwie o kilka stóp od samochodu, ale spogląda na mnie z iście królewską obojętnością. To jeleni, potężny monarcha, z wielkim porożem, jak jakieś mityczne stworzenie. Nawet nie chce mi się trącić Patricii, żeby jej o tym powiedzieć, bo i tak wiem, że to sen. Gdzieś tam za mgłą są nasze prawdziwe szkockie wakacje - a być może również wszystkie inne wakacje, których nigdy nie miałyśmy.

Podejrzewam, że Patricia musiała myśleć o tym samym, bo później, kiedy mgła się rozwiewa, a my ze zdumieniem stwierdzamy, że znajdujemy się w połowie potężnej góry, nachyla się do mnie i szepce: „Pamiętasz ciocię Doreen?“, i oddycha z ulgą, kiedy kiwam głową i mówię: „Jasne, że tak“.

Patricia ma w tym roku drugie wakacje - pobyt w Clacton, w prowadzonym przez metodystów domu dla matki z dzieckiem. A kiedy wraca do nas, jako matka bez dziecka, jest już zupełnie kimś innym. W tym czasie Roperowie wyprowadzili się, a ich miejsce zajęła wdowa, pani Kettleborough. Bunty i George postanowili pozostać małżeństwem i zachowywać się tak, jakby nic się nie stało, w czym są naprawdę bardzo, ale to bardzo dobrzy. Patricia nie wróciła do szkoły, nie zrobiła matury i była taka ponura, że, choć to okropne, poczuliśmy ulgę, kiedy któregoś jasnego, majowego poranka wyszła z domu, żeby już nigdy więcej nie wrócić.

A co do Gałgana - Bunty oddała go do schroniska na St George's Field, gdzie wciąż był, kiedy wróciliśmy z wakacji, niechciany i przeznaczony do komory elektrycznej. Patricia wykupiła go za swoje kieszonkowe, a jej ostatnie słowa do mnie, tego ranka kiedy opuściła dom, brzmiały: „Ruby, zaopiekujesz się Gałganem, dobrze?“ Więc się nim zajęłam. Możecie mi wierzyć, że to zrobiłam.

Przypis IX - W królestwie aniołów i przestworzy

Edmund, przystojny kuzyn Buntę z Kanady, był celowniczym na D jak dom. Do jego zadań należało również pomaganie czterosilnikowemu halifaxowi wznieść się w powietrze. Ale tym razem, kiedy już pomógł Jonty'emu Pattersonowi, ustawiając klapy i zamykając przepustnice, odczołgał się do przezroczystego gniazda na dziobie samolotu i patrzył, jak ciemne brzegi Flambourgh Head ustępują miejsca morzu, połyskującemu w blasku księżyca jak wypolerowany cekin.

Na ogół nie spędzał tam zbyt wiele czasu - wolał asystować nawigatorowi, sierżantowi Wally'emu Whittonowi, albo droczyć się z beztroskim radiooperatorem, Lenem Toftem - tej jednak nocy Edmund był w dziwnym humorze.

I nie tylko on. Załoga D jak Dom miała złe przeczucia, jeżeli chodzi o ten lot. Poprzedniego dnia przez nieostrożność jednego z pancerniaków wózek z bombami wyrwał lej w pasie startowym, rozrywając przy okazji jednego halifaxa wraz z połową załogi. A teraz okazało się, że Taffy Jones, mechanik pokładowy, zapomniał zaśnieżonego, pogiętego świętego Krzysztofa, którego zawsze wieszali pod sufitem, i wszyscy zaczęli na niego ponuro pomstować przy starcie. Wally Whitton kazał im się zamknąć i nazwał ich bandą przeklętych cudzoziemców, bo poza Taffym, który był Walińczykiem rzecz jasna, D jak Dom miał także Szkota McKendricka do obsługi działa na ogonie oraz Kanadyjczyka Edmunda, celowniczego. „Ej, ty, Angol, odwal się, kutasie”, poradził mu życzliwie Len Toft, a Jonty Patterson, ich dwudziestodwuletni pilot, zachnął się. To była dopiero druga akcja Pattersona na D jak Dom - ich poprzedni pilot złamał kark przy lądowaniu ze schowanym podwoziem - i chłopak nie czuł się zbyt dobrze ze swoją doświadczoną załogą, bo niektórzy, jak na przykład Taffy Jones, kończyli już drugą turę i pewnie potrafiliby

poprowadzić maszynę lepiej niż on. Nigdy nie wiedział, kiedy żartują, a poza tym dziwnie wstydził się swojej ekskluzywnej edukacji oraz dźwięcznych samogłosek. Tylko dobroduszny celowniczy traktował go tak samo jak wszystkich.

Tymczasem załogę D jak Dom znacznie bardziej niepokoiły umiejętności lotnicze ich nowego pilota niż jego pochodzenie społeczne. Był „w chmurach do dupy”, jak to dosadnie określił Wally Whitton - prawda, którą odkryli nad Holandią, podczas ich pierwszego wspólnego lotu. Kiedy zaczęło nimi rzucać w masie kumulonimbusów, Taffy musiał przejąć stery, a ich młodziutki pilot, który nadal golił się tylko raz na tydzień, aż poczerwieniał biedak ze wstydu. Gdy Wally Walton wyskoczył ze swoim żartobliwym, ksenofobicznym atakiem, nikt jakoś nie dodał, że załoga była jeszcze bardziej cudzoziemska aż do zeszłego tygodnia, kiedy sierżant Ray Smith, ich australijski strzelec w środkowej wieżyczce, spokojny, cyniczny facet, został trafiony ogniem z Bf - 109. Nowy strzelec, Morris Dighty, kierowca ciężarówki z Keighley, był nerwowy jak młody kot. Wręcz czuli jego nerwowość, pełznącą w dół i rozlewającą się po kadłubie samolotu jak zimny, wilgotny obłok.

- Szczęście nas opuściło - stwierdził z żalem Mac, kiedy wyciągali szczątki sierżanta Smitha z jego wieżyczki. Mac wraz z Edmundem i Australijczykiem zaliczyli wspólnie jedenaście lotów i był to jeden z powodów, dla których Edmund odmówił opuszczenia tej mieszanej paczki i przeniesienia się do Królewskich Kanadyjskich Sił Powietrznych.

- Żyjemy teraz na kredyt - mruknął Mac za jego plecami, kiedy robili przegląd, a Edmund poradził mu wesoło, żeby się odpieprzył.

- Jak ci poszło z tą pielęgniarczą, Ed? - zapytał nagle Taffy przez wewnętrzny telefon, a Wally Whitton skłął go i

kazał mu „natychmiast zejść z tej pieprzonej linii”. Edmund uśmiechnął się do siebie ponad szklistym morzem, skąpanym w blasku księżyca, bo „ta pielęgniarczka” była w porządku. Doreen O'Doher - ty - słodka jak syrop klonowy, z wielkimi piwnymi oczyma, które Edmundowi kojarzyły się niezbyt pochlebnie z krową, z kręconymi ciemnymi włosami i gardłowym irlandzkim akcentem. Nie rozumiał połowy z tego, co mu mówiła, ale była łagodna i chętna i wymykała się z nim z baru „U Betty” nad zaciemnioną rzekę, czarniejszą niż Morze Północne, a tam smakowała jak marcepan, w dotyku przypominała płynny karmel i z jękiem szeptała: „Och, Eddie, jesteś cudowny, tak jest...”

- Śruba w prawo, raz, raz, raz! - krzyknął przez intercom jakiś głos - Maca - i ciężki halifax runął trzy tysiące stóp w ciemność, przekoziółkował i znowu opadł, a potem wzbił się w górę, w lewo, a Edmund, ze swojej pozycji jak z lotu ptaka mógł zobaczyć czerwony ślad smugowych pocisków, spadających w nicość. Minęło kilka sekund, zanim wreszcie ktoś się odezwał, a potem Mac powiedział ze spokojem: „Chyba go zgubiliśmy”, a Morris Dighty zaczął coś niezrozumiale bełkotać, aż wreszcie mu powiedzieli, że już „dosyć tego”.

Pod nimi przesunął się zbity gąszcz wybrzeża Holandii i nie mieli nawet czasu na odpoczynek po potyczce z messerschmittem, bo musieli być czujni jak koty i uważać na działa przeciwlotnicze. Wkoło wszystko tonęło w ciemności i ciszy, a wielka, czterosilnikowa maszyna sunęła z jednostajnym szumem, jak jakiś groteskowo ociążały owad. Mimo iż oprócz nich jeszcze czterysta innych samolotów leciało bombardować zakłady Kruppa w Essen, D jak Dom zdawał się jedyną maszyną na wygwieżdżonym niebie. A potem, ni stąd, ni zowąd zostali wymacani przez białą,

oślepiającą smugę - to potężny snop światła reflektora wystrzelił znikąd, żeby ich pochwycić.

Edmund, oślepiony, wypełził z dziobu, wywindował się w górę i ulokował za Taffym i Jontym Pattersonem. Jeżeli coś mogło sprawić, że czuł się jeszcze bardziej bezbronny, niż kiedy tkwił uwięziony w świetle reflektorów, to tylko leżenie na płask na brzuchu, z wysuniętą do przodu głową, zanurzoną w snop światła. Do szperającej smugi światła dołączyły się następne - w górze, w swojej wieżyczce, Mac ciągnął swoją przerażającą odliczankę: „Trzydzieści, trzydzieści pięć, trzydzieści dziewięć, Jezu, czterdzieści dwa, jeszcze pięć, o Jeezuu!", a głos zazwyczaj uprzejmego Lana Tofta ryczał: „Pikuj, o Jezu, pikuj, ty ośle!", a potem rozległ się inny, cichszy odgłos, jakby ktoś zwymiotował do maski i Edmund był pewny, że to Morris Dighty. Spojrzał za siebie i w nienaturalnie białym świetle reflektora zobaczył twarze Lena Tofta i Wally'ego Whittona, zastygłe w bezruchu jak zwierzęta ofiarne. Nagle Jonty Patterson ożył, wbił wzrok w światło i zastosował podręcznikowy zestaw technik unikowych - wznos przez prawą burzę, ster w lewo, pikowanie, pikowanie, pikowanie, wznos - więcej pikowania niż wznoszenia się, żeby utrzymać prędkość w rozpaczliwej próbie przedostania się na tę część nieba, gdzie załoga niemieckiego działa przeciwlotniczego nie będzie mogła ich znaleźć. A działa nie przestawały strzelać, łup, szuu, łup, szuu, i co jakiś czas coś głośno łomotało o kadłub - a potem nagle, jak za sprawą różdżki czarodziejskiej, znaleźli się z powrotem pod osłoną nocy, poza zasięgiem śmiertelności światła.

Kiedy Edmund spojrział na Jonty'ego Pattersona, zobaczył, że dowódca patrzy przez szybę. Kostki miał zbielełe od ściskania sterów, a na jego poblądłej twarzy perlił się pot. „Dobra robota, szefie", rozległ się z intercomu głos, zbyt wysoki, żeby go rozpoznać.

Kiedy Edmund wpełził do tyłu kadłuba, zasłonka Wally'ego Whittona odsunęła się. „Przynieś nam kawę, Ed”, odezwał się Wally zmęczonym głosem. Edmund nalał kawę dla nich obu. Wally łyknął benzedrynę, a Edmund wmusił w siebie kanapkę z konserwową mielonką i wrócił na dziób, gdzie położył się twarzą w dół. Chciał pomarzyć o domu, o farmie w Saskatchewan. Po uzyskaniu dyplomu z literatury angielskiej myślał o tym, żeby zostać w Toronto i uczyć albo znaleźć pracę w dziennikarstwie, ale potem przyszła wojna i teraz, choć to mogło wydawać się śmieszne, gotów był zawrzeć faustowski pakt na każdych warunkach, byle tylko móc znowu wrócić do domu. Wrócić znowu do domu i wieść spokojne życie, pracować z bratem na farmie, ożenić się, wychowywać dzieci. Gdyby kiedykolwiek miał żonę, chciałby, żeby była taka jak jego matka - silna, śmiała i piękna. Ale to niemożliwe, żeby miał żonę - był przecież prawie pewny, że Mac ma rację i szczęście już ich opuściło. Spróbował sobie wyobrazić, że przywozi do domu dziewczynę taką jak Doreen O'Doherty - albo może jedną ze swoich angielskich kuzynek. Jaka byłaby Bunty, gdyby zabrał ją do Kanady, na prairie, które ciągnęły się dalej niż Morze Północne? Edmund nastawił celownik.

- Zbliżamy się do celu - zabrzmiał mu w uchu głos Wally'ego Whittona. Lekkie pociski przeciwlotnicze tryskały wokół nitkami czerwieni, pomarańczu i żółci, jak światła przybrzeżne. Reflektory przeczesywały niebo i Edmund zobaczył coś, co przypominało Stirlinga, uwięzionego w smudze światła. Stirling nie potrafił uciec swojemu prześladowcy i po paru sekundach eksplodował w jaskrawoczerwoną, ognistą kulę, która przeszła w róż, a w końcu w nicość.

Pod nimi nie ustawał ogień zaporowy lekkiej artylerii przeciwlotniczej. Pociski, bzyząc, przelatwały obok D jak Dom i Taffy Jones powiedział:

- Daj większą wysokość, szefie - chociaż nic już nie było w stanie wyrwać ich z zasięgu cięższych dział, które właśnie zaczęły kanonadę. Edmund widział w dole płonącego pathfindera i kilka pocisków zapalających, ale na ogół cel spowijały kłęby dymu.

- W prawo, w prawo, tak trzymać - jeszcze w prawo, tak trzymać, w lewo, w lewo - tak trzymać. - Wyglądało na to, że znowu będą musieli zawracać.

- Cholera - powiedział ktoś cicho przez telefon, a zaraz potem znaleźli się pod ostrzałem ciężkich dział. Łup, bang! Pocisk rozerwał się tuż obok nich i samolot poleciał w lewo, jakby ktoś z całych sił pchnął go przez niebo. Edmund nacisnął przycisk i powiedział:

- Bomby zrzucone - chociaż kompletnie zgubili cel. Nigdy przedtem czegoś takiego nie robił. Usłyszał obsceniczne wibracje prawego silnika, a wielkim halifaxem zaczęło gwałtownie podrzucać w powietrzu.

- No to chyba już mamy przechlapane - stwierdził sarkastycznie Willy Whitton i wtedy znowu coś potężnie łupnęło.

- Co to było, do jasnej cholery? - wrzasnął Len Toft. A potem metalowe odłamki zaczęły rozrywać samolot. To pocisk przebił dziób, mijając Edmunda o włos, żeby na koniec wbić się resztką skorupy w brzuch mechanika pokładowego, Taffy'ego Jonesa.

Kiedy kolejny pocisk eksplodował w pobliżu D jak Dom, maszyną zakołysało, a Edmund poleciał w głąb dziobu, skąd napływało lodowate powietrze. Nagle przez otwór dostrzegł chwiejny zarys lądu i zaczął skrobać podłogę palcami,

próbując wycofać się do kokpitu. Wszędzie unosił się zapach kordytu, a samolot rzucało jak zabawką.

- Chryste - powiedział cicho na widok Taffy'ego Jonesa, który trząsał się cały, ale patrzył niewidzącym wzrokiem w szybę, a różowe bąbelki piany wypełniały mu maskę. Potem samolot przechylił się, żeby zejść do pikowania, a jakiś głos powiedział: „Pomóżcie mi” i Edmund pomyślał, że to Taffy. Dopiero potem zrozumiał, że to Jonty Patterson, któremu odłamki oderwały pół twarzy, tak że mówił kącikami ust, jak kiepski brzuchomówca.

- Przyniosę morfinę - powiedział Edmund, ale Jonty Patterson wymamrotał: - Nie, nie, tylko pomóż mi go poderwać.

Trzeba było połączonych sił ich obu, żeby wyprowadzić samolot z pikowania. D jak Dom wibrował teraz na całej długości, trzęsąc się i dygocząc, zupełnie jak Taffy Jones. Kiedy Edmund na niego spojrział, zobaczył, że Taffy jakby zapadł się w fotelu i ma szkliste oczy.

Słyszał, jak Morris Dighty krzyczy przez telefon:

- Skaczemy! - i jednocześnie słyszał głos Lena Tofta, który mówił: - Sierżant Whitton nie żyje - mamy tu z tyłu cholerną dziurę, przez którą wyleciał.

Prawy silnik zawodził złowrogo i Jonty zdrową częścią twarzy wymamrotał: - Wyłącz go.

Edmund próbował nawiązać łączność z Mackiem, który był w ogonie, ale nikt nie odpowiadał. Z tyłu wyłonił się Len Toft.

- Chryste - powiedział na widok twarzy Jonty Pattersona i jeszcze raz powtórzył: - Chryste - kiedy zobaczył, w jakim stanie jest Taffy Jones.

- Myślę, że on nie żyje - powiedział Edmund. - Czy możemy go stąd zabrać?

- Skaczmy, do jasnej cholery - powiedział Len Toft, a Edmund zauważył, że Len ma już przypięty spadochron. Prawy silnik buczał teraz chrapliwie, a samolot sprawiał wrażenie, jakby miał się zaraz rozlecieć na kawałki.

Nagle w telefonie zabrzmiał głos Maca:

- Co się tu dzieje, do jasnej cholery?

- Gdzie byłeś? - zapytał Edmund. - Ten telefon jest do kitu.

- Skaczcie - odezwał się Jonty Patterson. Ścisnął kurczowo ster i patrzył prosto przed siebie. Jego ścięta z jednej strony twarz wyglądała upiornie. Po nogach także ciekła mu krew i nagle Edmund uświadomił sobie, że chłopak umiera, ale kiedy wyciągnął rękę, żeby go dotknąć, Jonty Patterson wymamrotał: - Skacz!

Z intercomu rozległ się nienaturalnie spokojny głos Maca:

- Nie mogę skakać, mój spadochron jest w strzępach.

- Przejdź na dziób, Mac! - krzyknął Edmund, kiedy samolot zaczął pikować. Jonty Patterson wciąż zmagał się ze sterami, ale kiedy Edmund odwrócił się, zobaczył wielką dziurę, wyrwaną w boku kadłuba.

- Już idę - powiedział Len Taft, przepychając się do wyjścia ewakuacyjnego.

Mac ostrożnie przedostał się do przedniej części samolotu.

- Lewy silnik się pali - powiedział - i jest też dziura, w której zmieści się cała Walia. - A potem dodał: - Niech mnie diabli, szefie, co ci się stało? - bo zobaczył zmasakrowaną twarz pilota.

- Skaczcie - powtórzył znowu Jonty Patterson.

- A co z tobą, szefie? - zapytał Edmund, przypinając spadochron.

- Nie mogę ruszać nogami - skaczcie, do jasnej cholery - wymamrotał Jonty Patterson i wtedy nagle, po raz pierwszy, wydał im się bardzo dorosły.

- Nie zostawimy cię. - Edmund musiał teraz krzyczeć, żeby można go było usłyszeć poprzez ryk maszyny.

- Chodź - powiedział Mac, ruszając w stronę wyjścia ewakuacyjnego. - On może dostać medal pośmiertny. My poradzimy sobie na jednym spadochronie, inni już tak robili.

Samolot ostro pikował w dół, a żółte płomienie lizały wnętrze kadłuba. Musieli walczyć z siłą odśrodkową, która usiłowała ich przykleić do D jak Dom. Kiedy wychylili się do pasa przez luk, zmiażdżył ich silny wiatr, tak że prawie nie mogli oddychać. Edmund nie sądził, żeby udało im się wydostać na zewnątrz, a nawet gdyby im się udało, nie przypuszczał, żeby potrafili oderwać się od powierzchni samolotu. Zresztą, gdyby wiatr pozwolił mu obejrzeć się za siebie, nie zobaczyłby tam nic, co by mu dodało otuchy - Len Toft (a raczej to, co z niego zostało), zaplątany w spadochron, zwisał owinięty wokół części ogonowej samolotu. Nie zdążyli też jeszcze zauważyć, że samolot płonął na całej długości skrzydeł i nie widzieli, że prawe lotki zwisają w strzępach. Ale poczuli, kiedy prawy silnik nagle oderwał się od skrzydła, bo konająca maszyna przechyliła się na bok, wyrzucając Edmunda i MacKendricka przez luk.

Polecieli, szczepieni ze sobą, twarzą w twarz, jak syjamskie bliźnięta, a kiedy przelatywali obok płonącego silnika, Edmund zahaczył o sterczący kawałek metalu i rozdarł sobie ramię. Ziemia biegła im na spotkanie z niewiarygodną prędkością. Puszysty śnieg na polach i jasny księżyc sprawiały, że było jasno jak w dzień. Edmund, ogarnięty paniką, szarpnął zdrową ręką za sznurki, żeby otworzyć spadochron. Oznaczało to, że przestał już tulić do siebie Maca i kiedy czas spadochronu ostrym szarpnięciem poderwała ich w górę, ramiona Maca oderwały się od jego szyi, a Mac poleciał bezgłośnie ku ziemi. Kiedy spadał pionowo w dół, ręce i nogi miał rozpostarte jak gwiazda.

Edmund szybował ku ziemi z uczuciem dziwnej lekkości na sercu, niemal w euforii. Nagle uświadomił sobie, że w rozmarzeniu recytuje poezję. „Odpuść mi winy, bo mój koniec już bliski. Spieszę ku śmierci, a śmierć z jednaką chyżością ku mnie bieży”. Zamarznięte pola lśniły niebiesko w świetle księżyca. Edmund mógł jeszcze przez moment ponapawać się pięknem tego świata, nim przeleciał nad zagajnikiem ośnieżonych świerków, łamiąc z trzaskiem ich czubki, i zarył się w głębokiej, zimnej zaspie.

Wydawało mu się, że przespał kilka godzin pod chłodną, białą pierzyną, choć w rzeczywistości był nieprzytomny zaledwie przez kilka sekund. Kiedy otworzył oczy, zobaczył, że stoją nad nim dwaj chłopcy i starszy mężczyzna. Mężczyzna trzymał strzelbę, wycelowaną w głowę Edmunda, a chłopcy mieli kije. Edmund zamknął oczy i czekał na strzał, ale następne, co do niego dotarło, to to, że niosą go, owiniętego w jedwabny kokon spadochronu. Starszy człowiek mówił przez cały czas po niemiecku i Edmund żałował, że nie rozumie. Nie czuł żadnego bólu. Prawie cała krew uszła przez rozerwane ramię i mógł już tylko myśleć o tym, że czuje taki spokój, i dziwić się, że nie słyszy żadnych odgłosów płonącego samolotu, który leciał po niebie jak olbrzymi, ognisty ptak. D jak Dom uderzył w ziemię o dwa pola dalej, z potężnym hukiem i łomotem, ale Edmund tego nie słyszał. Patrzył w niebo nad głową, rozpościerające się jak mapa astronoma. A potem po niebie z wolna rozpełzła się fala ciemności - to ktoś zwinął mapę.

Doreen O'Doherty dowiedziała się o śmierci sierżanta Eddiego Donnera dopiero sześć tygodni później, kiedy próbowała przekazać mu wiadomość przez jego dowódcę. Tej nocy płacz ukołysał ją do snu. Dowódca był dla niej bardzo miły przez telefon. Powiedział jej, że cała załoga zaginęła (choć w rzeczywistości Morris Dighty został odnaleziony i

spędził resztę wojny w obozie jenieckim, a teraz jest na emeryturze i spędza dużo czasu na działce). Przez moment miała nawet ochotę mu się zwierzyć, ale przecież i tak nie mógłby dla niej wiele zrobić. Doreen była z Edmundem tylko dwa razy i szczerze mówiąc, w ogóle nie mogła sobie przypomnieć, jak wyglądał. Pamiętała tylko to, co wszyscy zapamiętali - jasne loki i niebieskie oczy. A jednak zapamiętała, jaki wydawał się silny, kiedy trzymał ją w ramionach, i jaki zapach miała jego miękka skóra - była to dziwna kombinacja karbolu, tytoniu i trawy. To naprawdę straszne, że ktoś, kto był tak namacalnie żywy, mógł już teraz nie żyć, a jeszcze straszniejsze było to, że ona miała nosić jego dziecko. Później nie raz jeszcze płakała, z żalu nad samą sobą. Kiedy dziecko się urodziło, Doreen oddała je do adopcji, a następnie przeprowadziła się do Leeds, gdzie wyszła za mąż za robotnika nazwiskiem Reg Collier. Wtedy też dowiedziała się, że nie może mieć więcej dzieci.

Kiedy kobieta z agencji adopcyjnej przyszła do domu dla matek w Yorku, żeby zabrać dziecko, Doreen pocieszała się myślą, że tak będzie dla niego najlepiej i że ona sama będzie miała kiedyś więcej dzieci, które zrekompensują jej tę ziejącą pustkę, jaką pozostawiło w niej pożegnanie z małą córeczką. Biorąc dziecko z rąk Doreen, kobieta z agencji adopcyjnej uśmiechnęła się i powiedziała: „Jaki śliczny aniołek”.

Rozdział 10

1966

DZWONY WESELNE

- Sklep! - Bunty zamieniła się w damę z pakunkami. Niesie tyle eleganckich papierowych toreb, że nie widzi, dokąd idzie, i o mało się nie przewraca w drzwiach Sklepu. Osuwa się na najbliższy wózek inwalidzki, strącając przy okazji część ekspozycji aparatów słuchowych na baterię, i z westchnieniem ulgi zrzuca z nóg buty.

- Tam się dzieją istne jatki - informuje nas. Tutaj też będą jatki, kiedy George dowie się, ile właśnie wydała.

- Coś ty nakupiła, do cholery ? - pyta, kiedy Bunty wyławia z jednej z toreb kapelusz i nasadza go sobie na głowę. Kapelusik jest z groszkowozielonego atłasu i wygląda jak mały bębenek. George w osłupieniu wpatruje się w atłasowy toczek. - Po coś to kupiła?

- Nie podoba ci się? - mówi Bunty, kręcąc głową jak Papuga. Ton jej głosu wyraźnie sygnalizuje, że jest jej zupełnie obojętne, czy George'owi podoba się kapelusz, czy nie. Następnie, jak z rękawa wyczarowuje parę szpilek. - Śliczne, prawda? - Buty, nieprzyzwoicie wąskie, na bardzo wysokich obcasach, są w tym samym odcieniu zieleni co kapelusz. Wystarczy na nie popatrzeć, żeby wiedzieć, że to coś na jeden raz. Z determinacją brzydkiej siostry Kopciuszka Bunty wciska stopę w jedną z nowych szpilek.

- Mogłabyś sobie obciąć palce od nóg - doradzam jej życzliwie.

Liczba nie przetrząśniętych jeszcze toreb u stóp Bunty sugeruje, że mogła kupować wszystko, co nosi się pomiędzy bieguna mi kapelusza i butów. Ona tymczasem mocuje się ze szczególnie wielką torbą od Leaka i Thorpa.

- A teraz... - mówi jak asystentka czarnoksiężnika. - Ta - ra! - po czym prezentuje suknię i płaszcz w podobnym, nieco

ciemniejszym odcieniu zupy groszkowej, z mieniącego się sztucznego jedwabiu.

- Po co ci to? - pyta George z bolesciwą miną.

- Jak to po co? Na ślub. - Bunty przykłada do siebie suknię, w pozycji siedzącej, jak inwalidka. Odwraca się do mnie. - No i jak?

Wzdycham i z zazdrością potrząsam głową.

- Jest cudowna. (Wyjątki ze świadectwa Ruby Lennox, semestr letni, 1966 - „Ruby posiada prawdziwy talent aktorski”... „Ruby była gwiazdą szkolnego przedstawienia”).

- Na ślub? - George jest już kompletnie zdezorientowany.

- Czyj znowu ślub?

- Teda, oczywiście. Teda i Sandry.

- Teda?

- Tak, Teda. Mojego brata - podpowiada Bunty, bo George patrzy na nią otepiałym wzrokiem. - Teda i Sandry. Ich ślub jest w sobotę. Tylko mi nie mów, że zapomniałeś.

- W tę sobotę? - George wygląda, jakby właśnie miał lekki atak apopleksji. - Ale... - bełkocze i zacina się - przecież oni nie mogą brać ślubu w tę sobotę... przecież w tę sobotę są finały Pucharu Świata!

- No to co? - mówi Bunty, wkładając w te trzy krótkie sylaby cały ładunek pogardy, obojętności i rozmyślnego niezrozumienia, żeby nie wspomnieć o dwudziestu latach małżeńskiej antypatii. Swoją wyrefinowaną intonacją powaliłaby na kolana nawet Chińczyka, mówiącego dialektem mandarynów.

George jest kompletnie oszołomiony.

- No co? - powtarza, patrząc na nią, jakby właśnie wyrosła jej druga głowa. - No co?

To może się ciągnąć w nieskończoność.

- Ehem - kaszlę uprzejmie.

- Zaziębiłaś się? - pyta Bunty oskarżycielskim tonem.

- Nie, tylko muszę już wracać do szkoły... - Jest poniedziałek, pora lunchu, i Janice Potter namówiła mnie, żebym się z nią zwolniła (ze szkoły można wychodzić tylko parami i trzeba się trzymać razem, na wypadek gdyby któraś została zgwałcona, napadnięta albo się zgubiła). Chciała pójść do Museum Gardens, żeby tam palić papierosy i całować się ze swoim chłopakiem. Wypuszczona tuż za bramą na szerokie wody, dałam się ponieść prądom aż do Sklepu.

Nagle Bunty upuszcza torby i podrywa się z wózka, jakby doświadczyła cudu w Lourdes.

- Pilnuj Sklepu! - mówi do mnie i wygania nieszczęsnego George'a, żeby jej pomógł „wybrać” (czyli zapłacić za) prezent ślubny dla Teda i Sandry.

W ten sposób znowu wylądowałam tutaj, żeby pilnować Sklepu - czasami czuję się jak Bunty i ta myśl, mówiąc oględnie, zbija mnie z tropu. Czy stanę się taka jak moja matka? Czy będę ładna? Czy będę bogata? Mam dopiero czternaście lat, a już „mam wszystkiego dość”. Bunty była prawie dwa razy starsza ode mnie, kiedy zaczęła tak mówić. Jestem teraz jedynaczką, ze wszystkimi tego zaletami (forsa, ubrania, płyty) i wadami (samotność, izolacja, udreka). Jestem wszystkim, co im pozostało, samotnym rubinem, czymś w rodzaju chemicznej redukcji wszystkich ich dzieci. Bunty nadal musi przelecieć przez wszystkie nasze imiona, zanim dotrze do mojego - „Patricia, Gillian, P..., Ruby jak ci tam?” Na szczęście już wiem, że wszystkie matki zaczynają tak robić, z chwilą kiedy mają więcej niż jedno dziecko. Pani Gorman, matka Kathleen, musi wyrecytować zaskakująco długą litanie dzieci - Billy - Michael - Doreen - Patrick - Frances - Joe - zanim dojdzie do „Kathleen - czy - jak - ci - tam”.

Jest poniedziałek i interes idzie dość marnie, więc wypełniam sobie czas, zastępując Bunty w tym, co stanowi jej

główne zajęcie - pakuję durexy. Zajmuję pozycję przy wielkiej rolce papieru pakunkowego, przymocowanej do ściany za ladą, i cierpliwie pociągam i drę, pociągam i drę, aż mam wystarczający zapas dużych, kwadratowych arkuszy. Potem biorę „Stalowe nożyce chirurgiczne - pierwszej jakości”, przykute łańcuchem do lady, i biorę się do krojenia dużych kwadratów na mniejsze kwadraciki. Po skończeniu wyciągam nowe pudełko prezerwatyw z magazynu na zapleczu (kiedyś była tam jadalnia) i robię pojedyncze pakieciki po trzy, zawijając starannie na końcu i zaklejając taśmą małe papierowe kopertki. Teraz durexy można już wręczać naszym szanownym klientom jak upominki („Proszę, przygotowałam wcześniej”) - szybko i dyskretnie. Oczywiście nie ja będę to robić. Mnie nie udało się sprzedać ani jednej paczuszki, odkąd tu siedzę, żeby pilnować sklepu. Nikt nie kwapi się, żeby kupować gumy („Zaplanowana rodzina to szczęśliwa rodzina”) od czternastoletniej dziewczynki. Mężczyźni wpadają do sklepu, trzymając gotowe drobne, i na mój widok natychmiast kierują wzrok na najbliższą rzecz pod ręką, po czym wycofują się, skwaszeni, ściskając w garści paczkę plastrów na odciski albo nożyczki do paznokci. W ten sposób, jak sędzę, staję się osobiście odpowiedzialna za wiele nie planowanych rodzin.

Zapakowałam już całe pudełko, a ich ciągle nie ma. Ile trzeba czasu, żeby wybrać prezent? A może oni uciekli z domu? Niepocieszona opadam na wózek elektryczny, popycham dźwignię „Powoli - w przód” i jeżdżę po sklepie, udając kulawego bandytę. Zamiast strzelby używam odkręconej sztucznej nogi, służącej jako model do elastycznych pończoch. Eksterminuję całe stoisko męskich nocników, półkę flanelowych podkładów i dwa miniaturowe torsy z bakelitu (jeden męski, jeden żeński), które spoglądają na siebie z przeciwległych rogów sklepu - greckie i niemo

tragiczne - demonstrując sobie nawzajem swoje gorsety ortopedyczne.

Przywracając męskie nocniki na ich dawne pozycje - jedne na drugich, balansujące jak linoskoczek („A teraz, jakby na przekór śmierci, fantastyczne, jedyne i niepowtarzalne Męskie Urynały) - myślę o tym, jak bardzo tęsknię za zwierzętami. Po pierwsze, stanowiły znacznie mniej żenujący towar. I nie chodzi tylko o środki antykoncepcyjne - durexy, tajemnicze galaretki i pianki, i holenderskie kapturki - niemal wszystko, czym handlujemy, niesie ze sobą wysokie ryzyko śmieszności. Szklana lada pełna jest suspensoriów i wkładek higroskopijnych; jest półka pełna protez piersi, przypominających małe, stożkowate woreczki z piaskiem, i druga, z treskami, które wyglądają raczej jak coś, co można by przypiąć koniowi; są wreszcie woreczki do kolostomii i specjalna oferta miesiąca - gumowe prześcieradła - gruby czerwony materiał, który George odcina z ciężkiej beli o zapachu opon samochodowych. Wszystko to może nasuwać jakieś skojarzenia, które później odbijają się na moim życiu towarzyskim. („A co konkretnie sprzedają twoi rodzice, Ruby?”)

Brakuje mi nawet Papugi. Trudno uwierzyć, że to ten sam Sklep, co przed pożarem. Często idę na górę, do pustych pokoi, w których kiedyś mieszkaliśmy, i próbuję przywołać przeszłość. Mieszkanie Nad Sklepem błyskawicznie popadło w ruinę - tak naprawdę nigdy już nie odzyskało swojej rangi po pożarze. Tynk łuszczy się z sufitu tam, gdzie kiedyś sypiała Patricia, a pokój, który dzieliłam z Gillian, przesiąkł dziwnym zapachem zgnilizny, zupełnie jakby zdechły szczur utkwiał gdzieś za boazerią. Teraz wydaje mi się, że Nad Sklepem to było tylko złudzenie z desek, tynku i światła - a jednak, czasami, kiedy stanę na schodach i zamknę oczy, słyszę głosy naszych domowych duchów, unoszących się tu i ówdzie wraz

z prądem powietrza. Ciekawe, czy one choć trochę za nami tęsknią?

Czasami wydaje mi się, że słyszę Papugę - jej upiorny skrzek, odbijający się echem od ścian Sklepu. Czasami wydaje mi się, że słyszę go nawet w Acomb, na drugim końcu linii telefonicznej. Miewamy telefony nie tylko od widmowych papug, ale i głuche, od nikogo - od jakiegoś niemego, iluzorycznego rozmówcy, który objawia się trzaskami i zakłóceniami na linii. Kiedy George odbiera te nieme telefony, patrzy przez kilka sekund na słuchawkę, jakby to była wyłącznie jej wina, a potem ciska ją z oburzeniem na widełki i odchodzi. Bunty dłużej się nie poddaje - próbuje wyłudzić odpowiedź, powtarzając swoje normalne, telefoniczne powitanie: „Halo, tu dom państwa Lennoxów, mówi Bunty Lennox, czym mogę służyć?“, co zupełnie wystarcza, żeby zniechęcić wszystkich, poza najbardziej zdeterminowanym, rozmówców, a nasz biedny duch bynajmniej nie jest natarczywy. „Znowu pan Nikt“, mówi Bunty, jakby to był jakiś przyjaciel naszej rodziny.

Kiedy ja odbieram, trzymam słuchawkę najdłużej ze wszystkich. Czekam cierpliwie, licząc na jakąś wiadomość. Jestem pewna, że to Patricia jest po drugiej stronie linii - nie mieliśmy od niej wiadomości od ponad roku, więc pewnie wkrótce się odezwie. „Patricia? Patricia?“, szepczę nagłaco do słuchawki, ale nawet jeżeli to ona, nie ma żadnej odpowiedzi. Twoja siostra mówi, żeby się o nią nie martwić (zobacz Przypis X). Bunty chyba nadal spodziewa się, że Patricia wróci do domu, bo zostawiła jej pokój nietknięty, a ponieważ Patricia nigdy nie należała do porządnickich, a w jej pokoju zawsze walało się brudne ubranie i mnóstwo okruszków, czuje się w nim obecnie aurę upadku i pewnie wkrótce wszystko zmieni się w pierwotny szlam.

A może to wcale nie Patricia, tylko nasza Gillian, która wędruje w otchłani i próbuje dodzwonić się do domu. Ale czy duchy mogą telefonować? Czy na tamtym świecie są budki telefoniczne? Czy trzeba mieć monetę, czy może można rozmawiać na nasz koszt? A może to ktoś zupełnie inny? Może powinnam dorwać na weselu Daisy i Rose i wyciągnąć z nich jakieś zadowalające odpowiedzi na te pytania.

- Sklep! - bąka zdawkowo George.

- Patrz! - mówi Bunty, bardzo z siebie zadowolona, wyciągając z pudełka porcelanową figurkę - kobietę w krynolinie.

- Nazywa się „Dama z krynoliną” - mówi, odwracając ją na wszystkie strony, żeby obejrzeć porcelanowe falbanki.

George prycha pogardliwie.

- To wygląda jak uchwyt na papier toaletowy.

- Dokładnie takiej uwagi można się było po tobie spodziewać

- mówi Bunty, odkładając znieważoną „Damę z krynoliną” do pudełka. - A poza tym potrzebujesz na ten ślub nowego krawata. Prawdę mówiąc, możesz teraz pójść ze mną, to coś wybierzemy.

- Nie - jęczę, naciągając sweter i beret - muszę wracać do szkoły. - Jest już na pewno po przerwie obiadowej. (Znowu się spóźniłaś, Ruby?)

George zwraca na mnie roztargniony wzrok.

- Czy ty też się wybierasz na ten ślub? - pyta ni stąd, ni zowąd.

- Ach, na miłość boską! - mówi Bunty, unosząc z irytacją brwi. - Przecież ona jest druhną!

- Ty? - mówi z niedowierzaniem George.

- Ja - potwierdzam, wzruszając bezradnie ramionami. Nie czuję się dotknięta, jestem nawet bardziej zaskoczona niż on sam.

Jestem nie tylko druhną, ale główną druhną, i krocę na czele rozgęganego stadka miniaturowych panien młodych. Wszystkie są krewnymi ze strony Sandry, choć etykieta ślubna przewiduje, że w orszaku weselnym musi być też reprezentant rodziny Teda. Kiedy jednak przyszło wybrać kogoś po mieczu, Sandrę ogarnęły wątpliwości - wszystkie potencjalne druhny ze strony pana młodego albo nie żyją, albo uciekły, albo są spirytualistkami, w związku z czym, jak Sandra słusznie uznała, żadna z nich nie nadaje się do tego, żeby sypać jej pod nogi płatki róż (choć w tym wypadku, niestety, nie będzie sypania płatków). Gdybym to ja była w jej skórze, też czułabym się dość niepewnie, mając na karku oddech Daisy i Rose. Zostaję wybrana z braku innych kandydatek - Sandra powinna była raczej rozejrzeć się poza najbliższymi krewnymi i wyłować kogoś spośród powinowatych. Lucy - Vida, na przykład, byłaby wspaniałą druhną. Nasza kuzynka z brzydkiego kaczątka przemieniła się w niezwykłego łabędzi a w spódniczce mini, z makijażem Twiggy i fryzurą Sandie Shaw. Białe pończochy kryją jej kształtne, szczupłe nogi, o wiele za długie, jak na twardą kościelną ławkę, w której zostały uwięzione. Niewygoda zmusza ją co jakiś czas do tego, żeby je rozprostować, a kiedy znowu zakłada nogę na nogę, krzyżując je jak wełnę o podwójnym splocie, pastor potyka się o słowa ślubnej liturgii i wzrok robi mu się szklisty.

Kaplica metodystów na St Saviourgate jest olbrzymia i przepastna - coś jakby skrzyżowanie masońskiej świątyni z miejską łaźnią. Jak z tego widać, wszyscy ze strony Sandry to metodyści i wśród „naszych” (bo już prawie jesteśmy na stopie wojennej) zaczyna krążyć niepokojąca plotka, że to ma być „abstynencki jubel”. Nabożeństwo ślubne wlecze się bez końca i gdyby nie piwniczny chłód w kaplicy oraz niesforne zachowanie mojej młodocianej trzódki, mogłabym bez trudu zasnąć na stojąco, zwłaszcza że zamiast śniadania połknęłam

przed ceremonią dwa proszki uspokajające Bunty. Małe druhny szurają i chichoczą, i kłóca się, upuszczają wiązanki, ziewają i wzdychają, ale za każdym razem, kiedy się odwracam, żeby je zganić wzrokiem, zastygają w pozie niewysłowionej dobroci. To mi przypomina zabawę w pomnik i czekam tylko, aż któraś z nich mnie dotknie, żebym mogła walnąć ją ciężkim bukietem bezwonnych róż, który trzymam dla panny młodej. Za bardzo się pogrążyłam w mroczną, młodzieńczą ponurość, żeby pilnować małych dzieci, i gdybym wiedziała, że będzie to należało do moich obowiązków (to mój pierwszy ślub), protestowałabym jeszcze gwałtowniej, kiedy Bunty błagała mnie, żebym przyjęła tę pracę.

Państwo młodzi - przynajmniej od tyłu - zdradzają niezwykle podobieństwo do figurek na szczycie tortu weselnego. Panna młoda występuje w bieli i według wiarygodnych informacji (z ust Teda) jest dziewicą. I rzeczywiście, to tylko krańcowa frustracja seksualna mojego wuja zapędziła go w końcu w ten małżeński ślepy zaułek. Zwlekał ze ślubem tak długo, jak tylko było to możliwe - od pierwszej randki z Sandrą w Odeonie aż do finalnego rendez-vous przed ołtarzem minęło osiem lat. Kiedy wreszcie wzruszająco romantyczne ultimatum ze strony Sandry („Jeżeli nie podasz dnia, będą zbierać twój mózg na Coney Street”) zmusiło go do ustalenia daty, Ted wyznaczył termin możliwie jak najbardziej odległy. Skąd mógł wtedy wiedzieć, że 30 lipca 1966 roku nie tylko odbędą się finały Pucharu Świata, ale i Anglia będzie grała z zaprzysiężonym wrogiem naszej rodziny - ze Szwabem!

Druhny ubrane są w brzoskwiniowy, poliestrowy atłas, a nasze sukienki, podobnie jak suknia panny młodej - obszerne, okrągłe i bombiaste z obszernymi, okrągłymi i bufiastymi rękawami - robią z nas małe damy w krynolinach. Nasze

atłasowe pantofelki ufarbowano pod kolor sukien, podobnie jak wiązanki z goździków, a na głowach mamy sztuczne pączki brzoskwiniowych róż na ciasnych jak imadło opaskach, jak u Alicji w Krainie Czarów.

Tłumię raz po raz ziewanie, ale niestety, nie da się stłumić zenującego burczenia, które co jakiś czas wydaje mój żołądek - wzbudzając nie kontrolowane salwy papuzich skrzeków i chichotów ze strony stadka druchen.

Kiedy pastor pyta, czy ktoś ma jakiś powód, żeby nie dopuścić do tego małżeństwa, wszyscy patrzą na Teda, ponieważ jest on osobą najbardziej skłoną zaprotestować, ale on odważnie prostuje plecy i nabożeństwo toczy się dalej, z jednym tylko małym potknięciem ze strony pastora, kiedy Lucy - Vida próbuje obciągnąć spódniczkę, żeby zakryć krocze.

Mój pierwszy ślub raczej mnie rozczarowuje. Kiedy ja będę wychodziła za mąż, nie będzie żadnych brzoskwiniowych poliestrów. Kościół, w którym będę brała ślub, będzie bardzo stary - oczywiście jest ich w Yorku pełno - może kościół Wszystkich Świętych, z tą jego piękną wieżą ze świetlikami - albo u Świętej Heleny - w naszym własnym sklepikarskim kościele! Będzie się w nim unosił zbutwiałych zapach starego drewna, kamieniarka będzie misterna jak flamandzkie koronki, a okna skrzyć się będą kolorowymi rombami. Kościół będzie tonął w blasku białych świec, a wszystkie ławki i boczne kaplice będą przybrane gardeniami, ciemnozielonym bluszczem i woskowobiałymi liliami, przypominającymi trąby anielskie. Będę miała suknię z opadającej śnieżnymi kaskadami antycznej koronki, ozdobioną girlandami i przybraną pączkami róż - jakby te same ptaszki, które pomogły Kopciuszkowi ubrać się na bal, znowu się zleciały i zaczęły krążyć wokół mnie, ciągnąc, układając i spinając materiał. Przez cały czas będą biły

dzwony, a ja będę oświetlona pojedynczą, zakurzoną wiązką słonecznych promieni. Goście będą tonąć w powodzi płatków różanych, a wszyscy mężczyźni wystąpią w eleganckich garniturach (Ted nawet sobie nie kupił nowego ubrania na tę okazję). I przede wszystkim nie będzie żadnych drухen.

Jedna z małych, poliestrowych drухen szturcha mnie w piętę atłasową stópką, inna znowu dłubie w nosie i wyciera swój śluzowaty i szary łup w sukienkę. Syczę na nie, żeby przestały, ale one tylko robią do mnie miny. Czy to się kiedyś skończy?

Wreszcie młoda para znika w zakrystii i ktoś zaczyna grać Bacha, bardzo kiepsko, na rozstrojonych organach, podczas gdy podzieleni goście - jego i jej - szepczą nerwowo między sobą, co myślą o tym wszystkim. Wreszcie rozlega się triumfalnie Marsz weselny. Ruszamy środkiem nawy, a wszyscy uśmiechają się do nas jak banda idiotów, nie tyle z radością, ile z ulgą.

- A niech to, ale mi pęcherz dokucza - mówi ciocia Eliza, kiedy ją mijam. Pozaziemskie kwietne bliźniaczki kiwają się w ławce jak para robotów, żeby móc śledzić wzrokiem pannę młodą, która je odtrąciła. Słyszę, jak ciocia Gladys wzdycha z ulgą:

- No, przynajmniej nikt się nie przewrócił.

Zdjęcia na schodach kościoła zdają się trwać dłużej niż samo nabożeństwo. Dopiero kiedy przybywają goście na następny ślub i obie grupy weselników tłoczą się przed kościołem i mieszają ze sobą, decydujemy się przejść na przyjęcie, a słaniającym się drухnom wolno opaść na siedzenia wielkiego czarnego austina princess, obwiązanego białymi wstążkami. Siedzę z tyłu, z nadętą, antypatyczną miną. Czuję się jak Alicja w Krainie Czarów, która nagle urosła - wielka, przerośnięta dziewczynka, wtłoczona pomiędzy niemal identyczne, tylko mniejsze. Ledwo

zapadłam w nerwową, niespokojną drzemkę, a już zajeżdżamy przed hotel i znowu gramolimy się z samochodu. Okazuje się, że "jubil" wcale nie jest abstynencki i bar hotelu w Fullford błyskawicznie się wypełnia, zupełnie jakbyśmy przemierzyli Saharę, a nie centrum Yorku.

Moja trzódka rozpierzcha się na cztery strony świata i wpada w objęcia rodziców, którzy gratulują swoim pociechom urody, wdzięku, sprytu, słodyczy i tak dalej. George'a i Bunty nigdzie nie widać, ale w końcu udaje mi się wypatrzeć George'a po drugiej stronie sali. Rozmawia z pulchną kobietą, ubraną dość szokująco w szafirowe spodnium pod szerokim sombrero z czerwono - białej słomki. Przy bliższym przyjrzeniu się stwierdzam, że to ciocia Eliza, z wysmarowanym szminką kieliszkiem w jednej ręce i nie wręczonym prezentem w drugiej. Przygarnia mnie do piersi, wyciska mi na obu policzkach głośne pocałunki i mówi, że ślicznie wyglądam. Już mam jej pogratulować tych patriotycznych barw w dniu tak wielkiej wagi państwowej, ale ona wciska mi do ręki prezent i każe mi iść i „położyć go na stosie - to tylko serwetki na stół” - oraz „przy okazji” przynieść jej talerz czegoś z bufetu.

Bufet, który zajmuje dwa długie, nakryte obrusem blaty pod ścianami sąsiedniej sali, jest ewidentnie odstępstwem od tradycyjnych, zasiadanych przyjęć w rodzinie Sandry. Wiem to stąd, że żeńska część gości po kądzeli - przeważnie wystrojona w pastelową kremplinę - przechadza się wzdłuż stołów, rozmawiając o bufecie i jego nowatorskiej roli. Wydają przy tym śmieszne odgłosy, jak zboże przy silnym wietrze, „css - css, szu - szu, fu - fu”, trzymając torebki wysoko pod biustem, jak damy z pantomimy.

- To się nawet nie umywa do prawdziwego, porządnego przyjęcia - mówi któraś z nich. Wtóruje jej pomruk aprobaty. -

Pamiętacie bankiet u naszej Lindy - połędwica wołowa, no i garnie?

- A ta zupa ogonowa - dorzuca inna, po czym wszystkie zaczynają obchodzić stół z drugiej strony, podkreślając wątkość plasterków szynki („Mogliby przynajmniej podać prawdziwą szynkę z Yorku”) i anemiczność kanapek z jajkiem („Więcej majonezu niż jajka”). Przyglądają się przy tym podejrzliwie dwóm kelnerkom, zatrudnionym do wydzielania takich specjałów. Zauważają mnie, wciąż z prezentem w ręku, i uśmiechają się zachęcająco.

- Prezenty są tam, kochasiu - mówi jedna z nich, wskazując jeszcze inny stół, zastawiony tosterami w dwóch egzemplarzach i naczyniami żaroodpornymi w trzech. Na szczęście nie widać innych serwetek.

Szykuję przy bufecie talerz dla cioci Elizy. To najmniej wybredna osoba, jaką znam, zwłaszcza jeżeli chodzi o jedzenie, więc zrzucam na kupę wszystko jak leci, bez różnicy, z wyjątkiem przybrania, które choć tak dziewicze i nietknięte jak sama panna młoda pod welonem, zdążyło się już roztopić w tęczową maź.

Kiedy wracam do cioci Elizy i mojego ojca, znajduję ich już w stanie gorszym o jakieś trzy podwójne dziny i nadal ani śladu ich współmałżonków - wuja Billa i Bunty. Jak ciocia Eliza poradzi sobie z talerzem, kieliszkiem, papierosem i moim ojcem, trudno powiedzieć, więc godzę się odgrywać rolę lokaja, trzymając jej talerz, na który rzuca się z podziwu godnym apetytem.

- Co za kupa cudaków, ci od Sandry - mówi, wskazując głową najbliższego gościa, odzianego w kremplinę, i nadgryzając suflet z pieczarkami, który natychmiast zaczyna się wszędzie przemieszczać. - Wyglądają, jakby im ktoś wsadził w dupę pogrzebacz - dodaje wesoło, nieświadoma tego, że matka panny młodej, potężna kobieta imieniem

Beatrice - skrzyżowanie Soroptymistki z zapaśnikiem sumo - znajduje się w zasięgu słuchu. George spostrzega jej nadciągające cielsko i podejmuje widoczne wysiłki, żeby wziąć się w garść.

- Ejże - mówi, siłąc się na dyplomację i ponosząc sromotną klęskę - a oto i szanowna teściowa.

Z tych opresji ratuje go wuj Ted, który ponaglająco gestykułuje od drzwi. Zbieram z podłogi rozsypane kawałki sufletu, a potem mówię przepraszam i wychodzę. Mój żołądek wydaje alarmujące odgłosy, więc znowu kieruję się do bufetu, zastanawiając się, gdzie się podziali wszyscy męscy członkowie przyjęcia - w zasięgu wzroku nie ma ani jednego mężczyzny, a przecież, o ile wiem, w tym czasie nie wybuchła żadna wojna. Nagle nadziewam się na zalaną łzami Lucy - Vidę, której znaczna część ciężkiego, czarnego makijażu spłynęła po policzkach. Pociąga hałaśliwie nosem i ociera twarz udrapowanym wokół szyi purpurowym boa z piór.

- Daj chusteczkę - wzdycha tragicznie.

- Lepszy będzie Kleenex - proponuję, prowadząc ją z zatłoczonego środka sali ku rzędowi wrzecionowatych krzesel za stołem, na którym stoi tort weselny. Przybranie stołu tworzy bukiet panny młodej i wiązanki druhen, jak również cała gama kartek z życzeniami, w kształcie czarnego kota czy srebrnej podkowy, a także bukiety białego bzu. Tort weselny Sandry to zaledwie dwupiętrowy pagórek - ja będę miała imponujący, pięciokondygnacyjny Mont Blanc misternie rzeźbionego śniegu z różami od Terry'ego.

Siedzimy pod ścianą, jak dziewczęta, które sieją pietruszkę na balu w ratuszu, i obserwując paradujących gości, powierzamy sobie szeptem nasze sekrety. Sekret Lucy - Vidy jest co najmniej przygnębiający.

- Ale mnie urządził, moje dziecko - wyznaje, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w tort weselny, który nagle urasta

w moich oczach, nabierając nie tyle wielkości, ile symbolicznego znaczenia, bo gdy Lucy - Vida ciągnie dalej swoją opowieść, staje się jasne, że nie dla niej polewa migdałowa i lukier. - Musiał być żonaty, do cholery, no nie? - mówi, a z jej rozmazanych oczu wycierają pasja i zdrada. Wzdycha ciężko i osuwa się głębiej na niewygodnym krześle. Jest bardzo blada, a wargi ma bezkrwiste jak wygłodniały wampir. Może mimo wszystko dostała imię po Lucy Harker, choć jej blade oblicze może być też zasługą makijażu. Albo jej stanu. Spogląda na swój brzuch i z niedowierzaniem potrząsa głową. - A teraz zostawił mnie z brzuchem, niech go cholera! - A po kilku sekundach niemej kontemplacji dodaje: - Mój tatko mnie zabije.

- Nie przejmuj się - próbuję ją pocieszyć. - Mogło być gorzej. - Ale choć marszczymy brwi i łamiemy sobie głowy, nie przychodzi nam na myśl nic gorszego. - Chyba nie jedziesz do Clayton? - pytam, zbyt dobrze pamiętając, co przytrafiło się Patricii.

Lucy - Vida patrzy na mnie podejrzliwie.

- Do Clayton?

- Do domu dla matki z dzieckiem, żeby je oddać do adopcji, jak Patricia.

Lucy - Vida chwytając się obronnym gestem za brzuch i mówi z pasją:

- Nie ma mowy! - a ja czuję lekkie ukłucie zazdrości o jej nienarodzonego potomka. Choć może to był i głód - prawdę mówiąc, kręci mi się w głowie z głodu, zwłaszcza kiedy zbyt szybko podnoszę się i proponuję Lucy - Vidzie, że przyniosę jej coś z bufetu. Na samą myśl o tym blednie, a ja oddalam się chwiejnym krokiem, ostrząc sobie zęby na ciasto. Niestety, ledwo udało mi się pokonać drogę wokół tortu, wpadam w zasadzkę, zastawioną przez parę nieszczęsnych, kwiatowych bliźniaczek.

- No, Ruby, jak leci? - mówi zimno jedna z nich. To dość enigmatyczne pytanie zawisa między nami w powietrzu, nabierając dramatycznie znaczenia, podczas gdy ja próbuję wymyślić stosowną odpowiedź.

- Jakoś tam leci - odpowiadam bez przekonania. Lekkie przechylenie głowy jednej z nich odsłania pieprzyk pod brodą. Możliwość identyfikacji dodaje mi pewności siebie, więc przybieram uśmiech Bunt (gdzie się podziewa moja matka?) i mówię wesoło: - Cześć, Rose, jak się masz? - a ona uśmiecha się, z zimnym błyskiem triumfu w oczach.

- Prawdę mówiąc, Ruby, jestem Daisy.

- Przecież masz pieprzyk - odpowiadam zdecydowanie. - Widzę go.

Druga bliźniaczka robi krok w moją stronę i unosi podbródek, odsłaniając identyczny pieprzyk. Horror! Chcę go zdrapać paznokciem, żeby się przekonać, czy jest prawdziwy, ale jestem zbyt wielkim tchórzem. Patrzę to na jedną, to na drugą, poważnie zakłopotana. Czuję się, jakbym właśnie przeszła na drugą stronę lustra i nie mogła znaleźć kominka, żeby się czegoś uchwycić.

- Dobrze się bawisz w roli druhny, Ruby? - pyta jedna z nich - ta z lewej. Brzmi to jak podchwytliwe pytanie, ale nie mam pewności, gdzie kryje się podstęp.

- Oczywiście - mówi druga, gładko jak wąż - jest im ciębie żal. Pewnie dlatego cię wybrali.

- Żal? Mnie? - powtarzam bezmyślnie, mrugając ze zdumienia. To coś całkiem nowego.

- Straciłaś tyle sióstr - mówi ta z prawej, machając dramatycznie ręką.

- Stracić jedną - mówi druga bliźniaczka - może uchodzić za nieostrożność.

- ...ale stracić trzy - kontynuuje gładko pierwsza - no... to już trochę podejrzanę. Co ty na to, Ruby?

- Na miłość boską, Ruby - mówi ta druga, potrząsając rozklejającą się koafiurą w kolorze cytrynowego dropa - coś ty z nimi wszystkimi zrobiła?

- Dwie siostry - odpowiadam słabym głosem. - Mam tylko dwie siostry, a Patricia wcale nie zginęła. Ona wróci.

- Nie bądź taka pewna - odpowiadają w idealnej harmonii, ale ja już zdążyłam wycofać się na drugi koniec sali i ruszam w poszukiwaniu jakiegoś azylu. W holu słyszę ryk telewizora „Ball podaje od narożnika... Hurst... i szansa na gol” - a potem wielki wrzask, z telewizora i z sali telewizyjnej, i „Loża królewska rozpływa się w uśmiechach”. Otwieram drzwi i zaglądam do środka. Poprzez gęste opary dymu tytoniowego i alkoholu widzę większość męskich uczestników przyjęcia, wykonujących taniec wojenny i wykrzykujących nazwisko Martina Petersa. Chciałabym zostać i trochę sobie popatrzeć, ale kątem oka dostrzegam jedną z bliźniaczek, więc rzucam się do damskiej toalety.

Gdzie, ku memu wielkiemu zdumieniu, odnajduję moją matkę, jakby lekko zdefasonowaną - bębenkowaty kapelusik ma powgniatany, nie ma butów i jest zadziwiająco pijana.

- Upiłaś się! - dyszę bez tchu. Bunty rzuca mi mętne spojrzenie i zaczyna coś mówić, ale zaraz ulega atakowi czkawki.

- Oddychaj! - odzywa się rozkazujący głos z jednej z kabin, po czym słychać hałas spuszczonej wody, a ja czekam z ciekawością, żeby zobaczyć, kto się wyłoni ze środka. To ciocia Gladys.

- Oddychaj! - znowu przypomina Bunty. Bunty posłusznie nabiera wielki haust powietrza i zaczyna się dławić. - To powinno wystarczyć - mówi ciocia Gladys, klepiąc ją pokrzepiająco po plecach. Ale nie wystarcza i czkawka powraca z nową siłą. Proponuję Bunty, że ją nastraszę, ale ona odmawia zmęczonym gestem, tak jakby już

miała dość strachów. Wystrój hotelowej toalety dla pań jest różowy i fluorescencyjny, a trzy ściany są nieprzyzwoicie wyłożone lustrami. Bunty, przekrzywiona na buduarowym taboreciku przypominającym muchomor, odbija się w lustrach w nieskończoność - niepokojąca wizja matki; wizja, która zdaje się nie mieć końca.

- Gdzie masz buty? - pytam, stawiając na praktyczność w obliczu tych pijackich emocji, ale w odpowiedzi słyszę tylko głośnie czknięcie. Ciocia Gladys grzebie w swojej przepastnej torbie i wyciąga buteleczkę soli trzeźwiących. Macha nią Bunty przed nosem, a Bunty krztusi się i niepokojąco przechyla na stołku.

- Nic jej nie jest - mówi pocieszająco ciocia Gladys do jednego z moich zwielokrotnionych odbić w lustrze. - Trochę za dużo wypła; nigdy nie miała mocnej głowy, ta twoja matka.

Zgłaszam się na ochotnika, że pójde po szklanek wody, a kiedy opuszczam toaletę, słyszę, jak matka mamrocze coś, co brzmi zupełnie jak „mam już wszystkiego dość”.

Barman, bardzo miły i nawet dość przystojny, wrzuca do szklanki wody plasterki cytryny, dwie kostki lodu i małą parasolkę, kiedy mówię mu, że moja mama źle się czuje, a mnie za darmo daje cokę. Moja droga powrotna do toalety jest dość chaotyczna. Najpierw nadzieję mam na Adriana, który mówi mi, że ma nowego psa, nomen - omen yorkshireterriera.

- Ale byłoby śmiesznie - mówię mu - gdyby tylko Alzaccy trzymali owczarki alzackie, a ludzie na Labradorze tylko labradory, a Walijczycy welshterriery, a Szkoci owczarki szkockie. Tylko kto miałby wtedy pudle? I jaką rasę psów trzymaliby ludzie na Fidżi...

Aż w końcu Adrian mówi:

- Zamknij się, nasza Ruby, grzeczne dziecko. - Krzywiąc się, podnosi pasemko moich cienkich i tłustych włosów

podlotka. - Kto ci je przycinał, Ruby? - Zgnębiony potrząsa głową. - Choć - pociesza mnie w końcu - nie są aż takie złe jak włosy tej ich Sandry. - Włosy tej ich Sandry są rzeczywiście przerażające - wysoka, bombiasta konstrukcja, która byłaby całkiem na miejscu na dworze Króla Słońce. Być może nawet gnieźdzą się w niej ptaki.

Ledwo zostawiłam Adriana, a już osacza mnie armia ciotek Sandry, które mnie dokładnie wypytyują o koneksje rodzinne Teda. Kremplinowa inkwizycja jest bardzo nieszczęśliwa, że sprawy tak się mają na tym przyjęciu, które toczy się już od trzech godzin, a wciąż nie ma toastu i tort nie został jeszcze pokrojony. Z najwyższym trudem udaje mi się wyrwać z tego przesłuchania i prawie natychmiast potykam się o jedną z małych drухen, a z moich ust wyrwa się przekleństwo, od którego w powietrzu robi się szafirowo jak od spodniomu cioci Elizy. Następuje kilka gwałtownych wdechów po stronie metodystów, a ja wznawiam moją podróż do damskiej toalety. „Wolny strzał dla Niemiec. Jeszcze jedna minuta gry - sześćdziesiąt sekund - każdy Anglik się cofa, każdy Niemiec napiera”. Napięcie płynące z sali telewizyjnej jest widoczne jak dym armatnich salw. Z głębi kolektywnej, narodowej nieświadomości wyrwa się straszliwy ryk. „Jack Charlton pada, trzymając się za głowę”. Każdy Anglik w sali telewizyjnej także jest w stanie zapaści, a ja ruszam pospiesznie w drogę tylko po to, żeby stanąć oko w oko z kipiącą panną młodą.

- Nie widziałaś Teda? - pyta z wielkim wzburzeniem.

- Teda?

- Tak, Teda - mojego cholernego tak zwanego męża! - Sandra kręci się wokół własnej osi, obserwując hotelowe korytarze jak kłapiący krokodyl. - Gdzie się wszyscy podziali?

- pyta ze zdumioną miną.

- Jacy wszyscy?

- Mężczyźni.

Patrzę z zainteresowaniem, jak na twarz Sandry powoli zstępuje olśnienie. Wydaje cichy okrzyk przygnębienia i tupie atłasową stopą.

- Cholerny Puchar Świata! Ja go zabiję, zabiję, zabiję! - Po czym znika w kłębach pary, unosząc długą białą suknię i porywając po drodze matkę. Rozglądam się za Lucy - Vidą, bo właśnie przyszło mi do głowy coś jeszcze gorszego niż bycie panną w ciąży (być Tedem), ale nigdzie jej nie widać, więc kontynuuję moją wyprawę do „Pań”, nareszcie bez przeszkód.

Dwie z trzech kabin są zajęte, więc schylam się, żeby poszukać stóp Bunt, obutych czy nie, i wtedy przenika mnie dreszcz niepokoju, bo widzę, że obie kabiny zajęte są przez identyczną parę stóp. Dwa głosy pytają:

- Kto tam?

- To tylko ja, Ruby! - odkrzykuję, rejterując w pośpiechu.

Idę zwrócić szklanek wody komuś przy barze, a konkretnie miłemu barmanowi, ale kiedy tam docieram, zastaję Adriana i barmana pogrążonych w rozmowie, i choć moszczę się radosna jak ptaszek na barowym stolku obok Adriana, wkrótce odkrywam, że świat przestał dla nich istnieć. Czuję się jak przyzwoitka, więc odchodzę, kręcąc ponuro w palcach papierową parasolkę.

Nagle robi się zamieszanie, bo wszyscy mężczyźni, którzy przedtem gdzieś zniknęli, zostają z powrotem zapędzeni na przyjęcie przez Sandrę i jej matkę. Beatrice zostaje przy drzwiach, na straży.

- Byli w sali telewizyjnej - zwraca się głośno, tytułem wyjaśnienia, do reszty weselnych gości. - Tam ich poniosło - oglądali piłkę nożną!

Za nimi, przez otwarte drzwi, napływa komentarz. „I oto Ball, chyba zgłupiał, a tam Hurst - czy mu się uda?”

Mężczyźni tkwią w miejscu, jakby wrosli w ziemię, wyciągając szyje, żeby lepiej słyszeć, a ich twarze wykrzywiają się w bolesnej udręce. „Udało mu się! - tak - nie! Nie, mówi sędzia liniowy, jednak nie!”

- Jebany sędzia! - ryczy wujek Bill, a kremplinowi krewni wydają przeraźliwe odgłosy, jakby się dusili.

„Jest gol! Gol! Niemcy są wściekli na sędziego!” A mężczyźni są wściekli na Sandrę.

Ale na Sandrze nie robi to żadnego wrażenia.

- Cholerny Puchar Świata - mówi, a jej oczy tną jak strzały, kiedy ze wstrętem odwraca się do Teda. - Nie wstyd ci? Czy twój ślub nie jest dla ciebie ważniejszy niż Puchar Świata?

A Ted nie może się powstrzymać. Do tej pory kłamstwa spływały mu z ust jak deszcz, ale teraz z przerażeniem widzimy, że przy tej okazji - tej bardzo ważnej, publicznej okazji - rozbija się, niby skoczek bez spadochronu, o twarde skały prawdy.

- Oczywiście, że nie - mówi. - Przecież to finał, do jasnej cholery!

Klap! Ręka Sandry trafia go w policzek.

- Przestań! - mówi Ted, sięgając po pierwszy lepszy pocisk pod ręką, którym okazuje się bukiet panny młodej, na stole z tortem. - Sandra - skomle, w wątlej próbie, by ją udobruchać, ale Sandra jest już rozpalona do białości i wszystkie srebrne podkówki świata nie są w stanie uratować Teda.

- Nie było żadnych przemówień - wrzeszczy na niego. - Ani żadnych toastów, nie pokroiliśmy tego cholernego tortu! Co to ma być za ślub?

„Już po wszystkim, chyba... nie, to... Nadbiega Hunt...”

- Jesteś zwyczajna hołota! - wybija się głos Beatrice, która łokciami toruje sobie drogę do zięcia, trzymając w

pogotowiu torebkę. Ted, przerażony, próbuje się wycofać i omal nie przewraca się na małą druhenę, która płacze mu się pod nogami (one są jak robactwo). W desperackim wysiłku, żeby jej nie zmiażdżyć, traci równowagę i zatacza się w stronę stołu, unoszącego tort weselny. Wszystko zaczyna się odbywać jakby na zwolnionych klatkach - Ted wali się, młóćąc rękami jak wiatrak, w rozpaczliwej próbie odzyskania równowagi oraz uniknięcia nieuchronnego i nieuniknionego wypadku, który właśnie rozgrywa się przed naszymi oczyma. Małeńka para młoda na szczycie tortu kołysze się i chwieje, jakby siedziała na szczycie wulkanu. „Ludzie wchodzą na boisko - myślą, że już po wszystkim”. Ted wydaje jęk, kiedy nogi załamują się pod nim i jednym straszliwym, slapstickowym rzutem, pada - twarzą do dołu - na tort weselny. „Tak, to już koniec!” Dziwne westchnienie obiega krąg przyglądających się weselnym gości, jakby wreszcie mogli odetchnąć, bo już przynajmniej wiedzą, że najgorsze nieszczęście mają za sobą i już nie może być gorzej. (Ja nie byłabym taką optymistką).

Dziwna cisza, która nas dotąd spowijała, przerywana tylko telewizyjnym komentarzem, natychmiast pęka, a ponad głowy gości wzbija się głośnie paplanina i pisk. Obelżywa „hołota” Beatrice właśnie znalazła swój cel i gdy trafia w dziesiątkę, zaczynają się formować bojowe szyki.

- Hołota? - mówi wuj Clifford. - Hołota? Kogo nazywasz hołotą? - To do Beatrice, która odszczekuje:

- Ciebie i całą twoją rodzinę - oto, kogo nazywam hołotą. Masz coś przeciwko temu?

- Mam, do jasnej cholery! - mówi Clifford i rozgląda się, licząc na poparcie. Jego wzrok naturalnym biegiem rzeczy zatrzymuje się na jedynym synu, który, nieporuszony widokiem stanowisk bojowych, formujących się po całej sali,

jest wciąż głęboko pochłonięty rozmową z barmanem. Wuj Clifford marszczy brwi.

- To dziwne - mówi podejrzliwym tonem, ale nie jest mu już dane szczegółowo rozwinąć tej opinii, bo Beatrice wali go torebką tak mocno, że spadają mu okulary. W ciągu kilku sekund w sali podnosi się straszny tumult - wszyscy tłuką się i grzmocą na oślep. Zauważam, że George i Bunty - dwie osoby, które mogłyby ich nauczyć wszystkiego o podstępnie i technice walki - są nieobecne, w tej burdzie. Nie czuję się zobowiązana do jakiejś szczególnej lojalności w stosunku do żadnej z wojujących partii, bez względu na więzy krwi, więc próbuję się niepostrzeżenie wymknąć. Wolałabym co prawda wyjść do bufetu, bo osiągnęłam już stan bliski śmierci głodowej, ale sala z bufetem została całkowicie odcięta przez walczących między sobą głównych weselników - Teda i jego pierwszego drużbę, którzy bronią swoich pozycji przed Sandrą i jej małymi druhnami.

- Ruby! - krzyczy na mój widok Sandra. - Chodź tu, twoje miejsce jest przy mnie!

- Nie, do cholery! - ryczy Ted. - To moja siostrzenica!

- Ale moja pierwsza drużba! - z wściekłością odparowuje Sandra, po czym rozpętuje się zupełnie nowa bitwa o to, czyje barwy powinnam wspierać. Przedziera się do wyjścia po stronie sali telewizyjnej, gubiąc po drodze opaskę i but. Cieszy mnie tylko perspektywa względnego spokoju. Kiedy staję w progu sali telewizyjnej, przez moment nie jestem pewna, co to takiego jest, na co patrzę, ale potem ten złożony, szamoczący się czarno - biały kłęb pośrodku podłogi, który na pierwszy rzut oka przypomina pingwina miotanego epilepsją, rozpada się na coś jeszcze bardziej przygnębiającego - George'a i jedną z kelnerek z bufetu, odbywających stosunek seksualny. „Ach, Nora, a niech cię, Nora!”, wykrzykuje mój ojciec w paroksyzmach ekstazy, po czym opada na nią ciężką,

zaspokojoną masą. Kelnerka wygląda pod nim jak przygnieciony robak, rozpaczliwie przebierający rękami i nogami. Nagle spostrzega mnie i na jej twarzy odmalowuje się nieopisane przerażenie. Bezskutecznie usiłuje uciec mojemu ojcu, ale on wciąż spoczywa na niej całym swoim nieruchomym ciężarem. Nigdy przedtem nie byłam świadkiem orgazmu, ale mimo mojej ignorancji czuję, że ojciec powinien już chyba zapalać post - coitalnego papierosa i wzdychać z satysfakcją, zamiast leżeć tak jak kłoda. Jednym silnym podrygiem kelnerce udaje się wydostać spod spodu, a George przetacza się na plecy i leży bez ruchu, z otwartymi ustami. Jego ostatnie słowa zdają się unosić w cuchnącym powietrzu sali telewizyjnej. Już mam zapytać kelnerkę, czy rzeczywiście ma na imię Nora, ale zmieniam zdanie. Nie czas i miejsce na to, żeby się sobie przedstawiać. Ona tymczasem usiłuje poprawić na sobie mundurek, nie spuszczać wzroku z George'a, a twarz tężeje jej w przerażeniu, kiedy zaczyna jej świtać prawda. Padamy na kolana, po obu stronach George'a, i patrzymy na siebie w niemej trwodze. Teraz stało się już dla nas obu całkiem jasne, że George bynajmniej nie trwa w stuporze satysfakcji, tylko jest całkiem, ale to całkiem nieżywy. Tymczasem Kenneth Wolstenholme, nie zrażony, ciągnie dalej. „To wielka chwila w historii sportu, kiedy Bobby Moore podchodzi, żeby odebrać Puchar Świata...”

Kelnerka nachyla się i przytyka ucho do jego bezdźwięcznej piersi.

- Wiesz, kto to jest? - szepce, a kiedy odpowiadam: - To mój ojciec - wydaje cichy okrzyk przerażenia z powodu nowych wątków, które ten fakt wnosi do scenariusza. - Zazwyczaj nie robię takich rzeczy - mówi bezradnie, ale nie jest dla mnie do końca jasne, czy ma na myśli przypadkowy seks z gośćmi weselnymi czy nieumyślne zabijanie ich przy tej okazji. Nie ma też żadnych szans, żeby to zbadać, bo nagle

w drzwiach pojawia się Bunty, teraz już bez kapelusza i bez butów, jeszcze bardziej pijana niż przedtem, a my aż podskakujemy na jej widok. Patrzy w niemym zdumieniu na scenę, rozgrywającą się przed jej oczyma. Biedny George prezentuje się bardzo niegodnie, kiedy tak leży na wznak, z wciąż rozpiętym rozporkiem - ale zapięcie go nie wydaje się stosowne jako ostatni obrządek.

- Zdaje się, że miał atak serca - mówię głośno do Bunty, próbując przebić się przez otaczające ją opary alkoholu. - Możesz wezwać karetkę?

- Za późno - mówi bezdźwięcznym tonem kelnerka, a Bunty wydaje jęk i zataczając się, rusza w stronę George'a.

- Pani go знаła? - pyta łagodnie kelnerka, dostosowując czas do tego wydarzenia.

- To mój mąż - odpowiada Bunty, osuwając się na kolana, żeby się do nas przyłączyć, i teraz to kelnerka musi stłumić cichy jęk.

- Wezwę karetkę. - Kelnerka błyskawicznie wycofuje się z sali telewizyjnej.

- Musimy coś zrobić - mówi ze wzburzeniem Bunty i zaczerpnąwszy tchu, nachyla się i zaczyna robić George'owi sztuczne oddychanie. Gdzie się tego nauczyła? Pewnie od doktora Kildare'a. To dziwne przeżycie widzieć, jak próbuje tchnąć weń pocałunek życia - kiedy żył, nigdy nie widziałam, żeby go całowała, a teraz, kiedy nie żyje, całuje go z całą żarliwością panny młodej. Ale bez skutku. W końcu przysiada na piętach i nieruchomym wzrokiem patrzy w ekran telewizora, który tymczasem zdążył się zmienić w morze triumfalnych brytyjskich flag.

Pogrzeb, który odbywa się w następny piątek, jest jak negatyw wesela - bardzo podobni goście, bardzo podobne jedzenie, ale, na szczęście, inny kościół i hotel. Nabożeństwo jest raczej formalne. Dyżurny wikary w krematorium mówi

nam, jakim „wybitnym członkiem naszej społeczności” był George, a także jakim był „kochającym mężem i oddanym ojcem”. Bunty, wreszcie wolna, by móc od nowa wymyślać przeszłość, cała drży, zgadzając się z tym panegirykiem. Ja, zła córka do samego końca, patrzę w milczeniu, bez jednej łzy, jak trumna zsuwa się między kotarami i George znika na zawsze. Nagle czuję w ustach nieprzyjemną suchość i obraz rozmazuje mi się przed oczyma w tysiące roztańczonych plam. Serce zaczyna mi walić jak kafar i muszę zebrać wszystkie siły, żeby stłumić narastający przypływ paniki, napędzanej adrenaliną - to, w końcu, dzień mojego ojca i nie powinnam go psuć moim własnym dramatem. Ale to wszystko na nic - fala najczystszej strachu zagarnia mnie nieubłaganie i nie zdążam nawet dojść do końca rzędu krzeseł, kiedy zaczynam wymiotować.

W ciągu następnych dni po pogrzebie przyłapuję się na tym, że wciąż od nowa przeżywam tę ceremonię. Nęka mnie wizja trumny, zsuwającej się przez drzwi jak statek wodowany w nicość. Chcę za nią pobiec i przyciągnąć ją z powrotem. Chcę podnieść wieko i zażądać od ojca odpowiedzi na pytania, których nawet nie potrafię zadać.

W noc po pogrzebie George'a położyliśmy się spać bardzo późno. Bunty była w kuchni i przygotowywała ovaltine, kiedy zadzwonił telefon. Powiedziałam: - Ja odbiorę. - A Bunty rzekła: - Jest już po północy, to chyba będzie pan Nikt. Ale jak tylko podniosłam słuchawkę w holu, wiedziałam, że to George. Usiadłam na schodach, ze słuchawką wtuloną w zagłębienie szyi, i czekałam, aż powie to wszystko, czego nigdy nie powiedział. Czekałam tak długo, jak tylko się dało.

- Kto to był? - zapytała Bunty, gasząc światło w kuchni i wręczając mi kubek ovaltyny. Potrząsnęłam bezradnie głową i odłożyłam słuchawkę na widełki.

- To znowu tylko pan Nikt.

Przypis X - Lillian

Po wojnie Lillian została z powrotem przyjęta do zakładów Rowntree. Żeby jakoś usprawiedliwić istnienie Edmunda, przedstawiała się jako wojenna wdowa i mówiła, że po mężu nazywa się Valentine.

- Valentine? - Nell skrzywiła się z dezaprobatą, a Lillian pomyślała, że to dziwne, ale Nell czasami przypominała jej Rachel.

- Cóż - powiedziała - pomyślałam sobie, że skoro już mam sobie nadać nowe nazwisko, równie dobrze może to być jakieś ładne nazwisko.

- Lily Valentine - powiedział z obrzydzeniem Frank. - To brzmi jak numer z wodewilu.

- Bardzo mi przykro, że wam się nie podoba - powiedziała Lillian sarkastycznym tonem, a Frank z oburzeniem zastanawiał się, co ona sobie właściwie wyobraża, ta zarozumiała szwagierka, ale jego gniew ulotnił się na widok Edmunda, podrygującego na biodrze Lillian. Chłopczyk roześmiał się i wyciągnął paluszek, a Frank, chcąc nie chcąc, uśmiechnął się i złapał go za palec.

- A zresztą, co za różnica - powiedziała Nell z poirytowaną miną. - I tak wszyscy w Groves wiedzą, że nigdy nie byłaś mężatką. Co ludzie muszą sobie myśleć? Nie rozumiem, jak w ogóle możesz chodzić po ulicy z podniesioną głową?

- Wolałabyś, żebym wcale nie wychodziła z domu, prawda? Co mam robić - ukrywać Edmunda jak jakąś wstydliwą tajemnicę?

- Mały nie jest niczemu winien - powiedział Frank, próbując przywrócić spokój.

- Dobrze by było, gdybyś przynajmniej wiedziała, kto jest jego ojcem - wtrąciła zgryźliwie Nell, a Frank do reszty stracił humor. Czemu nie mogła po prostu zostawić tej sprawy?

- Dobrze wiem, kto jest jego ojcem - powiedziała Lillian i byłoby naprawdę o wiele lepiej, gdyby po tych słowach odwróciła się po prostu na pięcie i wymaszerowała z pokoju, zamiast czekać przez długą, męczącą chwilę, spoglądając z góry na Nell.

Kiedy wreszcie Lillian zniknęła z Edmundem na górze, Nell poczłapała do kuchni, mrużąc coś ponuro, a Frank westchnął. To prawda, co mówią o dwóch kobietach pod jednym dachem. Zanim wzięli ślub z Nell, nigdy nie padło między nimi jedno złe słowo, a teraz wszyscy bez przerwy działali sobie na nerwy. Czuł się jak w potrzasku. Po pierwsze, wcale nie chciał wiedzieć, kto był ojcem małego Eddiego. Nigdy nie wierzył, że mógł to być Jack; nie było ani śladu podobieństwa - a Jack był tak uderzająco przystojnym mężczyzną, z rodzaju tych, co to wykują syna na swoje podobieństwo. A tymczasem, kimkolwiek był ojciec Edmunda, „nie wywarł na nim zbyt wielkiego piętna”. Tak wyraziła się Rachel, kiedy urodził się Edmund, a ona musiała pogodzić się z faktem, że jej dach daje schronienie upadłej kobiecie. Posunęła się nawet tak daleko, że pokazała fotografię, której nigdy dotąd nie widzieli - Alberta, siedzącego na kolanach Ady. Lillian i Nell długo ślęczały nad fotografią, trzymając ją pod lampą i wydziwiając nad niebywałym podobieństwem między młodym Albertem i malutkim Edmundem. Ale najbardziej podniecił je wizerunek ich dawno nieżyjącej siostry, bo już prawie zapomniały o Adzie i przeżyły straszny wstrząs, kiedy nagle ją zobaczyły, taką ładną, z kokardą, patrzącą chmurnie na fotografa. Może czuła, że miał zamiar ukraść im matkę. Lillian, z oczyma mokrymi od łez, cofnęła głowę z kręgu światła i spojrzała

oskarżycielskim wzrokiem na Rachel, która jak zwykle skrzypiała w kącie na swoim bujanym fotelu.

- Masz jeszcze gdzieś schowane jakieś fotografie? Rachel zrobiła przebiegłą minę, ale udała, że się śmieje i powiedziała:

- Nie bądź głupia - a Nell i Lillian domyśliły się, że musi ich mieć więcej.

Ale nie udało im się znaleźć pozostałych fotografii, stało się to dopiero po śmierci Rachel. Lillian przeszukała wszystkie jej rzeczy, kiedy Nell i Frank byli w podróży poślubnej, i odkryła nie opracowane fotografie, zrobione przez monsieur Jean - Paula Armanda. Nareszcie mieli cały komplet - łącznie ze zdjęciem matki, które wziął Tom - i rodzina znowu jakby się połączyła. Później, tuż przed tym, jak urodził się Clifford, Lillian kazała oprawić te fotografie na własny koszt.

Pół dnia przepłakała nad fotografią, na której była niemowlęciem w ramionach Ady (wyglądającej jak mała dziewczynka z lalką), ale kiedy opuszczała dom na Lowther Street, zabrała ze sobą zdjęcie Ady i Alberta, bo ze wszystkich fotografii ta właśnie budziła w niej najtkliwsze uczucia.

Czasami Frank przyłapywał się na tym, że zadaje sobie pytanie, czy Albert mógł być ojcem dziecka Lillian. Aż za dobrze pamiętał, jak obie siostry skakały koło Alberta, żartując, że „był jedynym mężczyzną w ich życiu”. Z drugiej strony już sama myśl, że brat i siostra mieliby żyć ze sobą, wydała mu się tak odrażająca, że aż się przeraził, podejrzewając siebie o zboczenie, skoro coś takiego w ogóle przyszło mu do głowy.

Lillian położyła Edmunda do łóżeczka. Oczy miał już na wpół zamknięte, a długie, jasne rzęsy opadały mu na policzki. Kiedy szła do pracy, zostawiała go na Wigginton Road u niejakiej pani Hedge, która tak oszalała na jego punkcie, że przez cały czas bawiła się z nim i nigdy nie pozwalała mu

spać w dzień. Była wdową, której trzech synów, potężnych dryblasów, poległo na wojnie, więc tłukła się teraz po swoim dużym, skrajnym segmencie jak samotny groszek w pustym strąku. Dzięki Edmundowi, mówiła ze smutnym uśmiechem, znowu miała pełne ręce roboty.

Lillian nigdy nie poprosiła Nell, żeby go popilnowała. Nie chciała żadnych zobowiązań. Już samo przebywanie pod jednym dachem z tą parą było wystarczająco przykre. Kto by pomyślał, że ten dom był tak samo jej, jak Nell. Kiedy tylko Nell wyszła za mąż, zaczęła się zachowywać tak, jakby to ona i Frank byli prawowitymi właścicielami. A teraz, kiedy Nell była w ciąży, sprawy jeszcze się pogorszyły. Z każdym tygodniem, im większy stawał się jej brzuch, tym bardziej wydawała się kipieć złością na Lillian, a Lillian stawała się tym bardziej uparta.

- Ale elegant z tego naszego Franka - powiedziała Lillian, ścinając czubek jajka, które Edmund dostał na śniadanie. Frank był na podwórku za domem i pompował koło roweru przed wyjazdem do pracy. Pracował teraz w sklepie z galanterią męską i był zawsze bardzo starannie ubrany. Jednak żartobliwa uwaga Lillian padła na kamienisty grunt. Nell zmiatała właśnie ze stołu okruchy ozdobnym, elektrycznie posrebrzonym kompletem, składającym się ze szczoteczki i szufelki, który dostała w prezencie ślubnym od sąsiadki, Minnie Havis. Obmiatała talerz Edmunda szybkimi, ostrymi ruchami, jakby i jego chciała zmieść przy tej okazji.

- Zostaw to, Nelly - powiedziała łagodnie Lillian. - Ja to zrobię, jak Eddie skończy.

- Jest już po śniadaniu - powiedziała Nell, unikając wzroku Lillian.

- Jeszcze nie jest po śniadaniu - powiedziała Lillian, próbując zachować zdrowy rozsądek, mimo iż miała ochotę

uszczyplną siostrę. - Edmund dopiero zaczął jeść, a ja zaparzę jeszcze jeden dzbanek herbaty. Chcesz filiżankę?

- Nie, dziękuję - odparła wyniośle Nell. - Ja już jestem po śniadaniu.

- Nie wiedziałam, że jada się tu na jedną zmianę, jak w tanim hotelu - rozzłościła się Lillian.

- Nie znam się na hotelach - ani tanich, ani jakichkolwiek - stwierdziła Nell z kpiącym uśmiechem, bo rzadko potrafiła wymyślić trafną replikę.

W tym momencie cierpliwość Lillian już się wyczerpała.

- Nie bądź taka mądra, Nell - to do ciebie nie pasuje - prychnęła, a rozzłoszczona Nell zamachnęła się szczoteczką z końskiego włosia, strącając niechcący ze stołu jedną z filiżanek z niezapominajkami. Kiedy zobaczyła, że filiżanka się stłukła, podniosła krzyk i cisnęła szczotką przez pokój, na co Clifford rozkrzyczał się na górze, a Nell zatkała sobie uszy rękami, żeby go nie słyszeć, bo Clifford był dzieckiem z rodzaju tych, co to przestają płakać tylko przy karmieniu, czym doprowadzał ją do szału. Ale i tak usłyszała, jak Lillian mówi:

- Oho, ten twój rozwrzeszczany bachor znowu zaczyna, czy on nigdy nie przestanie?

Clifford był brzydki, zwłaszcza w porównaniu z Edmundem, który był dzieckiem tak pogodnym, jak tylko można sobie było wymarzyć. Nell czasami zbierało się na mdłości, kiedy patrzyła, jak Lillian gaworzy i śpiewa Edmundowi, jakby był zabawką.

- To dziecko jest rozpuszczone jak dziadowski bicz - powiedziała do Franka. - Bóg jeden wie, co z niego wyrośnie.

- Widać, że mu to służy - odważył się powiedzieć Frank, bo uważał, że Edmund to „fajny facecik”.

- Któregoś dnia zacałuje go na śmierć, gdyby mnie ktoś pytał o zdanie - powiedziała Nell. - A do tego... - Ale to, co

zamierzała powiedzieć, zostało przerwane, bo niechcący ukłuła Clifforda agrafką w jednym z rzadkich momentów spokoju, a Clifford zrobił się strasznie czerwony i głośno się rozkrzyczał. Krzyczał tak długo, aż biedna Nell zaczęła nim potrząsać, a potem sama wybuchnęła płaczem i zawołała do Franka:

- Nie wiedziałam, że to będzie tak wyglądać.

Lillian wyszła z domu na Lowther Street pewnego upalnego, lipcowego poranka, zmierzając ku wielkiemu statkowi z czerwonej cegły, i zanim skręciła do furtki pani Hedge, podjęła decyzję, co zamierza zrobić. Szarpnęła za sznurek od dzwonka. Edmund, w jej ramionach, wskazał na letnie, błękitne niebo, w które właśnie wzbił się jerzyk.

- Tak, to ptaszek. - Lillian przytuliła go z uśmiechem, czując rozkoszny zapach mleka, mydła i snu. Nie była w stanie wytrzymać ani minuty dłużej w tym domu. Byli tak ograniczoną parą, pokretną i ograniczoną - oto, kim byli, i jeśli z nimi zostanie, skurczy się i napnie, a Edmund będzie rósł przyduszony, słuchając wieczorami w saloniku czezej gadaniny Franka i Nell o cenie mięsa na gulasz, wzroście marchewki na działce Franka i o tym, jacy okropni są bolszewicy. Co to, to nie. Na pewno nie.

- O, jest już mój śliczny chłopaczek - powiedziała pani Hedge, otwierając drzwi, kiedy przemierzyli krótką ścieżkę. Edmund wyciągnął rączki i objął ją za szyję, a ona ucałowała go w rumiane policzki.

- Mam zamiar wyemigrować - powiedziała Lillian, a pani Hedge przez cały ranek płakała, ilekroć jej wzrok padł na Edmunda.

Lillian poczuła jakąś wariacką potrzebę, żeby do końca zdać się na ślepy los, więc podarła arkusz papieru listowego na równe kwadraty i wypisała na nich wszystkie możliwości, jakie tylko przyszły jej do głowy - Nowa Zelandia, Australia,

Afryka Południowa, Rodezja, Kanada - a potem włożyła je do swojego najlepszego kapelusza - ciemnoniebieskiego toczka ze słomki, z białą kamelią - zamknęła oczy i wyciągnęła przyszłość. I tak oto pewnego chłodnego, jesiennego dnia opuściła Liverpool na pokładzie płynącej do Montrealu „Minnedosy” z Kanadyjskich Linii Transoceanicznych. Lillian, w tym samym najlepszym kapeluszu, uniosła wysoko Edmunda, żeby mógł się pożegnać ze swoim rodzinnym krajem. Na nabrzeżu Frank i Nell żegnali ich, przesadnie machając rękami, tak żeby Lillian mogła ich zobaczyć - Frank jedną ręką, bo podniósł Clifforda do góry, żeby mógł się pożegnać ze swoim jedynym kuzynem. Edmund wiercił się i kręcił z podniecenia na widok kolorowych flag i orkiestry dętej oraz z przytłaczającego wrażenia, że coś się dzieje. Nell popsuła wszystko swoimi łzami. Z dolnego pokładu Lillian widziała bardzo wyraźnie, jak jej siostra rozpaczliwie szlocha. Serce pękało jej na widok Nell w takim stanie. Zaczęła żałować, że nie potrafiła odejść bez słowa - mogła przecież po cichu wymknąć się w nocy. Pewnie by nigdy nie wyjechała, gdyby nie to, że Nell zrobiła się taka oziębła. Kiedy okręt zaczął wypływać z doku, Lillian wtuliła mokrą twarz w pulchną szyjkę Edmunda.

*

Lillian zatrzymała się na dwa lata w Montrealu, w dzielnicy francuskiej. Mieszkała w pokoju nad piekarnią, gdzie pracowała dla łagodnego, tęgiego mężczyzny imieniem Antoine, który już od pierwszego tygodnia, kiedy się tam pojawiła, błagał ją, żeby na niego wyszła. Lillian polubiła przyjazne sąsiedztwo, lubiła słuchać, jak Edmund papla z kolegami po francusku jak rodowity Francuz, kochała też płynący z dołu, od pieców, przy których pocił się Antoine, zapach piekącego się chleba, który budził ją co rano. Ale koniec końców, szkoda było przejechać taki kawał świata,

żeby skończyć w jednym małym pokoiku. Poza tym oświadczenia piekarza zaczynały już być męczące, a ona obawiała się, że może powiedzieć „tak”. Ponieważ raz już zostawiła za sobą wszystko, łatwo jej przyszło wyjechać po raz drugi. Któregoś dnia Lillian spakowała mały kuferek i kupiła bilet na Canadian Pacific, a kiedy kasjer zapytał: „Dokąd chce pani jechać?” - nie wiedziała, co powiedzieć, bo się nad tym nie zastanawiała, więc w końcu wzruszyła ramionami i powiedziała: „Do samego końca, proszę”.

Ontario przetaczało się bez końca pod kołami pociągu - mila za milą tylko woda i drzewa. Cały ten bezmierny kontynent wydawał się składać wyłącznie z wód i lasów. Aż nagle, właśnie kiedy Lillian powiedziała do Edmunda: „Nie wiedziałam, że na świecie może być tyle drzew”, lasy zaczęły się przerzedzać, a wody wysychać, i nie wiedzieć kiedy, zaczęły się prerie, a rozległe pola pszenicy ciągnęły się dłużej nawet niż drzewa i woda w Ontario. Kiedy nocą pociąg przejeżdżał z Saskatchewan do Alberta, Lillian siedziała w wagonie obserwacyjnym i patrząc na księżyc, wiszący nad nieskończonymi preriami jak olbrzymia, żółta latarnia, myślała o domu na Lowther Street. Będąc w Montrealu, miała przez cały czas uczucie, że coś przyciągnie ją z powrotem do Anglii, ale teraz, kiedy coraz bardziej oddalali się od wschodniego wybrzeża, uświadomiła sobie, że już nigdy nie wróci - ani do Montrealu, ani do Anglii, a przede wszystkim nie na Lowther Street. W poczuciu winy postanowiła zaraz z rana napisać do Nell, bo przez cały ten czas w ogóle nie pisała. Ale jakoś nie udało jej się wyjść poza „Kochana Nell, co u Ciebie?”, a w końcu zaniechała wszelkich prób, bo kiedy przejechali przez Calgary, w oknie wagonu ukazała się nagle pienista, zielona tafla wód z lodowca, zupełnie jak na kolorowej pocztówce. A potem zaczęły się góry.

Musieli wsiąść w Banff, bo Lillian nie potrafiła znieść myśli, że miałyby tylko patrzeć na góry, zamiast ich posmakować i trochę nimi pooddychać. I już tam, na peronie dworcowym w Banff, rozpostarła ręce i zaczęła się kręcić wokół własnej osi i głośno śmiać, aż się Edmund przestraszył, że matka upadnie na tory.

Zostali w Banff przez cały tydzień. Zatrzymali się w małym tanim pensjonacie i robili wędrowki u podnóża Sulphur Mountain. Zapłacili jakiemuś człowiekowi, żeby ich zawiózł psim zaprzęgiem aż do Lake Louise, gdzie oglądali lodowiec i spacerowali wokół zielonego jeziora, i może Lillian byłaby tam została na zawsze, ale kiedy przyszło co do czego, znowu wsiedli do pociągu, bo na końcu linii mogło przecież być coś jeszcze lepszego.

W Vancouver Lillian dostała pracę na poczcie, a widok setek listów wędrujących co dzień ponad lądą obudził w niej straszliwe wyrzuty sumienia i znowu zaczęła pisać kilka listów do Nell. Raz doszła nawet tak daleko, że zapytała, czy Clifford ma już jakieś rodzeństwo, ale potem podarła list i wrzuciła go do ognia, bo przecież szkoda zachodu, jeśli w każdej chwili może ogarnąć ją dawny niepokój i znowu wyjedzie, a wtedy odpowiedź Nell będzie podróżowała po całym kontynencie i jej nie znajdzie, a Lillian była zbyt sumienną pracownicą poczty, żeby zachęcać do pisania zaginionych listów. Więc znowu to odłożyła. Potem pomyślała sobie, że może po prostu napisała tyle listów w czasie wojny, że nic już w niej nie zostało. A w końcu wysłała telegram „Powodzi mi się dobrze. Nie martwcie się o mnie”, co nie było zbyt adekwatne, ale i tak najlepsze z tego, na co było ją stać.

Kiedy go już wysłała, przypomniała sobie inny telegram, który przyszedł po śmierci Alberta, i zaczęła się martwić, że Nell może dostać zawału na widok kolejnego telegramu, ale

było już za późno, a poza tym Lillian miała co innego na głowie. Zgodziła się poślubić farmera z Saskatchewan - przystojnego wdowca, który przybył do Vancouver na ślub przyjaciela i przyszedł na pocztę po znaczek na kartkę, którą chciał wysłać matce na farmę.

- Ona nigdy nie dostaje żadnej poczty - wyjaśnił nieśmiało. - Nikt, kogo zna, nigdy nie wyjeżdżał. Ona sama nigdy nie była dalej niż w Saskatoon.

A wtedy Lillian zapytała: - Saskatoon? - i od tej chwili rozmowa potoczyła się, jak to rozmowa, póki szef Lillian nie przyszedł i nie powiedział:

- Pani Valentine, ośmielam się przypomnieć, że nie płaci się pani za pogaduszki.

Lillian musiała wciągnąć policzki, żeby się powstrzymać od śmiechu, a przystojny farmer uchylił z uśmiechem kapelusza i odszedł, zostawiając kolejkę, która już narosła przy ladzie.

Kiedy wczesnym wieczorem Lillian wyszła z pracy, ulice były śliskie i lśniące od deszczu, a latarnie świeciły żółtym blaskiem, napełniając ją melancholią, która zawsze pojawia się wraz z deszczem i ciemnością. Właśnie usiłowała otworzyć parasol, kiedy z mroku wyłonił się farmer z Saskatchewan i znowu uchylił kapelusza, bardzo uprzejmie, i zapytał, czy może ją odprowadzić do domu. Oparła małą dłoń na jego szerokim ramieniu i trzymała parasol nad ich głowami (on był bardzo wysoki), a on odprowadził ją aż do pensjonatu, którego właścicielka, pani Raicevic, zajmowała się Edmundem po szkole. Lillian zdążyła już poznać nazwisko farmera, więc powiedziała: „Edmundzie, to jest pan Donner”. A pan Donner przykucnął i powiedział: „Cześć, Edmund, możesz mi mówić Pete”. Ale Edmund nigdy tego nie zrobił - wolał nazywać go „Papa”, i to już od dnia, w którym Pete poślubił jego matkę.

Pete Donner nie mógł się nadziwić, jak szybko jego żona przywykła do życia na farmie. Nie załamała jej nawet pierwsza, sroga zima. Latem wstawiała o świcie, karmiła kury i doiła krowy, i nucąc, przygotowywała śniadanie dla niego oraz jego parobków, Josepha i Klause, którzy mieszkali w dużej chacie za warzywnikiem. Przez środek posiadłości Donnerów przebiegała linia kolejowa. Następnego lata Pete natknął się kilka razy na Lillian przy torach. Patrzyła na jeden z tych wielkich pociągów z pszenicą, które przecinały prerie nie kończącym się łańcuchem wagonów. W głębi ducha obawiał się, że może znowu zechce wyjechać - kiedy patrzyła na mijające pociągi, miała takie rozmarzone spojrzenie. Wieczorami siadywali na werandzie wielkiej, oszalowanej farmy, pod letnim księżycem, przypominającym jedną z tych dorodnych dyń, które jego matka hodowała na grządce z warzywami, a Lillian opowiadała mu o Rachel i Nell, i o ojcu Edmunda, a także dlaczego zachowała jego imię w tajemnicy. Wtedy Pete Donner przestraszył się, bo jego żona wydawała mu się taka silna i choć nic, co mu opowiadała o Anglii, nie świadczyło o tym, żeby kiedykolwiek chciała tam wrócić, czuł, że musi ją o to zapytać, a ona wybuchnęła śmiechem i powiedziała: „Nie bądź głupi”. Następnej zimy, mając trzydzieści sześć lat, urodziła syna, którego nazwali Nathan, po ojcu Pete'a Donnera.

Nathan ani trochę nie przypominał swojego przyrodniego brata - jedyną wspólną cechą była dolna warga, wypukła jak u dziewczynki, należąca do Ady, a przedtem do jej matki. Chłopcy byli sobie bardzo bliscy i kiedy Edmund był młodszy, ciągle rozmawiali o tym, że któregoś dnia będą razem pracować na farmie. Kiedy Edmund wyjechał na uniwersytet do Toronto, żeby zrobić dyplom z literatury angielskiej, Nathan zaczął się obawiać, że brat może nie wrócić. Kiedy dostali wiadomość, że Edmund zaginął w akcji,

Nathan przez kilka tygodni chodził jak błędny, bo nie potrafił sobie wyobrazić przyszłości, która by również nie obejmowała Edmunda.

Przyszłość jednak mimo wszystko nadeszła i we właściwym czasie Nathan ożenił się i miał dwójkę dzieci. Najstarsza, Alison, zrobiła dyplom z prawa i przeniosła się do Ottawy, żeby podjąć pracę w rządzie. Tuż po jej wyjeździe na uniwersytet Nathan zginął w wypadku na farmie. Pete Donner zmarł na raka płuc jeszcze w latach pięćdziesiątych. Alison zawsze śmiała się i mówiła, że nigdy nie wyjdzie za mąż i nigdy nie wróci na farmę, ale jej młodszy brat, Andy, zrobił jedno i drugie - przejął farmę po śmierci ojca i ożenił się z dziewczyną z Winnipeg, która miała na imię Tina.

Stało się to w roku 1965 i w tym czasie Lillian przeprowadziła się już do starej chaty Klause i Josepha, którą Andy jej wyremontował. Powiedziała, że jest już gotowa umrzeć, ale trwało to długo, prawdę mówiąc, następne dziesięć lat, podczas których artretyzm zgiął ją w dziwny i niewygodny kształt.

Żona Andy'ego, Tina, często przychodziła wieczorami, żeby posiedzieć z Lillian. Miała trzech małych synków, rok po roku - Eddiego, najstarszego, nazwanego tak po Edmundzie, potem bliźniaki, Nata i Sama, a teraz w drodze było czwarte. Żartowała sobie, że przychodzi do Lillian tylko po to, żeby uciec od hałaśliwych dzieciaków, choć obie wiedziały, że to nieprawda. Lillian lubiła Tinę najbardziej ze wszystkich - była to posągowa dziewczyna o bystrych, niebieskich oczach i jasnych włosach, które na ogół ściągała w koński ogon, tak że widać było jej mocne kości policzkowe. Latem była obsypana piegami, jakby ktoś opryskał ją złotą farbą, za to w zimie jej skóra była biała jak mleko. Miała też tyle energii, że czasami wręcz nią tryskała, zostawiając Lillian jej nadmiar, kiedy wracała na farmę. Lillian uważała, że Tina, podobnie jak

Albert, miała w sobie więcej wewnętrznego światła niż większość ludzi.

Któregoś wiosennego ranka Tina wyjrzała przez okno (była już wtedy w mocno zaawansowanej ciąży z czwartym i ostatnim dzieckiem) i zobaczyła, że nad chatą unosi się dym. Krzyknęła do matki Andy'ego, która z nimi mieszkała, żeby pilnowała chłopców, a sama ociężałym krokiem pobięła do chaty, ale kiedy tam dotarła, Lillian paliła właśnie w kosiaku papierami z tekturowego pudła, stojącego u jej stóp. Strzępek zwęglonego papieru uniósł się nad ogniem i niesiony podmuchem wiatru wylądował u stóp Tiny. Podniosła go i przeczytała: „Miałam zamiar napisać”, ale reszta już się spaliła.

- Robię porządki przed śmiercią - wesoło krzyknęła Lillian.

- Mam nadzieję, że nie zamierzasz odejść przed urodzeniem tego dziecka - powiedziała z dezaprobatą Tina, ale Lillian tylko roześmiała się i powiedziała:

- Nie byłabym tego taka pewna. - Potem dołożyła do kosiaka jeszcze więcej papieru, uśmiechnęła się do ostrego, wiosennego słońca i dodała: - Już i tak za długo żyłam. Kiedy umrę, znowu połączę się z moimi dziećmi, a to jedyne miejsce, w jakim matka naprawdę chce przebywać.

A Tina ze śmiechem stwierdziła:

- Nie zawsze.

Kiedy Lillian skończyła, weszły do chaty i Tina zrobiła dla nich obu gorącą czekoladę. Lillian powiedziała:

- Mam tu coś, co chcę ci dać. - Wzięła fotografię, która zawsze stała na komódce w ładnej, srebrnej ramce, i przekazała ją w ręce Tiny Donner. Tinie często ścisnęło się serce na widok tej fotografii, przedstawiającej dawno zmarłe rodzeństwo - jej własny brat zginął jako dziecko w wypadku - więc teraz z trudem powstrzymała się od łez, kiedy Lillian

dawała jej zdjęcie - nie dlatego, żeby smuciły ją nieżyjące dzieci, ale dlatego, że czuła, iż Lillian wcale nie żartowała, kiedy mówiła, że wkrótce umrze.

Kiedy Tina podniosła się do wyjścia, poklepała się po brzuchu i powiedziała:

- Wiem, że to znowu będzie chłopiec. Nie było mi pisane mieć córki. Jak powinnam go nazwać?

A Lillian zastanawiała się przez chwilę, a potem rzekła:

- Czemu by go nie nazwać po ojcu Edmunda?

Na pogrzebie Lillian Tina Donner wyplakiwała sobie oczy, a ludzie mówili, że to budujący widok, kiedy młoda dziewczyna jest tak przywiązana do starszej pani - choć mówiły to głównie stare kobiety.

- Ja ją naprawdę kochałam - powiedziała Tina, potrząsając głową, a Andy Donner objął żonę ramieniem i powiedział:

- Wiem, kochanie.

Wydali wielkie przyjęcie na farmie i ludzie później mówili, że nigdy nie widzieli, żeby naraz zebrało się tyle osób, nawet na ślubie. Stypa przebiegała w radosnej atmosferze, bo jakkolwiek by było, Lillian była już bardzo stara, a w porównaniu z innymi miała całkiem niezłe życie. Przy okazji świętowano też u Donnerów narodziny kolejnego dziecka. Andy Donner uniósł kieliszek i wzniosł toast za swoją babkę, a jego siostra Alison także wzniosła toast - za nowo narodzone dziecko - Jacka.

Rozdział 11

1968

MĄDROŚĆ

Mój pogrzeb to bardzo wzruszające wydarzenie. Trumna stoi pośrodku starego, pięknego kościoła - Świętej Trójcy na Goodramgate, z jego stallami i dwuspadowym dachem - otoczona tłumem zboliałych żałobników. Śpiew ptaków wpada przez otwarte wrota, przez które roztacza się też magiczny widok na zielone wzgórza i angielskie lasy, ciągnące się, jak okiem sięgnąć, a nawet jeszcze dalej. Otwartą trumnę pokrywają pachnące bzy i gałązki śnieżnego głogu, więc wyglądam jak majowa królowa. Ludzie podchodzą na palcach i patrzą z szacunkiem na moją alabastrową cerę i kruczoczarne włosy, które w jakiś tajemniczy sposób stały się po śmierci jeszcze ciemniejsze i bujniejsze i opadają teraz falą połyskliwego hebanu poza trumienną poduszkę, przepojoną zapachem lawendy.

- Była taka piękna - szepcze ktoś z żałobników, potrząsając z podziwem głową.

- I taka niedoceniana - dorzuca ktoś inny. - Jaka szkoda, że nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, że była tak wyjątkowa.

- A jaka była utalentowana - dodaje jeszcze inny głos, a zgromadzeni wokół trumny kiwają z żalem głowami.

Kościół jest pełny. Przyszli nie tylko przyjaciele i rodzina, ale również ludzie, których nigdy nie znałam - jest na przykład zachwycony Leonard Cohen i wzruszony Terence Stamp. W tle Maria Callas śpiewa J'ai perdu mon Eurydice. Bunty siedzi na skraju ławki i skruszona potrząsa głową.

- Może gdyby nie została podmieniona przy urodzeniu, nie doszłoby do tego - mówi cicho do siedzącego obok pana Bellinga.

- Ruby ! - mówi pan Belling. Tak strasznie mnie przeraził, że byłabym spadła z łóżka. - Wybieramy się z twoją matką do Castle Howard. Nie masz ochoty iść z nami, co? - Klepie się po tłustym brzuszku, pełnym niedzielnego kurczaka przyrządzonego przez Bunty, i patrzy na mnie z niepokojem, na wypadek gdybym podskoczyła z ochoty, żeby oglądać łuki i astragale Vanbrugha. Odprawiam go, unosząc osłabłą dłoń.

- Nie, nie, ja zostanę w domu. - Bo wiem już z doświadczenia, że troje to o jedno za dużo przy takich okazjach.

Na początku, kiedy byłam dla pana Bellinga nowością („Słodka szesnastolatka”), gotów był się dla mnie wysilać. Teraz już wcale nie uważa mnie za słodką, tylko za nieszczęsny produkt uboczny Bunty, który musi jakoś znosić. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu pojechałam z nimi do Studni Matki Shipton i przekonałam się, że jak na ich potrzeby, jestem im całkowicie zbędna. Szczebiotali do siebie przez cały czas, podczas gdy ja, w smętnym nastroju, oglądałam szereg dziwacznych przedmiotów, pozostawionych do wyschnięcia przy studni czarownicy - różne przedmioty codziennego użytku zamienione w kamień przez wodę wapienną - misie, but, parasol, ściereczkę do naczyń. Potem usiedliśmy przed pubem, który nazywał się „Koniec świata”, a pan Belling spojrzął na mnie posepnie nad małym piwem z lemoniadą oraz kanapką z serem i cebulą, i zapytał:

- No więc kiedy masz zamiar iść z domu, Ruby? Co? Powracam do moich posepnych medytacji na suficie. (Jak bardzo stałam się podobna do Patricii!). Odgrywam „Ofelię” Millaisa w oczekiwaniu na dzień, kiedy rzeka Foss odrodzi się po swoim nedorzecznie niskim poziomie. Sprawdziłam jej głębię i odkryłam, że jest żałośnie spragniona. Przebrnęłam wpływ przez jej mroczny, ponury kanał, po to tylko, żeby się przekonać, że sięga mi ledwo do rąbka mojej sukienki mini. Z

braku kamyków, nie mówiąc już o kieszeniach swetra, do których miałabym je włożyć, muszę się zadowolić ściskaniem cegły, odkrytej w labiryncie korzeni drzew nad brzegiem rzeki. Czy w ogóle można utonąć w tak płytkiej wodzie? Niepoprawna optymistka, próbuję rozpląszczyć się na błotnistym dnie rzeki i zmusić się do tego, żeby utonąć - ale, na szczęście, hałaśliwy, entuzjastyczny spaniel niweczy ten plan. Znacznie łatwiej byłoby utonąć w Ouse, ale to szeroka brunatna rzeka i ani trochę nie tak romantyczna jak Foss - zwłaszcza ten podmokły pas za gazownią, gdzie już samo powietrze jest zielone i dusi się od sitowia, trzciny, wodorostów i dzielnych irysów, przypominających żółte chorągiewki.

Słyszę, jak pan Belling hałaśliwie uruchamia wóz na podjeździe i odjeżdża w fontannach żwiru. Pewnie zafunduje gdzieś Bunt podwieczorek, a potem ją odwiezie, a ona wejdzie do domu, mówiąc ze śmiechem:

- No wiesz, Bernard, jestem powszechnie szanowaną wdową. A on uszczypnie ją w pupę, mówiąc:

- Ale już niedługo, Bunt.

Powinno się chyba cieszyć, że nie stara się o nią Walter, który usilnie próbował skusić ją płatami nerki, jagnięcym udźcem a nawet, przy jakiejś okazji, nagim, lśniącoróżowym królikiem, który wyglądał jak coś z pisma pornograficznego. (Przeglądałam takie pismo - dowiedziałam się też, co to jest durex. Nadeszły dni mojej utraconej niewinności). Nie muszę chyba dodawać, że nie zjadłyśmy tego królika, a Walter został pokonany przez Dzielnego Królewicza - Bernarda Bellinga, który prowadzi sklep z artykułami hydraulicznymi gdzieś w dolnych rejonach Back Swinegate. Jego sklep przypomina katedrę, poświęconą artykułom sanitarnym - zwarte szeregi muszli bez klap, połyskujących w półmroku jak świeckie chrzcielnice oraz sterty umęczonych zlewów bez kranu, o

amputowanych kolankach, obandażowanych lepkiem, brązowym papierem.

Pan Belling jest prawie całkiem łysy i ubiera się w - jak to mówi - „portki”, a od góry nosi swetry i ciągle mi powtarza, jakie okropne życie miała moja „biedna matka”. Bunty prowadzi teraz sklep przy pomocy absolwentki szkolnej, która ma na imię Elaine.

- Ciekawe - mówi Bunty - Elaine jest w twoim wieku, a już ma stałego chłopca i oszczędza na swój posag.

Podobnie jak Kathleen (to mnie znacznie bardziej niepokoi). Kathleen niedawno zaręczyła się z chłopakiem imieniem Colin, z Archbishop Holgate's Grammar School, który ma nadzieję zatrudnić się w przyszłości u ojca, w handlu towarami żelaznymi. Kathleen nosi swój zaręczynowy pierścionek z brylantem na łańcuszku na szyi, ukryty pod szkolną bluzką.

Razem z Kathleen dumamy nad zawartością szuflady, w której zbiera swój posag. Co w niej ma? Cztery lniane ściereczki do naczyń, wiklinowy abażur oraz komplet widelczyków do ciasta z nierdzewnej stali. Czy to wystarczy, żeby zbudować na tym małżeństwo? Kupuję jej deskę do krojenia, żeby wzbogacić zawartość szuflady.

- To bardzo rozsądna dziewczyna - mówi Bunty.

- Więc nie chcesz, żebym poszła na studia? - pytam.

- Ależ oczywiście, że chcę - mówi zmieszana. - Twoje wykształcenie jest przecież bardzo ważne.

Ale tak naprawdę widać, że wolałaby, żebym wyszła za mąż i należała do kogoś innego.

- Po co ci te rzeczy w szufladzie? - pytam Kathleen.

- Żeby zbierać posag na przyszłość.

Ciekawe, co ja włożyłabym do swojej szuflady, gdybym taką miała?

Tkwię w kleszczach popołudniowego letargu. Leżę na łóżku, recytując w kółko, jak magiczne zaklęcie, bitwy z wojny na Półwyspie Iberyjskim - Vimeiro, Corunna, Oporto, Talavera de la Renna, Ciudad Roderigo, Badajoz, Salamanca... Niestety, bez skutku, już po pięciu minutach nie pamiętam ani jednej. To niedobrze, bo moje egzaminy zaczynają się za tydzień. Zastanawiam się, czy będę miała takie marne wyniki jak Patricia. I gdzie jest teraz Patricia? Czemu nie przyjdzie, żeby ocalić mnie przed tym ogłupiającym życiem?

Rezygnuję z powtórki. Schodzę na dół do kuchni, robię sobie grzanekę i zjadam ją, leżąc na dywanie w salonie, gdzie pali słońce, wpadające przez drzwi od podwórza. Wygrzewam się przez chwilę jak jaszczurka, a potem zasypiam, a kiedy się budzę, jestem kompletnie dezorientowana. Próbuję wyrecytować to, co przygotowałam ustnie na francuski, ale nie pamiętam nic prócz „Paris - une ville très belles et intéressante”. Natomiast jeżeli chodzi o łacinę, uzdolniona językowo Ruby nie potrafi skleić jednego zdania. Nawet w angielskim, moim ojczystym języku, bywam czasami lepsza, a kiedy próbuję zabrać głos w klasie, przekonuję się, że płacze mi się składnia, a moje słownictwo zmieniło się w bełkot.

Widzę, jak za oknem, w ogrodzie, kot sąsiadów skrada się do drozda, który wydziobuje dżdżownicę z klombu petunii, nieświadomy zbliżającej się nemezis. Czołgam się do drzwi na podwórze i trzaskam nimi, żeby ostrzec drozda. Kot przerywa podchody, a drozd odlatuje, rozrywając przy okazji dżdżownicę na pół. A potem dzieje się coś dziwnego - z całych sił walę w szkło grzbietem dłoni. Wiedziona nagłym, nieprzemyślanym impulsem, chcę rozbić szybę i zobaczyć mój nadgarstek, sunący w tę i w tę po ostrej krawędzi, tak jak to zrobił Lockwood z nieszczęsnym duchem Cathy - póki nie wypłynie krew, zasmarowując wyraźny widok na podwórko i zadbane klomby w tyle. Szyba jest podwójna i nie chce

pęknać, ale ja wciąż w nią walę - choć, w przeciwieństwie do Cathy, chcę raczej wyjść, niż wejść.

Dlaczego nikt nie widzi, że jestem taka nieszczęśliwa? Czemu nikt nie komentuje mojego dziwnego zachowania - nawracających ataków lunatyizmu, które wybuchają co jakiś czas? Krążę wtedy po domu jak duch małego dziecka, które na próżno szuka czegoś, co pozostawiło w świecie materialnym. (Zabawki? Kolegi? Najskrytszego życzenia?) A jeszcze ta beczynność - całymi godzinami leżę bez życia na łóżku, nie robiąc nic, a także nie myśląc o niczym. (Bunty uważa, że to normalne zachowanie u nastolatki). Ale najgorsza jest panika - od pierwszego ataku na pogrzebie George'a straciłam już rachubę, ile razy musiałam wybiegać z kina, teatru, biblioteki, autobusu, kolejki po obiad, sklepu. Objawy paniki są przerażające - mam wrażenie, że zaraz rozsadzi mi serce, a moja skóra robi się blada i wilgotna i czuję, że krew ucieka mi do butów - co naturalnie sprawia, że żyję w ciągłym strachu przed rychłą śmiercią. Gdyby ktoś zrobił o mnie program telewizyjny i puścił go o takiej porze, kiedy Bunty na pewno by go obejrzała - na przykład zamiast „Oto twoje życie”, żeby to nie wyglądało zbyt niestosownie, już przy napisach końcowych Bunty potrząsałaby głową i cmokała, mówiąc: „Przecież temu dziecku trzeba pomóc”. Ponieważ jednak ma mnie pod nosem, pod nogami i przed oczyma, zdaje się tego nie zauważać.

Może to wszystko rzeczywiście stanowi część dorastania - dręczący rytuał przejścia, mroczna dolina młodzieńczych cieni, ohydny kataklizm hormonalny, młodzieńcze smutki...

- Ruby! - Twarz pana Bellinga to istna parodia zdumienia. Wyłonił się zza węgła i widzi, jak próbuję stłuc szybę. Otwiera gwałtownie drzwi.

- Co ty na Boga wyrabiasz, Ruby? - pyta, starając się, żeby zabrzmiało to po ojcowsku i srogo.

- Próbuję uciec - odpowiadam ponuro.

- Nie zwracaj na nią uwagi, Bernard! - mówi Bunty, wślizgując się przez otwarte drzwi. - Ona próbuje być za mądra - ma to po swojej siostrze.

- Której? W końcu straciłaś tyle dzieci - pytam sarkastycznie, a Bernard, w nagrodę, wymierza mi piekący policzek, po którym mocno przygryzam dolną wargę.

- Dziękuję ci, Bernard - zwraca się do niego Bunty, a potem mówi do mnie: - Najwyższy czas, żeby ktoś zrobił z tobą porządek, moja panno! - Potem znowu odwraca się do Bernarda:

- Mam otworzyć puszkę łososia? - i wychodzą do kuchni, zostawiając mnie pobladałą i zbyt wstrząśniętą, żeby coś powiedzieć. Zwijam się na dywan, istny kłębek nieszczęścia, i patrzę, jak zamiast łzy pojedyncza kropelka krwi kapie z mojej wargi na beżowy dywan, gdzie ciemnieje, przybierając kolor, którego nie ma w normalnym widmie barw. Jedyłą istotą, która okazuje mi współczucie, jest Gałgan, który wtyka mi w dłoń zimny, mokry nos.

Co włożyłabym do mojej posażnej szuflady? Włożyłabym same ostre przedmioty - gładkie brzegi stłuczonego szkła, naostrzoną stal nożyków do obierania, maleńkie ząbki noży do chleba oraz kojące ostrze brzytwy. Ważę w rękę noże - moich dziwnych pocieszycieli. Pewnie już niedługo Bunty nakryje mnie podczas jednej z nocnych wędrówek z olbrzymim nożem, ociekającym krwią na moją nocną koszulę. (Ciekawe, co by na to powiedziała? Pewnie: „Wracaj do łóżka”).

Na szczycie katedralnej wieży człowiek jest już niemal w krainie aniołów, tak wysoko, że rozpościerający się w dole York wygląda jak plan miasta, przechodzący na krańcach w dolinę Yorku, a dalej, na północ, w zamglone wzniesienia Howardian Hills, a na wschód w Wolds, jak fatamorgana. W dniu takim jak dziś, kiedy niebo jest krystalicznie niebieskie, a

jedyną chmurką jest wstążka szyfonu w oddali, łatwo poczuć miłość do świata. Co schowałabym do mojej szuflady? Schowałabym horyzont i parę ptasich treli, śnieżne kwiaty w ogrodach Treasurer's House, a także białe, zrujnowane łuki St Mary's Abbey, przypominające skamieniałą koronkę.

Co by to było, gdybym teraz spadła? Jak to jest lecieć w dół, w dół i w dół, pikować pionowo w dół jak kamień w małe, otoczone łądem morze Dean's Park. żeby na koniec, jak trafiony ptak, spaść z pluskiem w zieloną trawę? Jeżeli się wychylić przez parapet wystarczająco daleko, tak daleko, jak sięgają rzygacze. można poczuć siłę przyciągania, która szarpie człowieka, zapraszając, by zakosztował powietrza...

- Ruby! - Zaniepokojona twarzyczka Kathleen pojawia się wciśnięta między blanki. - Chodź. Spóźnimy się na popołudniowy dzwonek!

W oszałamiającym tempie zbiegamy w dół po spiralnych, kamiennych schodach, a potem pędem wracamy do szkoły i dopadamy przydzielonych nam ławek w samą porę, by „Odwrócić kartkę i zacząć” naszą Niewidoczną Łacinę...

„Theoxena doradza swoim dzieciom, żeby raczej popełniły samobójstwo, niż zgodziły się na śmierć z rąk króla - „Mors”, inquit, „nobis saluti erit. Viae ad mortem hae sunt...” („Mors”, inquit, „nobis saluti erit. Viae ad mortem hae sunt...” (łac.) - Śmierć - mówi - będzie dla nas ocaleniem. Takie są drogi śmierci.) Gdzieś z oddali słychać odgłosy meczu krykieta na boiskach St Peter's, a zapach świeżo skoszonej trawy wpada łagodnym powiewem przez otwarte okna. Cum iam hostes adessent, liberi alii alia morte ceciderunt (Cum iam hostes adessent, liberi alii alia morte ceciderunt (łac.) - Ponieważ nadeszli już wrogowie, różni różną zginęli śmiercią.). Jak życie może być tak słodkie, a zarazem takie smutne? No jak? Krótki, urywany okrzyk radości wzbija się ponad boisko do krykieta. Judith Cooper

pacnęła osę swoją pracą egzaminacyjną. Tuż poza moim zasięgiem kryje się zrozumienie. Gdzieś poza zasięgiem - ukryte na najwyższej półce albo pod podłogą - tam znajduje się klucz. A co można otworzyć tym kluczem? Oczywiście szafę ze znalezionymi rzeczami.

Teoria życiowa szafy zgubionych rzeczy to stosunkowo niedawne osiągnięcie w mojej filozoficznej wędrówce w poszukiwaniu zrozumienia. Wzięła się bez wątpienia stąd, że przez cały ten rok dzieliłam wraz z Kathleen nader uciążliwy obowiązek kontrolowania szafy rzeczy zgubionych. W każdy czwartek, o czwartej po południu, otwierałyśmy szafę ze zgubionymi rzeczami, znajdującą się na korytarzu nowego bloku, który mieści w sobie także tak zwane gospodarstwo domowe, jak również mniej udomowione nauki, takie jak fizyka, chemia i biologia. Regulamin szkolny dyktuje, że czwarta we czwartek to jedyna pora, kiedy wolno nam otworzyć szafę, i wymaga również, abym wraz z moją współkontrolerką zachowała profesjonalną obojętność. O tej godzinie ludzie (to znaczy uczniowie, bo o ile nam wiadomo, nikt z grona pedagogicznego nigdy niczego nie zgubił - co stanowi wymowny komentarz na temat roztrzepania młodzieży) mogą zbadać wnętrze szafy w poszukiwaniu zgubionych rzeczy. Jeżeli znajdują to, czego szukali - do najczęściej gubionych przedmiotów należą pióra, pojedyncze rękawiczki oraz buty hokejowe - muszą wpisać się na naszą listę, a potem mogą odebrać swoje wędrujące rzeczy, które tym samym stają się własnością znalezioną.

Dla dzieci, które nie zgłaszają się po swoją własność, przewidziane są przerażające konsekwencje - łatwo wytropić właściciela, ponieważ trzeba obowiązkowo naszywać tasiemki z nazwiskiem na wszystkim, co posiadamy, łącznie z biustonoszami, wnętrza zaś butów, botków i tenisówek muszą być oznakowane niezmywalnym flamastrem. Przeprowadza

się ciągle wyrywkowe kontrole w celu sprawdzenia, czy jesteśmy prawidłowo oznakowani. (Ciekawe, czy ktokolwiek ośmielił się zajrzeć Patricii z tyłu za bluzkę?) Za to, jeżeli kiedyś zapadnę na amnezję, będą przynajmniej wiedzieli, jak się do mnie zwracać. Właściciele rekwizytów, po które nikt się nie zgłosił, zostają wpisani na inną listę, która jest odczytywana na apelu w ostatni piątek każdego miesiąca przez pannę Whittaker, dyrektorę, a przestępcy muszą za karę stać do końca apelu, podczas gdy reszta siedzi. To publiczne upokorzenie nie jest wystarczające, żeby ludzi odstraszyć, a szafa rzeczy zgubionych pozostaje pełna i aż pęka od rzeczy porzuconych. Czasami jest tak przepelniona, że kiedy ją otwieramy, wszystko wypada nam na głowę i jesteśmy zmuszone zwracać ludziom ich własność po kryjomu, żeby tylko pozbyć się tych cholernych gratów. Być może wkrótce będziemy musiały organizować tajne otwieranie szafy o północy w nadziei, że oporne dotąd dzieci przyciągnie towarzysząca tej operacji aura płaszcza i szpady.

A oto moja teoria szafy rzeczy zgubionych w życiu po życiu: Po śmierci zabierają nas do szafy rzeczy zgubionych, gdzie znajdują się wszystkie przedmioty, które kiedykolwiek zgubiliśmy - każda spinka do włosów, każdy guzik i ołówek, każdy ząb, każdy kolczyk i klucz, każda szpilka (pomyślcie tylko, ile ich musi być!), wszystkie książki z biblioteki, wszystkie koty, które nigdy nie wróciły, wszystkie monety, wszystkie zegarki (które wciąż będą pokazywać czas). A być może również inne, mniej namacalne rzeczy - nastroje i cierpliwość (może będzie tam cnota Patricii), wiara (Kathleen już swoją utraciła), znaczenie, niewinność (moja) oraz całe masy czasu - pan Belling i Bunty znajdą bardzo dużo czasu w swojej szafie. Pan Belling ciągle przesiaduje na kole swojego rovera, zaparkowanego na naszym podjeździe, spogląda na zegarek i wścieka się: „Wiesz, ile czasu straciliśmy, czekając

na ciebie, Ruby?" Na dolnych półkach będą sny, które zapomnieliśmy po obudzeniu, wtulone w dni strawione na melancholijnych rozmyślaniach (gdyby płacili dywidendy, Patricia byłaby bogata). A na samym dnie szafy, wśród mułu, puszek i piór, będą ostróżki z ołówka i włosy zmiecione z podłogi u fryzjera - to właśnie tam znajdują się utracone wspomnienia. Deinde ipsa, virum suum complexa, in mare se deiecit (Deinde ipsa, virum suum complexa, in mare se deiecit (łac.) - Później ona sama, objawszy męża, rzuciła się do morza.). I może będziemy mogli się podpisać i zabrać je do domu.

Miałam straszną scenę z panem Bellingiem. Zaszedł do nas we wtorek wieczorem, żeby zabrać Buntę na objazdowy spektakl „Statku szaleńców” w Theatre Royal, ale Bunta była jeszcze na górze i biedziła się nad wyborem sukni, więc zaprowadziłam go do saloniku, a on usiadł i zapytał: - Mogłabyś mi przynieść małego drinka, Ruby?

A ja odpowiedziałam: - Sam go sobie przynieś.

Wtedy on powiedział: - Ale z ciebie ordynarna pannica.

A ja odrzekłam: - Wiesz, że ja też cię nie lubię.

Na to on: - Jeszcze kiedyś dostaniesz za swoje, Ruby Lennox. Należy ci się.

A ja powiedziałam: - A co mi się takiego należy? Może miłość i uczucie?

A on odpowiedział: - Twoja biedna matka dała ci wszystko, ale ty jesteś tylko wstrętną, małą niewdzięcznicą!

Wtedy ja wrzasnęłam na niego: - Nie masz o niczym pojęcia!

A wtedy on przysunął twarz do mojej twarzy i ryknął...

- Ruby, Ruby Lennox! Dokąd to się wybierasz? - skrzeczy głos panny Raven zza nadzorującego biurka. Nad boiskiem krykieta rozlegają się oklaski.

- Ruby - szepcze Kathleen, kiedy mijam ją zamaszystym krokiem. - Ruby, co się stało?

- Gdzie idziesz, Ruby? - krzyczy za mną panna Whittaker, kiedy przemykam się pod wiszącymi wokół starego holu dębowymi plakietkami, na których pozłacanymi literami wypisano nazwiska prymusek i stypendystek. - Ruby! Powinnaś być na łacinie! - Po czym usiłuje wypróbować na mnie chwyt rugby, ale ja wymykam się i kluczę, a w końcu rzucam się w ciepłe, świeże powietrze i maszeruję do Clifton Green. Znajdę swój prawdziwy dom, gdzie ogień zawsze migocze na kominku, a mosiężny widelec do pieczenia wisi w pogotowiu, gdzie czajnik mruczy na blasze, gdzie stare, wysiedziane fotele są ustawione w zaciszny krąg, a igła mojej prawdziwej matki połyskuje w blasku ognia, kiedy wbijają i wyciąga, wbija i wyciąga, snując swoją opowieść - historię o tym, jak jej prawdziwe dziecko, klejnot czerwony jak krew, zostało podmienione w kołysce.

- Ty głupia, pieprzona dziewucho! Patrz, gdzie leziesz! - Szpetny, czerwony z wściekłości mężczyzna, z twarzą wykrzywioną nienawiścią, naciska ręką klakson swojego auta, a za nim tworzy się korek i trąbią klaksony. Pokazuję mu dwa palce, bezpiecznie docieram na chodnik i idę dalej, mijając zabudowania gospodarcze, a potem wchodzę na nowy most, który spina brzegi płaskiej i nieromantycznej Ouse.

W domu panuje chłód i spokój. Bunty wszystko odnowiła, a za pieniądze z ubezpieczenia George'a kupiła nowe meble, tak że nie zostało prawie nic, co byłoby świadkiem przeszłości, świadkiem innego życia. Nic nie zostało też po Patricii. Bunty w końcu uznała, że Patricia nie wróci, i rozdała wszystkie jej rzeczy. Jedyne, co udało mi się ocalić, to jej pandę i czasami wyobrażam sobie, jaka będzie zadowolona, kiedy ją ode mnie dostanie, chociaż była pewna, że wszystko przepadło na dobre. To zdumiewające, jak łatwo przyszło

Bunty wyplenić George'a - nie została po nim ani jedna skarpetka, ani jeden niedopałek papierosa. Mogę sobie wyobrazić, że po mojej śmierci popłacze trochę, a potem ściągnie odkurzaczem ostatnie płatki mojej skóry i zrobi sobie filiżankę herbaty.

Zegar nierówno wybija trzecią - zegar mojej praprababki. Od pożaru to już nie ten sam zegar i dziwię się, że Bunty nie oddała go jeszcze na targ staroci - choć z drugiej strony funkcjonowanie jej mózgu jest dla mnie taką samą tajemnicą jak funkcjonowanie zegara albo i samego czasu.

Idę na górę i na dnie szafki z bielizną moszczę sobie gniazdko z czystych ręczników, które pachną świeżym powietrzem i proszkiem mydlanym, a potem, jak mały ssak, wiercę się i kręcę w mojej norce, póki nie jest mi całkiem wygodnie. A następnie, przy akompaniamencie bulgotu grzejnika, otwieram buteleczkę z tabletkami i wpycham je sobie do ust, jak żarłoczna kaczką, na wypadek gdybym zasnęła przed zażyciem wystarczającej ilości.

W dół, w dół i w dół. Lecę w dół poprzez przestrzeń i czas, i ciemność. Czasami przyspieszam i wtedy czuję, jak siła odśrodkowa przygniata moje organy do wewnętrznych ścian ciała. W dół i w dół, ku gwiazdom, które migoczą na końcu świata. Mijam głos mówiący: „Tak jest, bez dna”, ale słowa te toną w strasznym ryku i hałasie w mojej głowie, zupełnie jakby wszystkie oceany świata zlewały się w jedno. A potem, na szczęście, zwalniam i zaczynam szybować, jakbym była przywiązana do niewidzialnego spadochronu. Teraz, kiedy już zwolniłam, potrafię rozróżnić w ciemności dziwne kształty, skamieniałe przedmioty, lalki i łyżki, a kiedy widzę coś, co wygląda jak wyrzeźbiony w marmurze konik Moby, wzdycham z radości, bo zupełnie o nim zapomniałam. Z ciemności wypełza bezcielesna głowa jelenia i otwiera pysk,

żeby przemówić, jak końska głowa z Gęsiarki. „No, no, kogo ja widzę”, mówi, a potem znowu znika.

Lecę dalej w dół, szybując jak puch ostu, mijając pandę Patricii i smolucha Gillian, i stare radio babci Nell. I wtedy z dreszczykiem podniecenia uświadamiam sobie, że muszę się chyba znajdować w szafie rzeczy zgubionych - nie tej szkolnej, ale tej wielkiej, metafizycznej. Wkrótce dosięgnę dna i znajdę moje zaginione wspomnienia, a wtedy wszystko będzie dobrze.

Ktoś wsuwa mi do ręki przyjazną łapkę. Odwracam głowę i widzę Teddy'ego, który smutno się do mnie uśmiecha. „To już koniec świata”, mówi, a ja, przepełniona radością wołam: „Och, Teddy - to ty umiesz mówić!”, a on odpowiada: „W szafie rzeczy zgubionych wszystkie zwierzęta umieją mówić”.

Jestem taka szczęśliwa z powodu Teddy'ego, ale nagle jego pyszczek pochmurnieje. „Uważaj na pierścienie Saturna, Ruby!”, mówi. „Nie zapominaj, że one są...”, ale wtedy właśnie jego łapka wyślizguje mi się z ręki, zanim zdążył coś dodać, a ja zaczynam nagle przyspieszać - potwornie - tak że odnoszę wrażenie, jakby mój mózg się naprężył i był wyciągany z czaszki na elastycznej nitce, i czuję potworne, rwące bóle wzdłuż wszystkich nerwów w rękach. Wielkie, różnobarwne słońca eksplodują po moich obu bokach i im szybciej pędzę ku gwiazdom na końcu świata, tym bardziej one się cofają. Zaczynam się bać, że ta podróż będzie się ciągnąć bez końca i grzebię w pamięci w poszukiwaniu czegoś okropnego, co musiałam zrobić, żeby sobie zasłużyć na taką karę.

A potem - jak z pociągu duchów w wesołym miasteczku w Scarborough - z ciemności wylania się rozgniewana twarz pana Bellinga, który zaczyna na mnie krzyczeć, ale ja nie słyszę ani słowa, aż nagle jego głos ryczy mi prosto do ucha: „Twoja biedna matka dała ci wszystko, ale ty jesteś tylko

wstrętną niewdzięcznicą!" Wyciągam ręce, żeby odepchnąć od siebie tę zmore, ale on wciąż powtarza: „Co za niedobra, niedobra dziewczucha”, a ja próbuję odkrzyknąć: „Nie!” - bo wiem, co chce dalej powiedzieć, ale nie mogę mówić i nagle nie mogę też oddychać, a z moich ust zaczynają się wydobywać przerażające odgłosy, jakby ktoś tonął, tonął w powietrzu, a zjawa pana Bellinga spada wraz ze mną w studnię czasu, tak że muszę zatkać uszy rękami, żeby nie słyszeć, co chce mi powiedzieć. Ale nie potrafię odciąć się od jego głosu, który w kółko powtarza: „Zabiłaś swoją własną siostrę, Ruby! Zabiłaś swoją własną siostrę, Ruby!”

- Pytam cię, jaka mała dziewczynka potrafiłaby to zrobić?
- krzyczy rozzłoszczony, a w kąciku ust pojawia mu się kropelka śliny.

Ze szczytu schodów odzywa się Bunty:

- Jesteś gotowy, Bernard? Kurtyna idzie w górę o wpół do ósmej!

- Wiem o tobie wszystko, Ruby - syknął pan Belling. - Twoja matka wszystko mi powiedziała!

- Nie zabiłam mojej siostry! - syczę w odpowiedzi. - Została przejechana przez samochód.

Ale on tylko łypnął złośliwie okiem i powiedział:

- Nie o tą mi chodzi, ty mała głuptasko, chodzi mi o twoją bliźniaczkę! - Po tych zdumiewających słowach odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju. Zaraz potem słyszę, jak Bunty woła z holu:

- Wychodzimy do teatru, Ruby, zobaczymy się później!

Drzwi frontowe zatrzasnęły się. Odjechali.

Moją własną bliźniaczkę? Moją bliźniaczkę? O czym on mówił, na Boga? To dziwne, bo choć jakaś część mnie została kompletnie zbita z tropu tym oświadczeniem, pozostała część usłyszała dzwonek alarmowy. Miałam uczucie, jakby mi po skórze pełzły stonogi. Pobiegnęłam na górę

do pokoju Bunty i zaczęłam grzebać w górnej szufladzie robionej na zamówienie garderoby, między pudełkami po butach, w których trzymała wielką kolekcję nie noszonych butów, aż w końcu znalazłam to, czego szukałam - pudełko po butach bez butów, wypchane kawałkami papieru, dzięki którym nasze życie miało oficjalny status, a także przypadkowymi przedmiotami, dla których nie było gdzie indziej miejsca, ale których jakoś nie potrafiła wyrzucić. Przekopałam się przez karty od lekarza, książki raportów, świadectwa ubezpieczenia, złamany kolczyk, starą książeczkę żywnościową, srebrny medalion (zobacz Przypis XI), papiery hipoteczne, zapleśniałą futrzaną łapkę, stary program teatralny i plastikowe kółko po ogniach bengalskich. Wreszcie dotarłam do testamentu George'a oraz jego świadectwa zgonu, do świadectw Patricii z małej matury (Bunty będzie miała teraz dwie córki, które oblały maturę), metryki ślubnej Bunty i George'a, świadectwa zgonu Gillian, a potem wszystkich naszych metryk urodzin, ściągniętych gumką

- Berenice Eileen, George Arthur, Patricia Vivien, Gillian Berenice, Ruby Eleanor. I Pearl.

Więc to ona. Pearl. Pearl Ada Lennox. Urodzona w Szpitalu Położniczym w Fulford - to niewiarygodne - tego samego dnia i miesiąca co... ja. - 8 lutego 1952 roku! Zaczęłam czytać w kółko metrykę urodzin Pearl, a potem porównywać ją z moją, spoglądając to na jedną, to na drugą, jakby w końcu coś miało się wyjaśnić. Ale było tylko jedno wytłumaczenie - „Pearl Ada Lennox” była rzeczywiście moją bliźniaczą siostrą. Czułam jakieś potworne, złowieszcze ssanie w żołądku, a jednak nie miałam żadnych wspomnień związanych z tą siostrą - nie potrafiłam przywołać jej wizerunku. W nagłym przypiływie pamięci zobaczyłam kartoniki z alfabetem w podkówcę - jakby uchwycone fotograficznym fleszem - świnkę, słonia, jabłko, królika,

cytrynę, ale nic więcej. Może ta Pearl, podobnie jak bliźniak Elvira Presleya, umarła zaraz po urodzeniu - może byłyśmy siostrami syjamskimi i ona musiała umrzeć po to, żebym ja mogła żyć. Może o to chodziło panu Bellingowi. Ale chyba raczej nie. Zaczęłam przetrząsać papiery w pudełku po butach bez butów, aż wreszcie, na samym dnie, znalazłam to, czego szukałam - jeszcze jedno świadectwo zgonu, tym razem wystawione 2 lutego 1956.

Przyczyna zgonu - utonięcie. Pomyślałam o „Burzy” i o „perłach, które były kiedyś jego oczami”, potem o poławiaczach pereł, nurkujących po ostrygi w Morzu Południowochińskim, ale mimo to nie mogłam sobie przypomnieć nikogo o imieniu Pearl, a już z pewnością nie siostry - bliźniaczki.

Czyżbym utopiła moją własną siostrę? Czy coś takiego byłoby w ogóle możliwe? Przecież sama nawet nie potrafiłam się utopić. Otworzyłam srebrny medalion i znowu zobaczyłam dwie fotografie, na których byłam ja jako dziecko i które znalazłam kiedyś w nocnym stoliku Bunty. Zajęło mi to dość dużo czasu, zanim - wpatrując się uważnie w bliźniacze wizerunki dyptyku - uświadomiłam sobie, że jeden z nich to wcale nie ja, tylko moja siostra. Patrzyłam i patrzyłam, aż rozboleły mnie oczy, próbując zgadnąć, która z nich to ja, a która nie. Ale nawet jeśli jedna z nich była fałszywą Ruby i prawdziwą Pearl, nie byłam w stanie za żadne skarby powiedzieć która.

Włożyłam z powrotem wszystkie papiery do pudełka po butach i zamknęłam drzwi garderoby. Nim pan Belling odwiózł Bunty do domu, byłam już w łóżku i udawałam, że śpię, kiedy Bunty jak zwykle zajrzała do mnie - pewnie, żeby sprawdzić, czy oddycham. Potem jednak z jakichś powodów zmieniłam zdanie - poderwałam się i usiadłam na łóżku, a Bunty cicho krzyknęła, jakbym była jakimś zombie, które

właśnie wstało z grobu. Zapaliłam lampkę przy łóżku i zamachałam srebrnym medalionem.

- Czemu nigdy o tym nie rozmawialiśmy?

Jej milczenie było przerażające, bo nie wiedziałam, co się za nim kryje. W końcu usłyszałam, jak nerwowo przełyka ślinę i mówi: - Bo zapomniałaś.

- Zapomniałam? Co to znaczy „zapomniałam”?

- Wymazałaś to wszystko z pamięci. Amnezja - odparła krótko Bunty. Udało jej się zachować lekko poirytowany ton nawet wtedy, kiedy mówiła mi te doniosłe, wstrząsające rzeczy. - Doktor Haddow powiedział, że tak pewnie będzie najlepiej - po tym, co się stało. - Była już jedną nogą za drzwiami, kiedy nagle coś ją zatrzymało. - Wszyscy uznaliśmy, że tak będzie lepiej - dodała. - W końcu nikt nie chciał przypominać sobie tego, co się stało.

- Przecież nie można tak po prostu wymazać czegoś takiego z pamięci - wrzasnęłam za nią. - Nie można udawać, że ktoś nigdy nie istniał, nie mówić o nim, nie oglądać zdjęć...

Bunty wysunęła się jeszcze dalej za drzwi, tak że pozostało po niej niewiele więcej niż ręka i głos.

- Ależ są zdjęcia - powiedziała. - I oczywiście rozmawialiśmy o niej; to ty ją wymazałaś, nie my.

- Zawsze jest moja wina, prawda? - wrzasnęłam, a potem zapadła między nami cisza, która zaczęła się rozciągać i rozlewać, przybierając formę wodnistej substancji, trzymającej nas jakby w pułapce. Wtedy rzuciłam pytanie, którego nie dało się już dłużej unikać w tej kałuży ciszy, i nagle poczułam, że więzące nas fale zaczynają płynąć w przeciwnym kierunku.

- W jaki sposób zabiłam moją siostrę? Fale dotarły do Bunty, która cicho westchnęła.

- Wepchnęłaś ją do wody - powiedziała głucho. - To był wypadek, nie mogłaś wiedzieć, że tak się stanie, miałaś tylko cztery latka.

- Wypadek? - powtórzyłam. - Bernard Belling mówił o tym tak, jakby to było morderstwo z zimną krwią...

- No cóż... - Moja matka miała jednak na tyle przyzwoitości, żeby okazać pewną irytację - nie powinien był z tobą o tym rozmawiać... - Zawahała się. - Był taki czas, kiedy cię o to obwiniałam, ale to był oczywiście wypadek... - Głos jej zamarł, a na koniec odezwała się znużonym tonem: - To było dawno temu, nie ma sensu znowu do tego wszystkiego wracać. - Po czym wreszcie udało jej się zniknąć za drzwiami sypialni.

Jednak po kilku minutach wróciła i usiadła w nogach łóżka. Potem wzięła ode mnie medalion, otworzyła go i przez dłuższy czas siedziała bez słowa.

- Która to? - zapytałam w końcu. - Która to Pearl?

A ona wskazała na fotografię po lewej stronie, powiedziała: - Moja Pearl - i wybuchnęła płaczem.

O nie, znowu to samo - w dół, w dół i w dół - z powrotem w mroczną otchłań czasu. Czy to się kiedyś skończy? Mijam czyściocha uczepionego Denise, a za nimi domek dla lalek Daisy i Rose. Myślę sobie: „Ruby i Pearl, Ruby i Pearl, bliźniacze klejnoty”, i natychmiast widzę skrzynię z klejnotami, należącą do czarownicy z Jasia i Małgosi, pełną opali wielkości kaczego jaja, rubinów jak serca, brylantów jak lodowa kra, szmaragdów jak jeziora lodowcowe, szafirów jak okruchy letniego nieba oraz pereł - olbrzymich, opalizujących kul, połączonych w grube sznury i toczących się po ścianach skrzyni. Wyciągam rękę i próbuję chwycić taki sznur, ale moje palce prześlizgują się po gładkich kulach, a ja lecę dalej, przez łąwicę szpilek i deszcz guzików jak meteory, mijając niewidzialnego Eamonna Andrewsa, który mówi: „Ruby

Lennox. Oto twoje życie!" A potem papuga, która otrzymała od szafy dar mowy, skrzeczy mi prosto do ucha: „Zamknij sierubę zamknij sierubę”.

*

Potem już tylko ciemność, całkowita głucho - niemo - ślepa ciemność, która ciągnie się i ciągnie, kiedy nurkuję jak poławiacz pereł, aż tu nagle: Błysk! Widzę przed sobą światło i myślę: „Światło świata”. Wiem też, że najpewniej zbliżam się do dna Szafy. Pośrodku światła stoi mała figurka, a im bardziej się zbliżam, tym robi się jaśniejsza. Stoi jak Wenus Botticellego, w wielkiej, lśniącej muszli z masy perłowej, opalizującej i bladej. Mogę już niemal dotknąć tej postaci - tej, która jest moją bliźniaczką, moim sobowtórem, moim lustrem. Cała w uśmiechach mówi coś, wyciąga do mnie rączki, czeka na mnie, ale ja nie słyszę nic prócz zegara, wybijającego „cztery, pięć, sześć” w mojej głowie, oraz pisków i skrobania do drzwi. Potem ciemność się zagęszcza - ciemność jak wełniany całun, ciemność, która próbuje wtargnąć do mojego wnętrza, wpychając mi się do ust i nosa, i uszu jak gęste, czarne runo. Wtedy uświadamiam sobie, że zostaję zakopana żywcem, a ziemia sypie się na moją trumnę i wpada do środka przez maleńkie szczeliny. Szczeliny światła...

- Ruby? - W jednej ze świetlistych szczelin pojawia się para warg i żółtawe zęby. Błyska złoty kieł, a usta w kółko coś powtarzają. Z najwyższym wysiłkiem koncentruję się na kształcie, jaki przybierają te usta, aż wreszcie z pewnym zdumieniem odkrywam, że wymawiają one moje imię. „Ruby”.

- Ruby? Jak się teraz czujesz, Ruby? - Usta uśmiechają się, a potem cofają. Widzę śmiesznie wyglądającą kobietę, dość starą, z warkoczami upiętymi wokół uszu, jak słuchawki, i podłużnymi złotymi okularami, zawieszonymi na szyi. Nie mogę mówić, czuję się, jakby ktoś wyszorował mi gardło

zwirem, a głowa mi pęka. Mrużę oczy od światła, wpadającego przez szpitalne okno i rozlewającego się na zielonym linoleum w duże, geometryczne kałuże.

- Cześć, Ruby. Jestem doktor Herzmark i chciałabym ci pomóc. Co ty na to?

W pokoju doktor Herzmark zawsze jest bardzo gorąco i duszno. Podejrzewam, że to naumyślnie, żeby człowiekowi chciało się spać. W szufladzie doktor Herzmark trzyma ciasteczka - dziwne, lepkie cynamonowe ciasteczka i polane syropem cytrynowe bułeczki. Nalewa gorzką kawę, którą wypijam, żeby nie zasnąć. Albo zaczynam ssać jedną z kostek brązowego cukru, które trzyma w miseczce na biurku, przypominających blady, sprasowany piasek. Potem, z zabawnym niemieckim akcentem, doktor Herzmark mówi:

- Chcesz się położyć, Ruby? - Nigdy nic mi nie każe, tylko pyta, a potem nakrywa mnie kołdrą - ciemnoniebieską, z czerwonymi ściegami, jak końska derka, i mówi: - No więc, Ruby, chcę, żebyś sobie wyobraziła, że jesteś owinięta w jeden z kolorów tęczy, i zaczęła odliczać wstecz od dziesięciu... - a ja za każdym razem próbuję wybrać inny kolor, żeby zobaczyć, jak to jest, i mogę wam powiedzieć, że czerwony to kolor rubinów, oczywiście, a pomarańczowy sprawia, że człowiek czuje się, jakby był pełen światła. Przy żółtym ma się pulsujące uczucie, jakby się wdychało sorbet cytrynowy, a zielony to zapach letniej trawy po deszczu (kolor melancholii). Indygo to kolor magii, a fiolet ma smak kwiatowych cukierków. Czerwień, oranż, żółć, zieleń, błękit, indygo, fiolet. „Rowntree z Yorku da ci to, co najlepsze”. Z okna doktor Herzmark można poczuć zapach fabryki i zapach truskawek, bo o tej porze roku robią tam galaretki truskawkowe.

- Najbardziej lubię zapach kakao - mruczę. A doktor Herzmark mówi: - Mmm - w bardzo cudzoziemski, wymowny sposób.

A co z błękitem? Błękit to kolor pamięci. A także najpiękniejszych kwiatów - dzwonków i hiacyntów, i małych, gwiazdkistych niezapominajek na polu wujka Toma - ale nie dziś, bo mamy właśnie środek zimy i zasypał je śnieg. Jest 2 stycznia 1956 roku - i po raz pierwszy cierpliwiej doktor Herzmark udało się cofnąć mnie do tego feralnego dnia. I oto nagle siedzę przy stole w jadalni wuja Toma, w jego domku w Elvington, podczas obowiązkowej, noworocznej wizyty u rodziny. Żona wuja, ciocia Mabel, mówi do Bunty: „Cudownie, że cię widzę” - a potem odwraca się do Gillian i Patricii i pyta: „Cieszyście się, że po feriach świątecznych wróćcie do szkoły?” Patricia mówi: „Tak” - a Gillian mówi: „Nie”. Wujek Tom odwraca się do George'a. „Bałem się, że droga może być zablokowana - zeszłej nocy mieliśmy prawdziwą śnieżycę”. A George mówi: „Wiem, dotarliśmy tu nie bez przygód”.

Ciocia Mabel podała na obiad niestosowną, jak na tę porę roku, sałatkę i już sam widok okrągłych liści sałaty i bladezielonych krążków ogórka wystarczy, żeby człowiek dostał dreszczy. „Podali sałatkę z ozora”, mówię do doktor Herzmark i ze śmiechem opowiadam jej o tym, jak Gillian rzuciła się na gruby kawałek zimnego ozora (wołowego), który ciocia Mabel właśnie ukroiła i który sama przyrządziła specjalnie na naszą wizytę.

Gillian odgryza wielki kęs, szybko go przełyka (podejrzewam, że w poprzednim życiu umarła z głodu) i mówi do Bunty: „Czemu my nie jemy czegoś takiego? To bardzo smaczne” - a potem, patrząc, jak ciocia Mabel kraje następny kawałek, dorzuca: „Co to jest?” Ciocia Mabel uśmiecha się. „Ozór, Gillian”.

Na czole Gillian ukazują się drobne zmarszczki, gdy przeżuwa i tę informację - i to zarówno dosłownie, jak i w przenośni. Mówi sama do siebie „ozór”, a potem znowu „ozór”, tym razem mniej pewnie, czując to słowo na swoim własnym języku, gdy dotyka nim podniebienia. A potem odkłada nóż i widelec i wbija wzrok w połówkę pomidora na swoim talerzu. Na widok jej zmieszanej miny Patricia wybucha okrutnym śmiechem, a Pearl przyłącza się, choć nie wie, z czego Patricia się śmieje. Pearl lubi się śmiać - w moich ponurych rozmyślaniach to sama jasność i słońce. „Dosyć tego”, mówi Bunty, bo dźwięk śmiechu drażni ją, dotykając jakiejś głęboko ukrytej, nie zagojonej części jej duszy. „Po obiedzie możecie iść się pobawić na śniegu”, mówi George. „Wasze kalosze są w bagażniku”. „Zrobimy dużego bałwana?”, dopytuje się podekscytowana Pearl, a wujek Tom mówi ze śmiechem: „Weźcie sobie z wiadra trochę węgla, żeby zrobić mu oczy”.

*

- Dosyć - mówię nagle do doktor Herzmark. Bo to rozdzierające uczucie móc oczyma duszy widzieć Pearl tak wyraźnie, wiedząc zarazem, że jest tak całkowicie nieosiągalna.

- Może innym razem, Ruby - mówi doktor Herzmark, proponując mi kawałek toffi, odłamany z większego bloku. Kiedy podnoszę go pod światło, słońce rozświetla go jak bursztyn, a zapach truskawek towarzyszy mi przez całą drogę do domu.

Bunty i ciocia Mabel ubierają nas w budrysówki, szaliki i rękawiczki. Pearl i ja mamy wełniane kapturki - mój jest czerwony, jej niebieski - z białymi pomponami na czubku. Pearl jest tak podniecona śniegiem, że tupie niecierpliwie nogą i z trudem potrafi ustać na tyle spokojnie, żeby można jej było założyć kalosze. „Stój spokojnie, Pearl!”, mówi Bunty,

naciągając jej niezdarnie but. W końcu Bunty dochodzi do wniosku, że jesteśmy wystarczająco grubo ubrane. Ciocia Mabel otwiera drzwi od kuchni. Wybiegamy całą hurmą na mróz, a nasze głosy dźwięczą jak dzwoneczki w kryształowym powietrzu. „Tylko żebyście się nie zbliżyły do sadzawki!”, krzyczy za nami ciocia Mabel, kiedy brniemy po dziewiczym polu, a jej słowa odbijają się echem od śnieżnej bieli.

- Dosyć.

- Może innym razem. - Doktor Herzmark uśmiecha się. - Widziałaś w wiadomościach czołgi w Pradze?

- To straszne - przyznaję, przeżuwając rosyjskiego karmelka.

Z dachu zakładów Rowntree rozlega się dźwięk syreny. Wzdrygamy się obie, ale doktor Herzmark mówi: - To tylko ćwiczenia przeciwpożarowe.

Ciocia Mabel mogła równie dobrze powiedzieć: „Macie iść prosto do sadzawki”, bo jak tylko znalazłyśmy się na polu, ruszamy gęsiego do stawu, gdzie zbierają się kaczki i gęsi cioci Mabel. Miałyśmy kiedyś na wiosnę ciemnożółte kurczaczki, zabrałyśmy też do domu czarne kaczce jaja, które tak pięknie wyglądają i mają taki ohydny smak, ale nigdy jeszcze nie widziałyśmy sadzawki w zimie. Przystajemy na moment i patrzymy z zachwytem, bo jest to zaczarowane miejsce - przed nami zamarznęta płaszczyzna migoczącej bieli, a obsypane śniegiem drzewa na wysepce pośrodku wyglądają, jakby grały kuranty, kiedy się nimi potrząśnie - zupełnie jak w bajce. W sadzawce jest tak dużo wody, że część wylała się na pole. Spod szklistego lodu na brzegach prześwituje miejscami zielona trawa.

Na brzegu sadzawki kolebie się kilka gęsi, a parę kaczek zatacza na wodzie leniwe kręgi, rozgarniając papkę lodowych kryształków na powierzchni, żeby nie dopuścić do jej

zamarznięcia. Większość ptaków wybrała jednak wysepkę, skąd na nasz widok zaczynają gęgać i kwakać w podnieceniu.

„Ach, trzeba było przynieść trochę chleba!”, biadoli Patricia. Gillian aż piszczy z zachwytu, kiedy trafia na tafle zamrożonego lodu, i tupie nogą jak oszalały królik Disneya. „Uważaj, Gillian”, mówi Patricia, po czym się oddala, prowadząc parę kaczek wokół sadzawki. Pearl rusza za Gillian, podskakując raz za razem na widok naszej siostry, która dokonuje cudu i chodzi po wodzie. Gillian już prawie dotarła na wyspę, gdy nagle lód wydaje przerażający trzask! i zaczyna się lekko kołysać, tak że można zobaczyć jego krawędź, w miejscu gdzie zanika i znowu staje się płynny, dzięki pływackim maratonom kaczek. Pearl stoi już obiema nogami na lodzie, a Gillian śmieje się i krzyczy do niej: „Chodź! Chodź, nie bądź tchórzem! Pearl, tchórzliwa galareta!” - bo wie, że to jedyny sposób, żeby Pearl do czegoś nakłonić. Krzyczę do Pearl, że ma wracać, a Gillian jest na mnie wściekła i zaczyna wrzeszczeć: „Zamknij się, Ruby! Jesteś tylko dużym dzieckiem!”

Rozglądam się rozpaczliwie za Patricia, ale ona zniknęła za kępą zamrożonych drzew i nigdzie jej nie widać. Pearl przeszła już prawie połowę drogi, kiedy nagle spostrzegam, że lód zaczyna się lekko kołysać, i wybucham płaczem. Gillian ani na chwilę nie przestaje krzyczeć: „Chodź, no chodź tu, Pearl!” Nagle lód, na którym stoi Pearl, przechyla się, a ja z przerażeniem patrzę, jak Pearl ześlizguje się jak na zjeżdżalni. Zsuwa się powoli, nogami do przodu, a kiedy wpada do wody, jej ciało odwraca się do mnie twarzą, tak że ostatnią rzeczą, jaką widzę, jest jej buzia, wykrzywiona z przerażenia, a ostatnie słowa, jakie wypowiedziała, zanim wchłonęła ją czarna toń, wiszą w powietrzu, tworząc lodowe kryształki dźwięku, jeszcze długo po tym, jak zniknął biały pomponik jej kapturka.

A ja mogę tylko stać z szeroko otwartymi ustami, z których wydobywa się długi, jednostajny krzyk hysterii. I choć zdaję sobie sprawę z tego okropnego lamentu, który wydostaje się z mojego wnętrza, a także mam świadomość, że Gillian stoi na wyspie i krzyczy do Patricii, żeby się pospieszyła, a Patricia pędzi wokół sadzawki, mimo całej tej kakofonii - do której dołączyły się teraz wszystkie gęsi - jedyne, co naprawdę słyszę, to słowa Pearl, które zadomowiły się w mojej głowie, odbijając się rykoszetem i tworząc przerażające echo: „Ruby, na pomoc! Ruby, na pomoc!”

Patricia skacze do wody i niemal natychmiast się wynurza, krztusząc się z zimna, a proste włosy oblepiają jej głowę. Zaraz jednak mruga jak dziwna amfibia i znowu zanurza się do wody. W tym czasie cały ten rwetes dotarł już nie tylko do domku wuja Toma, ale również do sąsiedniej farmy i zewsząd biegną ludzie, tratując gładki, biały śnieg. Ktoś wyciąga z wody siną, trzęsącą się Patricię, owija ją w brudną, szorstką marynarkę i gdzieś ją zabiera, a jeden z robotników na farmie wchodzi pewnym krokiem do wody, ale prawie natychmiast musi zacząć pływać, zachłystując się z zaskoczenia, bo sadzawka okazuje się niespodziewanie głęboka.

Pearl zniknęła gdzieś pod lodem i nie można jej odnaleźć. Dopiero po kilku godzinach, kiedy mężczyźni przynieśli bosaki i długie żerdzie, żeby ją wyłowić, Pearl zgadza się wyjść z ukrycia. Jeden z mężczyzn, duży, z ospowatą cerą i masywną szczęką, niesie ją na rękach, trzymając z daleka od siebie, jakby była czymś niezmiernie kruchym i ważnym. Bo oczywiście taka jest i przez całą drogę po udeptanym śniegu mężczyzna trzęsie się od szloch, który próbuje w sobie stłumić.

A mnie pęka serce - pęka na postrzępione, lodowate odpryski. Oddycham wielkimi, hałaśliwymi haustami, bo tonę w powietrzu, i gdybym mogła wypowiedzieć jakieś zaklęcie i

zatrzymać czas - powstrzymać go na zawsze, tak żeby głowa zarosła mi pajęczynami, a kaczki zatrzymały się w połowie zataczanych kręgów i pióra zastygły w powietrzu, wiecznie niesione poprzez czas - to na pewno bym to zrobiła.

Bezwładne ciało Pearl zostaje złożone na stole w kuchni, ale ciocia Mabel przegania nas stamtąd do frontowego pokoju. Patricia została już wyekspediowana do szpitala. Gillian siedzi w fotelu i wpatruje się w swoje stopy. W pokoju pachnie kamforą i starym drewnem. Jedynym odgłosem jest tykanie zegara, który dźwięcznym kurantem odmierza kwadransy. Nie mam siły siedzieć na krześle, więc zwijam się w kłębek za kanapą i leżę tam jak odrętwiała, słuchając okropnych słów - ale nie Pearl, tylko Gillian.

Gdy wyciągano z sadzawki krzyczącą i wierzgającą Patricję, zdecydowaną wrócić do wody i odnaleźć Pearl, Gillian tkwiła uwieczona na wyspie (ostatecznie przyniesiono małą łódkę, żeby ją stamtąd ściągnąć). Kiedy mężczyźni rozpoczęli poszukiwania Pearl, Gillian zaczęła podskakiwać jak dzikus, wykonując swój własny taniec plemienny. Ze strachu, że zostanie oskarżona o to, co się wydarzyło, pokazała na mnie, krzycząc do utraty tchu: „To ona, to ona, to ona. To Ruby ją popchnęła, Ruby wepchnęła Pearl do wody. Wszystko widziałam! Wszystko widziałam!” - a ja po prostu stałam jak oniemiała, gapiąc się na zamarznąłą trawę pod lodem, gdzie długie, białe pióro jednej z gęsi cioci Mabel uwiło sobie zimne gniazdko.

- No co, już wszystko w porządku? - pyta doktor Herzmark, trzymając mnie w ramionach jak małe dziecko i kołysząc w tył i w przód. Po chwili uspokajam się i siedzimy w dziwnie przyjaznej pozycji, słuchając świstu rowerów - to dzienna zmiana z Rowntree wraca do domu. Potem doktor Herzmark daje mi z szuflady czekoladowe ciastko, a ja rozwijam je z posrebrzanej folii.

- Moja matka naprawdę mnie o to obwiniała. Wyprawiła mnie do Dewsbury, do swojej siostry, bo nie mogła na mnie patrzeć.

- Bo przypominałaś jej Pearl, a nie dlatego, że cię nienawidziła - sugeruje doktor Herzmark.

Wzruszam ramionami. - Pewnie jedno i drugie. Biedna Bunt - straciła dwójkę dzieci. I biedna Patricia. Spodziewaliśmy się, że zrobi coś, żeby uratować Pearl. A ona nie potrafiła. I biedna Gillian - dodaję z lekkim zdumieniem. - Jeżeli już ktoś był winny, to właśnie ona. A ona nie żyje. I biedna Pearl, bo ona też nie żyje.

- No więc - mówi z uśmiechem doktor Herzmark - będziemy tak wyliczać wszystkich ludzi na świecie, żywych i umarłych, i mówić „biedny taki - a - taki” i „biedny taki - a - taki”? A czy kiedyś dojdziemy do „biedna Ruby”?

A ja wypróbuję te słowa, żeby sprawdzić jak pasują „biedna Ruby”, ale ledwo zdążyły się uformować w moich ustach, wybucham płaczem i płacę, zanoszę się od płaczu tak, że niemal tonę w kałuży moich własnych łez.

Byłam na końcu świata, a teraz wróciłam, i wiem już, co włożyłabym do mojej dolnej szuflady. Włożyłabym moje siostry.

Przypis XI - Nie to życie

Alice siedziała w kuchni na bujanym fotelu i w promieniach wrześniego słońca karmiła nowo ochrzczonej Eleanor. Malutka Nell zasnęła przy piersi, a i sama Alice, mocno zgnębiona, też się zdrzemnęła, niezdolna stawić czoła nie wypranym ubraniom, nie nakarmionym dzieciom i niezadowolonemu mężowi, bo z tego składało się jej życie.

Myślała wciąż, w posepnie metaforyczny sposób, że czuje się, jakby ktoś położył jej na piersi wielki głaz, pod którym powoli się dusiła, jak jeden z tych dawnych męczenników,

choć - jako kobieta w swoich najlepszych czasach bezbożna - nie potrafiła zrozumieć, za co, na Boga, tak cierpi.

W sennym roztargnieniu słuchała skrzypienia wozu i słyszała ostrzegawcze szczekanie psa. Wiedziała, że to się z czymś wiąże, ale za żadne skarby nie mogła sobie przypomnieć z czym. A potem usłyszała ten charakterystyczny głos, mówiący coś do któregoś z dzieci - Bonzuur - i omal nie upuściła śpiącego niemowlęcia, kiedy spłoszona zapinała stanik sukni. Jean - Paul Armand! Majestatycznie zasłonił drzwi, a potem wprosił się do stołu, mówiąc wiele przesadnie sentymentalnych rzeczy o maleńkim, podobnym do myszy dziecku, niemal zagubionym w głębi wielkiej, drewnianej kołyski. „Szczęśliwa maman!”, powiedział swoim egzotycznym akcentem. „Jaka szkoda, że la petite spóźniła się i nie ma jej na fotografii!”

Jeżeli chodzi o te fotografie, mózg Alice pracował teraz jak szalony - czy podpisała jakąś umowę? Czy zobowiązała się do zapłacenia pieniędzy, których pewnie nie znajdzie? (Jej dobra materialne w całości wynosiły sześć srebrnych sześciopensówek w puszcze do herbaty na kominku). Skąd mogła znać odpowiedzi na te pytania, skoro jej mózg był wiecznie jak sito macierzyńskiej amnezji.

Z czarnego skórzanego nesesera Monsieur Armand wyjął owoce swojej pracy. Oprawił trzy fotografie, żeby zademonstrować swojej klientce, ile będzie musiała dopłacić za ramkę, aby jak najkorzystniej ukazać swoją progeniture - choć jedna z oprawionych fotografii (oprawionych, trzeba powiedzieć, w znacznie droższą ramkę niż dwie pozostałe), ulubiona fotografia Monsieur Armanda, wcale nie przedstawiała jej progenitury, a tylko samą Alice, ukrywającą swoje płodne łono za szezlongiem i enigmatycznie wydymającą wargi do kamery.

„Belle”, mruknął z aprobatą Monsieur Armand i przez sosnowy stół podsunął Alice jej sepiowy portret. Spojrzała obojętnie na swoją fotografię, ale wyciągnęła rękę, żeby zgarnąć zdjęcia dzieci - zastygłe w nieruchomych pozach na swój sposób wydały jej się znacznie bardziej atrakcyjne. Na ich widok oczy jej zwilgotniały i pociągnęła cicho nosem. Z jednej ze swoich licznych kieszeni magika Monsieur Armand wyjął olbrzymią (czystą) jedwabną chustkę do nosa i podał ją szarmanckim gestem, tak że Alice mogła wydmuchać nos w dość nieelegancki sposób. Po wytarciu nosa poderwała się od stołu, zdjęła z kominka puszkę od herbaty zawierającą całe jej oszczędności, otworzyła wieczko i melodramatycznym gestem opróżniła na stół jej zawartość. Monety rozsypały się po stole i fotografiach jej dzieci. „Proszę”, oświadczyła tragicznym tonem, „oto całe moje ziemskie dobra. Jestem zdana na pańską łaskę”, dodała, wybuchając płaczem.

Przez chwilę Monsieur Armand nie wiedział, co począć. Często miewał klientów, którzy nie byli mu w stanie zapłacić - z reguły był już na to przygotowany, ale na ogół jego klientki nie bywały tak dramatyczne, tak uczuciowe, takie... inne... jeżeli już o to chodzi, więc dopiero po paru sekundach jakoś się pozbierał i sięgnął poprzez wiejski stół po jej szczupłą, małą rączkę. „Droga pani”, powiedział, „droga, droga pani, niech się pani nie denerwuje, nie wezmę od pani żadnych pieniędzy”. Alice zdumiała się. Nie mogła sobie przypomnieć, żeby ktoś wcześniej tak do niej mówił. Jediną rzeczą, jaką ludzie zazwyczaj robili, to brali pieniądze z jej portmonetki, dlatego też podejrzliwie spojrzała na Monsieur Armanda. „No to co pan weźmie?”, zapytała, unosząc wyzywająco podbródek, na wypadek gdyby zamierzał nastawać na jej cnotę. „Nic, droga pani - nie chcę nic, tylko twoje szczęście”. Drzemiąca w Alice nauczycielka zapragnęła poprawić gramatykę Monsieur Armanda, została jednak pokonana przez

jego niespodziewaną dobroć, która uruchomiła istny potok łez i szlochów, tak że Monsieur Armand zaczął się poważnie obawiać o Alice i jej zdrowe zmysły.

Wszystko to nie przeszło bez echa. Trójwymiarowe potomstwo Alice zebrało się cicho w progu. „Mama”, odważyła się odezwać Ada, „no, co ci jest?” - a Alice jeszcze głośniejszą się rozszlochała nad akcentem swojego najstarszego i najbardziej udanego dziecka - jakże wiejskim w porównaniu z rokokową egzotyką samogłosek Monsieur Armanda.

W końcu emocje opadły, dzieci rozpierzchnęły się, a sam Monsieur Armand gotów był z powrotem dosiąść swojego skrzypiącego rydwanu. „Droga pani”, powiedział, klepiąc się w lewą pierś, „całym sercem czuję pani nieszczęście i pani smutek. Pani...” - tu zatoczył ręką krąg, mając nam myśli nie tylko chatę i farmę, ale również całe hrabstwo York - „pani nie jest stworzona do tak okropnego życia, madame!”

Alice, z oczyma zaczerwienionymi od łez, skinęła głową w niemej zgodzie, bo dokładnie wyraził jej własne myśli. Stary kuc Monsieur Armanda, uwięziony pomiędzy dyszlami równie starego wozu, wygiął grzbiet i parsknął, a Monsieur Armand, pod osłoną swojego zniecierpliwionego środka lokomocji, nachylił się tak, że jego wąskie wargi znalazły się o cal od ucha mojej praprababki, a jego faworyty łaskotały jej policzek. Co zaszło między nimi w tej tak intymnej chwili? Zaproszenie do katastrofy, do zguby, do bólu, od którego człowiek rwie sobie włosy z głowy, do ostatecznego upadku, który moja niemądra praprababka odczytała całkiem opacznie jako szansę dla swojej prawdziwej natury - tak stłamszonej i tak przyduszonej przez harówkę i ubóstwo. Jako szansę na ucieczkę i wolność. „Ja czekam”, powiedział Monsieur Armand „na końcu drogi - o północy. Ja czekam całą noc, żeby pani do mnie przyszła, madame, i uciekła w jakieś lepsze miejsce”.

„Będę czekać”. Coś kazało Alicji poprawić jego czasy. - Albo w tym przypadku „poczekam”.

„Wszystko jedno”.

Później, tego samego popołudnia, gdyby się dobrze przyjrzeć, można było zobaczyć Alice, na górze, na sianie, i jej rozkrzyżowaną postać w obramowaniu górnych wrót stodoły. Stała jak kobieta pitagorejska, rozmyślając nad możliwymi komplikacjami upadku, związanymi z wysokością i wagą. Ubrana była stosownie na tę okazję, na czarno, w stary jedwab, z żabotem poplamionym rdzą, i patrzyła na ziemię w dole z pewnego rodzaju smętną satysfakcją, która miała się ponownie objawić w naszej rodzinie dopiero z nastaniem Patricii.

Jednak nawet kobieta w tak kiepskim stanie psychicznym jak Alice potrafiła sobie obliczyć, że upadek nie będzie ani na tyle długi, ani tak gwałtowny, żeby zagwarantować coś więcej ponad złamaną kończynę - obrażenie, które sprawiłoby tylko, że jej życie pogorszyłoby się bardziej jeszcze, niż gdyby pozwoliła sobie na jakąkolwiek formę ucieczki, więc tak naprawdę wcale jej to nie zbiło z tropu, kiedy na dole pojawiła się Ada, a jej ładne, nadąsane usteczka były szeroko otwarte z przerażenia. „Co ty wyprawiasz, mamó?”, zawołała, a jej matka - czarny, zrudziały anioł - westchnęła tylko i wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć, że tak naprawdę nie ma zielonego pojęcia, co robi.

Jeszcze później, po kolacji składającej się z nieapetycznej papki z rozgotowanych kartofli i kapusty, po kłótniach i szczypaniach, i przepychankach, które zmieniły Alice w jeden kłębek nerwów, dzieci zostały wreszcie z oporami przegnane na górę, a Alice, umęczona, zapadła w sen, w swoim fotelu przy pustym palenisku, i spała tak, póki Frederick nie wtargnął do domu. Był tak pijany, że aż podskoczył na widok swojej żony, która siedziała po ciemku w bujanym fotelu. „Kto to?”,

zapytał, patrząc na nią takim wzrokiem, jakby chciał się na nią rzucić. Dopiero kiedy zapaliła świeczkę i powiedziała: „To ja, ty durniu”, Frederick odpowiedział: „Ach tak” - i zwałił się na ławę.

W migoczącym blasku świecy Alice zerknęła na wilgotną, czerwona płamę na jego ramieniu. „Znowu się biłeś?”, zapytała z małym zainteresowaniem, a Frederick patrzył przez kilka sekund na krew, próbując sobie przypomnieć, jak do tego doszło, a potem prychnął pogardliwie i powiedział: „To był jakiś stary dureń na wozie - wpadłem na niego na końcu drogi”.

Żona nie miała dla niego żadnych słów współczucia - była w stanie zbyt wielkiego szoku. Zupełnie zapomniała o Monsieur Armandzie - duszone kartofle z kapustą, atrakcje samobójstwa, wymagania dzieci - wszystko to jakby się sprzysięgło, żeby go wyprzeć z jej zapowietrzonego mózgu. Frederick wszedł na palcach na górę i zapadł - czuła to, nie musząc nawet tego oglądać - w głęboki, głęboki, nasycony alkoholem sen.

Alice została na dole, dyskutując sama ze sobą o przyszłości, w nostalgicznym świetle łojowej świecy. Jaki miała wybór? Mogła się oczywiście zabić - ta możliwość wciąż miała w sobie pewien urok, mimo nieudanej, wcześniejszej próby tego dnia. Ale jakie będą tego konsekwencje? Czy życie jej dzieci nie byłoby odtąd naznaczone piętnem strachu, skandalu i winy? Czy nie byłoby dla nich lepiej, gdyby zbudziły się rano i odkryły, że ich matka po prostu zniknęła w nocy, niż gdyby po wstaniu natknęły się na jej ciało, rozbryzgane po podwórzu albo toczące pianę z ust po otruciu się lepem na muchy? „Lepsze miejsce”, proponowane przez Monsieur Armanda, oznaczało bez wątpienia drogę najeżoną trudnościami i niespodziankami, ale było na pewno lepsze niż śmierć z własnej ręki.

Kiedy doszła do tego wniosku, nie minęło parę minut, a już pakowała mały tobołek i po raz ostatni tuliła biedną, malutką Nell. Potem ucałowała gładkie, wilgotne czoła Ady, Alberta i Lillian, zatrzymując się na moment, żeby - tłumiąc szloch - pogłodzić pokryty złotym meszkiem policzek Alberta, a także zdjąć z szyi mały srebrny medalion po matce i wsunąć go Adzie pod poduszkę. Ada jęknęła przez sen i odgoniła dłonią pożegnalny pocałunek matki. Nie było natomiast żadnych pożegnań dla biednego Lawrence'a i Toma, bo spali na poddaszu, gdzie podłoga strasznie skrzypiała, a Lawrence miał taki lekki sen, że Alice postanowiła nie ryzykować. Dożyła później takiego dnia, w którym pożalowała tego nie przystojącego matce zaniedbania, ale z drugiej strony żyła na tyle długo, żeby żałować mniej więcej wszystkiego. Ostatnim aktem było zdjęcie z palca obrączki i położenie jej na poduszce, obok chrapiącej głowy pijanego męża. Kiedy następnego ranka obudził się i znalazł ją na miejscu żony, pojął, z niezwykłą dla niego przenikliwością, że odeszła na zawsze.

Monsieur Armand czekał cierpliwie na Alice na końcu drogi i nie okazał zdumienia, kiedy wdrapała się na wóz i usiadła obok niego. Powiedział tylko: „No, to w drogę” - słowa dosyć banalne, jak na to, że mieli wkroczyć z nimi w nowe życie.

Monsieur Armand, przerażony perspektywą pościgu ze strony rozgniewanego męża, skierował się prosto na północ i na jakiś czas para osiadła, albo próbowała osiąść, w Glasgow. Jednak choć Monsieur Armand jako wędrowny fotograf potrafił jakoś wiązać koniec z końcem, nie miał już tego samego szczęścia, z chwilą gdy schronił się w stacjonarnym studio. Poza tym Glasgow było w tym czasie pełne atelier fotograficznych i mogło się spokojnie obyć bez dodatkowych talentów Monsieur Armanda. W niespełna rok po upadku tego

przedsięwzięcia wyjechali z Anglii. W tym czasie w głowie Alice zaczęły się już rodzić pewne wątpliwości, mimo to zapragnęła opuścić kraj i udać się w podróż do Marsylii, rodzinnego miasta Monsieur Armanda, zakładając, że będzie to krótka wizyta, po której wrócą do Yorkshire i - no cóż, nie bardzo wiedziała, co miało nastąpić po tym „i”, ale była pewna, że zdoła coś wymyślić, żeby z powrotem odzyskać dzieci. Miała oczywiście ich fotografie, bo Monsieur Armand zachował klisze, i kiedy byli w Glasgow, udało jej się namówić go, żeby zrobił jej cały komplet odbitek. Kazała mu je oprawić w podróżne ramki z wyprawianej skóry, które bezpiecznie się zamykały, umożliwiając Alice podróżowanie z dziećmi - na zawsze zastygłymi w czasie - tam i z powrotem po całej Europie.

Niestety, sprawy nie potoczyły się zgodnie z planem i planowany krótki pobyt przedłużył się na całe lata. Prawie natychmiast po powrocie do Marsylii Monsieur Armand popełnił ten katastrofalny błąd, że utopił wszystko, co do ostatniego grosza, w niefortunnej transakcji. Nie miał nosa do interesów, czego dowodem było już przedsięwzięcie z Glasgow, i gdyby Alice wiedziała, co chciał zrobić, postawiłaby weto i uratowała ich przed tym, co potem nastąpiło, czyli przed skazaniem Monsieur Armanda za bankructwo. Monsieur Armand trafił nawet na jakiś czas do więzienia, a jego biedna żona została bez środków do życia. (Zawarli bigamiczny związek z zaskakującą łatwością - choć w tym czasie Frederick już nie żył, więc formalnie Alice była wdową). Przez jakiś czas Alice była nawet zmuszona przyjmować pranie. Pocierając kostkami mydła poplamioną bielizną marsylskiej burżuazji, pytała z goryczą nie istniejącego Boga, czy to miało naprawdę być to, co jej przeznaczył.

Kiedy Monsieur Armand wyszedł z więzienia, wciąż zadziwiająco pogodny, spadło na nich kolejne nieszczęście w postaci zapalenia płuc, które dosięgło Alice, pozostawiając ją na wiele miesięcy w stanie skrajnego osłabienia i wyczerpania. W przerwach między pielęgnowaniem żony Monsieur Armand zdołał zarobić trochę pieniędzy jako wędrowny fotograf (pukanie do drzwi było jedyną rzeczą, w jakiej był dobry), tak że w końcu mógł zabrać Alice na wieś, na rekonwalescencję. Alice wolałaby już raczej zostać wśród miejskiej nędzy Marsylii, niż dać się znowu pogrzebać wśród wiejskiej idylli, ale, przynajmniej raz, Monsieur Armand okazał się nieustępliwy. Potem pieniądze znowu się skończyły, więc ugrzęźli na wsi na dłuższy czas, tak jak się tego Alice obawiała, a kiedy wrócili do miasta, spotkało ich kilka dodatkowych niepowodzeń z rodzaju tych, których przywykła się spodziewać, i tak toczyło się ich życie.

W dniu swoich czterdziestych siódmych urodzin Alice wstała z łóżka, rozsunęła żaluzje w oknie sypialni, żeby wpuścić potoki słońca i - spoglądając za okno raczej niż na nieruchomy galijski kształt pod prześcieradłami - oświadczyła Monsieur Armandowi, że ma absolutnie i kategorycznie dość i że muszą natychmiast wracać do Anglii i odzyskać jej dzieci, nawet gdyby musiała kupczyć swoim ciałem na ulicach, żeby zarobić na podróż. Monsieur Armand wymamrotał coś, co miało oznaczać, że byłaby w stanie tylko wtedy sprzedać swoje ciało, gdyby miała zaszyte usta, czym sprowokował ją do rzutu dzbankiem i miską w łóżko.

Niestety, był to również ten sam pogodny, letni poranek, w który arcyksiążę Franciszek Ferdynand wraz z żoną wybrali się na przejażdżkę po ulicach Sarajewa, uruchamiając tym samym ciąg zdarzeń, które sprzysięgły się, żeby zatrzymać Monsieur Armanda i jego żonę we Francji na kolejne cztery lata.

W czasie wojny Alice miała dziwne przeżycie z rodzaju tych, które ludzie zwykli traktować jako dowód pewnych zaburzeń umysłowych. Tak jednak przywykła do podobnych stanów, że coś takiego nie przyszło jej nawet do głowy. Co więcej - doszła do znacznie bardziej dziwaczного wniosku, że był to dowód na istnienie Boga. To przełomowe doświadczenie miało miejsce w roku 1916, nocą 1 lipca, kiedy Alice obudziła się nagle z głębokiego snu. Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła w nogach łóżka jakąś postać - albo anioła, albo przynajmniej jakąś zjawę, która pokrywała się z jej wyobrażeniem anioła - biała, przejrzysta szata, śnieżne skrzydła, jarząca się aureola, złote loki i szafirowe oczy. Czekwała, aż zjawa do niej przemówi, ale ona, albo raczej on - bo była to zdecydowanie męska postać - nie odezwał się, tylko się po prostu uśmiechnął i uniół rękę do nieba, w geście nadzwyczaj podobnym do tego, jaki wykonują tanie gipsowe posązki świętych, madonn i Chrystusów, od których aż roi się we Francji. A potem zniknął. Następnego ranka Alice przeszukała każdy kąt pokoju, żeby zobaczyć, czy nie zostały po nim jakieś anielskie pozostałości, ale nie było nic, nawet jednego piórka. Jednak ta ulotna zjawa wystarczyła, żeby nawrócić Alice na katolicyzm, tak więc stała się żarliwą katoliczką, jak wszyscy gorliwi neofici.

Liczenie paciorków różańca i palenie świec nie zdołało powstrzymać Alice przed podjęciem poszukiwań porzuconych dzieci. Kiedy dzwony nad Europą ogłaszały zawieszenie broni, już na drugi dzień wpakowała Monsieur Armanda do pociągu, jadącego do Calais. Swoje poszukiwania rozpoczęła w miejscu logicznym - od małej chatki, którą tak pośpiesznie opuściła przed trzydziestu laty - po to tylko, żeby się przekonać, że tym razem to jej dzieci rozplynęły się bez śladu. Od czasów Rachel w chacie mieszkało już kilka rodzin. Jej obecni rezydenci nie słyszeli o żadnych Barkerach, którzy

mieliby tam kiedyś przebywać. Natomiast we wsi - gdzie powrót Alice wywołał pewne poruszenie - starsi mieszkańcy całkiem dobrze pamiętali tę rodzinę. Śmierć Ady, śmierć Fredericka, dziecko Rachel, zniknięcie Lawrence'a - wszystkie te wydarzenia beznamiętnie zrelacjonowano Alice. W końcu było to tak dawno temu - choć niestety, nie dla Alice, która z bólem przyjęła te kolejne ciosy. A dokąd się ulotnili? Tutaj nastąpiło ogólne potrząsanie głową. Nikt za nic w świecie nie mógł sobie tego przypomnieć.

Monsieur Armand i jego żona wsiedli na najbliższej stacji w pociąg do Whitby, bo Alice przypuszczała, że Rachel mogła się zachować jak gołąb pocztowy. Przez całą drogę szalała ze złości na myśl o tym, że Rachel zajęła jej miejsce, opłakiwała śmierć Ady i rozpaczała nad zniknięciem Lawrence'a, aż w końcu Monsieur Armand zaczął szczerze żałować, że w ogóle ją kiedykolwiek spotkał. Znekana, roztrzęsiona i tłusta, wtrącała go przedwcześnie do grobu (przynajmniej jego zdaniem). Ani humor, ani nastrój nie poprawiły się jej po przyjeździe do Whitby, gdzie Alice spędziła kilka tygodni, podczas których zaniedbana i rozczochrana, jak oszalała przemierzała w kółko te wąskie uliczki, wpytując wszystkich przechodniów, czy kiedykolwiek słyszeli o Rachel Barker albo Rachel Storm (bo pod takim, całkiem stosownym nazwiskiem, urodziła się Rachel). Wpadała na podwórka, wykrzykując imiona zaginionych dzieci: „Tom, Albert, Lillian, Nelly” - ale nikt nie odpowiadał na jej wołanie. Wieczorami można było ją zobaczyć na szczycie West Cliff. Patrzyła z bólem na morze, jak matka zaginionego marynarza. Potem wracała do tanich, wynajętych pokojów, żeby przeklinać Monsieur Armanda oraz dzień, w którym go poznała. Po jednej z takich tyrad, kiedy uderzyła go w głowę wazonem, Monsieur Armand przebrał się w pidżamę, położył na cienkim, sfatygowanym materacu ich małżeńskiego łóżka i

z westchnieniem zamknął oczy, żeby już nigdy ich nie otworzyć.

Teraz, już jako podwójna wdowa, Alice kontynuowała swoje poszukiwania we wszystkich miejscach, jakie tylko przyszły jej do głowy - w Scarborough, Hull, Leeds, Bradford, Middlesborough. Próbowwała nawet w swoim rodzinnym mieście - w Yorku - ostatnim miejscu, jakie jej zdaniem mogła wybrać Rachel.

W tym czasie wszyscy krewni Alice już nie żyli, a ona nie знаła w Yorku nikogo, więc zatrzymała się tylko na kilka tygodni, przed podjęciem poszukiwań gdzie indziej. Nigdy się nie dowiedziała, że w Davygate przeszła obok Nell z Cliffordem, Babs i wlokącą się z tyłu Bunty i nawet ich nie zauważyła. W końcu rzuciło ją do Sheffield, gdzie, kompletnie bez grosza, zamieszkała w uliczce slumsów i przyjmowała już nie pranie, tylko cudze dzieci - czego nie omieszkała z ironią zauważyć.

Moja praprababka zmarła jako staruszka, otoczona fotografiami i kolekcją gipsowych świętych, w roku 1940, podczas jednego z najgorszych nalotów na Sheffield. Kiedy następnego ranka została wyciągnięta spod stosu gruzów przez policjanta i strażnika, okazało się, że opiekuńczym gestem tuli do piersi staroświecką fotografię piątki dzieci. Szybka fotografii nie była nawet pęknięta. Policjant wyjął ją ostrożnie z jej martwych rąk i powiedział: „Będzie im smutno, kiedy się dowiedzą, jak umarła ich staruszka”. (Był człowiekiem uczuciowym, nazbyt uczuciowym, jak na pracę, którą przyszło mu wykonywać tamtej nocy).

Tak się złożyło, że najstarsza żyjąca osoba z fotografii była świadkiem bombardowania Sheffield - Tom, człowiek, który żył w przeświadczeniu, że jego matka umarła pięćdziesiąt pięć lat wcześniej, a który właśnie odwiedzał kumpla w Doncaster. Podczas długiej, krętej drogi z pubu do

domu wspięli się na wzgórze, żeby obserwować nalot, doskonale widoczny z tej odległości. „A niech mnie, chłopie”, powiedział jego kumpel, „to Sheffield się pali” - a potem dodał: „Biedni ci ludzie” i „ten przekłety Hitler!” Ale Tom tylko potrząsnął ze smutkiem głową, wdzięczny losowi za to, że nie było go w Sheffield tamtej nocy.

Rozdział 12

1970

ŁAMANA ANGIELSZCZYŻNA

Kathleen wypróbowuje żelazne łóżko w celi skazańców.

- No i jak?

- Dość niewygodnie. Musieli chyba dawać skazańcom materac albo coś w tym rodzaju.

Jesteśmy w celi, w której Dick Turpin spędził swoją ostatnią noc, sans mattress. Kładę się obok Kathleen na czarnych żelaznych listwach.

- Bezmateracowo - myślisz, że takie słowo istnieje?

- Bo ja wiem. - Kathleen wzrusza ramionami - rzecz dość trudna do wykonania na żelaznym łóżku. Właśnie zdałyśmy maturę i wypełniamy sobie wolny czas, bawiąc się w turystki - spędzamy przedpołudnie w muzeum na Zamku, pomiędzy wypchanymi koźmi i kociołkami na ogień, muszkietami i rozmaitymi drobiazgami, z których składa się przeszłość. Kiedyś śniło mi się to muzeum - było to w środku nocy, a ja byłam w nim jedyną osobą, i kiedy oglądałam eksponaty, nagle wszystko ożyło - buchnął ogień w wiktoriańskich kominkach, delikatne, osiemnastowieczne klawesyny zaczęły grać same z siebie, a powóz zaprzężony w czwórkę koni potoczył się po jednej z wybrukowanych kocimi łbami uliczek. To tajemnicze, nocne muzeum, było znacznie bardziej interesujące niż to dzienne, kiedy zwiedzający szurają po celi Dicka Turpina, zakłócając spokój.

- Mam już dosyć - mówi Kathleen, zrywając się z łoża skazańców. - Chodźmy na lody.

Po wyjściu z muzeum wałęsamy się bez celu wokół trawiastego wzgóřka, na którym wznosi się Clifford's Tower, jedząc lody i wdychając zapach świeżo skoszonej trawy. Głowę wciąż mam pełną Racine'a i Schillera oraz okrytych

tajemnicą pytań egzaminacyjnych z historii Europy, ale Kathleen co innego chodzi po głowie.

- Mogłybyśmy latem popracować w hotelu.

- W hotelu?

- Hm. Myślę, że dobrze byłoby zdobyć jakieś doświadczenie, zanim utkniemy gdzieś na resztę życia. (W ustach Kathleen brzmi to jak Na Resztę Życia).

- Jakie konkretnie doświadczenie? Kathleen robi zdumioną minę.

- No... myślę, że jakiegokolwiek.

Kathleen nie wybiera się na studia - zamierza wstąpić do Civil Service. Mnie zaproponowano kilka uniwersytetów, na których mogę robić dyplom z języków nowożytnych, więc wybrałam ten położony najdalej na mapie (Exeter). Gdyby był jakiś uniwersytet na Scilly Islands, to z pewnością tam złożyłabym papiery. Po tym, jak doktor Herzmark zwróciła mi przeszłość wolną od mrocznych lęków, wszystko wróciło mniej więcej do dawnego stanu. Zrobiłam małą maturę za drugim podejściem, a Bunty przez moment traktowała mnie tak, jakbym była kruchym naczynkiem z porcelany. Nie minęło jednak wiele czasu, a wszystko wróciło na stare, utarte ścieżki, z jednym wyjątkiem - była nim nieobecność Bernarda Bellinga, który pospiesznie wycofał się po moim flircie ze Światem Duchów. Sama się sobie dziwię, jaka byłam obowiązkowa, ale w końcu reprezentuję teraz wszystkie córki w domu mojej matki, a to nakłada na człowieka pewne zobowiązania. Ileż to razy podczas nudnych świąt Bożego Narodzenia i męczących urodzin przeklinałam Patricię za to, że tak skutecznie wykrcęła się od swoich obowiązków.

Teraz, kiedy idę na studia, Bunty zaczęła się interesować moimi postęпами w nauce i rozmawia o mnie w ten sam, przyprawiający o mdłości sposób, co inne matki:

- Słyszała pani, że moja córka dostała się na uniwersytet?

Dokładnie tak samo zachowuje się pani Goreman, matka Kathleen:

- Słyszała pani, że moja córka wychodzi za bardzo miłego chłopca?

Wspinamy się po schodach do Clifford Tower i obchodzimy wokół jej białe czterolistne mury. Wolne nagle od wszystkiego, co nas poprzednio więziło (szkoły), znalazłyśmy się w dziwnej, apatycznej otchłani. Spoglądamy na dziedziniec w dole. W dwunastym wieku setki Żydów zabarykadowały się tutaj i wołały raczej spłonąć żywcem, niż stanąć oko w oko z wyjąłym motłochem, żadnym ich krwi. Teraz mury w kształcie koniczyny otwierają się na błękitne niebo, ale powietrze wciąż jest skażone zapachem całopalenia, co mnie trochę peszy. W Yorku jest za dużo historii - przeszłość jest tak stłoczona, że czasami odnoszę wrażenie, jakby nie było tu już miejsca dla żywych.

Włóczymy się bez celu po St George's Field, a potem schodzimy w dół, nad rzekę. Wikingowie mieli tu kiedyś swoją handlową stolicę, ale handel rzeczny dawno upadł i wielkie, stare magazyny od dawna stoją puste.

Moja najbliższa przyszłość (Exeter) wydaje się bardziej zależna od wyników matury niż przyszłość Kathleen, bo wygląda na to, że resztę jej życia określa małżeństwo z Colinem. Wcale nie mam pewności, czy pani Goreman nie myli się w swojej ocenie Colina - mnie nie wydaje się on wcale szczególnie „miłym chłopcem” i uważam, że Kathleen popełnia wielki błąd. W tej sytuacji dochodzę do wniosku, że przyzwoitość nakazuje, żeby jej pomóc w zdobyciu pewnego „doświadczenia”, więc rzucam „Czemu nie?”, jakby od niechcienia, jak ludzie nieświadomi tego, że podejmują doniosłą, zgubną decyzję.

Myślałam, że Kathleen miała na myśli jakiś hotel w Yorku, albo może w Londynie, gdzie byliśmy tylko raz, z

wycieczką szkolną - obie doskonale zdajemy sobie sprawę z tego, jakie z nas beznadziejne prowincjuszki. Dlatego też byłam dość zaskoczona, kiedy poinformowała mnie, że znalazła dla nas pracę. Miałyśmy pracować jako pokojówki w Royal Highland Hotel w Edynburgu.

- Edynburg?

- Tak, Edynburg, no, wiesz - historia, kultura, Zamek, festiwal, byle co, cokolwiek...

W ten sposób po raz drugi przyjechałam do Szkocji i gdybym wiedziała, jak długo tam zostanę (na zawsze), pewnie zrobiłabym parę rzeczy inaczej - na przykład przywiozłabym więcej ubrań. Ale na razie nic nie wiem - moja przyszłość to szeroki trakt, prowadzący do nieznanego kraju - reszty mojego życia.

Pierwsze, co nas zdumiało w Edynburgu, to że dotarliśmy tutaj, nie przejeżdżając przez Forth Bridge. Wciąż czekam, by most pojawił się pod naszymi kołami, tymczasem pociąg zatrzymuje się już na peronie w Waverley. Kathleen uwija się, zdejmując z półek walizki, i martwi się, że zostaniemy w pociągu. Ja nadal tkwię na swoim miejscu, łamiąc sobie głowę nad zniknięciem Forth Bridge. Nie denerwuję się tak jak Kathleen tym, że nie zdążę wysiąść. Czułabym się całkiem szczęśliwa, gdybym mogła zostać w pociągu i sprawdzić, dokąd dalej pojedzie (Haymarket, Inverkeithing, Kirkcaldy, Markinch, Ladybank, Cupar, Leuchars, Dundee, Arbroath, Stonehaven, Aberdeen).

Drugą niespodzianką jest to, że Edynburg leży na wzgórzach. York to płaskie miasto. Powietrze wisi tam bez ruchu, a słońce zachodzi za domami, nie za horyzontem.

Kręcimy się niepewnie po foyer Royal Highland Hotel, w którym unosi się zapach pieczeni i ryżowego puddingu. Royal Highland to w rzeczywistości zlepek kilku budynków na rozległej, półkolistej ulicy Nowego Miasta. Ślady przeróbki

oklejono fornirowaną dyktą, ukrywającą instalacje elektryczne, jak w magicznej skrzynce. Jakaś postać pojawia się nie wiadomo skąd i mówi z obcym akcentem, który rozpoznaję jako szkocki: „Dzień dobry dziewczęta, jestem Marrjorrie Morrison, gospodyni, i mam nadzieję, że na przyszłość będziecie wchodzić od tyłu”.

Marjorie Morrison jest cienka i prosta jak ołówek. Ma wdowie oczy i czarne warkocze i wygląda jak bliska krewna pani Danvers.

Wskazano nam nasz pokój na poddaszu i Kathleen zaczyna się metodycznie rozpakowywać, ale ja wspinam się na krzesło i przez okienko w dachu wystawiam głowę na wieczorne słońce, a potem robię głęboki wdech. To okno jest znacznie lepsze niż camera obscura na Royal Mile - panorama Edynburga skrzy się w dole srebrzystymi akwarelami, rozciągając się daleko, aż po Salisbury Crags i Pentland Hills.

Okazuje się, że bycie pokojówką to przede wszystkim sprzątanie, tyle że pod innym szyldem, przy czym większość z wykonywanych prac wydaje mi się całkiem niepotrzebna. Nigdy nie udaje mi się wypolerować luster tak, jak to robi Kathleen, ani oczyścić wanien z ziarnistego osadu. Odkurzacz mi się zatyka, prześcieradła się marszczą, wieszaki gdzieś znikają - widać nie odziedziczyłam genów pedantki po cioci Babs i Bunty. Spędzam wiele czasu na nie posłanych łóżkach w pustych pokojach, kontemplując nierówny, beżowy tynk na ścianach Royal Highland i nasłuchując tupotu przybliżających się ostrych obcasików Marjorie Morrison. Jeżeli to ma być „doświadczenie”, wolałabym je raczej ominąć i wziąć się za resztę życia.

Edynburg, gdy odważam się wreszcie wyjść na jego ulice, jest egzotyczny i przyjazny - ale muszę sama odkrywać jego uroki, bo - rzecz niebywała - zgubiłam gdzieś Kathleen. Jak tylko przyjechałyśmy, zupełnie zapomniała o reszcie życia z

Colinem i zainteresowała się studentem, który ma na imię Martin i latem pracuje jako portier w tym samym hotelu. Martin nosi okulary w drucianej oprawce, fioletową kamizelkę po pradziadku i czesze się w cienki kucyk. Marjorie Morrison nalega, żeby go ściała, i grozi mu srebrnymi nożyczkami, które dyndają jej na łańcuszku u pasa.

Martin studiuje inżynierię elektroniczną, ostro bierze narkotyki, wielbi Marshalla McLuhana i nawet gdyby przeszukać cały kraj wzdłuż i wszerz, trudno byłoby znaleźć kogoś bardziej niepodobnego do nieszczęsnego Colina z jego towarami żelaznymi. Zaprzyjaźniłam się z dwiema Irlandkami, które pracują tu w lecie jako kelnerki. Niamh i Siobhan także czekają, aż zacznie się reszta ich życia, ale to jednak nędzna namiastka Kathleen.

Za to moja przyszłość rysuje się wciąż tak obiecująco jak tory kolejowe. Nie wiem jeszcze, że jestem zgubiona za przyczyną Janet Sheriff, naszej nauczycielki od historii, która zakochała się na początku naszego kursu przygotowawczego do matury i zapomniała nauczyć nas dużej części europejskiego programu. Dopiero podczas egzaminu dowiadujemy się, że miały miejsce straszliwe bitwy i krwawe rewolucje, o których istnieniu nie mamy pojęcia.

Wieczorami razem z Niamh i Siobhan przesiadujemy u Benedettich - we włoskiej kafejce, na jednej z bocznych uliczek od Leith Walk. Kawiarnia, ze stolikami pokrytymi czerwoną ceratą i dymiącymi, chromowanymi automatami, wydaje się ciepła i gościnna. Sami państwo Benedetti to opera na żywo - płodna i melodramatyczna włoska rodzina, w której pokrewieństwa są nie do odgadnięcia - nie kończący się ciąg babek, sióstr i kuzynów, zastępujących się nawzajem za kontuarem, a wszyscy obrzucają się tajemniczymi słowami, jak kwiatami. Czasami za ladą stoi piękny chłopak o zielonych oczach i aksamitnie czarnych włosach związanych z tyłu

sznurówką, tak że widać jego ostro zarysowane kości policzkowe. Jego orzechowa skóra wydaje się pachnieć oliwkami i cytryną. To Gian - Carlo Benedetti. Patrząc na niego, trudno uwierzyć, że skończy tak, jak skończył.

Na ścianach kawiarni wiszą plakaty z Pizy i Lukki, i Barga - plakaty z olbrzymimi wieżami quattrocenta i błękitnym niebem Toskanii. Czasami, kiedy stary pan Benedetti stoi za ladą, czekając beczynnie na klientów, patrzy na te plakaty nieobecny wzrokiem, a ja wiem, że myśli wtedy o domu (zobacz Przypis XII). Później, kiedy będziemy prowadzić sklepik z frytkami w Forfar, będziemy także mieli na ścianie jeden z tych plakatów, a Gian - Carlo Benedetti, czekając, aż tłuszcz osiągnie właściwą temperaturę, będzie na niego patrzył takim samym, nieprzytomnym wzrokiem. Ale wtedy będę już wiedziała, że on nie myśli w ogóle o niczym, i będę na niego krzyczeć po włosku, słowami brzmiącymi tak jakby były wyhaftowane krwią.

Dzwonimy z Kathleen do Queen Anne, żeby zapytać o wyniki egzaminów, i dowiadujemy się, że obie oblałyśmy z historii. Kurtyna opada w poprzek traktu, który miał być moją przyszłością - nagle nie mam pojęcia, co ze mną będzie. „Que sera, sera”, mówi z uśmiechem Kathleen, wzruszając ramionami. Jej jest wszystko jedno - ma swojego Martina.

Ale nic z tego nie będzie. Colin musiał wyczuć, że Kathleen zamierza zreformować resztę swojego życia. Przybywa wzburzony do Edynburga, waląc w dzwonek w recepcji i ściągając na swoją głowę gniew Marjorie Morrison. Zamyka się z Kathleen w komórce na pościel i siedzą tam tak długo, póki jej nie przekabaci - to już tylko sprawa paru godzin, żeby się znaleźli w pociągu do Anglii. Odprowadzam ich na Waverley i patrząc, jak światła pociągu znikają w ciemnościach, życzę Kathleen szczęścia w przyszłości.

Niestety, wiem też, że aby je sobie zapewnić, trzeba czegoś więcej niż tylko dobrych życzeń.

Kathleen będzie miała później pretensje do Janet Sheriff, naszej nauczycielki historii, i to znacznie większe niż ja, bo - cokolwiek by mówić - to właśnie amnezyczne życie uczuciowe panny Sheriff jest bezpośrednio odpowiedzialne za to, że oblałyśmy maturę z historii, a Kathleen wstąpiła do Civil Service ze stopniem urzędniczym, a nie administracyjnym, co z kolei doprowadziło do tego, że jej posażna szuflada rozciągnęła się trochę na wyrost. To oczywiście wyciśnie piętno na ich małżeństwie i wpędzi Colina w pijaństwo, doprowadzając go do utraty rodzinnego interesu, bankructwa przed czterdziestką i zastrzelenia ich własnego psa. Dlatego w pewnym sensie miałam szczęście, że mnie przydarzyło się tylko tyle, że wyszłam za mąż za Gian - Carla Benedettiego i prowadziłam sklep z frytkami w Forfar.

Martin ma złamane serce i następnego dnia opuszcza Edynburg. Przez następne kilka lat będziemy utrzymywać sporadyczny kontakt. Martin zajmie się komputerami i wyjedzie do Kalifornii, a ja myślę, że biedna Kathleen po prostu podjęła niewłaściwą decyzję.

*

Jakiś tydzień później patrzę nieobecny wzrokiem przez okno dwudziestki jedynki, kiedy nagle do pokoju wślizguje się Marjorie Morrison i patrzy gniewnie na łóżka, które właśnie skończyłam ścielić. „Twoje poduszki”, oświadcza, „wyglądają, jakby brały udział w bitwie pod Wiedniem!”

Stwierdzeniem tym nie wzbudza jednak we mnie skruchy, a tylko prowokuje gwałtowny atak bezradnego płaczu. Osuwam się na źle posłane łóżka i pośród urywanych szlochów mówię jej z rozpaczą, że nigdy nie słyszałam o żadnej bitwie pod Wiedniem. Marjorie Morrison musiała wyczuć, że mój ból bierze się ze źródeł głębszych niż zwykła

ignorancja historii wojen, bo zgina swoją sztywną postać i jak niezdarny, kanciasty owad przysiada obok mnie na łóżku, prostuje ręce i delikatnie obejmuje moje rozdygotane ciało.

„Lennox”, mówi po namyśle, „ty musisz mieć w sobie szkocką krew, moja droga”. - Ponad jej kościstym, zmurszałym ramieniem po raz pierwszy dostrzegam na ścianie akwarelkę, przedstawiającą Forth Bridge. Dźwigary mostu, pokryte krwawą rdzą, rysują się ciemnym konturem na tle błękitnego nieba.

„Nie”, mówię z płaczem, potrząsając głową „nie, chyba nie”.

Irlandzkie dziewczyny pakują walizki, szykując się na winobranie we Francji. Zapraszają mnie, żeby z nimi pojechać, ale ja odmawiam. Próbuję zmyć z siebie apatię, wspinając się na Arthur's Seat. Jest cichy, pogodny wieczór i kiedy docieram na szczyt, widzę wielką obfitość mostów i wód, i wzgórz, a nad moją głową kołuje stado kruczoczarnych ptaków, kreśląc w powietrzu prorocze wzory. A kiedy wpadam na pięknego chłopca Benedettich, który rzeczywiście pachnie oliwkami i cytryną, on podnosi wzrok znad podłogi, którą właśnie zamiatał, uśmiecha się do mnie szeroko i mówi: „Ciao, come sta?” A później tej nocy, już po zamknięciu kawiarni, oświadcza mi się nad kipiącą cappuchino, swoją okropną, łamaną angielszczyzną. Celowo tłumaczę sobie opacznie wszystkie znaki i wierzę, że otwiera się przede mną wspaniałe przeznaczenie (nieświadoma, że prosi mnie o rękę wyłącznie dlatego, że jest tylko dalekim kuzynem Benedettich i grozi mu deportacja - to wątle pokrewieństwo jest powodem, dla którego nie możemy mieć kawiarni w Kirriemuir, tylko musimy się zadowolić sklepikiem z rybą i frytkami w Forfar).

O północy, w drodze powrotnej do Royal Highland, dzwonię do Bunty z budki przed Princes Street Gardens, otoczona nocnymi, festiwalowymi biesiadnikami. Bunty mówi

znużonym głosem. Niemal widzę jej niebieskie wałki i różową siatkę na włosach. „To tylko Ruby!”, krzyczę do słuchawki. „Nigdy byś nie zgadła - wychodzę za męża!” Cisza, którą wita tę wiadomość, ciągnie się bez końca - a przynajmniej do momentu, w którym kończą mi się pieniądze. „Wreszcie znalazłam kogoś, kto mnie chce!”, wrzeszczę do słuchawki, ale telefon piszczy już piip, piip, piip, piip i moje słowa padają w próżnię.

„Gratulacje, moja dzierlatko”, mówi do mnie jakiś mężczyzna, kiedy wychodzę z budki. „Mam nadzieję, że będziesz bardzo szczęśliwa”. A ja muszę się zadowolić tym przystrojonym whisky epitalamium, bo jedyną osobą, którą zapraszamy na nasz pospieszny, cywilny ślub, jest Marjorie Morrison. Nawet świadka musimy wypożyczyć z poprzedniego ślubu. Bunty nie odzywa się do mnie przez ponad rok, a ja z, przerażeniem stwierdzam, że mi jej brak.

I w ten oto sposób poślubiłam Gian - Carla Benedettiego i wreszcie odnalazłam most kolejowy Forth Bridge. Przejechałam przez Forth, a potem przez Tay i przekonałam się, co by się stało, gdybym wtedy została w pociągu (Haymarket, Inverkeithing, Kirkcaldy, Markinch, Ladybank, Cupar, Leuchars, Dundee). Czyniąc to, skazałam się na kilka naprawdę okropnych lat, podczas których wdzięki Gian - Carla Benedettiego zwietrzały, a wraz z nimi jego subtelne kości policzkowe i promienny uśmiech. I nie tylko to - nieatrakcyjnie roztył się na tłuszczu do smażenia frytek i nabrał takiego apetytu na „grappa”, że czasami mam ochotę rzucić w niego zapalką, żeby sprawdzić, czy zapali się jak dobrze nasączony świąteczny pudding.

Pewnego razu wsiadłam przez pomyłkę w pociąg do Cardenden. Jechałam do Forfar (moje małżeństwo z Gian - Carlem Benedetti miało się już ku końcowi). Pociąg podstawiono w złym miejscu, na peronie 17 na Waverley,

gdzie powinien właśnie stać pociąg do Dundee. Zawiadowca już zatrzasnął drzwi i podnosił do ust gwizdek, kiedy nadbiegłam, trzymając pod każdą pachą maleńkie smagłe dziecko. Ich czarne loczki podrygiwały, kiedy wskakiwałam do pociągu. Pociąg meandrował przez połowę Fife, zanim zdałam sobie sprawę, że jedziemy w niewłaściwym kierunku (stan mojego umysłu nie był w tym czasie najlepszy). Kiedy dojechałyśmy do Cardenden, wysiadłyśmy i zaczęłyśmy czekać na pociąg powrotny do Edynburga. Byłam bardzo zmęczona i gdyby Cardenden wyglądało chociaż trochę bardziej obiecująco, pewnie bym tam została. Jeżeli kiedykolwiek byliście w Cardenden, będziecie wiedzieli, jak źle musiały się wtedy przedstawiać sprawy.

Było to tuż przed tym, jak miałam telefon, który bardzo mnie zaskoczył. „Telefon, do ciebie!”, krzyknął Gian - Carlo Benedetti (jego angielszczyzna niewiele się poprawiła pod moją uległą kuratelą), ale kiedy podniosłam słuchawkę, powitała mnie znajoma cisza - to był pan Nikt. „Długo nie dzwoniłeś”, skarciłam go, ale nie było żadnej odpowiedzi, ani słowa, ani ciężkiego oddechu - prawdę mówiąc, nie było żadnego oddechu. Wsłuchiwałam się bardzo uważnie w ciszę, na wypadek gdyby sama w sobie była przesłaniem, i odkryłam, że ma właściwości kojące, jakby człowiek słuchał w muszli morza, pełnego niewidocznych rytmów i fal. Mogłabym tak siedzieć bez końca i słuchać tej ciszy, ale wtedy mój rozmówca z oceanu nagle przemówił - usłyszałam pełne wahania: „Halo?” - a tajemnicze odgłosy z eteru zmieniły się w zakłócenia atmosferyczne z antypodów, kiedy głos powtórzył: „Halo? Halo? Ruby?” To nie był pan Nikt ani jakaś zamiejskowa syrena - to była Patricia! „Gdzie jesteś, Patricia?” Słyszę jakiś dziwny, zniekształcony dźwięk, jakby ktoś dopiero uczył się śmiać. „W Australii!”, krzyczy. „Jestem w Australii, Ruby!” (Forfar błędnie w porównaniu z

odległościami, które musiała pokonać Patricia, żeby się wyrwać z pękniętego rodzinnego kręgu). „Dalej już się nie dało, co, Patricio?“, karząc ją, ale ona znowu wydaje ten śmieszny odgłos.

Niedługo po tej rozmowie, kiedy napychałam otwartą paszczę wiecznie głodnej, wirującej maszyny do obierania ziemniaków, doznałam osobistego objawienia - podniósłszy oczy znad obranej sterty zdeformowanych kartofli, ujrzałam błysk niebieskiego światła i na sekundę wszystkie włosy stanęły mi dęba. Maszyna do obierania kartofli sama wysadziła się w powietrze i w tym elektryzującym momencie wszystko jasno zrozumiałam - żyłam nie tym życiem co trzeba! To nie było moje życie, tylko życie kogoś innego, i im prędzej odnajdę to właściwe, tym lepiej, sądząc po morderczym wyrazie twarzy Gian - Carla Benedettiego, kiedy mu powiedziałam o zepsutej maszynie. „Wybrałeś sobie niewłaściwą żonę“, mruknęłam do niego nad stertą kartofli, które musiałam teraz w pocie czoła obierać ręcznie. Zamachałam mu przed nosem obieraczką. „Nie mam cienia wątpliwości, że to nie jest to, co powinnam robić“. Jestem przecież gęsiarką, prawdziwą panną młodą, jestem nadal Ruby Lennox.

Wyjechałam następnego ranka, bardzo wcześnie, na długo przed tym, jak obudził się Gian - Carlo. Nie wzięłam ze sobą nic prócz dwóch małych smagłych dziewczynek, by stworzyć jak największą odległość między mną i tą osobą, której życie fałszywie zamieszkiwałam. Szybko stałyśmy się ekspertami od rozkładów jazdy - Koleje Brytyjskie, linie autobusowe Bluebird i na koniec olbrzymi prom linii przybrzeżnych, który dowiózł nas do Ultima Thule. Naszego pierwszego lata, podczas nie kończących się szetlandzkich nocy, często stałam na straży, obserwując morze, żeby się upewnić, że czarne

głowy podrygujące na falach należą do fok, a nie do żadnych zemsty Benedettich.

Z chwilą kiedy Patricia, Bunty i ja stałyśmy się wierzchołkami rozległego rodzinnego trójkąta, nasze związki znowu się zacieśniły. Pojechałyśmy do Australii - Bunty, ja i dwie smagłe dziewczynki, które miały (i oczywiście nadal mają) na imię Alice i Pearl. Bunty przez całą drogę martwiła się, że nasz samolot może zostać zestrzelony przez argentyńską artylerię - był rok 1982 i znajdowałyśmy się w środku wojny o Falklandy - tak że Alice musiała przez większą część lotu trzymać ją za rękę. Wylądowałyśmy na australijskiej ziemi bez problemu i Patricia przedstawiła nam swoje nowe życie - biały oszalowany dom z figowcem w ogrodzie, na zamożnych przedmieściach Melbourne. Była żoną dentysty, Żyda o łagodnych manierach, który był od niej starszy o kilka lat. Mieli dwójkę dzieci - Bena i Naomi, i kiedy przyjechałyśmy, Patricia właśnie ukończyła weterynarię. „Więc jednak twoje marzenia się spełniły, Patricio”, powiedziałam, ale ona odparła, że nie może sobie przypomnieć żadnych marzeń. Myślę, że po prostu wymazała z pamięci swoją przeszłość.

Patricia została buddystką i co rano o wschodzie słońca medytuje pod drzewem figowym. Nie mogłyśmy wprost uwierzyć, że ta promienna, tryskająca energią osoba to mogła być nasza Patricia. Ale tak było.

Pod bladym niebem półkuli południowej Bunty także jest jak odmieniona - pozwala nawet Louisowi, by delikatnie zbadał jej plomby i naprawił mostek. W otoczeniu czwórki swoich w połowie angielskich wnuków napawa się tą niespodziewaną rolą matki rodu Lennoxów. Jest mi jej żal, kiedy odwożę ją do pustego bliźniaka w Acomb i muszę ją tam zostawić. („Zawsze może przyjechać i zamieszkać z tobą, Patricio”, mówię radośnie do mojej siostry, kiedy czekamy na

samolot Qantasa, i stwierdzam, że warto było czekać piętnaście lat, żeby zobaczyć minę Patricii).

To było w przyszłości, podobnie jak reszta mojego życia - ale to już całkiem inna historia („Ruby 2 - ciąg dalszy, co Ruby zrobiła potem!"). Tak więc kiedy Gian - Carlo Benedetti mówi łamaną angielszczyzną: „Ruby - ja ożenię się z tobą, tak?" - kiwam głową i ponieważ nie przychodzi mi na myśl żadna inna odpowiedź, mówię: „Czemu nie?" - po czym przez siedem lat, trzy miesiące i osiemnaście dni jestem tą osobą o dziwnym nazwisku Ruby Benedetti, zanim, za przyzwoleniem sądu w Edynburgu i nazywającego się jeszcze dziwniej (Lord Ordinary) sędziego okręgowego, odzyskuję moją prawdziwą tożsamość i znowu staję się Ruby Lennox.

Przypis XII - Rok 1914. Do domu

Mały parowiec zbliżał się do drewnianego pomostu. Lawrence szarpnął za sznur od gwizdka. Kapitan - siwy, łagodny mężczyzna nazwiskiem Robert Jenkinson - zaczął krzyczeć w swoim łamanym portugalskim do jednego z braciszków Kościoła Misyjnego na molo, a Lawrence głośno się roześmiał. Kapitan spędził niemal całe życie, kursując w górę i w dół po tym dopływie Amazonki, ale wciąż nie potrafił mówić językiem tubylców. Za to Lawrence potrafił - Lawrence lubował się w śpiewnych kadencjach ich dziwnej odmiany portugalskiego. „Masz do tego zdolności, Lawrence", powiedział mu kiedyś ojciec Domingo, a Lawrence poczuł przyływ śmiesznej dumy.

Przycumowali i zaczęli wyładowywać towar - mąkę, kawę, parafinę, świece, haczyki do wędki, atrament, cukier, ciężkie, płaskie bele perkalu i pół tuzina kurczaków. Za molo, na szerokim pasie wykarczowanych drzew, wznosił się nowy kościół misyjny. Biały, o prostych liniach, nie wydawał się jednak tak nęcący jak chatki tubylców - wrzecionowate,

otwarte platformy pod strzechą. Lawrence zamierzał zatrzymać się w jednej z nich na tę noc - przyjazne twarze, ryba z ryżem na kolację i farinha, a potem reszta nocy spędzona na walce z moskitami znad rzeki.

Lawrence wrzucił ostatni worek na wóz zakonnika i postanowił zrobić sobie małą przerwę na odpoczynek. Usiadł na pomoście, oparł się plecami o słup i skręcił papierosa.

Było późne popołudnie i słońce przygrzewało mocniej niż w ciągu dnia, połyskując jak złoto pomiędzy najróżniejszymi odcieniami zieleni nad brzegami rzeki. Woda w rzece lśniła połyskliwą czernią jak wypolerowany węgiel. Lawrence zaciągnął się głęboko dymem, wdychając zapach ryb, gnijących roślin oraz upału.

Rozmyślał o domu. Ostatnimi czasy w ogóle często myślał o domu - zimnej, północnej krainie swego dzieciństwa. O monotonnych polach i gładkich, nagich wzgórzach, gdzie rośliny i zwierzęta muszą walczyć o życie i przetrwanie, gdzie urodzaj jest czymś, nad czym trzeba było pracować, a nie czymś, co zalewało wszystko gorącą, parującą masą. Lawrence wyciągnął ze spodni przód cienkiej, bawełnianej koszuli i zaczął się nią wachlować, próbując się ochłodzić. Przez długi czas był tu szczęśliwy, aż nagle ogarnęło go pragnienie, żeby pojechać do domu - choćby tylko z wizytą.

Myślał o swoich siostrach, Lily i Nelly, i zastanawiał się, na jakie wyrosły kobiety. Myślał o braciach, Tomie i Albercie, a nawet o złej Rachel i myślał też o swojej ładnej, zmarłej siostrzyczce Adzie. Ale najczęściej myślał o matce i o tym, że widział, jak uciekała, niby duch pośród nocnych cieni.

Tamtej nocy był na dworze, w wygodce - przykry skutek okropnej potrawy z kartofli i kapusty, którą matka ugotowała na kolację - i właśnie miał wrócić przez podwórko, kiedy zobaczył, że Alice wymyka się z domu, ubrana w czarną, zrudziałą suknię, krótką podróżną pelerynkę oraz czepek. W

ręku miała mały neseserek. Co robiła jego matka z torbą i w czepku o trzeciej nad ranem? Lawrence chciał pójść za nią, żeby to sprawdzić, ale był boso, a droga była wysypana ostrymi kamykami. Matka, w czarnych sznurowanych bucikach, poruszała się lekko i zwinnie i Lawrence odniósł dziwne wrażenie, jakby unosiła się kilka cali nad drogą. Zniknęła za krawędzią wzgórza, a kiedy Lawrence dokuśtykał na szczyt, zobaczył już tylko czarny wóz, czarniejszy niż noc, odjeżdżający wraz z matką w czepku, siedzącą u boku Francuza.

Kiedy się obudził następnego dnia, pomyślał, że to musiał być sen, bo ojciec powiedział im, że matka nie żyje.

- Widziałem ją - wyznał później Adzie (bladej, z sinymi kręgami bólu pod oczyma, które sobie wciąż wypłakiwała).

- Widziałeś ją?

- Na wozie Francuza.

- Musiałeś widzieć jej ducha, Lawrence. Mama by nas tak nie zostawiła - powiedziała jego siostra i Lawrence pomyślał, że chyba rzeczywiście tak by ich nie zostawiła.

Lawrence rzucił w czarną toń niedopałek, który zaskwierczał przez ułamek sekundy, i nagle zrobiło mu się gorąco. Przeciągnął chustką po karku, żeby otrzeć pot. Nadal zdarzało mu się widywać matkę we śnie - jej piękne złote loki i małe białe zęby, szpiczaste jak u kota. Ilekroć mu się śniła, budził się z uczuciem szczęścia, jakby miał w żyłach ciepły cukier. Potem jednak przypominał sobie, że ona odeszła, i chciało mu się płakać. Czasami nawet płakał - niemęskim, rozdzierającym szlochom, czego się potem bardzo wstydził.

„Chciałbym wrócić do domu”, zwrócił się do Roberta Jenkinsona, który nadchodził z butelką whisky w ręku. Kapitan usiadł obok Lawrence'a, podał mu butelkę i roześmiał się. „Do domu? Lepiej tam nie wracaj, chłopcze, bo zanoszą się na wojnę”.

Lawrence wyjął z kieszeni srebrną monetę i podrzucił ją jak najwyżej. W dżungli zaskrzeczał ptak. Smuga jaskrawo ubarwionych piór mignęła pomiędzy gąszczem pnączy i lian. Lawrence nagle uświadomił sobie, jak bardzo chciałby zobaczyć lecącą czajkę albo skowronka wzlatującego ze śpiewem ku blademu niebu nad jego rodzinnymi wzgórzami. Srebrna moneta opadała w dół, wirując i mrugając, kiedy odbijało się w niej słońce. Lawrence złapał ją i przyklepał na grzbiecie drugiej dłoni, a potem wyciągnął rękę, żeby Robert Jenkinson mógł ją obejrzeć. „Do domu”, powiedział. „Wracam do domu!”

Rozdział 13

1992

WYBAWIENIE

Wróciłam, żeby zadysponować pozostałościami po matce, co jest zadaniem dość skomplikowanym, zwłaszcza że moja matka wcale, jak na razie, nie umarła.

- Utraciła swoją osobowość - szeptem Adrian, otwierając mi drzwi. - W niczym nie przypomina dawnej siebie.

No cóż, w tym przypadku jakakolwiek zmiana może tylko oznaczać postęp. Adrian pełnił wartę przez ostatnie kilka dni, podczas mojej podróży do Yorku. Pojechałam do domu, choć to już nie jest mój dom.

- Masz jakieś wieści od twojej Pat? - pyta radośnie, mieszając w misce jajecznicę. W kuchni mojej matki czuje się jak u siebie w domu, a tymczasem sama Bunty została wygnana ze swego królestwa i siedzi teraz przy stole, układając i przekładając noże i widelce, ale jakoś nie udaje jej się ułożyć ich w taki wzór, jak by tego chciała. Na mój widok okazuje zdumienie i bardzo uprzejmie pyta: „Kim pani jest?” (Kiedy przyjechałam, powitała mnie siarczystym całusem, z otwartymi ramionami - w ten sposób dowiedziałam się, że to już nie jest moja matka). Odpowiadam promiennym, krzepiącym uśmiechem (jej uśmiechem) i mówię: „To tylko Ruby”.

- Patricia ma się dobrze - nie mówiłam jej o tym wszystkim - odpowiadam Adrianowi, machając zdawkowo ręką, a Bunty patrzy na mnie z pełnym zaciekawieniem uśmiechem, jakbym była małym dzieckiem, wykonującym popisowy numer na przyjęciu.

Adrian proponuje mi, że zostanie jeszcze na kilka dni, a ja zgadzam się z wdzięcznością. Adrian ma teraz swój własny salon fryzjerski i mieszka z architektem, który nazywa się Brian. Mają psa rasy chihuahua, który wabi się Dolores i

którego Adrian przywiózł tutaj ze sobą. W tych smutnych okolicznościach Adrian jest prawie tak dobry jak siostra - wydaje się całkiem zadowolony, kiedy ciągam go ze sobą po różnych domach opieki, gdzie zagląda do toalet i szafek przy łóżkach. Uwija się po domu w codziennym fartuszkun Bunty, spełniając obowiązki domowe z pogodą, która irytowałaby moją matkę, gdyby była sobą. Ale nie jest.

Prognozy dla Bunty, według młodego doktora Haddowa, który jest mniej genialną wersją swojego ojca, są następujące - jej demencja będzie się stopniowo pogłębiać, ale prawdopodobnie będzie żyła długo, bo ma nadzwyczaj zdrowy organizm. Wobec tego wszystko w porządku.

- Demencja? - wtóruje ze zdumieniem Bunty, marszcząc lekko brwi, a my z doktorem Haddowem uśmiechamy się z determinacją i udajemy, że tego nie słyszeliśmy.

- Kto to był? - pyta Bunty po jego wyjściu. Jej dezorientacja koncentruje się głównie na ludzkiej tożsamości, jakby nagle stała się zagorzałą, sceptyczną empiryczką. Czasami wie, kim jestem, a czasami nie, a ponieważ wydaje mi się to fascynujące, spędzam masę czasu, pytając: „Wiesz, kim jestem?” Któregoś dnia, właśnie kiedy to robiłam, Adrian, z żółtą ściereczką do kurzu w jednej ręce i piaskiem w drugiej, patrzy na mnie przenikliwie i mówi:

- A czy ty wiesz, kim jesteś, Ruby? (Wiem, jestem Ruby Lennox).

Wspólnie spędzane dni mijają nam szybko - pożera je sprzątanie, zakupy, gotowanie i krótkie wyprawy do parku. Spacerujemy z Bunty po nieskazitelnie przystrzyżonych trawnikach do gry w kule i przesiadujemy na ławeczkach, patrząc w zadumie na małe dzieci na huśtawkach. Bunty byłaby szczęśliwa, gdyby mogła zostać tam przez cały dzień, ale kiedy mówię: „Chodźmy, czas wracać do domu” - posłusznie wstaje i drepcze u mego boku.

Wieczory spędzamy w towarzyskiej, domowej atmosferze. Rozmawiamy o tym, gdzie byłoby najlepiej uwięzić Bunty, wertując stosy broszurek o domach opieki, które jakoby wszystkie mają „pokoje z nowoczesnym wyposażeniem” i „przyjemny widok”.

Zastępcza osobowość Bunty jest znacznie sympatyczniejsza niż jej dawny model. Jej utracona tożsamość, niezdolna do odczuwania radości, na pewno narzekałaby na te straszne ilości czasu, które marnotrawimy każdego dnia. Czekałam czterdzieści lat, żeby móc się pobawić z moją matką, i nareszcie spędzamy długie słoneczne popołudnia na planecie Alzheimer, bawiąc się bez końca w udawanie. W swoim pomieszczeniu Bunty znów zgromadziła u swych kolan całą rodzinę, a ja, jako jedyne fizycznie osiągalne dziecko, muszę odgrywać rolę pozostałych, gotowa odpowiadać na „Pearl, Gillian, Patricia” (a czasami nawet Ruby). Jak zauważam, Gillian wciąż jest ulubienicą Bunty („Mam ci zrobić na podwieczorek twój ulubiony pudding, Gillian? Chcesz iść z mamą na zakupy, Gillian?”, i tak dalej). To bardzo swoiste uczucie być otoczoną przez moje niewidzialne siostry i czasami, kiedy wchodzę do pokoju, zaskakuje mnie on swoją pustką.

Któregoś popołudnia zostawiam Bunty bez opieki na kilka minut, a kiedy wracam, zastaję ją pośród skłębionego obłoku szarego kurzu, wysypującą zawartość odkurzacza na dywan w salonie.

- Co ty wyprawiasz? - pytam, ale ona tylko patrzy na mnie i mówi z pogodnym uśmiechem:

- Rozsypuję popioły twojego ojca, oczywiście.

- Czy on sobie życzył, żeby je rozsypać w salonie? - pytam ją, stąpając ostrożnie po dywanie (za nic na świecie nie mogę sobie przypomnieć, co zrobiliśmy z nimi po kremacji). Czuję, jak coś przykleja mi się do podeszwy, i zastanawiam

się, czy to maleńkie cząsteczki mojego ojca. Później, kiedy już z powrotem wciągnęłam George'a do odkurzacza, Bunty zaczepia mnie z lekkim zakłopotaniem:

- Nie widziałaś gdzieś mojej mamy? Nigdzie nie mogę jej znaleźć.

- Myślę, że to mógłby być ten - mówię szeptem do Adriana, kiedy zajeżdżamy przed imponujący neogotycki gmach.

- Ten co? - pyta Bunty, która wykształciła sobie słuch nietoperza, jakby tytułem rekompensaty za zanik komórek mózgowych.

- Czy chciałaby ciocia spędzić tu krótkie wakacje? - pyta Adrian, uśmiechając się do Bunty we wstecznym lusterku. Bunty nic nie mówi - może czuje, że to pułapka, ale kiedy wreszcie zdobywam się na odwagę i odwracam się, widzę, że radośnie uśmiecha się sama do siebie. Nasza inspekcja w Silverleas wypada zadowolająco. Nad lśniącym mahoniem w olbrzymim holu wejściowym nie unosi się zapach środków dezynfekcyjnych i gotowanej kapusty - tylko zapach lawendowej pasty i miły aromat ciepłego ciasta.

- Pięknie tu, prawda? - mówię z entuzjazmem do Bunty, a ona zgodnie kiwa głową.

- Pięknie. Na jak długo mamy rezerwację?

Badamy pokoje, pojedyncze i wieloosobowe, z dobranymi narzutami na łóżka, zasłonami i dobrej jakości dywanami, świetlice, w których są gazety i gry planszowe, a także kuchnie, gdzie jedzenie wygląda smakowicie i można by naprawdę pomyśleć, że to całkiem niezły hotel (coś pomiędzy dwiema a trzema gwiazdkami), gdyby nie spotkania z rezydentami - jak na przykład te dwie zgębione staruszki z koszykiem na zakupy, które bardzo poważnym tonem mówią przełożonej, że nigdzie nie mogą dostać wsypu na materace, a

ja już jestem gotowa obwieść je po sklepach, ale Adrian powstrzymuje mnie, kładąc mi rękę na ramieniu.

Kiedy przychodzi pora odjazdu, Bunty nie kwapi się do wyjścia, ale Adrian obiecuje jej, że znowu przyjedziemy i wtedy będzie mogła zostać na dłużej. Przełożona gorąco ściska nam ręce, ale jej głos przechodzi w szept, kiedy Bunty zaczyna schodzić po schodach.

- Proszę pamiętać - mówi - że Silverleas może tylko przyjąć osoby, które nie wymagają pielęgnacji, więc gdyby pani matka zachorowała, nie bylibyśmy w stanie jej tutaj trzymać.

- Nie ma sprawy - zapewniam ją z radością. - Moja matka ma nadzwyczaj zdrowy organizm.

„No to jak, robimy małe strzyżenie i modelowanie przed wizytą?” Adrian uśmiecha się, wycierając jej głowę rącznikiem. Wyjmuje z kieszeni spodni nożyczki i sugestywnie wywija nimi wokół wilgotnej głowy Bunty. Dopiero teraz zauważam, jakie Bunty ma rzadkie włosy. Ma też plamy wątrobiane na rękach i śmieszne czerwone znamię w kąciку oka, jakby kot zadrasnął ją pazurem. Nagle ogarnia mnie litość i nienawidzę Bunty za to uczucie.

Kiedy zbliżamy się do Silverleas w celu definitywnego oddania Bunty, ona sama wydaje się znacznie mniej zachwycona tym pomysłem. Miała już mały atak hysterii, kiedy przebijaliśmy się przez permanentnie zakorkowany York, bo wydawało jej się, że jesteśmy beznadziejnie spóźnieni na pociąg. A kiedy minęliśmy dworzec, podniosła potworny lament.

Musimy wywabić ją z samochodu i im bardziej zbliżamy się do olbrzymich, okazałych drzwi frontowych, tym wolniejszy staje się jej krok. Kiedy przystajemy na podeście kamiennych schodów, chwyta mnie nagle za rękę i po raz pierwszy uświadamiam sobie, że jest ode mnie mniejsza.

Wciąż pamiętam, że była kiedyś dwa razy wyższa, a teraz jest jak lalka. Jak to się stało, że tak się skurczyła? Zaczynam się wahać. Nie jestem pewna, czy potrafię to zrobić. Może mogłabym zabrać do domu tę nową lalkę - matkę i zająć się nią, przynajmniej na jakiś czas?

„Nawet o tym nie myśl”, mruczy pod nosem Adrian, ale przełożona i tak już trzyma Bunty za rękę i prowadzi ją korytarzem do jej pokoju z nowoczesnym wyposażeniem i przyjemnym widokiem. Tuż przed zniknięciem Bunty odwraca się i macha smutno ręką, jak dziecko w pierwszym dniu szkoły.

„To była jednak moja matka”, mówię z westchnieniem, a Adrian śmieje się ponuro i mówi: „I wciąż nią jest, nasza droga Ruby, wciąż nią jest”.

Kiedy jednak odwiedzamy Bunty na drugi dzień, wydaje się nam bardziej zadowolona i mówi, że obsługa jest cudowna.

„Jak myślicie, jaki powinnam zostawić napiwek?”, pyta, a lekki grymas niepokoju zniekształca jej rysy. Zabieramy ją na spacer po okolicy, a Dolores biegnie obok i chwyta nas zębami za kostki. Silverleas położone jest w parku, wśród pięknych drzew - rosną tam wierzby płaczące i orzech włoski, lśniące ostrokrzewy i kępy cisów. Jest tu zacisznie i wszędzie kielkują już wiosenne kwiaty. Trawa ciągnie się aż poza zasięg wzroku, świeża i zielona, a mnie nagle uderza myśl, że to wspaniałe miejsce do zabawy w konie, i niemal zaczynam żałować, że nie ma tu Christine Roper, bo wydaje mi się, że jest to zabawa, na którą właśnie mam ochotę. Robimy przerwę w naszej przechadzce i siadamy na jednej z wielu solidnych ławek, ufundowanych w dowód wdzięczności. Nasza ławka poświęcona jest pamięci „Freda Kirklanda 1902 - 1981”. Wszyscy troje uroczyście siadamy na ławce Freda - proste plecy, ręce splecione na kolanach - i patrzymy na małe

skupisko kwiatów, podskakujących i powiewających na wietrze jak spódniczki elfów.

- Chciałaby ciocia tu zostać? - pyta Adrian, a Bunty wzdryga się jak spłoszony królik.

- Zostać? - powtarza cicho. - Na zawsze?

- No - mówię z wahaniem - może nie na zawsze...

- Czemu nie mogę wrócić do domu? - mówi Bunty, patrząc z paniką to na jedno, to na drugie z nas, a ja czuję, że wolałabym być wszędzie, byle nie tutaj. - Czemu nie mogę wrócić do domu?

Jemy z Adrianem kanapki przed telewizorem, z tackami na kolanach. Oglądamy program w nabożnym skupieniu, jak ludzie, którzy nie mają nic lepszego do roboty. Jutro musimy spakować dom w kartony i trzeba zacząć się tego pozbywać. To dziwne uczucie tak się wszystkiego pozbywać, skoro Bunty wcale jeszcze nie umarła, ale w domu nie ma już nic, co by jej się mogło przydać. Potem nagle dzwoni telefon.

Może to pan Nikt. Nie - to siostra przełożona z Silverleas. Dzwoni, żeby mi powiedzieć, że Bunty miała udar.

„Jak to możliwe, że tak bardzo się skurczyła?” Patricia jest przerażona zmianami, jakie zaszły w Bunty. Cała nasza trójka - Patricia, ja i Adrian (czwórka, jeżeli policzyć Dolores, skuloną pod marynarką Adriana) - siedzi wokół szpitalnego łóżka Bunty. Rozmawiamy przytłumionym szeptem. Na wieść o bliskim końcu Bunty Patricia przyleciała najbliższym samolotem. Bunty leży w jednym z dalszych pokoi szpitala okręgowego, do którego została wyeksmitowana z Silverleas, natychmiast po zapaści (w końcu jednak nie zostawiła napiwku). To był wylew krwi do mózgu, nie na tyle poważny, żeby ją zabić, ale wystarczający, żeby zepchnąć ją jeszcze głębiej w otchłań. Przyniesiono i zabrano nietknięty podwieczorek, a resztki zjadła Dolores.

Pielęgniarka z nocnej zmiany, siostra Blake, wsuwa głowę przez drzwi i pyta, czy wszystko w porządku. Ton jej głosu - poważny i dodający otuchy - w połączeniu ze sposobem, w jaki zostaliśmy odsunięci na boczny tor - świadczy o tym, że ich zdaniem to już nie potrwa długo. Po wyjściu siostry zastanawiamy się, czy powinniśmy wrócić do domu na tę noc czy nie. Zaciągam zasłony w oknach - zasłony w duże kolorowe wzory, jakbyśmy byli na oddziale dziecięcym. Okna pokoju Bunty wychodzą na tory kolejowe i słysząc, jak krótki pociąg spalinowy buczy, przejeżdżając w dole. Razem z Patricia postanawiamy iść do siostry Blake i zapytać ją o szczegóły ostatecznego terminarza Bunty. Jest po dziewiątej - ostatni odwiedzający już wyszli i przygaszono światła. Znajdujemy siostrę Blake na jednym z sześciolóżkowych oddziałów - razem z młodą praktykantką usiłuje uspokoić małego staruszka, który ze zdumiewającą determinacją próbuje rzucić się z łóżka. Siostra Blake i uczennica przytrzymują podnoszone boki łóżka, podczas gdy staruszek, wzrostu małego chłopca, obrzuca je stekiem okropnych wyzwisk.

„Myślę, że ona jest teraz zajęta”, mówi z powątpiewaniem Patricia. „Lepiej chodźmy się przejść”.

Spacerujemy więc po labiryntach nowych klatek schodowych i korytarzy, ramię w ramię, jak chorzy, którzy w ciągu dnia przechadzają się w szlafrokach. Teraz wszyscy już śpią, bezpiecznie utuleni do snu, podobnie jak małe elektryczne pojazdy, które przemykają z cichym bzykiem, ciągnąc za sobą wózki z posiłkami. Spacerujemy po korytarzach o szklanych ścianach, za którymi widać kaczki, które przycupnęły wokół betonowej sadzawki, oświetlonej małymi reflektorkami. Cichy szum silnika wibruje miękko w powietrzu, jakby szpital był wielkim okrętem, który bezpiecznie pruje fale w ciemnościach. Przysiadamy na

chwilę w recepcji, na dużych winylowych krzesłach, i patrzymy na obrotowe drzwi, a potem wychodzimy na dwór i okrążamy pusty parking dla odwiedzających, urządzone jak olbrzymi plac do gier w klasy. Za ledwie kilkaset jardów dzieli nas od miejsca, w którym urodziła się Bunty. A teraz ona umiera. Dalej, po drugiej stronie drogi, widać płonące światła fabryki Rowntree - drugiego wielkiego transatlantyku.

Kiedy wracamy, zastajemy przy łóżku Bunty siostrę Blake, która trzyma ją za jedną rękę, a Adrian za drugą. Adrian patrzy na nas z niepokojem, a siostra Blake mówi cicho: „Chyba jej się pogorszyło”.

Nasze czuwanie przy łóżku trwa całą noc. Kiedy człowiek czeka na śmierć, a nie zostaje przez nią zaskoczony (jak to się często dzieje w naszej rodzinie), śmierć może długo nie przychodzić. Siostra Blake (Tessa) jest po czterdziestce i ma dwóch dorosłych synów, Neila i Andrew. Neil jest żonaty i ma małą córeczkę Gemmę. Wiemy to wszystko (a także wiele innych rzeczy) o siostrze Blake, bo opowiadamy sobie nawzajem różne historie nad żywymi zwłokami Bunty. Siostra Blake, z tymi jej zmęczonymi, niebieskimi oczyma i płowiejącymi złotymi lokami, wygląda jak pulchny, znużony anioł.

- Nigdy nie znałam mojej prawdziwej matki - mówi cichym głosem. - Zostałam adoptowana. A jak się nie zna swojej prawdziwej matki, to człowiekowi nie daje później spokoju.

Patricia wzdraga się i pyta:

- I nigdy nie próbowała jej pani odnaleźć? A siostra Blake mówi:

- O tak, ale ona już wtedy nie żyła. Pochodziła z Belfastu, to wszystko, co o niej wiem - poza tym, że także była pielęgniarką. To dziwne, prawda? Byłam wojennym dzieckiem.

- Wszyscy jesteśmy wojennymi dziećmi - enigmatycznie stwierdza Patricia.

„Jej życie wisi na włosku”, szepce siostra Blake, a my wpatrujemy się w twarz Bunty z dziwnym napięciem. Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek patrzyła na moją matkę równie długo jak tej nocy, i teraz, kiedy jej się tak uważnie przyglądam, dochodzę do wniosku, że właściwie nie mam pojęcia, kim ona jest. Patricia przygląda się nieznajomej w łóżku z wyrazem dziwnej zaciętości, a mnie na chwilę przypomina się dawna Patricia.

Przez cały czas narasta we mnie jakieś przykre, męczące uczucie. Spodziewałam się czegoś innego po Bunty i po jej rytuale przejścia. Spodziewałam się przynajmniej jakichś znaczących słów na pożegnanie, pereł mądrości, spowiedzi na łożu śmierci, („Nie jestem waszą prawdziwą matką”), a tymczasem dociera do mnie bolesna prawda - ona nie ma zamiaru nic powiedzieć, nawet „do widzenia”.

„Wydaje mi się, że właśnie odeszła”, mówi cicho siostra Blake. Jak to dobrze, że miałyśmy przy sobie pielęgniarkę, bo żadna z nas nawet by nie zauważyła, że Bunty nie żyje - tak spokojnie przemknęła na drugą stronę. Chciałabym być taką córką, która darłaby szaty i wrywałaby sobie włosy z głowy, ale nie jestem. Podobnie jak Patricia, która siedzi przy łóżku z wyrazem osłupienia na twarzy, jakby ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewała przy łożu śmierci, miała być sama śmierć. Adrian płacze, a jedyną osobą, która wydaje się mieć jakieś pojęcie o tym, jak należy zachować się w takich sytuacjach, jest siostra Blake - ostrożnie wygląda prześcieradła i dotyka czoła Bunty, jakby chciała opatulić dziecko, które boi się ciemności. Ogarnia mnie nieprzeparta i zgoła niestosowna chęć, żeby złapać Bunty i tak długo nią potrząsać, aż wróci do życia i znowu stanie się naszą matką - tylko niech tym razem lepiej się z tego wywiąże.

- No, to już po wszystkim - mówi Patricia, kiedy siedzimy w taksówce, która odwozi nas ze szpitala. Za połyskującymi ramami okien przesuwa się w pędzie York.

- Wiesz co, Ruby, my ją naprawdę kochałyśmy.

- Czyżby? Ja nie nazwałabym tego miłością.

- Może i nie, ale cokolwiek to było, to jednak jakieś uczucie. Spoglądam Patricii w twarz, żeby się upewnić, że nie mówi tego z miną zadowoloną albo sentymentalną - rzeczywiście wydaje się zmartwiona, więc rezygnuję z zamiaru, żeby dać jej kopniaka. Może ona ma rację. Może moja koncepcja miłości - przepastna jak niebo - nie jest jednak na tyle wielka, żeby w sobie pomieścić autystyczną matczyną miłość Bunty.

Niesiemy z Patricia szeroką czarną wstęgą, po obu stronach trumny, i udajemy, że opuszczamy ją do grobu. Prócz nas w tym symbolicznym akcie uczestniczą wuj Ted, wuj Clifford, Adrian i Lucy - Vida. Wzdrygam się, kiedy garść wyschniętej ziemi uderza o wieko trumny. Chowanie ludzi w ziemi ma w sobie coś mrocznego i prymitywnego. Niemal spodziewam się, że Bunty odsunie z irytacją wieko trumny, usiądzie i powie: „Trzeba uważać - przecież w ten sposób można kogoś żywcem zakopać!”

Ale Bunty tego nie robi. Miałyśmy z Patricia poważną dyskusję, czy Bunty powinna zostać poddana kremacji czy pochowana, i ostatecznie - może dlatego, że wciąż mamy w pamięci pożar Sklepu - zdecydowałyśmy się na pochówek. Teraz nie jestem już taka pewna swojej racji. Nie wydaje mi się, żeby Bunty się to podobało. Gdyby chociaż pojawiła się para aniołków, żeby rozwinąć nad nią skrzydła ze swetrów.

Ceremonia przy grobie jest równie zdawkowa jak samo nabożeństwo żałobne. Bunty rzadko bywała w kościele, odkąd opuściła szkołę niedzielą św. Denysa, więc i wikary miejscowego kościoła zbytnio się nie wysiłał. Mimo naszych

protestów uparł się, żeby przez cały czas nazywać ją Berenice, dlatego wciąż miałam nieprzyjemne wrażenie, że chowamy nie tę osobę co trzeba.

Po pogrzebie wszyscy wracamy do domu. Adrian przez całe rano robił kanapki, tarty i ciasto owocowe, a świeżo rozwiedziona Kathleen krąży po domu z tacami pełnymi jedzenia, jak kelnerka. Pod oczyma ma smugi rozmazanego tuszu, bo nie może się powstrzymać od płaczu. Opłakuje swój rozwód z Colinem, a nie moją matkę, ale kilka osób, nie wiedząc o tym, bierze ją za zboląłą córkę. Tymczasem prawdziwe córki mają niepokojąco suche oczy. Pogrzeb Bunty zdominowało uczucie dziwnej pustki - jakby człowiek był na przyjęciu bez zgiełku i bez oczekiwania, aż coś się wydarzy, bo to coś już się zdarzyło. Zabrakło osoby, która miała być duszą tego wszystkiego.

Dawniej myślałam, że kiedy Bunty umrze, to będzie tak, jakby ktoś zdjął mi z piersi wielki ciężar. Podniosę się i wreszcie będę wolna. Teraz zrozumiałam, że ona już zawsze będzie we mnie. Podejrzewam też, że w najmniej spodziewanym momencie spojrzę w lustro i zobaczę jej rysy albo otworzę usta i wypowiem jej słowa.

- Wiesz co, Ruby - mówi Patricia, biorąc z talerza kawałek tarty z brokułem - ludzie dostają taką matkę, jaka jest im potrzebna w konkretnym wcieleniu. - Potem jednak wzrusza bezradnie ramionami, bo żadna z nas nie ma pojęcia, po co właściwie była nam potrzebna Bunty.

- Wierzysz w te bzdury? W karmę i to wszystko? - pyta Lucy - Vida. Siedzimy na schodach, popijając wino z butelki i od czasu do czasu odsuwamy się, żeby przepuścić ludzi na górę, do łazienki.

- Patricia jest buddystką - mówię do Lucy - Vidy.

- Ja wrócę jako kot - mówi Lucy - Vida, rozprostowując jedną z tych śmiesznie długich, kocich nóg, tak że dziurka w

czarnych rajstopach, obwiedziona krzykliwie różowym lakierem do paznokci, nagle się rozciąga i małe oczko wystrzela pod spódnicę. Lucy - Vida ma już czwórkę dzieci, ale dziś jest z nią tylko najstarsze. Wayne jest potężnie zbudowanym dwudziestopięcioletkiem, o udach jak szynki, który dumnie nosi swój mundur wojskowy. To ten sam Wayne, z którym Lucy - Vida była w ciąży na ślubie Sandry. Wayne stanowi dość niefortunny kontrast z dwoma chuderlawymi synami Sandry, Deanem i Toddem. Sandra tymczasem bardzo się roztyła i zrobiła się strasznie apodyktyczna.

- Ale się rządzi to krówsko - mówi łagodnie Lucy - Vida, kiedy Sandra zaczyna ryczeć na wuja Teda.

Wuj Bill nie żyje, ale ciotka Eliza, która czeka na operację biodra, kuśtyka o dwóch kulach, a Wayne nosi za nią kieliszek i zapala jej papierosy.

- Twarda sztuka - mówi Adrian, serwując tarty.

Ku memu rozczarowaniu, Daisy i Rose nie zjawiają się na pogrzebie. Podobno od jakiegoś czasu nikt ich nie widział. Żadna z nich nie wyszła za mąż. Mieszkają razem w wielopiętrowym bloku w Leeds, a ciotka Gladys mówi, że w ogóle nie wychodzą z domu.

- Przecież czasem muszą wyjść - mówi lekceważąco Sandra. - No bo jak by jadły? - (Ale Daisy i Rose pewnie nawet nie muszą jeść).

- Wiecie co - wtrąca się Wayne - mama posłała mnie w zeszłym roku, żebym sprawdził, co się u nich dzieje. Im się wydaje, że ufoludy mówią do nich z telewizora. - Puka się palcem w czoło. - Kompletnie pojebane kretynki! - a Lucy - Vida daje mu mocnego kuksańca w ucho i mówi: - Jak ty się wyrażasz, Wayne!

W kuchni Brian, kochanek Adriana, zmywa jak szalony w gumowych rękawiczkach Bunty. Wuj Clifford wyjął sztuczną

szczękę i siedzi przy stole, jedząc kawałek pasztetu wieprzowego i rozprawiając na temat repatriacji „czarnuchów”, najlepiej do Afryki. Brian potakuje z wyrozumiałym uśmiechem człowieka, który wie, że w każdej chwili może iść do domu i nie będzie musiał nas nigdy więcej oglądać.

- No tak - mówi, wychodząc, ciotka Gladys - to było naprawdę piękne pożegnanie; wasza matka z pewnością byłaby zadowolona.

- Nieprawda - mówi Patricia, zamykając drzwi za ostatnimi gośćmi. - Ona nienawidziła takich imprez.

Następne kilka dni schodzi nam na załatwianiu spraw popogrzebowych, wystawianiu domu na sprzedaż, wysyłaniu polis ubezpieczeniowych i pakowaniu ubrań dla pomocy społecznej.

Przeglądamy biżuterię i fotografie, dzieląc je między siebie, Ja dostaję fotografię praprababki, tę, którą miał Tom, oraz srebrny medalion; Patricia bierze sobie zegar i - po krótkim namyśle - króliczą łapkę, którą zamierza pochować w ogrodzie.

Dzień przed wyjazdem Patricii idziemy na długi spacer w samym sercu Yorku - gdziekolwiek byśmy poszły, katedra spogląda na nas z góry. Tak naprawdę nic nas już nie ciągnie do Yorku - może już nigdy więcej tu nie przyjedziemy. Miasto wygląda jak atrapa - jak ciąg bloków mieszkalnych oraz komplet białych murów obronnych i średniowiecznych oszalowanych domków z tektury, które wycięto i posklejano. Ulice są pełne obcych - muzykujących zespołów, wycieczek szkolnych i autobusów wycieczkowych oraz najprzeróżniejszych cudzoziemców.

Przechodzimy pod długim, drewnianym szyldem „Ye Olde Starre Inn”, który ciągnie się w poprzek ulicy. Rzymska via praetoria. Wszystko wokół zostało zamienione w

ekskluzywne centrum handlowe - nie ma już sklepu Richardsona i Hannona, nie ma Walterów i Bernardów, nie ma fryzjerów, piekarni i szklarzy - wszystko wygląda jak jeden wielki, niebywale drogi sklep z pamiątkami.

Powoli i nieuchronnie zbliżamy się do Sklepu. Minęło już dziesięć lat, odkąd Bunt go sprzedała, i teraz na tym miejscu znajduje się drogi salon z męską odzieżą. Wieszak z tweedami od Harrisa wisi tam, gdzie kiedyś były klatki z królikami, a karuzela jedwabnych krawatów zajęła miejsce Papugi. Nie ma ani jednej belki, deski czy tafli szkła, którą byśmy rozpoznawały - z dawnego sklepu nie pozostał ani jeden atom czy cząsteczka. Na górze, Nad Sklepem, jest teraz lokal - „herbaciarnia” - więc przez dłuższy czas spieramy się z Patricią, czy powinniśmy tam wejść, czy nie. W końcu jednak wchodzimy, zasiadamy przy nakrytym koronką stoliku i wypijamy filiżankę herbaty o niebotycznej cenie dokładnie w tym samym miejscu, gdzie dawniej stał nasz telewizor.

„Duchy, czy co?”, mówi, wzdrygając się, Patricia.

Na wyższym piętrze też są stoliki, więc w drodze do wyjścia kręcimy przez dłuższą chwilę u podnóża schodów, ale żadna z nas nie jest w stanie nawet dotknąć poręczy. Z góry dobiega brzęk łyżeczek o talerzyki i uprzejmy pomruk cudzoziemskich głosów - amerykańskich, niemieckich, japońskich. Zamykam oczy. Jeżeli mocno się skoncentruję, usłyszę jeszcze starszy pomruk, równie obcy, ale znacznie mniej uprzejmy - łaciński, saksoński, romański. Oni nadal tu są - słyszę ich szelest i szcęk. A potem dzieje się coś niebywałego - budynek zaczyna dygotać, jakby małe trzęsienie ziemi zawładnęło doliną Yorku. Ulica także wibruje - delikatne filiżanki i spodeczki brzęczą i klekoczą na stolikach herbaciarni. Przez jedno z nowobogackich, przybranych koronką okien widzę dziką scenę, rozgrywającą się w dole, na ulicy - tupot, zdyscyplinowany marsz tysięcy

stóp rzymskiej armii, maszerującej od rzeki, przez porta praetoria i dalej, w górę ulicy. Drżą pióropusze na hełmach centurionów, a sztandarowi dumnie unoszą w górę chorągwie. A tam, na przedzie, pięknie wypolerowany i połyskujący w słońcu, wznosi się wspaniały mosiężny orzeł Dziewiątego Legionu Hiszpańskiego. Może jeśli będę za nimi patrzeć, zobaczę, gdzie zniknęli, ale właśnie w tym momencie kelnerka upuszcza dzbanek mleka i Dziewiąty Legion jest już tylko milknącym odgłosem zamierających kroków.

- Ruby, Ruby! - Patricia lekko mną potrząsa. - Ruby, na co tak patrzysz? Chodź, musimy już iść.

Na ulicy długo nie możemy dojść do siebie.

- To było straszne - mówi Patricia, przekrzykując hałas koncertującego na chodniku kwartetu smyczkowego. - Herbaciarnia, mój Boże!

Kwartet osiąga gustowne crescendo i ludzie wrzucają pieniądze do pustego futerału od skrzypiec. Ale nie my - my po prostu stamtąd uciekamy. Mijamy St Helen's - kościół sklepikarzy, spieszymy wzdłuż Blake Street, ku Museum Gardens, ścigane przez całą drogę przez drażniący, okrutny gwar naszych domowych duchów.

W Museum Gardens, do których wstęp jest teraz bezpłatny - nie trzeba sześciopensówki - idziemy ostrożnie wśród paw, wiewiórek i turystów, którzy zaśmiecają trawniki, a potem kierujemy się w dół, ku ścieżce nad rzeką i idziemy od Lendal Bridge aż do Queen Anne's i z powrotem. Przystajemy u stóp Marygate i patrzymy na pociąg przejeżdżający przez Scarborough Bridge. Poziom wody w Ouse jest bardzo niski, jak na tę porę roku, i odsłania różne warstwy gleby, poprzedzielane błotem. Wszyscy coś tu po sobie zostawili - bezimienne plemiona, Celtowie, Rzymianie, Wikingowie, Saksonowie, Normanowie, a także i ci, którzy przyszli po nich. Wszyscy oni zostawili tu swoją zagubioną własność -

guziki i wachlarze, pierścienie i naszyjniki, bullae i fibulae. Nagle brzegi rzeki zamigotały tysiącem, milionem szpilek. Złudzenie świetlne? Przeszłość to szafa pełna światła i trzeba tylko znaleźć klucz, który otworzy drzwi.

I wreszcie ostatnie pożegnanie - cmentarz. Kupujemy wiązanki wiosennych kwiatów na straganie na Newgate Market i zastępujemy żonkilami wędnące wieńce na wciąż nie oznakowanym wzgórką Bunty. Zostawiamy pełne, żółte tulipany na grobie Gillian, kilka rzędów dalej, ale dla Pearl mamy lilie, białe jak świeży śnieg. Grób Pearl znajduje się pośrodku całej grupki maleńkich nagrobków, sterczących w rogu cmentarza jak połamane, dziecięce ząbki. Podobnie jak Gillian, Pearl także jest już „bezpieczna w ramionach Jezusa”. Obie z Patricią zgodnie przyznajemy, że to raczej niemożliwe, a zresztą bardziej odpowiada nam myśl, że ona żyje teraz pod inną postacią - może tego ptaszka, który frunie od grobu do grobu, kiedy idziemy w kierunku bramy, i tak często zatrzymuje się, żebyśmy mogły go dogonić. Chociaż sposób, w jaki przekrzywia główkę, sugeruje, że to raczej Papuga. Lekki powiew mierzwi trawę na cmentarzu i pogania chmury na rozpiętym płótnie nieba nad naszymi głowami. Patricia unosi twarz ku blademu słońcu i przez sekundę wydaje mi się prawie piękna.

- Tak czy inaczej, nie wierzę, że zmarli odchodzą na zawsze. A ty, Ruby?

- Nic nie przepada na zawsze, Patricio. Wszystko ma gdzieś swoje miejsce. Nawet najmniejsza szpileczka.

- Szpileczka?

- Uwierz mi, byłam na końcu świata. Wiem, co się z tym wszystkim dzieje.

Wiatr nagle robi się chłodny, więc stawiamy kołnierze, bierzemy się pod rękę i ostrożnie ruszamy pomiędzy śpiącymi zmarłymi.

Rozstajemy się na dworcu w Yorku, podczas stosownie dramatycznej burzy z piorunami. Patricia nie wraca wprost do Australii. Rodzina oraz praktyka weterynaryjna będą musiały poczekać na jej powrót. Wyrusza na poszukiwanie - chce odnaleźć swoje własne, zaginione dziecko, to, z którym rozstała się tak dawno temu w Clacton. Policzyliśmy lata.

„Pomyśl tylko, Patricio - może jesteś już babcią nawet i nic o tym nie wiesz”.

Patricia znowu wydaje ten dziwny odgłos, a ja już wiem, że to śmiech. W starej skajowej torbie na zakupy, należącej jeszcze do Nell, niesie zegar naszej praprababki (podścieliła pod niego nareszcie odzyskaną pandę), starając się nie naruszyć równowagi jego wnętrza. Kiedy jednak dociera w końcu do Melbourne, okazuje się, że zegar stanął na dobre.

Patricia obejmuje mnie na peronie.

- Przeszłość to jest to, co człowiek zostawia w życiu za sobą, Ruby - mówi z uśmiechem reinkarnowanego lamy.

- Bzdura - mówię jej, wsiadając do mojego pociągu. - Przeszłość to jest to, co człowiek ze sobą zabiera.

Przede mną powrotna podróż - pojedę w odwrotnym kierunku tym samym pociągiem, samolotem i dwoma statkami, które przywiozły mnie do Yorku. Mam swoje własne życie, do którego muszę już wracać. Nie było mnie wystarczająco długo. Wracam na odległą Szetlandię, za którą nie ma już nic prócz morza aż po północną pokrywą lodową. Z tą obcą ziemią łączą mnie związki krwi. Wiem o tym, bo Patricia (kto by to pomyślał) zapłaciła komuś, żeby narysował nasze drzewo genealogiczne - olbrzymie, chaotyczne arboretum, które wydobyło na światło dzienne prawdziwe szkockie korzenie Lennoxów. Patricia poprowadziła jeszcze dalej tę chęć dotarcia do własnej genealogii i pisuje do odciętych gałęzi - koresponduje z córką ciotki Betty, Hope, w Vancouver, oraz z Tiną Donner, przyrodnią kuzynką, w

Saskatchewan. Tina przyjechała w zeszłym roku i odkryła imię Edmunda Donnera wydrapane na słynnym lustrze, na dole w kawiarni „U Betty”, tuż obok damskiej toalety. Tina Donner odwiedziła także i mnie i przywiozła odbitkę fotografii Ady i Alberta, którą Lillian zabrała ze sobą, kiedy na pokładzie „Minnedosy” przepływała Atlantyk tak dawno temu. Moja odbitka stoi w ramce na biurku, a ja lubię patrzeć na nią i zastanawiać się nad moimi związkami z tymi ludźmi. Fotografie zrobione przez Monsieur Armanda są teraz rozproszone po całym świecie - u Hope, Tiny, Patricii. Adrian ma zdjęcie Lawrence'a i Toma z malutką Lillian, ale to ja mam fotografię Alice - lekkomyślnej matki, zaginionej żony, kobiety zagubionej w czasie.

Dwie śniade dziewczynki, moje własne Alice i Pearl, są już dorosłe. Obie studiują - jedna w Glasgow, druga w Aberdeen, a ja mieszkam sama, na wyspie, gdzie ptaków jest więcej niż ludzi. Można tam spotkać nurka i kaczkę, kulika i siewkę. Maskonury i czarne nurzyki, kruki i gołębie skalne gnieźdzą się latem na urwiskach, a znad wrzosowiska wzlatają kobuzy i wielkie wydrzyki.

A teraz kolej na mnie. Co u mnie? Żyję z tego, że tłumaczę angielską literaturę techniczną na włoski, tak więc moje małżeństwo z Gian - Carlem Benedettini nie poszło całkiem na marne. Lubię tę pracę, metodyczną, a zarazem tajemniczą.

Mogę się też uważać za poetkę - mój pierwszy tomik poezji, wydany przez małe wydawnictwo w Edynburgu, miał całkiem niezłe recenzje. Teraz zamierzam rozpocząć pracę nad wielkim projektem - cyklem wierszy na podstawie naszego drzewa genealogicznego. Każdy znajdzie w nim swoje miejsce - Ada i Albert, Alice i Rachel, Tina Donner i Tessa Blake, a nawet przypadkowe osoby, jak Monsieur Jean - Paul Armand i Ena Tetley, Minnie Havis i pani Sievewright, bo

wszyscy oni mają miejsce między naszymi gałęziami, a kto potrafi powiedzieć, co z tego jest prawdą, a co fikcją. W końcu, w co głęboko wierzę, jedynie za pomocą słów można stworzyć taki świat, który będzie miał sens.

Wsiadłam do pociągu osobowego, który zatrzymuje się na każdej stacji - w Darlington, Durham, Newcastle, meandrując wzdłuż wybrzeża Northumbrii aż do Berwick. Kiedy przecinamy Tweed, robi się jaśniej i niebo jakby trochę obeschło, a blade połyskująca tęcza, jak znak wodny, wita nas na granicy. Jestem już w innym kraju - kraju, któremu na imię dom. Żyję. Jestem drogocennym klejnotem. Jestem kropelką krwi. Jestem Ruby Lennox.